

Migotania

Gazeta Literacka

Nr 3 (68) 2020 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

jest nas za dużo(...)

nie mieścimy się w swoich głowach ...

Ulatowska Paulina

Polecamy:

- Marian Kisiel, Mały cmentarz
- Grzegorz Musiał, Apulia (1), dziennik
- Leszek Szaruga, Między morze w XIX wieku
- Roman Warszawski, Konkwiśta i okolice
- Dariusz Lebioda, wiersze
- Maria Tryba, Rozmowa z Andrzejem Dziukiem
- Adam Bujarski, wiersze
- Czesław Karkowski, Narodziny komedii

Numer podwójny

Mieczysław Machnicki

gdybym gołębiem był z góry Athos
ze mną by boskie leciało światło

gdybym był ponad Giewontu szczytem
spozregłbym światło chmurnym zachwytem

gdybym z lawiną zaś zszedł przez Alpy
światłem kamienne bym stopił zaspę

gdybym już zrównał się z Everestem
to w światła świetle pielgrzymem jestem

gdybym powyżej był góry Karmel
czułbym jak światło pod skórą gaśnie

23.05.20

Karola Zielińska

**W numerze prezentujemy prace: Karoli Zielińskiej
Plakat poetycki – Januszewska Klaudia (debiut prasowy)
Plakat artystyczny – Karola Zielińska**

Marek Wawrzkiwicz
Dedykacje (20)
PiOTREK



Ten kwietniowy dzień 2007 roku był ciepły, słoneczny i bezwietrzny. Ksiądz N. duszpasterz środowisk twórczych nie darował sobie i liczny żołnierzom informacji o tym, że musiał się starać o pozwolenie na pogrzeb kościelny, bo zmarły był masonem. I w tym momencie przepasana czarną wstążką, stojąca na stoliku fotografia spadła na ziemię obok mogiły. Kapłan nie dodał, że Piotr Kuncewicz był nie tylko masonem, był Wielkim Mistrzem Wielkiej Loży Wschodu. Nie poinformował też, że obciążały go inne ciężkie grzechy: był wybitnym pisarzem, wielkim erudytem, apostołem łagodności, tolerancji i pojednania.

Poznałem go w początku lat siedemdziesiątych, kiedy był już znaną postacią literacką, a ja autorem zaledwie trzech tomików wierszy. W Łodzi, gdzie wówczas mieszkalem, odbywał się jakiś spęd literacki, a towarzysztwo biesiadowało bodajże w restauracji hotelu Savoy. Wezwano mnie w trybie nagłym, bo któryś z uczestników wydarzenia kulturalnego uchłwał się w sposób demonstracyjny i wielce awanturniczy. Kiedy – jako jeden z organizatorów – przybyłem na miejsce wy-

darzenia bohater zajęcia spał już z głową na stole, kelnerzy się uspokoili, a Piotr mnie zapytał: - No i co zrobimy z tym pacjentem, Marku? Taki był nasz bruderszaft.

Wszystko w nim było ponadprzeciętne. Najpierw tusza, a potem dieta, w wyniku której schudł przeszło czterdzieści kilogramów. Odporność na alkohol, pozwalająca mu bez szkody dla organizmu przyjmować ilości gargantuiczne. Łagodność, dzięki której nie miał wrogów i mógł rozmawiać z każdym. Benedyktyńska pracowitość, która zaowocowała m.in. ogromną, pięciotomową *Agonią i nadzieją*, historia literatury polskiej. A przede wszystkim ogrom wiedzy i niebywala skala zainteresowań: literatura i jej historia, filozofia, historia kultury, ezoteryka, kulinaria. Rozmowa z nim była śmiertelnie niebezpieczna: na każdy temat wiedział więcej, lepiej i głębiej.

Zaczął od wierszy, do których już nie wrócił. Rozgłos przyniósł mu powieść *Dęby kapitałistyczne*; dopiero pod koniec życia wrócił do prozy, ale nie doczekał już wydania

powieści, której nie skończył. A w tzw. międzyczasie pisał eseje i przyjaźnił się. Towarzyszył biesiadnie i krytycznie poetom i pisarzom pokolenia „Współczesności”, a potem poetom HYBRYD. Był po imieniu z mnóstwem młodych, których – zasłużenie lub nie – traktował familiarnie i przyjaźnie. Zapytałem go kiedyś dlaczego jako prezes ZLP wystąpił o nagrodę Nobla dla kogoś, kto na to nie zasługiwał. Odpowiedział: - Marku, bo on mnie o to poprosił...

Kilkanaście lat blisko z Piotrem współpracowałem. Jako szef Związku wielokrotnie próbował pojednać i zjednoczyć rozbite środowisko literackie. Wpływał łagodząco na wewnętrzne spory i konflikty. Uznawał fundamentalne prawo każdego pisarza – prawo do megalomanii.

Wylew nie wpłynął na pracę jego błyskotliwego umysłu, ale pisał już tylko na komputerze. Toteż na wspaniałej książce eseistycznej, *Legenda Europy* którą mi podarował jest tylko zygzak. To jest litera K.

MAREK WAWRZKIWICZ

Marian Lech Bednarek

Jak ktoś staje przed kamerami i zaczyna do mikrofonu gadać „Polska”, to we mnie się zaraz gotuje, bo jakby nie mówił o mnie, tylko o jakiejś abstrakcji, której ja rzekomo jestem częścią, jakimś AKSLOPIE (AKSLOP), która mnie w ogóle nie wyraża. A jak ktoś mówi „Polska nie może oszczędzać na kulturze”, to wychodzą wszystkie dziady ze mnie, chmary żebraków i proszą o jatmużnę pod urzędem miasta. Nigdzie nie wygodnie stać, nie wygodnie siedzieć, nie wygodnie leżeć. Ktoś za mnie mówi co to jest ta moja Polska. Ten abstrakcyjny kawałek Polski, który nie istnieje w rzeczywistości, to ja. Bo ja od dawna mieszkam w innej Polsce, tam gdzie zostałem wygnany przez takich strzelających przez mikrofon słowem „Polska”. Na tym wygnaniu już 63 lata żyję. Spotykam tam dziwnych ludzi,

a raczej dziwne zjawy. „Polska” to zużyte BMW po jakimś Niemcu, którym chcemy szaspanować na randce przed dziewczyną. „Polska” to zjawy, która porwya mówiącego w mgły postromantyzmu i inne mgły, te naszpikowane nowoczesnymi trendami. No to nie będę na kulturze oszczędzał, skoro tak zachęca minister Gliniński. Wyleję z siebie wszystkie wiersze, wszystkie obrazy i spektakle. Opowiem jak trzeba ginąć, by zasłużyć na największą nagrodę, którą jest głęboki na dwa metry dół na cmentarzu, wilgotny, z zimną gliną. Ta nagroda przynajmniej nas szczerze przytuli i nikt nam tego nie będzie zazdrościł, bo zawiść to duży brak światła na tej polskiej ziemi, dlatego tyle tych wypadków w ciemnościach. Polsko gdzie ja jestem? Najwyższy czas zrobić reformę południków i rów-

noleżników na mapie świata, bo prawdopodobnie ktoś dawno temu nas oszukał i wcale nie istniejemy w Europie, tylko gdzie indziej. Ta mapa to tylko zмова kartografów z politykami. Jesteśmy eksperymentem ekonomiczno-religijnej korporacji, by wytwarzać bazę do czerpania z nas zysków. Polska, gdy patrzę w jej świdrujące oczka, to nie jest piosenka o transcendentalnej samoodповідzialności, o nie, daleko nam do tego, to tylko przekonanie socjaluchów, że ktoś przyjdzie i coś za nas zrobi, np. Unia Europejska. Dlatego każdy fragment mojego domu jest spięrzony, ogrzewanie, instalacja elektryczna, ściany, podłoga. To jest „Polska”. Spięrzć robotę, wyłudzić pieniądze i uciekać do Raju, czyli w polskie zwidy.

2019

Nowy dzień. Na pewno zrobię karierę, śmignę po łbach tym wszystkim nieszczęściom chodzącym po świecie, żeby cicho siedziały. A ja będę metr po metrze zdobywał tę niewychowaną przestrzeń, nieudupioną, nieupupioną, nieufajdaną, nieułożoną, niezamolałą, niewystawioną po prostu. Choć tyle tych komórek pierdzi na każdym metrze kwadratowym, że nie wiadomo gdzie uszy schować. Ludzie myślą że im więcej będą głądzić, to będą szczęśliwsi. Chcą zagadać tę swoją samotność i pustkę, zagadać ją na śmierć. Więc byle gadać, o czymkolwiek klikać, by stać się nową generacją, generacją klików. Był klika jest prosty, wystarczy kliknąć i już się „żyje” życiem klika. Lepsze to niż nic. Rozgadałem się trochę a przecież muszę zrobić karierę. Tu trzeba wrócić do zdobywania kariery, bo wstał nowy dzień i pełno sukcesów i sukcesików wiruje w powietrzu, niczym najwspółczesniejsze ptaki, z dziobami wymalowanymi jaskrawymi kolorami, jakich używają nocni piesi na drogach. A więc szpalery billboardów i banerów ustawię na początek z moją gębą. I ruszę do ataku

z całym arsenałem różnych epitetów ukrytych po kieszeniach. A rzeczowniki też muszę mieć, może najbardziej, gotowe do wystrzału. Przymiotnikową mordę zrobię, aż się wszyscy za mną będą oglądać. Znak czasu bowiem – to morda. Złajkować mordę czy ją nie złajkować?, lepsze to niż schejtować? – oto jest pytanie, bo człowiek człowiekowi gwoździem, jak już to powiedziałem w scenariuszu „Niedotowane”, że niby najnowsza generacja to gwoździe, że jesteśmy gwoździami, człowiek człowiekowi gwoździem. A tak naprawdę to rzecz stara jak świat. Tylko stolarze na tym korzystają, reszta nie. Jednak muszę pracować w milczeniu, to podstawowy warunek tego sukcesu, bo trzciną rządzi światem, deseczka Twoja Panie Boże, z tym rozlewiskiem stoj jak jeziora i rzeki, mapa rzek. Tak czy owak jakieś punkty odniesienia, punkty startu znalazłem? Może. Jednak to suk-

ces na inną miarę. Dzisiejszy sukces wygląda inaczej – kupa rozwrzeszczanych kolorów, ale to nie jest Pollock, bo u niego jest harmonia i spójność dająca do myślenia, tak zwane szlachetne szaleństwo. Dzisiejszy prawdziwy sukces ciągle gdzieś czeka w ukryciu. Kariera jednak stroi się w epolety i próbuje utworzyć podległy mu batalion służalców. A ich nie brakuje. Pełno tych batalionów walczy ze sobą, w zależności kto u jakiego generała „kariery” służy. Tak myślę sobie, do jakiego batalionu służalców ja należę? Któremu generałowi kariery podlegam? Być może wypetnięm kogoś ukryte, zawołowane rozkazy. Ale na razie wydaje mi się że jestem jakimś dezterem – że uciekłem i ukrywam się w krzakach mojej sztuki. Całe życie w krzakach. Wącham kwiaty jaśminu, kwiaty bzu. Oto moja kariera. Prawdziwy „nieudacznik”.

MAJ 2016

SPIS TREŚCI

Marek Wawrzewicz, Piotrek, Dedykacje, felieton.....	str.2
Lech Marian Bednarek, Szkic o Polsce, Kariera, felieton.....	str.2
Mieczysław Machnicki, wiersze.....	str.3 (oraz na str.1)
Leszek Szaruga, Międzyzłomem w XIX wieku, esej.....	str.4
Anne Sexton, wiersze.....	str.10
Roman Warszawski, Konkwiata i okolice, esej.....	str.11
Michał Bukowski, Czy prezydent może się zagadać..., esej.....	str.14
Dariusz Lebiada, wiersze.....	str.15
Lech Marian Bednarek, wiersze.....	str.16
Tomasz Kunicki, Kto mieszka w budce, proza.....	str.17
Andrzej Katzenmark, Pisarz i polityka, esej.....	str.18
Andrzej Leszczyński, Znowu! Esaj.....	str.24
Grzegorz Musiał, Apulia (1), dziennik.....	str.28
Maria Tryba, Busola szaleńca, esej.....	str.30
Maria Tryba, Rozmowa z Andrzejem Dziukiem.....	str.32
Tadeusz Zawadowski, wiersze.....	str.34
Nina Barankiewicz – Tyc, Harlekiny.....	str.35
Irena Kaczmarczyk, Dotrzeć do pestki, esej.....	str.36
Marian Kisiel, Mały cmentarz, dziennik.....	str.38
Paulina Kotarska, wiersze.....	str.41
Adam Bujarski, wiersze.....	str.42
Bogdan Nowicki, Bogowie mają wełniane nogi, esej.....	str.43
Edyta Kulczak, wiersze.....	str.48
Czesław Karkowski, Narodziny komedii, esej.....	str.50
Robert Frost, wiersze.....	str.53
Czesław Sobkowiak, Małe prozy.....	str.54
Joanna Rzeszutek, wiersze.....	str.55
Rabindranath Tagore, Gitanjali (2).....	str.56
Marta Zelwan, Niemiejsce, proza.....	str.60
Zbigniew Kresowaty, Wspomnienie o K. Żelechowskim, przypomnienia.....	str.62
Karola Zielińska, wiersze.....	str.64
Adam Buszek, Coraz czulsze nic, omówienia.....	str.65
Jerzy Stasiewicz, Przypomnienie D. Pawlickiego, przypomnienia.....	str.66
Łukasz Polowczyk, wiersze.....	str.69
Jerzy Stasiewicz, O patrzeniu i wolności, esej.....	str.70
KSIAŻKA KWARTAŁU.....	str.72
Stefan Rusin, Poetyckie misterium, o poezji Urszuli Małgorzaty Benki	
Czesław Sobkowiak, Urszula M. Benka	
Paulina Ulatowska, wiersze.....	str.76
Anton Marczyński, Stać się jak dziecko, esej.....	str.77
Nagroda Magellana, nota.....	str.79
Dariusz Lebiada, Tropem Faulknera, esej.....	str.80
Bogna Wilczyńska, wiersze.....	str.82
RECENZJE.....	str.83
Maria Jentys - Borełowska, Miejsca niemożliwe	
Dariusz Lebiada, Felietony z kluczem, Milczewski - Bruno	
Elżbieta Musiał, Zwierciadło w którym przyjrzał się los	
Jerzy Stasiewicz, Głęboka wiara w człowieka	
Jerzy Stasiewicz, Poezja barwy i przedmiotu	
Jerzy Stasiewicz, Śląska gawędziarka	
Mateusz Wabik, O czym pisać...	
Mateusz Wabik, Daję słowo...	
Mateusz Wabik, Śmierć jako naturalna kolej...	
Andrzej Walter, To tylko kino...	
Roman Warszawski, Ponowoczesność light, Bauman	
Roman Warszawski, Jedna litera. Kładki, mosty.	
B. Ż., Bułhak w Peresce.....	str.96
Roman Warszawski, Szare płomienie.....	str.97
Małgorzata Wątor, wiersze.....	str.98
Nota o Karoli Zielińskiej.....	str.99
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (32).....	str.100
JESZCZE WIĘCEJ MIGOTAŃ:	
Benka U. Małgorzata, Sztuka i polityka, pole dzikie, esej.....	str.101
Maria Jentys – Borełowska, Kilka myśli o niewolnictwie, felieton literacki.....	str.108

Mieczysław Machnicki

plakałem jak stary człowiek
nie mogąc unieść swych powiek

plakałem z pustymi dłońmi
gdy tylko dosięgły skroni

plakałem bez ust do wnętrza
jakbym nie nabrał powietrza

plakałem już całym ciałem
i czułem że odpływałem

od płaczu przy drugim brzegu
topiła się góra śniegu

5.05.2018

nie ma kamienia a ja chcę go podnieść
rzucić przed siebie wraz z powietrzem rozgnieść

przecież był kamień wiszący nade mną
jak groźba kary swoją stroną ciemną

teraz jest obok żaden z niego kamień
mówi jak człowiek z kamieniem mnie zamiem

leżę u źródła myśląc że doń wpłynę
gdybym miał kamień czułbym cięższą winę

nie ma kamienia bo wziąłem go w ręce
i nie kamieni tylko rąk mam więcej

21.06.2018

młyny boże wolno miela
by nie zdążyć przed niedzielą

nie daj Boże mleć do wtorku
zero mąki będzie w worku

jeszcze gorsza taka środa
chleb bez mąki zwykła woda

nie wyjątkiem jest już piątek
z mąki nie Bóg ale świętek

gdyby mełły zaś w sobotę
to bez zgody na robotę

niech nie miela też w niedzielę*
kiedy drożdży mało wiele

01.04.2020

*dystych Krzysia Lisowskiego

Leszek Szaruga

PRZEMIANY MIĘDZYMORZA W WIEKU XIX

Obszar Międzymorza to mozaika wielu ludów, krajów, języków oraz wyznań religijnych i można w nim wyodrębnić trzy podstawowe podregiony: bałkański, środkowo-europejski oraz bałtycki, przy czym należy podkreślić, że granice między nimi są płynne i nieostre. Jeśli przyjęć, że region ten kształtował się początkowo wraz z upadkiem Rzeczypospolitej w roku 1772, zaś jego historię zamyka Jesień Ludów roku 1989, uwagę zwraca właśnie to zjawisko – nieustanne przesuwania granic na całym jego terytorium. Epizody, jakimi były okresy państwowej suwerenności czy mniej lub bardziej funkcjonalnej autonomii – łącznie z międzywojenną pauzą lat 1918-1938, gdy w 1938 nastąpiła aneksja Czechosłowacji przez III Rzeszę – choć miały znaczenie, dowodzą też, że granice wewnętrzne rzadko były wyznaczane w umowach i traktatach bilateralnych, dużo zaś częściej dyktowane oraz gwarantowane przez dominujące w Europie i na świecie mocarstwa.

Z punktu widzenia dziejów Międzymorza interesujący wydaje się – po wygaśnięciu tu interesów dynastycznych Jagiellonów i Andegawenów – przełom wieków XVII i XVIII, który można z grubsza określić jako czas przegrupowań hierarchii europejskich. Wyrażnemu wzrostowi znaczenia krajów kolonialnych, takich jak Francja i Anglia, ale też Holandia, Portugalia czy Hiszpania lub Belgia towarzyszył proces schyłku takich potęg jak Szwecja, która przegrała wielką wojnę północną z Rosją (1700-1721) pragnąc zapobiec powstaniu sojuszu szwedzko-francuskiego czy polska Rzeczpospolita, a jednocześnie tworzenie się nowych mocarstw, jak Rosja z założonym w 1703 Petersburgiem mającym stać się w nową stolicą carskiego imperium bądź Królestwo Prus w roku 1701. Wreszcie nie bez znaczenia wydaje się fakt wycofania się Imperium Osmańskiego z polityki w obszarze Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie ustąpiło miejsca wpływom Habsburgów i Romanowych.

Ważnym czynnikiem decydującym o przebiegu procesów politycznych w Europie stała się też odmiana przestrzennego widzenia Europy, która, jak się zdaje, była efektem gwałtownego czy nawet przyspieszonego rozwoju gospodarczego krajów zachodnich czerpiących zyski z kolonii zamorskich. Zwraca na to uwagę Maria Todorova:

Jak przekonująco wykazał Larry Wolff, umowny podział Europy na Wschód i Zachód jest stosunkowo późnym wynalazkiem osiemnastowiecznych filozofów, odpowiedzialnych za pojęciową reorientację Europy wzdłuż osi Wschód-Zachód w zastępstwie rozpowszechnionego wcześniej podziału na Północ i Południe. Ta nowa, także przestrzenna klasyfikacja zaczęła stopniowo zyskiwać odmienne podteksty, przejmowane z zakładających postępek przekonań ewolucyjnych, które rozkwitły w epoce oświecenia. Z powodu gospodarczego opóźnienia wschodu Europy, pojmowanego w sensie geograficznym, i reszty świata leżącej na Wschodzie, zaczęto częściej, a czasem trwałe, utożsamiać Wschód z zacofaniem

gospodarczym, brakiem rozwiniętych form stosunków społecznych i instytucji typowych dla kapitalistycznego Zachodu oraz z irracjonalnymi i przesądnymi kulturami, których nie dotknęło zachodnie oświecenie.¹

Moment przełomowy w dziejach Europy, jakim była Rewolucja Francuska i zachwianie zasad władzy monarchicznej, a wreszcie także odchodzenie od traktowania religii jako głównego wyznacznika tożsamości i zastępowanie go zasadą identyfikacji etnicznej prowadziło – po kataklizmie wojen napoleońskich i likwidacji w roku 1806 Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego – do kształtowania się zasad państw narodowych. Zarazem też nowy ład kontynentalny powstał w efekcie obrad Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku oznaczając ustanowienie dominacji wielkich mocarstw, które miały gwarantować pokojowe rozwiązywanie konfliktów międzypaństwowych, ale jednocześnie sankcjonowały stan podległości krajów pozbawionych politycznej egzystencji. O losie tych ludów na obszarze Międzymorza decydowały rozgrywki między trzema tu panującymi dy nastiami – Romanowów, Habsburgów oraz Osmańców.

XIX stulecie charakteryzuje w Europie zwrot ku historii odczytywanej na nowo – jako dzieje zamieszkujących ją ludów. Wyjątkowo wyraziście proces ten widoczny jest na ziemiach niemieckich – dość wspomnieć rolę, jaką w społecznej edukacji odgrywało sięgnięcie do bitwy w Lesie Teutoburskim (pod koniec stulecia w rejonie walk wystawiony został gigantyczny pomnik Hermanna (Arminiusa) dowodzącego siłami germańskimi) czy upowszechnienie uznanego za epos narodowy średniowiecznego tekstu *Pieśni o Nibelungach*. Trafnie podkreśla Herfried Münkler:

Dziewiętnastowieczna mitologizacja obejmowała nie tylko przestrzeń, lecz – przenikając do kalendarza politycznych świętości, pełnego rocznic i dni pamięci – także czas. Rok kościelny stracił swój sakralny monopol. Teraz uświadcano także daty wielkich bitew i wydarzeń politycznych o założycielskim charakterze, co miało zobowiązywać do wdzięczności i odpowiedzialności. (...) W zasadzie jednak sakralizacja codzienności politycznej prowadzi do immobilizmu. Tylko pozornie jest to sprzeczne z (...) obserwacją, że mity polityczne wspomagają dogłębne działania reformatorskie, podczas gdy brak mitów sprzyja strukturalnemu konserwatyzmowi. Oto bowiem mity polityczne w swym trójpodziale, obejmującym narracyjną wariację, ikonyczną koncentrację i rytualną inscenizację, wcale nie oddziałują w jednym kierunku – jako czynnik wspomagający zmianę – lecz mogą też służyć siłom inercji. Narracyjna wariacja oznacza tu, że mity nie tylko przekazuje się w opowieści, lecz również że dopisuje się do niej dalszy ciąg, że się ją przekształca, a wariacje, które można przy tym zaobserwować, zawierają w sobie wykładnię o specyficznej wymowie politycznej i w ten sposób szykują grunt dla

nowej orientacji danego związku politycznego. Można to stwierdzić przede wszystkim na przykładzie mitu o Barbarossie, ale także mitu Nibelungów.²

W nieco odmienny sposób ujmuje ten proces przemian Golo Mann:

Już w późnym wieku XVIII uważano, że czasy są niezwykle, wtedy jednak chodziło o jeden krok: ze świata średniowiecznego nierozumu w świat rozumnie ułożony. Teraz kryzys nie ustępował; teraz każdy kolejny okres miał własną zasadę, o której urzeczywistnienie walczono; podobnie miał taką zasadę każdy naród, każdy „duch narodowy”. Bardzo to sprzyjało nauce o dziejach, próbom rozumienia wszelkich wytworów ducha ludzkiego – państwa, prawa, obyczaju, kultury – z perspektywy ich historycznych uwarunkowań. Tak zwany historyzm kryje w sobie rzeczy dobre i pewne niebezpieczeństwa. Oddziela narody, przyznając każdemu prawo do jedynej w swoim rodzaju egzystencji i absolutne prawo do jej przeformowania. To, co obowiązujące wszędzie, ustępuje miejsca temu, co tylko względne, uwarunkowane historycznie; „dzieje świata to sąd nad światem”.³

Cytowany w ostatnich słowach fragment wiersza Fryderyka Schillera *Resignation* to nawiązanie do Sądu Ostatecznego będącego osądem ludzkiej egzystencji, ale jest też wskazaniem istoty wyborów dokonywanych przez człowieka, także w pojmowaniu i interpretacji procesów historycznych. Bez wątplenia też uświadamia to wagę problemów, przed jakimi stawać musieli ludzie żyjący w krajach pozbawionych politycznej podmiotowości w tym momencie dziejów, w którym w europejskiej przestrzeni kształtowały się świadomości narodowe. Poczucie – żywo obecne w środowiskach elit – niepełnienia czy „wyrzucenia z historii” dawało o sobie znać w ruchach narodowowyzwoleńczych krajów Międzymorza inicjowanych na całym tym obszarze. Zarazem też było ono impulsem powołującym do życia mity utraconej wielkości – czy to zakorzenione w realiach historycznych, czy tylko w legendach lub wyobrażeniach, co stawało się źródłem osobliwych nieraz koncepcji historyzoficznych mających uzasadniać prawo do własnej państwowości, było też jednym z tych czynników, które kształtowały postawy mesjanistyczne.

Ale też można procesy zachodzące w dziewiętnastowiecznej Europie odczytywać także przez pryzmat zmiany struktur społecznych spowodowanych przyspieszeniem przyrostu demograficznego, który – skojarzony z urbanizacją i industrializacją zmieniającymi relacje międzyludzkie – tworzył fundament rozwoju społeczeństw masowych. W toku tych przeobrażeń następowała powolna przemiana statusu jednostek, które w suwerennych państwach narodowych Zachodu z dotychczasowych ról poddanych awansowały do ról obywateli. Nowożytna idea społeczeństwa obywatelskiego (*civil society*) wyłożona została w jeszcze w 1690 roku w traktacie Johna

Locke'a *Dwa traktaty o rządzie*, kontynuowana zaś była w pismach Monteskiusza, Rousseau oraz Kanta, znajdując pełnię wyrazu w zredagowanej w 1789 roku na podstawie projektu La Fayette'a *Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela*, potępionej dwa lata później w liście papieskim Piusa VI. Swobodne kształtowanie się etosu obywatelskiego w krajach Międzymorza pozbawionych politycznej egzystencji z oczywistych powodów nie było możliwe, po pierwsze bowiem ich ludność nadal miała status poddanych, po drugie zaś zarówno w obszarze Imperium Osmańskiego jak w Rosji ten nurt przemian cywilizacyjnych, jeśli był widoczny, to jedynie śladowo, szersze wpływy miał przede wszystkim w mocarstwie austro-węgierskim oraz na ziemiach Polski pozostających w obrębie zaboru pruskiego. O ile jednak w krajach Zachodu idee społeczeństwa obywatelskiego realizowane były w ramach państw narodowych, o tyle krajach pozbawionych suwerenności tożsamość narodowa pozostawała jedynie w często represjonowanej sferze kultury nie znajdując dostatecznego wzmocnienia w obszarach aktywności politycznych, co stało się jednym z istotnych czynników kompleksów niższości tych społeczności wobec krajów zachodnioeuropejskich, przy czym szczególne nasilenie tego kompleksu widoczne jest w tych społeczeństwach, które mogą się odwołać do tradycji utraconej w biegu dziejów własnej państwowości. Zarazem też brak owej suwerenności stawał się powodem, dla którego w społeczeństwach tych zahamowany został proces przekształcania narodów pojmowanych w kategoriach etnicznych w narody polityczne, co także stać się miało w przyszłości – aż po współczesność – jednym ze źródeł nieporozumień utrudniających wzajemne zrozumienie między krajami zachodnioeuropejskimi a wybijającymi się po roku 1889 na niepodległość krajami Międzymorza. Kraje te cechuje, zdaniem Istvána Bibo, „lęk o wspólnotę” wyniesiony z doświadczeń nowożytnej historii. Węgierski myśliciel podkreśla:

Egzystencjalny lęk o wspólnotę był decydującym czynnikiem, który w tych krajach sprawił, że sytuacja demokracji i ustroju demokratycznego stała się chwiejna. (...) Narody te przeżyły bowiem w swych dziejach chwile, które zdawały się dostarczać argumentów na rzecz tezy, że upadek sił politycznych i społecznych uciskających lud w przeszłości oraz przyjęcie demokracji wraz z jej nawet skrajnymi konsekwencjami wystawia wspólnotę narodową na poważne niebezpieczeństwo, a może doprowadzić do katastrofy. Z tego wstrząsu powstaje najszkodliwsze monstrum rozwoju politycznego współczesnej Europy, czyli antydemokratyczny nacjonalizm.⁴

Należy tu dodać, że ów „lęk o wspólnotę” wyraża się często w dyskursie tożsamościowym jako poczucie zagrożenia rodzimych tradycji i wezwanie do ich obrony, co siłą rzeczy sprawia, że kształtujące się tu tożsamości mają przede wszystkim charakter defensywny.

Poczucie wykluczenia, które leży u podstaw relacji między krajami Międzymorza i Europy zachodniej, najpełniej wyraża europejska historiografia, którą cechuje wyraźna asymetria: o ile przebieg krajów zachodnioeuropejskich znajduje tu swe silne odzwierciedlenie, o tyle doświadczenia krajów bałkańskich czy środkowo-europejskich bądź bałtyckich traktowane są jako zjawiska egzotyczne, zaś wiedza na ich temat zredukowana zostaje niemal do formuły *ubi leones*, co doskonale oddaje w swej eseistyce Herta Müller, gdy relacjonuje rozmowę na temat wówczas jeszcze pozostającą poza

wplywem Zachodu części Europy:

- Z Rumunii pochodzi przecież również Canetti.

Odpowiedziałam:

- Nie, on jest z Bułgarii.

Gospodarz na to:

- Ach tak, znowu wszystko poprzekreślam, zawsze mi się mylą te kraje, ale stolicę znam, Bułgaria z Sofią – Rumunia z Budapesztem.

Znów musiałam go poprawić:

- Budapeszt jest na Węgrzech, w Rumunii jest Bukareszt.⁵

W przedmowie do polskiego wydania swej książki *Dzika Europa* Bożidar Jezernik:

Obraz żyjących blisko natury prymitywnych ludów, odpornych na postęp, nieskalanych przez rozwój nauk i sztuk, legł u podstaw poglądu, że narody bałkańskie stanowiły w nowoczesnym społeczeństwie anomalie i anachronizm, egzotyczny relikw zamierzchłych czasów. W opowieściach tych termin „Europa” pełnił funkcję kategorii analitycznej, pozwalającej używającym go wyznaczyć podziały między Europą a Bałkanami (jako częścią Orientu) oraz stworzyć kryteria pozwalające na ocenianie tych drugich. W rezultacie Bałkany wyobrażano sobie nie jako część Europy, ale odbity obraz tego, co w stosunku do Europy było gorsze i inne.⁶

Świadomość owego wykluczenia stanowiła z pewnością jeden z głównych czynników kształtujących postawy wobec Zachodu, które charakteryzowały z jednej strony kompleks cywilizacyjnygo zafascynowania, z drugiej jednak równoważyło ów kompleks swoiste poczucie wyższości wynikające z przekonania o przewadze, jaką daje doświadczenie realnych zagrożeń dla suwerennego bytu narodowego. W istocie wspólnotę krajów Międzymorza – przy wszystkich różnicach kulturowych – tworzyła ufundowana na braku suwerenności tożsamość polityczna, której rdzeniem było nieustanne zagrożenie bytu narodowego i jego prawomocności, tym bardziej że w całym obszarze kultury europejskiej kraje te po prostu nie istniały w świadomości społeczności Zachodu, zaś świadomość tego stanu rzeczy bez wątpienia wpływać musiała na kondycję zarówno elit jak szerszych warstw krajów międzymorskich. Jak pisze Leszek Kołakowski:

Jednostka ludzka istnieje prawomocnie, ponieważ istnieje; analogicznie narody. W obu przypadkach w akcie samopotwierdzenia potwierdzona jest konieczność ich istnienia: nie mogą sobie wyobrazić świata, w którym byłyby nieobecne. Zaprzeczają własnej przypadkowości. Będąc zaś obecne, nie tylko uprawnione są do obecności, ale być należy im się jakby na mocy samego ustroju świata.⁷

Niezależnie od dyskusji dotyczącej realności wspólnoty narodowej i jej charakteru nie ulega wątpliwości, że samo pojęcie narodu w historii nowożytnej jest jednym z podstawowych terminów przywoływanych zarówno w praktyce politycznej poszczególnych krajów jak w polityce międzynarodowej. W obszarze Międzymorza, szczególnie po II wojnie światowej, pojęcie to poddawane było próbom redefinicji, co poświadczają takie konstrukty pojęciowe jak „narod sowiecki”, „narod jugosłowiański” czy „narod czechosłowacki” oznaczające w istocie tyle, że zaliczane do nich jednostki były obywatelami Związku Sowieckiego, Jugosławii czy Czechosłowacji, choć skądinąd posługiwali się różnymi językami i należały do odmiennych wspólnot wyznaniowych. W tym kontekście właśnie tożsamość polityczna, dla której punktem odniesienia jest bieg losów historycznych, wydaje się podstawowym wyróżnikiem swoistości całego

tego obszaru Europy, zaś dla wspólnoty krajów Międzymorza czynnikiem owe losy wiążącym jest brak politycznej podmiotowości w tym rozumieniu, jakie wykształcone zostało w praktyce politycznej egzystencji krajów Zachodu.

Dodatkowym impulsem wzmacniającym kompleksy stała się postawa elit krajów Międzymorza. Trafnie wskazuje na to Norman Davies, gdy pisze o zachodnioeuropejskich wyobrażeniach dotyczące wschodnich i południowych obszarów kontynentu i podkreśla rolę oświeceniowego poczucia wyższości wobec Wschodu:

Trzeba niestety przyznać, że wielu mieszkańców Europy Wschodniej, a szczególnie inteligencja, przejęto zachodnie uprzedzenia. Wśród Polaków, Czechów, Węgrów i Rumunów od dawna modne jest szukanie wzorców w Paryżu, Londynie, Berlinie czy Nowym Jorku, podczas gdy wschodnimi sąsiadami gardzi się lub ich ignoruje. „Zachodni” ponownie automatycznie utożsamiono tutaj z „najlepszym”.⁸

Zwłaszcza po II wojnie światowej, wobec postępującego zapóźnienia rozwoju gospodarczego krajów poddanych dominacji sowieckiej – podobnie zresztą jak samego Związku Sowieckiego – przekonanie o „wyższości” Zachodu, najczęściej symbolizowanego przez USA, dominowało w całym regionie. Dobrą ilustracją tej postawy jest opis oczekiwania Słowaków w okresie powojennym w prozie Lajosa Grendela *Życie w cztery tygodnie*:

W tamtych latach wszyscy poza komunistami czekali na Amerykanów, którzy co rusz nadawali przez radio komunikat, że idą, ale z jakiegoś powodu ciągle się spóźniali. Na podstawie fragmentów rozmów i szeptów po kątach między członkami rodziny Sanyi wytworzył sobie obraz żołnierzy amerykańskich jako rojących bohaterów, rozdających dzieciom nie cukier kartoflany, lecz prawdziwą czekoladę. Wierzył, że kiedy przyjdą, najpierw pozamykają komunistów, a potem zaczną budować drapacze chmur. Wszystko będzie bardzo piękne i bardzo dobre.⁹

Trafnie też podkreśla Jarosław Hrycak:

Oświecenie zmieniło bieguny na mentalnej mapie świata. Nie Wschód, ale cywilizowany Zachód miał stać się wzorem do naśladowania. Z perspektywy oświeconych zachodnich władców i filozofów XIII wieku cała Europa Wschodnia była wielką Sarmacją – symbolem cywilizacyjnego zafascynowania. Zależnie od fantazji autora, mianem Sarmacji mogła być określona i cała wielka przestrzeń od Elby do Morza Kaspijskiego (Sarmacja Europejska i Azjatycka z wododziałem wzdłuż Donu), i ziemie od Bałtyku do Morza Czarne (Germano-Sarmacja), i Imperium Rosyjskie, i polsko-litewska Rzeczpospolita, i nawet kozacka Ukraina albo Księstwo Wołoskie.¹⁰

Lecz fascynacja Zachodem zakorzeniona była jeszcze silniej w doświadczeniach dziewiętnastowiecznych, przy czym – choć dominowała wówczas emigracja ekonomiczna – właśnie na wychodźstwie znajdowano dogodnie warunki dla kontynuowania wysiłków zmierzających do pozyskania narodowej suwerenności politycznej. Jak pisze Jerzy Zdrada:

Upadek powstania węgierskiego w 1849 r. nie zakończył żywych kontaktów polsko-węgierskich, a jedynie spowodował zmianę ich charakteru. Wspólna emigracja przyczyniła się, zresztą nie bez pewnych oporów ze strony Węgrów, do zaniku tych różnic, jakie istniały między Polakami a Węgrami w latach 1848-1849, a zagrożenie ze strony Rosji umożliwiło emigracyjnym politykom węgierskim, zwłaszcza Kossuthowi, zrozumienie konieczności współpracy Węgrów,

Polaków i Słowian Południowych w walce o wolność. W pierwszych miesiącach pobytu emigrantów polskich i węgierskich na terytorium tureckim planowano stworzenie w Stambule centrali politycznej, wspólnej dla rewolucjonistów polskich, węgierskich, włoskich i rumuńskich.¹¹

Nie przypadkiem też w Turcji – pozostającej w konflikcie zarówno z Rosją jak z Austro-Węgrami – formował przed powstaniem styczniowym swój legion Adam Mickiewicz. Wszakże główne ośrodki uchodźcze tworzone były w krajach Europy zachodniej, przede wszystkim we Francji, ale także w Anglii i USA. Dobrym przykładem jest emigracja albańska:

Pod koniec XIX w. coraz większe znaczenie w albańskim ruchu narodowym zdobywała diaspora amerykańska Mehmet Konitza szacował, że liczba Albańczyków, którzy w latach 1885-1914 przybyli do Stanów Zjednoczonych przekraczała 80 tys. Większość z nich pracowała przy uprawie roli, ale coraz częściej podejmowali pracę w barach czy też w handlu. Na miejsce swego osiedlenia wybierali najczęściej Boston oraz stany Massachusetts i Pensylanię. (...) W 1906 r. to właśnie Boston stał się jednym z ważnych ośrodków albańskiego ruchu narodowego, kształtującego się w opozycji do podrywanych przez środowiska greckie też o nieistnieniu narodu albańskiego. W tym roku powstały tam pierwsze stowarzyszenia albańskie, a ich pierwszym czasopismem stało się „Kombi” (Naród). Działania te spotkały się ze sprzeciwem Patriarchatu w Stambule, który zagroził ekskomuniką tym, którzy posługują się językiem albańskim.¹²

Przedstawiciele diaspory wzięli udział w zwołanym w 1908 roku przez klub polityczny w Bitoli w czasie którego podjęto m.in. decyzję o przyjęciu alfabetu łacińskiego, co stanowiło z pewnością swego rodzaju manifestację związków z Zachodem. Warto w tym kontekście wspomnieć o „wojnie alfabetycznej” jaka miała miejsce w pierwszej połowie XIX stulecia w literackich kręgach ukraińskich – ostatecznie przegrali w niej zwolennicy „łacinki”, niemniej niektórzy z pisarzy, jak Tymko Padurra, konsekwentnie się nią w swej twórczości posługiwali.

Zarazem jednak emigranci z krajów tego obszaru – a ruchy emigracyjne nasilają się w drugiej połowie XIX stulecia – stoją na ogół daleko od swych rodaków rzecznikami postaw oświeceniowych, słabo zakorzenionych w obszarze kultury społeczności Międzymorza, dla których bardziej nośnym stał się w myśleniu tożsamościowym paradygmat romantyczny. Zwraca na to uwagę Dorota Gil:

Pomimo świadomości istnienia w XIX wieku w wielu obiegach kultury serbskiej (i jej korpusie idei) nowoczesnej zrationalizowanej i obywatelskiej, „europejskiej” koncepcji narodu, najmocniejszą przez całe dziesięciolecie pozostała jego wizja tradycyjnalistyczna, odwołująca się do patriarchalnych wartości romantyczno-mitologicznych. Choć pierwiastki nowoczesne nigdy w sensie ogólnym nie były tu kategorycznie odrzucane, niemal zawsze w odniesieniu do własnej zbiorowości zwyciężał modelowy zestaw stereotypów o narodzie, oznaczany według klucza „źródłowości” (izvornost). Jego rzeczywisty czy pozorny autentyzm służył też wielokrotnie budowaniu ideowo-filozoficznych podstaw serbskiego państwa narodowego (np. w koncepcie wieżów krwi) lub jego integracyjnych (np. federacyjnych) wariantów.¹³

Rozpoznanie to w gruncie rzeczy dotyczy całego obszaru, pozostaje w mocy zarówno w odniesieniu do Finlandii, Ukrainy, jak Polski czy Chorwacji, choć w każdym

z tych krajów owo dziedzictwo romantyzmu będącego bez wątpienia jednym z istotnych impulsów upominania się o narodową podmiotowość społeczności pozbawionych w przestrzeni Międzymorza bytu politycznego objawia się w różnym nasileniu tendencji nacjonalistycznych z pewnością silniejszych niż w krajach Zachodu.

Czynnikiem, który warto brać pod uwagę w próbie zrozumienia kształtujących się postaw społeczno-ideowych w suwerennych państwach wyłaniających się z politycznego niebytu jest ich stosunkowo słabe – w odróżnieniu od państw Zachodu – usadowienie się we własnych granicach, które przez cały okres XIX i XX wieków nie były ustalane w bilateralnych negocjacjach z sąsiadami, lecz narzucane, poczynając od Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku po konferencję w Jałcie w roku 1945 przez światowe mocarstwa. Niezależnie od historycznych argumentów na rzecz „przynależności” ziem należących w przeszłości do poszczególnych krajów, niemal we wszystkich kultywowana jest pamięć ich „utruty” – czy będą to dawne polskie Kresy wschodnie, czy serbskie roszczenia do Kosowa, czy węgierskie do Zakarpacia i części Słowacji określanej mianem „Górnych Węgier” oraz podejmowane w XIX wieku dążenia do madziaryzacji Albańczyków, czy wreszcie greckie uwłaszczanie nazwy Macedonii lub fińskie marzenia o Karelii. Trafnie też pisze w zakończeniu swego traktatu o dziejach mitu kosowskiego Ivan Colović:

Wobec szerszego kontekstu, w jakim dzisiaj kształtuje się narodowe polityki pamięci, elita polityczna Serbii, a także innych krajów naszego regionu, musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy jest gotowa zharmonizować stosunek do przeszłości, historii i mitów narodowych z projektem wzajemnego zbliżenia i deheroizacji zbiorowych obrazów przeszłości, czy raczej dotyczy do tych, którzy w tym projekcie widzą zagrożenie dla niezawisłości narodowej i kulturowej osobności.¹⁴

Pierwszej z tych postaw sprzyja bez wątpienia żywotność paradygmatu romantycznego. Jednym z rozwiązań pozwalających na uwolnienie się od niesionych przezeń zagrożeń są postulaty nie tyle jego odrzucenia, co redefinicji. Pisząc w 1991 roku, u progu suwerennego bytu Polski, o projekcie takiego przewartościowania Maria Janion podkreślała, że ten nowy romantyzm „nie będzie tylko w swej bohaterskiej, tyrtejskiej, martyrologicznej, mesjanistycznej postaci znakiem polskiej tożsamości”¹⁵. O trudnościach takiej zmiany silnie ugruntowanej przez tradycję mentalności może zaświadczyć wypowiedź jednego z bohaterów greckiej powieści Kostasa Akrivosa *Pandemonium*, który postuluje odrzucenie pragmatycznej postawy Zachodu na rzecz zacieśnienia duchowego związku z Rosją:

Jeśli Grecja pragnie pójść naprzód, tylko w Rosji powinna mieć sprzymierzeńca (...) Zwłaszcza teraz, gdy udao im się wygnać z głowy czerwonego potwora komunizmu. Po co im Europejczycy i łacinnicy? Czy można dojść do porozumienia z tymi liczyrogoskami? (...) Dlatego powiadam wam, jedynie Rosjan mamy w tym świecie za braci. Niech żyje Rosja! Niech żyją nasi bracia Rosjanie!¹⁶

Rosja staje się tu symbolicznym centrum duchowości odrzucającym pragmatyzm w imię obrony wartości wyższych, Zachód zaś kojarzony jest przede wszystkim z pomnażaniem dobrobytu w sferze materialnej, z przyziemnym dobrokiewiczostwem redukującym sferę ludzkiej duchowości. Nie jest też przypadkiem, że bohater utworu Akrivosa kultywuje mesjanistyczny program męczenniczej powinności i, żywiąc nadzieję na odzy-

skanie Konstantynopola zapowiada: „Gdy tylko wypędzimy muzułmanów, wkroczy my do Hagii Sofii, by zaśpiewać „O Wieczna Hetmanko”, weźmiemy komunię, a potem wszyscy razem zginiemy!”¹⁷. I jest to manifestacja postawy odległej od wykształconych na doświadczeniu oświeceniowym, w obszarze Międzymorza słabo przyswojonym, wzorców zachowań. Zarazem też jest to postawa sprzyjająca konserwatyzmowi nastawionemu przede wszystkim na obronę tożsamości, której kultywowanie uznane jest za warunek przetrwania w opresyjnym i zagrożającym narodowej egzystencji świecie. Siłą rzeczy tożsamość krajów Międzymorza ma zasadniczo charakter defensywny i jednocześnie skłania do samoizolacji, zamknięcia się na wpływy zewnętrzne i nieufności wobec obcych i zmian, co jest przeciwstawne ofensywnemu charakterowi Zachodu i jego otwarcia wobec wyzwań, jakimi są zmieniające widzenie świata procesy. Wiadać to zwłaszcza w stosunku do przybyszów, których napływ traktuje się jako zagrożenie dla własnej tożsamości. Przy czym Polska jest tu dość interesującym przykładem – do końca XVIII stulecia kraj stanowił wielokulturową społeczność stając się m.in. jedną z przystani diaspory żydowskiej, natomiast po rozbiorach mniejszości narodowe zaczęto traktować jako ciała obce, zaś po odzyskaniu niepodległości w roku 1899 gwałtownie spadła gotowość do przyjmowania uchodźców, w których nierzadko upatruje się siłę zdolną do zniszczenia kulturowej swoistości.

O ile w społecznościach Zachodu kwestie tożsamościowe nie stanowią wymagającego nieustannej dyskusji problemu, o tyle w większości krajów Międzymorza nie trudno zauważyć dążenie do ciągle niemal powracającego utwierdzania się we własnym jestestwie. Można zapewne zaryzykować tezę, że swe źródła ma ta postawa przede wszystkim w nieprzewidywalnym poczuciu słabości bądź nawet nietrwałości politycznej podmiotowości, a wreszcie i w koniecznym w wielu państwach utrwalaniu własnej odrębności, czego wyrazem choćby dążenie do jej podkreślenia w krajach powstałych po rozpadzie Jugosławii, w których parlamenty dekretowały odmiennieść urzędowych języków serbskiego, chorwackiego, macedońskiego, bośniackiego czy czarnogórskiego. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na sugerowaną przez Oksanę Zabużko odrębność pochodzenia języków rosyjskiego i ukraińskiego:

„Kopernikowskie” odkrycie Szewelowa, zawarte we wspomnianej pracy, wydanej w 1979 roku, *Historical phonology of the Ukrainian language*, jego naukowym opus magnum, stało się rewolucją fonologiczną, która polegała na udowodnieniu, że wschodniosłowiańskie języki nie rozwinęły się z jednego, „praruskiego” języka, jak uważano wcześniej, a z pięciu różnych protodialektów. Z jego odkrycia wyłania się inny obraz historii wschodnich Słowian niż ten, który przedstawiała tradycyjnie rosyjska imperialna historiografia.¹⁸

Podobnych sporów odnaleźć można w przestrzeni Międzymorza więcej. Doskonałym przykładem wydaje się trwająca cały czas, na dobre rozpoczęta w XIX wieku, dyskusja dotycząca źródeł pieśni kresnickich toczona między Serbami i Albańczykami. Referując ową polemikę Rigers Halili dąży do wykazania – podnosząc podobieństwa utworów śpiewanych w obu społecznościach – odrębności albańskiej tradycji epickiej, podkreśla jednak, że spory dotyczą w istocie źródeł kulturowych zrębów tworzących postawy myślenia w kategoriach narodowych, wcześniej – szczególnie

w czasach przedpiśmiennych – nie mających takiego znaczenia. Właśnie w czasie powstawania wzorów państw narodowych w XIX stuleciu kwestia ta stała się sprawą fundamentalną zarówno dla Albańczyków, jak dla Serbów:

Owszem, czynnik polityczny pełnił bardzo ważną rolę, ale fundamentalne, by nie powiedzieć – determinujące dla powstania, ukształtowania i politycznej działalności tych ruchów okazały się aspekty kulturowe, zanim utworzono państwo narodowe czy też, niejako równolegle, powołano do życia zręby kultury narodowej, albo lepiej tego, co powinno stać się tą kulturą. Ten proces przebiegał na styku między oralnością a piśmiennością. W obu przypadkach twórczość ustna utożsamiana z ludem stała się podstawą kultury piśmiennej wyłaniającego się narodu. W tym kontekście szalenie istotną rolę pełniły pieśni ludowe, a epickie w szczególności. Początkowo wynikało to z sytuacji, w jakiej żyli Serbowie i Albańczycy w XIX wieku. Następnie jednak akcentowanie istności pieśni epickich stało się narzędziem wychowania i mobilizacji członków narodu, zwłaszcza w kontekście różnych starć politycznych i etnicznych i/lub konfliktów zbrojnych.¹⁹

Warto przy tym podkreślić, że dla obu narodów pieśni kresznickie, odwołujące się do heroicznej przeszłości, pełniły funkcję podobną do tej, jaką w całej dziewiętnastowiecznej Europie pełniły eposy narodowe, jak choćby wydobyty z późnego średniowiecza niemiecki poemat *Niedola Nibelungów*. Teksty te stały się w dobie kształtowania państw narodowych – za sprawą ich upowszechnienia w procesie nauczania szkolnego – jednym z istotnych czynników współtworzących tożsamość narodową, co w krajach Międzymorza pozbawionych bytu politycznego stanowiło istotny impuls rozbudzania aspiracji niepodległościowych.

Nie jest też przypadkiem, że właśnie w tym okresie tworzone są – bądź, jak w przypadku fińskiej *Kalevali* czy właśnie serbskich/albańskich pieśni kresznickich, rekonstruowane z ludowych przekazów – zbiory, antologie a wreszcie i poematy epickie, których wspólną cechą jest ekspozycja oryginalnego kształtu narodowej tożsamości. Więcej: heroizacja przeszłości ma stanowić legitymizację prawa do suwerennego bytu państwowego. Czasem, jak w przypadku Chorwacji, upowszechniano teksty istniejące dotąd w rękopisie, jak to miało miejsce w przypadku XVII-wiecznego poematu Ivana Gundulića *Osman* opiewającego starcia z Turkami, a wydrukowanego po raz pierwszy w roku 1826²⁰. W większości jednak wypadków mamy do czynienia z utworami powstałymi w XIX stuleciu – do najważniejszych spośród nich należy z pew-

nością Kalevala spisana przez Eliasa Lönnerta i ogłoszona w roku 1849, a zabierająca w swym korpusie istniejące dotąd jedynie w przekazach ustnych ludowe narracje Finów. Utwór ten stał się inspiracją dla estońskiego eposu Kalevipoeg pióra Friedricha Reinholda Kreuzwalda opublikowanego w roku 1861, który relacjonuje losy syna i walecznego spadkobiercy mitycznego władcy Estonii, Kaleva, przykutego do skały – jego uwolnienie z więzów ma stać się oznaką wyzwolenia całego narodu:

**Ale wreszcie czas nadejdzie,
Gdy okowy z dwóch stron naraz
Pękną pod gwałtownym żarem
I straszliwy ogień stopi
Więzy trzymające rękę.
I na ziemię wróci Kalev
Niosąc szczęście narodowi,
Estończykom nową erę.²¹**

W roku 1888 Andrej Pumpur publikuje poemat *Lāčplēšis* – w komentarzu pióra Tatiany Naviekas i Tomasza Paliszyńskiego do polskiego tłumaczenia łotewskiego utworu czytamy:

Centralną ideą eposu stała się idea walki w imię wolności narodowej. Epos był wyrazem wiary autora w zwycięstwo narodu łotewskiego. Wskazówką – w jaki sposób – od szczęśliwego życia w przeszłości, poprzez terazniejszość można odnaleźć drogę do wolnej przyszłości. Tak pomyślany epos stał się natchnieniem dla wielu kolejnych łotewskich twórców.²²

Swoistą kodyfikację polskiej kultury szlacheckiej stanowi poemat Adama Mickiewicza *Pan Tadeusz* wydany w roku 1834 będący zarazem ewokacją pragnienia utraconej na skutek rozbiorów kraju wolności. Wreszcie – by na tym przykładzie poprzestać – warto zwrócić uwagę na powstały w latach 1800-1812 a ogłoszony w roku 1875 heroikomiczny epos Rumuna Iona Budai-Deleanu *Cygania* da relacjonujący losy cygańskiego oddziału walczącego przeciw Turkom u boku Włada Palownika: utwór tym bardziej interesujący, że w dużej mierze wzorowany był na *Monachomachii* Ignacego Krasickiego – autor, związany z niepodległościowym ruchem rumuńskim i rzecznik zastąpienia obowiązującej w piśmiennictwie rumuńskim cyrylicy przez alfabet łaciński – dyskusja na temat wprowadzenia łacinki w miejsce cyrylicy miała też miejsce w latach trzydziestych XIX wieku w ukraińskim środowisku pisarskim i znana jest pod nazwą „wojny alfabetowej” – przez większość swego życia pracował we Lwowie jako urzędnik sądowy²³.

Wszystkie te utwory, podobnie jak komponowane w tym czasie zbiory i antologie literatury ustnej, stanowiły z jednej strony

wyraz dążenia do wykazania kreatywności kultury ludowej i wykazania jej oryginalności, z drugiej zaś były istotnym komponentem pobudzającym i utrwalałym tożsamość narodową. Kumulowały się w tych przedsięwzięciach docierające z Zachodu wpływy oświeceniowe i romantyczne. Z Zachodu też docierały idee tworzenia suwerennych państw narodowych w oparciu o świadome swej tożsamości i coraz powszechniej kształcone, a dotąd nieobecne w życiu społeczno-politycznym warstwy społeczeństwa. Powstające w XIX stuleciu ruchy społeczne – w tym także partie polityczne – angażowały w działalność publiczną coraz szersze kręgi ludności dotąd stanowiącej bierną, pozbawioną podmiotowości masę. Przemiany, jakie niosły z sobą procesy urbanizacji i industrializacji w połączeniu z rosnącym przyrostem naturalnym w Europie doprowadziły w tym czasie do powstawania struktur społeczeństw masowych²⁴, których tożsamość na obszarze Międzymorza kształtowana była przez nakładające się na siebie doświadczenia zarówno w sferze codziennej egzystencji, jak w obszarach życia kulturalnego, ale także w przestrzeni mniej lub bardziej aktywnej pamięci historycznej.

Wraz z przełomem romantycznym, który przyniósł rozwój badań nad folklorem i kulturą ludową – czego wyrazem stały się m.in. liczne antologie tekstów poetyckich i pieśni – wzrastało zainteresowanie językiem jako wyróżnikiem narodowej tożsamości. Interesujący w tym względzie jest przypadek Finlandii, do 1809 roku pozostającej pod władzą Szwecji. Dopiero po przejściu jej terytorium przez Rosję otworzyły się tu, jak pisze Łukasz Sommer, możliwości kulturowej samorealizacji:

Zmiana centrum, będącego źródłem wszelkich tego rodzaju uprawnień, nie oznaczała wyłączenie geopolitycznej reorientacji: stosunki Finlandii z Petersburgiem w sposób oczywisty musiały mieć inny charakter niż wywodzący się jeszcze ze średniowiecza związek ze Szwecją. Przed rokiem 1809 porządek prawny, religia oraz urzędowy status szwedzczyzny w kraju wynikały z jego jedności z metropolią; po roku 1809 miały szanse się uchronić jedynie dzięki względnej odrębności Finlandii wobec nowej metropolii. Taką odrębność Finlandia istotnie zachowała; w początkowym okresie nowi władcy dokładali wręcz starań, by akcentować raczej secesyjny i autonomizacyjny aspekt zmiany przynależności niż wagę politycznego związku z Petersburgiem. W czasie mowy otwierającej Zgromadzenie Krajowe w Porvoo Aleksander I oznajmił, że Finlandia „awansowała do grona narodów”; na tę wypowiedź wielokrotnie powoływali się potem twórcy dziewiętnastowiecznego ruchu narodowego, wskazując ów moment jako początek fińskiej państwowości.²⁵

Społeczeństwa krajów pozbawionych bytu politycznego już we wczesnym okresie, jak Albańczycy, podejmowały próby wybicia się na niezależność, czego przykładem antytureckie powstanie Skanderbega w roku 1443. Podejmowane także później próby w wieku XVII skazane jednak były na niepowodzenie, gdyż nie zdołano uzyskać pomocy Zachodu:

Biskup ze Szkodry i uczony, Piotr Budi, w notatce przekazanej w 1621 r. kardynałowi Goccadino donosił, że 30 tys. Albańczyków jest gotowych wystąpić orężnie przeciw Turkom, jeśli tylko ktoś z katolickich państw wysadzi wojsko w Albanii. Jednakże papieństwo i europejskie dwory, wciągnięte w konflikt związany z wydarzeniami wojny trzydziestoletniej, nie podejmowały w tym kierunku konkretnych kroków. Mimo to kościół katolicki pozostawał przez długi czas

Katarina Zielińska

jedyną siłą europejską inspirującą ludność do antyosmańskiego oporu. Gdy w 1645 r. wybuchła wojna turecko-wenecka, katolicka hierarchia kościelna nakłoniła plemiona z północy kraju do wystąpienia na rzecz Wenecjan. Wystąpienie zostało krwawo stłumione. Aby uniknąć represji, część ludności przyjęła islam, a jakaś liczba katolików przeszła na prawosławie, ciesząc się dzięki swej lojalności wobec sultana znaczną autonomią. Podobny obrót przyjęty wypadki w 1649 r. podczas kolejnego zrywu po stronie Wenecji. Restrykcje władz okazały się jeszcze surowsze, katolikom zaś misjonarzom nakazano opuścić Albanię²⁶.

Na dobrą sprawę jednak dopiero wiek XIX stał się okresem wzmożonej aktywności przeciw dominacji obcych. Serię buntów i powstań rozpoczęła antyosmańska insurrekcja Serbów pod wodzą Jerzego Czarnego w latach 1804-1813, a więc w czasie trwających w Europie wojen napoleońskich, ale też podczas równoległe toczącej się wojny rosyjsko-tureckiej, co siłą rzeczy uczyniło Rosjan i Serbów sojusznikami pozwalając po stronie powstańców zaangażować wydzielone oddziały armii rosyjskiej – konieczność, wobec groźby inwazji Napoleona przeciw Rosji, zawarcia przez tą ostatnią pokoju z Turkami w roku 1812 nie pozwoliła na uzyskanie przez Serbię większych korzyści, jednakże traktat bukaresztański pozwolił w przyszłości na podjęcie przez Rosję „kwestii serbskiej”, co doprowadziło, po kolejnym powstaniu dowodzonym przez Miłosza Obernowicia i zakończonym w 1815 ustnym układem z Turkami, w którym Serbia zyskiwała autonomię:

W ciągu piętnastu lat Miłosz konsekwentnie zabiegał o włączenie tych warunków do umowy międzynarodowej i zyskanie pisemnego ich zatwierdzenia przez Portę. Popierała go w tym Rosja, domagając się dla Serbów autonomii w myśl postanowień pokoju z 1812 r. (...) Miłosz, ogłoszony przez starszyznę „najwyższym i dziedzicznym księciem narodu serbskiego”, otrzymał zatwierdzenie tego tytułu przez władze tureckie w sierpniu 1830 r.²⁷

Aktywność żywiołu serbskiego sprawiła też, że kraj ten, konsekwentnie zmierzający do zrekonstruowania spójności etnicznej, stał się siłą dominującą w obszarze zajmowanym przez Słowian południowych, o czym interesująco pisze Damian Kubik wskazując na dominację języka serbskiego:

Taki stan rzeczy staje się oczywiste zrozumiały, jeśli przypomnimy, że to właśnie Serbowie w pierwszej połowie XIX stulecia w wyniku dwóch powstań odegrali zdecydowaną rolę w procesie demontażu Imperium Tureckiego, pod którego jarzmem znajdowała się znaczna część Słowian na Bałkanach. Fakt ten zdaje się w dużej mierze przesądzać o tym, iż rodzące się wówczas teorie i koncepcje, próbujące rozjaśnić skomplikowaną sytuację etniczną, językową i kulturową, były rozstrzygane właśnie na korzyść Serbów. Wato w tym miejscu dodać, że rewolucja serbska (...) przyczyniła się do znacznej konsolidacji wciąż jeszcze podzielonej Serbii – „austriackiej” i „tureckiej” – co też wpłynęło na postrzeganie znaczenia i roli tej nacji na południu Słowiańszczyzny, tym bardziej, że Chorwaci dopiero zaczynali długotrwały i skomplikowany proces zbliżania poszczególnych regionów w jeden skonsolidowany model kulturowy.²⁸

Niepokoje wywoływane w obszarze trzech panujących na terenach Międzyrzecza imperiów to seria mniej lub bardziej gwałtownych wystąpień i powstań, wśród których uwagę zwraca przede wszystkim powstanie w Grecji w latach 1821-1829 zakończone, po klęsce Turcji w wojnie rosyjsko-tureckiej i podpisaniu pokoju w Adrianopolu

w roku 1929, potwierdzeniem przez Imperium Osmańskie autonomii Mołdawii, Wołoszczyzny i Serbii oraz przyznanie tego samego statusu Grecji, która ostatecznie w roku 1830, po podpisaniu przez Anglię, Francję i Rosję protokołu londyńskiego, uzyskała polityczną suwerenność, zaś na jej czele stanął były rosyjski minister spraw zagranicznych (1816-1822) Ioanis Kapodistras.

W tym samym 1821 roku wybucha antybojarskie powstanie w Wołoszczyźnie pod przywództwem Tudora Vladimirescu, który w czasie wojen napoleońskich dosłużył się stopnia oficerskiego armii rosyjskiej, zaś w 1814 roku nawiązał kontakt z grecką organizacją niepodległościową Filiki Eteria. Oddziały tej organizacji dowodzone przez Aleksandros Ypsilantis, generała wojsk rosyjskich i adiutanta cara Aleksandra I wznieciły powstanie antytureckie i wkroczyły na ziemię Wołoszczyzny i Mołdawii przez pewien okres współdziałając z bojownikami Vladimirescu, jednakże po wykryciu próby porozumienia rumuńskiego przywódcy z Turkami pojmano go i stracono. Jednakże po klęsce, jaką zadali Turcy niedobitkom armii greckiego buntownika w Sculeni nad Prutem 29 czerwca 1821 roku i ucieczce Ypsilantis, a tym samym upadku rewolty w księstwach naddunajskich, Osmanom nie udało się odeprzeć zrywu wolnościowego Greków, zaś w rokowaniach z przedstawicielami ziem rumuńskich poczynili na ich korzyść ustępstwa w praktyce dające im nieformalną autonomię. Jak pisze Barbara Jalevich:

Naturalnie w interesie Porty leżało przywrócenie stabilnej sytuacji politycznej. Naciski Rosji nadal były silne. W kwietniu 1822 roku dwie delegacje, z których każda liczyła siedmiu członków, przybyły do Konstantynopola. Mołdawianom przewodził Ion Sturdza, Wołoszom – Grigore Ghica. Obie reprezentowały interesy rumuńskich bojarów i przedstawiały podobne programy. Głównym postulatem było przywrócenie rodzimych rządów (...). Delegaci domagali się też usunięcia greckich hegemonów (opatów) z monasterów i mianowanie na ich miejsce rodzimych duchownych. Ponadto żądali zastąpienie dawnej straży albańskiej rumuńską milicją. Porta zgodziła się na te żądania i mianowała szefów delegacji księżętami ich prowincji. (...) Porta przystała, jeśli nie na wszystkie, to na większość rumuńskich żądań. Nie zastosowała żadnych represji za rewolucyjne czyny niektórych rumuńskich bojarów i chłopów. Osiągnąwszy swe cele większość bojarów opowiedziała się za utrzymaniem więzi z imperium osmańskim.²⁹

W efekcie tych działań pięć prowincji Międzyrzecza podległych dotąd Imperium Osmańskiemu – Serbia, Mołdawia, Wołoszczyzna i Czarnogóra, której klany odrzuciły przywództwo tureckie oraz Grecja – zyskały niezależność, przy czym gwarantem bezpieczeństwa trzech pierwszych stała się Rosja.

W roku 1830 z kolei wybucha w Polsce przegrane antyrosyjskie powstanie niepodległościowe obejmujące ziemie utworzonego podczas Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku Królestwa Polskiego, Litwę oraz część dawnych wschodnich terytoriów Rzeczypospolitej. Było reakcją na zastrzeżenie cenzury i represje podejmowane przez zaborcę wobec polskich stowarzyszeń niepodległościowych, przede wszystkim zaś na zapowiedź poboru wojskowego do armii rosyjskiej. Powstanie przerodziło się – po pozbawieniu cara Mikołaja I polskiej korony – w wojnę polsko-rosyjską zakończoną krwawym stłumieniem zrywu. Jednym z najważniejszych skutków powstania było utworzenie przez uchodźców ważnych ośrodków emigracyjnych w Londynie i w Paryżu.

W 1848 roku podczas słowiańskiego zjazdu

du w Pradze polscy delegaci byli głównymi autorami *Manifestu Zjazdu Słowiańskiego do ludów Europy*, w którym domagano się zaspokojenia politycznych aspiracji reprezentowanych narodów:

Mocno będąc przeświadczeni, że tak gwałtowne umysłów w obecnym czasie wstrząśnienie wymaga koniecznie nowych organizacji politycznych, że odbudowanie państwa, jeżeli nie w obrębie nowych granic, to w każdym razie na nowych podstawach podjętym być musi, podaliśmy cesarzowi austriackiemu, pod którego konstytucyjny rząd dotąd w większej części żyjemy, projekt: przemianowanie cesarstwa na „Rzeszę równoprawnych Narodów”, która by zarówno różnorodnym potrzebom tychże, jak i jedności monarchii zadość czyniła. Widzimy w związku takim zbawienie nie tylko dla nas samych, ale i dla wolności, cywilizacji i ludzkości w ogóle, a tem samym w zamiarze przywieńczenia go do skutku liczymy z ufnością na oświeconej Europy dobrowolną pomoc.³⁰

W rezultacie coraz silniejszych manifestacji wolnościowych podejmowanych przez Czechów, Węgrów czy Polaków cesarz Franciszek Józef I przedsięwziął szereg reform zmierzających do liberalizacji imperium, niemniej nie dopuścił – mimo podejmowanych przez nich starań – do przyznania Czechom statusu równego w ramach cesarstwa Węgrom. Natomiast szereg ustępstw, zwłaszcza w dziedzinie kultury, sprawił, że imperium Habsburgów stało się w obszarze Międzyrzecza przestrzenią postępującej modernizacji.

Z kolei w Imperium Osmańskim doszło w latach 1834-1837 szeregu buntów lokalnych na terenie Albanii i wybuchu w roku 1835 trwającego dwa lata powstania chłopskiego dowodzonego przez Alusza Frakullę a wywołanego przez ogłoszenie obowiązku poboru do armii tureckiej. Wskazując na głębsze przyczyny autorzy *Historii Albanii* podkreślają:

Turcy usiłowali złamać zwyczaje i mentalność ludu albańskiego, co wbrew ich oczekiwaniom obudziło potrzebę wspólnego działania w celu przeciwstawienia się obcej, tureckiej hegemonii. Nie domagano się jeszcze nadania ziemiom albańskim statusu autonomii, ale perspektywa utraty wcześniej respektowanych zwyczajów i swobód wywołała u większości Albańczyków zdecydowany sprzeciw.³¹

Dążenia podporządkowanych Osmanom krajów europejskich w drugiej połowie XIX wieku zaczęły gwałtownie przybierać na sile, co znalazło wyraz w trwającym w latach 1875-1878 powstaniu w Bośni i Hercegowinie oraz w powstaniu bułgarskim w Starej Zagorze w 1875, którego kontynuacją było „powstanie kwietniowe” w roku następnym. Jak pisze Jerzy Skowronek:

Mimo klęski powstanie miało również pewne pozytywne skutki. Pogłębiało świadomość narodową i chęć dalszej walki oraz zapewniało sprawie walczącego narodu wielkie zainteresowanie i sympatię europejskiej opinii publicznej. Dzięki bohaterstwu i zdecydowanej woli walki Bułgarzy pogłęбили kryzys wschodni, a wyzwolenie swej ojczyzny uczynili jego podstawowym elementem.³²

Ostatecznie Bułgaria zostaje wyzwolona w efekcie wojny rosyjsko-tureckiej 1877-1878 i zawarcia traktatu pokojowego w San Stefano, lecz jej granice, podobnie jak innych państw dochodzących swej suwerenności w obszarze Międzyrzecza, nie były ustalane w bilateralnych negocjacjach z sąsiadami, lecz ustalane czy raczej dyktowane przez potęgę zewnętrzną stając się tym samym przedmiotem sporów w przyszłości. Trwający w latach kilka lat kryzys bałkański zakończony został ostatecznie w roku 1878 podczas kon-

gresu berlińskiego, który, mimo odniesionych przez Rosję zwycięstw, przyniósł jej klęskę polityczną. Wojska rosyjskie zatrzymała tuż przed zdobyciem od dziesięcioleci stanowiącego cel ekspansji Romanowych Konstantynopola interwencja floty angielskiej oraz przygotowanie imperium Habsburgów do wystąpienia w obronie swych interesów na Bałkanach. Przy czym warto zwrócić uwagę, że zarówno militarne, jak dyplomatyczne działania państw Zachodu, choć wymierzone przede wszystkim przeciw wzmocnieniu pozycji Rosji, stanowiły jednocześnie wyraz absolutnego ignorowania dążeń i aspiracji narodów bałkańskich. Nie bez znaczenia też pozostaje fakt, że Rosja, przynosząc Bułgarii uwolnienie z dominacji tureckiej podjęła jednocześnie starania uczynienia z tego kraju narzędzia wpływu na tym obszarze.

Rosja inspirowała też i wspomagała antyturskie powstanie w Macedonii w latach 1878-1879 zyskując tu współdziałania Bułgarii, która o wpływy wśród Macedończyków rywalizowała z Serbią i Grecją. Relacjonuje ten proces Jarosław Rubacha wskazując na rolę Turcji w podsycającym konflikcie:

Sytuacja ta doprowadziła do nasilenia się akcji agitacyjnej prowadzonej zarówno przez Bułgarów, jak również przez Greków i Serbów. Każde z tych państw wysyłało do Macedonii zastępy coraz to nowych emisariuszy, których zadaniem było stworzenie i wzmocnienie w lokalnej społeczności jak najsilniejszego związku z krajem, który reprezentowali.³³

W europejskiej przestrzeni imperium rosyjskiego kolejne powstanie w roku 1863 obejmujące poza ziemiami polskimi także tereny litewskie i rusińskie – herb powstania łączył w sobie symbole Polski, Litwy i Ukrainy – zakończyło się klęską przynoszącą pasmo represji i ograniczeń swobód, wyjąwszy akt uwłaszczenia chłopów na obszarze powołanego w 1815 roku Królestwa Polskiego (na pozostałych dawnych ziemiach polskich w zaborze rosyjskim akt ten nastąpił w roku 1861).

Już ten pobieżny przegląd napięć i wybuchających w przestrzeni Międzymorza buntów i insurekcji pozwala postrzegać cały ten obszar jako – mimo panującymi nad nim imperialnymi potęgami – wysoce politycznie i społecznie niestabilny, o nieuregulowanych granicach i często płynnym bądź niejasnym poczuciu tożsamości narodowej kształtujących się w zasadzie dopiero w XIX wieku i w warunkach braku politycznego bytu poszczególnych nacji. Polityczna działalność elit rozwijała się w istocie głównie w konspiracji i w oparciu o dokonania kulturalne – walkę o język, dorobek przede wszystkim literacki i naukowy. Jak zauważa rumuński filozof Gabriel Liiceanu, „przywilej oporu przez kulturę streszcza poniekąd cały dramat krajów Europy Wschodniej”³⁴, przy czym uwaga ta dotyczy tyleż doświadczeń XX stulecia, co przeszłości.

Nie dziwi zatem, że europejski Wschód, w szczególności zaś Bałkany, z perspektywy Zachodu jawił się jako region odległy, prowincjonalny i niebezpieczny, co znajdowało wyraz w poświęconych mu reportażach i relacjach podróżniczych, o których pisze Bożidar Jezernik:

W opowieściach tych termin „Europa” pełnił funkcję kategorii analitycznej, pozwalającej używającym go wyznaczyć podziały pomiędzy Europą a Bałkanami (jako częścią Orientu) oraz stworzyć kryteria pozwalające na ocenianie tych drugich. W rezultacie Bałkany wyobrażano sobie nie jako część Europy, ale odbity obraz tego, co w stosunku do Europy było gorsze i inne. Na przykład Europę postrzegano jako aktywną, rozwiniętą, uprzemysłowioną, świecką i nowoczesną. Bałkany

zaś jako pasywne, wiejskie, zacofane, zagrożone w stagnacji, przesądne, zmysłowe i nienowoczesne, z tendencją do despotyzmu i dalekie od postępu. Przekraczanie granic między Europą a Bałkanami pojmowano nie jako przemieszczanie się z Zachodu na Wschód, ale wyprawę z cywilizacji do dziczy, z wolności do tyranii.³⁵

Cały obszar Międzymorza w większym lub mniejszym stopniu stanowił też przedmiot politycznych przetargów zmierzających do podporządkowania go dominacji poszczególnych mocarstw europejskich, przede wszystkim zaś Anglii i Francji, także Niemiec i Rosji. Jednym z głównych celów na Bałkanach było dążenie do uwolnienia krajów tego regionu spod władzy imperium osmańskiego, co w ciągu kolejnych dziesięcioleci wieku XIX w zasadzie zakończyło się powodzeniem. Lecz jednocześnie między odzyskującymi niepodległość państwami zaostrzała się rywalizacja o kontrolę wciąż pozostających pod panowaniem Turków Albanii oraz Macedonii. Po upadku dwóch powstań macedońskich w 1903 roku i ostatecznie nieskutecznej interwencji Rosji oraz Austro-Węgier zmierzających do wymuszenia na Turcji reform, do gry włączyli się lokalni gracze, którzy liczyli na zdobycze terytorialne, co lapidarnie opisał Mieczysław Tanty:

Wyzwoleniczą walkę ludności macedońskiej oraz Albańczyków, którzy w latach 1910-1912 podjęli ją trzykrotnie, śledziły z uwagą sąsiadujące z Turcją państwa bałkańskie. Dostrzegały one stałość panowania tureckiego i jednocześnie niebezpieczeństwo ruchu wyzwolenczego w Macedonii i Albanii dla swych aneksyjnych planów. Aby uprzeczyć powstanie niezależnych państw macedońskiego i albańskiego, kraje bałkańskie postanowiły wykorzystać stałość Turcji i siłą dokonać podziału Macedonii i Albanii. W tym celu Bułgaria, Serbia, Grecja i Czarnogóra zawarły w 1912 r. sojusz wojskowy, zwany sojuszem bałkańskim. Nad zbliżeniem państw bałkańskich usilnie pracowała dyplomacja rosyjska już od kryzysu bałkańskiego, kiedy nastąpiło chwilowe zbliżenie Serbii, Czarnogóry i Chorwacji. Zabiegi rosyjskie nie dały większych efektów aż do 1911 r., ponieważ Rosja działała dotąd na rzecz utworzenia sojuszu bałkańskiego z udziałem Turcji i wymierzonego wyłącznie przeciw Austro-Węgrom.³⁶

W istocie wiek XIX był w przestrzeni Międzymorza czasem mozolnego, choć też naznaczonego licznymi zrywami społecznymi, dochodzenia – począwszy od Grecji – krajów tu położonych do mniej lub bardziej ograniczonego przez obce potęgi politycznego bytu. Dopiero jednak wybuch i przebieg I wojny światowej doprowadził do radykalnej przemiany mapy politycznej regionu. Nim jednak do tego doszło, cały ten obszar, przede wszystkim ze względu na swój potencjał gospodarczy, stał się przedmiotem uwagi ekonomistów niemieckich posługujących się upowszechnionym w wydanej przez geografa Josepha Partscha w 1904 roku pracy terminem *Mitteuropa*, który stał się tytułem niezwykle popularnej książki Friedricha Naumanna przewidującego utworzenie po wojnie wspólnoty obejmującej przede wszystkim tereny cesarstwa niemieckiego oraz imperium Habsburgów, zaś w jednej z wersji przewidującego przekształcenie Austro-Węgier, po przyłączeniu do Galicji części ziem polskich, w trójkontynowy organizm austro-węgiersko-polski. Komentując te plany polska ekonomistka Zofia Daszyńska-Golińska pisała w 1916 roku: „*Mitteuropa* jako ideał imperyalizmu niemieckiego jest na dziś utopią, ale utopia ta ma wielkie szanse realizacji. Natomiast już dziś realną koncepcją nazwać należy ideę środkowo-europejskiego związku gospodarczego, która pod wpływem izolowania mocarstw centralnych podczas wojny, szybko dojrzeje”³⁷.

LESZEK SZARUGA

- 1 Maria Todorova: *Balkany wyobrażone*, Tłum.: Piotr Szymor i Magdalena Budzińska, Wołowiec 2008, s. 37
- 2 Herfried Münkler: *Mity Niemców*, tłum.: Andrzej Kopacki, Warszawa 2013, s. 9-10
- 3 Golo Mann: *Niemieckie dzieje XIX i XX wieku*, tłum.: Andrzej Kopacki, Olsztyn 2007, s. 60
- 4 István Bibó: *Eseje polityczne*, Przełożył, opracował i wstępem opatrzył Jerzy Snopek, Kraków 2012, s. 55-6
- 5 Herta Müller: *Król kłania się i zabija*, Tłum.: Katarzyna Leszczyńska, Wołowiec 2005, s. 175
- 6 Bożidar Jezernik: *Dzika Europa. Bałkany w oczach zachodnich podróżników*, tłum.: Piotr Oczko, Kraków 2013, s. IX
- 7 Leszek Kołakowski: *O tożsamości zbiorowej [w:] Tożsamość w czasach zmiany. Rozmowy w Castel Gandolfo*, red. Krzysztof Michalski, tłum. Stefan Amsterdamski, Kraków 1995, s. 47
- 8 Norman Davies: *Europa między Wschodem a Zachodem*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Kraków 2007, s. 51
- 9 Lajos Grendel: *Życie w cztery tygodnie*, tłum.: Miłosz Waligórski, Sejny 2018, s. 15
- 10 Jarosław Hrycak: *Koniec Sarmacji [w:] Sarmackie krajobrazy. Głosy z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Niemiec i Polski*, red.: Martin Pollack, tłum.: Katarzyna Kotyńska, Wołowiec 2006, s. 199-200
- 11 Jerzy Zdrada: *Stosunki polsko-węgierskie przed powstaniem styczniowym (1859-1862)*, *Przegląd Historyczny* 1963 nr 2, s. 297
- 12 Tadeusz Czekalski, Jerzy Hauziński, Jan Leśny: *Historia Albanii*, Wrocław 2009, s. 170-1
- 13 Dorota Gil: *Ewolucja i funkcje idei narodu w Serbii od schyłku XVIII wieku*, *Slavia Meridionalis* 2017 nr 17, s. 7
- 14 Ivan Čolović: *Śmierć na Kosowym Polu. Historia mitu kosowskiego*, tłum.: Zofia Dimitrijević, Agnieszka Lasek, Magdalena Petryńska, Małgorzata Wierzbicka, Sejny 2019, s. 409-10
- 15 Maria Janion: *Projekt krytyki fantazmatycznej. Szkice o egzystencjach ludzi i duchów*, Warszawa 1991, s. 6
- 16 Kostas Akrivos: *Pandemonium*, tłum.: Michał Bzinkowski, Warszawa 2016, s. 255
- 17 Op. cit., s. 199
- 18 Ukraiński palimpsest. Oksana Zabużko w rozmowie z Izą Chrusłińską. Przedmowa Adam Michnik, Wrocław 2013, s. 107
- 19 Rigels Halili: *Naród i jego pieśni. Rzecz o oralności, piśmienności i epice ludowej wśród Albańczyków i Serbów*, Warszawa 2012, s. 477-8
- 20 Zob.: Adam Rzeżewski: *Jan Gundulicz i poemat jego „Osman”*, Warszawa 1868, s. 26
- 21 Friedrich Reinhold Kreuzwald: *Kalewipoeg*, tłum.: Zenon Waśniewski, Kamena 1936, nr 6, s. 112
- 22 Andrej Pumpurs: *Lacplesis*, tłum.: Jerzy Litwiniuk, Poznań 2006, s. 15
- 23 Ion Budai-Deleanu: *Cyganida [fragmenty]*, tłum.: Aleksander Rymkiewicz [w:] *Antologia poezji rumuńskiej*, wybór i red. Danuta Bienkowska, Julian Rogoziński, Warszawa 1989
- 24 Znamiennym przykładem lekceważącego stosunku do tożsamościowych aspiracji narodów Międzymorza jest rozprawa Eliasa Canettiego *Masa i władza. W rozdziale poświęconym symbolom masy u poszczególnych nacji* pisze autor kolejno o Anglikach, Holendrach, Niemcach, Francuzach, Szwajcarach, Hiszpanach, Włochach i Żydach całkowicie pomijając ludy Europy wschodniej i południowo-wschodniej. Zob.: Elias Canetti: *Masa i władza*, tłum.: Eliza Borg i Maria Przybyłowska, wstęp Lech Budrecki, Warszawa 1996
- 25 Łukasz Sommer: *Mowa ojców potrzebna od zaraz. Fińskie spory o język w pierwszej połowie XIX wieku*, Warszawa 2009, s. 140
- 26 Tadeusz Czekalski, Jerzy Huziński, Jan Leśny: *Historia Albanii*, Wrocław 2009, s. 126
- 27 Jerzy Skowronek, Mieczysław Tanty, Tadeusz Wasilewski, op. cit., s. 217
- 28 Damian Kubik: *Południowosłowiańska „kultura wyobrażona”. Projekt Mickiewiczowski a dziewiętnastowieczne dyskursy kulturowe w Serbii i Chorwacji*, Kraków 2015, s. 133
- 29 Barbara Jalvich: *Historia Bałkanów. Wiek XVIII i XIX*, tłum.: Jędrzej Polak i Krzysztof Salawa, Kraków 2005, s. 213
- 30 Nieprzedawnione hasła, Lwów 1895, s. 37
- 31 Tadeusz Czekalski, Jerzy Hauziński, Jan Leśny: *Historia Albanii*, Wrocław 2009, s. 146
- 32 Jerzy Skowronek, Mieczysław Tanty, Tadeusz Wasilewski, op. cit., s. 341
- 33 Jarosław Rubacha: *Bułgarski sen o Bizancjum. Polityka zagraniczna Bułgarii w latach 1878-1913*, Warszawa 2004, s. 46
- 34 Gabriel Liiceanu: *Dziennik z Păltinșu. Pajdeja jako model w kulturze humanistycznej*, tłum.: Ireneusz Kania, Sejny 2001, s. 30
- 35 Bożidar Jezernik: *Dzika Europa. Bałkany w oczach zachodnich podróżników*, tłum.: Piotr Oczko, Kraków 2007, s. IX
- 36 Jerzy Skowronek, Mieczysław Tanty, Tadeusz Wasilewski, op. cit., s. 442
- 37 Cyt. za: Piotr Eberhardt: *Geneza niemieckiej koncepcji „Mitteleuropy”. Przegląd Geograficzny* 2005 nr 77, s. 477

Anne Sexton

Przekład: Magdalena Szewczuk, Adam Buszek

Czym to jest

Zanim weszło do środka,
 obserwowałam to przez kuchenne okno,
 patrzyłam jak pęcznieje niby balon,
 patrzyłam jak upada i dzieli się
 jak coś, co dobrze znam
 – soczysta gruszka lub dwie połówki księżycy –
 lub białe talerze płynące donikąd,
 albo pulchne dłonie falujące w letnim powietrzu
 zanim się złożą w pięść albo pacierz.
 Potem to podeszło do moich drzwi. Teraz tu mieszka.
 I oczywiście: ten miękki dźwięk, miękki jak foczy puch,
 złapany między kształtami i powracający do mnie.
 Wiesz, to tak jak rodzice wołają dzieci,
 żeby wróciły ze słodkich plaż:
 – Chodź już, no chodź –
 i to, jak się zanurzyłeś, by ugasić ten dźwięk,
 albo jak jeden z nich dotknął cię nocą w korytarzu: szelest i skóra,
 które znałeś tylko ze słyszenia,
 uparte klaskanie fal i chrapanie psa. Jest tu teraz –
 odłowiony z mojej dorosłości –
 obraz, jaki zapomnieliśmy: nakręcane muszle u naszych stóp
 lub łyżka zanurzana w zupie. To dotkliwe
 jak drzazgi utkwione w uchu. Kradniemy hałas,
 pół dzwonka. A za oknem ulicami przedmieść świszczą auta –
 i one są tam, są naprawdę.
 Czym jeszcze to jest, ten zawiły kształt powietrza?
 Wzywający mnie, wzywający ciebie.

Więcej niż ja

To nie tak, że było to piękne,
 ale ostatecznie tkwił w tym
 pewnego rodzaju ład;
 coś wartego zapisania
 w chudym pamiętniku umysłu,
 w codziennej rutynie wariatkowa,
 gdzie strzaskane lustro
 czy raczej moja samolubna śmierć
 gapiała się na mnie...
 Puknęłam się w głowę;
 była szklanym kloszem, odwróconą misą.
 To nic takiego:
 zagotować się we własnym szkle.
 Z początku było to coś prywatnego.
 Później stało się czymś więcej niż mną.

Anne Sexton [Anne Gray Harvey]

Urodzona w Newton (1928) amerykańska poetka i pisarka. Autorka dzieśięciu tomów poetyckich. Laureatka Nagrody Pulitzera (1967) za tom *Live or Die*. W 1974 r. popełniła samobójstwo. W języku polskim ukazał się szczupły wybór wierszy pt. *Kochając zabójcę* (1994). Poezja Anne Sexton, często sięgając po tropy dziecinnej wyobraźni i kultury śródziemnomorskiej, z czujną namiętnością odwiedza granice kobiecości, erotyki, miłości, szaleństwa, ekstazy i śmierci.

Roman Warszawski

KONKWISTA I OKOLICE

Konkwista – podbój Nowego Świata przez Europejczyków – w powszechnym mniemaniu była niecodzienną przygodą, która dość niespodziewanie przydarzyła się Europie i po wielu niezliczonych perypetiach zakończyła się oszałamiającym sukcesem. Tak przynajmniej wynika z dosłownie wszystkich monografii, które istnieją na jej temat (a jest ich kilkadziesiąt).

Konkwista stanowi w nich niejako zamkniętą monadę. Toczy się za oceanem, w pewnym oddaleniu od Europy. Jest jakby czymś oderwanym od rzeczywistości. Trochę jakby zjawiskiem z innej planety, o które wielu pyta: jak to możliwe, że zakończyło się ono powodzeniem.

Historia o dwóch długich przesłach
Moim zdaniem należy całkowicie zmienić ten pogląd. W rozważaniach na ten temat należy bowiem uwzględnić to, co działo się przed okresem 1470–1572 (a więc czasem od opanowania przez Hiszpanię Wysp Kanaryjskich po upadek Vilcabamby w Peru) – okres kilkusetletniego „przedmura” konkwisty. A to dość zasadniczo zmienia spojrzenie na tę przygodę, która – jak się w takim ujęciu okazuje – wcale nie była przygodą, lecz konsekwencją i ukoronowaniem bardzo długiego historycznego procesu. **Okresu, który trwał prawie 800 lat!**

Jak się bowiem dobrze przyjrzeć, konkwista wyrasta bowiem – z rekonkwisty i jest jedynie jej przedłużeniem poza europejski kontynent. Atlantyk jest jedynym elementem nieciągłości w **konfinum rekonkwisty-konkwisty**. Reszta jest ciągłością. Jest ciągiem kolejnych etapów, z których niektóre są co prawda oddzielone od siebie dziesiątkami lat bezruchu, lecz jednak wzajemnie się zazębiają i napędzają. Długo czynią Europę brzemienią, a następnie prowadzą do zaskakującego, nieuniknionego porodu.

Owym porodem jest właśnie konkwista – zdobycie Nowego Świata, stworzenie za oceanem nowej wersji Europy, czego dowodzą chociażby nazwy nadawane przez zdobywców ziemiom, na które docierają: Nowa Andaluzja, Nowa Hiszpania, Złota Kastylija etc. Dlatego też w pisać i myśleć o konkwisie – tyle samo miejsca należy poświęcać jej europejskiemu zapleczu i europejskiemu korzeniowi, jak zdarzeniom, które toczą się za oceanem. Konkwista traci przez to aurę (odium?) czegoś oderwanego od rzeczywistości i dokonującego się we względnej izolacji i pustce. Takie postrzeganie przywraca osadzenie konkwisty w Europie i w procesach, które wywołały ją na Starym Kontynencie.

W takim ujęciu konkwista jest konsekwencją inwazji arabskiej, która dokonana się na Półwyspie Iberyjskim w VIII wieku. Jej początkiem było to, co nazywamy rekonkwistą, a co tak naprawdę od samego początku winno nosić miano konkwisty. Bo wypieranie Arabów – Maurów – z Półwyspu Iberyjskiego było właśnie zdobywaniem, a nie odzyski-

waniem. Hiszpania po rekonkwisie z Hiszpanią (a właściwie Iberią) sprzed rekonkwisty nie miała bowiem prawie nic wspólnego. Była nową jakością, całkiem nowym, dynamicznym i wciąż przekształcającym się tworem. Tak więc zgodnie z prezentowanym tu poglądem, tak naprawdę jedna konkwista przeszła w konkwistę następną, w jej kolejny etap – tym razem rozgrywający się za oceanem. A ideologiczny kościół tego procesu był taki sam: honor, walka o niego, czystość krwi, czystość wyznania, pozyskiwanie nowych dusz dla kościoła. I nie bez znaczenia było to, że w XV wieku wiele funkcji papieża mniej lub bardziej świadomie przejmują hiszpańscy dworzy, uosobieni przez władców katolickich – Izabelę i Ferdynanda, których ambicja (w okresie degrengolady Watykanu i panowania papieża Borgii, było stworzenie czegoś na kształt Watykanu alternatywnego).

Do przeniesienia Europy za ocean była potrzebna wielka siła. Nie tylko siła militarna, ale nade wszystko siła psychiczna, moralna. Okresem kumulacji tej siły był czas kontaktu Półwyspu Iberyjskim ze światem arabskim, z Kalifatem Kordobańskim. Wtedy pojawiła się świadomość istnienia czegoś pozaeuropejskiego, innego, obcego – czegoś, czemu (jeśli chce się przetrwać) należy się przeciwstawić (odmienność wiary bardzo to ułatwiała). Stulecia tego kontaktu i zmagania się z ową obcością, odmiennością było czasem zbierania tejże siły. Było czasem definiowania tożsamości europejskiej. Tego, co Europą jest, a co nie jest. To była wspomniana już brzemienność Europy Europą nowoczesną. Porodem była ekspansja za ocean, która zaczyna się zaraz na początku stycznia, w magicznym roku 1492, a więc dokładnie wtedy, gdy pada ostatni bastion arabski na Półwyspie, w Grenadzie.

Siła, nieuchronność oraz skazanie na sukces konkwisty wynika właśnie z ośmiu stuleci zaplecza, jakim dysponowała. Uwzględnienie elementu ciągłości bardzo wiele zmienia w jej postrzeganiu. (Jeśli podbój Nowego Świata poza szeroką fosą Atlantyku był porodem, to czyż okres poprzedzający był swoistą ciążą?) Pozwala widzieć konkwistę nie jako przygodę i wybrzyk, lecz jako konsekwencję i ukoronowanie wielowiekowego procesu rodzenia się tożsamości nowoczesnej Europy. Wreszcie możemy przestać się dziwić, że konkwista – z pozoru dysponując bardzo skromnymi środkami – powiodła się i zakończyła sukcesem. Widząc jej korzeń i postrzegając wielowiekowy proces, który ją zrodził, dostrzegamy, że tej idącej ze wschodu, zza oceanu fali nikt, ani Aztekowie, ani Inkowie, czy Muiskowie z Kolumbii, nie byli w stanie powstrzymać. Widząc ją w tym świetle, konkwista – po prostu – nie mogła się nie udać, co jest zasadniczą zmianą optyki w porównaniu z dotychczasowym: jak to możliwe, że garstka awanturników...

Ciągłość rekonkwisty i konkwisty tak naprawdę widać na każdym kroku – i aż dziwne, że do tej pory nikt tych samych

argumentów nie wyciągnął, ani – nomen omen – nie wyciągał z nich dalszych wniosków. Chociażby karawela – nazwa żaglowca pochodzi przecież od nazwy arabskiego statku „caravao”. Zawołanie *Santiago y cierra Espana* – wznoszone w czasie walk z Maurami, słysząc było także w czasie wszystkich najważniejszych bitew w Peru i Meksyku. Gdy Cortes cieszy się, że Tlaxcaltekowie skłóceni są z Meksykami i chce to wykorzystać dla siebie, pamięta, że podobnie było, gdy Ferdynand i Izabella przez dziesięć lat toczyli wojnę o Grenadę: Maurów wtedy też dzieliły konflikty i niesnaski. A sama *Casa de Contratacion* w Sewilli – główny urząd sprawujący kontrolę nad złotem przybywającym z Nowego Świata (Nowej Europy?) mieści się w wieży, nadbrzeżnej baszcie wzniesionej przez Maurów. Inkwizycja, powołana do życia pod koniec XV wieku w Hiszpanii w okresie walki z resztkami kalifatu, pół wieku później w identycznej postaci pojawia się w Limie. Pizarro, nie chcąc by jego towarzyszy przerażała liczba wojowników, z którymi mają stanąć do walki, przekonuje: „Im więcej Maurów, tym większe łupy”. Wreszcie – w Europie, w czasach konkwisty, meczety zamienia się na kościoły, w Meksyku, w Choluli, buduje się kościół, który wrowany jest na kordobańskim meczecie...

Rzecz jasna, Francisco de Montejo – podobnie jak w tradycyjnych ujęciach konkwisty – także zdobywa Gwatemalę, Nunez de Balboa jako pierwszy widzi Ocean Południowy, a Francisco de Toledo na północy Argentyny zakłada miasto Salta (celowo pomijam w tej wyliczance kogoś tak oczywistego jak Pizarro i Cortes). Ale w długofalowym – nazwijmy to tak – dwuprzestowym ujęciu, które tu proponuję, nie są to już wiadomości z Księżyca. (Jedno przesto tego mostu to rekonkwista, a drugie – tradycyjnie pojmowana konkwista.) Tym razem jest bardziej oczywiste dlaczego tak się dzieje i dlaczego – mimo wszystkich trudów i przeciwności – nie mogło się nie udać. A wszystko to może stać się przyczynkiem do powrotu zapomnianej już nieco dyskusji nad logiką dziejów, logiką historii. Może nie całej – ale przynajmniej poszczególnych jest długich okresów.

Ponadto – takie widzenie konkwisty, czyni ją także aktualną. Przypomina, że tożsamość i siła Europy rodziły się i krzepły **w kontakcie oraz w zwariu z obcym żywiołem** – i jak bardzo Europie wyszło to na zdrowie. To jasne, że współczesnego zalewu uchodźcami z południa nie można porównać do inwazji Tarika przez Cieśninę Gibraltarską z 711 roku. Ale jeśli nie analogia, to jej cień na pewno pozostaje.

A jeśli spojrzeć dalej, do dwóch przesł można dostawić jeszcze jedno – wielkie przesto tego dziejowego mostu ponad całym Pacyfikiem. Z Nowego Świata, po uspokojeniu wrzenia, jakie wywołało pojawienie się tam Hiszpanów, z Acapulco, ➔

gdzie zachowała się odpowiednia forteca, wkrótce zainaugurowano transpacyficzną linię żegludową obsługiwaną przez ciężkie hiszpańskie galeony, wiodącą aż do Manili na Filipinach. Po tym, jak te gigantyczne zagłowie przywoziły z Azji przepiękną tamtejszą porcelanę, otwarto lądowy szlak służący jej przewożeniu z zachodniego na wschodnie wybrzeże Meksyku. Z Acapulco do Veracruz. Trakt, który stał się prekursorem przyszłego Kanału Panamskiego, zlokalizowanego kilka wieków później kilkaset kilometrów na południe. Zresztą on, ów kanał, prawdę mówiąc, też już wtedy istniał – co prawda na razie tylko w postaci wąskiej, niebezpiecznej, krętej ścieżki, ale powodował, że ruch w cieniu dwóch (już trzech?) wielkich dziejowych przesęt mógł dokonywać się w dwóch kierunkach – z Europy do Nowego Świata i z Nowego Świata do Świata Starego.

Dygresja. Triumf rozumu po klęsce siły

Pochylmy się nad tym kanałem przez chwilę. Bo jeśli weźmiemy do ręki mapę świata, na której przedstawione są najważniejsze linie żegludowe, w jednym jej punkcie zauważymy, że wiele łuków będących ich wyobrażeniem zbiegają się jak promienie światła w soczewce, a po drugie stronie – rozbiegają niczym wielki wachlarz, co też jest jakby graficznym nawiązaniem do... przesęt!

Mimo swej niepowtarzalności i heroicznej historii powstania, Kanał Panamski w świadomości Europejczyków nigdy tak naprawdę w pełni nie zagościł. Na Starym Kontynencie traktowany jest w dużej mierze jako coś naturalnego, czemu tak naprawdę nie warto się przyglądać. Coś, co istnieje w zasadzie od zawsze. Podstawową przyczyną tego jest to, że Kanał (będę pisał wielką literą) otwarty został w dniu, w którym wybuchła I wojna światowa; uwaga Europy skupiała się wtedy na czymś innym. Natomiast w roku 1999, kiedy przechodził z rąk amerykańskich w ręce Panamczyków, w Europie akurat padał Mur Berliński. Europę zaprzątało coś całkowicie innego.

Tak naprawdę jednak Kanał jest tworem na wskroś niezwykłym. Jest czymś znacznie większym i ważniejszym niż piramidy w Gizie. Niż posąg Posejdona, mający wznosić się starożytności na wyspie Ródos. Na równi z tymi budowlami zasługuje na miano cudu świata. Cudu świata współczesnego.

Owszem, jest wytworem możliwości technicznych, które w pewnym momencie historii zaistniały. Nade wszystko jest jednak wytworem woli, siły i rozumu. Szczególnie bez tego ostatniego Kanał nie mógłby powstać.

WOLA. I odwaga. To ten etap istnienia Kanału, **kiedy nie był on jeszcze kanałem, lecz tylko drogą wiodącą przez selwę, góry, malaryczne bagna i przeprawy przez porywiste rzeki.** To etap od momentu odkrycia *Istmo* – Przesmyku w roku 1513 roku przez Hiszpana Nuñeza de Balboa, aż do czasów gorączki złota w Kalifornii w wieku XIX. Wtedy Kanałem była Złota Droga (*Camino de Oro*) lub Droga Tranzytu (*Camino de los Cruces*; akurat w tym wypadku *cruces* to nie krzyże) łącząca Portobelo (Morze Karaibskie) z Panamą (Pacyfik), lub Panamę z Nombre de Dios (Morze Karaibskie).

To niezwykle romantyczny i awanturniczy okres w dziejach Przesmyku. Jego – nazwijmy to tak – złota epoka. U jej zarania – co wymagało niezwyklego samozaparcia i odwagi – znad Pacyfiku na grzbietach mułów

nad atlantyckie wybrzeże przewożono złoto Azteków, a następnie złoto i srebro Inków, by w Portobelo lub w Nombre de Dios ładować je na hiszpańskie galeony (na które czyli angielscy piraci). U jej schyłku – szlakiem tym przemieszczano wszystkich i wszystko, co miało związek z dziewiętnastowiecznym złotym boomem w Kalifornii.

W końcowej fazie tego okresu nieistniejący jeszcze kanał staje się linią kolejową o najdroższych biletach na świecie. Linią budowaną i przebiegającą w skrajnie nieogólnych warunkach. Biegająca dokładnie tą samą trasą, którą w przyszłości przywłaszczą sobie Kanał.

SILA. To etap, kiedy żywa przez wieki (bo mówił już o tym odkrywca Przesmyku, Balboa, a wiele lat później Alexander von Humboldt) idea budowy Kanału jako szlaku wodnego, z uwagi na wzrost możliwości technicznych, staje się bardziej możliwa do realizacji. Trwa przeciąganie liny między Francuzami, a Amerykanami. Ostatecznie koncesję na budowę od rządu kolumbijskiego (Przesmyk jest wtedy częścią Kolumbii, tzw. Wielkiej Kolumbii) otrzymują Francuzi. Prace projektowe, a następnie prace ziemne prowadzi F. Lesseps, wstawiony budową Kanału Sueskiego. Francuska idea jest prosta. Czysto siłowa. Kanał trzeba kopać bardzo głęboko. Ziemię, bez względu na wysiłek jaki trzeba w to włożyć, należy wydrążyć do poziomu morza. Żeby statki swobodnie mogły przepływać przez wielki transoceaniczny rów.

Pomysł prosty, ale szybko okazuje się nierealny. Możliwości techniczne są, ale nie aż takie. Siły i woli budowniczych też nie brakuje, ale jest jej za mało. Poza tym kopiący gigantyczny rów robotnicy, jak muchy mrą od żółtej febry. Ludzie są dziesiątkowani. Trudno. Mimo najlepszych chęci nic z tego nie będzie. Szrama po gigantycznym wykopie pozostaje, ale do tego, by popłynęła nią woda, jest jeszcze bardzo daleko. Francuzi wycofują się, ale idea budowy Kanału nie umiera.

ROZUM. Na arenę powracają Amerykanie. Mają inny pomysł, jak zrealizować to transoceaniczne przedsięwzięcie. Ale zanim wcielą go w życie i zainwestują miliony, chcą zagwarantować sobie prawa do przyszłego Kanału. Na tym etapie **Kanał jest zamachem stanu!** Najpierw podsycają miejscowy separatyzm wynikający z odizolowania od Bogoty (*El Tapon de Darien* – zarośnięty przesmyk Darien jest trudną do pokonania zaporą), następnie wspierają jednolitościowy zamach stanu, z którego rodzi się Panama – na pewno trudno powiedzieć, że niepodległa! – mały kraj między oceanami. To jeden z najstabilniejszych epizodów postkolonialnej historii Ameryki Łacińskiej. Kosztował życie aż 3000 Panamczyków (miasto Panama w tym czasie liczyło 35.000 mieszkańców.)

Teraz – w końcu – Kanał będzie mógł stać się Kanałem. Amerykanie korzystają z francuskiego wykopu, ale ich podejście jest całkiem inne. Nie będą nic robić na siłę. Zamiast przeciwstawić się siłom przyrody, postarają się do nich podłączyć i je wykorzystać.

Po pierwsze – Kanał będzie płytki. Nie będzie przebiegał na poziomie morza. Zbudowane trzy pary śluz po obu stronach oceanu, które przeniosą statki na wysokość blisko 30 m n.p.m. Na poziom jeziora Gatun. Ono zaś zostanie powiększone. Po drugie

– Francuzi chcieli zmienić bieg rzeki Chorges, która stawała im na drodze, natomiast Amerykanie skierują ją do jeziora Gatun. Stanie się ono przez to większe. Tak, Kanał na większości swej długości stanie się jeziorem. Łatwiej jest powiększyć jezioro (budując zaporę wodą), niż bez końca kopać w skalistym podłożu.

W jeszcze jednym punkcie pomocny staje się ROZUM. Amerykanin, dr William C. Gogras udowadnia, że żółta febra jest roznoszona przez komary. Proponuje w jaki sposób pozbyć się tej plagii. (Na obszarze całego Przesmyku rozpylone zostają środki owadobójcze.) Niebezpieczne komary w ciągu kilku miesięcy giną. Roboty mogą ruszyć z kopyta. Trwają 10 lat. W 1914 roku, 15 sierpnia, przez Kanał przepływa pierwszy statek – *Mfs Ancon*.

Następny ważny etap w dziejach Kanału o przełom XX i XXI wieku, kiedy w wyniku studenckich protestów droga wodna między oceanami wraca w ręce Panamczyków. Oraz w 2013 roku, kiedy do użytku zostaje oddana dodatkowa nitka Kanału prowadząca do jeziora Gatun, dzięki której przez Kanał mogą przepływać jednostki i wyższym niż dotychczas tonażu. Kładzie to kres chińskim zakusom, by zbudować nowy transoceaniczny amerykański (co za słowo!) kanał w Nikaragui.

W drugą stronę. Z Cuzco do Tunisu

Ale wracając do konkwisty. **Z czasem powstało jeszcze jedno, czwarte już** (jeśli uwzględnimy to, które wiodło na Filipiny) **przesęt w tym historycznym procesie.** W przeciwnym kierunku do tego, w jakim w roku 1492 (i w latach późniejszych) popłynął Kolumb, z podbijanych ziem Nowego Świata do Hiszpanii zaczęło płynąć złoto. Dużo złota. Coraz więcej złotego kruszcu. Och, jak wiele... Najpierw z Meksyku, następnie z Peru. Obietnica Kolumba złożona przed laty Izabeli i Ferdynandowi o możliwości sfiansowania wojny przeciwko niewiernym złotem Indii, mogła zacząć przybierać kształt.

Nastąpiło to w roku 1535. Dzięki złotu, które Hernando Pizarro, brat Francisca, przywiózł do Hiszpanii zza dwóch oceanów, Karol V mógł rozpocząć morską-ładową kampanię przeciwko Barbarossie – usadowionemu w Algierze korsarzowi, któremu Imperium Osmańskie powierzyło dowództwo swojej floty; przeciwko, nazwijmy go tak – Saracenowi, niewiernemu. Bardzo pragnął w końcu odnieść jakieś spektakularne zwycięstwo, do którego doprowadziłyby własnymi rękoma i które w oczach Europy potwierdziłoby fakt, iż władat już prawie połowę znanego świata. A że mógłby w ten sposób nawiązać do intencji i zamysłów swych królewskich dziadków – tym lepiej.

Zajęcie przez Barbarossę Tunisu stanowiło doskonałą okazję, żeby jedną i drugą intencję obrócić w czyn. Do walki Karola zachęcał m.in. papież Paweł III, co w tamtych czasach było nie bez znaczenia. Tunis w rękach Barbarossy (a więc Osmanów) bardzo zagrażał Włochom, z którymi cesarz był sprzymierzony. Poza tym Karol znał historię – atakując Tunis (dawną Kartaginę) miał nadzieję nawiązać do czasów rzymskich: do tradycji wojen punickich i do rzymskiego splendoru, którego częśćka mogła teraz na niego spłynąć...

Co prawda w samej Hiszpanii odradzano mu tę wyprawę, on był jednak uparty; w tamtym niepowtarzalnym, wymaszczonym

złotem momencie, rwał się do wojaczki, jak rzadko kiedy i rzadko kto. Mówiono mu, że nawet jeśli odniesie zwycięstwo, będzie ono mało przydatne. A jeśli poniesie klęskę, a nie dał Bóg, zginie lub spotka go niewola – co wtedy? Co stanie się z Kastylią?

Ale on na to nie zważał, tym bardziej, że Europa w tej krucjacie przeciwko Osmanom postanowiła go wspomóc. Do jego armii zgłaszali się Niemcy, Włosi i galernicy przystąpi przez Watykan. Kampania wywołała nadspodziewanie wielki oddźwięk i zainteresowanie. Na szlaku Karola ku Tunisowi szlachty i pospólstwa było tyle, że brakło (...) miejsca, a ulicami nie było można przejść. Jedni przybywali zobaczyć wspaniałą flotę, inni w zamiarze popłynięcia nią.

Karolowi sprzyjało fakt, że na samym początku Barbarossa popełnił kardynalny błąd: zamiast zaatakować na morzu, tam gdzie jako korsarz czuł się najpewniej, schronił się na lądzie, w Tunisie. Kampania, która w zamyśle Karola (ku przerażeniu jego doradców) miała być kampanią morsko-lądową, w dużej mierze przerodziła się przez to w wojnę lądową. Jeszcze dokładniej – w wojnę o... wodę (o studnie), w wojnę z afrykańskim upałem.

Walki przebiegały w dwóch fazach. W pierwszej szturmowano mury La Goletty – twierdzy położonej o 10 km od Tunisu, obsadzonej przez najlepszych ludzi Barbarossy.

Dopiero po jej zdobyciu miano ruszyć na właściwy cel wyprawy.

W La Golecie zastosowano taktykę, którą wypracowano w czasie ostatniej fazy rekonkwisty – bardzo silny ostrzał artyleryjski z użyciem artylerii oblężniczej, jak i okrętowej; po prostu systematycznie kruszono mury La Goletty. Potem nastąpił atak siejących postrach hiszpańskich tercios. Ci zagrzeni obecnością cesarza runęli [na twierdzę] z takim impetem, że za pierwszym uderzeniem złamali jej opór. W szturmie brali także udział Niemcy (od północy), Włosi (od wschodu) oraz szpitalnicy (od strony morza).

Zwycięstwo bardzo się opłacało. W ręce sił cesarza Karola V wpadły niezliczone tupy (La Goletta, przez masowność swoich murów, uchodziła za niemożliwą do zdobycia). Poza tym zawładnięto większością floty Barbarossy, która była tam zacumowana (kroniki mówią o blisko dziewięćdziesięciu galerach). W najbliższym otoczeniu władcy pojawiły się głosy, że w zasadzie cel został osiągnięty – Barbarossę na długi czas unieruchomiono i Italii nie był on w stanie skutecznie zagrozić. Karol był jednak spragniony jeszcze większego triumfu, jego ludzie – za wyjątkiem doradców – zresztą też. Postanowił kontynuować ofensywę przeciwko Tunisowi. Największą trudność polegała na chronicznym braku wody (była już pełnia lata, a to przecież Afryka). Musiano toczyć walkę dosłownie o każdą studnię, a w głębi lądu nie było już można liczyć na

wsparcie ze strony okrętów. Żołnierze sami ciągnęli działa, bo konie padły z gorąca.

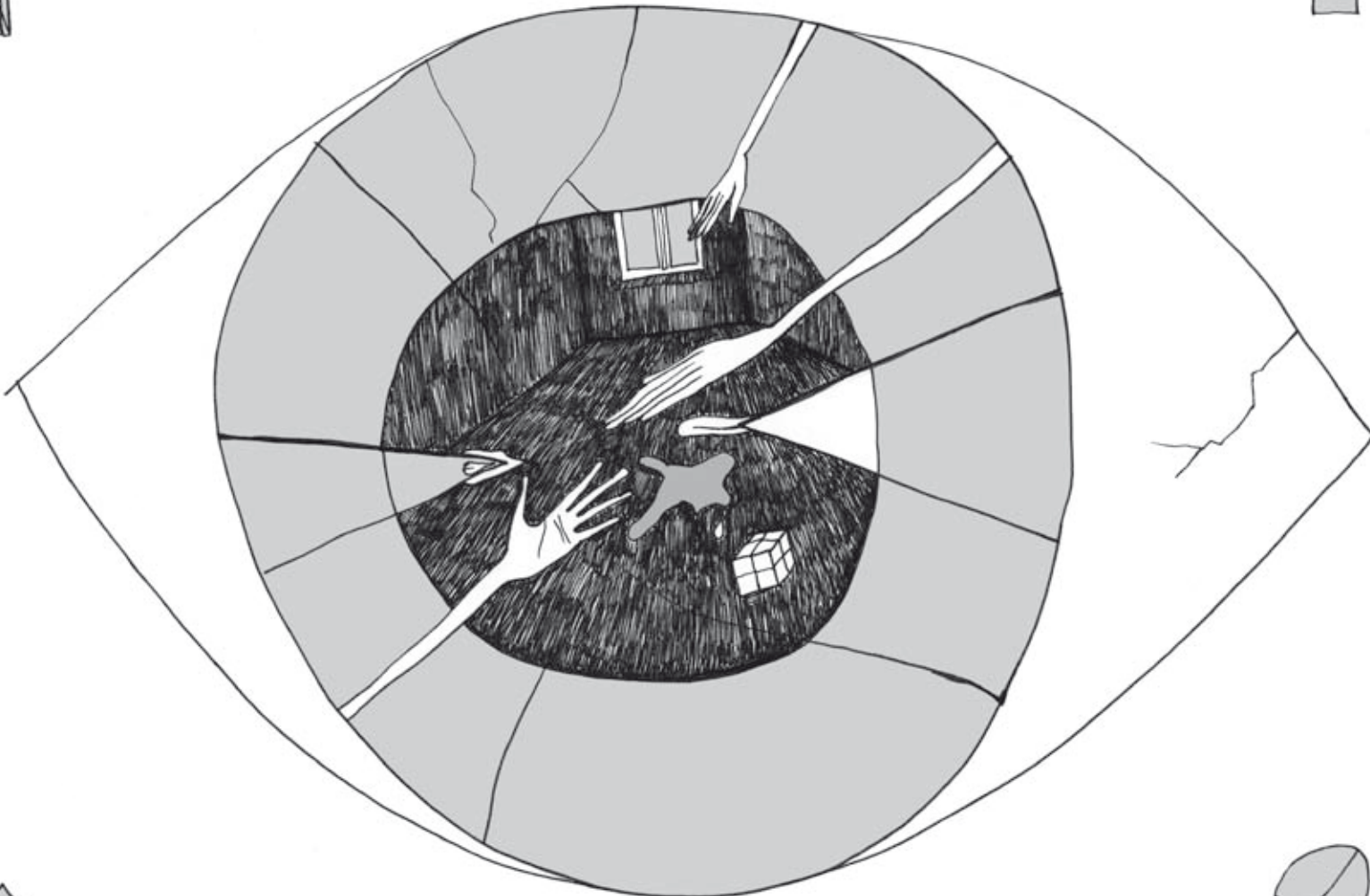
Losy wojny na dłuższą chwilę zawisły na włosku. Karol V pisał w listach: Barbarossa ostrzeliwał nas swoją artylerią, my odpowiadaliśmy; jego arkebuzerzy dawali do nas ognia, my robiliśmy to samo, ruszał do szarży na nas, a my też. Korsarz mimo że nie był na morzu, kąsał tak dotkliwie, jak tylko potrafił. Ale w decydującym momencie w Tunisie zbuntowali się przetrzymywani tam jeńcy, którym udało się opanować tamtejszy al-kazar – akurat wtedy, gdy Rudobrody zamierzał się w nim zabarykadować.

Po tym zwycięstwie, logiczne było kontynuowanie kampanii przeciwko Algierowi – głównej siedzibie Barbarossy. Ale Francuzi akurat zaatakowali Sabaudię na północy Włoch. A przecież Karolowi głównie chodziło o Italię. Algier więc odpuścił sobie i ruszył na północ. Afryka jako taka go nie interesowała, interesowała go Europa – i, oczywiście, podziw Europejczyków. No i to, że dziejowa klamra obejmująca czas od Kolumba (a właściwie od momentu, gdy w IX wieku krok po kroku zaczęto wypierać Maurów z Półwyspu) po jego własne zwycięstwo w Tunisie, właśnie się domknęła.

Cóż w tamtej chwili było można więcej chcieć?

(Fragment większej całości)

ROMAN WARSZEWSKI



Michał Bukowski

CZY PREZYDENT MOŻE SIĘ ZAGADAĆ, A PREMIER NAPIĆ.

O PRAWA STANOWIENIU I PRAWA PRZESTRZEGANIU.

W sobotę wieczorem, 23-go maja, w ogródku jednego z lokali w centrum Wiednia, w towarzystwie żony i dwojga przyjaciół spożywał kolację prezydent Republiki Austrii. Pogoda była piękna, rozmowa ożywiona, kuchnia znakomita, czas płynął więc wartko i zrobiło się grubo po północy, kiedy to pojawił się patrol policji. Nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu patrole policji w mieście stołecznym w dzień czy w nocy to rzecz rutynowa, gdyby nie fakt, że powszechnie wiadomo było, że zgodnie z zarządzeniem ministra zdrowia, wydanym w związku z pandemią, lokalom gastronomicznym wolno było wtedy prowadzić działalność tylko do godziny 23-ciej.

Historia milczy, czy pojawienie się patrolu policji było wynikiem rzeczywistie rutynowej działalności egzekutywy – i wtedy można byłoby postawić tezę, że prezydent miał pecha... – czy też było to wynikiem „życiowej” odpowiedzi któregoś z mieszkańców sąsiednich domów – i wtedy wiele wskazywałoby na przypadek znacznej obywatelskiej czujności, zwanej potocznie „zakapowaniem” – tak czy owak ingerencja policji spowodowała nieoczekiwane zakończenie prezydenckiej kolacji i nadała sprawie bieg w kierunku ukarania zarówno restauratora (przewidywana wysokość kary: 30.000 EUR), jak i prezydenta (brak danych co do wysokości wniosku o ukaranie, zresztą wniosek taki tak czy tak musiałby zatwierdzić parlament). Jakkolwiek to prezydent swym zagadaniem się naruszył przepisy zarządzenia ministra zdrowia, to jednak obowiązkiem restauratora było towarzystwo o 23-ciej wyprosić, ale który restaurator wyprosi ze swego lokalu głowę państwa? Prezydent przyjął interwencję patrolu rzeczowo – nie zapowiedział, że zadzwoni do premiera, żeby ten zadzwonił do ministra spraw wewnętrznych, żeby ten zadzwonił do komendanta głównego policji, żeby ten zadzwonił do komendanta stołecznego, żeby ten wreszcie pogonił tych służbistów, co to przerywają głowie państwa kolację: prezydent wyraził ubolewanie co do zaistniałego wykroczenia, spowodowanego zagadaniem się w tak miłym towarzystwie i przejął całą winę na siebie, zapowiadając przy tym gotowość przejścia przyszłej kary restauratora, tym zagadaniem się spowodowanej.

Medialne opisy wydarzenia nie zawierają żadnych informacji na temat aktywności całodobowej – w założeniu – ochrony prezydenckiej w kierunku uniemożliwienia ingerencji zwykłego ulicznego patrolu w przebieg działań głowy państwa, w tym przypadku koncentrujących się na kolacji, co daje do myślenia, że albo takiej ochrony w ogóle nie było, albo że takowa ingerencja pozostała bezskuteczna, które to oba warianty w temacie „a jak by to wyglądało

w niektórych innych krajach” dają dodatkowo do myślenia.

Szum medialny, jak to uliczny patrol policji ujawnił jak głowa państwa zignorowała przepisy, wywołał reakcję jednej z renomowanych kancelarii prawnych, która ku pełnemu zdumieniu zarówno stron wydarzenia (z należyтым uwzględnieniem głowy państwa), jak i społeczeństwa, dotąd całkowicie przekonanych o zakazie prowadzenia działalności gastronomicznej po 23-ciej, jednoznacznie stwierdziła, że głowa państwa żadnych przepisów nie zignorowała, bo odpowiednich przepisów, a więc jednoznacznego zakazu prowadzenia działalności gastronomicznej po 23-ciej, w istocie nigdy nie było – takie było tylko powszechne przekonanie społeczeństwa: owszem, zarządzenie ministra zdrowia mówiło o zakazie wstępu do lokali gastronomicznych po 23-ciej, ale tylko o zakazie wstępu, nic natomiast nie mówiło o zakazie obsługi klientów, którzy, pozostając tam po 23-ciej, wstępu dokonali przed tą godziną, czyli w rzeczy samej przepisów zarządzenia nie naruszyli.

Tej prawnej fuszerki nie znali funkcjonariusze patrolu, którzy w ramach powszechnie funkcjonującego w społeczeństwie przeświadczenia – ale przecież tylko przeświadczenia! – tak twardo i tak skutecznie imputowali prezydentowi, że naruszył przepisy, że ten – w należyтым szacunku wobec egzekutywy z jednej strony, a w nieznanomości owej prawnej fuszerki z drugiej (ale miał prawo jej nie znać, bo zarządzenia ministerialne nie mają rangi ustawy i tym samym na biurku prezydenckim nie leżą), nie tylko sam poczuł się winny, ale i gotów był przejąć na siebie również mandat restauratora, formalnie przez restauratora niczym nie zawiniony.

Skoro o prawa przestrzeganiu mowa, to warto przywołać inny przypadek działalności egzekutywy wobec osoby prominentnej – tu wątpliwości co do właściwej egzekucji właściwych przepisów nie było. W sobotni wieczór 17-go czerwca, pani była premier rządu, dziś na emeryturze, a więc formalnie osoba prywatna, przebywała w restauracji, gdzie zechciała nie tylko to i owo spożyć, ale i to i owo wypić. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że w drodze powrotną do domu pani była premier postanowiła udać się kierując własnym samochodem, którym jednak do domu nie dojechała, albowiem kontrola drogowa ujawniła u niej 0,9 promila alkoholu, co oznacza taki poziom przekroczenia dopuszczalnej granicy 0,5 promila, przy którym w Austrii obok kary pieniężnej następuje natychmiastowa utrata prawa jazdy na miesiąc. Zgodnie więc z obowiązujący-

mi przepisami patrol policji już na miejscu odebrał pani byłej premier prawo jazdy, uniemożliwiając prowadzenie pojazdów przez następny miesiąc oraz wystawił jej skierowanie na obowiązkowe w takich przypadkach „szkolenie odświeżające” w ilości 4 x 50 minut.

I w tym przypadku historia milczy, czy kontrola drogowa była wynikiem rzeczywistie rutynowej działalności egzekutywy – co umożliwiłoby tezę, że i pani była premier miała pecha... – czy też było to wynikiem „życiowej” odpowiedzi któregoś z obywateli, spożywających kolację w tej samej restauracji – co wskazywałoby na kolejny przypadek znacznej obywatelskiej czujności, zwanej potocznie „zakapowaniem” – tak czy owak skuteczność ingerencji kontroli drogowej daje do myślenia w temacie „a jak by to wyglądało w niektórych innych krajach”: pani była premier prawo jazdy oddała i nie zapowiedziała, że natychmiast zadzwoni do aktualnego premiera, żeby ten zadzwonił do ministra spraw wewnętrznych, żeby ten zadzwonił do komendanta głównego policji, żeby ten zadzwonił do komendanta stołecznego, żeby ten wreszcie pogonił tych służbistów, tak bardzo łasych na prawo jazdy pani byłej premier.

Przepisy dotyczące zawartości alkoholu we krwi są od lat jasne i jednoznaczne, podobnie jak przepisy dotyczące egzekucji tych ograniczeń oraz konsekwencji ich ewentualnego przekroczenia i są one znane wszystkim, pani była premier siadając za kierownicę po spożyciu alkoholu nie mogła więc nie wiedzieć, że przepisy te narusza. Tym samym nie tylko uzasadnionym, ale i nieodpartym wydaje się tu pytanie, jak takie ewidentne – i świadome – naruszenie przepisów było możliwe w przypadku osoby o nieposzlakowanej reputacji, świetnej prawniczki, powszechnie szanowanej, wieloletniej skutecznej strażniczki porządku konstytucyjnego w republice (wiele lat przewodniczyła Sądowi Konstytucyjnemu), a do tego do niedawna – znakomitej premier rządu przejściowego, która swoją wyważoną i mądrą działalnością na tym stanowisku w niezwykle trudnym i pełnym napięcia okresie wniosła ogromny wkład w uspokojenie sytuacji politycznej w kraju i wyprowadzenie go na normalne tory, zastąpienie zaskarbując sobie powszechny szacunek i sympatię w całym politycznym spectrum.

Cóż, nauka radziecka zna i takie przypadki – chciałoby się zacytować kiedyś żywy bon mot...

A tak naprawdę, to, jak widać, człowiek niepoznaną tajemnicą jest – a to się zagada, a to się napije...

MICHAŁ BUKOWSKI

Marian Lech Bednarek

Ślub Deprofundisa i Omerty*

Deprofundis i Omerta idą do ślubu
biada mi
może dojdą

O! patrz
wszyscy w oknach
wypełniają każdą szczelinę
by coś dojrzyć

już są na zakręcie
biada mi
choć przypominają procesję
biada biada mi

idą do ślubu
ale chcą zmienić ubranie
bo droga ich daleka
wchodzą do oberży – dzisiejszy Motel
Omerta staje przed lustrem
i poprawia makijaż
Deprofundis poszedł się wysikać
i napić piwa

po nocy spędzonej w uściskach otmętów
wyruszyli w drogę
dopadły ich media i roje ciekawskich
nigdy nie widziano takich twarzy i ruchów
takich strojów każda garderoba została pokonana
nowy alkohol gdzieś się rodził na ich przywitanie
oj biada mi biada
ale trzeba się napić Panie
w kurzu ruszyli dalej

teatr ich rozrastał się bo ślubów nie brakowało
a Deprofundis z Omertą w nich przodowali
bo to był wieczny ślub z płaczem ukrytym za płotami
i dziurami w sztachetach jak oczy pamiętliwe

ale Deprofundis i Omerta tym widowiskiem
tak zdziennili dorosłych że wypełniły się wszystkie teatry
nad każdą rzeką odprawiano rytuały i obrzędy
by się już więcej o duszę Deprofundisa i Omerty
ludziska nie dopytywały

Ale Deprofundis i Omerta wciąż idą do ślubu
oj biada mi biada bo cóż to za ślub
gdy z kukłą trzeba podskakiwać hop-siup
a „Lilie” wieszczą nadal cicho szumią
że ofiary podszyte dzieckiem
głośniej od nich z bólu wyją

To jest bardzo zadziwiające, gdy szmata wieczoru staje się
coraz bardziej wyrazista i jej treść służenia i ciężkiej pracy
jakimś wzorkiem do nas gada i fakturą postrzępioną przypomina
kim naprawdę jesteśmy.

28.06.2020

Szmata

szmata jest królową mojego kraju
a może i całego świata?
za dużo tego zeszmacenia we mnie
by to ocenić

gdzie nie pojedę wszędzie rządzi szmata
ale na Zachodzie szmata jest bardziej kolorowa
niż u nas

u nas rządzi szmata szara
z patosem wyklada się ją w szkole w telewizji w gazetach
w kościele nikt jej przynajmniej nie koloryzuje
dlatego mamy szmacianą wiarę ale wiarę

gdy włączysz szmatę z rana zaczyna dzień od wypadków
ilu zabitych ilu rannych potem są podawane szmaciane decyzje
na ile zmieni się życie homo szmatusa
czy warto rodzić małe szmaty czy raczej się nie opłaca
potem jakiś szmaciany humor wylewa się nam na twarz
by go łyknąć ze śniadaniem

więc De Profundis się odzywa w zeszmaconym człowieku –
Z głębokości wołam do Ciebie Panie.....
daj mi chociaż jakieś fajne ciuchy nadziei
to się w nie ubiorę

by mi nawet anioły zazdrościły
bo chcę ten dzisiejszy dzień rozpocząć przeciw szmacie
właśnie uważam by śniadanie mi się nie zeszmaciło

12.11.2029

29.03.2020

* De Profundis- Z głębokości wołam do Ciebie Panie... (Psalm 29)
Omerta – kościelna i społeczna zmowa milczenia

Tomasz Kunicki

Askał ja mógłbym to wiedzieć. Często obok mojego domu bez żadnego ostrzeżenia pojawiają się wygwizdując swoje melodie tajemniczy fletmistrzowie ze wschodu, próbując zakłócić mieszkające w ogrodzie owady tak by wyniosły oknami drogocenne błyskotki, nie wiedząc jednak, że jest to poryt a nie złoto, specjalnie wystawiony na widok dla takich jak oni, kiedy ja w pośpiechu przygotowuję swoje napary. Szczerze mówiąc, myślałem, że słońce zemdlało lub coś w ten deseń, pogoda była okropna, gorąco i buro jednym słowem tragiczny dzień na uprawianie alchemii.

Rewolucje wrzały w całym mieście na ulicach powystawiane były namioty, jak wioski stepowych koczowników upatrujących swych ofiar, jak śmieli sprzeciwiać się prawu.

Pewien objazdowy brzuchomówca w swym przedstawieniu odgrywał godzinami tę samą scenę, znieważającą całą wspólnotę przypowiadając - coś w podobie Kandyda albo innego pokarmu obmierzonych sceptyków.

Notałka „Jedenastego dnia miesiąca pierwsza osoba przyjęta wraz z meloksykaniem na kręgosłup cztery krople naparu testowego.”

Zdjęcie wielkiego przywódcy wychudzonego do kości, z wystającymi żebrami wisiało na miejskich latarniach, ale rewolucjonści byli nieustępliwi. Błogostawiony nie opuścił domu od 7 miesięcy, a wszelkie dostawy żywności były sukcesywnie blokowane. Nikt nie mógł przyjąć rozkazów, gdyż były zagłuszane wielkim harmidrem gdy tylko przywódca wychodził na balkon by wygłosić coś innego niż oficjalne spełnienie rządu. Jego zapadłe policzki wystawały ze starczej twarzy, a zmęczone oczy ze smutkiem oraz mechaniczną już nieustępliwością wpatrywały się w pustkę.

„Dzień czterdziesty trzeci. Druga z testowanych osób podczas przyjacielskiej rozmowy w trakcie zabiegu data się namówić na trochę dyskusji politycznej. W jego dotychczasowych poglądach można było odnaleźć coś jakby przeświły, pierwsze przebłyski wątpliwości. Czyżby sukces? „

Starą metodą prania mózgu jest wprowadzenie przeciwnika w konfuzję tak zwanym Ciastem Urodzinowym. Bez zapowiedzi, w przerwie od tortur i zamęczenia nagle kilkanaście osób wkłada na głowę kolorowe papierowe czapki i zaczyna celebrować dzień narodzin ofiary, śpiewając piosenki, żartując a w końcu przynosząc dla wszystkich ciasto urodzinowe. Jest ono podawane zdeorientowanej ofierze (która swoje urodziny obchodziła akurat w początku grudnia, a jest dajmy na to połowa sierpnia (co za piękny czas na pranie mózgu)) która wygłodniała zjada ciasto. Chwilę potem wszyscy wychodzą i jak gdyby nigdy nic powracamy do tortur i katusz połączonych z agresywną indoktrynacją.

W ósmym miesiącu wewnątrz obozu protestujących utworzył się mniejszy obóz. Byłem niemalże przekonany, że jest to moja zasługa. Profile osób zgadzały się z moimi pacjentami, również ilościowo według wyliczeń, mniej więcej tyle przyjęło wywar. Musiałem jednak wykluczyć możliwość tego, by wśród obozu protestujących wewnątrz protestu wytworzył się kolejny obóz - protestujących wobec protestujących wobec protestu - i tak dalej. Zmniejszyłem podawane dawki.

W mieście od pewnego czasu krążyły pogłoski, że przywódca nie żyje. Najpierw gdy przez kilka dni nie pokazywał się na balkonie, lub chociaż jak to się przyjęło - rankiem w oknie, wpadliśmy w zachwyt, byliśmy przekonani, że znaleźliśmy sposób ucieczki, być może podziemny podkop, choć patrol rewolucjonistów pilnowały kanałów w około wielkiego domu, a może nocą wyfrunął tylnym oknem na własnoręcznie skonstruowanych z domowych przedmiotów skrzydłach, ale kiedy przez następne dni nie dostawaliśmy żadnej wiadomości, zaczął się pojawiać niepokój. Teraz mija drugi tydzień od kiedy nie dostajemy wieści, protestujący zdają się tym nie przejmować. Nie chce myśleć o tym co stanie się jeśli go nie będzie.

Nadeszła wiosna. Po mieście latały płatki dmuchawców. Obóz wewnątrz obozu był już na tyle duży by wzniecić bunt. Wałki trwały dobry tydzień, ale w końcu udało się. Od razu po zajęciu pola protestu, walczący przebili się do domu władcy. Okazało się, że dom był pusty.

Nie było tam ani wychudzonego szkieletu, ani żadnej wskazówki gdzie go szukać. Ponieważ balkon znajdował się bardzo wysoko, na poziomie jedenastu pięter, a przywódca, człowiek niewielki, jeszcze przed rozpoczęciem protestu przy każdym wyjściu otaczał się ciasnym kółkiem przybocznej straży, nikt dokładnie nie wiedział jak wygląda z twarzy. Rozpoczęły się wielkie poszukiwania, wszczęto specjalną komisję która miała na podstawie sposobu wypowiedzi, postury, oraz informacjach na temat państwa testować wszystkich zgłaszających się jako domniemany władca kandydatów. Do zespołu przychodziły setki zgłoszeń z całego kraju, ludzi czasem bliźniaczko podobnych do wizerunku władcy, a czasem srogich olbrzymów z pogranicza pogrywających sobie z komisją, być może jako zemsta za zeszłoroczne wysokie opodatkowanie płotów tak niezbędnych do sztuki pasterstwa, gdyż ludzie prowincjonalni nie znali podziałów politycznych - dla nich władza była władzą. Niestety po wielu tygodniach pracy nie udało się znaleźć nikogo kto choć w siedemdziesięciu wymaganych procentach odpowiadałby podawanym cechom. Wielokrotnie rozkładano dom, składano go z powrotem odwracając części i przedstawiając piętra, ale w żadnej konfiguracji nie udało się znaleźć władcy który według miejskiej legendy zamurował się na wieki w jednej ze ścian. W tych ciężkich czasach porzuciłem swe alchemiczne pasje, zająłem się dokarmianiem dzieciątów i popołudniowym rozmyślaniem o tym czy to co zrobiłem przyczyniło się do obecnej sytuacji. Państwo czekało prawdopodobnie wieloletnie bezkrólowie, brak celu, ogólna niemota, aż wreszcie zupełne zaniknięcie jakichkolwiek działań i po prostu, po ludzku - koniec. Zastanawiałem się czy była to moja wina

KTO MIESZKA W BUDCE DLA PTAKÓW

i czy gdyby nie mój wpływ rewolucja nie potoczyłaby się inaczej. Może w końcu władca zamknięty w swym domu wymyśliłby sposób ugody który nie godziłby w honor wspólnoty. A może, jak mawiali niektórzy, nie było w ogóle żadnego władcy, przecież widzieliśmy go już tak dawno temu, że zamieniał się w jakiś niewyraźny mająk, sterczący niemrawo na swym białym balkonie, chociaż ja osobiście w tę wersję za bardzo nie wierzyłem.

Teraz już jako starzec być może bardziej wiekowy niż kiedyś władca, przysiadłem na drewnianej spróchniałej ławce i wpatrywałem się w rudę domu wyglądającego jak rozsypana wieża z drewnianych klocków. Kim był ten który nas opuścił i dokąd się udał? Jak odruch umierającego potwora powstały wiodące donikąd dziedziń nauki mające wytłumaczyć tożsamość jak również i niewiadome pochodzenie przywódcy. Ale wszystko to miało spalić się, zwiastując nas na manowce. Mieliśmy już niewiele czasu, nie było nikogo kto mógłby nas uratować, a najdobitniejszym symbolem tego co nas czekało był właśnie ten przeklęty ogołotony dawno ze wszystkich mebli pustostan który cały czas wydawał się kusić swoją zagadkowością poszukiwacza, puste okiennice zdawały się tupać z podstępnej twarzy która uśmiechając się figlarne miała nigdy nie zdradzić nam tego co stało się wewnątrz. Co mogłem zrobić? Siadałem każdego popołudnia i ćmiłem powoli tytoń z eukaliptusem w swej fajce wpatrując się z wyrobioną przez lata pokorą w nigdy nie mającą się rozwiązać tamigitówkę.

TOMASZ KUNICKI

Tomasz Kunicki, ma 20 lat, mieszka w podwarszawskim Lachorzewie - jest poetą, producentem muzycznym, członkiem kolektywu artystycznego Bypass oraz ilustratorem. Jego prace plastyczne można znaleźć na stronie Ozzie Bypass na instagramie lub facebooku.

PROZA

Andrzej Katzenmark

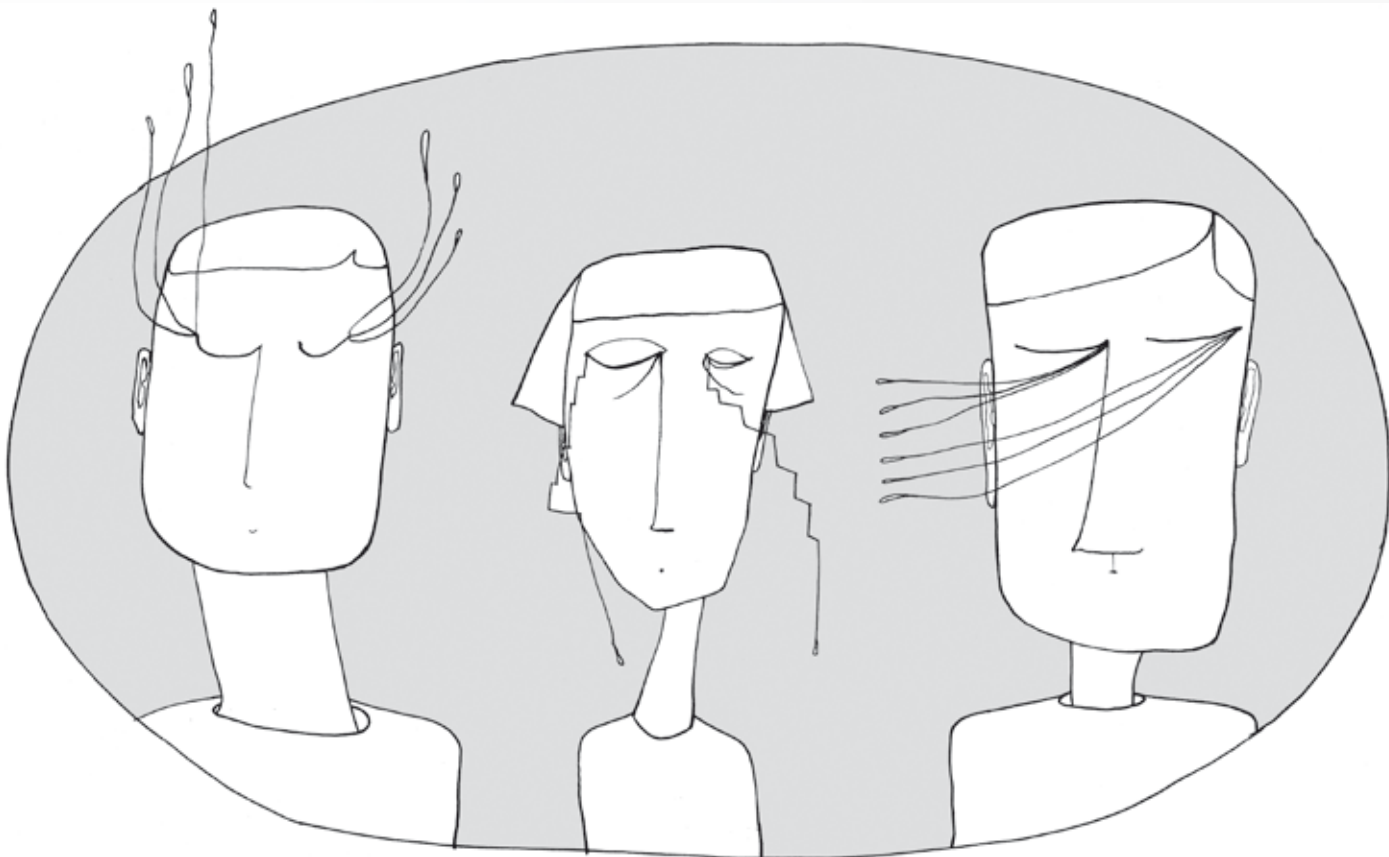
PISARZ I POLITYKA – SZKICE Z POGRANICZA

Otóż ono [daimonion] mi nie pozwala zajmować się polityką.¹

To zdanie Sokratesa wyraża przekonanie o wielkiej niedoskonałości polityki i polityków. Zaraz potem z charakterystyczną dla siebie ironią dodaje: *Wierzcie mi, obywatele, gdybym się był kiedyś zajął polityką, dawno bym był zginął.* Ironia polega na tym, że Sokrates nie bał się

To wzgórze Golan, a tylko czasami idylliczne Karpaty słowacko-polskiej granicy. Polityka dysponuje potężnym instrumentarium działania. Literatura natomiast demonstruje nieobliczalną siłę oddziaływania. Ona wciąż przekracza granice z innymi włościami, przekracza i granice spodziewania się jej, i własne, wyznaczone przez piszącego lub piszących; to najlepsze określenie, jakie

ciekawy, przypominający o różnicy między głupotą i mądrością. Zamknęli lasy w dobie koronawirusa, to nie tylko niezrozumiałe, to karygodne – odnoszę się do zdarzeń aktualnych – nadal będę chodził po lesie. Wystarczyło zakazać leśnych pikników i biesiad. Polityczna konieczność zaiste jest nieświadoma i należy ją przeżywać z dozą niedowierzania i podejrliwości.



Karola Zielińska

śmierci w obronie imponderabiliów, a zarazem domyślał się, że czeka go kara główna. Polityka wypacza człowieka, zdaje się mówić filozof, dużo częściej, niż pozwala mu na trwanie przy niezwykłych zasadach.

Od kilku lat mierzę się z tym granicznym problemem wywołującym we mnie tyleż frustracji, ileż niezrozumienia. Niełatwo mówić o tym drugim, nie narażając się na zarzut jakiejś stabości czy aberracji, bo wydawałoby się, że skoro polityka się dzieje, a literaturę się pisze lub czyta, istnieje między nimi wyraźna cezur. Niestety, tak idealny podział czy życiowych czy intelektualnych domen nie istnieje, a granica przekraczana jest tylekroć, ilekroć ludzka wola zapragnie. A gdzież budki strażnicze, jakiś odwach na rogatkach? Są i owszem, ale od czegoż zielona granica, piękno ryzyka kontrabandy, wielka niedźwiedzica podstępów, żartoczne żmije zakusów i żandarmi walczący o rząd najdziwniejszych dusz świata. Nie od razu nastawiam się przeciw polityce. Ale trzymam stronę literatury, która w starciu fizycznym jest stroną słabszą, co podkreślić mieli owi żandarmi-politycy. Gdybym zaatakował literaturę, zaatakowałbym tych pięknych, o których przed chwilą delikatnie napomknąłem.

zdołałem wymyślić dla wolności tworzenia. Nie anektuje, lecz sama również nie może być anektowana. Nawet z popiołów potrafi się odrodzić.

Tak jak nie istnieje nakaz polityki, nie istnieje też nakaz pisania. Tkwi atoli w człowieku od zarania mowy homo politicus et litterarius. To polityk Kain zabił Abła. To polityk Romulus zabił brata Remusa. Tak zaczęły się dzieje polityki i literatury. Zapewne jednocześnie, bo czyż ptak kolorowy pośród drzew nie zachwycał równie mocno jak wybite zęby sąsiednim plemionom. Literatura pozostawiła legendę o bratobójstwie. Opowieść biblijna sławi Abła, gani zbrodnię brata. Romulus, choć zabił Remusa, zyskał sławę założyciela Romy. Remus przepaść w odmętach starych opowieści, choć nie ustępował bratu walecznością. Czyn ponad myśl wyniesiony w *Ab Urbe condita* Liwiusza. Tu historycznie i literacko zwyciężył polityk.

Tak polityk postąpił wobec rycerza idei. Wolność atoli została naruszona. Tu nie ma ani literackich, ani moralnych wątpliwości. Konieczność i wolność pozostają w takim samym stosunku do siebie, jak to, co nieświadome, do tego, co świadome. Sztuka zatem polega na tożsamości świadomego i nieświadomego działania.² Punkt widzenia

Literatura eksploruje to samo terytorium, co polityka. Tą krainą jest życie. To tu dochodzi do starć człowieka z człowiekiem, domen z domeną, idei z ideą i człowieka z nimi. Twórczość literacka jest dyskursem między językiem a życiem. Tylko w ten sposób można wykreślać piękno. *Literatura [...] ucieczka nie od życia, tylko w głąb życia* (Connolly). – *To mi się podoba.*³ Tak zazwyczaj się dzieje. Jeżeli czytam, to w głąb, w głąb myśli, stylu i odczuwania, jakbym lingwalnymi korytarzami zmierzał in medias vitam. Jeśli piszę, to także w głąb życia, w głąb siebie. Polityka wydaje się bardziej powierzchowna, bardziej syntetyczna i skora do zewnętrznego naginania rzeczywistości.

Pisarz nie może być politykiem par excellence. Nie potrafię rozstrzygnąć czegoś przeciwnego, czy polityk mógłby zostać pisarzem. Tylko po co? Dla politycznej stawy poprzez te same przekłamania, usprawiedliwienia i zmilczanie niewygodnych faktów. Pisanie bowiem ex necessitate zbliża się do owej granicy, na której celnik pyta o przemycaną treść, a strażnik sprawdza narodową tożsamość. To przejście graniczne strzeżone przez polityków. Niechętnie kogokolwiek wypuszczają, jeszcze bardziej

niechętnie wpuszczają. Kto wchodzi w świat polityki, nie może bezkarnie opuścić tego państwa nawet na skrzydłach stów. Kto w celach przemysłowych przekracza jego granice, musi się liczyć z karą. Wynoszenie informacji, a tym bardziej jakakolwiek pisarska agitacja są niedopuszczalne, choćby wypowiadały prawdę prawd. Polityka lubi zadymione i cieniste gabinety. Nienawidzi słońca. Trochę inaczej politycy: lubią przechadzać się w blasku.

Literackie państwo natomiast wpuszcza wszystkich. Nie zatrzymuje nikogo. Wchodzić, Niemcy, Czesi, Anglicy, Rosjanie, islamici, chrześcijanie, Murzyni, Indianie, ekstremiści, bankowcy, złodzieje, przemysłowcy... Nie ma dla literatury społecznych granic. My, poeci. My, pisarze. My, artyści. Bracia, Moskale! Jeśli w czyichś literackich ustach zarysowuje się jakaś granica, oznacza ona formalny upadek owego pisarstwa, szlaban, a za szlabanem fałsz. To egalitarne audytorium przypomina ludzi spotykających się językiem migowym, który nie zna granic państwowych czy narodowych. Co mogłyby znaczyć słowa: *jestem polskim pisarzem, tylko polskim?* Bez określonego kontekstu, wypowiedziane ad hoc, stają się bełkotem.

Nie wystarczy jednak przynależeć do grupy pisarskiej i fraternizować się z jej przedstawicielami. Należy walczyć. Nie wyobrażam sobie sztuki pisarskiej bez szranków i bez oręża. Szybciej wyobrażę sobie państwo bez tradycji, niż literaturę bez walki. Z czym walczyć? A choćby z wiatrakami. Każda drzazga czeka na wypowiedziany okrzyk niezadowolenia. Polityka (rząd, politycy) zawsze gdzieś tamie kręgosłup wolności. Przeroż sztuka (z literaturą niosącą artystyczną chorągiew) winna z nią walczyć. Nie ma przegranych bitew, są tylko opuszczone pola, a potem partyzantka. Czy nie należy wierzyć w człowieka? Nie. Głoszą to prawdę Pitagoras, głoszą ją także antropologowie. Doświadczenie historyczne zachwiało wiarą w uniwersalność ludzkiej natury, antropologia musi zatem przyjąć do wiadomości, że interpretowany przez nią człowiek jest zawsze człowiekiem w określonej sytuacji historycznej.⁴

Historia leci jak bumerang. Tylko czekać, aż oberwie się jej skrzydłem w łeb. Literaturo, doceniaj historię! Tylko w jej cieniu jesteśmy wyraźni, sensowni i jaśni. Nie wystarczy fakt, że człowiek ma dwie ręce, dwie nogi, mózg i czasami się śmieje. Trzeba sprawdzić, rekonesansów wsłuchać dziejów, wypraw w głąb życia. Czy Plessner nawołuje do względnej miary czynu, do usprawiedliwień dziejowych typu: *takie to były czasy?* Z pewnością nie. Twierdzi, że tylko człowiek osadzony w historii takiej ocenie podlega, bo jest widoczny i odcina się od tła.

Jeśli człowieka rozumieć jako twórcę miejsce powstawania jego świata duchowego, którego wartości i kategorie dają mu podstawę do ujęcia i odnoszenia się do siebie samego, jego współświata i świata otaczającego, jako miejsce powstawania jego własnego „a priori” i już z góry określonych możliwości istnienia, chcenia, odczuwania, to teoria dążąca do objaśnienia tej twórczej roli nie może być ani empiryczna, ani aprioryczna. [...] To, do czego człowiek jest zdolny, pozostać musi otwartym gwoździem uniwersalności spojrzenia na życie ludzkie w całej rozległości kultur i epok.⁵ Nie sposób ująć człowieka w cugle konkretnego i konieczności. Nie może się też rozpylić w labilnej ogólności. Ach, człowiek. Człowiek, to brzmi dumnie. A zwłaszcza człowiek radziecki w ustach sowieckiego człowieka pióra.

Mill zaś eksponuje siłę ludzkiego rozumu, który jawić się może w świecie podobnym

odszczepieństwem jak ruch albigensów w oczach inkwizycji. Ludzie przeciętni mają nie tylko umiarkowaną dążność do rozumu, ale i skłonności; nie mają gustów lub pragnień dostatecznie silnych, by ich skłaniały do robienia czegoś niezwykłego i w konsekwencji nie mogą pojąć tych, którzy je mają, i zaliczają ich do kategorii ludzi dzikich i niepowściągliwych, na których zwykli patrzeć z góry.⁶ Bywa atoli odwrotnie, kiedy to pyszny rozum tryumfuje nad człowiekiem pocziwym. Nie muszę chyba zapewniać, że i do polityki, i do sztuki ów rozum jest niezbędny. Wystarczy korzystać. Sztuka przed Hunami obroni się sama, polityka – podobnie, lecz z niewspółmierną synchronią oporu. Podczas swojego panowania ta ostatnia sieje strach i zbiera wielkie żniwo ofiar.

Pisarz myśli dogłębnie, kiedy pisze lub gromadzi materiały, pomysły, sporządza notatki. Poza tym chodzi do sklepu, do parku, spotyka się z przyjaciółmi, biega po lesie. Polityk jak aktor zawsze i wszędzie występuje: kiedy przemawia do narodu (ludu), kiedy szepcze zaufanemu, co zamierza zrobić, kiedy naradza się z innymi politykami, kiedy przyjaciele proszą go o kilka stów na temat rządzenia. Jest technikiem i księgowym myślenia, jest autocenzorem swoich wypowiedzi i pism, a ponadto sprytnym watażką. Pisarz może być watażką, ale nigdy księgowym, który analizowałby rubryki ma i winien. Myśli w zupełnie innym kierunku: w stronę wypełnienia twórczej idei. Wszyscy ci, którzy nie postępują w myśl reguł logiki *equina*, innymi słowy ci, którzy są zdolni do w pełni niezależnego myślenia, nie mogą zostać zmuszeni do zaakceptowania poglądów promowanych przez rząd. Prześladowanie nie może przeszkodzić w niezależnym myśleniu.⁷

Amicus Plato, sed magis amica veritas. Nie może być wielkim myślicielem ten, kto nie uznaje, że obowiązkiem jego jako myśliciela jest iść za intelektem bez względu na to, do jakich wniosków może on doprowadzić.⁸ Parafrazując, nie może być pisarzem ten, kto dla jakichś pozaliterackich celów nie głosi idei piękna. Kto zataja lub wykręca się od prawdy, ten kłamie. Nie wystarczy znajomość chwytów polemicznych, aby twórczo odnieść się do rzeczywistości. „Sztuka” takiego pisania, by pobudzała ono myśli czytelnika i było twórczo odbierane, ma niewiele wspólnego ze zwykłymi środkami sztuki retorycznej lub estetycznej. Raczej polega w zupełności na prowadzeniu do myślenia o danej myśli.⁹

Konflikt literatury i polityki trwa, od kiedy człowiek zamieszkał ziemię, a raczej od kiedy przemówił. Lecz *necessitas humana* wypalała w umyśle konieczność pisania i działania. Dziwne to, że ludzie przyjmują prawdziwość argumentów na korzyść swobodnej dyskusji, lecz oponują przeciw „wyciągnięciu z nich końcowych wniosków”, nie rozumiejąc, że jeśli te racje nie są dobre w końcowym wypadku, to nie wystarczą i w żadnym innym.¹⁰ Pisarska konsekwencja jest koniecznością w dociekaniu prawdy, w ujmowaniu życia jako pasma znanych, choć zaskakujących faktów. Jeśli piszę, odwołuję się do logiki, przywołuję siłę i piękna. Ekstrema są właściwe dla uzyskania piękna. To między nimi płyną fakty i myśli.

Empiria nie skąpiła nikomu dowodów na istnienie literacko-politycznego sporu. Polityka kolbami w drzwi tokotała, a literatura rżnęła karabin w bruk ulicy lub nasuwała bagnę na broń w imię obrony przed wrogiem. Polityka wymykała się przez zaleszczyki, a literatura chwytła swoje orężne pióro w ojczyźnie lub na obczyźnie. Są rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli. Nawet patriotyzm niejedno ma imię. I niejedno

jest państwo, w którym żyje. Najwcześniej od strony teoretycznej poznaliśmy ten problem dzięki mistrzowi pióra, Platonowi.

Często interpretacje Państwa Platona usiłują legitymizować prowadzony przez Mistrza polityczny dyskurs, twierdząc, że taki autorytet nie może się mylić. Amicus Plato... Już cytowałem. Udowodniano więc, że ów dialog jest prezentacją utopii, w której wypędzenie poezji zarysowuje tylko warunki idealne; albo że skierowany jest on przeciw sofistom uznającym jakoby poezję za *vademecum* po różnych dziedzinach życia; że nie chodzi o całą poezję, a tylko o tragedię zbyt realistycznie demonstrującą rzeczywistość; że jest to wprawka dydaktyczno-szkoleniowa; że wreszcie jest to atak na współczesne filozofowie instytucje edukacyjne. Niektórzy atoli śmiałowali jak Popper nazywając platońskie państwo totalitarnym. Ale większość próbuje racjonalnie tłumaczyć intelektualne wygibasy Platona. Nawet sam Platon.

Napisano o tym tysiące uczonych ksiąg. Jednakże nikt ze znanych mi specjalistów nie spróbował eksplikować tego faktu inaczej: że oto poezji nie odpowiada państwo. Powszechnie sądzi się, że pośród ironicznym uśmiechów polityków poezja zostaje wypędzona z państwa. Owszem, bywały takie próby. Zawsze kończyły się niepowodzeniem i śmiercią wielu przyzwoitych ludzi. Jeśli *licentia poetica* opuści swój warsztat, jeśli uzna to za krok konieczny, państwo stanie się atrapą, a politycy jawić się będą śmieszni i nadzy. Pisarze nie muszą stać z walizką na Dworcu Gdańskim i wyjeżdżać. Wystarczy, że zamkną. Wystarczy, że nie opowiedzą tego, co mieli opowiadać we zwyczaj. Wystarczy, że w katakumbach zaczną pisać wiersze o swoim (powszechnym) cierpieniu. Przypominam, że Państwo nie jest już tylko dziełem Platona. Ono jest dziełem tradycji, czyli naszym, także moim.

Już bowiem Kant powiadał, że utwór literacki potrafi przewyższyć zamysły autora, oderwać się odeń i żeglować po umysłach zapaleńców, którzy odczytują w napisanej księdze kolejne nieznane palimpsesty. Podobnie inny niemiecki myśliciel: *Tak więc utrwalenie na piśmie właśnie dlatego, że sens wypowiedzi całkowicie oddziela od jej autora, czyni samego rozumiejącego czytelnika arbitrem prawdziwości tekstu. Właśnie dzięki temu czytający doświadcza prawdziwości tego, co doń przemawia i co on rozumie. To, co on rozumie, jest zawsze czymś więcej niż tylko cudzym poglądem – jest możliwą prawdą.*¹¹ Stąd mój postulat: poezjo, opuść takie państwo, w którym strażnicy decydują... Politycy zwykli czytać książki na swój własny sposób, niektórzy tak przewrotny, że ich autor w grobie się przewraca, a czytanej księdze marszczą się stronicę.

U wspomnianych komentatorów Platńskiego Państwa dominowało usprawiedliwienie. Państwo takie było pomystem filozofa, szczególnie, ale dającym się jakąś racjonalną hiperbolą uzasadnić. Voegelin broni Platona *explicite, expressis verbis*. Filozof sprzeciwia się poetom ze względu na mimetyczny charakter ich pracy. *Mimesis*, imitacja, jest naganna z dwóch powodów. Po pierwsze, imitacja nie jest oryginałem, a filozof poszukuje bytu „oryginalnego”, idei. *Rzemieślnik wciela ideę w swój produkt, jak na przykład ideę stołu w stół, w pewnym sensie imitując ją – a malarz, który przedstawia stół na swoim obrazie, będzie wobec tego imitatorem imitacji.* [...] Artysta mimetyczny nie próbuje przedstawić, nawet w trzecim stopniu, prawdy oryginału, ale przedstawia wizerunki oryginału – takie, które będą się podobać odbiorcom.¹² Autor

→ **ESSEJ** Platona przyjmuje zatem trzecią imitację jako argument słusznego rozumowania starożytnego filozofa na temat literatury i sztuki. Godzi więc w sztukę pisaną i malowaną stychem idealizmu. To za mało, żeby się pozbyć poetów i malarzy z państwa przez kogoś, kto w swej krytyce staje się czwartym albo jeszcze dalszym imitatorem. Obrońcy platońskiego państwa muszą zdawać sobie sprawę z tego, że w swym apologetycznym natchnieniu tworzą kolejny poziom imitacji.

Artysta mimetyczny – kto to taki? To jakiś oksymoron albo presupozycja. Skoro artysta, to nie mimetyczny. Nawet Platon nie powiedziałby tego, a powiedział. Polityka potrafi intonować swoją pieśń równie poetycko jak homerycki heksametr i równie logicznie jak Talesowy wykład. Jej język opiera się na niedopowiedzeniach, a jej logika na retorycznych przeskokach i unikach. *Homer był zaiste poetą mimetycznym „trzeciego stopnia oddalenia” od rzeczywistości; i żadne twierdzenia, że jest on nauczycielem Hellady (606a) nie dają jego dzieciom prawa wstępu do dobrego państwa.*¹³ Voegelin to człowiek niebezpieczny, człowiek, co sam kwituje, *czwartego oddalenia*. W tym momencie ta idealistyczna retoryka umieściłaby mnie jako autora piątego oddalenia, a tych, którzy komentowaliby moje komentarze – jako autorów szóstego oddalenia. I tak ad infinitum. Tak przeprowadzone rozumowanie na temat imitacji przypomina argument trzeciego człowieka.

Nie wystarczy jednak stwierdzić, że *Paideia* filozofa walczy o duszę człowieka z *Paideią* mitu¹⁴. I nie zmienię tego odczucia dodane dla wzmocnienia słowa: *Atak na poezję mimetyczną od Homera po czasy Sokratesa wyraża jedynie prostą prawdę, że wiek mitu dobiegł końca*¹⁵. To spojrzenie kogoś, kto transponuje czas obecny i chciwny w mglistą przeszłość, która na dodatek nie może się przed tym atakiem bronić. Wiek mitu trwa w najlepsze i będzie trwał, choćby nie wiem, jak zaklinać człowieka. To w człowieku bowiem tkwi religia, polityka i literatura... i socjalizm, powiedzieliby nasi stalinowscy antenaci.

Takie państwo z pewnością by upadło (są przykłady), choć rachunki krzywd byłyby niepoliczalne (istnieją rachunki). A my? Zazwyczaj reżym w dłuższej perspektywie zaczyna występować sam przeciw sobie. Przez swą reżymowość. Udręczona cier-

pliwość człowieka doczeka kresu ucisku. A największych konsekwencji ideologii nie odczują ci, którzy jej się sprzeciwiają, ale ci, którzy ją głoszą. Największą szkodę wyrządza się tym, którzy nie są heretykami i których cały rozwój umysłowy jest skrepowany a rozum sterroryzowany obawą przed herezją.¹⁶ Zanim jednak nastąpi rozwiązanie owego spięcia, na ciągłym iskrzeniu może upłynąć całe nasze życie.

Pisarz jest bardem własnego indywidualizmu, a tym samym wolności życia i tworzenia. Szczególnie pierwaj albo w pył się obróci, nim uwięźnie na pasku władzy albo jakiejś partii, albo na czymkolwiek pasku. Będzie gryzł munsztuk aż do śmierci. Można czuć pętlę, można samemu się zapętlić, nie można atoli trwać w zapętleńiu, twierdząc, że to takie czasy. Nie można więc czekać – mawiali pitagorejczycy – aż własne nieszczęścia nauczą nas tego, co najlepsze.

Mój ojciec opowiadał mi o objeżdżającym wielkopolskie miasteczka człowiekugumie. Rzecz działa się przed wojną. Tłumy przychodziły na jego występy. Ów gimnastyk wykonywał tak akrobatyczne wygięcia i przybierał tak nieprawdopodobne pozycje, że zaskakiwał ludzką wyobraźnię. Po latach ojciec wskazał mi na współczesnej scenie politycznej tych przedwojennych akrobatów. Nie mogłem się oprzeć trafności tej paraleli. Oczywiście, po stronie literackiej przykładów też nie zabraknie. Jeśli by jednak użyć zastosowanej w tymże akapicie implikacji, literackości należałoby odmówić pewnym szczególnie lizusowskim tekstom, zwłaszcza tym *ad laudandam personam*.

Początkowo zamierałem pisać swój artykuł w wersji historyczno-literackiej. Z pewnością skupiłbym nad nim więcej czytelników. Barwne koguciki festynu łatwiej pokochać. Ale nie o nie tu chodzi. Odwołuję się więc do wyobraźni i logicznego wnioskowania. Wszak każdy z łatwością przekształci myśl ogólną na współczesne lub minione szczegóły. To dedukcja. Filmy czarno-białe z niemniejszą wnikliwością pokazywały egzystencjalne problemy niż hollywoodzkie superkolory. Człowieka zazwyczaj zajmują sprawy bieżące: czy pisarskie, czy polityczne, czy życiowe. Platon? Jaki tam Platon? Koronawirus – to jest problem aktualny. Jednakże nie groźny bakcył zabiera nam wolność, ale politycy uznający niebezpieczeństwo za wystarczający powód do zamknięcia lasu, w którym od kiedy pamię-

tam nie było żywego ducha, a ja czułem się swobodny jak elektron.

Jako intelektualista i umysł twórczy zadowolić się udziałem, na swoim miejscu, w życiu umysłowym swojego czasu, swego kraju, omawianiem problemów, które tu i teraz są pod dyskusją; rzucaniem swego zdania na szalę obok zdań innych; współpracą nad rozwiązywaniem zadań, tych akuratnie, które stawiają epoka i okoliczność, czy można w tym znaleźć swą równowagę, i sensu dla swego życia dalej już nie szukać? Nie można. Elzenberg, uśpił i obudził. Współczesność jako życie codzienne i obyczaj to o wiele za mało, żeby pisać umysłowość nie szukała poza nią. Wszak istnieją domeny nietknięte czasem, nietknięte przestrzenią i nietknięte piórem. To je należy rozwijać. To za nimi, za dziejami, za religią, za obyczajem kryją się miejsca nieeksplorowane przez człowieka. Na możliwości wyboru dróg opiera się wolność. Zawsze i wszędzie. Bo cóż oznacza ów program włączania się i współdziałania? Oznacza, że się zrzekam własnego ustosunkowania się do świata, przyjmuję do obróbki tylko materiał, którego dostarczą mi z zewnątrz.¹⁷

Pitagorejczycy, być może jeszcze sam Mistrz, porównywali życie do ludowego święta, którego uczestnicy albo brali czynny udział w obchodach (niewolnicy sławy), albo korzystali z nich jako handlarze (niewolnicy władzy), albo oglądali jako widzowie (szukający prawdy filozofowie). Początkowo żyłbym na ów intelektualistyczny tryptyk wzniesiony nad egzystencjalnym otłazem. Sam trójpodział ludzkich dążeń znajdował aprobatę, ale dzień święteczny nie wydawał mi się właściwą paralelą. Z czasem zaakceptowałem ów dies festus vitae jako panoramiczny obraz życiowych relacji. Autor tej paraleli chciał jedynie zaznaczyć dystans właściwy dla prawdziwego twórcy (filozofa, pisarza): niewchodzenie w komentarze, kamaryle, polityczne poplecznictwo, czyli zachowanie dystansu od wszelkiej fraternizacji i populizmu. Nietatwe.

Sztuka, w tym także literatura, wychodzi poza dziedziny takie jak historia, psychologia, obyczaj, polityka. Nie ma wnętrza i zewnątrz. Jednocześnie jest implozją i eksplozją. Musi jednak podczas owych reakcji emanować mądrością, mową i pięknem. *Piękno jest absolutem oglądanym realnie*¹⁸. Stąd jego nierozumienie i spór od granic relatywizmu po czysty idealizm. Lecz w czasach morowych wolności potrafi znaleźć sposób forsowania murów cenzury. Polityka staje wobec sztuki jak usilnie szukający trzcinki i uderzający na oślep orbiłusz. Zaiste cenzor nie potrafi zamknąć jej ust. Może on [człowiek myślący] wypowiedzieć [swe poglądy] w druku, nie ściągając na siebie żadnego niebezpieczeństwa, jeśli tylko umie pisać między wierszami. Wyrażenie „pisanie między wierszami” sygnalizuje temat tych rozważań, gdyż wpływ prześladowania na literaturę jest dokładnie tym, co zmusza pisarzy o heterodoksyjnych poglądach do rozwijania szczególnej techniki pisania. [...] Każda próba wyrażenia jego treści w języku niemetaforycznym prowadzi do odkrycia nieznanego, pola, które pozostaje jak dotąd niezbadane.¹⁹

Prawdziwe poglądy autora nie są konieczne tymi, które wygłasza on w większości fragmentów swych dzieł. Krótko mówiąc nie należy utożsamiać poprawności odczytania z niemożnością dostrzeżenia lasu pośród drzew.²⁰ Zaiste sposób kamuflowania treści w utworach literackich bywa metodą pisarską w sytuacji nacisku ideologicznego. Dobrze to pamiętają ludzie z mojego pokolenia i starsi. Nawet w części bałwochwalczej literatury można znaleźć zamknięte



Katarzyna Zielińska

w muszlach perły. Miłośnicy Broniewskiego z pewnością zetknęli się z jego wierszem *Słowo o Stalinie*. Z uporem twierdzi się, że trudno o większą czułość niż ta zaprezentowana w utworze poety-legionisty. Nie wiem, czy Broniewski znał Leo Straussa. Wątpię, choć byli niemal rówieśnikami. Ale droga w utworze naszego poety owa straussowska podwójność, ironiczna sprężyna oscylująca między doświadczeniem i kpinką. Tylko się wczynać w amplitudę owej harmoniki.

Nowoczesny historyk może zawsze odrzucić czytanie pomiędzy wierszami jako arbitralną zgadywaną lub – jeśli jest leniwy – przyjąć je jako wynik intuicyjnego wglądu.²¹ Odnalezienie kryjącej się za drzewami lasu myśli wymaga refleksji metodologicznej nad technikami pisarskimi wielkich twórców epok minionych, szczególnie nad typowymi problemami – mętnością planu, sprzecznościami w obrębie jednego dzieła lub pomiędzy kilkoma dziełami tego samego autora, pominięciem ważnych ogniw argumentacji itd.²² Istotna jest myśl, przestanie i głębokie wczytanie. O tym powiada Strauss. Jak odszyfrować owo podwójne, potrójne zawikłanie, nikt nie wie. Nie wie również Strauss. W wolnym kraju można łatwo mówić o własnym lub czyimś przekonaniu, o widzeniu rzeczy niedowiedzianych, o słuszności i niesłuszności czyjegoś światopoglądu, o błędzie i zniewadze, o wszystkim, co się myśli. Ale to nie jest wolność indywidualna. To wolność zbiorowa. Każdy ma do niej prawo. Wolność indywidualna twórcy to owa nie snująca się epickimi lub lirycznymi wersami dzieła. Ją czytamy.

Cóż może kryć ów palimpsest? Z pewnością nie będzie to treść wagi historycznej ani ukryta opowieść, ale raczej ciche wyznanie, nastrojowa ballada o sobie samym, półmroczna konfesia. Nie sposób zaszyfrować faktograficznych szczegółów. Wątpię, czy mogłaby powstać historia literackiego kamuflażu. Potem Strauss próbuje odwrócić poprzednie rozumowanie w sposób dość arbitralny, dzięki któremu założenie staje się wnioskiem, a wniosek założeniem. Jeśli jest prawdą, że istnieje konieczne powiązanie prześladowania i pisania między wierszami, to istnieje też konieczne kryterium negatywne: rozważana książka musiała powstać w czasie prześladowań.²³ Gdyby istniał zestaw narzędzi do badania cech takich palimpsestów, można by je wykorzystać do stwierdzenia, że ich powstaniu towarzyszyły prześladowania. Ale po cóż takie mecyje? Nasza wiedza historyczna jest wystarczająca, żeby podejrzywać (być pewnym), że w pewnych krajach panował (panuje) reżym. Nie ma potrzeby tak ukierunkowanego wnioskowania z dzieł autorów kryjących się przed cenzurą. Żadna wiedza historyczna z takiej analizy nie wypłynie, ale z pewnością warto poddać takie dzieła literackie próbie.

Pełna wolności nie istnieje. To mrzonka. Każdy przebłyśk świadomości przynajmniej na chwilę zaciemnia zorzę wolności. Poza tym odzywa się odwieczny spór między państwem i indywiduum. Na tej granicy nigdy nie będzie swobody wypowiedzi. *Panem et circenses*, wołał lud; państwo to ja, krzychał władca; poeta zaś szukał świątyni dumania, czyli siebie samego, tożsamości z samym sobą w najeżonym obietnicami i niebezpieczeństwami państwie. *Szczęśliwy, z kogo słowo nowe tryska gwałtownie! Niech usta moje będą podobne do ust tego źródła zawsze pełnego, które rodzi się tu, samo z siebie, narodzinami wiecznymi, nie pytając, czy będzie służyło.* (Claudel, *Connaissance de l'est, La Source*)²⁴. Takie wידzenie (słyszenie) twórczości, jakby ptak śpiewał, jest możliwe, ale zakłada psychiczną izolację od

polityki i polityków, którzy jednak skorzy są do umieszczania czyżków w większej lub mniejszej klatce. Można się zaszyć w pustelni, dumać i pisać. Trzeba naprawdę tego myśleć, żeby zastąpić świat swoimi myślami, a jego obraz korkową ścianą.

W człowieku tkwi zarazem pragnienie wolności i porządku. Literatura staje po stronie swobody i wybuchów idei, mrużąc jednak okiem w stronę wydawcy, który stoi w politycznym, kulturowym czy ekonomicznym ordynku. Nie można uciec z Ziemi i pisać. Szybciej człowiek napisze coś w klatce niż na galopującym koniu. Ale też nie wolno się kłaniać każdej politycznej propozycji. Bez przesłedzenia drogi, która zaprowadziła Plessnera do koncepcji człowieka jako ekscentryka natury, nie moglibyśmy jednak przystąpić do wyjaśnienia jego kondycji w kategoriach antropologii kulturowej. Człowiek okazuje się istotą kulturową z samej swojej natury. Stawiając go w sytuacji odródkowej, wyrzucając niejako poza własną orbitę, przyroda z góry przeznaczyla go do wytworzenia środowiska sztucznego. Stąd teza o „sztucznej naturalności” człowieka.²⁵ To tylko lokalizacja ludzkiej egzystencji. Po prostu tak wygląda odziany człowiek w lesie.

Historia i udział w niej człowieka zarysowują ludzki profil o wiele wyraźniej niż nauki przyrodnicze. Bo jakiz byłby udział człowieka w naturze albo w obyczaju? Kto opowiedziałby o tym i jak? Jedynie literatura, w szerokim rozumieniu tego pojęcia, otwiera wrota historii i innych dziedzin. Pamięć jest stygmatem historii, wyobraźnia – literatury, a komeraże – polityki. Wiem, że to uproszczenie. Pokazuje atoli, jakim sferom ludzkiej aktywności poddają się te dziedziny i odwrotnie, albowiem oddziaływanie jest wzajemne. *Despotyzm zwyczajny jest wszędzie stałą przeszkodą do postępu ludzkości. [...] Większa część świata nie ma, ściśle mówiąc, żadnej historii, ponieważ despotyzm zwyczajny jest tam wszechwładny.*²⁶ Mill zawsze ma rację. Tak trafnych socjologicznie obserwacji i wniosków trudno szukać u innych.

Człowiek jest zawsze podmiotem dokonującym refleksji i widzenie go w kategoriach uprzedmiotowionych wytworów tej refleksji pozbawia go swoistego dlań twórczego charakteru.²⁷ To *circulus vitiosus* ludzkiej egzystencji. Chyba znów Plessner dotknął owego nierozstrzygalnego problemu, jak, będąc wewnątrz, znaleźć się na zewnątrz. Ale próbować trzeba. Cała literatura metafizyczna usiana jest tymi próbami. Jak wyjść z obyczaju, z historii, z psychologicznych układanek, skoro tu toczy się twórczość i działanie?

Cóż z dyskusji, która już sama z siebie jest ludzkim wynalazkiem (odkryciem), skoro problemy w niej zarysowane są realne. Dlatego antropologia Plessnera chwytą się historii, która wydaje się naturalna, rzeczywista i twórcza, a ponadto maluje wyrazisty obraz człowieka. Literatura nie rozważa idei pod względem logicznym i nie rozwiązuje problemów ani życiowych, ani naukowych, ani filozoficznych. Literatura ilustruje – niekiedy po granice imaginacji – umysłowe życie człowieka. Tego sama historia nie potrafi. Literatura bowiem wspina się znacznie wyżej i schodzi znacznie głębiej, pijackim choli-jambem szlaja się po rynsztokach, mężnie staje obok bohaterów, podejmuje pieśnią ich czyny orężne, bawi na dworach i salonach, sztydzi lub chwali (nie wiadomo co kpinką), buja w przestworzach śnionego futurum i myśli o tym, co myśleć można i nie można.

Totalitarne rządy nie zabily twórczości, ale zabily wielu twórców. Na różne sposoby. Morderstwo fizyczne, od skrytobójstwa po

skazanie na powieszenie poprzez eksperymenty psychiatryczne, konkuruje z upodleniem, zamknięciem w obozie czy nekaniem aż do śmierci samobójczej – to tylko brewiarz opawczych możliwości polityki państwa. *Groza totalizmu na tym polega, że mnoży on niejako jedno przez drugie: fizyczny nacisk państwowy przez pseudomoralny nacisk społeczny.*²⁸ Państwo totalitarne to całość: obywatele i aparat polityczny. Aparat jest betonowy, natomiast obywatele są różni. I różnic tych nie wytępi ani agitacja, ani miecz. Każdy zaś ma pamięć. Nawet jeśli jest ona nastawiona eufemistycznie wobec krytyki wydarzeń historycznych albo minimalistycznie, albo wrogo, smuga cienia w umyśle pozostanie. Aliści prawda historyczna, trzpień faktu wbitego w oś czasu, nie musi oznaczać żadnego przetomu w niczyich przekonaniach. Niestety! Podobnie dzieje się z każdym faktograficznym uzasadnieniem, również z naukowym. Pisarz podlega tym samym politycznym zawirowaniom, co każdy obywatel, ale zarazem ma większy wpływ na owe zawirowania, a tym samym oczekuje się od niego większej odpowiedzialności, trwania na straży, trwania przy swoim. Rzucone słowo sprzeciwu może mieć moc kamienia wyrwanego z bruku ulicy lub wdzierającej się do miasta wody.

Czy wystarczy, że pisarz mówi prawdę? Niekiedy tak; pisał o tym Strauss; mówienie prawdy wprost jest niemożliwe. Niekiedy słowna ekspozycja czegośkolwiek bywa niebezpieczna. *Ala w samej rzeczy powiedzenie, że prawda zawsze triumfuje nad prześladowaniem, jest jednym z tych miłych fałszów, które ludzie powtarzają jeden za drugim, póki nie staną się konunatami, ale które zbija każde doświadczenie.*²⁹ Żimny realizm Milla zmrza serce i pióro. Umysłowi wolno przyjąć to twierdzenie za pewnik, ale sercu i pióru trudno. Z pewnością polityka traci – widać to w światopoglądowym obciążeniu partii – gdy brana jest zbyt poważnie. *Ala te fałszywą powagę w grze zwalczy się jedynie poprzez bezwzględne poznanie znaczenia tej gry, w której narody wciąż płacą życiem i wiarą.*³⁰ Tak właśnie toczy się walka o prawdę za kulami codzienności. Autor proponuje udział filozofii w obywatelskim wychowaniu ze względu na miejsce człowieka w polityce i polityki w człowieku. Jak dotąd idea Plessnera nie doczekała się pełnej realizacji. Mógłbym złożyć podobną deklarację. Ludzie, czytacie książki, bo w nich mądrość całego świata i obrona przed głupią polityką, głupimi rzadami i beznadziejnymi wyborami. Ciekawe, kto postucha.

Niestety polityka, jeśli idzie o zmierzanie do celu, jest bardziej bezpośrednia niż literatura. Nie ma żadnych zahamowań. Nie dba o dygresję ani grę wstępą. Atakuje partynię jak wilcy. Oczywiście, zachęca do literatury, głosi miłość do ojczyzny prozy i poezji, a zarazem namaszcza tylko swoich, głosicieli partyjnych i wodzowskich hymnów, laudacji, panegiryków, enkomionów, którzy w serwilistycznym zapamiętaniu, niby w poetyckiej wizji, trafiają w oczekiwania opiewanych. Jakże pięknie to odgadli i jak poetycko przedstawili, wzdychają opiewani. Są czuli na poezję i są znawcami wszystkiego, co pochwalne.

Nielubiący postronka i nadmiernego głośkania mają kłopot z utrzymaniem się na powierzchni. A ci piszący tak jak ptak śpiewa, o ile piszą o lasach i łąkach, nie mogą poddać krytyce politycznej teraźniejszości, bo jej nie znają; są niegroźni. W krajach konstytucyjnych nie należy się obawiać, że rząd, całkowicie lub częściowo przed narodem odpowiedzialny, będzie często usiłował kontrolować wyrażanie opinii, z wyjątkiem

wypadków, gdy czyniąc to staje się sam organem powszechnej nietolerancji ogółu.³¹ To przypadek typowy, niby skrajny, ale w demokracji naszej jak najbardziej obecny. Gdzie zanosić pretensje? Trzeba pisać w nadziei, że ktoś będzie czytać.

Przede wszystkim szkoła powinna uczyć czytania. Uczyć, nie zapoznawać z literaturą. Uczyć czytania. Na etapie szkolnym literatura winna być jedynie ćwiczebnym brykiem. Tylko nauka czytania! Ale żadnej polityki historycznej! Kiedy usłyszałem po raz pierwszy ten termin wypowiedziany z powagą ustami politycznych luminarzy, roześmiałem się. To jakaś paranoja, kuchenne drzwi cenzury. Do dziś nie rozumiem tej irracjonalnej nowomowy. Tylko prawda historyczna gwarantuje szczyry dialog. Znajdą się bowiem tacy, którzy w imię owej polityki historycznej zaczną przeczyć faktom. Hume skrupulatnie wypunktował ten przyziemny narodowy fałsz. Gdy nasz naród jest w wojnie z innym narodem, to nienawidzimy tego narodu, uważając, że jest okrutny, przewrotny, niesprawiedliwy i gwałtowny, samych zaś siebie i naszych sojuszników za sprawiedliwych, umiarkowanych i pełnych miłosierdzia. Jeżeli jakiś wódz naszych nieprzyjaciół osiągnie zwycięstwo, z trudnością uznajemy w nim postawę i charakter człowieka. [...] To jest człowiek krwiożerczy i znajduje przyjemność w zadawaniu śmierci i w zniszczeniu. Jeżeli natomiast powodzenie jest po naszej stronie, to nasz dowódca ma wszelkie przeciwne cechy dobre, jest wzorem cnoty, odwagi i słusznego postępowania. Jego zdradę nazywamy polityką; jego okrucieństwo jest złem nierozłącznym od wojny.³²

Istnieje zatem, z jednej strony, moc człowieka, jego siła i zdolność do ustanawiania poprzez politykę ładu jego świata, z drugiej zaś – wytworzona na polityce władza, decydująca o zewnętrznych ramach życia.³³ Podobnie Jaspers: *Polityka rozgrywa się między dwoma biegunami: możliwej przemocy i wolnego współistnienia*.³⁴ W tym wypośrodkowanym klimacie szeroko rozpościera swoje skrzydła literatura. Jak orzeł. Gdy biegun przesuwają się w stronę przemocy, literatura chowa skrzydła i ukazuje milczącą głowę sowy.

Nie ufajmy polityce. Rozliczajmy jej reprezentantów z czynienia owego ładu, gańmy za przekraczanie granic władzy. Bezpośrednie uczestnictwo pisarza w polityce zawsze wymaga jakiejś ambiwalencji (może nawet schizofrenii), która bywa możliwa u genialnych jednostek, ale zawsze rodzi podejrzenie o chęć zarządzania wszystkim, co ludzkie: historią, literaturą, sztuką, nauką, filozofią, i to w granicach niedopuszczalnych przez wolność myślenia i pisania. W moim przeświadczeniu żaden alians polityczno-literacki nie jest niemożliwy, bo zawsze może zaowocować serwilistyczną pieśnią.

Polityka interesuje się literaturą, lecz nie ocenia jej w sposób krytycznoliteracki. Widzi w niej jedną z gałęzi państwowej machiny, podporządkowaną ministerstwu kultury. W obozach politycznych istnieją wyraźne oczekiwania stron wobec pisarzy. Lewica żądać będzie omawiania i rozwiązywania przez literaturę problemów społecznych. Prawica uzna za najważniejsze eksponowanie tragedii i wiktorii narodowych oraz dociekanie tego, czy pisarz jest katolikiem; powinien być katolikiem. Stąd te stare smętne podziały literatury na narodową, społeczną zaangażowaną i inną. Co mógłby powiedzieć minister kultury o Schulzu, którego tzw. wielka polityka narodowa tak zamgliła, jakby go nigdy w Polsce nie było. Perty literatury rzucone przed wieprze polityki.

Polityka, wszystko co się czyni dla niej,

może być wszak tylko środkiem wobec bez porównania ważniejszej sprawy – samej kultury narodu, jego religii, nauki i sztuki. Nie ten duchowny dobrze służy narodowi, który rozjeżdża po wiecach i nawołuje do bicia Żydów, ale ten, który w cichej pracy duszpasterskiej współdziała w pogłębianiu religii narodu, w podnoszeniu jego etycznego poziomu. Nie ten uczony przyczynia się do wielkości narodu [...] który poświęca swoją wiedzę zagadnieniom ultra praktycznym, nie mówiąc już o fałszowaniu jej przez szukanie za wszelką cenę stylu i treści narodowej – ale ten, który tworzy prawdziwą, obiektywną naukę. Nie ten wreszcie malarz ma największe zasługi dla Polski, który maluje plakaty propagandowe, ale ten, który potrafi stworzyć rzeczy naprawdę piękne i wielkie, bez względu na treść i manierę.³⁵ A wszystko leży. A wszystko jest inaczej. Kultura to polityczny blichtr i lśnienie na tle sejmowych marmurów. Zespół ludowy pań hawajskich tyleż samo znaczy dla kultury co poważny odczyt naukowy czy literacka dysputa. Elzenberg pisze jak pocziwy kaznodzieja. Choć niejedno widział i niejedno przeżył, próbuje ogarnąć myślami te olbrzymie i straszne przepaści. I nie irytuje się. Tak mierzy się wielkość.

Prawie wszyscy ludzie żyją w niewoli z tego powodu, który Spartiaci podawali jako powód niewoli Persów, że nie umieją wymówić sylaby „nie”. Umieć wypowiedzieć to słowo i umieć żyć sam: to dwa jedyne sposoby zachowania swej wolności i odrębności. (Chamfort)³⁶ Ciekawa konkluzja obu myślicieli. Teoretycznie słuszna i piękna. Praktycznie niewykonalna. Kto pierwszy powie: nie? I tak to nie wystarczy. Niby mowa o indywidualnym nie, ale wobec przyniatającej machiny państwa nie jest chwilnie jak liść pod podmuchem wiatru i wiadomo, kto jest liściem, a kto wiatrem. Chamfort przemawia już z pozycji władzy. Umiął w odpowiednim momencie powiedzieć nie. Potem jego nie miało już znaczenia i go nie nadużywał. Spartiaci nie byli mniej zniewoleni niż Persowie. I jedni i drudzy zamieszkiwali państwo dysfunkcyjne, jeśli idzie o jakikolwiek indywidualizm. Jakikolwiek nie oznaczało śmierć. Chyba że nie wobec państwowego wroga, a tak wobec donosu. A kto określał, co słuszne, a co niesłuszne? Państwo, czyli stający mu (stojący na jego czele) politycy.

Żeby nie miało jakiegokolwiek znaczenia dla osoby je wypowiadającej, powinno wytyczać z ego jako sprzeciw we właściwym kierunku, tak żeby czy Spartiaci, czy Persowie go słyszeli. Chamfort wiedział, jak zaprzeczyć swoje nie w służbie ego. Poza asertywnością należy jednak mieć swój program pozytywny. Sprzeciw bowiem bywa spektakularny i romantycznie piękny, ale prawdziwy postęp, owo tak, to praca organiczna. Plessner podaje pewną receptę na zarysowanie kontrastu (indywidualności) człowieka wobec historii, która nie szczędzi jego współbraciom kuksańców, przestając ich śmiesznie muskularną sylwetkę. Ekscentryczność gwarantuje człowiekowi wolność w obliczu wszelkich koncepcji prowadzących go do pewnego tylko historycznego ujęcia jego natury, zaś zadanie uświadomienia sytuacji ekscentryczności, jakie wypływa z antropologii filozoficznej, stoi na straży wolności człowieka.³⁷ Myśl wielka, ale z owej ekscentrycznej odrębności wynika jedynie wolność teoretyczna. Bądź sobą, zdaje się mówić Plessner. Czytać, wciąż czytać i tylko czytać, nie zapominając o tym, że najpiękniejsza idea wprowadzona do polityki może stać się najbrzydszą i najstraszniejszą ideologią. Dzieła Marksa i Engelsa zdobyłyby półki bibliotek, wzbudzając raz

po raz polemiczne zacietrzewienie podczas filozoficznej utarczki, gdyby nie szaleństwo Lenina i jego następców. Nazizm zaczynał nieco inaczej: szył ideologię na własną miarę. Igłą podstępu i nicią fastrygującą kolejne aneksje. Krojczym był sam führer i obok niego Rosenberg, a potem Gauch, Günther i wreszcie Goebbels. Ideologia ta już in statu nascendi była antysemicka, rasistowska i antyindywidualistyczna.

Jaspers upatruje przyczyn totalitaryzmu w zaniedbaniu pewnych sfer życia społecznego. Może ma rację. Ten w czasach dobrobytu pozornie trwały stan może zmienić się nagle, gdy masy i intelektualiści – podobnie wykorzenieni – staną się materiałem totalnego panowania.³⁸ Czuj, stary pies szczeka! Stań u drzwi! Poeci i filozofowie potrafią dawać rady nieomyłne i rzadko wykonalne, ale często podejmowane w śmiałej realizacji. Jeśli człowiek przestaje pojmować swą wolność, traktuje ją jako coś zewnętrznego, i „dobrowolnie” idzie w niewolę nicości świata pozbawionego wiary, to po jakimś czasie traci także tę zewnętrzną wolność.³⁹ Wolność obywatela we własnym państwie musi być zagwarantowana, lecz nieodczuwanie jej jako własnej oraz brak indywidualistycznego ekwiwalentu prowadzi do alienacji albo do poddaństwa. Swoboda uprawiania sztuki winna być zagwarantowana nie tylko w pisemnych dowodach, jak konstytucja i ustawy, ale przede wszystkim w codziennym korzystaniu z państwowych udogodnień. Muszę czuć wolność rozprawiania o aktualnościach i przeszłości oraz snucia własnych prognoz.

Wolność tworzenia nie ma granic, a jej horyzontem jest wciąż niedosiężne piękno. Niestety, często głoszony przez autora światopogląd staje się miarą dzieła. Te książki nam nie odpowiadają, stwierdzają partyjni cenzorzy. Nobel? A co nas obchodzi nagroda Nobla? Suweren mówi nie ustami swoich przedstawicieli. Nota bene, coś to za suweren, który poza wyborami nie ma nic do gadania? A co znaczy pisać pięknie dla partyjnej większości? Głosić to, czego ona oczekuje. Są twórcy polscy grający tę rolę bez żadnego udawania. Wstyd i żenada. Wszelka ingerencja państwa w sferę sztuki jest atakiem na wolność tworzenia ze strony tych, którzy ślepo wpatrzeni w przesuwane na szachownicy pionki i figury nie dostrzegają niczego poza grą. Politycy są oportunistycznymi realistami, reżyserami nastrojów, ludźmi przebiegłymi, szantażystami. Z beztroską żywotnością działają w imieniu wolności przeciw warunkom wolności.⁴⁰

Pewna podwójność pojawia się przy odwoływaniu się do autorytetów. Czynie to w swoim skziku nader często: cytuję, wymieniam, powołuję się albo polemizuję. O czym zaś zawsze pamiętam? Żadna wielkość nie może się brać z politycznego namaszczenia. Wielkość polityczną łatwo przykróci historia, wielkość literacką – profesjonalna krytyka. Politykowi atoli bardziej zależy na czasie. Spieszy się, by zdążyć przed oceną historii. Chce rozbłyśnąć na dzisiejszym nieboskłonie, hic et nunc. Szanse na fajerwerki post factum uważa za brewerie. Teraz działać i teraz zbierać laury! Być może stąd się bierze instrumentalne traktowanie przezeń sztuki: z zazdrości o ponadczasowe trwanie, o możliwość wskrzeszenia skamielin, o wieczne reminiscencje. Pisarz-filozof otrzęsa się z obrzydzeniem z takich polipów jak zawiść czy pycha; wszak to psychologia, pejzaż świata malujący życie, nie twórczość.

Jest też bardzo niemądre ogłaszać za niebezpieczne pewne śmiałe twierdzenia lub zuchwałe ataki na tych, którzy mają już za sobą uznanie największej i najlepszej części społeczeństwa. Albowiem znaczy to tyle,

co nadawać im doniosłość, jakiej one nie powinny były posiadać. [...] Pałam chęcią przeczytania tej książki, albowiem oczekuję od autora, że posunie naprzód moje poznanie. [...] Dogmatycznego obrońcy dobrej sprawy [występującemu] przeciw temu wrogowi wcale bym nie czytał. [...] Nic nie byłoby zarazem bardziej czcze i bezpłodne, niż poddać umysł młodzieży na pewien okres czasu pod kuratelę, i przynajmniej tak długo ochraniać [go] przed uwiedzeniem.⁴¹ Rzeczowa krytyka jest zaiste bardziej interesująca od apologii, która siłą rzeczy powtarza to, co znają czytelnicy dyskutowanego dzieła. Istnieje niestety jeszcze jedna możliwość podejścia do utworu. To reinterpretacja polityczna. Nie rozumiem, jak Hitler mógł włączyć Kanta do panteonu germańskich myślicieli. Jest coś idiotycznego i perwersyjnego w pomyśle tego oprawcy. Wydaje się głosić, że wszystko można odwrócić, każdą naukę przeobrazić na swoją modłę, każdą muzykę na wojenny marsz. Wystarczy jakaś idée fixe i żelazna konsekwencja w jej realizacji... Broń nas, Panie, przed takimi reformatorami. Broń nas, Panie, przed podobnymi teoretykami.

Demokracja po szat nieprawdopodobieństwa! Po ucywilizowaną ocenę Brejwskich i hitlerowskich wybrków! Jedynie literatura może okiełznać podobne zakusy. Złoty środek literacko-politycznej równowagi zapewne istnieje, lecz ktoś odważy się go wyznaczyć? Istnieli w dziejach herosi gotowi podjąć ciężar myślenia i decyzji, jak wielcy protoplaści humanizmu: Pitagoras, Sokrates i Chrystus, ludzi bez skazy. Każdy z nich mógłby stanąć na czele państwa. Każdy z nich zdawał sobie jednak sprawę, że istotę ich nauki wyłożą ludziom egzegeci, którym bynajmniej nie będzie zależało na literalnym ujęciu mądrości Mistrzów, albowiem sic itur ad rem publicam administrandam. Niezdolni byłiby do wypowiedzenia poniższych słów Milla. Gdyby cała ludzkość z wyjątkiem jednego człowieka sądziła to samo i tylko ten jeden człowiek był odmiennego zdania, ludzkość byłaby równie mało uprawniona do nakazania mu milczenia, co on, gdyby miał po temu władzę, do zamknięcia ust ludzkości.⁴² [...] Nie możemy nigdy być pewni, że opinia, którą usiłujemy kneblować, jest fałszywa; a gdybyśmy byli tego pewni, zakneblowanie jej byłoby nadal złem.⁴³ Rzecznik literatury, ani chybił w okresie romantyzmu musiał siać w Anglii popłoch. Mówił wprost to, o czym inni bali się pomyśleć. Do dziś takie słowa są męstwem i światłością duszy. Pisarze, do piór bez lęku o kneblowanie.

Prawo naturalne, na które wielu się powołuje, winno być uniwersalne i niezmiennie jak chrześcijański dekalog. Coś można by zapisać jako constans ludzkich praw. Ius naturale spore zamieszanie wprowadza na scenie politycznej i literackiej, bynajmniej nie od pierwszej inscenizacji Antygony poczynawszy. Zwolennicy naturalizmu w literaturze mówią: literatura ma odtwarzać rzeczywistość, zatem wiersz jest niedorzecznością. To samo skrajni podmiotowcy w imię szczerości wyrazu. A ja powiadam: wiersz, w teorii naturalistycznej, jest niedorzeczny, zatem teoria naturalistyczna jest błędna. Toż samo o podmiotowcach. Fakt doświadczalny jest ten: wiersz jest elementem piękności. A zatem teoria, która nie usprawiedliwia użycia wiersza, pozostaje w sprzeczności z danymi doświadczania.⁴⁴ I jest solidna podstawa do odparcia wroga. Ius naturale istnieje jako hasło, które wypowiadają niektórzy absolwenci prawa niczym zaklęcie, by po chwili mówić o czymś całkiem z owym prawem sprzecznym. Literatura sekunduje polityce w tym sporze.

Pisarz to nie tylko sprawnie operujący piórem sekretarz, postępujący się trafnym sformułowaniem literat, znawca kompozycji, stylista, myśliciel itd. To przede wszystkim indywiduum odcinające się od społeczeństwa politycznego tła, oryginał i dziwak, nadmiernie egzaltowany, rozgadany a zarazem milczek... Nie wiem, czy tak rzeczywiście wyglądał pisarz, ale niewątpliwie stanowi zjawisko kontrastujące ze wspomnianym tłem. Być może chodzi jedynie o wcale niezawodową wyjątkowość. Celem, „do którego musi bezustannie dążyć każda ludzka istota i którego szczególniej osobom zamierzającym wpływać na swoich bliźnich nie wolno nigdy tracić z oczu, jest silna i rozwinięta indywidualność”; do tego są niezbędne dwie rzeczy, „wolność i różnorodność sytuacji”, i że z ich jednoczenia powstaje „indywidualna dzielność i nieprzebrana różnorodność, których skojarzenie daje „oryginalność”.⁴⁵ Mój ojciec miał kolegę, sędziego powiatowego o inteligencji i odczytaniu daleko przewyższających mądrość potrzebną sędziom w rozstrzyganiu spraw. Bodzio, tak miał na imię ów sędzia powiatowy – z pewnością nie użyłby mojego określenia inteligencja, lecz swojego ulubionego terminu dzielność intelektualna. Widywałem go czasami w dzieciństwie. Postać niepospolita. Miał jednak pewną słabość. Kiedy wypił, a wypić lubił, jego dzielność dawała o sobie znać w trójnasób. Na balu prawników prezes Sądu Wojewódzkiego podszedł doń i zagaił: myślę, że niebawem będziemy pana witać w naszym sądzie. A zatem awans. Bodzio spojrzał z pogardą na prezesa i odparł śmiało: spierdalaj, na balu o sprawach zawodowych nie rozmawiam. Piękny przykład wolności i sytuacyjnej różnorodności.

Powszechność i wyjątkowość granicę ma przekraczalną jak tło i postać. I w tejże przygranicznej strefie wyjątkowości narażona jest na ataki. Literat w objęciach państwa... Strąć, literacie, te państwowe objęcia! Bądź jak Bodzio! Wykaż dzielność intelektualną! Lecz mężczyzna, a bardziej jeszcze kobieta, którą można oskarżyć o to, że albo robi coś, czego nikt nie czyni, albo nie robi czegoś, co wszyscy czynią, jest przedmiotem tak wielu uwagających uwag, jak gdyby się dopuściła jakiegoś ciężkiego przewinienia moralnego.⁴⁶ Wszędzie napotkacie te same przeszkody i te same wybory, co Pitagoras, Sokrates i Bodzio.

Polityka i literatura to wartkie doptywy tej samej rzeki życia, ale cóż tam nie sływa. Lśnią potoki aresztów i więzień, strumienie wariactwa i niedomagań psychicznych, morsa mętnych społeczeństw proletariatu... Zdaniem jest sądzić, że polityka polega wyjątkowo na budowaniu wspólnoty w wolności, a przemoc jest sprzeczną z polityką anomaliją. [...] Naszym zdaniem wielkość męża stanu polega na tym, że jest on świadom swej odpowiedzialności za wolność.⁴⁷ Ciekawa sekwencja wnioskowania: złudzeniem jest, a potem: naszym zdaniem. Mąż stanu może utrzymać tę równowagę, co równie niewątpliwie jak rzadkie. Polityka bowiem nie opiera się na barkach mężów stanu, lecz na grzbiętach nieposłusznych nosiwodów, złodziei koni, prymitywnych hreczkośiejów, kauzypierdów i wszelkiej maści oszustów. Oni też potrafią mówić o wolności. Do dziś mamy świetne tych ról przykłady.

Ciekawe, co powiedziałby Homer, primus inter scriptores tak pod względem literackiej chronologii jak też literackiej wielkości, gdyby zaczęto go rozpytywać o obecność współczesnej mu polityki w *Iliadzie*. Niewątpliwie wypadki opowiedziane przez epickiego mistrza szukają takiej narracji mitologicznej, która trafi do ucha i umysłu hellenistycznego w ponadczasowym wymiarze. Nie zapomi-

najmy, że Homer jako pierwszy przekracza granicę ustnego eposu. Nie powtarza więc, a tworzy pisane, na wskroś oryginalne dzieło, które pachnie jeszcze czasem niepiśmiennej poezji, ale wnosi też wielkie novum, utrwalone na papierze zdania, których nie można już wymazać z ludzkiej pamięci. Rodzi się opus constans, będące połączeniem relacji z zamierzczłej przeszłości i oglądu współczesności. Po drodze byli królowie, władcy przekłeci i uwielbiani, ale nikt nie potrafił skutecznie zabronić pisanie i czytania. *Iliada* i *Odyseja* trwają w najlepsze. Przeptywają przez nie kolejne generacje czytelników. A polityka? Trudno byłoby skonfrontować poglądy polityczne Homera z jego epoką, którą znamy tak słabo jak motywację Bodzia dla swojej działalności. Istnieje jeszcze jedna przyczyna, która mgłą zdaje się osnuwać poglądy polityczne mistrza. Wszak on jest pisarzem. W jego gestii piękno, nie przyziemny oręż oracza ludzkich umysłów. Piękno, piękno... Czym jest owo piękno w wymiarze realnym, dotykającym? Na pewno nie polityką.

ANDRZEJ KATZENMARK

- 1 Platon, *Obrona Sokratesa w: Dialogi, t. I, przeł. W. Witwicki, Wyd. Antyk, Kęty 2005, s. 570.*
- 2 F. Schelling, *Filozofia sztuki, przeł. K. Krzemieniowa, PWN, Warszawa 1983, s. 48.*
- 3 H. Enzelberg, *Kłopot z istnieniem, Wyd. Znak, Kraków 1994, s. 412.*
- 4 Elżbieta Paczkowska-Lągowska, *Wstęp w: H. Plessner, op. cit., s. XII/XIII.*
- 5 Helmuth Plessner, *Władza a natura ludzka. Esej o antropologii światopoglądu historycznego, przeł. E. Paczkowska-Lągowska, PWN, Warszawa 1994, s. 31.*
- 6 John Stuart Mill, *O wolności, tłum. A. Kurlandzka w: Mill, Utylitaryzm. O wolności, PWN, Warszawa 2012, s. 171.*
- 7 Leo Strauss, *Sokratejskie pytania, przeł. P. Maciejko, Fundacja Aletheia, Warszawa 1998, s. 108.*
- 8 J. S. Mill, *op. cit., s. 130.*
- 9 Hans-Georg Gadamer, *Prawda i metoda, przeł. B. Baran, PWN, Warszawa 2013, s. 532.*
- 10 J. S. Mill, *op. cit., s. 116.*
- 11 H.-G. Gadamer, *op. cit., s. 133.*
- 12 Eric Voegelin, *Platon, tłum. A. Legutko-Dybowska, Wyd. Teologia Polityczna, Warszawa 2009, s. 209.*
- 13 *Ibidem, s. 210.*
- 14 *Ibidem, s. 211.*
- 15 *Ibidem, s. 211.*
- 16 J. S. Mill, *op. cit., s. 130.*
- 17 H. Elzenberg, *op. cit., s. 240.*
- 18 F. Schelling, *op. cit., s. 62.*
- 19 L. Strauss, *op. cit., s. 109.*
- 20 *Ibidem, s. 115.*
- 21 *Ibidem, s. 111.*
- 22 *Ibidem, s. 116.*
- 23 *Ibidem, s. 116.*
- 24 H. Elzenberg, *op. cit., s. 390.*
- 25 E. Paczkowska-Lągowska w: *op. cit., s. XX.*
- 26 J. S. Mill, *op. cit., s. 172/173.*
- 27 E. Paczkowska-Lągowska w: *op. cit., s. XIV.*
- 28 H. Elzenberg, *op. cit., s. 309.*
- 29 J. S. Mill, *op. cit., s. 124.*
- 30 H. Plessner, *op. cit., s. 10.*
- 31 J. S. Mill, *op. cit., s. 110.*
- 32 David Hume, *Traktat o naturze ludzkiej, przeł. Cz. Znamierowski, Fundacja Aletheia, Warszawa 2005, s. 425.*
- 33 E. Paczkowska-Lągowska w: *op. cit., s. XXV.*
- 34 Karl Jaspers, *Filozofia egzystencji, przeł. D. Lachowska, A. Wołkowicz, PIW, Warszawa 1990, s. 437.*
- 35 Józef M. Bocheński, *Szkice, Wyd. Antyk Marcin Dybowski, Komorów 1994, s. 117.*
- 36 H. Elzenberg, *op. cit., s. 412.*
- 37 E. Paczkowska-Lągowska, w: *op. cit., s. XXII.*
- 38 K. Jaspers, *op. cit., s. 443.*
- 39 *Ibidem.*
- 40 K. Jaspers, *op. cit., s. 442.*
- 41 Immanuel Kant, *Krytyka czystego rozumu, tłum. Roman Ingarden, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2001, s. 562, 563, 564.*
- 42 J. S. Mill, *op. cit., s. 110.*
- 43 J. S. Mill, *op. cit., s. 111.*
- 44 H. Elzenberg, *op. cit., s. 52.*
- 45 J. S. Mill, *op. cit., s. 157.*
- 46 J. S. Mill, *op. cit., s. 170.*
- 47 K. Jaspers, *op. cit., s. 438.*

Andrzej C. Leszczyński

ZNOWU! ZNOWU! ZNO

I Mariusz Urbanek („Odra” 7-8, 2020) pisze o trudnym słowie na „f” (taki jest tytuł jego artykułu). Trudnym z powodu obciążenia nie-dawnymi doświadczeniami historycznymi, które faszyzm, podobnie jak nacjonalizm czy totalitaryzm, wiązały z opresjami później już nie spotykamy. Rzeczywiście, na tle tamtych potworności dzisiejsze patologie mogą się wydawać mało znaczącymi przejawami marnych kalkulacji bądź zaciekości ideologicznych. Jeśli nawet uznać prawomocność opinii mówiących o okupacji zwanej dla niepoznaki dobrą zmianą (okupacja, jak ujmują to podręczniki politologiczne, to „wszelkie czasowe, nie oparte na prawie, objęcie w posiadanie jakiejś rzeczy”) – byłaby to okupacja, którą mało kto zechciałby tak określać pamiętając o realiach lat 1939-1945. Urbanek przywołuje wypowiedź prof. Romana Kuźniara – ówczesnego dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych - ze stycznia 2017 roku, który stwierdzał bez ogródek, że system instalowany w Polsce przez PiS w niczym nie odbiega od tego, jaki umacniał się w latach dwudziestych ubiegłego wieku we Włoszech: łączenie haseł prawicowych z lewicowymi, nacjonalizm, etatyzm, militarizm, upaństwowienie banków i innych branż, radykalny antyliberalizm, wrogość wobec instytucji międzynarodowych („Faszyści włoscy byli przeciwko Lidze Narodów, tak jak nasi są przeciwko Unii Europejskiej”). I dodaje: „Byłoby to oczywiście i bezdyskusyjne, gdyby nie to, że postrzeganie faszyzmu w Polsce »skażone« jest pamięcią o nazizmie niemieckim”.

Urbanek przypomina, jak w ostatnich latach tamano w Polsce Konstytucję, parlamentarne procedury demokratyczne, jak budzono demony nienawiści rasowej, narodowej, homofobicznej, co zrobiono z mediami publicznymi, z sądownictwem itd., itp. Po każdym z ośmiu takich opisów - przygnębiających, czasami ohydnych, jak ten mówiący o pobiciu przez członka ONR radomskiego działacza KOD-u i komentarzu Beaty Mazurek, że agresji nie popiera, ale tę rozumie - stawia pytanie: czy może być jeszcze gorzej? I odpowiada, że pewnie tak, choć coraz trudniej to sobie wyobrazić.

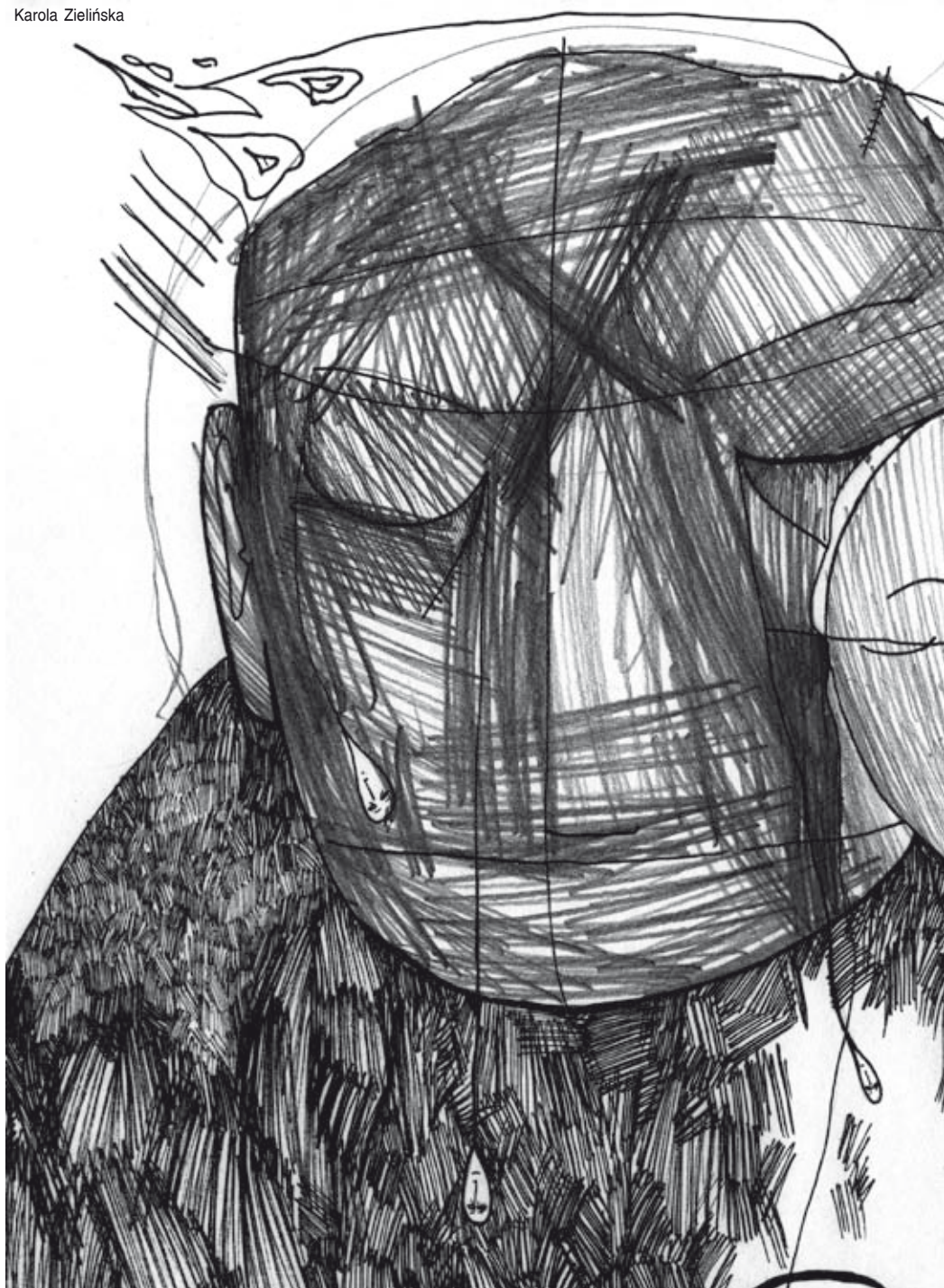
Dwa lata przed diagnozą prof. Kuźniara, w grudniu 2015 roku, na portalu Studio Opinii opublikowałem tekst zatytułowany „Znowu?” (dziś na miejscu pytańnika stawiam wykrzyknik). Nie do końca przekonany o realności faszystowskiego zagrożenia, bawiłem się etymologią: *fascinātor* – ten, kto urzeka, czaruje; *fascinus* – członek męski (fallus); *fasciō* – wiązać, obwiązywać; *fascis* – wiązka, pęk (faszyna). Wiazkę różeg nieśli liktorzy przed najwyższymi władcami dla oznaczenia ich władzy. Wyszło mi, że taka jest kwintesencja faszyzmu: charyzmatyczny, uosabiający samą męskość przywódca, który wiąże, skupia wokół siebie zbiorowość uznającą jego władzę. Nie było mi już do zabawy w kwietniu 2018 roku, gdy zobaczyłem maszerujących przez Długą i Długi Targ członków (i członkinie) ONR-u ubranych w czarne koszule (oni tak zawsze – stądnie, w mundurkach, upajając się wykrzykiwanymi hasłami), powiewających sztandarami z symbolami falangi i faszystowskiej Forza Nuova założonej przez wnuczkę Mussoliniego. Stojąca obok staruszka płakała. - Ja proszę pana już to kiedyś widziałam – wyszeptowała, gdy próbowałem ją uspokoić. Myślałem o starszej pani w podniszczonym oliwkowym płaszczu słuchając przemówienia Mariana Turskiego podczas siedemdziesiątej piątej

rocznicy wyzwolenia obozu w Auschwitz. Mówił, że ten obóz i ludobójstwo nie zjawyły się nagle, były poprzedzane przez niewinne na pozór akty i zarządzenia dyskryminacyjne, osławianie ludzi z kolejnymi kłamstwami i niegodziwościami. Mariusz Urbanek cytuje fragment suchego, chwytającego za gardło wiersza Kornela Filipowicza pt. *Niewola*. Przytoczę go w całości: „W państwie totalitarnym/ Wolność/ Nie będzie nam odebrana/ Nagle/ Z dnia na dzień/ Z wtorku na środę/ Będą nam jej skąpić powoli/ Zabierać po kawałku/ (Czasem nawet oddawać/ Ale zawsze mniej, niż zabrano)/ Codziennie po trochę/ W ilościach niezauważalnych/ Aż pewnego dnia/ Po kilku lub kilkunastu latach/ Zbudzimy się w niewoli// Ale nie będziemy o tym wiedzieli/ Będziemy przekonani/ Że tak być powinno/ Bo tak było zawsze”.

Podstawową figurą faszystowskiej struktury jest dyktator - wódz, władca charyzmatyczny. Opisuje go Roger Caillois w spolszczonym przez Annę Tatarkiewicz eseju pt.

Władza charyzmatyczna, z którego biorę poniższe cytaty: „Nie podlega on żadnej kontroli. Władzę zawdzięcza względem, jakimi darzy go lud; podstawą władzy jest urzeczenie, z jakim wodza przyjmuje społeczeństwo. Wybrany przez aklamację, wódz taki utrzymuje się dzięki entuzjazmowi, jakim lud go darzy, a który on sam starannie podsyca. Wódz rządzi samowolnie, a uchodzi za kogoś, kto ucieleśnia losy danej grupy, za jej mistycznego wyraziela. Ten rodzaj władzy jest znamieny dla społeczeństwa w ruchu, to jest dla stowarzyszenia ludzi zjednoczonych pewnym wspólnym celem, do którego dążą”. Francuski myśliciel odnosi swe uwagi do Adolfa Hitlera, dodaje jednak, że ten typ przywódcy bynajmniej nie zaniknął – odgrywa wciąż istotną rolę w życiu współczesnych partii politycznych. Bez trudu można dziś znaleźć stosowne egzemplifikacje, partię, „[...] w której obowiązuje surowa dyscyplina idąca w parze z absolutną wiernością wobec przywódcy partii, partię, której wmawia się, że jest powołana do wielkich dzieł. [...]”

Karola Zielińska



WU! ZNOWU! ZNOWU! ZNOWU!

ESSEJ

Nie toleruje się żadnej odmiany pluralizmu. Nawet obojętność wobec systemu staje się czymś podejrzanym: jeśli ktoś trzyma się na uboczu, dowodzi, że jest wrogiem". Aż się prosi, by przytoczyć niedawne słowa Jacka Kurskiego: „W obozie pisowskim jest tylko jeden punkt odniesienia, który ma realne znaczenie i sens: Jarosław Kaczyński". Albo wcześniejsze, wykrzykiwane i wypisywane na transparentach: „Jarosław Polskę zbaw!".

Nie będę rozwijał arcyważnego problemu tzw. osobowości autorytarnej, kwestii, którą niespełna pięć wieków temu poruszył kilkunastoletni wtedy Étienne de La Boétie (1530-1563): „Chciałbym na tę chwilę to jedno choć pojąć: jak to się dzieje, że tyle wiosek, tyle miast i narodów, tylu ludzi znosi władztwo jednego tyrana, który nie m.in. innej mocy niż ta, co mu ją oni dają [...]. Kwestia to zadziwiająca [...] że miliony ludzi tak nędnie się poddaje, wkłada głowę pod jarzmo nie dlatego, by zmuszała ich do tego siła wyższa, lecz dlatego, że pociągają ich i by tak rzec urzeka imię jednego

człowieka [...]" (*Rozprawa o dobrowolnej niewoli*, tłum. Krzysztof Matuszewski). Może tylko dopowiem za Maxem Schelerem (*Schriften aus dem Nachlaß*), że przywódca (*Führer*) to ktoś inny niż wzór osobowy „osobowa emanacja wartości" (*personalgeformte Wertgestalt*). Wzór osobowy nie musi mieć świadomości bycia nim. Nie ma też woli pełnienia takiej funkcji. Oddziałuje niezależnie od czasu i przestrzeni (Sokrates, Budda, Chrystus). Jego wpływ ma charakter aksjologiczny i ku świadomości aksjologicznej się zwraca. Natomiast przywódca chce pełnić swą funkcję, chce też wiedzieć o swym realnym wpływie na otoczenie. Oddziałuje w czasoprzestrzeni konkretnej: tu i teraz. Jego funkcja ma charakter czysto socjologiczny, nie aksjologiczny (*wertfreier soziologischer Begriff*). Odwołuje się nie do świadomości, lecz do woli: żąda zajęcia stanowiska i działania. Renzo de Felice (*Interpretacje faszyzmu*) pisał, że faszyzm pojawia się wtedy, gdy doświadczany jest kryzys tradycyjnych wartości, a także tam,

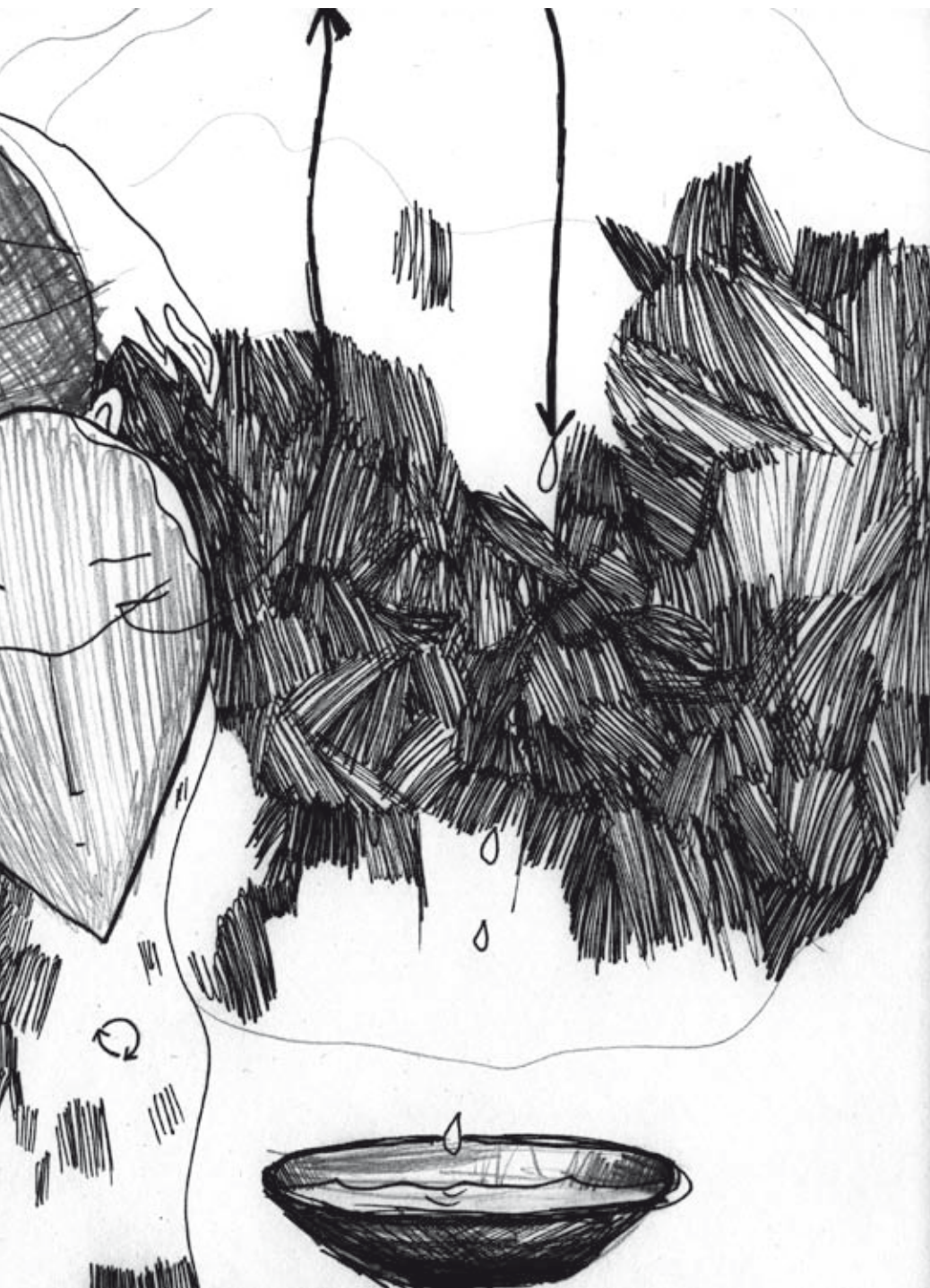
gdzie podważana jest prawomocność systemu parlamentarnego i demokratycznego podziału władz.

II

W dawnej Grecji przeciwstawiano liczbę pojedynczą i mnogą, i mówiono, że właściwa bytowość przynależy tej pierwszej, czyli bytom indywidualnym. Naród jest zbiorem (agregatem) jednostek, podobnie jak las jest zbiorem drzew. Odwrócenie tej relacji, czyli prymat całości nad częścią, oznacza totalizm społeczny w klarowny sposób wyrażony przez Włodzimierza Majakowskiego („Jednostka – zerem, jednostka – bzdura"). Victor Klemperer (*LTI. Notatnik filologa*, tłum. Jacek Zychowicz) w języku nazistowskiej propagandy (*Linqua Tertii Imperii* – język III Rzeszy) widział źródło zaniku poczucia osobowych: „Ty jesteś niczym, twój naród jest wszystkim [...]. LTI zmierza do całkowitego pozbawienia jednostki jej indywidualnej istoty, do uczynienia z niej bezmyślnej i powolnej sztuki w stadzie, które się pędzi w dowolnym kierunku, atomu w toczącym się kamiennym bloku".

Adam Zagajewski załęki podobnego zagrożenia dostrzegał w masowym ruchu Solidarności, czemu dał wyraz w głośnym esej *Solidarność i samotność* (1983). Wyjaśniał: „[...] Wcale nie chcę odwrócić się od zbiorowości, coraz bardziej jednak pociągają mnie inne jej pojmowanie. [...] Składa się ona bowiem z ludzi pojedynczych, samotnych [...], którzy, jeżeli pochłania ich takie czy inne poszukiwanie duchowe, nie muszą doprawdy sprawdzać co chwila, czy przypadkiem nie zerwał się postronек, tączący ich z resztą społeczności". Istotną wydaje mi się wypowiedź, także z 1983 roku, Andrzeja Kijowskiego (cyt. za: Wojciech Bonowicz, *Fragmenty polskie*, „Tygodnik Powszechny" nr 18, 2011 r.), który pisze o szczególnej antynomii widocznej w polskiej świadomości. „Wizja jedności. To jest podstawowy rys polskiej utopii. Rys paradoksalny: polskie umiłowanie wolności idzie w parze z pewną niechęcią do pluralizmu, albowiem w odmienności poglądów czy wierzeń Polacy instynktownie dopatrują się zdrady. Polacy chcą być wolni i jednomyślni; ten paradoks wyjaśniały kiedyś instytucje szlacheckiej Rzeczypospolitej i one zapewne ją zgubiły. W istocie bowiem nie jest to ideał polityczny, lecz religijny, a figurą jego jest Kościół – nie państwo. [...] Utopia polska jest rodzajem egzorcyzmu: rojąc złoty sen o narodzie wolnym i jednolitym jak dawne Koto Rycerskie, skupionym w swych instytucjach politycznych i religijnych jak pod wspólnym namiotem, Polacy wypędzają ze swego wnętrza demony zdrady, prowokacji, przekupstwa, dezinformacji, wszystkie demony swej historii politycznej i chronią się w głąb historii idealnej, mitycznej, świętej". Uff...

Kijowski mówi o polskim patriotyzmie który jest nacjonalizmem opartym na szowinizmie, czyli samouwielbieniu. Słowo to (fr. *chauvinisme*) wzięto się od Nicolasa Chauvin, bohatera komedii Eugène Scribe'a pt. *Le soldat laboureur*, żarliwego wielbiciela cesarza Napoleona. Józef Reinfeld, malarz i grafik, w liście do Jarosława Iwaszkiewicza określał taki nacjonalizm mianem „śmierdzącej formy patriotyzmu": „Absolutnie odbiera ochotę »bycia« Polakiem, Francuzem, Włochem lub Żydem". Podobny sąd na ten temat wyrażał znany dominikanin, →



→ o. Jacek Woroniecki (*Katolicka etyka wychowawcza*): „To, co przeciwstawia się patriotyzmowi jako jego zwyrodnienie, to szowinizm, w którym główną rolę odgrywa nie miłość swego narodu, ale niechęć do obcych. I jak szowinizm jest owocem fałszywych doktryn nacjonalistycznych [...], tak zdrowy patriotyzm jest owocem głębokich przemyśleń nad narodem i jego rolą w moralnym życiu człowieka”.

Ernst Cassirer – niemiecki neokantysta i badacz form symbolicznych, od 1933 roku chroniący się przed faszyzmem na emigracji – pisał (*Mit państwa*, tłum. Anna Staniewska) o zwycięstwie w Niemczech narodowego socjalizmu (nazizmu) przy całkowitej bierności i indolencji umysłowej osób przynależnych do weimarskich elit intelektualnych. „Towarzystwo im przekonanie, że całe życie społeczne i polityczne uzależnione jest wyłącznie od warunków ekonomicznych. Wychodząc z takiego założenia czynili desperackie wysiłki celem polepszenia sytuacji ekonomicznej mas oraz uniknięcia niebezpieczeństwa inflacji i bezrobocia. Jednocześnie ich trzeźwy, empiryczny, »rzeczowy« sposób myślenia i wydawania sądów pozostawał ślepy na wybuchową moc mitów politycznych”. Rychło okazało się, że ówczesne „ciepła woda w kranie” czy „500 plus”, potącone z jałowością aksjologiczną, okazały się bezradne wobec najbardziej paskudnych mitów przystosowanych do konkretnych potrzeb i celów. Mit – utrwalona w kulturze, szukająca sensu mądrość – został w Niemczech Adolfa Hitlera przysposobiony na rozkaz przywódców politycznych tak, by zakorzenić się w świadomości (i podświadomości) mas. Wyzwalane w ten sposób najbardziej nikczemne instynkty zyskiwały status uniwersalnych konieczności i cnót patriotycznych.

Siedemdziesięcioletni Tomasz Mann, w trakcie wykładu, jaki wygłosił w waszyngtońskiej Library of Congress w maju 1945 roku, wspominał o przedwojennych Niemczech, do których nie chciał wracać; o kraju, „[...] gdzie słowo »międzynarodowy« od dawna już stało się obelgą, a pełen buty prowincjonalizm stwarzał złą, zatęchłą atmosferę”. I o niemieckim narodzie, który szukał wolności zewnętrznej, będąc zniewolony wewnętrznie. „Naród, który nie jest wewnętrznie wolny i sam za siebie odpowiedzialny, nie zasługuje na wolność zewnętrzną; nie może mieć o wolności nic do powiedzenia” (tłum. Krystyna Górniak).

III

W wielu opracowaniach wskazuje się na kilka charakterystycznych właściwości faszyzmu. Jest dyktatura. Opiera gospodarkę na urzędniczych dyktando. Poprzez społeczną inżynierię – propagandę, zideologizowaną kulturę, cenzurę prewencyjną – trwale mobilizuje masy. Odwołuje się do pierwiastków irracjonalnych – mistyki narodu, ziemi, krwi łączącej z rasą (stąd opozycja: My – Obcy). Instrumentalizuje świadomość wywołane lęki, by móc postawić się w roli zbawcy. Sakralizuje wodza urzędującącego konieczności dziejowej i wolę Opatrzności („Gott mit uns”). Nakazuje działania wyzbyte pułapek intelektualizmu i samowiedzy moralnej (czyn, akcje bezpośrednie). Dąży do stworzenia nowej klasy rządzącej. Wzmacnia znaczenie silnego aparatu wojskowego i policyjnego. Joseph Goebbels określając zadania mediów mówi, że sens ich istnienia leży wyłącznie w tym, że staną się środkiem do wychowania i prowadzenia narodu w służbie państwa; że będą środkiem walki i oddziałem bojowym w rękach kierownictwa w walce o „pozyskanie duszy

poszczególnych obywateli i towarzyszy partyjnych”. Zakazana jest twórczość „zdegenerowana”, osłabiająca ducha walki. Siłę ducha wyrażał marsz, a nie improwizacja jazzowa; durowa rzeźność – nie przynębiający moli; wzorce figuratywne, nie zaś malarska abstrakcja; piękno cielesnej tężyzny, nie zaś erotyka czyniąca z człowieka ofiarę pożądań i uczuć. Wiele informacji na ten temat można znaleźć w pracy prof. Bogusława Drewniaka pt. *Teatr i film Trzeciej Rzeszy w systemie hitlerowskiej propagandy* (stół i nożyce: zaraz po opublikowaniu w 1972 roku książka została przez peerelowską cenzurę objęta zakazem rozpowszechniania, co oznaczało konfiskatę i przymus). Nie mogę uwolnić się od myśli, że podobnym, wyjątkowym intelektualnie celom służą dziś królujące w publicznej telewizji Rzeszopolo Zenka Martyniuka czy wywołujące rechoły występy „kabaretów” (pozbawione cudzystowemu słowo to odnosić do sztuki wysokiej – Dudka, Starszych Panów, Salonu Niezależnych czy Elity). Podobnie jest z tzw. polityką oświatową, dążącą do zastąpienia myślenia niezłomnością charakteru, a krytycznego rozumu posłuszeństwem wobec obowiązujących wykładni. To samo tyczy świadomości religijnej: dzisiejsza hermeneutyka biblijna katolicyzmu odwołuje się nie do indywidualnego odbioru Pisma Świętego (choć od XIX wieku już go nie zakazuje), lecz do wykładni kościelnej instytucji, w szczególności wykładni papieskiej.

Małgorzata Kowalska, występująca w grudniu 2018 roku w Europejskim Centrum Solidarności w ramach Gdańskich Wykładów Solidarności, mówiła o takich właśnie cechach odradzającego się dziś nie tylko w Polsce faszyzmu, przede wszystkim o jednej – potrzebie wyrazistej tożsamości zbiorowej: MY. Tożsamość ta łączy się z negatywnym stosunkiem do wszelkiej odmienności (rasowej, narodowej, etnicznej, religijnej, płciowej, ideologicznej), odwołuje się do tradycji, ale także do frustracji na tle ekonomicznym i do poczucia upokorzenia kulturowego części społeczeństwa. Prof. Kowalska zwracała uwagę na „wolę mocy” wyrażającą się jako kult działania, na wykraczanie poza granice prawa i decyzyjność będący zaprzeczeniem imposybilizmu. Duch bojowości, by nie gaść w szlachetnych abstrakcjach, ma się konkretyzować poprzez trwającą mobilizację oraz odnajdywanie (kreowanie) wroga zewnętrznego i wewnętrznego.

Zdepersonalizowany naród staje się masą. W 1930 roku José Ortega y Gasset publikuje pracę, która powstaje w wyniku napawających go grozą obserwacji zjawisk związanych z wejściem na scenę wielkich, anonimowych rzesz społecznych. Praca nosi tytuł *Bunt mas* (tłum. Piotr Niklewicz) i z czasem zaczęła nabierać coraz większej aktualności. Owszem, Ortega y Gasset odróżnia masę od zbiorowisk określanych jako tłum, tłumacza czy gawiedź (ma na względzie jakąkolwiek tyranizującą elitę większość), lecz w jego opisach łatwo dostrzec cechy charakterystyczne właśnie dla motłochu. Masy zdobywają władzę we wszystkich dziedzinach życia społecznego: „[...] współczesny człowiek masowy jest faktycznym prymitywem, który bocznymi drzwiami wśliznął się na starą i szacowaną scenę cywilizacji”. Udało mu się to z jednego w gruncie rzeczy powodu: poczuł się bezpieczny i zwolniony od odpowiedzialności; zyskał pewność, że świat jest na tyle prosty, że poradzi sobie w nim bez trudu kształcenia się, oraz bez rad ludzi wykształconych. „Masy zhardtowały w stosunku do mniejszości; nie są im pośluszne, nie naśladowały ich ani nie szanują; raczej wprost przeciwnie, odsuwają je na

bok i zajmują ich miejsce”.

Nie są to rzeczy nowe. Arystofanes pisze w *Rycczach* (*Ἰππείδης*) o marnych nuworyszach (*νεοπλουτοί*) sięgających po władzę w Atenach u początków demokracji;

„Władza nad ludem nie dla uczonego, nie dla człowieka dobrych obyczajów, lecz dla nieuka bez czci.

[...]

Rób to, co i robisz –

patrosz i siekaj razem wszystkie sprawy, i zawsze staraj się lud sobie zjednać, kucharskim słówkiem smacznie podsładzając.

Wszystko masz w sobie, co ma mieć demagog:

głos przeraźliwy, kiepskie pochodzenie, duszę handlarza, jak każdy polityk

wróżbę pomyślną masz, Pytia ci sprzyja.

Włóż wieniec, wino zlej bóstwu Głupoty”.

(TŁUM. JANINA TYSZKOWSKA-LAWIŃSKA).

IV

Friedrich Meinecke, niemiecki historyk, wydawca i redaktor „Historische Zeitschrift”, tuż po wojnie zastanawiał się, czy przeżyta dopiero co tragedia może się powtórzyć (Czy hitleryzm ma przyszłość?, tłum. Elżbieta Kaźmierczak). „Czy hitleryzm, jakkolwiek teraz pokonany, w końcu jednak, dzięki demagogicznej wyższości swej metody opanowywania mas, mógłby jeszcze stać się panującą formą życia na Zachodzie?”. Na pytanie to odpowiada przecząco. To, że „spółce przestępców” z „osobowością demoniczną” na czele udało się zniewolić na kilkanaście lat niemiecki naród i wmówić mu, że realizuje wielką „ideę”, było zdaniem autora sytuacją wyjątkową i jednorazową. Chciałbym podzielić ten pogląd, jednak powstrzymuję mnie przed tym zjawiska, jakie opisują badacze i jakie obserwuję na co dzień. Timothy Snyder (*Czarna ziemia – Holokaust jako ostrzeżenie*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk) pisze o Austrii, której obywatele natychmiast po przyłączeniu do III Rzeszy ujawnili niewidoczne dotąd (nieobecne? skrywane?) stany mentalne świadczące o tym, że można łatwo, nieomal z dnia na dzień, zainfekować się faszystowskim duchem jeśli tylko pojawią się sprzyjające warunki. Pal sześć polityka (przypinał mi kiedyś Krzyż Solidarności Walczącej), który w polskim sejmie mówi o wyższości dobra narodu nad prawem („Nad prawem jest dobro narodu. Jeśli prawo to dobro zaburza, to nie wolno nam uważać tego za coś, czego nie możemy naruszyć [...]. Prawo, które nie służy narodowi, to jest bezprawie”). Jeśli jednak czytamy o polskim duchownym chrześcijańskim, który wykrzykuje słowa mówiące o tym, że „Jesteśmy kościołem walczącym, jesteśmy wojownikami wielkiej Polski” (Gott mit uns?) i skanduje „Duma, duma, narodowa duma” – ogarnia mnie bezradność. To są przecież słowa, które byłyby na miejscu w Zadrudzie Jana Stachniuka, antykatolickiej i nacjonalistycznej organizacji mającej jednoczyć Słowian i przywracać ich pierwotne wierzenia. Nie oceniam Zadrugi, mówię o wykluczeniu się obu tych, chrześcijańskiego i nacjonalistycznego, systemów wartości.

Niepojęte wydają mi się też odwołania polskich katolików – może już nie chrześcijan, jak sądzi Stanisław Obirek? – do patriotycznych normatywów Romana Dmowskiego, który w *Myślach nowoczesnego Polaka* pisał, że podstawą patriotyzmu ma być „[...] niezależny od woli jednostki związek

moralny z narodem, związek sprawiający, że jednostka zrosnięta przez pokolenia ze swoim narodem, w pewnej, szerokiej sferze czynów nie ma wolnej woli, ale musi być posłuszną woli zbiorowej narodu, wszystkich jego pokoleń, wyrażającej się w odziedziczonych instynktach. Na tych przede wszystkim instynktach opiera się właśnie etyka narodowa". Człowiek – osoba podobna Bogu i obdarowana wolnością sumienia – ma postępować niezależnie od swej woli? Poza wszystkim: chrześcijaństwo odwołuje się nie do narodu, lecz do Ludu Bożego: „Wszyscyśmy bowiem w jednym duchu zostali ochrzczeni [aby stanowić] jedno ciało: czy to Żydzi, czy to Grecy, czy to niewolni, czy to wolni" (1 Kor 12, 13). Naród – pisał o tym m.in. Jan Paweł II – by mógł mieć jakiegokolwiek miejsce w chrześcijaństwie, musi być zakotwiczony w podmiotowości osób (personalizm).

Do tego wszystkiego ożywają obrazy z zamkniętej, można by sądzić, peerelowskiej przeszłości. Poruszył mnie szczególnie jeden taki obraz, związany z Sejmem. W kwietniu 1968 roku pełnemu rozpacz przemówieniu pisał Jerzego Zawiejskiego na temat brutalnej pacyfikacji marcowego buntu studentów towarzyszyły okrzyki i śmiech zwycięskich aparatchyków, Gomółki, Kliszki i innych. W styczniu 1982 roku, podczas pierwszego posiedzenia sejmiku po wprowadzeniu stanu wojennego, słysząc było rechoć zadowolonych z pacyfikacji przeciwników pęzetpeerowskich nominatów, m.in. Janusza Przymanowskiego. (Tylko jeden poseł, Romuald Bukowski z Gdańska, głosował wtedy przeciw legalizacji bezprawia). W grudniu 2019 roku, podczas posiedzenia związanego z uchwaleniem ustawy dyscyplinującej sędziów, Borys Budka z przejęciem wyszczególniał akty łamania prawa i demokracji przez władze Zjednoczonej Prawicy.

Jego słowom towarzyszyły szydercze gesty i śmiech rozpartego na fotelu Tadeusza Cymańskiego, szóstą kadencję odgrywającego rolę parlamentarnego wesółka. Może czuł się uprawniony do takiej reakcji słowami, jakie w grudniu 2015 roku padły z ust piosenkarza Jarosława Kaczyńskiego: „W Polsce jest fatalna tradycja zdrady narodowej. To jest w genach niektórych ludzi, najgorszego sortu Polaków”?

Na zakończenie jeszcze jeden cytat (wiem, było ich tu chyba w nadmiarze). Słowa prof. Jerzego Wojciecha Borejsza (Kiedy polityk przekracza granice między populizmem a faszyzmem?) z 2018 roku – zmarłego rok później historyka, kierownika Zakładu Systemów Totalitarnych i Dziejów Drugiej Wojny Światowej PAN – są jak lustro, w którym, jeśli kto ma chęć i odwagę, można zobaczyć własną twarz. „My, Polacy, mamy naturalne predyspozycje do władzy autorytarnej. Składa się na nie cały nasz kontekst historyczny: nacjonalizm skierowany przeciw prawdziwym i wyimaginowanym wrogom, często mylony z patriotyzmem, oraz imperatyw nieustannej walki. Tradycji demokratycznych mamy jak na lekarstwo. Ledwie siedem lat demokracji w II Rzeczypospolitej i okres po 1989 roku. Do tego kult wojny, munduru i broni. W Szwecji zakazane są zabawki militarne, w Polsce dzieci przebiera się za małych powstańców warszawskich czy »żołnierzy wyklętych«. Jak śpiewał Jan Krzysztof Kelus: »gdzie dzieci na Gwiazdkę dostają pancerny transporter z rakietą«. [...] Państwa autorytarne wychowują żołnierzy, nie obywateli. Ludzi walki. [...] Polacy są społeczeństwem imigrantów. XIX-wieczna Francja mogła się złościć, kiedy emigrowało tam tysiące Polaków. Ci z powstania listopadowego otrzymywali zasiłki, nędzne, ale można było za nie przeżyć. Dostawali je jeszcze około 1880 roku, po pót

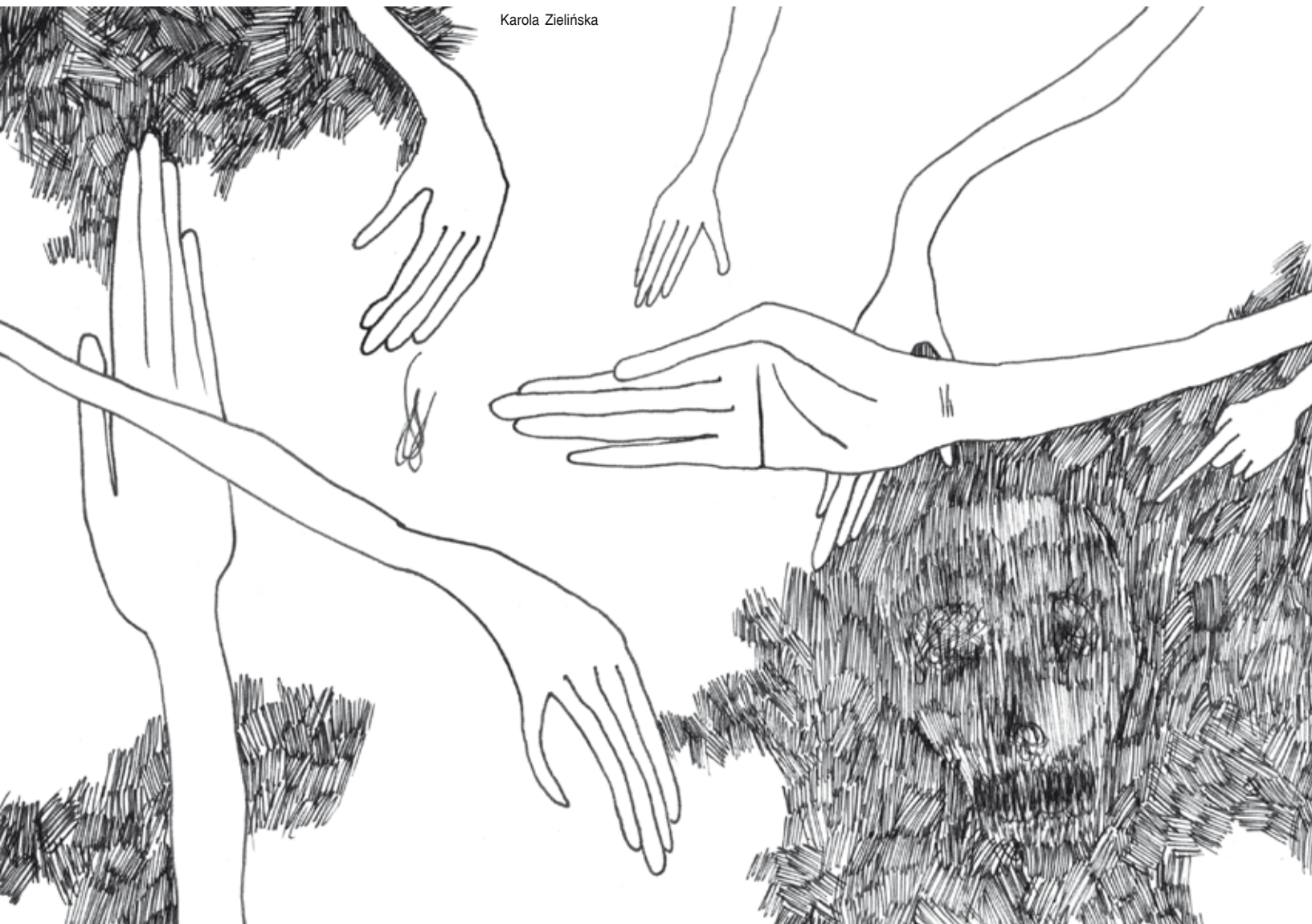
wiek! Żołnierze Andersa, polskie rodziny, dzieci przyjęto w Iranie, Meksyku, Indiach, w Afryce. Setki tysięcy emigrantów z Polski popłynęło w XIX i XX wieku do USA. Za chlebem, a ich poziom cywilizacyjny był daleko niższy niż syryjskich uciekinierów, ale nikt ich nie wyzywał od nosicieli pierwotniaków".

Ps. Anna Dziewiś-Meller (Zamroczenie, „Tygodnik Powszechny nr 30, 2020 r.) przywołuje postać wybitnego pisarza Mihaila Sebastiana, rumuńskiego Żyda, który w swym dzienniku opisuje „rośnięcie faszystowskich »rogów nosorożca« [określenie wzięte z tytułu dramatu Eugène Ionesco - ac!] na nosach swych rumuńskich przyjaciół – intelektualistów i artystów bukaresztańskich". Autorka nie ukrywa, że czytała ten dziennik ze ściśniętym gardłem widząc, jak rozpada się więź między Sebastianem i wieloma spośród najbliższych mu osób. Jedną z tych osób był Mircea Eliade, w tamtym czasie antysemita i ideolog faszyzmu, który czynił żałosne wysiłki, by ukryć swe poglądy przed żydowskim przyjacielem. „Czy możliwa jest – pisze Sebastian – przyjaźń z ludźmi, których łączą obce mi idee i uczucia, do tego stopnia, że wystarczy, abym pojawił się w drzwiach, a natychmiast milkną zażenowani i zakłopotani?”

Wspominam o tym tekście, bo i dla mnie nie była to łatwa lektura. Myślałem, że małym człowiekowi, o którym mówił w Akademii Sztuk Przepięknych Janusz Gajos („Mały człowiek podzielił nasz kraj jednym ruchem ręki. To jest zbrodnia"), nie uda się zaszkodzić przyjaźniom z osobami o odmiennych od moich poglądach. Udało mu się. W ostatnich miesiącach troje z nich przestało się do mnie odzywać. Żadna ulga. Smutek.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

Karola Zielińska



Grzegorz Musiał

Lotnisko Okęcie, 13. 09. 2006

Zaczynam swój pierwszy zagraniczny wylot, od chwili przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. I jaka różnica w porównaniu z tym, co tu się działo jeszcze rok, dwa lata temu! Gdzie się podziały tamte twarze chłopskie, w drodze do Chicago, Nowego Jorku? Tamta sołtysia para-da czarnych garniturów, z kanapką przy buzi, w wianusku zaafierowanych cioci i pękających wyondulowanych żon? Pełno teraz młodych, młodych, paplających językami. Spokojni, chłodno - uprzejmi, rozjeżdżają się wraz ze swoimi dziewczynami, z plecakami, do otwartych przed nimi Londynów, Barcelon, Sztokholmów. Pewnie już tu nie wrócą. Już są „inni”. Nagle, tuż obok nas, niespostrzeżenie, wyrosło zupełnie inne pokolenie Polaków. Na pewno dla wielu z nich, Polska to jest „nic” - jak wyraziła się niedawno przed kamerą jakaś pannica, na jakimś festiwalu - nad czym publicznie złał łzy prymas. Ale obok takich okazji - więcej jest po prostu młodzieży zniechęconej nieustającym marszem nieszczęść przez polską historię, a może przede wszystkim - tym nieszczęściem najnowszym: politycznym najazdem na polskie urzędy ludzi bez talentu i bez zasług, którzy dzięki swej srocznej umiejętności wpychania się wszędzie bez kolejki, dwulicowego lizusostwa i wykorzystywania dla najgłupszej nawet korzyści wszelkich najdrobniejszych znajomości oraz układów, których normalne oko nie widzi, choć ich plebejskie ślepka dostrzegą każdy szczegół, który za rok a nawet za dziesięć lat może im się przydać - podostawiali się na stanowiska, do sejmowych ław i na sejmowe korytarze, gdzie królują teraz, jak jeszcze do niedawna na swych gminnych radach, przed zjeżonym jak gąsienica szpalerem mikrofonów i dziennikarzy - tak samo nieuczciwych, niekompetentnych, mówiących tak samo źle po polsku, jak ich sejmowi ulubieńcy. Nikt ich stąd teraz długo, o! długo, nie wygoni.

I znów, jak dawniej na „swojactwo” i na „kosmopolitów” - tak i teraz Polska dzie-li się na „zacofany matecznik”, w którym awansowane fomalstwo udawać będzie, że „ratuje polską tożsamość i katolicką wiarę” oraz mające chłód w oczach młode pistolety, dzieci peerelowskich partyjnych drani, którzy nie mają skrupułów moralnych, jakie formowały się w pokoleniu jeszcze moim, dzięki wpływowi mądrych nauczycieli patriotyzmu z AK-owskiego pokolenia mojego ojca. Patrzę na tych dzieciaków - pewnych siebie, wyszczekanych, którzy już tu i teraz mają w Polsce więcej, niż inni ich rówieśnicy, ale jadą „tam” - po jeszcze więcej. To są dzieci moich kolegów ze studiów, których wówczas pilnie unikałem: ZMS-owskich działaczy, a dzisiejszych cyników z „Ordynackiej”. Czego innego mogli nauczyć swe dzieci, poza „skutecznością”? „Karierowiczowską skutecznością” ich samych: Kwaśniewskich, Czarzastych, która jest też zresztą nader problematyczna, bo spod poloru poselskich garniturów czy sukienek, kupowanych w butikach, które zagranicznie brzmiały sztydłami wyrośli się dziś na Nowym Świecie, prędko wylazi ich brak edukacji i języków, jest więc ta „skuteczność” raczej tylko zaklęciem, mantrą klepaną przez tę ni to lewicę, ni jakąś partię pokomunistycznego nihilizmu, mającą zagłuszyć pustkę duchową, która zakłada już w nich swe królestwa. Bo najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że ci młodzi odpadają - lub już odpadli - od wiary. Ich idole kraczą im dziś w domu, z telewizorni, ze sceny - jak ostatnio w Teatrze Studio, gdy pojawiła się tam sztuka jakiegoś młodego niemieckiego

DZIENNIK WŁOSKI. APULIA(1)

autora - „my już przestaliśmy zwracać sobie głowę tym chudym Żydem na krzyżu”.

Fiumicino

Zawsze zachwyca mnie chwila lądowania. Rozkosz, której nie znali starożytni. Po napowietrznej podróży, znowu dotknięcie stopą (kołami) ziemi. Coś w tym odwrotnie Boskiego, jakieś - Znieba-Zstępowanie. Trzeba w takiej chwili modlić się, by w tę Odwrotność - jak w tyle innych „dzieł odwrotnych”, mających przedrzeć Boga - nie wszedł szatan.

Znowu Rzym, po roku

Wszędzie w przejściach podziemnych i na schodach przed kościołami, piękne młode Cyganki ze ślicznymi dziećmi na rękach. Kubeczki tekturowe prze nimi, albo czapka; siedzą w fałdzystych spodnicach, kolorowe, z tymi ich cudownymi, długimi czarnymi włosami. Gdy zajmują swe dziecko słodkimi całuskami, gaworzeniem mu do ucha albo jakąś nędzną zabawką, wydają się - mimo tej demonstrowanej światu niedoli - całkiem szczęśliwe. Co za aktorki! Bo ledwie zawieszę na takiej wzrok, jej uśmiech znika, a pojawia się cierpienie i otwarta dłoń jak na sprężynie wyskakuje spomiędzy sukien. Z ust leje się potok słów, których nie rozumiem - zapewne mroząca krew w żyłach opowieść o głodzie, który zabił całą wioskę, o zarazie, która dziesiątkuje miasta w Mołdawii, na Bukowinie... Co to za naród, myślę, który to, co ma najlepszego, wysyła na ulicę? Swoje piękne, młode, kobiety, swoje prześliczne, zdrowe dzieci... Co to za mężczyźni bez honoru w tym narodzie? A przecież i oni - teraz niejeden z nich ukryty za krzakami, na straży żebrzącej połowicy - też tacy piękni są na tle swych łąk, swych dolin, gdy tańczą, grają na gitarach, śmieją się zdrowymi białymi zębami... Wiedziałem ich takich, roztańczone na łące, gdzieś w okolicach Timisoary... Tu, na rzymskiej ulicy, na tle pracowitego, europejskiego światka, to ich żebracze szaleństwo nie budzi współczucia. Wszystko robię, aby stłumić w sobie wrogość.

Na via Cavour, koło Stazione Termini, prawie krzyżem rozpostarta leży na chodniku stara kobieta w czarzafie. Rytmicznie uderza czołem o troliur, cicho skamie. Nie patrząc na przechodniów, wyciąga w garści ponad głowę swój ciemnogranałowy wymięty paszport z jakimiś gwiazdami w herbie. Togo? Czad? Liberia? Uderza czołem, mrucząc do siebie jakieś zaklęcia - cicha, straszna, prawdziwa. Ile rabunków, ile gwałtów za nią? Ile granic, ucieczek, wspinania się po płotach, błagań straży przybrzeżnych, ile utopionych towarzyszy niedoli? Może została tylko ona? W sercu tej strasznej, obcej metropolii, której imienia może nawet nie zna? Przed nią na kocyku, jakieś centy, nawet dwa euro. Jej cichy lament zbiega się w rytmie ze stukotem kół mojej walizki. Mam przy sobie tylko pięćdziesiąt euro w banknocie, mijam ją, paląc się ze wstydu. Z ucha mej walizki zwiśa metka Alitalii. Gdy mijam tę głowę na chodniku, prawie ociera się o jej chustę ten mój znak rozpoznawczy, ten bilet wstępu do lepszego świata. Do którego bram na próżno kołaczysz... siostrze.

San Giovanni in Laterano

Na Świętych Schodach (Scala Sancta) straszny ból kolan na dwudziestym którymś

stopniu, które na kłęczkach dzielnie przemierzam, w ślad za pokonującą te schody w podobny sposób parą małżeńską starszych Amerykanów. On jest tak czerwony, że zaraz pęknie mu szyja objęta kołnierzykiem koszulki polo. Mam przed oczyma jego wielki zad w płóciennych spodniach. Jego żona ma pewnie zwyrodnienie stawów biodrowych, bo wciągając ciało na każdy następny stopień, dokonuje niebywałej ekwilibrystyki - wpiętych dziwnych skręt obręczy biodrowej, połączony z rzutem w przód górnej połowy, która pociągą za sobą dolną, zaopatrzoną w niemniej od męża siedzenie, opiętą takimi samymi płóciennymi szortami. Widzę w nich wzruszenie, czuję, że to jest ta ofiara, którą tu przywieźli z jakiegoś Idaho: on dźwiga się w górę, wprost tryskając tym potwornym naciśnięciem, ale z wiarą, że skoro ofiarował je Bogu, to mu na tych Schodach nic stać się nie może. Ona cała promienieje dumą, gdy każdy stopień z uśmiechem, ale też z jakimś okropnym bólem, to widząc po skurczach jej twarzy, pokonuje swe kalectwo. Mam wrażenie, że napór ich prostej wiary mógłby kruszyć kamienie. Przy nich, moja wydaje mi się neurasteniczna, niezdolna do uporów. Docieram na górę z poobijanymi do kości kolanami, czując, że biedna zoperowana łęgotka w mym prawym kolanie będzie potrzebowała dobrych paru dni, żeby ozdrowieć po tym moim ataku świętego szatu.

Chwila - przed Nim, na krzyżu.

I z Nim.

Chwila - tylko między Chrystusem a mną.

Nie chcę pisać o niej.

Nie powinienem.

Tu słów nie ma.

Spowiedź w Bazylice Laterańskiej, „głowie wszystkich kościołów”. Zwabiony światłem żaróweczek u końca bocznej nawy, trafiłem w ostatniej chwili do konfesjonatu z młodym polskim księdzem w środku, który - jak głosi wywieszka - spowiada do dziesiątej trzydziści. Już wstawał i chciał iść, ale usiadł, gdy usłyszał ruch po mojej stronie krętek. Spodziewałem się jednego z tych młodych gorliwców „na wyjeździe”, którzy zaraz zaczną mnie ganić, natychmiast zapragną wyprać mi duszę do bieli i usłyszeć przysięgę, że już nigdy przenigdy nie znajdzie się na niej ani jedna plamka, a na koniec, lekkim gestem, rzucą mi na barki pokutę: cały różaniec, codziennie, przez trzydzieści dni miesiąca. A tu miły niski głos, ładnie budowane zdania. I to znużenie, jakby właśnie oderwano go od lektury - które dobrze jest usłyszeć zwłaszcza w takim inteligentnym głosie, bo jest znakiem prawdy, nie próbującej nic maskować, żadnymi modulacjami. Na wędrowkę poprowadził mnie skalistą granią. Mówi o „tym tajemniczym grzechu”, za który - dodaje to spokojnie, bez pogroźki - „w starożytności kamienowano”. I rozwija tę myśl strasliwą nie w kierunku śmierci ciała, które starożytni obwiniali o cały występki i stąd te ich kary, ale zadaje pytanie o coś stokroć gorsze: o śmierć duszy, którą przez swawolne czyny, fałszywie nazywane „wolnością”, zadajemy sobie. Wezwanie do czystości nie jest wtedy dewocją, a wezwaniem do upokorze-

nia ciała, które nas ciągnie do duchowej śmierci. Pokazaniem własnemu ciału, kto tu jest panem.

Dusza. Sprzeciwia się jej cała nasza kultura rozkoszy – nowy hedonizm – to nasze codzienne, coraz głębsze, do urzeczenia, do mitotycznego szatu, zakochiwania się w ciele. I wstawianie nie tylko sobie, ale i drugiemu, że tak trzeba. Ma to związek, oczywiście, z nadprodukcją dóbr – i histerią reklamy – bo ktoś przecież musi kupić te nadproduktowane góry kosmetyków, lumpów, butów, śmieci. A jak ludzi zmusić do kupowania, jeśli nie znieczuleniem, uwodzeniem, kłamliwym gruchaniem, że ich ciało bez tego czy tamtego absolutnie, absolutnie! nie może się obejść? Bez zarażania nas co dzień, co noc, zbiorowo i z osobna, śmiertelną chorobą naszych czasów. Fetyszyzmem, kultem ciała. Zwłaszcza podatni są na to młodzi, bo dodatkowo tęchce się ich technologią. Kłamstwem, że dzięki tej wynalazczości, temu postępowi, staną się wiecznie młodzi.

Po jedenastej kończymy tę nad wyraz interesującą rozmowę. Za pokutę nakazuje mi dziesięciominutową adorację Najświętszego Sakramentu. Bene! A Komunia, pytam? „Tak, za parę minut będzie msza żałobna w głównym ołtarzu, za jednego z naszych braci”. I zaraz po jego słowach, z głównej nawy dobiega mnie piękne żałobne canto po łacinie. Posadzkami Cosmatich wędruje w dwóch chórach kilkunastu księży we fioletach. Przed gotyckim baldachimem, w ołtarzu papieskim, stoi na katafalku trumna, na niej bilet z czerwonym pomponem. A wysoko nad nami, spogląda ze złotej mozaiki – w przestrzeń bez końca, w czas, którego jest Panem, ponad falami śpiewu opadającego i wznoszącego się od wieków u Jego stóp jak ocean – Chrystus. Pantokrator.

Po południu nagle ulewa. Czy to początek siedmiodniówki, jak mnie straszy Silvio? Pierwszy raz w życiu oglądam Rzym przez ścianę deszczu. Na szczęście wziąłem do bagażu stary składany parasol, tak pogięty, że leje mi się z niego na lewe ramię. Buty, zamzaki, przemoknięte w jednej chwili. Wyrzucam do kosza parasol i kupuję następny za osiem euro, od jednego z ciemnoskórych chłopaków, którzy z pękami parasoli zwisającymi im z nadgarstków, natychmiast wyłoniли się pod daszkami metra przy Koloseum.

W autobusie – młoda parka, z uszami zatkanymi słuchawkami ipoda. Dziewczyna, właściwie dziewczynka, w obcisłym topie, spod – i znad którego – wyłania się więcej golizny, niż jest próbującej to okryć cielistej bawelniczki. On z licznymi srebrnymi kolczykami w małżowinie usznej – wpatrzni w siebie bez słowa. Przeglądają się w sobie, każde z nich jest odbiciem drugiego. Obraz, obraz. Zapewne również ich poglądy są identyczne: na muzykę, na seks, na aborcję. Gdyby choć trochę od siebie się różnili – nie zniesliby tego. Każdy w drugim szuka własnego obrazu. Tryumf Narcyza. Gdyby nawet chcieli teraz coś sobie powiedzieć, każdemu z nich wystarczyłby sam ruch warg. Nie słysząc swych słów, uśmiechaliby się do siebie i zgodnie kiwali głowami, nie wyjmując słuchawek z uszu i nie interesując się słowami drugiego.

Poniedziałek

Deszcz, deszcz na autostradzie wyjazdowej z Rzymu. Oto ruszamy – przez dzikie Abruzzi – na drugą stronę buta, do Pescary i dalej – hej hej! – Apulia!...

Rome in September... Malownicze fontanny spod kół autobusów, na barierkach autostopowicze wtuleni w siebie pod olbrzymimi pelerynami, kolorowe neony rozmyte jak na fotografiach Man Ray'a, a przed nami, za nami i po bokach – bezkres limu-

zyn, o których dachy rozpryskują się potężne krople. Zamykam oczy, jest mi dobrze. Pod powiekami przesuwają mi się deszczowe sceny otwierające „Rzym” Felliniego. Posępne Lacjum z oknami, to już podnóże Abruzzi. We mgle, w deszczu przesuwają się „cyprysów żałobne chóry”. Miasteczko wysoko, hen na skale, uczepione jak confetti do czubka igły. Wspinamy się tam serpentyką owijającą tę igłę. Na samym szczycie niepojęty kłębek uliczek, niektóre jednym bokiem zwisają nad przepaścią, ale jeszcze zmieści się tam szczypiąca trawę koza. Pięć minut postoju na rynku wielkości chustki do nosa. Ani jednego mieszkańca. Kościół. Wiry i łuki brukowanych uliczek, które histerycznie rozbiegają się z placu na wszystkie strony świata i skaczą w dół z urwiska.

Pescara, miasto Amadea

Deszcz ustał. Wieczorny wjazd do Pescary, główną ulicą miasta, przypomina warszawski MDM skrzyżowany z brzydkim centrum handlowym. Silvio: – Pescara to miasto nuworyszy (mówi ładnie z francuska *parvenues*). Trzydzieści lat temu było tu miasteczko, które utrzymywało się z potłuw śledzi. I wszystko kręciło się wokół śledzia. Królem tego miasta był śledź, śledź siedział na śledziowym tronie, w śledziowej koronie. I nagle – znikli tamci rybacy. Kutry sprzedano na złom. Zamknięto sklepiki śledziowe. Teraz śledzia kupi się zamrożonego, w hipermarkecie. W Pescarze, na miejsca oczyszczone ze śledzi, wpłynęły straszne zimne orki – finansjera.

Rodzina Silvia miała tu przed wojną fabrykę likierów. I willę nadmorską na lotnisku Francavilla, które jest tym dla Pescary, czym, dajmy na to, dla Gdyni Orłowo. Zdumiewająca pamięć Silvia wywołuje opowiadaną mu kiedyś przeze mnie, bodaj w 1975 roku, gdy pierwszy raz przyleciałem do Rzymu (– z dziewięćdziesięcioma funtami w kieszeni, zarobionymi myciem garów na Kensingtonie) opowieść o Amadeo. (Zamiast Amadeo, mówię „Cesare”). O włoskim chłopaku, strasznie głupim, z którym przez jakiś czas pracowałem w barze „Maxwell's” na Hampstead. Był z Pescary i każdemu nowo poznanemu opisywał dokładnie, gdzie to on w Pescarze mieszka. A tam, nad piekarnią – i wymieniał nazwisko piekarza – „przecież wiesz gdzie” pytał retorycznie. A skąd mam wiedzieć? – dziwił się rozmówca. – No jak to!? – Cesare nie posiadał się z oburzenia. – Każdy w Pescarze wie, gdzie jest piekarnia... – tu wymieniał nazwisko piekarza.

– To nie był Cesare – poprawia mnie Silvio, gdy kończę znów tę historię. – Wtedy mówiłeś, że on miał na imię Amadeo.

Zadumałem się. Nagle to imię, zaledwie prawidłowo wymówione i wskoczyło w swoją fiszkę, wywołało we mnie istną lawinę skojarzeń. Brzęk dzwonka na naszej ławie obsługiwańczy, przywołujący kelnerkę z całej ich gromadki, paplającej z nami, bo byliśmy fajne chłopaki, z różnych zakątków świata; sałatki stojące szeregiem na obitym błachą parapecie, szczerk talerzy w naszej kuchni otwartej na salę restauracyjną, smród gorącego oleju z frytkownicy, przy której szalał tamten przystojny Argentyńczyk (nie ma, niestety, drugiego Silvia, który by mi przypominał jego imię) i straszliwe gitary Santany, dudniące nam nad głowami do pierwszej w nocy.

– Nie możesz tego trochę ściszyć!? – błagałem tak zwanego menadżera, który z daleka doglądał interesu, siedząc na wysokim stołku przy barze.

– Nie mogę!

– A dlaczego?!

– Bo jak to głośno gra – litościwie mnie objaśniał – to jednych klientów szybciej *drives in* z ulicy, bo inaczej by tu nie weszli, a tych co

jedzą – szybciej *drives out*, żeby zaraz poszli, gdy się najedzą. Tak kręci się interes.

Amadeo był kelnerem i przez tydzień pomieszkiwał w „naszym” domu na East Finchley – co roku opuszczanym przez wujostwo, którzy panice uciekali na całe lato do Walii, gdy nadchodził czas naszego wakacyjnego najazdu z Polski. W „Maxwellu” wszyscy, łącznie z arabskimi chłopakami, próbowali go podrywać, bo to był taki kępy, wiejsko-drobnomiejski włoski macho. W Pescarze za „coś takiego” wybiłby zęby – ale w Londynie się pilnował i pomny zasady, iż „lepszym państwu się nie odmawia”, bodaj poszedłby tu czy tam „na pewne ustępstwa”. Za to tym ostrzej przystawiał się do naszych dwóch niezdobitych dotąd dziewczyn, które w końcu zaczęły na noc zamykać się na klucz w sypialni wujostwa na piętrze. Zszedł kiedyś markotny z góry, spod tych drzwi, do saloniku na dole, gdzie sypiałem na kanapie ciotki. Miałem jeszcze pół flaszki wódki z kraju, więc popijamy i on, serdecznie do mnie: – Jaki masz w Polsce samochód? Ja, że fiat 125 p – skłamałem, bo był to samochód mojej siostry. Ale często nim jeździłem, więc jakby mój. Mało z fotela nie wypadł:

– Ocho, w Pescarze 125tką jeździ tylko sam burmistrz.

Odtąd traktował mnie z szacunkiem.

Silvio mówi, że Pescara to miasto Amadeów.

*

Francavilla – i nocleg u staruszki, mamy Silvia. Ich przedwojenna willa nadmorska przekształcała się po wojnie w zaciszny, nowoczesny bliczek, który od frontu stoi przy przelotowej ulicy, biegnącej z Pescary na południe – tędy będziemy jutro wyruszać do Apulii – a z tyłu ma ukrytą w krzewach alejkę z furtką wychodzącą wprost na plażę. Mama Silvia zajmuje trzypokojowy zabudowany apartament na drugim piętrze, na pierwszym Silvio ma swój, którego nie używa, bo przez większą część roku odnajduje go letnikom. Te dwa mieszkanka to reparacje, jakie otrzymali od włoskiego rządu po wojnie, gdy okazało się, że starą Francavillę, łącznie z pałacem właścicieli fabryki likierów, bombardowania niemieckie i alianckie stały z powierzonej ziemi.

Mama jest matką, gadatliwą staruszką, potamaną w kilku płaszczyznach, przez co przypomina „Akt schodzący po schodach” Marcellego Duchampa. Jeden garbek ma na piersi, drugi przeciwległe na plecach, a oba pochodzą z tego samego kręgosłupa. Grzmot tornada to nic, w porównaniu z wybuchami dialogu matki z synem. Rzucanie papierzykami w poszukiwaniu mapy Pescary, która, jak się okazuje, leżała na wierzchu, poszukiwanie książki telefonicznej, jedna sprzed piętnastu lat, druga sprzed pięciu, szukanie telefonu, wrywanie sobie słuchawki, w końcu, kiedy znużonym tym teatrem sam odnajduję wypożyczalnię samochodów Hertz'a czynną przez całą dobę (jutro z rana mamy ruszać dalej) oboje rzucają się wydzierać mi telefon: No, no! *Domani mattina...* Bo już jest po dziesiątej!

Przy kolacji, moją frakcję milczącą, coraz słabiej opierającą się tej wichurze słów, przychodzi w sukurs spokojna, miła Ramona: dwudziestoletnia Rumunka z Konstancy, opiekująca się mamą Silvia. W ten sposób zarabia na studia prawnicze, które zamierza skończyć w Rzymie. Powściągliwa, żeby nie powiedzieć wytworna, mówiąca biegle po francusku i włosku, nieco po angielsku, jest na tle tej szalejącej pary Latynosów chlubą swego pokolenia w rumuńskim narodzie.

GRZEGORZ MUSIAŁ

Anna Maria Tryba

BUSOLA SZALEŃCA W ZWARIOWANYM ŚWIECIE CZYLI O WITKACYM DRAMATURGU

(...) możliwa jest teatralna sztuka - pisat Witkacy - w której samo stawianie się, uniezależnione od spotęgowanego obrazu życia, może widza wprowadzić w stan pojmowania metafizycznego uczucia, niezależnie, od tego, czy 'fond' sztuki będzie realistyczne, czy fantastyczne, lub też czy będzie syntezą obu rodzajów w swoich poszczególnych częściach, naturalnie o ile całość sztuki będzie wypływała ze szczerzej konieczności stworzenia w warunkach scenicznych wyrazu metafizycznych uczuć w czysto formalnych wymiarach u autora. (S. I. Witkiewicz, „Wstęp do teorii czystej formy w teatrze” w: „Teatr i inne pisma o teatrze”, Warszawa 1995)

Witkacego początkowo poznałam właśnie w tekstach dramatycznych. A później będąc już całkowicie zafascynowana kulturą i twórczością bohemy dwudziestolecia międzywojennego pod Tatrami, czytałam już wszystko jego autorstwa co wpadło mi w ręce. W tym artykule chciałabym skupić się nad zagadnieniem Czystej Formy w dramatach i sztukach teatralnych. A jest to zagadnienie jak sam jego autor chimeryczne, wykraczające poza ścisłe definicje i trudne do zrozumienia.

Stanisław Ignacy Witkiewicz w latach 1918-1926 napisał ponad trzydzieści sztuk teatralnych. Praktycznie od samego początku swojej twórczości zaczął rozwijać własną, oryginalną i kontrowersyjną myśl teatralną. Stworzona przez niego teoria Czystej Formy miała tłumaczyć prawdą, jakimi rządzi się jego dramaturgia, ale przede wszystkim była wyrazem głębokiego namysłu nad dramatem i teatrem. Witkiewicz zaciekle zwalczał teatralny naturalizm, psychologizm i symbolizm. Pisał, że na scenie panują obecnie (dwudziestolecie międzywojenne) „ryk namiętności” i „przepotęgowanie życia”. W zamian zaproponował właśnie teorię Czystej Formy. Patrzył na sztukę teatralną od strony formalnej, domagał się takiej kompozycji formalnych elementów, które byłyby konieczne i oderwane od życiowej logiki, w których można by dopatrywać się sensu tylko z punktu widzenia całości dzieła. Teoria Czystej Formy wyrastała z postrzegania sztuki jako doświadczenia metafizycznego, stanowiła odbicie, przepojonych katastrofizm, filozoficznych poglądów pisarza. Wg Witkacego religia, filozofia i metafizyka upadły i jedynie w sztuce, - też zresztą już zdegenerowanej, bo od renesansu naznaczonej odtworzeniem natury-, możliwe są zmiany, pod warunkiem, że spojrzymy na nią przez pryzmat formy. Zadaniem sztuki jest więc wywołanie uczuć metafizycznych. W dramaturgii Witkiewicza bezustannie powracają podobne motywy łącząc i splatając się ze sobą.

Tematy twórczości, które przewijają się w dramatach, czasami niemal obsesyjnie, nierozzerwalnie związane są z filozofią pisarza wykładaną zarówno w dziełach filozoficznych, jak i powieściach. W dramatach mocno zaznacza się motyw życiowego nienasytowania. Niejednokrotnie celem „witkie-

wiczowskiego” bohatera staje się więc cel, jaki według pisarza przyswieca sztuce. Silne przeżywanie rzeczywistości, chwytywanie jej i „wyżymanie”, zachłystywanie się perwersyjnym erotyzmem, narkotykami, w końcu najróżniejszej maści, podejrzanymi, często hochsztaplerskimi kreacjami artystycznymi, jest dla bohaterów sposobem odczucia dziwności istnienia i jednocześnie aktem samoobrony. Bohaterowie Witkiewicza osaczeni są i omamieni dążeniem do odczucia indywidualnej dziwności istnienia. Niejednokrotnie tworzą więc wyszukane zastępcze światy, i chociaż w „witkiewiczowskiej” konstrukcji dramatycznej „nie ukrywają” swojej sztucznej, wymyślonej kondycji i ostatecznie najczęściej kompromitują się doszczętnie, w istocie próbują zamaskować ból. W sztukach teatralnych Witkacego z niezwykłą intensywnością zarysowuje się przeszerzenie pogłębiającą się dehumanizacją i mechanizacją społeczeństwa. Istnieją dwa oblicza tego lęku - strach przed dyktaturą szarej masy i strach przed ujednoliceniem, zatarciem indywidualności.

Artysta dramatów wg Witkiewicza miał prawo do zrywania związków przyczynowo-skutkowych, do swobodnej deformacji zarówno psychologii, jak i działania postaci. Witkacy pisał o dramacie, że powinien być jak „mózg wariata na scenie”. Jednak równocześnie twierdził, że w sztukach teatralnych pewien sens życiowy jest nieunikniony, bowiem twórcą jest człowiek. Całkowita eliminacja życiowych założeń wpełniałaby sztukę w programowość, która, według Witkiewicza, nie jest szczerym aktem twórczym. Teorii Czystej Formy jeszcze przed wojną zarzucano m.in. niespójność, czasami niemożliwość realizacji i na pewno nieprzystawalność do praktyki dramatopisarskiej autora. Witkacy zażarcie jej bronił, chociaż sam zdawał sobie sprawę, że nie jest jej wierny w swoich dramatach. Sztuki teatralne znakował. Przy tych, jego zdaniem, bardziej realistycznych, np. **„W małym dworku”**, stawiał krzyżyk, natomiast te, które bardziej zbliżały się do czystej formy, np. **„Nowe wyzwolenie”**, oznaczał gwiazdką.

Witkacy uważał, że przed twórcą, który uzna teorię Czystej Formy, otwiera się perspektywa nieograniczonej wolności. Sztukę należy tworzyć w oparciu o rzetelną technikę, ale całkowicie niezależnie od wszelkich zasad, konwencji, mody, oczekiwań publiczności i krytyki. Witkacy swoją teorią przekreśla wszelkie kursy kreatywnego pisania i podręczniki tworzenia scenariuszy, wszystkie zasady zmuszające do układania fabuły w oparciu o wstęp, rozwinięcie i zakończenie, konflikty i punkty zwrotne. Jak zatem tworzyć w sytuacji, w której wszystko wolno? Czy uznając teorię Czystej Formy nie zostaniemy zmuszeni do uznawania za artystów wszelkiej maści grafomanów, wariatów i beztalencja? Nie. Nie wolno zapominać, że dla Witkacego wolność w twórczości była równie ważna, co konieczna. Prawdziwa sztuka, taka, która może spowodować w widzu metafizyczny wstrząs, ma być

szczerą, tworzona świadomie i na gorąco. Stąd dzieła schematyczne, wyglupy, techniczne popisy, efekty działania przypadku, cyniczne fabrykacje, komercyjne produkty i utwory propagandowe nie mają niczego wspólnego z faktycznymi arcydziełami. Sztuka musi działać, a żeby to się stało, musi powstawać dla samej siebie i musi być o samej sobie, niczym ptasia pieśń. Jak zatem ma wyglądać Czysta Forma w praktyce? Tu pojawia się problem. Tego z góry nie można wiedzieć. Kształt sztuki zależy od indywidualności artysty. Można wszystko, więc możliwe są zarówno najdłuzsze deformacje rzeczywistości, jak i dzieła hiperrealistyczne, ubogie w technikę minimalistyczne abstrakcje i skomplikowane ornamenty. Witkacy, mając świadomość, że źródłem sztuki są pradawne rytuały, wierzył, że Czysta Forma może dostarczyć widzom doznań metafizycznych, tak jak czyniła to religia dawniej, kiedy ludzie potrafili jeszcze naprawdę wierzyć w istnienie wyższej rzeczywistości. Sztuka ma przenosić widzów poza codzienność, wyostreć ich zmysły i sprowdzać wrażenia, których skala przekracza wszystko, co znane. Jest więc rodzajem narkotyku odmieniającego percepcję.

Kiedy przystąpił do próby urzeczywistnienia teorii Czystej Formy w teatrze, mieszał wściekłą brutalność z partiami lirycznymi, cytował i parodiował, deformował klasyczne fabuły, pozwalał swoim bohaterom działać wbrew logice i porozumiewać się ze sobą neologizmami. W **„Macieju Korbowie i Bellatrix”**, pierwszym dramacie Witkacego napisanym w dorosłym wieku, młoda dziewczyna w imię miłości do tytułowego bohatera zgadza się, by ją zamordowano. W epilogu **„Matki”** główny bohater spotyka swoją rodzicielkę z czasów sprzed swego urodzenia, noszącą go właśnie w łonie. W **„Wariacie i zakonnicy”** tytułowy mężczyzna pojawia się na scenie tuż po tym, jak się powiesił - jego trup nadal dynda pod sufitem.

Jako autor debiutował w roku 1921, gdy Teofil Trzciński, dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie, wystawił jego **„Tumora Mózgowicza”**. Premiera zapowiadanego jako eksperyment spektaklu odbyła się 30 czerwca, po oficjalnym zakończeniu sezonu. Zaplanowano tylko dwa pokazy, na które wejść mogły jedynie osoby posiadające zaproszenia. Witkacy żalił się, że dyrektorzy sięgający po jego teksty nie dokonują żadnych eksperymentów, gdyż przedstawienia eksploatują w warunkach niepodobnych do rzeczywistości. Faktem jest, że te jak i następne premiery Witkacego schodziły najwyżej po kilku graniach i były doświadczeniem miażdżonym przez rozszuchaloną krytykę. Sami artyści biorący udział w pracach nad spektaklami często odżegnywali się od dramatopisarza i na niego zrzucał winę za niepowodzenia. Zdarzył się i bojkot jego sztuki, gdy w 1926 roku aktorzy warszawskiego Teatru Małego złożyli role i odmówili grania w **„Tumore Mózgowiczu”** w reżyserii Aleksandra Węgieerki.



Karola Zielińska

Jednym z niewielu ludzi teatru usiłujących zrozumieć teorię Czystej Formy i zastosować ją w inscenizacji był Edmund Wierciński, który w poznańskim Teatrze Nowym, noszącym imię Heleny Modrzejewskiej – matki chrzestnej Witkacego, wystawił w 1928 roku „*Metafizykę dwugłowego cielęcia*”. Do dziwności i deformacji tekstu Wierciński dodał deformację gry aktorskiej, w której teksty wypowiedzane były z intencjami pozbawionymi logiki i przypadkowymi działaniami fizycznymi. Przedstawienie okazało się totalną kląpą. Potępił je nawet Witkacy, mówiąc, że „reżyser nie może wychodzić poza pewne granice tożsamości utworu”.

Wielkim i wyjątkowym w życiu Witkacego sukcesem okazała się jedynie inscenizacja „*Jana Macieja Karola Wścieklicy*” z 1925 roku w rozywkowym teatryku im. Fredry w Warszawie. Przedstawienie zagrano 49 razy, następnie wyjechało z nim w objazd po Polskę, a wreszcie przeniesiono do Teatru Małego we Lwowie. W recenzjach Witkacego porównywano z Wyspiańskim i okrzyknięto geniuszem. Sam autor sceptycznie podchodził do triumfu. Wiedział, że „*Jan Maciej...* „jest sztuką stosunkowo odległą od idei Czystej Formy, a jej popularność polegała w dużej mierze na podobieństwie do aktualnych wydarzeń politycznych. W kraju wzrastało napięcie, którego kulminacją przybrała forma przewrotu majowego, a główny bohater, tytułowy Jan Maciej, chłopski polityk, wyraźnie kojarzył się z premierem Wincentym Witosem. Sława i uznanie nie trwały długo. Po roku 1928 żaden zawodowy teatr nie wystawił już tekstu Witkacego za jego życia. Witkacy zarzucał tak widzom, jak i krytykom złą wolę i programowe odrzucanie jego twórczości. Rzeczywiście spotykał się w swoim życiu z wieloma atakami. Zakopiańskiego

artystę oskarżano o niemoralność i „*bluźnierczość*”, próbę zniszczenia wartościowej sztuki, rozbieżności między teorią a praktyką. Krytycy doprowadzali Witkacego do szatu nie tylko za sprawą swojego programowego konserwatyzmu, ale także przez swoje braki w wykształceniu, płytkość myśli i brak intelektualnego rygoru. Często polemizował z recenzentami, choć przyznawał, że wdając się z nimi w spory, ma wrażenie, jakby babrał się w ekskrementach. Kontynuował wysiłek, którego jeszcze przed jego narodzeniem w stosunku do krytyki malarskiej podejmował się ojciec, Stanisław Witkiewicz. Twórca stylu zakopiańskiego dowodził, że recenzenci, używając niejednoznacznych pojęć, tworzą dziwny, jałowy język, którym usiłują uzasadniać swoje niedojrzałe sądy. Pewnie uczucie rozmiłowania się z dominującym nurtem sprawiło, że Witkacy w latach trzydziestych, sporadycznie już tylko pisał sztuki teatralne i przestał zabiegać o ich wystawianie. Okazało się, że na scenach żyjących się komediami Bałuckiego i Zapolskiej nie ma miejsca dla apostoła Czystej Formy. Ostatnie dziesięć lat życia Witkacy żył w przeświadczeniu o niepowodzeniu swojej misji. W wywiadzie udzielonym w 1924 roku na pytanie o to, czego mu brakuje, odpowiedział, że trzech rzeczy: dobrze wyposażonej pracowni plastycznej, własnego pisma i własnego teatru. Po 1925 roku skończył z działalnością malarską, ograniczając się do zarobkowego malowania portretów. Pisał przeważnie w niszowych pismach, które upadały równie szybko, jak pojawiały się na rynku. Jediną grupą teatralną rzeczywiście oddaną ideom Witkacego i regularnie wystawiającą jego teksty był amatorski teatr prowadzony przez księdza Henryka Kazimierowicza przy parafii w Stolinie.

Kiedy w 1935 roku ukończył swoje pi-

sane przez prawie dwadzieścia lat dzieło filozoficzne „*Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia*”, wydał je własnym sumptem w nakładzie sześciuset pięćdziesięciu egzemplarzy. Sprzedać udało się dwanaście. Pewnie nie myślał o swoim dorobku, kiedy we wrześniu 1939 roku zażywał środek nasenny, a następnie podcinał sobie brzytwą tętnicę szyjną. Gdyby przeżył wojnę, doczekałby pewnie do lat 50. i pierwszych nieśmiałych prób wystawienia jego dramatów. Gdyby dożył lat 60., byłby świadkiem pierwszego wydania zbioru swoich dramatów przez rozkochanego w nim Konstantego Puzyń oraz przybierającej na sile fali zainteresowania, która przetoczyła się przez Polskę i Europę. Dochodziłby wówczas do osiemdziesiątki i cieszyłby się opinią prekursora teatru absurdu, który utworzył drogę Gombrowiczowi i Mrożkowi. Gdyby pożył jeszcze dłużej, z niedowierzaniem zapewne przyjąłby do wiadomości, że jego teksty znalazły się w kanonie lektury szkolnych, sankcjonując tym samym jego pozycję jako klasyka.

A gdyby dożył 1985 roku... doczekałby się i własnego teatru... O tym kultowym miejscu mieszczącym się przy ulicy Chramcówki 15 w Zakopanem. To miejsce wyjątkowe, jak jego patron, a dla mnie szczególnie ważne. Panujący tam magiczny klimat od początku mnie koł, czułam się jak u siebie. I Ci fantastyczni poznani tam ludzie. Dobierając osobę, z którą chciałabym porozmawiać przy okazji opracowywania tematyki Witkacego dramaturga nie miałam żadnych wątpliwości. Sporo czekałam na to spotkanie, ale nikt inny, niż dyrektor Teatru Witkacego i wybitny reżyser – pan Andrzej Stanisław Dziuk, nie przybliżyłby mnie jak i czytelnikom lepiej dramaturgii Witkacego i Teorii Czystej Formy.

ANNA MARIA TRYBA

Anna Maria Tryba

ROZMOWA Z ANDRZEJEM STANISŁAWEM DZIUKIEM,

DYREKTOREM TEATRU WITKACEGO I AUTOREM WYBITNYCH INSCENIZACJI SZTUK S.I. WITKIEWICZA.

A.M.T: Moje pierwsze pytanie, takie może trochę przewrotne, jakiej sztuki Witkacego by Pan nigdy nie wyreżyserował?

A.St.D: Chyba nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym spekulować. Prawdopodobnie „W małym dworku”, bo jest najczęściej wystawianą sztuką i pozornie najłatwiejszą. Przez bardzo długi okres czasu, co mogło wynikać z mojej niedojrzałości czy lęku, nie zdobyłbym się na przedstawienie „Szewców” czy „Matki”. Również z tego powodu, że te teksty zostały już wcześniej zrealizowane np. przez pana Jarockiego w sposób fantastyczny. Dlatego nie bardzo miałem taką potrzebę żeby się w jakiś sposób ścigać czy odnosić do tego co było już dziełem skończonym i doskonałym.

Ja kiedy sięgam po jakikolwiek tekst Witkacego jest to powodowane bardzo głęboką potrzebą. I to taką potrzebą, żeby się odnieść nie tylko do stanu kondycji ludzkiej, ale do miejsca człowieka w dzisiejszym świecie. W tym punkcie Witkacy zawsze był dla mnie fantastycznym, ale i bolesnym drogowskazem, swoistym papierkiem lakmusowym. Czytanie siebie poprzez Witkacego zawsze wynikało z ogromnej potrzeby. To też dotyczy mojego zespołu. Niejednokrotnie aktorzy sugerowali mi, kiedy dłuższy czas nie graliśmy Witkacego, żeby do niego powrócić, żebyśmy się nie pogubili. On jest taką naszą busolą. Busolą szaleńca w zwariowanym świecie.

A.M.T: Jedno słowo, którym opisałby Pan

dramatopisarstwo Witkacego?

A.St.D: Nie ma takiej potrzeby, powodu, żeby ograniczać się do jednego słowa. Od razu kojarzy mi się Uczucie Metafizyczne, a to już dwa słowa. Również przychodzi mi na myśl Tajemnica Istnienia. Wyrażenia te są komplementarne. Ale nie chcę tu nadawać sztucznych, martwych określeń, sztuka Witkacego jest żywa, pełna sprzeczności, własnego języka, fantastycznych postaci i zaskakujących rozwiązań. I to wszystko ma wywołać w nas pewien niepokój, niepokój metafizyczny.

A.M.T: Mógłby Pan określić jak rozumie założenia Teorii Czystej Formy? Czy jej elementy realizuje Pan tworząc spektakle?

A.St.D: To jest bardzo dobre pytanie. Dziękuję za nie, bo to jest pytanie, którego wszyscy boją się zadać. Kategoria witkacowskiej Czystej Formy jest swoistym straszakiem. Każdy się boi zapytać, bo zazwyczaj nie rozumie o co tutaj chodzi.

A.M.T: To ja jestem chyba wyjątkiem. Od wielu lat usiłuję zrozumieć o co chodzi w tej teorii, dalej nie pojmuję, ale właśnie dlatego pytam, licząc, że mi oraz Czytelnikom wyjaśni Pan co „w tym jest grane”?

A.St.D: Nie należy się wstydzić, że jest to niepojęta sprawa, bo dla Witkacego ta kategoria była kategorią prowokacyjną. Kategoria z rzędu intelektualnych prowokacji, rzeczy niemożliwych do zrealizowania, nie-dościgłym modelem. Sam Witkacy miał tego świadomość. Jeżeli zdefiniujemy Czystą For-

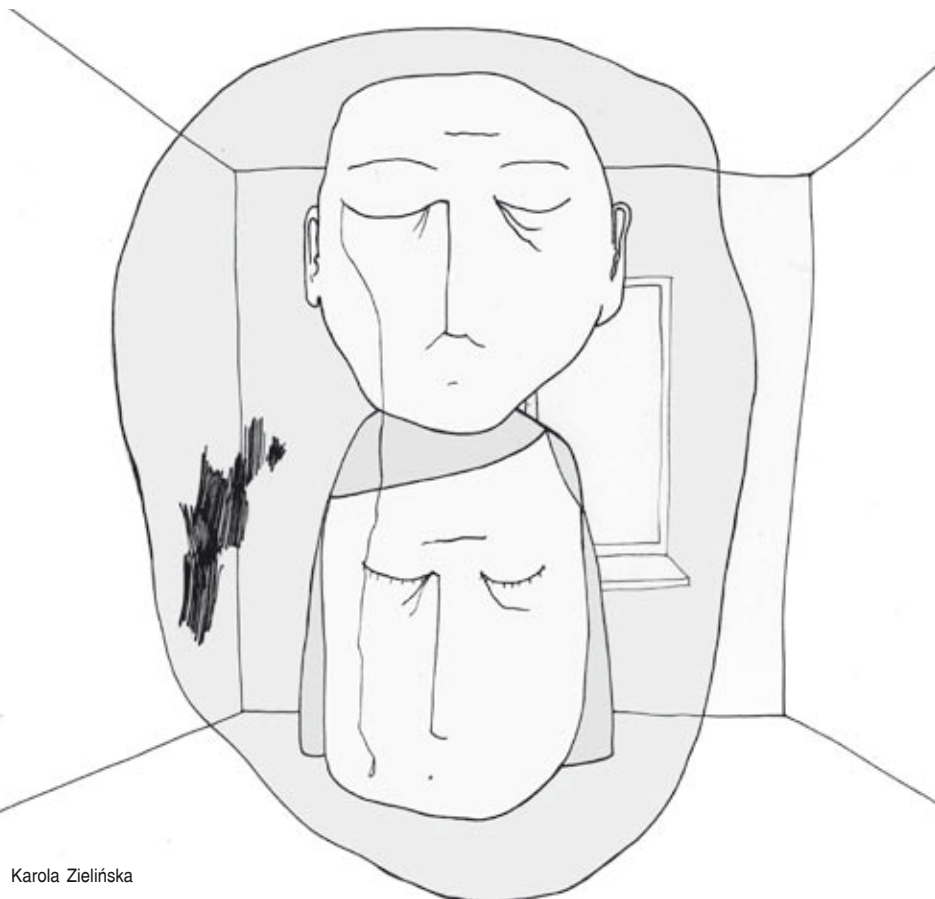
mę w kategoriach wyłącznie formalnych to jest to konstrukcja pewnych abstrakcyjnych elementów, ale to nie oddaje istoty rzeczy. Jednak tak to możemy rozumieć, również jako formę plastyczną czy formę kształtu. To zmierza do zrozumienia formy w głębszych kategoriach. Forma jako to co jest istotowe. Witkacy walczył, aby ta Forma powodowała u odbiorcy określone emocje. Niekoniecznie refleksyjne. Odeżyto najpierw powinno nas „rozwalić” na cząstki, a dopiero potem z tych cząstek możemy poskładać doświadczenie własnego ja, scalać w jedno. Przeżycie estetyczne dla Witkacego staje się przeżyciem egzystencjalnym, metafizycznym. Dzieło sztuki ma budzić uczucie niewytłumaczalnej jedności. Ta jedność jest nam pierwotnie dana. Odezymanie takiej pierwotnego uczucia jest swoistą tajemnicą. Witkacy nie udaje wcale, że to da się tak łatwo wytłumaczyć w języku dyskursywnym. Najważniejsze jest przeżycie bezpośrednie dzieła sztuki, a dopiero potem refleksja nad nim. Dla Witkacego jedynym kryterium dzieła jest, aby wywoływało u chociaż jednego odbiorcy przeżycia metafizyczne. To jest oczywiście kontrowersyjne dla wielu teoretyków sztuki. A przecież właśnie zdolność do tego typu doświadczeń, doznań metafizycznych, jest tym co konstytuuje nasze człowieczeństwo. Cała jego diagnoza upadku sztuki wiąże się z zanikiem tych uczuć. Nie jesteśmy zdolni do tego typu uczuć. To nie jest kwestia, że te uczucia są wstydliwe, to nie są uczucia cliwe, to są fundamentalne uczucia egzystencjalne.

A.M.T: Dlaczego nie jesteśmy w stanie odczuwać już takich stanów, przeżyć egzystencjalnych?

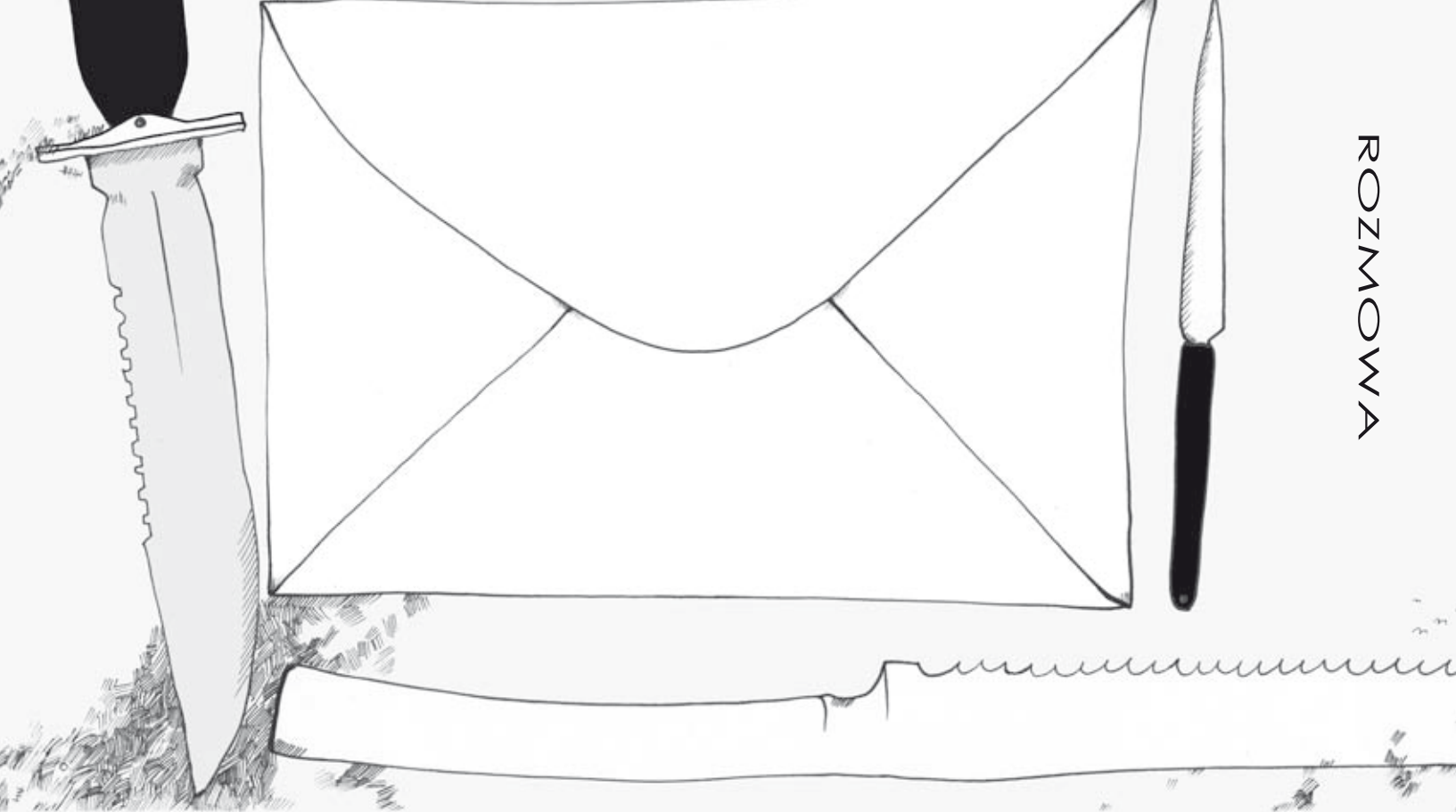
A.St.D: To już jest cały wielki proces umasowienia, zanik indywidualności. Uczucie metafizyczne jest uczuciem indywidualnym, z tym uczuciem nie można się dzielić. A my stajemy się coraz bardziej społecznymi i zależnymi jednostkami, wręcz niewolniczo zależnymi. Kto ma dzisiaj swoją moc i siłę przeżyć swoją samoność wobec kosmosu? Czy wobec Boga? Jesteśmy zbyt mali, zbyt tchórzliwi i przyzwyczajiliśmy się do pseudoobron w relacjach miłosnych czy zawodowych. Jesteśmy cały czas w swojej skorupie, która ma nas bronić przed tym co jest w nas samych. Przed tym co organiczne i wulkaniczne w nas. A uczucie metafizyczne niszczy nasze poczucie bezpieczeństwa, nasze uczucie pojmowania. Dotknięcie Tajemnicy to jest oślepiające światło, ból lub ekstatyczna radość. Jakkolwiek to nazwiemy to przekracza naszą konstrukcję psycho-fizyczną.

A.M.T: Wspominał Pan wielokrotnie, że aplikując na studia reżyserskie, jako propozycję dramatu, który chciał Pan przedstawić byli „Szewcy”. Czy już wtedy darzył Pan Witkacego tak wielkim zainteresowaniem? Dlaczego „Szewcy”? Bo uchodzą za najtrudniejszy tekst Witkacego?

A.St.D: Tak. Bo „Szewcy” byli najtrudniejsi. Bo byłem zachwycony tym dramatem, do tej pory uważam, że ten tekst w diagnozie historyzoficznej jest porażający. Cykl przewrotów społecznych, rola jednostki w tym wszystkim to mnie zawsze fascynowało w Witkacym.



Karola Zielińska



Karola Zielińska

Chociaż jego myślenie jest głęboko katastroficzne, to, że za każdym razem zwycięża masa, z tej masy wychodzi przywódca, a ta masa z powrotem go pożera i mieli. To jest myślenie springerowskie, zmierzch cywilizacji Zachodu. Ale to myślenie jest fantastyczne, bo dotyczyło wówczas mojego myślenia, jak to naprawdę jest, zwłaszcza w czasie panującej wtedy powszechnie komunizmu, myślenia zbiorowego i przeświadczenia, że nic się nie znaczy i nic nie można zrobić. Poczucie, że nad tym panuje jakiś obrzydliwy, niedefiniowalny mechanizm. I tak jest u Witkacego, że są jakieś siły, panuje katastrofizm związany z masą, tłumem. Witkacy właśnie tego najbardziej się bał, tłum, który rządzi, który jest potworem, nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Tu też ujawnia się to XIX wieczne myślenie Witkacego, że tylko jednostki tworzą historię.

A.M.T: Witkacy w swoich tekstach miał zawsze bardzo smutne przesłanki dla ludzkości i miejsca, gdzie ta ludzkość zmierza. Bardzo jest to widoczne tak w jego dramatach, jak i w esejach.

A.St.D: Mówimy tutaj o kolejnej legendzie Witkacego, jedna z nich dotyczy jego życia prywatnego, a druga to silna legenda katastroficzna. W tym miejscu należałoby zdefiniować o jaki katastrofizm chodzi. U Witkacego chodzi o katastrofę, którą sobie człowiek sam tworzy, chodzi o relacje międzyludzkie, które wypracowują mechanizm zniszczenia. Ale co ulegnie zniszczeniu? Człowiek. Ale co to znaczy człowiek? Człowiek umiera, ale wartości powinny być niepodważalne, wieczne. Jakie wartości? Ludzkie. A co nas najbardziej definiuje jako ludzi? To jest ta słynna ego triada: religia, filozofia, sztuka. Wszystkie te kategorie są związane z duchem. Ta słynna triada, dla Witkacego, jest zagrożona. Dla mnie oczywiście najważniejsza jest ta trzecia forma. Co pokolenie słyszymy, że teatr się kończy. Witkacy jest przerażony, że jego świat się skończy. Te wartości, które w jego rozumieniu konstytuują człowieka, umrą, wygasną. Zniknie potrzeba przeżyć metafizycznych, a filozofia bredzi, kieruje się w stronę logiki. I tak też jest obecnie. Filozofii nie ma, jest teoria poznania czy aksjologia. Religia stała się martwym wykonywaniem gestów, nie ma nic wspólnego z pierwotną grozą

wobec Boga. Ale to jego świat się kończy. Jakiś świat zawsze będzie, świat automatów, świat szczęśliwej ludzkości, świat szczęśliwego bydłęcia, „pogwajdić i pokierdaścić”- główne potrzeby nowego człowieka. O tym można by dużo rozmawiać, to fascynujący temat. Jak koniec tej triady ma się do tego co obserwujemy dzisiaj. Jakoś nie widzę, żeby filozofia miała jakikolwiek wpływ w naszym życiu społecznym czy indywidualnym. Nie zadajemy sobie pytań, które mogłyby nas zaniepokoić, zakwestionować. O religii nie będziemy mówić, bo żyjemy w czasach pogan. W czasie, o którym w Ewangelii jest napisane, że to czas pogan, czas który poprzedza czas eschatologii. A sztuki nie ma, sztuka zdezerterowała, zostawiła człowieka. Okręt tonie.

Oczywiście są jeszcze jakieś teatry, jakieś opery, ale nie ma prawdziwych odbiorców tej sztuki. Wielu tam chodzi bo wypada. Po drugiej strony odbiorcy, jest artysta, który zorientował się, że jest martwy, nic go zadowolić nie może. To wg Witkacego wynika z przesycenia i z nienasycenia, z impotencji twórczej. A sztuka ginie w konwulsjach. Wina tego leży zarówno po stronie artysty, jak i odbiorcy.

A.M.T: Czy zostało Panu kiedykolwiek zarzucone nieprawidłowe interpretowanie myśli Witkacego w swoich sztukach?

A.St.D: Dla mnie ważne jest, żeby w moim odczuciu być w zgodzie z myśleniem Witkacego. Jego niezwykle odważnym, mocnym myśleniem. Traktowaniem serio przez niego sztuki. Dlatego jeśli ja robię takie spektakle jak „Metafizyka dwugłowego cielęcia”, to wytapuję z tego dramatu to co wydaje mi się w nim niezwykle ważne, ale co jest w tekście zapisane. Temat, który dzisiaj jest niezwykle ważny. Witkacy pokazuje jak jesteśmy od małości poddawani swoistej tresurze, żeby wpasować się w obowiązujące normy. Często obecnie słyszymy hasła „bądź sobą”, ale co to znaczy? To już brzmi śmiesznie. Rodzę się jako dynamit, a cały proces wychowania prowadzi do tego, żeby mnie rozbroić. Bo sam fakt mojego istnienia w uniwersum stanowi zagrożenie. Okrutna prawda jest w tym, że robi się to w imię miłości, dla mojego dobra. Wszyscy chcą stworzyć z karmazyniera porządnego człowieka. Istnieje pytanie, czy

to jest cena, jaką się płaci, za to, że się żyje w społeczeństwie? I czy ta cena nie jest zbyt wysoka? Bardzo lubię to przedstawienie i ten tekst. On jest dosyć powikłany przez relacje osobowe, ale przy dużym skupieniu da się to rozszyfrować.

A.M.T: Witkacy ze swoimi „Szewcami” zajmuje teraz miejsce wśród obowiązkowych lektur szkolnych. Uważa Pan, że to dobry pomysł przymuszać młodzież do czytania Witkacego? Czy wiek licealny to nie jest jeszcze za wcześnie na lekturę jego dzieł?

A.St.D: Wszystko zależy jak będą interpretowane te teksty. Jeżeli to ma być przykład Witkacego jako proroka, który przewidział zagrożenie komuną, to jest to daleko posunięte uproszczenie. Zrobienie z Witkacego pisarza, który tworzył polityczną satyrę jest żałosne i niedopuszczalne. Wydaje mi się, że młodzi ludzie mają swoją wrażliwość, swoją mądrość i intuicyjnie przeczuwają, że nie da się Witkacego tak łatwo zaszufladkować. Na pewno dobrze, żeby się w szkole o tego Witkacego chociaż otarli, a on sobie już z nimi poradzi. To będzie owocowało intelektualnie, zobaczą, że opis świata nie musi być jak w serialu.

A.M.T: Ale jest coś w tym Witkacym, że młodzież zawsze się fascynowała jego postacią. W liceum największym zainteresowaniem w czasie omawiania dwudziestolecia międzywojennego, cieszy się właśnie Witkacy. Jak Pan myśli, z czego to wynika?

A.St.D: Z jego legendy biograficznej. To znaczy mam na myśli tę czarną legendę erotomana, narkomana. To przyciąga. To jest krzywdzące dla Witkacego, ale jest to cena noszenia pewnej maski, która została mu nałożona. Jeśli to spowoduje, że ktoś sięgnie po Nienasycenie czy Pożegnanie jesieni to będzie to piękne. Witkacy już później zrobi swoje, niezależnie od swojej czarnej legendy.

A.M.T: Jest może coś, czego życzyłby Pan sobie i czytelnikom sięgającym po dramaty Witkacego? Dotyczącego chociażby interpretacji.

A.St.D: Ja mogę życzyć jedynie prawdziwych, głębokich przeżyć metafizycznych, doznań artystycznych, które są możliwe dzięki Witkacemu!

ANNA MARIA TRYBA

Tadeusz Zawadowski

budowanie barykady

wynoszę na ulicę książki herberta i miłosza i buduję
z nich barykadę. dokładam do nich swoje ostatnie
wiersze z nadzieją, że poezja potrafi ocalać. nie wiem
jednak na ile jest w stanie wytrzymać nawałę hipokryzji
i ksenofobii oraz dzielenia na wrogie armie
swoich i gorszych. czytam ludziom *pana cogito*
ale oni zatykają uszy. bawią się jak dzieci rzuconymi
na bruk srebrnikami. podnoszę wzrok. na barykadzie
łopoczą jak sztandar słowa z wiersza miłosza
nie bądź bezpieczny.

poeta pamięta.

budzik na barykadzie

czas budować barykady. w przeciwnym razie
hordy bestii wtargną do naszych domów. wygłodniałe
już ostrzą zęby i pazury. gotowe zrobić wszystko
żeby nas dopaść. tak długo czekały
na swój żer. prężą karki do skoku na to co ludzkie.
czas budować barykady w naszych sercach
aby nie dopuścić do nich zwierzęcej nienawiści
i żądzy władzy nad światem. budzik tyka i niedługo
zadzwoń na alarm.

kwarantanna

milczenie przez telefon nie zastąpi prawdziwego. spojrzenia
w oczy dotyku niby przypadkowego. zamknięci w czterech
ścianach pokoi przypominamy tężejące odlewy z gipsu.
szarzeją nam rysy i słowa kruszeją w gardłach.
za oknem puste ulice umierają jak ludzie w ciszy.
jeszcze chwila a zegarom zaczną pękać sprężyny. ludziom
serca.

kwarantanna II

powoli wyludniają się ulice wymierają domy. ich lokatorzy
coraz bardziej przypominają maski pośmiertne. opustoszałe
place zabaw daremnie wypatrują twarzy roześmianych
dzieci. nieużywane huśtawki i karuzele rdzewieją
w zapomnieniu. czasem przysiadzie na nich zmęczony
lotem ptak lub zwabiony ciszą motyl. patrzę przez okno
na wałęsającego się po ulicy bezdomnego psa

i zaczynam mu zazdrościć.

najgorsze

najgorsze skrada się zawsze po cichu jak kot. nie usłyszysz
nie zauważysz jak wejdzie do twojego domu. z czasem
jego sierść będzie wszędzie. na meblach podłozie nawet
na pościeli. przyklei się do rąk później do jedzenia i do
szklanki z herbatą. zaczniesz się dławić ale będzie już
za późno. zabraknie powietrza i twoje oczy staną się
podobne do wyrzuconej na brzeg martwej ryby. wtedy
najgorsze zacznie tulić się do twojej żony i dzieci

opowiadając im bajki na dobranoc.

Stoją szpitalne harlekiny na szpitalnych półkach w szpitalnych korytarzach. Zamieszkują semi-biblioteki zawieszane na ścianach, gdzieś w nieokreślonych przejściach pomiędzy poradniami, w niepozornych międzyoddziałowych tranzytach, nieszczęśliwych kątach obok szpitalnej kaplicy czy osobliwie pachnącego bistro.

Stoją i czekają, aż pochwyci je spragniona wielkiego romansu, drżąca kobieca ręka. Aż zostaną zabrane do szpitalnego łóżka w białej, kilkuosobowej sali, przesyconej intensywną wonią środków dezynfekujących. Aż wsuną się ze swoją właścicielką pod oddziałową kołdrę i dadzą jej uciec do świata romantycznej, bajkowej perwersji. Zmieniają wyobcowany, jałowy pobyt w szpitalnych murach w niezapomnianą ekstazę. Wpędzą dojrzałe niewieście serce w oszałamiającą gwałtowność, gdy zamożny José Carlos o śnieżnobiałym uśmiechu, oświadczy się przepięknej acz biednej Consueli Rojo Fernández. Policzki najdą szkarłatem rumieńców, kark i dłonie zaleją się deszczem potu, gdy przystojny szejek Kharastanu porzuci tytuł i wytworne pałacowe życie dla nietrakcyjnej rozwódki z piątką brzydkich dzieci i dodatkowym palcem u lewej stopy.

Czytelniczkom (bo już nie pacjentkom) znikną dłużące się godziny pomiędzy jednym a drugim badaniem, całkowicie wypełni się czas oczekiwania na zabiegi. Będą z niecierpliwością wyczekiwać końca porannej wizyty, odejścia profesora ze swoim orszakiem: docentów, rezydentów, pielęgniarek i studentów. Bo na co ich nieszczerze uśmiechy, na co sztuczne, interesowne potakiwania, na co deklamowanie historii choroby

przy każdym pacjencie. Niech już skończą tę drogę krzyżową ze stacją przy każdym łóżku, tę litanię z powtarzaniem jak mantra „Oczywiście, panie profesorze”, i szybko wyjdą do kolejnych sal sakralnych. Z zamknięciem drzwi za ostatnim z nich będzie można od razu pochwytać odłożonego na stoliku nocnym harlekina, wrócić do ostatnio napoczętego akapitu i w końcu dowiedzieć się: czy ciężarna Natasza Piotrowna ucieknie z żonatym kuzynem, którego poznała w teatrze Bolszoj? Jak Moskwa zareaguje na wieść o incescie?

Niech nadejdzie szósta trzydzieści, o której przyjadą z głośnymi wózkami i wydadzą niesmaczną kolację. Po tej godzinie, kiedy w świetle zewnętrznym ludzie zaczną wchodzić do kin, kawiarni i restauracji, do szpitala wkradnie się cichutko na paluszkach doskonały spokój, jakże sprzyjający wciągającej lekturze! Niech nie przychodzą: zmarłowna ciotka, głupia teściowa i zbuntowana, rozpuszczona córka. Niech nie będzie ich uścisków, łez, słów żartów, świeżych ręczników, rosółu w stoiku, byleby tylko móc, jedynie w pozorowanej zewnątrz samotności, zanurzyć się – póki współlokatorki-pacjentki nie poproszą o zgaszenie światła – w świat harlekina, w którym autor z niebывалą swobodą szermuje dramatycznymi losami wykreowanych przez siebie postaci.

Ach, piękne panie! Ach, piękni panowie! Królewicze na białych koniach, opaleni, egzotyczni kochankowie z Barbadosu. Bogaci szejkowie, zmysłowi sycylijscy mafiosi, niewinne królowny, znużone białogłowy pragnące nowej miłości i piękne maski ze złamanymi

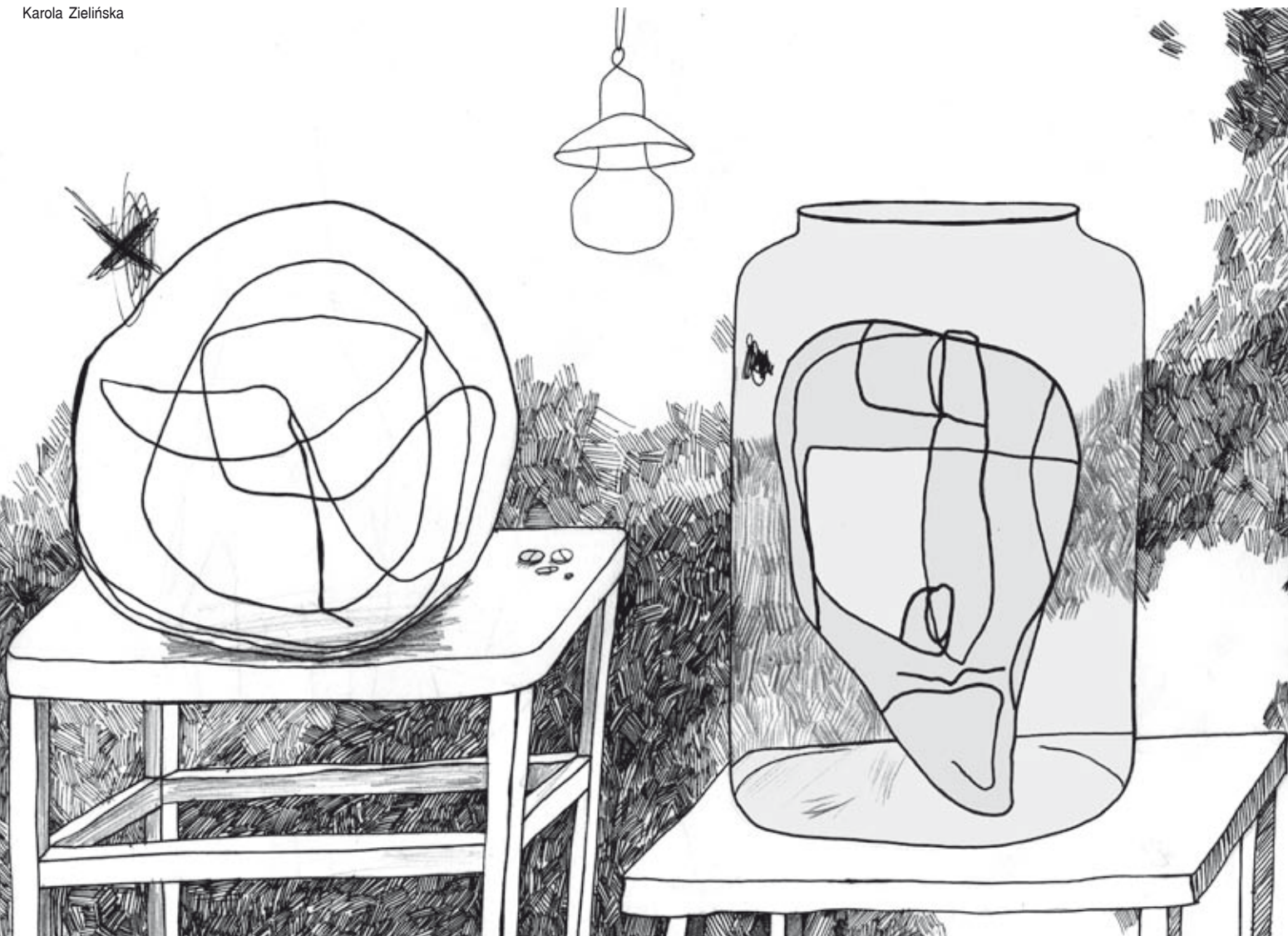
sercami! Ach, wy – niedocenieni bohaterowie szpitalnych harlekiców, cisi towarzysze napręmiennie znudzonych i przerażonych pacjentek – trwajcie! Trwajcie odwiecznie na stronicach wielkich, romantycznych powieści, tak niesłusznie posądzanych o kicz czy grafomanię! Zamieszkujcie kartki tej potężnej literatury, która skondensowała kobiece marzenia i fantazje, skryształizowała ich pieczętówicę skrywane, nigdy niewypowiedziane ekstatyczne pragnienia. A to wszystko w jakże prostym, klarownym i przystępnym dla każdego języku!

Bo po wypisie znów wrócą pacjentki do kuchni, do garów, do niewdzięcznych dzieci, do kotów, do sterty prasowania, do prania, do podlewania cyklamenów stojących na parapecie, do nudnego męża. Przyłkoczą ich szara codzienność, ogłuszy rozdźwięk pomiędzy wzruszeniem i wysnioną miłością romantyczną, jakich zaznały w szpitalu, a oczekującą ich rzeczywistością. Znów staną przed lustrem, poczują się przekwitnięte i nieatrakcyjne, na wskroś i ostatecznie określone.

Lecz w sercu będą nosić wspomnienie wielkiej miłości, jaką przeżyły na stronicach harlekina podczas hospitalizacji. I gdy przed snem położą się do łóżka – już pod domowym sufitem, obok chrapiącego, zapuszczonego męża – w przypiływie reminiscencji na powrót w emocjach zadrzy ich ciało, zasiedlą się w brzuchu motyle. Może harlekina historia zawita pod postacią marzeń sennych, by o poranku odejść w nicłość... ale czy na zawsze.

NINA BARANKIEWICZ - TYC,
KALISZ, 16 CZERWCA 2020 R.

Karola Zielińska



Irena Kaczmarczyk

autorskich, z jego przez całe lata redagowanego w „Dzienniku Polskim”, „Wierszowiska” wiedziałam, że będą to pełne mądrego humoru i z pazurem dziennikarskim opisane fakty, zdarzenia, refleksje.

Muszę przyznać, już sam tytuł dziennika

po trzydziestym drugim roku życia, a są poetami z natury - mają trudne zadanie. Szaleństwo mieszać z rozsądkiem, marzenie z realizmem - w sposób proporcjonalny, żeby jedno nad drugim nie przeważało... Za dużo szaleństwa - człowiek się wypala. Za dużo

DOTRZEĆ DO PESTKI. ZAPIŚNIK JÓZEFA BARANA CZYLI „STAN MIŁOSNY...PRZERYWANY”.

Dzienniki. Od zawsze lubiłam je czytać, podobnie jak biografie, pamiętniki, listy. Bo poszerzają intelektualne horyzonty, bo pozwalają przyjrzeć się twórcy, zauważyć, jak postrzega rzeczywistość, co z niej wyluskuje, z czego buduje swoje ego, co czyta, kogo ceni i za co, i mogłabym tu jeszcze wyliczać, wyliczać...

Czytanie dzienników to swoista podróż z autorem, wspólne dźwiganie bagażu, który przecież towarzyszy każdej podróży, tej w realu, jak również tej prowadzącej w głąb - do **pestki duszy**. I ta, docierająca do **pestki**, bardziej mnie interesuje. Bo ona dopowiada to, czego w pobieżnej rozmowie czy w zewnętrznej wędrówce wspólnym traktem nie jesteśmy w stanie odkryć. Dlatego też z ciekawością wybieram się w taką podróż. I już od pierwszego kroku (czyt. zdania), od pierwszej strony wiem, jaka to będzie wędrówka: płaska, nużąca, czy też ekscytująca, pełna przystanków, oczarowań, olśnień, zaskoczeń...

Biorąc do ręki zapisnik Józefa Barana „Stan miłosny...przerywany”, nie miałam wątpliwości, że czeka mnie nie tylko długi i fascynujący spacer po świecie literatury, ale też spacer do wspomnianej wyżej pestki, z przystankami na odautorskie komentarze, refleksje, rozważania krążące nieustannie wokół ważnego pytania: czym jest poezja, co jest istotą dobrego wiersza? A znając krakowskiego poetę, dziennikarza ze spotkań

mnie zaczęli. „Stan miłosny...przerywany”. I ten rzadko używany dziś, czeskiego pochodzenia rzeczownik **zapisnik**, użyty w podtytułe książki. Poza tym, miałam za sobą przeczytane wcześniej dzienniki: „Koncert dla nosorożca” (2005), „Przystanek Marzenie” (2008) i fragmenty „Spadając, patrzę w gwiazdy” (2013), w których znalazły się zapiski z lat 2008-2012.

Już po otwarciu książki, liczącej 430 stron zaskoczył mnie pomysł prezentacji wiersza „Żyję”, który znalazł się nietypowo na odwrocie karty tytułowej (redakcyjnej). Rękopis wiersza w pięknym zapisie graficznym rozgościł się na całej płaszczyźnie białej kartki. Z trudem wkomponowały się w przestrzeń utworu pieczątki i numer inwentarza Biblioteki Jagiellońskiej. A potem zachowana już chronologia zapisków; wyodrębniony rok 1979, 1988 i okres obejmujący lata 2013-2018. Data końcowa sugeruje, iż zapewne ciąg dalszy nastąpi, na co wierni czytelnicy z niecierpliwością będą czekać, a ja, już ustawiłam się w kolejce.

Pierwszy zapisek Józefa Barana jest opatrzony datą 17 stycznia. No cóż, data jak data, ale od razu zatrzymał mnie wywód „[...]Moje trzydzieste drugie urodziny. Wchodzę w wiek Chrystusowy...Przez chwilę myślę o Chrystusie, który gotował się już do największego dzieła.[...] Myślę, że Ci którzy zamierzają długo jeszcze żyć

rozsądku - kończy się poeta. Spacer po linie, bardzo niebezpieczny. Wybieram jednak ten spacer”. I wybrał, oferując czytelnikom setki wierszy, bo Józef Baran jest twórcą niestru-dzonym. Nawet doświadczony poważną chorobą, nie przestaje pisać, zaskakując bystrością obserwacji, świeżością przekazu. Jego poezja, proza, krytyka literacka po prostu smakuje. Jest roziskrzona metaforą, dowcipem, jest barwna, dźwięczna, chociaż niekiedy zdolna ugodzić i dotkliwie zranić. Nacechowany emocjami język nie pozwala czytelnikowi na nudę. Schwytyany w uwodzieńską sieć narracji, nawet nie usiłuje odłożyć lektury na później.

Ja też datam się uwieść (nie pierwszy raz zresztą) i w skupieniu odbyłam z autorem literacką podróż, aż do meły. Podróż na wskroś poetycką, bowiem każde nieomalże wydarzenie jest w zapisniku pretekstem do rozważań o poezji, bądź owocuje wierszem. Józef Baran nie traktuje dużych czy też małych podróży płytko. Obserwacje obcych krajów, a zwiędził sporo świata, pobudza ją poetę do refleksji, porównań. Bo weźmy zmetaforyzowany wywód:

„Polska jest wciąż młodym obiecującym poetą - niespełnionych nadziei, ośleptych jasnovidzień, niedorozwiniętych skrzydeł - aspirującym do wielkości, choć po cichu zazdrości spełnionym, „dojrzałym” krajom. Wciąż wychodzimy z siebie, lecz rzadko kiedy dochodzimy do celu... Trwamy w zawieszaniu”.

W najnowszym zapisniku Józef Baran zamieszcza sporo wierszy, ba, nawet cytuje swoje pomysły na wiersze, czy też króciutkie poetyckie szkice; cytuje również cudze utwory, które ceni, bo trzeba wiedzieć, iż autor dzienników jest wysoce wybredny i zna się na dobrej poezji.

Zapisnik roi się od wspaniałych cytatów zapożyczonych z multum przeczytanych przez Józefa Barana książek, z wypowiedzi twórców polskich i obcych, z którymi poeta albo się przyjaźni, albo też koresponduje, przeprowadza wywiady. Poeta jest chłonny wiedzy, ciekawy opinii innych znawców literatury. I, zawsze ma odwagę wypowiedzieć własne zdanie. Często krytyczne; niekiedy powie ostro, czasem zadziornie, czy kpiąco. Tak, tak(!), ale to przecież zapisnikowiw do-daje smaku, jak pieprz do kurkumy.

Józef Baran od zawsze był poetą ambitnym. Na wątpliwe stwierdzenie polskiego pisarza Wojciecha Żukrowskiego, odnoszące się do wiejskiej arkadii w jego pierwszych tomikach, odpowie:

„A może jednak uda mi się do końca moich dni sprostać czasem, światkując im za pośrednictwem kruchej, pięknej dmuchawcowej liryki, która okaże się najlepszym materiałem i narzędziem opisu życia. A czemuż by nie?”. Krucha, dmuchawcowa li-



Karola Zielińska

ryka (cudownie powiedziane!). Niejeden poeta od niej zaczyna, chociażby pisząc te słowa. Ale czy mamy wstydzić się wrażliwości? Siebie?

Zapiski Józefa Barana czyta się jednym tchem. Czyta się z przyjemnością, a nawet z ...zazdrością. Nie bez powodu, recenzując „Stan miłosny ...przerywany” utalentowany młody krakowski krytyk literacki Michał Piętiewicz napisał, iż Józef Baran posiada srebrny talent. Tak! Srebrny talent. Posiada.

Język Józefa Barana jest osobny. Nie do podrobienia. Tak w poezji, jak i w prozie. Poeta ma dużo do powiedzenia. Buduje swój literacki imagine poprzez aktywność w środowisku literackim, jak również czytanie dobrych książek z literatury rodzimej i obcej. Na kartach dziennika pisze: „Miałem w życiu wiele literackich miłostek i miłości: Jesienin, Leśmian, Gombrowicz, Schulz, Nowak, Harasymowicz, Herbert, Rilke, Joseph Roth, Masters, Emily Dickinson, Kawatis, Staff, Pawlikowska-Jasnorzewska, Szymborska, Myśliwski, Sándor Márai, Thomas Bernhard...”

Autor zapiski dba o dobre kontakty. Jest obecny na znaczących Festiwalach Literackich w różnych krajach Europy, Ameryce, Australii. Juroruje licznym konkursom literackim, jest nieustannie zapraszany na spotkania autorskie. Jest to dla niego codzienność. Sam przecież powie w którymś momencie, że „żyje jak wiatr”, odbywając np. w ciągu pięciu dni spotkania autorskie w Warszawie, Sandomierzu, Rzeszowie, pałacu Myśliwskim w Julinie, Leżajsku, Kolbuszowej i w Krakowie. Poeta ceni sobie to „rozchwytywanie”, czerpie z niego wiele poprzez kontakty z wyjątkowymi ludźmi: poetami, prozaikami, krytykami; owocują one długoletnimi przyjaźniami, chociażby z Arturem Sandauerem (odkrywcą Poety Józefa Barana). Z wieloma prowadzi korespondencję. Korespondencja z Mrożkiem zaowocowała przecież wydaniem książki „Scenograf od wieczności. Listy” (2014), o której napisał pięknie na łamach „Dziennika Polskiego” Wacław Krupiński: „Komu jeszcze było dane mieć w młodości mentora, a z czasem partnera Mrożka i dostać od niego błyskotliwą pochwałę; że „nie robisz z gęby pióropusza, z mózgu sataty, z życia hecy”.

Autor dziennika jest wymagającym odbiorcą sztuki, nie zawęża swoich zainteresowań do poezji, zachwycę się dobrym malarstwem, muzyką; powie: „Gdybym – nie daj Boże! – był dyktatorem, karałbym mandatami za ziewanie przy obrazach Van Gogha i Makowskiego... za niewrażliwość na kwartety Schuberta i wobec me-tafor Leśmiana, a nawet Barana (dlaczego nie?). Nagradzałbym marzycieli mających piękne marzenia i idących z nimi, a karałbym bezliźnie tępych pełzaczy za brak wyobraźni...”. Ale Józef Baran nade wszystko jest... poetą. Wyznaje na łamach zapiski: „...wielkie katedry powieściowe... bardziej narażone są na runięcie... gdy powieją wiatry historii, niż małe wiersze, ważki, które mają większe szanse uchronić się, jakoś frunąc z tym wiatrem, poddać się mu i przetrwać”. I jak nie zachwycić się Baranem, który wiersz porównuje do ważki? Stosowane często przez poetę wielokropki otwierają czytelnikowi furtkę na własne domyslenia, dopowiedzenia. Pozwalają współrozmyślać, współkomentować, nieomalże współpisać.

Nie sposób przywołać wszystkich pomieszczonych w dzienniku rozważań dotyczących poezji, samej istoty pisania wierszy, ale kilka z nich warto zacytować a nawet zapisać w osobistym notatniku:



Karola Zielińska

„Wiersz dzieje się jakby w powietrzu, nie musi mieć trwałego zakotwiczenia w rzeczywistość, choć wynika z rzeczywistości, nie musi stać nogami na ziemi, na fundamentach, nie chodzi na piechotę, a raczej frunie, przeskakuje, albo raczej przefruną z odległego skojarzenia w odległe skojarzenie – jak iskra, jak maćka kapucynka, jak ptak. Wiersz może dziać się tu i wszędzie, i nigdzie jednocześnie. Odsyła naszą wyobraźnię, naszą wrażliwość do czegoś, czego nie da się właściwie wyrazić słowami prozy, ale co jest ważne, jak nastrój, klimat, uczucie, tęsknota. Oczywiście istnieje też poezja innego rodzaju, bliska prozie, bliska aforyzmowi, dążąca jednak do skrótu, definiująca, zamykająca definiowalną przestrzeń a nie otwierająca na Tajemnicę (np. Bursa, Różewicz). Bo oczywiście nie ma jednej recepty na poezję”.

Albo:

„Nie jest ważne, prostota, długość, krótkość wiersza, tylko z jakiego materiału słownego jest to uszyte, i jak skrojone, czy tandetnie i chaotycznie, czy gustownie, odkrywczo, oryginalnie. Mówi się przecież „szlachetna prostota” i „prostactwo prostota”. Poezja nie jest tylko sprawą mózgu (rozumianego potocznie), ale też na pewno, może przede wszystkim sprawą serca i jaj i wrażliwości i wyobraźni”.

Ciekawe są odpowiedzi Józefa Barana zaczerpnięte z wywiadu przeprowadzonego podczas choroby przez krakowskiego poetę, dziennikarza Jakuba Ciećkiewicza. Na zadane pytanie: „Kim jest poeta?” Józef Baran odpowiada:

„Jest normalnym, zwyczajnym człowiekiem, jak ja, jak ty, jak inni. Nie cierpię pozorów, „ufryzowanych artystów”. Wkłada taki na tło arabski fez, zawiązuje wokół szyi hinduski szalik, nosi koszulę w kwiaty i kolorowe buty. Siada w oknie kawiarni, pali fajkę, ludzie go oglądają i mówią – patrzcie, poeta!...} wiesz, myślę, że ten „wewnętrzny” człowiek, który gdzieś tak ukrywa się w poecie, jest dużo mocniejszy i ważniejszy przy pisaniu od „zewnętrznego”.

A sam wiersz, jako utwór, cudownie porówna do samolotu:

„Wiersz ma startować jak samolot, najpierw toczy się po ziemi, trzymając

się pasa, potem wzbija się w górę i leci w przestworza, w wysoki styl”.

I jeszcze jeden cytat, który należałoby zapamiętać i koniecznie zapisać:

„Poeta nie zaczyna się wtedy, kiedy napisze wiersz czy tomik. Tylko wtedy, gdy ułoży ze słów całe gospodarstwo czy księstwo wyobraźni, gdzie architektura jest doskonale zakomponowana, są ogrody, sąsiedzi...”. I nie tylko te wypowiedzi Józefa Barana są warte zapisania. Ale, czy tylko zapisania? Uważam, że „Stan miłosny... przerywany” powinien posiadać w swoim księgozbiórce podręcznym każdy poeta, nie tylko początkujący, ale także ten, który interesuje się słowem pisanym. Bo jest to – moim zdaniem – znakomity **przewodnik literacki**, napisany nieszablonowym, żywym, często dosadnym językiem. Autor z połotem definiuje istotę poezji, jak również podsuwa czytelnikowi wartościowe utwory wybitnych twórców polskich i światowych.

No cóż, moja podróż, zaproponowana przez krakowskiego poetę szlakiem, zmierza ku mecie. Tak. Odczuwam pewien niedosyt. Chciałoby zasygnalizowania faktów, jak przekazanie Bibliotece Jagiellońskiej przez Józefa Barana cennych dokumentów literackich, jak fascynacja (również moja) twórczością wybitnego węgierskiego pisarza Márai Sándora, jak cenne przyjaźnie: z Anną Dymną, śp. profesorem Markiem Karwałą czy szwedzkim Noblistą Tomaszem Tranströmerem. I wreszcie, nie wspomniany przeze mnie wstrząsający epizod (daj Boże, by to był tylko epizod) dotyczący poważnej choroby, której poeta poświęca dużo miejsca w końcowej części zapiski.

Józef Baran podczas terapii wyznaje: „moje łotki przycięte [...] mam skrzydła przestrzeni skrępowane...”, jestem jednak pewna, iż po pokonanej chorobie, chociaż świadom autorowi trzydziestu lat, na pewno wyznaczy kolejny poetycki szlak, którym poszybujemy „w wysoki styl” i do-trzemy do samej ...**pestki**. I tego należy krakowskiemu autorowi trzydziestu lat, Mistrzowi barwnego języka życzyć!

IRENA KACZMARCZYK

Baran J.: *Stan miłosny...przerywany*, Warszawa 2019, PIW, 2019, ss. 430. ISBN 978-83-66272-18-7

Marian Kisiel

MAŁY CMENTARZ

1

Kazimierz Nitsch w *Mowie ludu polskiego* (Wende i sp., Warszawa – Leon Frommer, Kraków 1911, s. 128): „w epoce romantycznej pisano nieraz smętarz i łączono go z smętkiem, choć to grecko-łacińskie coemeterium”.

2

Coemeterium, κοιμητήριον. Miejsce spoczynku, sypialnia, cmentarz.

3

Vladimir Jankélévitch śmierć bliskiej osoby nazywa „śmiercią w drugiej osobie liczby pojedynczej”. Są albowiem – powiada – trzy rodzaje śmierci. W „trzeciej osobie” to śmierć „byle kogo”, obcego, do zastąpienia, „nie kryjąca w sobie żadnej tajemnicy”. W „pierwszej osobie” to śmierć „moja”, „nie mogę o niej mówić, właśnie dlatego, że jest to moja śmierć”. „Pozostaje śmierć w drugiej osobie, śmierć kogoś bliskiego. Oto uprzywilejowane doświadczenie filozoficzne. Przypomina moją śmierć, a jednak nie jest moją śmiercią, nie jest też bezosobową i anonimową śmiercią [...]”. „Ktoś bliski, umierając, wyręcza mnie w filozofowaniu o śmierci”. – *To, co nieuchronne. Rozmowy o śmierci*, przeł. Mateusz Kwatarko, PIW, Warszawa 2005, s. 16.

4a

3 stycznia 2020. – Okropny grudzień, codziennie kogoś zabierała śmierć. Jakby nie mogła ugasić pragnienia w przedostatnim roku dekady. Zabierała istnienia jak stulecie wcześniej, nas pogrążając w zdumieniu i niewierze, bo wszystko wydawało się niedorzecznością. Czy będziemy tworzyć nowe legendy, choć nie uporaliliśmy się jeszcze ze starymi? Czy jedno archiwum pamięci już się przepełniło i trzeba było na gwałt otworzyć nowe?

4b

3 maja 2020. – Okropny kwiecień, codziennie kogoś zabierała śmierć. Jakby nie mogła ugasić pragnienia. Nie hiszpańska, lecz chińska dziesiątkowała jak stulecie wcześniej, nas pogrążając w zdumieniu i niewierze, bo wszystko wydawało się niedorzecznością. Czy, ocalawszy, będziemy tworzyć nowe legendy, choć nie uporaliliśmy się jeszcze ze starymi? Czy jedno archiwum pamięci już się przepełniło i trzeba było na gwałt otworzyć nowe?

5

Jestem płaczką, czy szefem działu obituariów? Mieczysław Grydzewski powtarzał, że nic tak nie ożywia pisma, jak nekrolog – i prosił o nekrologi. Zdumiewać może, że pożegnać nie chcę pisać ci, którzy mienią się strażnikami pamięci. Ale – gdybyż mieli pamięć, gdybyż czegokolwiek strzegli...

6

Piotr Czaadajew, *Fragmenty i różne myśli*, fragment 89, przekład mój. – „Kochałeś tego niedawno zmarłego człowieka, szanowałeś go. Teraz zaś jest on dla ciebie

smutnym wspomnieniem, wspomnieniem smutnym i, być może, jednocześnie jasnym. Ale już go więcej nie kochasz, już go więcej nie szanujesz, tylko o nim pamiętasz. Bo jak, w swej istocie, kochać i szanować proch? Ale gdyby przypadkiem ten człowiek wciąż żył, nie wiem gdzie – w jakimś odległym kraju, w jakimś nieznanym kraju? Gdyby tylko był nieobecny, jak wielu innych twoich przyjaciół? Dlaczego więc nie odczuwasz do niego tych samych uczuć, jakie odczuwałeś wcześniej? Nie widzę tu żadnych przeszkód. A kult świętych. Wierzyć poważnie, sumiennie w nieśmiertelność duszy i nie szanować ludzi godnych naszego szacunku tylko dlatego, że nie żyją tutaj, na ziemi, czy nie jest to absurdalne?”

7

Ilekoć wchodzę do tej restauracji, zawsze wita mnie portret pierwszej jej właścicielki, EB. Miałem szczęście ją poznać, kiedy tworzyła niepowtarzalną atmosferę w „Marchalcie”, restauracji w niegdysiejszym budynku Związku Literatów Polskich. I tak od wielu lat, wita mnie z portretu i uśmiechamy się do siebie. Starzejąc się, widzę jednak, że czas nie sięgnął portretu. Śmierć nie ma do niego dostępu. Ale to nie jest moja myśl, tylko Siergieja Andriejewskiego.

8

Siergiej Andriejewski, *Książka o śmierci*, przekład mój. – „Nikt nie młodzię tak skutecznie i szybko, jak umarli. Wkrótce młodzi ludzie staną się dla nas po prostu dziećmi, nasi rówieśnicy na zawsze pozostaną młodzieńcami, a prawdziwi starcy nigdy nie zeszczepią się w grobach. Równie szybko młodzię nasze portrety, ponieważ namalować portret w jakimś momencie znaczy tyle samo, co w tym momencie umrzeć”.

9

Wikentij Wieriesajew, *Notatki na własny użytek*, przekład mój. – „Nie ma nic bardziej okropnego i nic piękniejszego niż starcze twarze. I nic bardziej prawdziwszego. Z młodej, jednej twarzy bez śladu znikają zmarszczki, które są przenoszone przez myśli i nastrój osoby. Na starzej twarzy życie duszy jest przecinane przez wszystkim widoczną, nieusuwalną pieczęć”.

10

Lew Karsawin, *Poemat o śmierci*, 2, przekład mój. – „Na stosie palono Żydówkę. – Kat łańcuchem przywiązuje ją do słupa. A ona pyta: czy tak, jak stoi, jest dobrze... Dlaczego martwi się o narzędzie kata? Alboż dzięki temu szybciej upora się on ze swoim zadaniem? Alboż jest losem – nieubłagany, bezdusznym, a mimo to – ostatnim człowiekiem? – Kat nic nie odpowie i, zapewne, nic nie poczuje. Ale, być może, coś drgnie w jego duszy, odpowiadając na jej krótkie pytanie; i ręka mu na chwilę zadrży; i nieznane mu, nikomu nieznanym ludzkie współczucie złagodzi jej śmiertelną mękę. A męka jeszcze nie nadeszła, nieznosna, nieskończona. I do ostatniej chwili – już sama, całkiem sama – będzie krzyczeć i skrecać się, lecz nie będzie przyzywać śmierci: śmierć sama przyjdzie, jeśli tylko... przyjdzie”.

11

Słowo „zagłada” nigdy nie zawęża liczby, ponieważ zawsze odnosi się do liczby mnogiej. Samuel Bogumił Linde w swoim *Słowniku języka polskiego* (U Autora i x. Pijarów, Warszawa 1814, t. 6, s. 641-642) definiował je jako „zagładzenie, zgładzenie, wyniszczenie, wniweczenie, zagubę, zaginięcie”. A potem dodał jeszcze silniejsze znaczenie słowa „zagładzić”: „zgładzić, wygładzić, wygubić, zagubić, wytępić”. I wreszcie: „zagładzić z pamięci, wypuścić z pamięci, oddać niepamięci”. Czy w wieku XVIII wiedzano, że dwa stulecia później znów będziemy wracać do tych samych znaczeń słowa?

12

Mówią, że herold nie jest winny temu, że przynosi złą wiadomość. I że jego śmierć jest niezastużona. Co za niedorzeczność! Herold zawsze jest po drugiej stronie. W chwili, kiedy podejmuje nieodwołalną decyzję o głoszeniu złej wiadomości, przestaje być przyjacielem i staje się wrogiem.

13

Czy herold ma wybór? Tak, może uciec w milczenie, czyli w samobójstwo. Ale czy wtedy byłby heroldem? Tak, ogłosiłby złą wiadomość temu, który uznał się za suwerena.

14

Herolda nikt nie może przymusić do męczeństwa.

15

Książka. – Dreszcz, że czas się skurczył. Sięgnąłem po książkę, której nie przeczytałem. Jakby ktoś otworzył drzwi i powiedział do mnie: „Nie przeczytałeś tej książki”. Wyjąłem ją z pierwszego rzędu, nieskalaną wertowaniem kartek, nienaruszoną. I ze zdumieniem przeczytałem na stronie tytułowej, że ukazała się przed dwudziestu laty. Minęło jedno pokolenie, tyle razy sięgałem do innych tomów, a ten, stale klujący w oczy charakterystycznym grzbietem, wciąż trwał w swojej dziewiczości. Jak się uchował, skoro czytałem o nim w przypisach do innych prac i był opiewany przez pióra wielkich mego czasu? Nie przeczytany zawczasu, czy dzisiaj będzie miał mi coś do powiedzenia? W ciszy północy, czy mam zacząć czytać, czy poczekać jeszcze, aż nadejdzie ta chwila, której jeszcze nie znam. Odłożyłem książkę na jej miejsce.

16a

Biorę książkę, która ukazała się przed czterema dekadami. Przerzucam strony, wzbudzając we mnie silne uczucie. Każde zdanie witam po latach i żegnam się z nim na zawsze. Dzień dobry, Michale! Żegnaj, Kazimierzu!

16b

Notatki go poematu. — Że jest niezbędny, zrozumiał dopiero wtedy, gdy odkrył, że jest niepotrzebny. O, jakże szczęśliwy jest

teraz pustelnik, który nie musi doświadczać obecności pozornej. Szum drzew jest dla niego znakiem przemijania, a pluskające źródło dowodem, że trwa, co trwać będzie. Po co ma przechodzić przez place miast w słoneczny dzień, o których pisał poeta, że właśnie wtedy milczą. Po co ma odwiedzać tłoczne i tanie miejsca, gdzie sprzedają wino, skoro nikt tam nikogo nie słucha, tylko mówi, pobudzając powietrze. Jak mądrą decyzję podjął pustelnik, będąc w przelocie między bytami śnienia, że ominął wiedzę o swojej zbędności. I już wie, że szum drzew i plusk źródła między bytami śnienia są prawdziwą niezbędnością.

17

Karol Irzykowski twierdził gdzieś (nie mogę odnaleźć tego cytatu), że wszystko, co napisano o literaturze, jest wielkim cmentarzyskiem. Stanisław Baczyński dodawał o krytyku: „choć jego przyszłość fatalistycznie znaczy konieczność upadku, obowiązkiem jego jest tę przyszłość stwarzać, budować dla samego siebie rusztowanie, szyc kosztułę śmiertelną dla swych myśli, bez nadziei odwrócenia losu; następcą jego nie będzie jego synem, chociaż będzie deptał po jego grobie” (*Pisma krytyczne*, wybór Andrzeja Kijowskiego, PIW, Warszawa 1963, s. 227-228).

18

Wilhelm Feldman o Władysławie Bogusławskim (*Współczesna krytyka literacka w Polsce*, nakładem Jana Fiszera, Warszawa 1905, s. 347-348): „Trzydzieści pięć lat recenzentem teatralnym... Przez blisko czterdzieści lat, wieczór po wieczorze, z małymi wyjątkami, zajmować fotel w teatrze i ze skupioną uwagą patrzeć na owe wirowe tańce życia i śmierci, smutku i weselości, na druzgocące lawiny fatalizmu i strzelające z czeluści gamy śmiechu, które przedstawiają życie... Na zmagających się daremno z Losem patrzeć półbogów i na mrówki ludzkie, orkanem tanich uciech i marnych złudzeń porwane; bezustannie mieć w uszach szpile głoś wyzywających Fatum bohaterów i szelest skrzydeł elfów wiecznie od nas odlatujących i chichot bezmyślności zawsze z siebie zadowolonej... Wieczór po wieczorze uciekać od życia, aby spotkać się z tym życiem w postaci skondensowanej, ukazującej wszystkie miłe błazeństwa młodości, smutne zmarszczki starości, wszystkie klęski, jakie przynosi wiek męski, w zwiększeniu, przejawianiu z niemocą, która umysł niesmakiem zalewa, z siłą, która gra na wszystkich nerwach, całej uśpionej muzyce duszy każde rozbrzmiewać. Uciekać od życia – i mieć przed sobą to życie w całej brutalnej wyrazistości preparatu od reszty świata izolowanego, czasem przestłonięte tajemniczą, wonną mgłą poezji, którą najczęściej brudzi szminka, targa kabotyństwo, rozprasza trywialność wykonania... Uciekać od życia w sferę kontemplacji, w świat złudzeń, w krainę piękną – aby bezustannie stać w ogniu bojowym, z piórem w ręku staczać wojny, być otoczonym hałasem, wirem i czyhającymi z każdego kąta wrogami. Używającym być, co najwyżej dzielić się wrażeniami, a równocześnie szarpać sobie nerwy, rozrzucać kawałami mózg, z punktualnością służbisty być na posterunku, o oznaczonej porze – do usług publiczności, zawsze czujnym, zawsze w towarzystwie wszystkich bogiń sztuki, a w kontekście z *profanum vulgus*, zawsze pisać pięknie, o duszy, o pierwiastkach nieśmiertelności – gdzie? na fali tak niewiernej, tak przemijającej, jak felieton o egzystencji jednodniowej... – Aby temu

poddać – niemałą trzeba w sobie mieć sumę miłości bezinteresownej, zdolności do entuzjazmu i równocześnie do abnegacji, sporo, sporo idealizmu...”

19

Bezradność. – Nad ranem, o godzinie 5.00 umarł J. O godzinie 10.00 dzwoni do mnie O. i płacze. Dwa dni później mówi mi przez telefon, że gdyby nie syn, nie potrafiłaby załatwić aktu zgonu. – „Jestem głucha i bezradna” – mówi.

20

Jakie są granice bezradności? Chciałbym zapytać o to, ale kogo? Nie odpowie mi na to pytanie ani Bóg, ani świat. Bezradność jest granicą mojej niewiedzy.

21

Barbara Skarga w *Trzeciej metafizycznym* (Znak, Kraków 2009, s. 66): „Czym był świat każdego z nas podczas wojny? Ruinował domy, niszczył otoczenie i tych ludzi bliskich, znanych. Gotowi byliśmy się z niego wyrwać, i nie od nas zależała wówczas jego konfiguracja. Kto mógł go wówczas nazwać swoim? Wiem, że właśnie wówczas mój zginął. A na jego miejsce powstawał obcy, wrogi, inny”.

22

Noc z 1 na 2 września 2019. – Zagrzmiato, ciężkie krople bombardują ziemię. Trzecia nad ranem, powtórka z historii. Osiemdziesiąt lat temu mama miała niespełna dziesięć lat, ojciec piętnaście. Nie spadła wtedy na strzechy żadna kropla deszczu.

23

Emil Cioran w zbiorze *O niedogodności narodzin* (przeł. Ireneusz Kania, Aletheia, Warszawa 2008, s. 163): „Tylko jedno jest ważne: nauczyć się bycia przegranym”.

24

Śmierć Q. – Myślę o jego niezawinionej klęsce. Spotkała go w chwili największego upojenia.

25

Nowa śmierć zapomina starą. Świeże mogiły oddalają dawny smutek.

26

Ważne słowo wypowiedziane wiele lat temu ma tę samą moc i dzisiaj. Dlaczego czytamy stare książki jako coś kanonicznego, oderwanego od przemijającego życia? Czy dlatego, że przemawiają do nas zza bram śmierci?

27

Zza bramami śmierci rozlega się ten sam głos, jaki słyszemy dzisiaj.

28a

Wczorajszy umarł miał więcej lat niż nam się zdaje. Pierwszy usłyszany przez niego głos należał do kogoś, kto urodził się kilkadziesiąt lat wcześniej. Ten pierwszy głos słyszał głosy wcześniejszych świadków życia. Tajemnica kontynuacji.

28b

Siergiej Andriejewski, *Książka o śmierci*, przekład mój. – „Wyobraźmy sobie, że gdzieś na świecie żyło trzydziestu stuletnich

starców, z których każdy poprzedni umierał w dzień narodzin następnego. Złożywszy razem ich istnienia, otrzymamy trzy tysiące lat, czyli zagłębimy się w najdalszą starożytność, starszą o tysiąc lat od narodzenia Chrystusa... Tylko trzydziestu ludzi – i już prawie nie ma historii...”

29

Emmanuel Lévinas (*Całość i nieskończoność. Esej o zewnętrznosci*, przeł. Małgorzata Kowalska, PWN, Warszawa 2014, s. 307, 308): „Miłość zwraca się ku Innemu, zwraca się ku niemu w jego słabości. [...] Kochać znaczy bać się o innego człowieka, przychodzić z pomocą jego słabości”.

30

Kategoryczność zaimka. – Emil Cioran w *Ćwiartowaniu* (przeł. Maciej Falski, Aletheia, Warszawa 2018, s. 94): „Istnienie to plagiat”.

31

Q. przed śmiercią dzwonił do tych, z którymi chciał się pożegnać. Niektórzy uznali to za naruszenie ich spokoju. Nie chcieli zaprzętać sobie głowy jego umieraniem.

32

Jeżeli obojętność jest złem, to jak nazywać fałsz?

33a

Pół roku od śmierci Q. wnioskodawcy stypendium byli zażenowani, że ktoś może o nie prosić.

33b

Q. – Rozpacz, zawód, milczenie.

34

Rozmowa z J. po wielu miesiącach. – Na prośbę, by pozdrowił żonę, odpowiedział, że nie żyje od pół roku. – „Ale nie cierpią” – powiedział. – Jak zdefiniować cierpienie?

35

Postanowienie, by zadzwonić do A. Żeby zdążyć. Do M. i W. Czy to będą telefony zdziwienia?

36

Ten nieznośny szmer w mózgu, jakby umarli skrobali w drzwi pamięci.

36b

Roger Caillois pisał w komentarzach do swojej *Sztuki poetyckiej*, że poetą zostaje się, czytając innych poetów. Ale później poeta wyzwala się „od tych wpływów i wyrabia sobie własny styl, który z kolei wywiera wpływ na innych” (tłum. Aleksandra Frybesowa, w: *Odpowiedzialność i styl. Eseje o formach wyobraźni*, wybór Maciej Żurowski, PIW, Warszawa 2020, s.241). Nie każdemu się to udaje. Poezja przeglądająca się w doświadczeniach innych, to zjawisko najczęstsze. Czytając wiersz, jakbyśmy patrzyli w lustro, w którym odbija się znana nam rzeczywistość. Janina Barbara Sokółowska zakryła lustro, nie musi pytać o drogę poetów innych. Wszła w świat, który jest tylko jej – niepodzielny. Afirmuje go, choć ją rani. Szczere dzieli się nim, jak opłatkiem. Nawet jeśli mówi, że jest to świat „złamanej symetrii”, to nacisk

→ kładzie na „symetrię”. Poezja Sokołowskiej jest apologią postawy stoickiej. Poetka wie: „żyć to umierać powoli”.

37

Emil Cioran w *Pokusie istnienia* (przet. Krzysztof Jarosz, Aletheia, Warszawa 2016, s. 5): „Nie ma dzieła, które nie odwróciło- by się przeciwko swemu autorowi: poemat zmiążdży poetę, system – filozofa, wydarzenie – człowieka czynu. Uniestwia się każdy, kto – odpowiadając swemu powołaniu i wypełniając je – mიაła się wewnątrz historii. Zbawiony zostanie tylko ten, kto dary swoje i talenty poświęca, aby – uwolniony od swych ludzkich przymiotów – mógł nurzać się w istnieniu”.

38

Naukowe dzieci? Rzadkość. I nie dlatego, że nie podejmują teorii, która wpłynęła na ich myślenie. Teorię zapomnienia odrzu- cić równie łatwo, jak uzasadnić.

39

Na grobie rodziców P. – nieporządek. Tak samo łatwo ich zakopać, jak swoich przy- jaciół. – Milczenie, brak troski – synonimy.

40

Jeżeli A. uważa, że B. jest na tyle głu- pi, by C. wielbił ich obu, to D. wszystko to zauważy i opíše.

41

Z rozkoszą obserwuję starania tych, któ- rzy chcą zaistnieć choćby na chwilę. Jak bardzo muszą się obawiać utraty swojej nowej pozycji? Starej – nie mieli.

42

Na weselu K. wszyscy zachowywali się nie tak, jak wypadło. A i B spiskowali, C w samotności pił do nieprzytomności, bo D zapomniał, że jest z C, a E i F, choć powinni być pierwsi, zapomnieli, że są z G i H, którzy może to wszystko mieli gdzieś, gdyby nie to, że G i H w reakcji na A i B, a także na D, który miał inną wizję spotkania i zamiast zajmować się C, uwodził B, który i tak go miał gdzieś, bo A, oczywiście, opowiada, że... Klasyczna polskość.

43

Dobrze, że liczebniki porządkowe są też rodzaju męskiego. Nie musimy wówczas ob- rażać kobiet.

44

Obtuda. – Dlaczego nie chcemy przy- stać na ten rodzaj stodyczy? – Bo wywołuje w nas wymioty.

45

Jak może spojrzeć w lustro? Tyle razy zaręczał, że może, a teraz twierdzi, że nie. – Są jeszcze mocne konary w lesie – mówił ojciec.

46

Stefan Żeromski, *Dzienniki*, 21 VIII 1887. — „Wieczór. Idę w pole. Z małego wzgórką rozciąga się dywan szeroki, czarny. Dolina- mi przepasuje go biała mgła. Zza lasu wy- chodzi w pąsowym obłoku księżyc. Wieczny artysta na palecie niebios rzucił bez myśli kilka plam — chmur. Pąsowa jedna, druga

brunatna, inna długa i biała jak wstęga mu- ślinu lub ogon komety. W tej jak drogocenna perła świeci wielka gwiazda. Drzewa śpią, ludzie przestali mówić — tylko księżyc w tym olbrzymim obrazie idzie, idzie po niebie”.

47

Fragment eseju Władysława Chodasie- wicza *Na stulecie „Pana Tadeusza”* – prze- kład mój. „Rano, po herbacie, mama za- bierała mnie do swojego pokoju. Tam, nad łóżkiem, wisiał w złocistej ramie wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Na podłodze leżał dywanik. Klęcząc, po polsku odma- wiałem *Ojciec nasz*, potem *Zdrowaś Mario*, a potem *Wierzę*. Potem mama opowiadała mi o Polsce, a czasem czytała wiersze. Był to początek *Pana Tadeusza*. Co to za utwór, dowiedziałem się znacznie później i dopie- ro wtedy zdałem sobie sprawę, że lektura nie wykraczała poza siedemdziesiąty dru- gi wers pierwszej księgi. Za każdym razem, kiedy bohater (którego imienia jeszcze nie wymieniono) wychodził z powozu, biegł po domu, widział znajome meble i zegar z kurantem — »I z dziecinną radością po- ciągnął za sznurek, / By stary Dąbrowskie- go usłyszeć mazurek« — matka zaczynała ptać i opuszczała mnie.

Wersy te znałem niemal na pamięć, niewiele z nich rozumiejąc, i nie starałem się ich zrozumieć. Wiedziałem, że napisał je Mickiewicz, taki sam poeta. Jakimi byli poeci Puszkina, Lermontowa, Majkowa, Fet. Ale rozumieć Puszkina, Lermontowa, Majkowa, Feta trzeba i można było, a Mickiewicz – to inna sprawa: to nie tylko poezja, to coś nierozzerwalnie związanego z modlitwą i Polską, to znaczy – z kościołem, z tym kościołem w Zaułku Miłutyńskim, do którego jeździmy z mamą w każdą niedzielę. Nigdy nie widziałem ani Mickiewicza, ani Polski. Nie można ich było zobaczyć, tak samo jak Boga, ale oni są w tym samym miejscu,

gdzie jest Bóg: za niską kratą, obitą czer- wonym aksamitem, w grzmocie organów, w dymie kadzideł i w złotym, dziwnym bla- sku skośnych promieni słońca, skądś z boku padających na ołtarz. Ołtarz był dla mnie przedprożem, a nawet początkiem »innego świata«, w którym byłem, kiedy mnie nie było, i będę □ kiedy mnie nie będzie.

Bóg — Polska □ Mickiewicz: niewidzial- ne i niepojęte, ale rodzime. I □ od siebie nieoddzielne.

Tak się roilo w dziecięcych, zmaconych wyobrażeniach.”

48

Głos. — Przechodząc koło siebie, nie wzięliśmy od siebie nic. Otwarcie na głos, nie zechcieliśmy się przy nim zatrzymać, ale wchłonęliśmy go, a nie dzielił się nim. W przelocie, jak u Rilkego, stale przelotni, ułatwiliśmy sobie z możliwości spotkania na rzecz hegemonii obecności. Ileż nas umknę- ło w tym naszym niemożliwym przechodze- niu, przelocie.

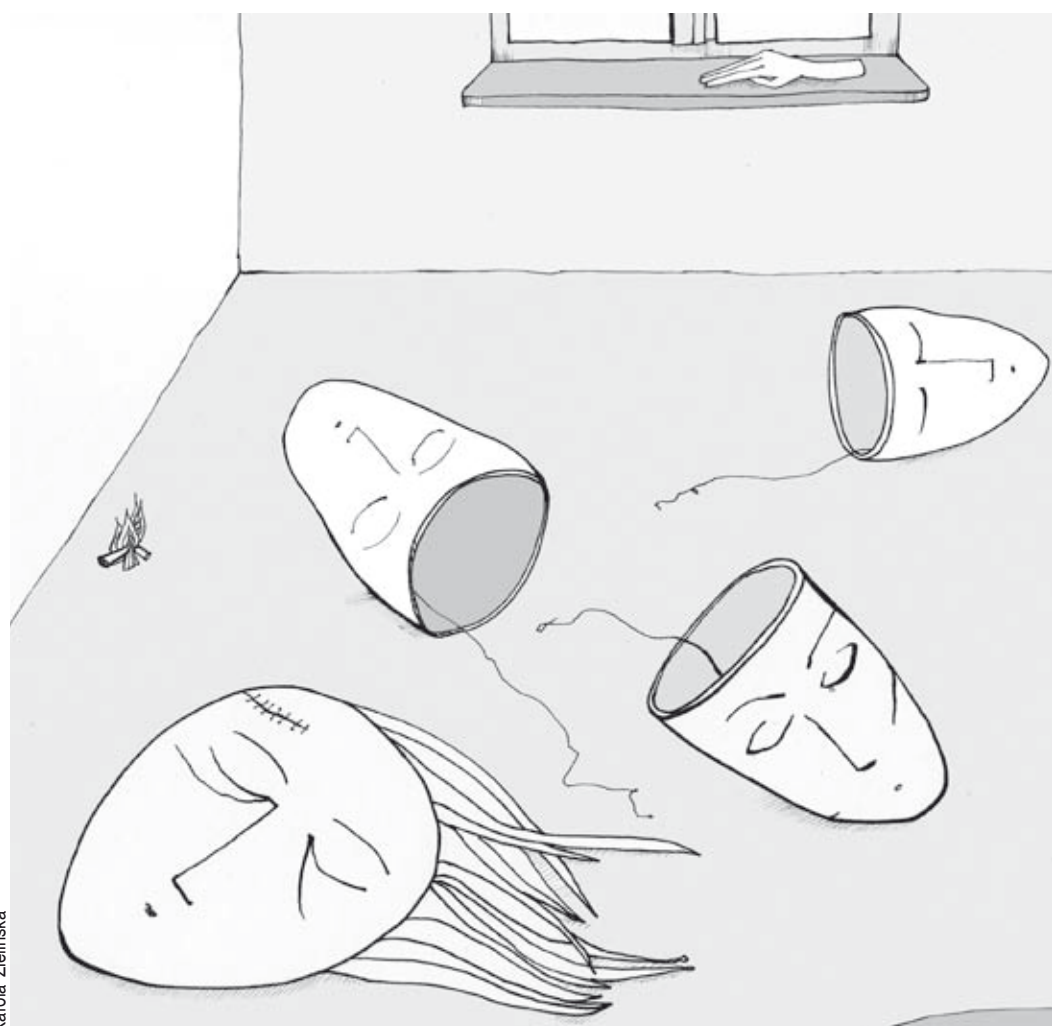
49

Grzesznica. — Wyłożyłam kubeł twym miłosnym westchnieniem; ileż kubków już wyrzuciłam w mój życie; wciąż wrzucam w otwartą gardziel łzawę kulę, i wciąż listo- nosz puka do moich drzwi.

50

Zdumiewa, jak mądry człowiek może głupio mówić, kiedy stara się zamknąć coś w zdaniu definiującym. Definicja urąga mą- drości, ponieważ jest jej wyimkiem — bez wątpliwości, zwątpień, pytań zadawanych sobie i innym. Zamknijmy kulę w definicji. Niechże komu się to uda!

MARIAN KISIEL



Karola Zielińska

Paulina Kotarska

Ars peccatum

I w sukience za dolara można uprawić
miłość.
Koronkę oberwać,
bez potu,
nawet i lepiej.

Nitkami postrzępionymi
wyznać
jak zwisa z serca ulga. Pajęczyna.
Wszystko jedno.

Wydreptam ci ścieżkę na papierosa, zaraz po tym, gdy powiesz, że jestem jak Monroe, Bardot, czy Loren. Zdanie po zdaniu, aż skręci cię z bólu żołądek, aż odwrócisz wzrok, aż w mgnieniu oka, w krótkim spojrzeniu spod uchylonych powiek dostrzeżesz, że jestem tylko kropką na końcu poprzedniego pytania. A może w ogóle mnie nie ma,

Skrzeczające mewy znowu odgrywają nad nami tango, to co, i tak wcisnę repeat, żeby istnieć, żeby nie zniknąć, trwać.

Kraina brudnych stóp

Spojrzenie takie,
sterylne,
z wierzchu szept przemieciony
ledwo tylko, ot tak, żeby nie wbiły się
w pięty paskudne komplementy,

w stopy brudne.

Kładziemy się w trawie dawno niekoszonej i cieszymy się nieostrożnie z zapachu kompostu. Rzucasz chleb wróblom na dachu, niech mają coś z życia, widzę twoją linię pleców i wklęsły pępek. Dzięki Bogu, może nas nie zauważą, pominą w statystykach.

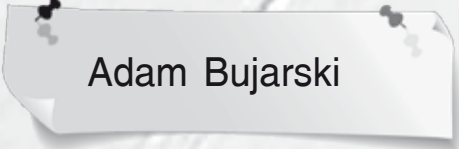
Piekę policzki na słońcu,
płyną pode mną korzenie, owoce twoich rąk, przekopane zapachem świerków i cisów.
Karmię się szumem fotosyntezy,
a gdy po nogach ścieka mi sok z brzoskwiń,
staram się usłyszeć istotę kwazarów,
zrozumieć, po co odchodzić do miejsc, gdzie stopy muszą być czyste,
bez wyrzutów sumienia.

Przyznaję, że...

Sypiam na ziarnach pieprzu,
ubrana w nagie anemony,
dreszczem reaguję
na puste posłanie psa.

Wśród brzóz
się rumienię,
co zrobić?
Każdy ma jakieś wady.
Zawsze trzymam pełną walizkę na antracytową godzinę
i zapominam o dekalogu.
Nigdy
nie podsycam ognia.
Po prostu płonę.

Paulina Kotarska (1990) absolwentka resocjalizacji. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich, np. zdobyła I miejsce w ogólnopolskim konkursie „Ogród Ciszy” (2015), 7. OKP „Erotyk na krechę” im T. Stirmiera (2020). Jeszcze bez publikacji, pisze do różnych szuflad, szuka swojego literackiego miejsca, balansuje między prozą a poezją. Mieszka w Bydgoszczy.



Adam Bujarski

DO WSZYSTKOMÓWIENIA

Którędy chybię jeszcze ramionami do ciebie, która powinnaś pojednać mi ręce?

Odsunięty na dotyk z pamięci jestem pępkiem kamienia
wykwitem ziemi co skalą swojego tuszu
Wstępuje mi w sen dziecięcy, nie rzucając
wspomnienia.

Więc dokąd rozpętam żyletką żadne usta
za ciebie, która powinnaś wytyczyć mi pustkę?

Co świadczy o mydełku wszechświata: nieserdeczne serce, mózg niegdyś wszystkożerny
które skroś oślim ławkom zrazu płyną;
od lat już chodzę taki/nie taki umarły
Bo dotknąć chciałbym zgłupieć i to powtarzać- ciągle ginąć.

MOJE EGO

nie wiem który z czasów mi danych
jest traconym. Czy ten gdy jestem hic et nunc
dla niedołączonej matki
czy też ten gdy na kolanie
mogę coś napisać
Poskarżyć się, że kazano mi truchtać
z nosem przy ziemi
bodaj dla
gratki
W którą stronę mści się wówczas
moje ego co szepcze
tak:

Napiszesz coś czasem
dla siebie
wówczas nastaje Robert Walser
bo nieco więcej wie
o papierowych torebkach.

Możesz też coś namalować
choćby zbliżanie się ran (czyt. Makowski)
szczękę szykować o
impas z wiekiem
Nieudany Murzyn- wiadomo żaden „...cki”.

Następnie przerzucać siano dziedzica Eluarda
upomniany nabiąłem
Usłysz naraz
że szkoda, bo lekarzem być miałeś.

Ów lekarz- tak dziwnie- struga
czyjeś szczury w nogawce Brodskiego
następnie przez skrawki
muru zachodzi w święto dożynek
Następnego i następnego

Ot, przyczynek
do mojego...

BOGOWIE MAJĄ WELNIANE NOGI

Dei laneos pedes habent.

Makrobiusz, Saturnalia, I, 8, 5.

Wszyscy szczęśliwi gnostycy są do siebie podobni, każdy nieszczęśliwy gnostyk jest nieszczęśliwy na swój sposób.

Gnostyk ścina pustkę jak trawę po powierzchni, nie dotykając jej korzenia. Dlatego ona wciąż rośnie, pomimo wszelkich wysiłków.

Odrzuca świat materialny jako dzieło jakiegoś niższego boga, uważając się za kontynuatora Buddy, Zoroastra, Jezusa czy Manesa.

Tudzież idzie w sukurs demonom. Ćwicz wznoszenie rąk nad tworzeniem i nad niszczeniem.

Podszywa się pod herezjarchów, stając się tworem śmiesznym, wystawionym na urągawisko, aby nie być posądzonym o to, że przeżywa sam siebie.

Za przewrotność Stwórcy wydaje go jednak na pastwę bezmyślności, ponieważ „co nadto jest, pochodzi od Złego” (2 List do Koryntian 1,17).

Zostaje retorem, a nie teologiem, chociaż ma zakusy do prawienia kazań.

Żyje z nieprecyzyjności terminu „gnoza”, co pozwala mu unieważniać każdy swój gest. Toteż nigdy nie spieszył się własną pomysłką ani nie okrył welonem nawrócenia. Jest pewien bezcelowości jakiegokolwiek celu.

Przeczuwa, że „jakiś pierwotny bakcyl wgrzyzł się w jego spokojny wypoczynek, spędzając mu sen z powiek zmusił go do czuwania pośród pogrążonego we śnie istnienia”¹.

Z tej bezsenności wysnuł sfuszerowany wszechświat, z ogromną mnogością wad:

Ze smutku: zawziętość, bojaźliwość, zgorzknienie, zwątpienie, złośliwość, obojętność na nakazy.

Ze zniechęcenia: gnuśność, ospałość, dokuczliwość, niepokój, wąśkanie się, chwiejność umysłu i ciała, gadulstwo, lekkomyślność.

Z próżnej sławy: konflikty, herezje, chępliwość, pogoń za nowinkami, hipokryzja, upór, niezgody, nienawiść.

Z pychy: pogarda, zawiść, nieposłuszeństwo, bluźnierstwo, obmowa, oszczerstwo, trucielstwa².

*

Gnostyk odprawia gust. Knuje. Improvizuje.

Głowiąc się nad wadliwym światem, głowi się nad jego stylem:

Ze słów natychmiast wyprowadzone zostało zdanie, a ponieważ bez przygotowania zostało zrodzone, poniekąd jakby w murze trzeba, żeby kamienie były kładzione zupełnie przypadkowo pomiędzy inne – bez dbałości o to, by cięższe z nich kłaść do środka; bez równania do frontu i bez stosowania pionu. Ja bowiem, jako budowniczy

tej mowy, nie znoszę bynajmniej kamieni odpowiednio wyciętych z kamieniołomu już należycie ociosanych na wszystkie możliwe sposoby, o gładko i dokładnie wyrównanych zewnętrznych krawędziach, lecz używam do każdego dzieła, nie dbając o to, czy są szorstkie i nierówne, czy gładkie i śliskie, krzywe i rogate, czy krągłe i kuliste. Nie poprawiam ich za pomocą listwy murarskiej, nie zrównuję wielkości, i nie dbam o zachowanie pionu. Żadna rzecz bowiem nie może być jednocześnie zrobiona pospiesznie i zarazem dokładnie rozważona, podobnie jak nie znajdzie się nikt taki, który posiadałby jednocześnie sławę dokładności i wdzięk chyżości³.

*

Denuncjuje „pierwszą utopię i pierwszą fikcję filozofii: mędrca... Jeśli błazny, fałszywi prorocy, konkretni marzyciele byli nauczycielami, to w żadnym wypadku nie byli mędrkami, złudnymi postaciami naśladowców, prawdziwymi filozoficznymi syrenami”⁴.

Dopiero z poglądów marzycieli – nauczycieli wywodzą się całe zastępy szkół filozoficznych opętanych ideą *paidei*:

Akademia (Platon),

Liceum perypatetyckie (Arystoteles),

Ogród (Epikur),

Stoa (Zenon),

Szkoła Pyrrona (wypuszczająca na świat aporetyków, sceptyków, efektyków, zetetyków).

I wiele, wiele innych. Zarejestrowanych skrupulatnie przez Diogenesa Laertiosa.

Grały one na nosach wielce szacownym mędrcom, dla których rzeczywistość wciąż pozostawała:

* kosmogonicznym mitem (Tales),

* *apeironem* (Anaksymander),

* *arche* (Anaksymenes),

* *ekpyrosis* (Heraklit),

* *Sfairosem* (Empedokles),

* i obszarem istnienia nieskończenie wielu światów, utworzonych z haczykowatych ciałek i z próżni, która się między nimi znajduje (Demokryt).

*

Wypchnięte na jeden z takich światów, raczkujące chrześcijaństwo ssało dwa cycki jednocześnie: judaistyczny i hellenistyczny.

A kiedy już dojrzało do wiary myślicy, zaczęło pomiędzy sobą wieść spory o istnienie nadrzędnego dogmatu (zwykle okrutne i krwawe, zamieniające oponentów w żagwie).

Wtedy, jak grzyby po deszczu, nastąpił wysyp sekt (właściwie każdy ruch chrześcijański był jeszcze swoistą sektą, ponieważ ortodoksja znajdowała się dopiero w załączku), które dla zapewnienia sobie prestiżu (łac. *praestigiae* oznacza zwodzenie, mamienie), pełnymi garściami czerpały z wielowiekowej tradycji gnostycyzmu.

Długo trwał rejmach (setki lat) w tonie kształtującego się Kościoła, gdzie co chwilę kogoś potępiano, a potem zdejmowano anatemę, by na następnym synodzie znowu wykląć tę samą personę.

Kacerski trans objął całe potacie Śródziemnomorza.

Zmusił bogobojnych mnichów do obwarowywania się w pustynnych fortcach.

Tam zanosili modły do swego Pana, którego pieczętowanie zebrali w pęk konkluzji życia gnostycznego pontyjski Ewagriusz:

Kiedy się modlisz, nie nadawaj w myślach kształtów temu, co Boskie, ani też nie pozwól, by twój umysł ukształtował się według jakiejś formy, ale jako niematerialny przystęp do tego, co niematerialne, a zrozumiesz.

W czasie modlitwy, kiedy pragniesz ujrzeć oblicze Ojca, który jest w niebie, żadną miarą nie szukaj jakiegos kształtu czy obrazu.

Szczęśliwy umysł, który w czasie modlitwy staje się wolny od materii i ubogi⁵.

*

Potrzeba zchrześcijanienia gnostyka okazała się tak wielka, a zarazem tak pilna, że Klemens Aleksandryjski w swoim *opus magnum*, w „Kobiercach”, tworzy perfekcyjny plagiat wszystkiego tego, co gnostyckie w wydaniu chrześcijańskim, dlatego nie tylko jemu współcześni, lecz również potomni, wezmą owo *declaratio* za oryginał.

Z pogańskich puzzli wyłania się prawdziwa egzystencja gnostyka, oparta już nie na magii, lecz na naukowej gnozie. Nie na monstualnej kalce wyczerpanej po wielu przebitkach, lecz na wierze i poznaniu/wiedzy:

Za pośrednictwem poznania doskonalili się wiara. Dlatego trzeba od takiej wiary wychodzić i poprzez łaskę Boga zdobywać o Nim poznanie, jak dalece jest to możliwe. Podstawą poznania jest to, że się w Boga nie wątpi, lecz się w Niego wierzy.

Wiara jest zatem skróconym, że tak powiem, poznaniem rzeczy najważniejszych, poznanie zaś pewnym i niewątpliwym dowodem założeń przyjętych przez wiarę. Ono poprzez naukę Pana nadbudowane jest na wierze i prowadzi nas do przekonania, niemożliwego już do obalenia i opartego na naukowej pewności⁶.

*

Najlepszy metafizyczny utarg robi się na tym czego nie ma.

Albo na tym kogo nie ma.

Znakomicie zrozumiał to Aleksandryczyk.

Nie wdając się już w zapiekłe *adversus* Ireneusza czy Tertuliana wycelowane w pogan, obwieszcza „Wypisy z Theodota”, które właściwie są chrześcijańskim glosariuszem teologii gnostyckiej.

[1] „Ojcze” – mówi <Jezus> – „w Twoje ręce powierzam ducha mego”. <Theodot> naucza, że Mądrość wyłoniła element cielesny dla Logosu, nasienie duchowe, zaś Zbawca nasieniem okryty. zstąpił.

[2] Stąd też, w czasie męki, Zbawca oddał Mądrość w ręce Ojca, aby ona była zwrócona mu przez Ojca, i aby nie był On zatrzymany tutaj przez tych (tj. przez siedmiu archontów, którzy zarządzają siedmioma sferami planetarnymi). Ów siedmiostopniowy wszechświat ma strukturę więzienia, którego najgłębszą celą – lochem jest ziemia. Archonci pełnią funkcję więziennych strażników kosmicznego więzienia, kom. Piotr Siejkowski), którzy mają moc ograbienia.

[3] To wybrane nasienie, my nazywamy „iskrą” rozpaloną przez Logos, „żrenicą oka”, „ziarnem gorczycy”, „zaczynem”, jednoczącym w wierze wszystkich ludzi, którzy pojawili się jako podzieleni.

2. [1] Lecz uczniowie Walentyna głoszą: skoro „ciało psychiczne” zostało ukształtowane, nasienie męskie zostało złożone przez Logos w wybranej duszy, gdy ta była we śnie. Nasienie to jest wypływem elementu anielskiego (zgodnie z cytowaną przez Klemensa odmianą gnozy, element anielski jest równoznaczny z pierwiastkiem męskim, kom. P.S.), tak aby nie było żadnego braku.

[2] Owo nasienie jest niczym zacząć, jednocząc to, co jawi się jako podzielone, a mianowicie, „duszę” i „ciało”, które również zostały wypromieniowane przez Mądrość, jako różne części. A sen był dla Adama zapomnieniem duszy. Nasienie duchowe podtrzymywało owo zapomnienie, aby dusza nie uległa zatruceniu, <nasienie to> zostało złożone w duszy przez Zbawcę. Owo nasienie było wypływem elementu męskiego i anielskiego. Oto dłączego Zbawca mówi: „Zbaw siebie, siebie samego i twoją duszę” (w tradycji walentyńskiej ów apel dotyczy troski o zbawienie części duchowej duszy, czy też prawdziwego „ja”, okrytego duszą, kom. P.S.).

3. [1] Kiedy Zbawca przyszedł, przebudził duszę i rozpałił iskrę. Albowiem słowa Pana są mocą. Dlatego też On mówi: „niech świeci wasze światło przed ludźmi”.

[2] Następnie, po swoim Zmartwychwstaniu, tchnąc swojego Ducha na Apostołów, swoim oddechem <ożywił> proch ziemnym popioł, a przy tym rozpalał i ożywiając iskrę (powyższy fragment cytuje gnostyczne przekonanie, jakoby pod tchnieniem Pneumy rozpałała się w gnostyku duchowa iskra, która następnie jest światłem dla ludzi. Równocześnie owa iskra niszczy w samym gnostyku to, co jest cielesne [hyliczne] i zniszczalne. Ten proces jest również odrodzeniem się w gnostyku ukrytego pierwiastka psychicznego, jak i co najważniejsze – elementu duchowego, pneumatycznego. Zatem Boski Zbawca budzi na nowo jaźń gnostyka do prawdziwego życia, kom. P.S.).⁷

Kim był Theodor?
Na dobrą sprawę nie wiadomo czy
w ogóle istniał.

Przyjmuje się, że był krnąbrnym, zadziornym, samowolnym uczniem Walentyniana i nauczał w połowie drugiego wieku we wschodniej części Imperium.

Gnostycy scholarcha musiałby jednak pozostawić po sobie całe rzesze uczniów, którzy rozpętlając się we wszystkie strony świata, ze zwojami pod pachą, propagowałby jego naukę.

Lecz nigdzie nie odnotowano takich agitacji.

Najprawdopodobniej, jako rasowy pneumatyk, okazał się heteronimem gnostyckiej weny: to właśnie dzięki niej, soteriologicznej pobudce ze strony umysłu, ujawniło się poczęte chcenie (*velle conceptum*), chcenie Zbawiciela, niewygasłe chcenie Absolutu (*appetitus naturalis*) i rozlało się szeroką strugą pośród wyciosanych attyckich kolumn.

Jednocześnie zawierało ono w sobie ukonkretnioną, ekspansywną i samowystarczającą moc przyrody:

Moc przyrody obecna w plastrze pszczelim, przenika do czerwia beznogiego i bezskrzydłego, dając mu odnoża, wyposażając go w skrzydełka wzorzyste i przyoblekając go w bogactwo i piękno mieniących się barw, kształtuje pszczołę, zapobiegliwą pracownicę, zbieraczkę boskiego miodu, moc przyrody również z niemych i pozabawionych życia jaj wyprowadza mnogie rodzaje jestestw skrzydlatych, lądowych i wodnych, z pomocą sił – jak niektóre utrzymują – boskich, które mają swoje siedlisko w najwyższym eterze.⁸

Jako namaszczeni beneficjenci przez samego wszechmocnego i wszechwiedzącego Stwórcę, który jak nigdy dotąd zaingerował w historię ludzkości:

- chrześcijanie czują się prawowitymi spadkobiercami wszelkiego objawienia się Boga w świecie (Homer, Arystoteles), wszelkiej zależności człowieka od Boga (tragicy), wszelkiego miłosnego wstępu ku Bogu oraz przyznawania pierwszeństwa Absolutowi (Platon, szkoła stoicka), wszelkiego powrotu stworzenia do Jedni (Plotyn), wszelkiego śmiałego, pełnego wyrzeczeń pielgrzymowania poprzez czas do królestwa wyłaniającego się z przyszłości (Wergiliusz). Istnieje tylko jeden Bóg, przez Greków „poszukiwany” jako „Ktoś nieznamy”, teraz jednak w całej łaskawości objawiony chrześcijanom. Przed nawróconymi podnosi się zasłona tajemnicy, wszak jest to ta sama wizja: dla Klemensa z Aleksandrii, neoplatoników oraz biskupa chrześcijańskiego Synezyjosa, dla Nonnosa, poety, autora eposu o Dionizym oraz prologu Ewangelii św. Jana, dla spekulatywnego filozofa emanacji oraz Trójcy Mariusza Wiktoryna, dla dyplomaty Boecjusza, który jako chrześcijanin znajduje pocieszenie przed śmiercią w filozofii starożytnej.⁹

Historiozoficzna / historiozbawcza teologizacja bytu, jaką w gruncie rzeczy jest chrześcijaństwo, przeganiana na cztery wiatry nie tylko to, co było dotąd gnostyckie, ale nawet te światopoglądowe ruchy, które mogłyby być w jakikolwiek sposób pokrewne

z gnostycyzmem, piętnując je bez pardonu jako heretyckie.

Odparcie i obalenie fałszywej gnozy to cel życiowy, między innymi, Ireneusza z Lyonu – fragmenty jego dzieła zachowały się wręcz cudem w jego stajennej, antygnostyckiej filipice „*Adversus haereses*”.

Lista wyklętych jest imponująca.

Ale jeszcze bardziej zdumiewa fakt za co można było zostać wyrzuconym z domu Pang.

Walentynianie, doketyści, ebionici, apolinaryści, monofizyci, pryscylianie czy arianie, arogancko uchybiali Boskiej naturze Chrystusa.

Czym jednak na potępienie narazili się:

- tacy sabelianie, czerpiący inspirację od monarchianistów, głoszących pogląd, według którego Bóg jest jeden, jako Monarcha absolutny (gr. *monos*, jeden), który przecież objawia się na różne sposoby: raz jako Ojciec, raz jako Syn, raz jako Duch. Zresztą od tych „sposobów” (łac. *modi*), ta teoria nazywana była również modalizmem lub patrypasjanizmem (łac. *Pater i passio*, co oznacza, że cierpią na krzyżu Ojciec),

- tacy mesalianie, pokładający całą nadzieję w nieustannej modlitwie,

- tacy enkratyci (gr. *enkrateia*, wstrze-
mieźliwość) skrajni asceci, nie chcący rodzić
dzieci abstynenci i vegetarianie, o jakich
z przekąsem wypowiadał się Ireneusz: „Od
Saturnina i Marcjona wywodzą się tak zwani
enkratyci, którzy głoszą, że zawieranie mał-
żeństw jest niewłaściwe. Odrzucili pierwotne
dzieło Boże i po cichu mają Stwórcy za złe,
że uczynił męczyznę i kobietę, by ludzie
się rozmnażali. Wprowadzili również wstrze-
mieźliwość od pokarmów, które nazywają
«żywnymi», czym okazują niewdzięczność
Bogu, Stwórcy wszyściego. Negują także
zbawienie pierwszoo człowiekiem”¹⁰ :

- czy tacy sewerianie, którzy choć uznają Prawo, Proroków i Ewangelie, po swojemu tłumaczą myśli świętych ksiąg.

Wydaje się, że skanonizowana religia, brzemienie ziemską niedolę, zawzięcie poszukuje „wrogów ludzkości, których można nienawidzić i zwalczać jako ciemnych demiurgów nieszczęścia w historycznym świecie: samo to poszukiwanie kończy się jeszcze nieszczęściem przymusu zważniania, uświęconego rzekomo przez cel ostateczny”¹¹.

Od kiedy święty kosmos reprezentuje jedyną obowiązującą hierarchię i jest artykułowany jako spójna tematyczna całość – kanon (od sem. *kanah* ozn. trzcinę mierzniczą, ramię wagi, sznur niemierzący) – nie ma w nim miejsca na odszczepieństwo.

Zresztą anomie sekt nie naruszają panującego Absolutu, wypełniają jedynie rubryki wyznaniowych statystyk.

Wobec zupełnego fiaska w sferze obrazoburczych spekulacji, gnostykowi, jak kamień u szyi, zacznie ciążyć samogłoska "a".

Jako a – gnostyk przestanie pleć ludzką nature.

Zrezygnuje z transcendentalnych kwiat-
ków.

Nie zaprzestanie jednak gromadzić w sobie żółci, byleby tylko nie szcznąć w pustce, byleby tylko nie zgausnąć w nudzie.

Nikt bardziej od niego nie pamiętał o Boqu.

O jakimkolwiek Bogu:

Gdy myślimy o wszystkich tych towarzyszach czy też wrogach, złączonych z nami od tysiącleci, o wszystkich patronach sekt,

religii i mitologii – znajdujemy, że jedynym, z którym jakoś niesporo nam się rozstać, jest ów demiurg. Ale, choć wiążą nas z nim same utrapienia, usilnie chcemy widzieć w nim jedyną ich przyczynę. To o nim myślimy w związku z najdrobniejszym drgnieniem życia, ba z życiem jako takim. Ilekroć zastanawiamy się nad tym, dociekamy źródeł życia, zdumiewa nas ono i napawa lękiem; to przerażający cud, który musi pochodzić od niego – boga specjalnego, zupełnie osobnego. Bezsensem jest twierdzić, że go nie ma, skoro nasze codzienne chwile osłupienia natarczywie zaświadczać o jego realności i ją głoszą¹².

Kiedy Cioran obmyśla swoją paleontologię, alibizuje.

Jak gdyby to był jedyny sposób mądrości dla duszy skalanej beznadziejnością i występami – lepiej jest, żebym umarł (temu bowiem, komu ani z natury, ani na mocy starań nie można pomóc, powinien być pozbawiony życia. Kara jest ostatecznym rozwiązaniem, stosowanym do tych, których choroby duchowe są nieuleczalne, jak mówi Platon w „Prawach”, V 731 D.).

Całym sobą wie, że mógł nie być; jeszcze przed narodzinami zbeczczyło go tchnienie śmierci.

Skarłała postać, czupurna czupryna na głowie i kraniec ramion są widzialną pauzą, w której się porusza.

Porusza się – jak ktoś, kto został dla zwykłej draki wrzucony w istnienie – chyłkiem w sobie, a buńczucznie na zewnątrz.

Przeklinając swoje zmaterializowanie, powtarza niby orygenista: „Bóg nie stworzył wszystkiego, co chciał, lecz tylko tyle, ile mógł objąć i ogarnąć”.

Nie potrafi ścierpieć własnej pokrętności, która zawsze kończy się błagą.

Pewnego dnia woła do matki: „Nie mogę już dłużej!”.

Matka wtedy rzekła: „Gdybym była wiedziała, sprowokowałabym poronienie”. Wywarło to na mnie niezwykle wrażenie, ale wcale nie negatywne. Pamiętam, że zamiast się zbuntować odczułem coś jakby wesołość, doznałem poniekąd objawienia: fakt, że się jest owocem przypadku, trafu absolutnie niekoniecznego, w pewien sposób stał się dla mnie wyzwoleniem. Ale naznaczyło mnie to na resztę życia.¹³

W najgłębszej probabilistycznej konkluzji nie są to jednak postpascalskie echo-lalia:

Czuję, że mogłem nie być, albowiem ja polega na mojej myśli; zatem ja, który myślę, nie istniałbym, gdyby zabito moją matkę, nim otrzymałem życie. Nie jestem tedy istnieniem koniecznym. Nie jestem także wieczny ani nieskończony; ale widzę, że jest w naturze istota konieczna; wieczna i nieskończona¹⁴.

Lecz krzyk z jęczącej się rany własnej zbytliwości (coś ze zjadliwej pretensji Henryego z „Popiołów” Becketta: „Trzeba było mnie w ogóle nie mieć!”¹⁵), i z niemocy wobec niej.

*

Kim jest ojciec (notabene pop), kim jest matka dla „trafu absolutnie niekoniecznego”, w machinie bytów, którymi natura

żongluje, aż do zatrącenia samej siebie, epatująca chaosem eonów, emanacją Otchłani w Milczenie – jeśli nie potwierdzeniem preegzystencji, znajdującej swoje zlewiska (chreody) w tym, co materialne?

Preegzystencji, będącej pęknięciem/szczeliną Sofii:

Doświadczenie Sofii daje początek trzem substancjom, z których powstaną trzy kategorie ludzi. Tak oto z namiętności Achamoth – materia, z jej nawrócenia – dusza, zaś z przyjęcia światła Zbawcy – pneuma. Tak oto zostają zrodzeni przez Matkę hylicy, psychicy i pneumatycy. Ci pierwsi, nie różniący się od zwierząt, to poganie i zli ludzie. Drugi, związani z starotestamentalnym Demiurgiem, to dzieci Izraela i zwykli chrześcijanie. Dopiero trzecia kategoria ludzi jest w stanie osiągnąć zbawienie, to duchowi arystokraci, duchowe nasienie. Psychicy, obdarzeni duszą i ciałem, są zatem zdolni do choćby częściowego wyzwolenia się z niewoli obecnego świata. Jeśli zostaną oni oświeceni przez gnozę, wówczas zamieszkają w „Miejscu Środkowym”. Hylicy, są skazani na zagładę wraz z materialnym światem, gdyż posiadają wyłącznie ciało.¹⁶

*

Hylik – psychik – pneumatyk, Cioran, miętosi w rękach kawał na wpół zgnitego sznura, skręconego z włókien Ja: nie może już liczyć na to, że nie zaistnieje, na błogość sprzed momentu narodzin:

Był jest podejrzany. Cóż więc rzec o „życiu” będącym wszak jego dewiacją i obolałością?

Gdybyśmy mogli spać dwadzieścia cztery godziny na dobę, wnet osiągnęlibyśmy nasz pierwotny marazm, błogostan owej nieskazitelnej gnuśności sprzed Genezy – przedmiot marzeń świadomości mającej już dość samej siebie.

Nie urodzić się to bezsprzecznie najlepsze ze wszystkich rozwiązań. Niestety, nikomu nie jest dostępne.¹⁷

Za kurtyną chmur – („tak właśnie wygląda czasem zasłona z powiek, gdy śpiąc jeszcze, gotowiśmy się obudzić. Niczym płaszczyz Arlekina albo teatralna skrytka na koła pędne tak zarzewiały, zakurzone i oblepione pajęczynami, że do ich obrócenia potrzeba by raczej prawdziwego *deus ex machina* niż zwykłych maszynistów, bezkształtny woal wciąż okrywa naszą świadomość i wzrok, autentyczna zaś zasłona z obłoków – równie szczelna i niewyraźna – tworzy wówczas ową czerwonałą, tudzież ciemniejszą powłokę, przez którą powieki zdają się nam od środka podwojone, gdy oczy nasze pozostają zamknięte”¹⁸) – słyszy monotony głos, powtarzający wciąż to samo:

Urodził się i to go zgubiło. [Znowu. Słów jest niewiele. I też umierają. Urodził się i to go zgubiło.] Skrzywił się w tym upiornym uśmiechu i tak już z nim pozostał. [Jakby do wieka, które zamknie się nad nim.] W poduszce. W kołyszce. Przy piersi. Gdzie spotkał go pierwszy zawód. Gdy stawiał pierwsze kroki. Od mamy do niani i z powrotem. I dalej. Przez całą drogę. Już zawsze tak odbijany jak piłka. I zawsze z tym upiornym uśmiechem. Od pogrzebu do pogrzebu. Do dziś. Do tej nocy. Dwa i pół miliarda sekund. [Znowu. Dwa i pół

miliarda sekund.] Nie do wiary. Tak mało. Przez te wszystkie pogrzeby. Pogrzeby... nie, nie mógł powiedzieć „najbliższych”. Trzydzieści tysięcy nocy. Nie do wiary. Tak mało. Urodził się w najgłębszą noc.¹⁹

*

Zarzeka się, że nie wierzy w Boga, a okazuje się duchowością na wskroś religijną. Kimś z cembrowanej studni:

Gdy pewien człowiek wpadł do studni, gdzie była taka ilość wody, że uratowała go od zabicia się, a nie zalała tak, żeby nie mógł mówić, nadszedł drugi i na jego widok powiedział ze współczuciem: Jak tu wpadłeś? A tamten odparł: Błagam cię, myśl, jak mnie stąd możesz uwolnić, a nie, jak tu wpadłem.²⁰

*

Kultywuje permanentną bierność – *anapausis* (z gr. odpoczynek duszy i ciała, odpoczynek zupełny), ścigając jedynie racje pozorów: jest tak nieodczuwnie demaskatorski, iż nie być demaskatorskim znaczyłoby dla niego być demaskatorskim innym rodzajem demaskatorstwa.

Nie oczekuje ani łaski, ani pochwały ze strony potencjalnych słuchaczy, kiedy rezonuje:

Nie zostawiajcie szarańczą, białymi owskami, pchłami czy też molami własnych impasów!

Ponieważ:

Gdy już uczyniliśmy ze śmierci afirmację życia, przekształciliśmy jej otchłań w zbawczą fikcję, wyczerpaliśmy argumenty przeciwko oczywistości, zaczyna nam zagrażać marazm: to rewanz naszej żółci, naszej natury, tego demona zdrowego rozsądku, co – przez jakiś czas uspijony – budzi się, by wytknąć niedorzeczność i śmieszność naszej woli samozaślepienia. Cała przeszłość bezlitosnej wizji, popierania własnej zguby, przyzwyczajania do jadu prawdy, lata całe spędzone na kontemplowaniu naszej cielesnej powłoki, aby wydobyć z niej zasadę naszej wiedzy! Musimy się jednak nauczyć myśleć wbrew naszym wątpliwościom i wbrew naszym pewnością, wbrew naszym wszechwiedzącym humorom, musimy przede wszystkim, wytwarzając sobie inną śmierć nie do pogodzenia z naszym ścierwem, przystać na to, co nie do udowodnienia, na ideę, że coś istnieje...

Bardziej wygodne było z pewnością Nic. Jak trudno rozplątać się w Bycie!²¹.

*

Jest duchowością na wskroś religijną także dlatego, że od zarania swojej przynależności mierzy się ze śmiercią.

Wszystkie jego bruliony są podrapane jej pazurem.

Nic nie może nie istnieć bez śmierci, nawet Bóg.

Skoro:

Nikt nigdy nie pokonał śmierci z pomocą jasności i świadomości. Przeciwnie nie ma żadnego argumentu (...). Nie wygrywa się ze śmiercią – chyba tylko przez wyczerpanie²².

Albowiem:

Śmierć jest pierwszym i najstarszym, ba, ➔

miałoby się ochotę powiedzieć: jedynym rzeczywistym faktem. Cechuje się monstualnym wiekiem i stale jest nowa. Ma dziesięć stopień twardości i tnie również niczym diament. Jest zerem absolutnym Wszechświata, jej temperatura wynosi minus dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie (...). Dopóki śmierć istnieje, każda wypowiedź jest protestem przeciwko niej (...). Próby pogodzenia się z nią, a czymże innym są religie, nie powiodły się. Poznanie, że po śmierci nie ma niczego, poznanie straszliwe i nie do zgłębienia, przydało życiu nowej i rozpaczliwej świętości. Pisarz, który wskutek tego, ma możliwość uczestniczenia w wielu żywotach, uczestniczy również we wszystkich śmierciach, które tym żywotom zagrażają. Jego własny strach, a któż nie boi się śmierci, staje się strachem przed śmiercią wszystkich ludzi. Jego własna nienawiść, a któż śmierci nie nienawidzi, musi stać się nienawiścią śmierci wszystkich. To, i nic innego, jest jego protestem przeciwko czasowi wypełnionemu miriadami śmierci. Tym samym pisarzowi przypadła pewna część dziedzictwa religii (...), religia przekazała mu problematykę śmierci w czystej postaci.²³

*

Umrzeć śmiercią męczeńską, wstawić się męczeństwem, chwalebny męczeństwem z wieńcem męczeństwa na głowie, umrzeć z męstwem, które zawstydzaloby samych oprawców – było najwyższym celem i zaszczytem dla wyznawców rysowanej na piasku Ryby (matka Orygenes, którego *idea fixe* było zostać rozszarpanym, poćwiartowanym, obdartym ze skóry, zesmołowanym i spalonym w imię Pana, podczas religijnych rozruchów w Aleksandrii, schowała wszystkie ubrania, aby jej syn nie wziął udziału w wyznaniowej jatce; goły Orygenes wył z wściekłości, przetrząsając cały dom w poszukiwaniu choćby skrawka szmaty, jaką mógłby się przyodziać; nie znalazłszy niczego skulił się w swej nagości i zasłochał. Cała dramatyczna sytuacja znalazła potem ujście w słynnym dziele aleksandryczyka, w „Zachęcie do męczeństwa”).

Zachęta do męczeństwa była właściwie zachętą do samobójstwa.

Ulegali jej, pielgrzymujący po całym Imperium, coraz liczniejsi wierni:

Pewien afrykański prokonsul, gdy otoczył go tłum wyjących, spragnionych męczeństwa chrześcijan, krzyknął do nich: „Precz, potopcie się i powywieszajcie sami, a władzom oszczędźcie kłopotu!”²⁴

*

Wielki apologeta (Praeparatio evangelica), egzegeta (Questiones et solutiones evangelicae) i historyk chrześcijaństwa, Eusebiusz z Cezarei już w pierwszych księgach „Historii Kościelnej”, informuje, że:

(...) w prowincjach wybuchały prześladowania lokalne i bardzo wielu wiernych stawało do zawodów w różnorodnych męczeństwach²⁵.

Jego Historia Ecclesiastica, przedstawia tę pasję jako najwznioślejszą ofiarę:

[4]... a przed opowieścią o losach Polikarpa, przytaczają dzieje innych męczenników i opisują, jaką wykazywali wytrzymałość wobec cierpień. Mówią, że zdumienie ogar-

niało tych, którzy stali tam wokół, gdy patrzyli na męczenników biczowanych aż do wewnętrznych żył i tętnic, tak że można było zobaczyć wnętrzności i narządy ukryte w głębi ich ciała, to znów na innych, rozciągniętych na kolczastych muszlach i ostrych drągach, oraz na to, jak przechodzili wszelkiego rodzaju katusze i męki, a wreszcie jak ich rzucano na pastwę dzikich zwierząt.

[5] Opowiadają, że najbardziej wyróżniał się szlachetny Germanik, który umocniony łaską Bożą pokonał wrodzony lęk ciała przed śmiercią. Gdy prokonsul, chcąc go nakłonić do zaparcia się wiary, przypominał mu jego młodość i serdecznie go prosił, by miał wzgląd na to, że jest młody, w kwiecie wieku, i zlitował się nad samym sobą, on się nie zachwiał, ale pełen odwagi wabił do siebie dzikie zwierzę, niemal siłą je przyciągał i drażnił, chcąc jak najprędzej zejść z tego świata, niesprawiedliwego i zepsutego.

[6] W obliczu tak wspaniałej śmierci cały tłum był pełen podziwu dla bohaterstwa miłego Bogu męczennika i męstwa całego ludu chrześcijańskiego...²⁶

Męczennika, który konając z modlitwą na zakrwawionych wargach, szeptał:

- Domine, in coelo misericordia Tua et veritas Tua usque ad nubes!

(Łaskawość Twoja, Panie, dosięga nieba, a Twoja wierność samych obłoków, „Księga Przysłów” 36,6).

*

Czyż to nie takimi cnymi żywotami odurzał się i rajcował, świrujący w bezsennej adolescencji Cioran, kiedy wstępował w szeregi nacjonalistycznego, faszystowskiego, rumuńskiego Legionu Michała Archaniola, aby złożyć z siebie całopalną ofiarę na ołtarzu Ojczyzny?

W wieku dojrzałym, wszystkich uczestników tego ruchu, łącznie ze sobą samym, nazwie po latach „obłąkańczą sektą” – żałobne kiry chojractwa, będąc się jednak za nim ciągnąć przez całe życie.

*

Przy okazji (co ważne dla dziejowej, Boskiej sprawiedliwości), marnie ginęli najzacieklejsi wrogowie i oprawcy chrześcijańskich gmin.

Pisze o nich z literacką bujnością (często wbrew prawdzie historycznej), nie tając jawowej satysfakcji, Laktancjusz w dziele pt. „Jak umierali prześladowcy chrześcijan”.

Kataktycznie opisuje, między innymi, śmierć Decjusza (panującego 249 – 251):

Po wielu bowiem latach powstało przeklęte bydło, Decjusz, który nękał Kościół. Któż bowiem prześladowa sprawiedliwość, jeżeli nie przewrotny? I jak gdyby po to wyniesiony został na ów władczy szczyt, by nagle zacząć szaleć przeciw Bogu i by nagle upaść. Bo wyprawivszy się przeciw Karpom, którzy wówczas zajęli Dację i Mezję, wkrótce otoczony przez barbarzyńców i z wielką częścią wojska zgnieciony, nawet nie mógł być z należytą czcią pochowany; albowiem bosi i goły, jak wrogowi Boga wypadło, stał się zerem dzikich zwierząt i ptaków drapieżnych.²⁷

*

Kult męczenników skuteczniej od kościel-

nych prerogatyw, wytrzebił z imperialnych dróg, wiosek i miast tysiące bożków/idoli/batwanów.

Jednak i z nich wycisną ostatnie soki luminarze eklezji, dbający jedynie o zhierarchizowaną jednorodność systemu.

Scholastyka, młot na czarownice i kajdany dla psyche – będą strzegły wiernych przed trującymi oparami herezji.

Tymczasem wśród rasowych pneumatyków, skazywanych na kaźń przez Święte Oficjum, zatryumfują ekstazy stany duszy, wymykające się wszelkim dogmatom:

Już w średniowieczu niektóre umysły znuzone powtarzaniem tych samych tematów, tych samych wyrażen, aby odnowić swą pobożność i wyzwolić ją z oficjalnej terminologii, musiały odwoływać się do paradoksu, do uwodzielejskiej formuły, już to brutalnej, już to wycieniowanej. Czynił tak Mistrz Eckhart. Pomimo swej niewątpliwej ścisłości i troski o spójność, za bardzo był pisarzem, aby nie wydać się podejrzanym teologii: swemu stylowi, bardziej niż swym ideom, zawdzięcza zaszczyt oskarżenia o herezję (...). Jak każdy heretyk zgrzeszył formą. Przeciwniczka języka, ortodoksja religijna lub polityczna, postuluje ekspresję konwencjonalną. To, że prawie wszyscy mistycy mieli zatargi z Kościołem, wynika stąd, że zgrzeszyli talentem, on bowiem nie wymaga żadnego podporządkowania się stylowi, żądając wyłącznie posłuszeństwa. W imię skostniałego słowa kazał wznieść stosy. Aby ich uniknąć, heretyk mógł jedynie zmienić formuły, wyrażać swe poglądy w innych, uświęconych terminach. Zapewne Inkwizycja nigdy by nie powstała, gdyby katolicyzm miał więcej wyrozumiałości i zrozumienia dla żywego języka, dla jego odstępstw, różności i inwencji. Gdy paradoks jest na cenzurowanym, męczeństwa można uniknąć tylko za pomocą milczenia lub banałów²⁸.

Mistrz Eckhart zastąpił jako autor następujących parabol:

Wszystkie stworzenia są czystą nicością, nie mówię, że są one znikome, ani że w ogóle są czymś, są one czystą nicością.

Gdyby ktoś dodał do Boga cały świat, nie miałby nic więcej, niż gdyby miał tylko Jego.

Bo nasze istotowe bytowanie zasadza się wyłącznie na unicestwianiu się.

Gdzie się kończy stworzenie, tam zaczyna się Bóg.²⁹

*

Każdy mistyk łączy siebie samego za to, że nie jest czystą nicością. Sztydzi ze śmierci w zgodzie z odczytywanym anagogicznie Pismem.

Łaknąca Stworzyciela święta Teresa Wielka, Teresa Hiszpańska, Teresa z Avilla, którą przenikało boskie światło, aż do „dna istności”, opisuje „małżeństwo duchowe” z Oblubieńcem.

To właśnie jej żarliwa modlitwa odpocznienia, w twierdzy wewnętrznej jako początkowy stopień kontemplacji nadprzyrodzonej, pozwalała na kosztowanie rzeczy Bożych.

Takim kosztowaniem delektowałby się i pochodzący z zapyziałej dziury transylwańskiej, „zfrancuziały” Rumuńczyk, gdyby nie jego neurotyczny temperament (rys osobowości narcystycznej – introwertycznej).

I w kółko powtarzane – jak mantra – obelżywe przygany:

Jakże brzydzę się, Panie, nikczemnością twego dzieła, tymi okliwymi poczwarkami, które, na twoje podobieństwo stworzone, otaczają cię pochlebstwami. Nienawidzę ciebie i cukierkowej słodyczy twego królestwa, twoich idiotycznych marionetek. Tłumisz nasze zapąły i bunty, gasisz trawiące nas płomienie, czuwasz nad naszą demencją. Dlatego sprowadziłem cię do pustej formuły, a wcześniej jeszcze podeptałem twoje tajemnice, wzgardziłem wszystkimi matactwami i sztuczkami, z których kompletujesz swoją toaletę Niewytłumaczalnego. Szczodrze obdarzyłeś mnie żółcią, której pożałowałeś swoim niewolnikom. Ponieważ odpoczynek znaleźć można tylko w cieniu twojej nijakości, do zbawienia byle bydlakowi wystarczy zdać się na ciebie albo na twoje imitacje. Nie wiem, kogo bardziej żałować: twoich kleryków czy siebie samego: wszyscy jesteśmy w prostej linii potomkami twej niekompetencji. *Pyl, cień, dym...* – oto słownik Stworzenia, owocu twego nieudacznictwa...³⁰.

*

Ulubioną lekturą Ciorana pozostawała, pomimo tych bluźnierczych tyrad, Księga Rodzaju, z której wynika, że stworzenie świata nie było koniecznością.

Z której wynika także przekonanie, że świat nie jest ani emanacją, ani przejawem Boga.

Jezuicki autor Robert Faricy, zauważa:

Księga Rodzaju podkreśla, że stworzenia nie są w żadnym wypadku boskie [...]. Są po prostu stworzeniami (a nie Bogiem), nieskończenie odległymi od ich niewyobrażalnie transcendentnego Stworzyciela i całkowicie poddaniymi mu jako Władcy. [...] Źródłem płodności Ziemi nie jest (jako przyczyna) Słońce, Księżyc lub – jak w wielu mitach – drzewo życia, lecz jedynie stwórcze słowo Boga. Przyroda jest radykalnie różna od Boga.³¹

Odbóstwienie przyrody unieważnia jednocześnie uprzywilejowany status człowieka, który sprzyrzony niepojmowalnością samego siebie i świata, pychę wielkości odnajduje przede wszystkim w niszczeniu.

*

„My, cywilizacje wiemy już teraz, że jesteśmy śmiertelne” – ogłaszał Paul Valéry.

Jakżeż to napuszona antropocentryzmem opinia w porównaniu z astronomiczną wiedzą o tym, że ostateczny los Wszechświata (w jego płaskim modelu), wskutek wiecznej ekspansji zakończy się (po wyczerpaniu całego paliwa) śmiercią cieplną – wszystko ulegnie ochłodzeniu do bardzo niskiej temperatury (tuż w zasadzie kosmologia nie różni się od teologii: pierwsza ma Osobliwość, druga Boga; i jedno, i drugie pozostaje tajemnicą) i uświerkanie.

Jeżeli po śmierci cywilizacji moglibyśmy jeszcze coś zaoferować w zamian (na przykład powrót do pieczar), to po wymrożeniu Wszechświata takiej możliwości już nie będzie.

Słońce czeka czarna dziura, nie wypuszczająca na zewnątrz nic, nawet promyczka, a cóż dopiero Słowo!

Historia okazała się niebyłą skoro nie znajdzie się żaden nośnik, który by ją opisał czy to na jakiejś dyskietce, czy to na zawieruszonej kartce papieru.

Świadomość nie przyjmuje tego oczywiście do świadomości, bo nie tyle by zbzi-

kowała, co legła plackiem przed samą sobą.

W mgławicach Drogi Mlecznej, stosuje za to fortel wyobraźniowej autodestrukcji: kroi własne zniknięcie przed ostatecznym zniknięciem wszystkiego – choćby iluzoryczną, ale ma wtedy przewagę nad nicością, kiedy śni o sobie w akcie samobójczym.

*

Jaka jest strategia myślącego podmiotu wobec nieuniknionego zniknięcia?

Cioran dekapituje czas:

Przyszłość, ta przepaść, trwoży mnie do tego stopnia, że pragnąłbym, aby znikła nawet jej idea. Gdyż to właśnie ona – nawet o wiele bardziej niż otchłań, jaką skrywa – przyprowadza mnie o spazmy i przeszkadza w napawaniu się teraźniejszością. Mój rozum ślania się wobec wszystkiego, co się zdarza i co ma się zdarzyć. Tym, co mnie gryzie i trwoży, jest nie to, co mnie czeka, lecz czekanie samo w sobie, nieuchronność jako taka. Żeby odzyskać pozór spokoju, muszę czepiać się czasu bez j u t r a, czasu ogłoszonego.³²

Czas ogłówniony, czas bez przyszłości – (Wielka Zapaść/Kolaps, przeciwieństwo Wielkiego Wybuchu czy tylko minorowy nastrój?) – czas pasywny, bez potrzeby ekspiacji.

Zacopowany.

Szowinistyczny prezentyzm:

Spór *eternalizm* – prezentyzm dotyczy istnienia w czasie: według eternalistów przedmioty przeszłe i przyszłe istnieją równie realnie, jak przedmioty teraźniejsze, natomiast prezentyści temu przeczą, twierdząc, iż istnieją jedynie przedmioty teraźniejsze. W koncepcji eternalistycznej zatem istnieje „ontologiczna demokracja” wśród obiektów istniejących w różnych czasach, prezentyzm zaś jest „ontologicznym szowinizmem”, jako że faworyzuje ontologicznie jedynie przedmioty teraźniejsze.³³

Cioran beczynniej i doznaje mdłości niczym abulik Roquentin, ponieważ nie może znieść nudy, owej „tautologicznej percepcji świata”³⁴, która ujawnia nikomość (Nichtigkeit) wszystkiego, zanim jeszcze powstało.

*

Więc odmawia prokreacji.

Skazuje siebie na ekspatriację.

Na syndrom metojka:

Urodził się pośród jakiegoś egzotycznego, nieszczęsnego ludu, a teraz przemierza samotnie bulwary Zachodu. Miłuje kolejne swoje ojczyzny, ale w żadnej nie pokłada nadziei: zastęgi w odwiecznym zmierzchu, beżyteczny, bezimienny i beżsilny, obywatel świata, który nigdzie nie jest u siebie (...). Gdy taki metojk już roztrwoni swoje życie na gościńcach świata, zaczyna rozpacz:

„Stworzyłem sobie niezliczonych bożków, wszędzie wznosiłem setki ołtarzy, kłękałem przed tłumem bogów. Aż wreszcie zmęczyłem się uwielbieniem, zużyłem tę porcję szaleństwa, która przypadła mi w udziale. Powinniśmy wielbić jedynie swój lokalny absolut – dusza, podobnie jak kraj, rozkwita tylko wewnątrz swoich granic:

ja płacę za to, że schylałem głowę przed epokami, które wyrzuciły poza margines dziejów moich przodków. Już nie umiem powiedzieć, skąd pochodzę: w świątyniach czuję, że brak mi wiary, w państwach – obywatelskiego zapąły, w towarzystwie innych ludzi – ciekawości, a na ziemi – pewności. Dajcie mi określone pragnienia, a odmień świat. Uwolnijcie mnie od tego wstydu przed działaniem, który każe mi co rano odgrywać komedię rezurekcji, a co wieczór farsę złożenia do grobu; a pomiędzy tylko męka w całunicy nudy... Marzę o tym, by chcieć – a wszystko, czego chcę, wydaje mi się bezwartościowe. Dryfuję bez celu, jak melancholijny barbarzyńca, bez własnego <ja>, ku nie wiem już jakim zakątkom świata... by odkryć porzuconego boga, boga – ateistę i zasnąć spokojnie w cieniu jego ostatnich wątpliwości i ostatnich cudów”.³⁵

Boga – zapchajdziury, w której zmarli wiodą pośmiertną egzystencję...

Tak jak Karin:

- Nic się nie zdarza, co by się już nie zdarzyło (...). Nic więcej nie przybędzie, czego bym już nie doświadczyła. To, co myślę, kiedyś już myślałam. To, co słyszę, już słyszałam (...). Straszne, że umarli niczego więcej się nie nauczą (...). Kręcimy się w kółko. (...) Chciałabym spać, chciałabym, żebym nigdy nie żyła i o niczym nie wiedziała – tylko spać.³⁶

Nie ma bardziej frustrującej świadomości od niemożności prysnięcia z tej mordęgi.

Od u g r z ę z n i ę c i a w inkarnacji.

*

Ani Genesis, ani kosmologiczne teorie nie dają zadowalającej odpowiedzi na temat początku Wszechświata.

To pierwsze wymaga *sacrificium intellectus*, to drugie z kolei torturuje intelekt teleskopami i sondami („Zdziwniej, dziwniej!” – wołała najświeższa Alicja, do samoweryfikującego się w nieskończoność świata).

Wąż gordyjski napina się pomiędzy absolutyzmem a relatywizmem³⁷. Pozostaje niewytłumaczalny początek całej tej galaktycznej hucpy, nie wykraczający „poza jurysdykcję Demona”³⁸.

Ażeby mu się choć trochę wypsnąć, Cioran ćwiczy się w kynickiej *autarkei*:

W dzień topnieję jak wosk wystawiony na ciepło słońca, a zastygam w nocy... Rozkładałam się i wracam do własnej postaci. To przeistoczenie odbywa się w całkowitym bezruchu, w zupełnej beczynności... Czy do tego właśnie miejsca zmierzało wszystko, co czytałem i widziałem, czy tak właśnie wygląda kres mego czuwania? Lenistwo ochłodziło mój entuzjazm, przystępowało popędy, osłabiło gniew. Ludzie, którym nie jest wszystko jedno, wydają mi się potworami: ja bowiem mobilizuję wszystkie moje siły, by nauczyć się zaniechania, ćwiczę się w nic nierobieniu, swoje zachcianki zwalczam, powołując się na paragrafy Sztuki Gnicia³⁹.

Co to za paragrafy?

Przed wszystkim beżnością. Następnie apatia, acedia...

Gnuśnienie w owym „beżnym smutku,” →

→ w który niechybnie popadamy, gdy dostajemy to, czegośmy pragnęli”⁴⁰.

*

Wreszcie następuje reasumujące wyznaczenie sześćdziesięciosiedmioletniego myślicie-la, już wyciszonego wewnątrz, ale jeszcze nie do końca zmineralizowanego:

- W gruncie rzeczy dla mnie nic już nie jest ważne, żyję bez przyszłości. Przyszłość pod każdym względem jest dla mnie zamknięta, natomiast przeszłość to naprawdę inny świat. Ściśle mówiąc, nie żyję poza czasem; żyję jak ktoś zatrzymany w czasie – w sensie metafizycznym, nie zaś historycznym. Nie ma dla mnie żadnej perspektywy, ponieważ nie ma żadnej sensownej racji, by taka perspektywa istniała. Żyję w jakiejś wiecznej teraźniejszości pozbawionej celu, i wcale nie jestem nieszczęśliwy z powodu braku celu. Ludzie muszą przyzwyczajać się do życia bez celu, a to nie jest wcale takie proste, jak się sądzi. W każdym razie jest to pewien wynik. Sądzę, że moje myśli wokół tego się kręcą: żyć bez celu. Dlatego piszę bardzo mało, pracuję mało, zawsze żyłem na marginesie społeczności, nie mam ojczyzny – i tak jest dobrze. Nie potrzebuję już ojczyzny, nie chcę być przypisany do niczego.⁴¹

*

Dla Ciorana tylko materia nieorganiczna pozostaje macierzystym łonem.

Będąc wychodzącą z wszelkiej ziemskiej ojczyzny, zakorzenia się w braku własnego miejsca.

Pruje czarne głębiny, aby uznać za święto obrócenie się w pozbawiony czucia pył.

Wszystko ponad pył jest złośliwe.

BOGDAN NOWICKI

1 Emil Cioran, *Zarys rozkładu*, tłum. M. Kowalska, Warszawa 2006.

2 *Bigotianum* (Bigot), 1.21. *Penitencjał zwany Bigotianum* (kon. VII – pocz. IX wieku), tłum. A. Caba, [w:] *Synodi et Collectiones Legum*, vol. V, *Libri Poenitentiales*, oprac. A. Baron, H. Pietras SJ., Kraków 2011.

3 Apulejusz z Madaury, *O bogu Sokratesa, o Platonie i jego nauce o świecie*, tłum. M. Szymański, K. Pawłowski, Warszawa 2002.

4 Jean – Noël Vuarnet, *Filozof – artysta, posłowie P. Klossowski*, tłum. K. Matuszewski, Gdańsk 2000.

5 Ewagriusz Pontyjski, *Niematerialność*, [w:] O. V. Desprez OSB, *Początki monastycyzmu*, Kraków 1999.

6 Klemens Aleksandryjski, *Kobierce zapisków filozoficznych dotyczących prawdziwej wiedzy*, t.2, tłum. wstępem i komentarzami opatrzyła Janina Niemirska - Pliszczyńska, Warszawa 1994.

7 Klemens Aleksandryjski, *Wypisy z Theodota*, tłum., wstęp i przypisy P. Siejkowski, Kraków 2001.

8 Pseudo-Platon, *Zimorodek i inne dialogi*, tłum. L. Regner, Warszawa 1985.

9 Hans Urs von Balthasar, *Chwała. Estetyka teologiczna 3/1. Metafizyka część 1. Starożytność*, tłum. L. Łysień, Kraków 2010.

10 Cyt. za: Euzebiusz z Cezarei, *Historia Kościelna*, IV 29. *Tekst grecki i polski*, tłum. Agnieszka Caba na podstawie tłumaczenia ks. Arkadiusza Lisieckiego, oprac. Henryk Pietras SJ, Kraków 2013.

11 Odo Marquard, *Szczęście w nieszczęściu. Rozważania filozoficzne*, tłum. K. Krzemieniowa, Warszawa 2001.

12 Emil Cioran, *Zły demiurg*, tłum. i opatrzył posłowiem I. Kania, Kraków 1995.

13 Emil Cioran wspomina o tym aż trzykrotnie! W rozmowie z Leo Gilletem w 1982 roku, z Fritzem Raddatzem w 1986 roku oraz z Michaeliem Jakobem opublikowanej w 1994 roku, [w:] *Rozmowy z Cioranem*, tłum. I. Kania, Warszawa 1999.

14 Blaise Pascal, *Myśli*, tłum., wstępem opatrzył i objaśnieniami T. Boy-Zeleński, Warszawa 2008.

15 Samuel Beckett, *Popioły*, [w:] *Dzieła dramatyczne*, tłum. wstęp i objaśnienia A. Libera, Warszawa 1988.

16 Piotr Siejkowski, *Wstęp*, [w:] Klemens Aleksandryjski, *Wypisy z Theodota*, op. cit.

17 Emil Cioran, *O niedogodności narodzin*, tłum. I. Kania, Warszawa 2008.

18 Michel Leiris, *Kurtyna z chmur*, [w:] Fourbis, cyt. za T. Swoboda, *Jak gdyby nie chciał wiedzieć...*, [w:] *„Literatura na świecie”*, 5-6/2010.

19 Samuel Beckett, *Partia solowa*, [w:] *Dzieła dramatyczne*, op. cit.

20 List 132 św. Augustyna do Hieronima, [czyli *Księga*] o zdaniu Apostoła Jakuba [w:] Hieronim ze Strydonu, *Listy V* (131- 156), opracowanie na podstawie tłumaczenia ks. J. Czujka, M. Ożóg, tekst łaciński przygotował H. Pietras SJ, Kraków 2013.

21 Emil Cioran, *Pokusa istnienia*, tłum. K. Jarosz, Warszawa 2016.

22 Emil Cioran, *Księga złudzeń*, tłum. S. Króla, Warszawa 2004.

23 Elias Canetti, *Sumienie słów. Eseje*, tłum. M. Przybyłowska, I. Kosińska, post. Marek Bieńczyk, Kraków 1983.

24 Alfred Alvarez, *Bóg Bestia. Studium samobójstwa*, przeł. L. Sommer, Warszawa 2011. Autor tak komentuje to „zjawisko”: „Prześladowanie pierwszych chrześcijan było nie tyle aktem religijnym czy politycznym, ile raczej zwyrodnieniem ich własnych dążeń. Dla kulturalnych i oświeconych władz rzymskich upór chrześcijan był przede wszystkim żenujący – na przykład kiedy odmawiali oni wykonania paru czysto formalnych gestów na rzecz religii oficjalnej, co ocaliłoby ich życie, i nawet nie korzystali ze sposobności ucieczki w tym dogodnym okresie pomiędzy wyrokiem a egzekucją. (...) Ale nade wszystko męczeństwo dawało pewność zbawienia. Jak chrzest zmywał grzech pierworodny, tak męczeńska śmierć unieważniała wszelkie późniejsze grzechy. (...) Z teologicznego punktu widzenia był to argument nie do odparcia; do tego jednak, żeby wyciągnąć zeń konsekwencje praktyczne, trzeba było żarliwości graniczącej z szaleństwem. (...) Kulminacją tej tendencji był szczyry obłęd donatystów, u których pragnienie męczeństwa przybrało tak skrajną formę, że w końcu sam Kościół uznał ich za heretyków”.

25 Euzebiusz z Cezarei, *Historia Kościelna*, III 33, 2.

26 Ibidem, IV 15, 4,5,6.

27 Laktancjusz, *Jak umierali prześladowcy chrześcijan*, [w:] Laktancjusz, *Pisma wybrane*, tłum., ks. J. Czuj, J. Jachowski, Poznań 1933.

28 Emil Cioran, *Pokusa istnienia*, op. cit.

29 Mistrz Eckhart, cyt. za Hans Urs von Balthasar, *Chwała. Estetyka teologiczna 3/1. Metafizyka cz.2. Nowożytność*, tłum. ks. L. Łysień, Kraków 2013.

30 Emil Cioran, *Zarys rozkładu*, tłum. M. Kowalska, Warszawa 2006.

31 Robert Faricy, *Wind and Sea Obey Him*, SCM, London 1982, cyt. za Robert James Berry, *Bóg i biolog. Wiara a nauki przyrodnicze*, tłum. J. Kochanowicz, Kraków 2005.

32 Emil Cioran, *Zły demiurg*, op. cit.

33 Mariusz Gryganiec, *Trwanie w czasie*, [w:] *Przewodnik po metafizyce*, red. S. Kołodziejczyk, Kraków 2011.

34 Emil Cioran, *Zarys rozkładu*, op. cit.

35 Ibidem.

36 Max Frisch, *Tryptyk. Trzy obrazy sceniczne*, tłum. Z. Herbert, „Dialog”, 3/1980.

37 Zob. Kitty Ferguson *podrozd.*, *Jakie miejsce zostaje dla Stwórcy?*, [w:] *Ogień w równaniach. Nauka, religia i poszukiwania Boga*, tłum. P. Amsterdamski, Kraków 2016.

38 Emil Cioran, *O niedogodności narodzin*, op. cit.

39 Emil Cioran, *Zarys rozkładu*, op. cit.

40 Michel Leiris, *Lustro tauromachii*, przeł. M. Ochab, Gdańsk 1999.

41 Rozmowa Emila Ciorana z Helgą Perz w 1978 roku [w:] *Rozmowy z Cioranem*, przeł. I. Kania, Warszawa 1999.

Edyta Kulczak

PIĘTŁA

Pętla 1

zmiany następują powoli czasem nagle
jest moment by ich nie dostrzegać i gdy zaczynają uwierać
mimo woli albo z rozmysłem chwytającego
się brzytwy wysyłasz zdjęcia sprzed 10 lat zrobione w Lizbonie
choć już wtedy myślałaś że wyszły źle a raczej źle wyszłaś
i zwyczajnie ci wstyd gdy ich nie zauważy w załączniku
nie przesuniesz zdarzeń nie odwrócisz biegu
gdy nie bierzesz już w nim udziału poszło nie wróci
jak pisanie o czerwonych paznokciach u stóp
w zimę gdy nosisz buty jak yeti a w nim
paznokcie różowe nie twoje i znów pozostawi to
bez komentarza a ty nie przeskoczysz tego
w 20 usilnych próbach wyłączonego dla nich
telefonu i zerkania na ekran czy coś jest

Pętla 2

już widzę ile będzie gadania zastanawianek po nocach
to nie jest tak że coś w tobie przeminie bez echa
jakaś zgryzota czy pinda która weszła ci w drogę
w kluczowym momencie i rozbiła twoją wrażliwość
na miazgę a ty już nie mazgaisz pukasz się w głowę
i zaczynasz się zastanawiać też płakać na boku
ale zastanawiać głównie (bo samo słowo pinda –
wcześniej nie było go w twoim słowniku
dlatego się zastanawiasz)

Pętla 3

i on cię wtedy zastrzeli
gdy ty kręcisz się miotasz wyznaczasz pola
walkę samej sobie on pisze czysty wiersz o miłości
i czyta go tysiącom ludzi wyraźnym matowym głosem
i drugi zwykły o muchomorach rozedrganych
białymi kroplami od których kleją się twoje ręce
jak od krwi lecz może to projekcja
może nie twoje tylko sobie roisz
bo tak byś chciała romantycznie
a romantyzm to stare muzealne ble

Pętla 4

i potem on cię zostawi pójdzie do innej
żeby się chwalić że jest o 10 o 15 lat młodsza
żeby koledzy kapali śliną na jej soki młode
młodsze niż ich zatęchające w domu żony
których szkoda zostawić i może nawet młodsze
niż ich kochanki kokochanki stare do których się
przywiązali pętlą jakąś niewidzialną a miały być tylko
na chwilę opcjonalnie jak wiatr w przydymionej kuchni
przewiać ich rozporkową nudę i rozpierający brak wiary
magię siwizny i coraz większego nic

Pętla 5

teraz on nie zrozumie dlaczego wszystko to w nocy
napisałaś czy to poezja czy zarzut nowy i wymuszanie
bo znalazła się kicia kotka trudna drapieżna
w przekładzie przełożeniu niby da sobie radę
nie na somnambulicznym dachu
a ty musisz wstać drżąca utkana jakby z mgły po tym
wszystkim (poetyzm strasznie liryczny ale tak zostanie)
i iść do szkoły zastrzegając ciągle że już ostatni raz
dajesz się tak nabierać bo chcesz czegoś bardziej
niż tego nie chcesz

NARODZINY KOMEDII

O antycznej tragedii napisano tomy, o komedii – niewiele. Tymczasem ta druga zdaje się brać górę w naszej egzystencji. Życie przekształca się coraz silniej w groteskę, w komedię, którą odgrywamy w codzienności, każdego dnia, ponieważ zatraciliśmy dawno umiejętność „oczyszczenia” się z tego rodzaju afektów.

Naturalnie, sformułowanie powyższe wzięte z „Poetyki” Arystotelesa odnosi się do słynnego pojęcia „katharsis”; słynnego, bo powtarzanego przez wieki przez uczonych, choć jego sens nie jest dokładnie znany.

Czym jest katharsis?

Główny fragment z „Poetyki” stwierdza: „Tragedią jest naśladowcze przedstawienie akcji poważnej (...) w formie dramatycznej (...) które przez wzbudzenie litości i trwogi doprowadza do oczyszczenia tych uczuć.” [Arystoteles, Poetyka, VI, przekł. Henryk Podbielski]

Mnogość komentarzy i interpretacji tego pojęcia można zasadniczo podzielić na dwie grupy. Niech przykładem pierwszej będzie analiza Nathana Spiegela w „The Nature of Katharsis According to Aristotle. A Reconsideration”. Mimo niejasnej wypowiedzi autora „Poetyki”, Spiegel uważa, iż „istnieje możliwość zrekonstruowania arystotelesowskiej koncepcji katharsis w dużym stopniu pewności, w oparciu o rozsiane wzmianki w jego dziełach”. Zgodnie z tym, katharsis odnosiliby się do mechanizmu polegającego na rozładowaniu złych (ale także i innych) namiętności gromadzących się w człowieku. Na podobieństwo zaży-

wanego emetyku, który oczyszcza ciało ze szkodliwych dla organizmu substancji.

Na skutek doznania „litości i trwogi” szkodliwe namiętności zostają „wypłukane” z duszy, dzięki czemu wraca ona do równowagi. W wyniku tego zabiegu człowiek może ponownie kierować się rozumnym, beznamiętnym sądem, trafnym postępowaniem w życiu. Tragedia ma tedy charakter terapeutyczny, bo oczyszcza duszę ludzką z brudów, „szumów” emocjonalnych, które wdzierają się w świadomość człowieka wraz z poznaniem rzeczywistości. Skoro w „maszynie naszego ciała” (mówiąc późniejszymi słowami Kartezjusza) nie ma wbudowanego „filtru” do odczyszczenia czystego poznania od mętów namiętności, emocji, trzeba tedy emetyku duszy, aby wewnętrznie oczyścić się.

Inna interpretacja arystotelesowskiej idei widzi katharsis jako sposób na ćwiczenie, kształtowanie emocji, pozwalające następnie na kontrolę nad nimi. Jonathan Lear w „Katharsis” pisze, że według Arystotelesa/ starożytnych, „głównym zadaniem wychowania moralnego jest ćwiczenie młodzieży we właściwym traktowaniu przyjemności i bólu: należy odczuwać przyjemność ze szlachetnych poczyną i ból wobec perspektywy haniebnego zachowania”. Przez powtarzanie takich ćwiczeń młodzież uczy się godnego, cnotliwego postępowania we wszelkich okolicznościach życiowych – posiadzie umiejętność czerpania przyjemności z uczynków prawych, zachowania bezprzy-

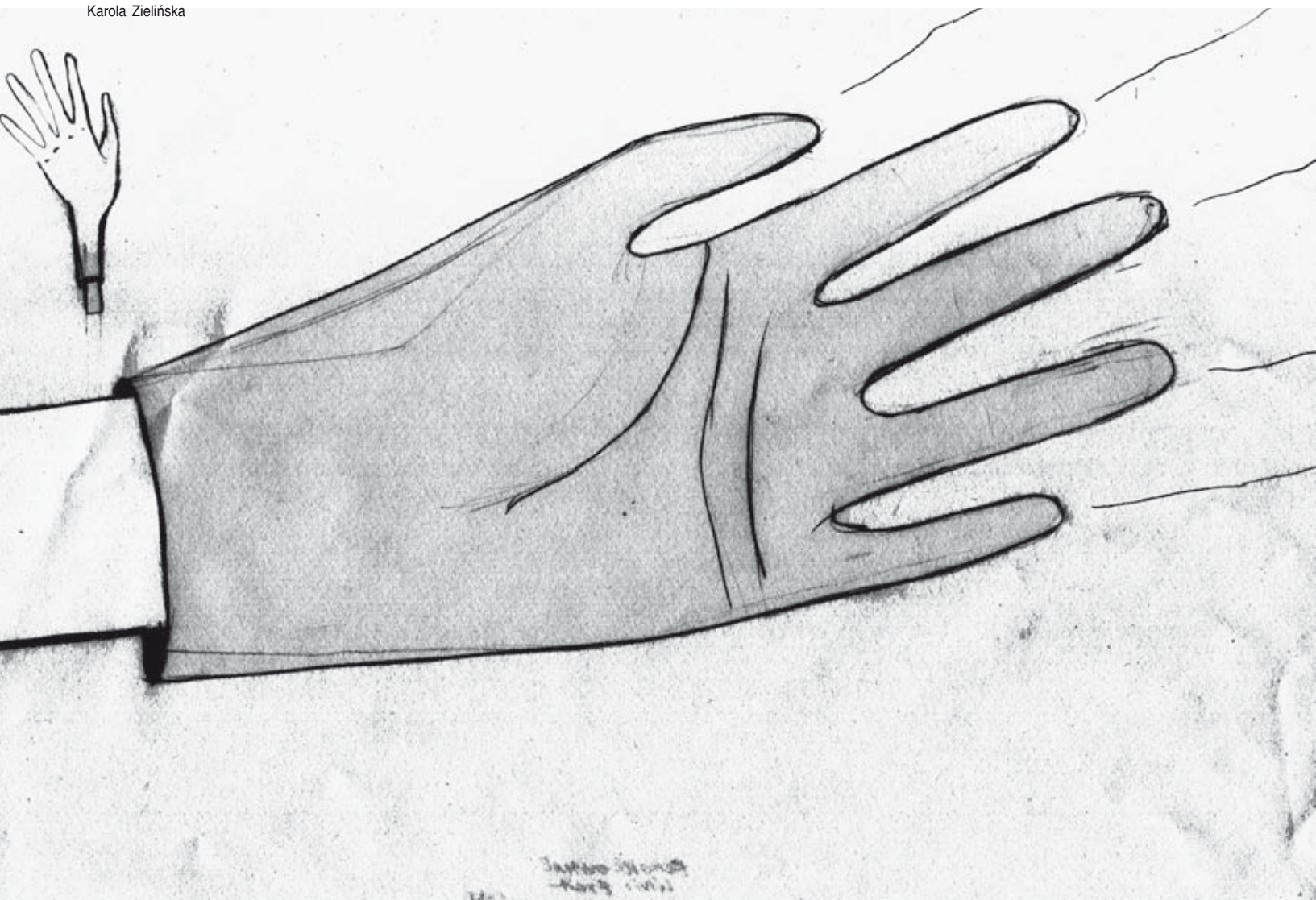
kładnej rezerwy w obliczu przeciwności losu. Dla Arystotelesa i późniejszych myślicieli, cnota oznacza stosowną emocjonalną reakcję w danej sytuacji. Tragedia, przez powtarzanie doświadczenia litości i trwogi, uczy odpowiednich zachowań przydatnych, niezbędnych później w życiu: oczyszcza świadomość z nadmiaru emocjonalnego rezonansu na nagły obrót fortuny, doskonali rozum przygotowując go na lepsze rozumienie świata i siebie samego.

Zbliżona interpretacja Jonathana Leara – katharsis jako poznawczej ulgi. Okropne wydarzenia przedstawione w tragedii mogły się nam przydarzyć, ale są jednak udziałem kogoś innego, tragicznego bohatera. Przyjemność z tragedii bierze się z chęci poznania dramatycznej odmiany losu bohatera i świadomości, że takie wydarzenia dzieją się w świecie, obok nas, ale nas nie dotyczą (przynajmniej na razie). Katharsis to nie tylko czysta wiedza o perypetiach postaci działających, ale nade wszystko związane z nią poczucie otuchy, czyli emocjonalna pociecha, że nieszczęścia nas omijają, natomiast przytrafiają się innym.

Komediowy „błąd”

Czy katharsis nie dotyczy komedii? Arystoteles na ten temat nie pisze, ale mamy wszelkie podstawy sadzić, iż uczucia tego doświadczają również widzowie utworu komediowego.

A zatem – w zależności od interpretacji, komedia przez śmiech albo oczyszczała by duszę, albo przygotowywała młodzież



zwłaszcza do tego rodzaju doświadczeń w życiu codziennym, bądź wreszcie dawała poczucie ulgi, iż perypetie bohaterów utworu scenicznego nie są naszym udziałem, przytrafiają się komuś innemu i to nie w rzeczywistości, ale na scenie.

Ale co nas bawi, jeśli mamy przeżyć podobne uczucie „oczyszczenia” przez śmiech? Nie przez „litość i trwogę”, czyli doznania charakterystyczne dla tragedii. Doświadczymy zbliżonego rodzaju ulgi w komedii, która przedstawia postaci gorsze niż w rzeczywistości, a przy tym akcja – w przeciwieństwie do tragedii – obraca się ze złego na dobre. Doznajemy owej ulgi (oczyszczenia) będąc świadkiem tego, jak bohater ze względu na popełniony błąd wychodzi ostatecznie szczęśliwie z tarapatów.

Ow „błąd” jest pojęciem kluczowym dla Arystotelesa w odniesieniu do tragedii, jak i zapewne w przypadku przedstawienia komediowego. W 13 rozdz. „Poetyki” pisze o bohaterze tragedii, iż „popada w nieszczęście ze względu na jakieś zbłądzenie” (tłum H. Podbielski; „błąd wielki” tłum. Stanisława Siedleckiego).

Doraźne rozważania Arystotelesa w „Poetyce” wynikają z uogólnień na temat potocznej praktyki dramatycznej starożytnej Grecji, dla której wzorem sztuki poetyckiej wszelkiej był oczywiście Homer. On stworzył model epiki. W „Iliadzie” i „Odysei” odnajdywano wzorce dla budowania akcji i postaci bohatera tragicznego, a również i komediowego. Uogólniona refleksja nad praktyką poetycką Homera pozwalała na sformułowanie pierwszych reguł, czym jest i jak powinien być skomponowany odpowiedni utwór.

W „Iliadzie” mało jest miejsc zabawnych. Śmieją się szczęśliwi bogowie, dalecy od cierpień ludzkich, natomiast egzystencja człowieka jest dramatyczna, ponura i bolesna. Zeus powiada:

Nędzniejszego nic nie ma pod stońcem niż rodzaj człowieczy

Z wszystkich stworzeń, co chodzą i oddychają na ziemi.” (I, 17:446-7, tłum. Kazimiera Jeżewska)

Te słowa skłoniły Waltera Kaufmana wprost do jego egzystencjalistycznej interpretacji tragedii w „Tragedy and Philosophy”. Podobnie, także być może za Homerem, myślał Hans Georg Gadamer w „Prawdzie i metodzie”. Poemat ów faktycznie nie jest pogodny, delikatnie mówiąc. Postaci działające, bohaterowie, weselą się, śmieją w opowieści nadzwyczaj rzadko: jeden raz – kiedy podczas igrzysk na cześć poległego Paroklosa, Ajas, jeden z uczestników wyścigu, zarył nosem w krowie łajno, co wzbudziło wielką wesołość widzów.

No cóż, powiemy, wojacy pod Troją nie mieli wiele powodów do radości, a przecież ich niewyszukany smak nie potrzebował wiele, aby się rozbawić. Tymczasem nawet tego im brakowało, by zadowolić tak zgrzebny i rubaszny gust. Są niezwykle poważni, stoją nieustannie w obliczu śmierci, miotani wielkimi, skrajnymi namiętnościami: są surowi uroczyści, okrutni, bo tylko z takim traktowaniem mogą się spotkać. Tak też traktują innych. Nie jest im do śmiechu. Może faktycznie miał rację Zeus przypatrując się ludzkiej kondycji na ziemi.

Wróćmy na chwilę do Arystotelesa. Komedie, zaznacza w Księdze III „Poetyki”, „jest naśladowaniem ludzi gorszych, lecz bynajmniej nie w znaczeniu wszystkich ich wad, a tylko w zakresie śmieszności, która jest częścią brzydoty. To, co śmieszne, jest przecież związane z jakąś pomyłką lub z bezbolesnym i nieszkodliwym oszpecceniem”.

Komedie bytaby więc według niego

swoistą karykaturą życia, przedstawionego przy pomocy szpetnego, brzydkiego bohatera.

Śmiech i zabawa w „Iliadzie”

W tym sensie taką komiczną, żałosną postacią w „Iliadzie” jest kulawy Hefajstos, a na ziemi pośród Argiwów – Tersytes:

„Człowiek ten był najszeptniejszym z tych, którzy pod Ilion przybyli:

O krzywych nogach, na jedną utykał nogę; ramiona

Miał przygarbione, ku piersiom wygięte mocno; spiczastą

Głowę u góry i rzadka wełnistą sierść na łysinie” (J: II, 216-219)

To on drwi, szydzi i urąga Agamemnowi, gdy ten na początku eposu wzywa Argiwów do zaniechania prób zdobycia Troi i do powrotu do domu. Wobec wycofania się Achillesa z walki wódz nad wodze nie widzi sensu kontynuowania konfliktu.

Tymczasem nie wszyscy chcą takie go rozwiązanie. Część nie chce wracać z niczym; gorzej – z hańbą, iż nie potrafili zdobyć warownego miasta. Dla nich wezwanie Agamemnona do powrotu stanie się hasłem do powstania, do otwartego buntu przeciwko dowódcy. Wyrazicielem tego rodzaju nastrojów w wojsku jest Tersytes, który otwarcie staje przeciwko Agamemnowi. Szydzi z wodza wyprawy, judzi, podżega. Odyseusz brutalnie rozprawia się z nim, okładając go berłem po plecach. Podobnie postępował, gdy

...jakiegoś krzykacza w tłumie spotkał, walił go berłem i znieważał gniewnymi słowami (Jeżewska: 198-9)

ale,

Ilekrć króla jakiegoś lub męża znacznego napotkał

Zbliżał się doń i starał się gorąco go wstrzymać namową (Wieniewski: 188-9)

Lud, pospólstwo, „proletariat wojskowy” trzeba siłą zmusić do postuszeństwa, ale arystokracja wymaga innego, delikatniejszego postępowania.

Postać i rola Tersytesa wzbudzała „od zawsze” ogromne zaniepokojenie. Kim jest ów człowiek? Dlaczego Homer, tak przecież oszczędny w słowach w odniesieniu nawet do największych bohaterów, poświęcił temu szpetnemu osobnikowi tyle miejsca?

Jednym z wyjaśnień było, że jest to postać komiczna, stąd jego obraźliwe słowa wywołują wielkie wzburzenie, zaś jego obicie do bólu przez Odyseusza, budzi taką wesołość. Jego wygląd i obyczaje zdają się spełniać później sformułowane przez Arystotelesa wymogi postaci komediowych, przedstawionych jako ludzie gorsi niż są w rzeczywistości; tragedia/epos ma prezentować ludzi lepszymi niż są nimi naprawdę.

Negatywnie wyróżnia się ze wspianych, wzniosłych i szlachetnych herosów achajskich. Tersytes obrzydliwy z wyglądu, szkaradny w mowie zdaje się być taką właśnie postacią, jaką od Arystotelesa po następne dziesiątki wieków, znali na Zachodzie odbiorcy sztuki, zwłaszcza jarmarcznej. Zastępuje jedynie na bieżąco solidne wychowanie go budzi radość – ulgę z powodu „magicznego” ukarania zła reprezentowanego w sztuce przez brzydotę fizyczną.

Spełnia funkcję kataraktyczną. Śmiech, z jakim reagują świadkowie sceny obicia Tersytesa i jego łez (gniewu, bólu, urażonej dumy?) komunikuje nam, że w oczach Homera i jego odbiorców scena ta miała

charakter komiczny, a całe zajście służyło rozładowaniu napięcia.

Tym śladem szła większość interpretatorów. Równie częsta, zwłaszcza we współczesnych czasach, była klasowa interpretacja postaci Tersytesa. Odyseusz, który przystępuje do fizycznej rozprawy z nim, kwestionuje przede wszystkim jego prawo do wypowiadania się na temat osób wyżej usytuowanych w hierarchii społecznej. Nawet jeśli jego krytyczne słowa pod adresem Agamemnona są trafne – w końcu nie mówi niczego innego, czego by wcześniej Achilles nie zarzucił wodzowi – to jednak jego niskie urodzenie zabrania mu zabierania głosu na temat arystokracji,

nie godzi się tobie przed radą o królach wspominać, Ani też na nich obelgi mijać (Popiel: II, 250-1)

Tersytes w takim ujęciu ma być przedstawicielem „ludu”, jakimś pra-demokratycznym agitatorom występującym przeciwko ówczesnemu grabieżczemu porządkowi społecznemu, w którym „wyzyskiwacze” (a na tę kwestię Tersytes kładzie silny nacisk) niesprawiedliwie zagarniają lwią część łupu zdobytego przez wszystkich.

Wskazuje się na paralelę między Achillesem – jego słowami pod adresem Agamemnona w Księdze I, a Tersytesem. Są to wypowiedzi zaskakująco zbieżne, a podobieństwo ich charakterów, uderzające:

„Wasń i walki, i zwady są zawsze tobie najmiłsze” (Wieniewski: I, 177)

Achillesowi rzuca w twarz Agamemnon. Podobnie charakteryzowany jest Tersytes jako człek kłótlivy, zawsze skory do siania niepokoju, niezgody, wszczynania niesnasków. Nie można tedy wykluczyć możliwości, iż przemowa Tersytesa jest zamierzoną parodią słów Achillesa z I Księgi.

Tersytes: tajemnicza postać

Moja interpretacja „Iliady”, która według mnie rozpoczyna się od próby „puczu” wojskowego i obalenia Agamemnona jako naczelnego wodza, prowadzi do wniosku, iż spiskowcy na czele z Achillesem pragnęli także wzniecić bunt w wojsku: aby odsuniecie Atrydy nie było jedynie „przewrotem pałacowym”, ale miało wszelkiego znamiona powszechnego niezadowolenia. Innymi słowy, Tersytes jest tym, który podburza wojsko do nieposłuszeństwa.

Co znaczy „wojsko”? Nie idzie przecież o masy „ludowe”, przymusowo wciągnięte do armii i pognane na wojnę. Często, klasowa interpretacja fragmentu z Tersytesem, nie wytrzymuje krytyki. Pod Troję przybyli znamienici wojownicy, przywódcy rodów/klanów, władcy niewielkich posiadłości. Ruszyli na wezwanie Agamemnona na czele swych drużyn, wojowników, zajmujących uprzywilejowaną pozycję, korzystających niekiedy z łupieżczych wypraw, z reguły zaś – z bliskości dworu feudała. Tersytes nie jest więc wyrazicielem nastrojów i opinii jakichś mas żołnierskich, ale mówi to, czego być może ich przywódcy nie chcieli powiedzieć, ale czuli podobnie: podział łupów tej wyprawy jest nierówny, a dowodzenie militarna ekspedycją – nieudolne.

Jeśli zamiar spiskowców ma się powieść, to w jaki sposób można było zagrać na sentymentach Achajów i skłonić ich do wystąpienia przeciwko Agamemnowi? Apelowanie do zagrożenia mogło nie odnieść skutku – pod Troją obozowali ludzie nawykli do niebezpieczeństw; więcej: godzący się na ryzyko pod warunkiem, że się ostatecznie opłaci. Poruszenie tej struny, najwrażliwszej, wywołać mogło jedynie powszechny bunt. ➔

Poza tym wszystkim, w postaci Tersytosa jest coś więcej niż tylko doraźna, barwna anegdota o wstrętnym krzykaczu. W „Aethiopsis”, eposie cyklicznym, treściowo bezpośrednio następującym po „Iliadzie”, pojawia się on znów i ponownie na krótko. Poemat nie zachował się, ale znamy go w streszczeniu Proclusa. Przytaczam stosowny fragment za tłumaczeniem M. L. Westa „Iliad” and the „Aethiopsis”.

„Amazonka Penthesilea, córka trackiej bogini, przybywa, by walczyć razem z Trojanami, [...] W czasie walki zabija wielkie mnóstwo, w tym Machaona. Dominuje na polu walki, ale Achilles zabija ją, zaś Trojanie ją grzebią. A Achilles zabija Tersytosa, bo wyzywa go i złorzeczy nań z powodu jego rzekomej miłości do Penthesilei. Wybucho więc kłótnia między Achajami z powodu zabicia Tersytosa. Następnie Achilles płynie na Lesbos i po złożeniu ofiary Apollinowi, Artemidzie i Leito, zostaje oczyszczony przez Odyseusza z tego zabójstwa.” [s.1]

W krążących wówczas opowieściach epickich (West przypuszcza, że Homer również wykonywał tę opowieść), Tersytes był kimś znacznie ważniejszym niż wydawać by się mogło z „Iliady”. Nie mógł być „najgorszym spośród śmiertelnych”, skoro jego zabicie wywołało wielki spór, a z tego zabójstwa Achilles aż musiał się „oczyszczyć”, jak Agamemnon po świętokradczej obrazie kapłana Chryseas. A zatem śmierć Tersytosa to nie „zwykłe” zabójstwo w afekcie, w czasie kłótni (wielu bohaterów Iliady, z Patroklosem, najbliższym Achillesowi, ma podobną winę na sumieniu), ale zgoda bluźnierstwo, zniewaga dla ludzi i bogów.

Kim więc jest Tersytes? Mój domysł, ale tylko domysł, skoro nikt nie pokusił się o zbadanie tej sprawy, podpowiada, iż pierwotnie, w jakiś dawnych pieśniach długo przed Homerem, Tersytes był jednym z satyrów. Sugeruje to jego szpetny wygląd, obcesowy język, skłonność do burzenia porządku, a także geneza komedii wywodzącej się, jak twierdzi Arystoteles: „Zarówno tragedia jak i komedia narodziły się z improwizacji: tragedia z improwizacji tych, którzy intonowali dytramb; komedia – z improwizacji intonujących pieśni falliczne” (Księga 4). Komedia to wywrócenie świata na opak, przedstawienie go w krzywym zwierciadle – satyra, czyli pierwotnie przez satyrę, obcesowego gburę prezentowana impertynencka wizja rzeczywistości.

Z czasem postać Tersytosa uległ zeświecczeniu, ale pozostała wokół niego aura „boskiego wywrotowca”.

Historia ta była dobrze znana Homerowi i jego odbiorcom, ale już nie na przykład, Arystotelesowi. Wyraźnie Tersytes z „Iliady” był dlań postacią paradygmatyczną, pozwalającą, między innymi, na rozdzielenie gatunków dramatycznych na tragedię i komedię. Tragedia jest naśladownictwem szlachetnego działania. Tylko ludzie szlachetni, dobrze urodzeni, arystokraci mogą być wzniośli, cierpieć. Myśl, że prostak z tłumu może cierpieć, nie przychodzi Arystotelesowi do głowy, jak i obca była Homerowi (choć w tym przypadku sprawa może być bardziej skomplikowana). Bolesne obicie Tersytosa i tży bólu nie budzą bynajmniej współczucia. Wywołują śmiech. Cierpienie nisko urodzonych jest śmieszne, jest przedmiotem komedii: może to być oszukany mąż, sponiewierany człowiek „gminu”, zbity i przepędzony sługa, albo niewolnik. Nawet jeszcze u Moliера parweniusz ze swymi problemami wzbudza wesołość. Tragedia jest dla wysoko urodzonych.

Nas scena z Tersytem bynajmniej nie

śmieszy. W ostatnich wiekach ewolucja komedii nabrała przyspieszenia.

Na czym polega „błąd” Tersytosa sprawiający, że jego perypetie dostarczają komediowego katharsis? Znalazł się w złym miejscu i w złym czasie. Ściągnął na siebie kłopoty (Ianie), bo nie zrozumiał sytuacji (spotecznej?) Wziął za dobrą monetę prawo do swobody wypowiedzi. Uznał, iż jemu ono także przysługuje w równym stopniu, co innym tego świata. Jest naiwnym osobnikiem, rzecznikiem równości w całkowicie nieegalitarnym świecie. Jego cierpienie może być tylko śmieszne. Z czyjego punktu widzenia? Widza, odbiorcy śmiejącego się z „głupka”, który nie rozumie podwójnej natury rzeczywistości społecznej według osobnych praw dla arystokracji (elity) i odrębnych – dla gminu oraz komizmu znalezienia się nie na miejscu w rzekomo słusznej sprawie.

Przypomina się koncepcja Friedricha Nietzschego z „Narodzin moralności”. Nie ma wątpliwości, iż filozof inspirował się tym właśnie fragmentem poematu i całą „Iliadą”. Według niego moralność współczesna zrodziła się z wysiłku „ludzi małych”, którzy wprowadzili etykę litości/współczucia, przeciwstawiając się bezlitosnej etyce panów. Ta klasa robiła, co chciała: mordowała, plądrowała, grabiła. Ofiary tych poczynąń były początkowo bezsilne wobec samowoli możnych i potężnych – herosów, którzy kierują się własną moralnością: im wolno, ale maluczkim – nie. Siła jest po tamtych stronie.

Odwet przeciętności

Nietzsche podaje własną interpretację pojęcia katharsis jako radosnego potwierdzenia dionizyjskiej „radoszy niszczenia” – pierwotnej siły witalnej. Przez destrukcję tego, co istnieje, nieustannie odnawia życie w coraz to nowej postaci. To, co się przydarza bohaterowi tragicznemu tylko wydaje się tragedią. Emocje związane z przeżyciem perypetii bohatera sytuują się ponad litością i trwogą; dokładniej, według Nietzschego poprzez arystotelesowskie doznania prowadzą ku doświadczeniu „wiecznej rozkoszy tworzenia, stawania się”, a proces ów zawiera w sobie jako niezbędny, warunek – niszczenie, spustoszenie, zagładę.

W oczach Nietzschego to nawet nie jest tragedia, ale radosny, promienny cykl niszczenia i budowania. W wersji komediowej: klasa podlegająca owej samowoli wprowadza etykę „litości/współczucia”. Grupa panów działa, poczynia sobie zgodnie ze swym widzimisię, zaś mściwy „plebs” pisze raporty, rozprawy, traktaty. Usiłują herosów w sieci pokrętnych sofizmów – stosownie do potrzeb. Celem jest umniejszenie, zrównanie w dół, sprowadzenie elit do podrzędnego wymiaru i w tym kontekście można im przypisać wszelkie drobne „moralia”, którymi tak łatwo manipulować.

Reprezentują oni moralność ludzi małych: zarozumiałych, pruderyjnych, oszukańczych, pełnych nienawiści wobec wszystkich, którzy wyrastają ponad ich poziom. Tę nienawiść, tę słabość, ubierają w etyczną szatę – mizeria staje się wzniosłością, słabość – cnotą, nieudolność – powodem do chwały, niekompetencja – sympatyczną, biurokratyczną przypadłością.

Nietzsche w ataku na moralność mieszczańską swoich czasów, albo na chrześcijaństwo w „Woli mocy”, zapomina o jednym: ta etyka ludzi małych ma na uwadze przede wszystkim cnoty społeczne, czyli spójność i bezpieczeństwo grupy. Jednostka wybitna, niezwykła, zagraża jednności, bo jej funkcjonowanie musi dokonać się kosztem innych. Instynkt życia trzeba stłumić, bo rwie on tkankę społeczną.

Spoteczństwo, czyli masa przeciętnych,

zwykłych ludzi, czerpie siłę z trzech źródeł: z instynktu stada chroniącego średniaków, obliczonego przeciwko silnym i niezależnym; z instynktu cierpienia, skierowanego przeciwko szczęśliwym, afirmującym życie; instynktu miernot skierowanego przeciwko wszystkim, którzy wyrastają ponad przeciętność.

Ale gdzie tu komedia? Nas „błąd” Tersytosa bynajmniej nie bawi, ale śmieszy sytuacja odwrotna – jeśli przedstawiciel elity społecznej „błąd” popełni, na skutek którego popada w tarapaty.

Pochodzenie i źródła antycznej komedii, jej istota współcześnie tkwią w tym właśnie komediowym błędzie modelowo popełnionym przez Tersytosa: myślał, był przekonany, iż znajduje się wśród równych sobie i może przemawiać jak równy z równym. Zapomniał jednak, iż rządzi podwójna moralność, która daje elitom wyższość. Dokładnie, którą sobie uzurpowały i nieustannie ów przywilej egzekwują ku cichej zgodzie, cierpliwym, rezygnacyjnym przyzwoleniu „mas”.

Komedia dziś

Współcześnie źródło komedii tkwi równie, albo nawet w większym stopniu w „błędzie” odwrotnym. Przedstawiciel elity, który w egalitarnym społeczeństwie wynosi się ponad resztę i popełnia błąd w przeświadczeniu, iż jak zwykle jego wykroczenie ujdzie bezkarnie.

Demokracja jest wrogiem możnych, wrogiem bogatych i wpływowym, wrogiem hierarchii. Ceni nade wszystko, co średnie, przeciętne. Miernota rządzi światem. To banał. Jak pogardliwie odezwął się jeden z moich studentów na widok otrzymanej oceny dostatecznej. Miał się zawstydić odpowiedział szyderczo „Uczysz filozofii, a nie wiesz, że trójkowicze rządzą światem?” I tak jest dobrze, tak ma być. Każde inne społeczeństwo byłoby dysfunkcjonalne, albo nie do wytrzymania jak platońskie państwo rządzone przez najlepszych, najmądrzejszych. Polityka nie może jednak być na wielką miarę, bo wtedy staje się tyraniją.

Ta zasada wyjaśnia, dlaczego w polityce dominują ludzie mierni. Byle jacy. Ludzie zastanawiają się: skąd oni się biorą? Czy nie ma lepszych? Są, tylko gdzie indziej. Przeciętność utwierdza się we władzy.

Doraźne elity wciąż wyróżniają się stylem życia, ale przede wszystkim chcą się (z dużym powodzeniem) usytuować ponad resztą, czyli ponad zasadą równości wymaganej przez większość małych.

I właśnie całą komedię; komedię współczesną sprowadzić można do treści doskonałej satyrycznej powieści „Bonfire of the Vanities” Toma Wolfe’a. Bohater, bardzo zamożny, wpływowo, z najwyższej sfery elit, popełnia błąd. W panice ucieka z miejsca wypadku, ale – i w tym momencie zaczyna się komedia – wysiłki polityków od czasu do czasu (przed wyborami) zmierzają do zmanifestowania, że „nikt nie jest ponad prawem” i zaczynają bohatera ścigać policyjnie, a następnie sądownie. Ukaranie przedstawiciela elit ma służyć jako przykład masom wyborczym, że tu oto dokonuje się sprawiedliwość. Bohater nie rozumie swego potożenia, bo dotychczas wykroczenia uchodziły mu i wszystkim z jego grupy. Wytrącenie bohatera z utartej praktyki życiowej śmieszy, bo konfrontuje go z losem tych, od których – wydaje mu się – dawno się zdystansował. Świat na opak zabawny, śmieszny, ponieważ bohater nie rozumie, co się dzieje: dlaczego dotychczas było dobrze, a nagle ma zostać ukarany, stać się kozłem ofiarnym, zasługuje na bicie jak jego protoplasta, Tersytes.

CZESŁAW KARKOWSKI

Robert Frost

(1874-1963)

przełożył Maciej Froński

In A Disused Graveyard

The living come with grassy tread
To read the gravestones on the hill;
The graveyard draws the living still,
But never anymore the dead.

The verses in it say and say:
„The ones who living come today
To read the stones and go away
Tomorrow dead will come to stay.”

So sure of death the marbles rhyme,
Yet can't help marking all the time
How no one dead will seem to come.
What is it men are shrinking from?

It would be easy to be clever
And tell the stones: Men hate to die
And have stopped dying now forever.
I think they would believe the lie.

Na nieczynnym cmentarzu

Żywi przychodzą polną drogą,
By na nagrobkach czytać słowa;
Choć zmarłych już się tu nie chowa,
To żywi zawsze zajrzeć mogą.

Przekaz napisów ma tę postać:
„Tym, którzy, żywi, dziś na chwilę
Przychodzą czytać – i to tyle,
Jutro tu, zmarłym, przyjdzie zostać”.

Śmierć to nagrobków prawda naga,
Lecz widzą one, że tym śladem
Polnym nie idzie zmarły żaden.
Przed czym się taki człowiek wzdraga?

Łatwo by było zwieść marmury,
Mówiąc im: „Tyle w ludziach trwogi,
Że nie wstępują w śmierci progi”.
Kłamstwu nie dałby wiary który?

I have been one acquainted with the night...

I have been one acquainted with the night.
I have walked out in rain—and back in rain.
I have outwalked the furthest city light.

I have looked down the saddest city lane.
I have passed by the watchman on his beat
And dropped my eyes, unwilling to explain.

I have stood still and stopped the sound of feet
When far away an interrupted cry
Came over houses from another street,

But not to call me back or say good-bye;
And further still at an unearthly height,
One luminary clock against the sky

Proclaimed the time was neither wrong nor right.
I have been one acquainted with the night.

Poznałem wszystkie nocy tajemnice...

Poznałem wszystkie nocy tajemnice.
Uciekłem z deszczu, lecz znowu mnie zmoczył.
Wyszedłem poza najdalsze ulice.

Byłem w zaułkach, gdzie się smutek tłoczy,
A gdy przez stróża zostałem zdybany,
Słów nie znajdując opuściłem oczy.

Zwolniłem kroku, kiedy urywany
Krzyk usłyszałem, który mnie dobiegał
Gdzieś spoza domów okolicznych ściany,

Choć nie niósł dla mnie przesłania żadnego;
A jeszcze później ujrzałem wieżycę,
Na której szczycie podświetlany zegar

Wywracał czasu rachubę na nice.
Poznałem wszystkie nocy tajemnice.

Czesław Sobkowiak

MAŁE PROZY

Poranna cisza

Ustąpił polityczny ferwor wcześniejszych tygodni i wczorajszego wieczoru, oczekiwań i nerwów. Wiem, że tylko na chwilę. Rozściela się teraz w powietrzu błoga, poranna cisza, spokój. Trzeba by ludzi brali z niej przykład. To dla bieżącego życia bezcenne. Możemy mieć rację, ale nie wolno tą racją całego świata ani dookolnej przestrzeni zakrzyczeć.

Nad

Nad wszystkimi kalkulacjami, niepokojami, utylitarnymi wartościami, bieganiną, choćby najbardziej słuszną, w hierarchii spraw poezję stawiam na najwyższym miejscu. Kto w gorączce (i w kłęsce) życia zatrzyma się i w głąb podmiotowego spojrzy, ten dojrzy ją. Jej niezbędność, milczenie, niewyraźność i sacrum.

Zbieram myśli

Zbieram myśli i obrazy z całego upalnego dnia, aby małą rzecz, jedno zdanie, o tym dniu napisać. Idzie gorąca fala za falą. Zwyczajność za zwyczajnością niesie się, czyli płynie ocean codziennych zjawisk, ludzkich trudów, z których coś mogłoby wynikać. A są to wyłącznie trudne realia istnienia i ludzkie trwania z dnia na dzień. Na jakiej drodze, jakim sposobem dostąpić wtajemniczenia? Jak wejść w ocalającą rzeczywistość? Poezja wtajemnicza wielorako, bowiem konstituuje inny świat. Dotyczy człowieka, ziemi, potu, soli, łez, tęsknoty, ale zdaje się jej duch być odłączonym od tych

materialnych determinant. W innym świecie, w obrębie słowa, ma miejsce obcowanie, które nacechowane jest duchową ważnością. Zazwyczaj nie dostrzegają.

Sacrum

Jeśli z życia społecznego i z podmiotowego wnętrza, ze znaczeń sztuki, poezji, do końca zechcemy usunąć sacrum, to (już jest blisko) droga otwarta, by wewnątrz człowieka zlekceważyć.

Prawie

Prawie się zamartwiam. Dla kogo dzisiaj taki osobliwy tekst jak wiersz metaforyczny? Po co, dla kogo? Gdy wdaję się w tego rodzaju dywagowanie wewnętrzne o zagadnieniu sensu, właśnie o potrzebie i ważności chwytania za pióro, tworzenia zdań, wtedy wszystko jest przeciw mojemu wysiłkowi. Uzmystawiam sobie, że to praca pośród daremności. Uderzanie o mur. Świat poszedł inną drogą. Tylko ja wiem, że w ten sposób, na płaszczyźnie symbolicznej, przywracam istotny swój kontakt i dialog i zanurzenie w świecie. I tylko mój to problem oraz kilku innych. Jeszcze. Nic się nigdzie jednak nie stanie z powodu mojej jednej, pustej kartki, albo karki zapisanej zdaniami. Cokolwiek złego lub dobrego.

Są

Wiatr, woda, stół, krzesło, węgiel w skrzynce przy piecu, wino w butelce, długopis obok kartki. Jaki wiersz powinienem napisać na kartce?

Za oknem

Urosły krzewy jaśminu pod oknami, jałtonie poszły wysoko, zagęściły się gałęzie, mieszkają w nich ptaki. Natura nieustannie rośnie, a ja powoli się wycofuję, tzn. natura mnie wycofuje.

Róże

Ścinałem w ogrodzie majeranek, położyłem na stole, pachnie, schnie. Gdy się ususzy, otrę go i zapakuję do papierowej torebki. Już pięknie urósł i nie mogłem czekać aż przerośnie. Byłoby z niego nic. Spulchniałem glebę, wyrwałem chwasty, w pewnej chwili z jamy ziemi, spod korzeni jaskółczego ziela wyszło coś szarego, przyrząłem się, a to ropucha wielkości mojej dłoni. Nie bała się, usiadła, zaczęła patrzeć, więc poszedłem sobie.

W nocy

Długo nie mogłem zasnąć. Usłyszałem niepokojący mnie skwir, ostry pisk nietoperza w gorącej, lipcowej nocy.

Mała proza

Siedziałem nad kartką. Pisałem, skreślałem. Wyszedłem odetchnąć na dworzec, popatrzeć na obłoki, zgubić okropne znużenie, ciężar liter, które zatlaczają głowę. W imię czego te litery? Przyrodzie potrzebna woda, słońce, ziemia. A człowiekowi?

CZESŁAW SOBKOVIK

Joanna Rzeszotek

„NIMBY I BÓJE” – WIERŚZE

* * *

Światło połyka przestrzeń
rozwartą na oścież cyrkla

światło
mulety palet
i mgławic

światło –
komu nikacja?
- Nam!

Jeżeli JEST jest,
to słupem jest filozofii

szelestem cieni

* * *

Na swoje podobieństwo
Rzeźbił Bóg Adama
- glina żyzna
dźwięczna
- najprzedniejsza

Potem wziął glinę białą:
rzecz powstawał gładka
misterna
i kształtniejsza

Kiedy nasączył Bóg duchem
obie gliniane nagości
wypalił – co było już ciałem –
w mrocznym piecu
miłości

Rankiem ustawił figurki
u stóp rajskiego drzewa:
stał fajansowy Adam
i z porcelany Ewa

* * *

Kiedy
udomowiono ostatnich koczowników
grzywą ryżej łuny z palonych wielbłądów
pysznił się horyzont
przez czterdzieści dni

jelenie zabijane w pierś
(ich lęk był zbyt piękny)
kładły głowy
wyprzęgając się z krwi

kosze klów przewiewał dym



Portret poetki i malarki Joanny Rzeszotek wyk. Zbyszek Ikona - Kresowaty
(rysunki do wierszy wykonał Norbert Skupniewicz)

- nikt nie doświadczy(!) niebytu
- nikt nie dozna(!) nieistnienia
- Joanna Rzeszotek

Artysta, artyści, artyście, artystę z artystą, o artyście. Artysto!

Banki barw wzniesiono nad skarbcami pryzmatów
z czarnym ślepcem widma grafitu – strażnikiem
Banki zbieraczy barw, tonów, odcieni
Wyszukiwaczy kształtów, rys, rysów, zarysów, rysunków...
My.
Pierwsza z osób w liczbie mnogiej
Wyliczamy barwę w kształcie. Kształt – w barwie.

My – cech Ołówka i Pędzla
Nanieśliśmy współrzędna na osi artyzmu:
galerię ideału
i rzeczzone rzeczowe sedno:

kompozycję na wzrok
na chór barw (murmurando)
i na apogeum:
n i m b

Joanna Rzeszotek – Poetka, pisarka i artystka rysunków i rzeźb.
Autorka reportaży i szkiców literacko – artystycznych oraz esejów.

Wydała 5 tomików poezji. Drukowała wiersze w czasopiśmie literackim m. innymi: Akant, Krajobrazy Kultury, Okolica Poetów oraz Almanachach poetyckich. Rzeźbi cykle ciekawych rzeźb osób z drewna wykorzystując do tego obumarłe gałęzie drzew. Natomiast rysunki wykonuje na kartonach ciekawą metodą różno - kolorową cienką kreską, głównie to Anioły w różnych metafizycznych konfiguracjach, wcielone w postawy ludzkie. Mieszka w Toruniu.

Rabindranath Tagore

GITANJALI

PIEŚNI OFARNE

51

Zgęstniał mrok. Skończyliśmy pracę. Sądziłem, że przybył już ostatni gość i wszystkie drzwi we wsi zostały zamknięte. Lecz ktoś powiedział: — Jeszcze przybędzie król. — Zaśmialiśmy się i powiedzieliśmy: — Nie, to być nie może. — Wydało nam się, że ktoś zastukał w drzwi, lecz powiedzieliśmy, że to tylko wiatr. Zgasiliśmy lampy i poszliśmy spać. Lecz ktoś powiedział: — To postaniec. — Zaśmialiśmy się i powiedzieliśmy: — Nie. To wiatr. — O północy usłyszeliśmy jakiś dźwięk. Przez sen pomyśleliśmy, że to daleki piorun. Ziemia zadrżała, ściana się zatrzęsła i ocknęliśmy się. Lecz ktoś powiedział, że to jest dźwięk kół. Szepneliśmy w północy: — Nie. To grzmot pioruna. — Było jeszcze ciemno, kiedy rozległ się bęben. Powiedział głos: — Wstawajcie! Nie zwlekajcie! — Przyłożyliśmy ręce do serca i drżeliśmy ze strachu. Ktoś powiedział: — Popatrzcie, oto królewska chorągiew! — Wstaliśmy z okrzykiem: — Nie wolno dłużej zwlekać! — Król przybył, lecz gdzie są lampy, gdzie wieńce? Gdzie tron dla niego? O, wstydzie! O, hańbo! Gdzie patac, gdzie ozdoby? — Ktoś powiedział: — Prózne biadolenie! Przyjmijcie go z pustymi rękami, prowadźcie go do pustych pokoi! Otwórzcie drzwi, niech zagrają muszle. W głuchą noc przybył król naszego ciemnego, mrocznego mieszkania! Piorun grzmi na niebiosach! Ciemność drży od błyskawic. Weźcie kawałek rozewanej maty i rozścielcie ją na dworze. Wraz z burzą, w tę okropną noc przybył nieoczekiwany król.

52

Tak bardzo chciałam, lecz nie ośmieliłam się, poprosić cię o wianek z róż, który ozdabiał twoją pierś. I czekałam do rana, do twojego odejścia, aby zebrać jego resztki na swoim łożu. I jak żebraczka szukałam o świcie, czy nie został choć jeden listek. Niestety, cóż znalazłam? Co pozostało z twojej miłości? Ani kwiatów, ani kadzideł, ani czarek z pachnącą wodą. Pozostał potężny miecz, lśniący jak płomień, ciężki jak piorun. Młode światło poranne oświetla moje łożko. Poranny ptak ćwierka i pyta: — Kobieto, cóż ci pozostało? Tak, ani kwiatów, ani kadzideł, ani czarek z pachnącą wodą — twój straszny miecz. Siedzę i zastanawiam się, po co mi jest twój prezent? Nie mam gdzie go ukryć. Mnie, słabej, wstyd go nosić, boli mnie, kiedy przyciskam go do swojej piersi. A jednak z dumą będę nosić w swoim sercu ten twój dar — ciężar meki. Już strach nie będzie władał nade mną na tym świecie — ty będziesz zwycięzcą w każdej mojej bitwie. Postąłeś mi śmierć do towarzystwa, a ja ukoronowałam ją swoim życiem. Twój miecz jest ze mną, może skruszyć moje kajdany, już nie boję się niczego na świecie. Odrzuć wszystkie ozdoby, władczo mojego serca, już nie jestem nieśmiałą, delikatną dziewczyną, już nie będę czekać, ukrywać się i płakać. Dajeś mi swój miecz — nie potrzebuję ozdób!

53

Piękna jest twoja bransoletka barwiona gwiazdami i klejnotami pięknie oprawionymi. Lecz jeszcze wspanialszy jest twój miecz, jego lśniące ostrze, jak rozpostarte skrzydło boskie-

go pta-ka Wisznu, przesiąknięte gniewnym rumianym blaskiem zachodzącego słońca. Ono drży jak ostatni promień życia, świeci jak czysty płomień życia, pochłaniając wszystko, co ziemskie i próżne, jednym potężnym błyskiem. Piękna jest twoja bransoletka usiana klejnotami, ale twój miecz rzucający gromy, jest tak ogromną piękną, tak straszną, że nie ma siły, aby patrzeć na niego, ani myśleć o nim.

54

O nic cię nie prosiłam. Nie powiedziałam ci swojego imienia. Kiedy odchodziłeś, stałam milcząc. Stałam koło studni w kucym cieniu drzewa, a kobiety szły do domu z glinianymi dzbanami, wypełnionymi po brzegi. Przyzywali mnie i krzykali: „Chodź z nami, już poranek się obrócił na południe”. Ale ja ociągałam się i wahałam, pogrążona w smutnym rozmyśleniu. Nie usłyszałam, jak podszedłeś. Twoje spojrzenie było smutne, kiedy skierowałeś je ku mnie; twój głos był zmęczony, kiedy powiedziałeś cicho: — Jestem spragnionym postąncem. Ocknęłam się ze swego snu i nalałam wody z dzbanu w twoją garść. Liście szeleściły nad nami, głos ku-kułki w głębi zagajnika i duszny zapach akacji dochodziły do nas aż z dalekiej drogi. Stałam, oniemiawszy ze wstydu, kiedy zapytałeś o moje imię. Zaiste, cóż uczyniłam dla ciebie, abyś mnie zapamiętał? Lecz wspomnienie o tym, że mogłam dać ci wody i ukoić twoje pragnienie, będzie żyć w moim sercu i napełniać je czułością. Południe jest już blisko, ptaki śpiewają leniwie, liście miodli szeleszczą nade mną, a ja siedzę i myślę, myślę.

55

W twoim sercu jest rozkosz, lecz sen jeszcze zamyka powieki. Czy nie doszła do ciebie wieść, że kwiat już się pyszni królewskim blaskiem wśród cierni? Obudź się, obudź się! Nie marnuj czasu na próżno! Na końcu kamienistej ścieżki, w kraju dziewiczej ciszy, samotnie siedzi mój przyjaciel. Nie oszukuj go. Obudź się, obudź się! Co stanie się, jeśli niebo zadrży w upalne południe? Co stanie się, jeśli pływający piasek rozwinie płaszczyznę pragnienia? Czy nie ma w głębi twojego serca radości? Czy z każdym twoim krokiem nie zabrzmi harfa drogi słodką muzyką meki?

56

Oto dlaczego tak wielka jest we mnie twoja radość! Oto dlaczego zstąpiłeś do mnie! O, panie niebios, gdzie byłaby twoja miłość, gdyby nie ja? Uczyniłeś mnie współniczką wszystkich swoich skarbów. W moim sercu drży nieskończenie twoja radość. W moim życiu objawia się wszędzie twoja wola. Królu królów, oblekłeś się w piękno, aby mnie zniewolić. I oto twoja miłość rozpływa się w miłości twojej ukochanej, i widzisz obie w doskonałej jedności.

57

Światło, moje światło, świecie peten światła, spojrzenia pieszczące światło, serce, które cieszy się światłem. Mój ukochany, światło tańczące w moim sercu. Światło uderza, mój ukochany, w struny mojej miłości. Niebo otwiera się, wiatr szaleje, śmiech unosi

się nad ziemię. Cmy pod-noszą swoje żagle do morza światła. Lilie i jaśmin kwitną w falach światła. Światło rozprasza się złotem na każdym obłoku, mój ukochany i diamenty obficie się leją. Radość, mój ukochany, płynie od liści do liści i jest ogromna. Niebiańska rzeka wyszła z brzegów i radość wszystko zalewa.

58

Niech zejdą się wszystkie radości w mojej ostatniej pieśni: radość, która sprawia, że ziemia topi się w bujnej obfitości traw, radość, która krąży w tańcu bliźniąt — życia i śmierci — po nieobjętej ziemi, radość, która mknie z burzą, trzęsąc i budząc życie śmiechem, radość, która ze łzami zawisa nad otwartym czerwonym lotosem cierpienia, i radość, która w proch obraca wszystko, co posiada, i nie zna słowa.

59

Tak, wiem, że to tylko twoja miłość, o ukochany mojego serca: to złote światło, które tańczy na liściach, te leniwe obłoki, które płyną po niebie, ten powiew, który ochładza moje czoło. Poranne światło załota mi oczy: to ty posyłasz wiadomość mojemu sercu. Twoje oblicze zeszło z wysokości, twoje oczy patrzą w moje oczy, a moje serce dotyka twoich stóp.

60

Na morskim brzegu nieskończonych światów spotykają się dzieci. Bezczesne niebo jest nieru-chome, a niespokojne wody są burzliwe. Na brzegu nieskończonych światów dzieci spotykają się z krzykami i tańcami. Budują domki z piasku i bawią się pustymi muszlami. Z uschniętych liści robią stateczki i z uśmiechem wpuszczają je do nieobjętej otchłani. Dzieci bawią się na morskim brzegu światów. Nie umieją pływać, nie wiedzą, jak zarzucić sieć. Poławiacze pereł nurkują po muszle, kupcy płyną na swoich statkach, a dzieci zbierają kamyczki i je rozrzucają. Wszystkie szukają tajnych skarbów, ale nie wiedzą, jak zarzucić sieć. Pomarszczone morze śmieje się i blade światło uśmiech wybrzeża. Siejące śmierć fale śpiewają dzieciom puste pio-senki, jak matka kotyszająca młodzieńca w kotysce. Morze bawi się z dziećmi i blade światło uśmiech wybrzeża. Na morskim brzegu nieskończonych światów spotykają się dzieci. Burza wędruje po bezdrożach niebios, statki giną w nieznanach wodach, śmierć jest wokół, a dzieci bawią się. Na morskim brzegu nieskończonych światów jest wielkie zgromadzenie dzieci.

61

Kto wie, skąd spada sen na oczy dziecka? Mówią, że mieszka tam, w bajkowej wiosce, w półmroku lasu, słabo oświetlonego przez świetliki, gdzie wiszą dwa zaczerwiane pąki. Stamtąd przychodzi całować oczy dziecka. Kto wie, gdzie rodzi się uśmiech, który powiewa na wargach dziecka, kiedy śpi? Mówią, że młody, blade sierp księżycy dotknął krawędzi topniejącego jesiennego obłoku, a uśmiech urodził się w marzeniach zroszonego poranka. Ten uśmiech, który powiewa na wargach dziecka, kiedy śpi. Kto wie, gdzie się ukrywa słodki, delikatny ru-

mienieć, który kwitnie na policzkach dziecka? Mówią, że kiedy matka była młodą dziewczyną, on wypełnił jej serce ulotną i cichą tajemnicą miłości. Tym słodkim, delikatnym rumieńcem, który zakwitł na policzkach dziecka.

62

Kiedy przynoszę ci pstrokate zabawki, dziecko moje, rozumiem, dlaczego jest taka gra farb na chmurach, na wodzie i dla czego kwiaty są tak jasne — kiedy daję ci pstrokate zabawki, dziecko moje. Kiedy śpiewam, abys mogło tańczyć, rozumiem, dlaczego gra muzyka w liściach i dla czego fale ślą chóry swoich głosów do serca rozumiejącej ziemi — kiedy śpiewam, abys mogło tańczyć. Kiedy wkładam stódcze do twoich pragnących dłoni, rozumiem, dla czego jest miód w kielichu kwiatu i w owocach utajona stódycz — kiedy wkładam stódcze do twoich pragnących dłoni. Kiedy całuję twoją twarz, abys się uśmiechnęło, moje szczęście, rozumiem, jaka radość wylewa się z nieba w porannym świetle i jaką stódcz daje mojemu ciatu letni wietrzyk — kiedy całuję cię, abys się uśmiechnęło.

63

Uczyniłeś mnie przyjacielem tych, których dotąd nie znałem. Wprowadziłeś mnie do miesz-kań, dotąd mi obcych. Przybliżyłeś odległe i obcego uczyniłeś mi bratem. Trudno mi odrzucić dawne przyzwyczajenia, zapominam, że w nowym życiu są stare i że ty zawsze jesteś ze mną. Przez narodzenie i śmierć, w tym świecie albo w innych światach, dokąd byś mnie nie poprowadził, jesteś ty, samym jedynym towarzyszem mojego nieskończonego życia, wiążącego mo-je serce tańcami radości z nieznanym. Temu, który ciebie poznał nic już nie jest obce, nie ma dla niego zamkniętych drzwi

64

Nad samotną rzeką, wśród wysokich traw, powiedziałam do niej: — Dziewczyno, dokąd idziesz, przykrywszy swój kaganek ubraniami? Mój dom jest samotny i ciemny — daj mi światło! Na chwilę podniosła swoje ciemne oczy i przez zmierzch spojrzała mi w twarz. — Przyszłam nad rzekę — odpowiedziała — żeby puścić kaganek wraz z prądem, kiedy zajdzie dzieńne światło. Samotnie stałem pośród wysokich traw i patrzyłem na nieśmiały płomyk jej kaganka, bezowocnie unoszonego przez prąd. W ciszy nadchodzącej nocy powiedziałam do niej: — Dziewczyno, ognie się świecą, dokąd więc niesiesz swój kaganek? Mój dom jest samotny i ciemny — daj mi światło. Podniosła na mnie swoje ciemne oczy i przez chwilę była niezdeterminowana. — Przyszłam — powiedziała w końcu — żeby oświecić jego niebo. Stałem i patrzyłem na jej kaganek, bezowocnie płynący w pustce. W beksiężycowym mroku północy powiedziałam do niej: — Dziewczyno, co ci każe przyciskać kaganek do serca? Mój dom jest samotny i ciemny — daj mi światło. Zatrzymała się, pomyślała chwilę i spojrzała mi w twarz przez mrok. — Przyniosłam swój kaganek — powiedziała — na święto kaganków*. Stałem i patrzyłem na jej maleńki ogień, bezowocnie gubiący się pośród innych ogni.

* Święto lamp albo Diwali — hinduskie święto religijne na cześć bogini Lakshmi z towarzyszącymi mu uroczystymi ceremoniami i procesjami z zapalonymi lampkami oliwnymi i pochodniami. Według wierzeń, bogini Lakshmi nie odwiedza tego domu, w którym nie pali się lampka.

65

Jaki boski napój chciałbyś wypić, panie, z obfitego kielicha mojego życia? Poeto, czy odczu-wasz radość, widząc swoje stworzenie moimi oczami i u drzwi mojego słuchu, w milczeniu słuchając swojej wiecznej harmonii? Twój świat rodzi słowa w moim umyśle, twoja radość dodaje do nich muzykę. Oddajesz mi się w miłości i odczuwasz we mnie swoją własną sło-dycz.

66

Ta, która zawsze przebywała w głębinie mojej istoty w półświecie migotań i odbłasków, ta, która nigdy nie zdejmowała zaston o porannym świetle, ta będzie moim ostatnim darem dla ciebie, Boże, obleczonego w moją pożegnalną pieśń. Słowa kierowały się w jej stronę, lecz były bezsilne i nie mogły jej osiągnąć; wołania na próżno wyciągały do niej spragnione ręce. Wędrowałem z kraju do kraju, chroniąc ją w głębinie mego serca, a wokół niej rości i upadało moje życie. Nad moimi myślami i czynami, moimi snami i marzeniami królowała ona, lecz stała w oddali i samotnie. Wielu stukotało do moich drzwi i pytało o nią i odchodziło w tęsknocie. Nikt na świecie nie widział jej twarzą w twarz, i pozostała w samotności, oczekując, że to ty dowiesz się o niej.

67

Jesteś niebem, ale jesteś też gniazdem. O piękny, w gnieździe jest twoja miłość i otacza duszę kolorami, dźwiękami i aromatem. Oto nadchodzi ranek ze złotym koszem, niosąc w prawej ręce koronę piękna, aby w milczeniu uwieńczyć nią ziemię. A potem nadchodzi wieczór po nieznanym ścieżkach, po cichych łakach, gdzie już nie widać stad, niosąc od strony zachod-niego oceanu spokoju chłodną wilgoć świata w swoim złotym stoju. Ale tam, gdzie rozciąga się nieskończone niebo, gdzie dusza pragnie ulecieć, panuje nieskazitelny biały blask. Nie ma tam ani dnia, ani nocy, ani obrazu, ani koloru, ani jednego, naprawdę żadnego słowa.

68

Twój słoneczny promień złatuje do mnie na ziemię z otwartymi ramionami i przez cały dzień stoi u moich drzwi, żeby odnieść do twoich stóp obłoki, stworzone z moich łez, westchnień i pieśni. Z nierozumną radością odziewasz swoją gwiazdną pierś tym płaszcem mglistych obłoków, nadając mu niezliczone formy i kształty i ukwiecając go w wiecznie mieniające się koło-ry. Jest tak powiewny, tak subtelny, tak delikatny, tak pełen łez i smutny. Kochasz go właśnie za to, o nieodgadniony i czysty. I dlatego może ocieniami twoje święte białe światło swoim cieniem.

69

Ten sam strumień życia, który płynie dniem i nocą w moich żyłach, płynie we wszechświecie i tańczy wymuszony taniec. To jest to samo życie, które radośnie prze-bija się przez proch ziemi w niezliczonych żdźbłach traw i rozlewa się głośnymi falami kwiatów i liści. To jest to samo życie, które kołuje się w oceanie, kolebce narodzin i śmierci, w odpływach i przyptywach. Czuję, że moje członki promieniają w kontakcie z tym życiem. I jestem dumny z tego wieko-wego bicia życia, tańczącego w mojej krwi.

70

Czy nie możesz cieszyć się radością tego rytmu? Krążyć, gubić się, oddawać się wirowi tej przerażającej radości? Wszystko biegnie do przodu, bez zatrzymywania się, bez patrzenia w tył i nie ma siły, która mogłaby

zatrzymać ten pęd! Pod tę niekończącą się muzykę krąży w tańcu i uciekają pory roku — kolory, dźwięki i zapachy płyną nieskończonymi kaskadami w nadmiarze radości, która rozprasza się i umiera w każdej chwili.

71

Musiąłem rozdzielić swoje „ja” i rozrzuć je na wszystkie strony, kładąc kolorowe cienie na twój blask — taka jest twoja maja*. Ty sam rozdzielasz siebie i przyzywasz swoje oddalone „ja” miriadami dźwięków. I to oddalone jest we mnie. Gorzka pieśń jak echo rozległa się po całym niebie, różnokolorowymi łzami i uśmiechami, trwogami i nadziejami, fale podnoszą się i opuszczają, sny rozpraszają się i rodzą na nowo. We mnie jest porażenie ciebie samego. Ten mur, który wznosiłeś, pędził dnia i nocy pomalował niezliczonymi obrazami. A za nim — twój tron z tajemniczych krzywych, gdzie nie ma ani jednej prostej. Wielki triumf, twój i mój, po-rwał całe niebo. Dźwiękami twoimi i moimi powiewa powietrze, i stulecia mijają na tym, że to my odkrywamy się i ukrywamy.

* Maja — „coś, czego nie ma” — w wedyzmie iluzoryczna siła bóstwa, w buddyźmie utłuda zastępująca rzeczywistość. Najogólniej — manifestacja boskiej energii.

72

To on, najszybszy, budzi moje istnienie swoimi głębokimi, ukrytymi dotykami. To on oczarowuje oczy i radośnie gra na strunach mego serca, na przemian stódcz z goryczą. To on wplata w tkaninę maji ulotne odcienie srebra i złota, lazuru i zieleni, i w zwojach tych widocz-ne są jego stopy, a ja zapominam o sobie, gdy ich dotykam. Mijają dni i mijają stulecia, i zawsze, w licznych imionach, w licznych obrazach, w licznych porywach radości i goryczy, on sprawuje władzę nad moim sercem.

73

Nie w wyrzeczeniu jest moje wyzwolenie. W tysiącu kajdan czuję uścisk wolności. Zawsze wylewasz mi świeżą wilgotność twojego wina o różnych kolorach i zapachach, wypełniając to ziemskie naczynie po brzegi. Mój świat zapalił sto różnych lamp i położył je przed ołtarzem twojej świątyni. Nie, nigdy nie zamknę drzwi moich uczuć. Radość wzroku, słuchu i dotyku wyzwoli twoją radość. Tak, całe moje uwodzenie gorzej w płomieniach radości, i wszystkie moje pragnienia dojrzewają w owocach miłości.

74

Dzień zgast, cienie padły na ziemię. Czas iść do rzeki, aby napełnić dzbany. Wieczne powie-trze pełne jest smutnej muzyki wód. Ach, on wzywa mnie w mroku! Na zagubionej ścieżce nie widać przechodniów, wiatr wznosi się, fale pokrywają rzekę. Nie wiem, czy pójdę do domu. Nie wiem, kogo spotkam. Tam przy brodzie, w małej łódce, ktoś nieznajomy gra na lutni.

75

Twoje dary zaspokajają wszystkie nasze, śmiertelnych, potrzeby i wszystkie, bez uszczerbku, wracają do ciebie. Rzeka wykonuje swoją zwykłą pracę i biegnie przez pola i wioski; a cały jej nieustający prąd pragnie tylko, by umyć twe stopy. Kwiat osadza powietrze swoim zapachem, zaś jego ostatnią pragnieniem jest oddać się tobie w ofierze. Świat nie oszczędza, kłaniając się tobie. Ludzie różnie rozumieją znaczenie słów poety, ale ich ostatnim znaczeniem jesteś ty.

76

O, panie mojego istnienia, czy powinienem każdego dnia stać przed twoim obliczem? Złóżysz ręce, o, panie światów, czy powinienem stać przed twoim obliczem? Pod twoim wielkim niebem, w milczącej samotności, z pokornym sercem, czy powinienem stać przed twoim obliczem? W twoim utrudzonym świetle, skupionym na walce i pracy, pośród wzburzonego tłu-mu, czy powinienem stać przed twoim obliczem? I kiedy moja praca na tym świecie się skończy, o, królu królów, czy powinienem stać samotnie i pokornie przed twoim obliczem?

77

Znam cię jako mojego boga i stoję na boku — nie śmiem uważać cię za równego i zbliżyć się. Znam cię jako mojego ojca i pochylam się do stóp twoich — nie dotykam twojej ręki jak ręki przyjaciela. Nie stoję tam, dokąd ty schodzisz, nazywając siebie moimi, nie trzymam cię w sercu i nie uważam cię za towarzysza. — Jesteś bratem wśród moich braci, ale ja ich nie dostrzegam, nie dzielę się z nimi moim zarobkiem, dzielę się wszystkim z tobą. W radości i smutku nie idę do ludzi, idę do ciebie. Nie waham się oddać swego życia i nie zanurzam się w wielkich wodach życia.

78

Kiedy świat był młody i wszystkie gwiazdy świeciły w swej nieskazitelnej świetności, bogo-wie zebrał się na niebie i śpiewali: — O, piękno doskonałe! Radości przeczyszcza. Ale jeden z nich nagle krzyknął: — Wydaje mi się, że łańcuch światła został gdzieś przzerwany i jedna gwiazda zniknęła. Złota struna ich harfy pękła, ich pieśń zamarta i krzyknęli z zakłopotaniem: — Tak, utraciła gwiazda była najlepsza ze wszystkich, była chwałą nieba! Od tego dnia bogowie bezustannie jej szukają i jeden do drugiego krzyczy, że świat z jej powodu przestał się radować. Tylko w najgłębszym milczeniu nocy gwiazdy uśmiechają się i szepczą do siebie: — Próżna praca! Wszędzie panuje niezakłócona doskonałość!

79

Jeśli mi nie jest sądzone spotkać cię w tym życiu, pozwól mi odczuć, że utraciłem na wieki możliwość kontemplowania ciebie; nie pozwól mi o tym zapomnieć ani na chwilę, pozwól mi poczuć żądło smutku w moich snach i w godzinie czuwania. Moje dni mijają na zatłoczonym jarmarku tego świata, i dźwięki moje napętlają się dziennym zyskiem, ale pozwól mi zawsze odczuć, że nie kupiłem niczego; nie pozwól mi o tym zapomnieć ani na chwilę, pozwól mi poczuć żądło smutku w moich snach i w godzinie czuwania. Kiedy siedzę przy drodze zmęczony i dyszący, kiedy odpoczywam w pyle i kurzu, pozwól mi zawsze odczuć, że jeszcze długa droga przede mną; nie pozwól mi o tym zapomnieć ani na chwilę, pozwól mi poczuć żądło smutku w moich snach i w godzinie czuwania. Kiedy moje pokoje są ozdobione i słychać flet i śmiech, pozwól mi zawsze odczuć, że nie zaprosiłem cię do swojego domu; nie pozwól mi o tym zapomnieć ani na chwilę, pozwól mi poczuć żądło smutku w moich snach i w godzinie czuwania.

80

Jestem podobny do strzępu jesiennej chmury, bezużytecznie wędrującym po niebie, o moje wiecznie chwalebne słońce! Twój dotyk nie stopił mnie jeszcze, nie potęczył mnie mocno z twoim promieniem: i oto liczę miesiące i lata, które mnie oddzielają

od ciebie. Jeśli jest twoją wolą i jeśli jest twoją radością, weź moją płynącą pustkę, pozwól by rozkwitła kolorami, wygładź ją złotem, rozpuść ją na wietrze i rozprosz cudownościami. A kiedy będzie twoją wolą zakończyć tę zabawę przed nocą, rozpuść się i zniknąć w ciemności albo w uśmiechu białego poranka chłodną czystością.

81

W świąteczne dni smuciłem się z powodu straconego czasu. Ale on nie jest stracony, panie mój. Każda chwila mojego życia jest w twoich rękach. Ukryty w sercu istnienia, zmieniasz nasiona w pędy, pąki w kwiaty i kwiaty w owoce. Byłem zmęczony i zasnąłem na świątecznym postaniu i myślałem, że prace się skończyły. Rano obudziłem się i zobaczyłem, że mój ogród wypełnił się cudnymi kwiatami.

82

Czas jest nieskończony w twoich rękach, panie mój. Nie ma nikogo, kto mógłby zliczyć twoje minuty. Dni i noce mijają, stulecia rozkwitają i więdną jak kwiaty. Ty umiesz czekać. Twoje powieki patrzą na jednego i drugiego, udoskonalając mały, dziki kwiat. Nie wolno nam marnować czasu. Jesteśmy zbyt biedni, żeby się spóźnić. I oto nadchodzi czas, i oddaję go każdemu żebrakowi, i na otłarzu twoim nie składa się ofiar. Pod koniec dnia biegnę z lękiem, że bramy twoje są już zamknięte i widzę, że nie, jeszcze nie jest za późno.

83

Matko, ozdobię twoją pierś naszyjnikiem z łez mego smutku. Gwiazdy ukuły bransoletki z promieni, aby ozdobić nimi twoje nogi, ale mój naszyjnik będzie wisił na twojej piersi. Bo-gactwo i chwata pochodzą od ciebie, i w twojej mocy jest to, aby je dawać i odejmować. Ale mój smutek jest tylko mój i kiedy przynoszę go tobie jak ofiarę, nagradzasz mnie swoją miłością.

84

To męka rozłęczania rozprzestrzenia się na cały świat i rodzi niezliczone obrazy na nieskończonym niebie. To smutek rozłęczania całą noc patrzy w milczeniu od gwiazdy do gwiazdy i razem z szeleszczącymi liśćmi śpiewa w deszczowy zmierzch lipca. To wszechogarniający żal wrasta w miłość i pożądanie, w cierpienie i radość, i na zawsze topnieje i rozlewa się piosenkami w moim sercu poety.

85

Kiedy żołnierze po raz pierwszy wyszli z komnat swego pana, gdzie ukryli swoją siłę? Gdzie była ich zbroja, ich broń? Wydawali się opuszczeni i bezradni, i strządy spadły na nich jak grad w dniu, kiedy wyszli z komnat swego pana. Kiedy żołnierze powracali do komnat swego pana, gdzie ukryli swoją siłę? Odrzucili miecz i odrzucili łuk, i strzałę. Spokój był na ich czołach i odrzucili owoce swego życia za siebie w tym dniu, kiedy powracali do komnat swego pana.

86

Śmierć, twoja służebnica, jest u moich drzwi. Przepełniona przez nieznanne morze i przyniosła do mojego domu twoje zawołanie. Jest ciemna noc i moje serce się lęka, a jednak wezmę lampę, otworzę drzwi, pokłonię się przed nią i przywitam. Bo to jest twoja postanniczka u moich drzwi. Pokłonię się przed nią, z rękoma splecionymi i ze łzami. Pokłonię się przed nią, kładąc u jej stóp skarby mego serca. Odejdzie, gdy wykona zadanie, omroczy mój poranek. A w pustym domu pozostanie tylko

porzucone ciało, jako moja ostatnia ofiara dla ciebie.

87

Z gasnącą nadzieją chodzę i szukam jej we wszystkich zakątkach domu; nigdzie jej nie ma. Mój dom jest nieduży, a to, co kiedyś z niego odeszło, nigdy nie powróci. Ale twoje mieszkanie jest nieskończenie wielkie, panie mój, i szukając go, przyszedłem do twoich drzwi. Stoję pod złotym baldachimem twojego wieczornego nieba i wnoszę do ciebie moje namiętne spojrzenie. Dotarłem do kresu wieczności, gdzie nic nie znika: ani nadzieja, ani szczęście, ani wyraz oblicza, widzianego przez tży. O, zanurz moje zrujnowane życie w tonie tego oceanu. Po-zwól mi poczuć utraconą słodycz spotkania ze wszechświatem.

88

O, bóstwo zniszczonej świątyni! Porwane struny już nie śpiewają twojej chwały. Wieczne dzwony nie ogłaszają, że czas służyć tobie. Powietrze wokół ciebie jest ciche i milczące. W twojej opustoszałej siedzibie wieje wiosenny, pachnący wiatr. Niesie wiadomość o kwiatkach, których już nikt ci nie przynosi. Twój cudowny sługa wędruje do dzisiaj, biadoląc o taskach, których mu odmawiano. O wieczornej godzinie, kiedy światła i cienie mieszają się z ciemnością kurzu, powrócił zmęczony do zniszczonej świątyni z pragnieniem w sercu. Przez wiele świątecznych dni przechodzi do ciebie w milczeniu, bóstwo zniszczonej świątyni. Przez wiele nocy modlitwy odbywają się bez zapalonych lamp. Wiele nowych obrazów zostało stworzonych przez wytrwałych mistrzów i wrzuconych do świętego strumienia zapomnienia na długi czas. Tylko bóstwo zniszczonej świątyni nie ma służby w wiecznym zaniedbaniu.

89

Nie było słychać głośniejszej, hataśliwszej mowy niż moja, taka jest wola mego mistrza. Od-tąd mówię szeptem. Mowa mego serca brzmi cichą pieśnią. Ludzie pędzą na targowisko. Już tam są wszyscy, kupcy i sprzedawcy. Lecz ja zyskałem niezwykły wypoczynek w środku dnia, w samym nawale pracy. Niech rozkwitną kwiaty w moim ogrodzie, chociaż nie nadeszła ich godzina i niech pszczoły w południe zaczną swoje leniwe bzyczenie. Spędziłem wiele godzin na walce dobra ze złem, ale teraz towarzyszowi moich świątecznych dni chcą uchylić mego serca i nie wiem, dlaczego to zaproszenie do celi jest bez znaczenia.

90

W dniu, w którym śmierć zapuka do twoich drzwi, co jej dasz? O, postawię przed moim gościem pełen kielich mego życia. Nie, nie pozwolę jej odejść z pustymi rękami. Wszystkie słodkie żniwa moich jesiennych dni i letnich nocy postawię przed nią u końca moich dni, kiedy zapuka do moich drzwi.

91

O, ostatnia świadomości życia, śmierci, moja śmierci, przyjdź i szepnij do mnie! Dzień po dniu czekałem na ciebie, dla ciebie znośiłem radości i męki życia. Wszystko, co mam, czego pragnę, całą moją miłość wiecznie i potajemnie płynęły do ciebie. Kwiaty są uplecione, wieniec jest gotowy dla pana młodego. Po ślubie panna młoda opuści swój dom i samotnie spotka się ze swoim panem w ciszy nocy.

92

Wiem, że nadejdzie dzień, kiedy już nie zobaczę tej ziemi i życie opuści mnie w milczeniu, zarzucając ostatnią zasłonę na moje

oczy. Gwiazdy obudzą się w nocy i wstanie świt, jak dawniej, a godziny będą płynąć niczym morskie fale, wzbudzając smutek i radość. Kiedy my-śle o końcu moich chwil, zatałamuje się bariera czasu i przy świetle śmierci widzę twój świat z jego skarbami. Piękny jest w nim codzienny los, piękne pogardzane życie! To, o czym na próżno marzyłem i co osiągnąłem, niech idzie precz. Daj mi tylko to, co odrzuciłem i czym pogardziłem.

93

Teraz was opuszczam. Życzcie mi szczęśliwej drogi, bracia! Kłaniam się wam wszystkim i oddalam. Oddaję klucze do moich drzwi i wyrzekam się wszelkiego prawa do mojego domu. Was proszę tylko o kilka miłych słów. Długo byliśmy sąsiadami, ale dostałem więcej niż mo-głem dać. Nadchodzi świt i lampa, która oświetla mój ciemny kąt, cichnie. Słyszę wołanie i odchodzę swoją drogą.

94

W godzinie mojego odejścia życzcie mi szczęścia, przyjaciele! Niebo płonie o świecie i piękna jest moja droga! Nie pytajcie, co zabieram z sobą. Wyruszę w drogę z pustymi rękami i ser-cem wypełnionym nadzieją. Nałożę wieniec weselny. Nie dla mnie płaszcz wędrowca, a choć po drodze pojawią się niebezpieczeństwa, nie odczuwam strachu. Gdy moja droga się skoń-czy, wszędzie gwiazda wieczorna, a nuty żałobne nocnych melodii zadźwięczą u bram Króla.

95

Nie pamiętam momentu, kiedy po raz pierwszy przekroczyłem próg tego życia. Jaka moc sprawiła, że otwarłem się na tę wielką tajemnicę, jak leśny pąk o północy. Kiedy rankiem uj-rzałem światło, od razu poczułem, że nie jestem obcy na tym świecie, że nieznane, nie mające ani imienia, ani wizerunku, wzięło mnie w objęcia w obrazie mojej matki. Podobnie w godzi-nie śmierci nieznane pojawi się niczym dawny sługa. A ponieważ kocham życie, wiem, że pokocham śmierć. Dziecko płacze, gdy matka odrywa je od prawej piersi, ale po chwili pociesza się, otrzymawszy lewą.

96

W godzinie mojej rozłąki z ziemią, niech to będzie moim pożegnalnym słowem: to, co widzia-tem, jest nieporównywalne. Próbowatek ukrytej słodyczy lotosu, który rozkwita w tym świe-tlistym oceanie, i jest mi błogo — niech będzie to moim pożegnalnym słowem. W tej nieskoń-czonej zmianie form uczestniczyłem i ja, i tutaj zobaczyłem oblicze tego, który nie zna formy. Całe moje ciało i wszystkie moje członki drżały pod dotykiem nienamacalnego; i jeśli ma się to skończyć, niech tak będzie — niech będzie to moim pożegnalnym słowem.

97

W grze z tobą, nigdy nie zapytałem, kim jesteś? Nie znałem ani radości, ani strachu, moje ży-cie płynęło gwałtownie. Wczesnym rankiem budziłeś mnie jak współtowarzysza i prowadziłeś od radości do radości. Dawniej nigdy nie myślałem o znaczeniu pieśni, jakie dla mnie śpiewa-łeś. Mój głos naśladował tylko melodie, a moje serce im odpowiadało. Teraz, kiedy minął czas gier, jakie widowisko jest przede mną? Świat, skłoniwszy spojrzenie do twoich stóp, w bo-jaźni stoi przed tobą ze wszystkimi swoimi milczącymi ciałami niebios.

98

Ozdobię cię trofeami, wieńcami swojej porażki. Nie mogę ukryć się przed nieuniknio-

nym. Wiem dobrze, że moja duma zostanie złamana, życie zerwie kajdany w ogromnej męce, a moje spustoszone serce zaszlocha pieśnią jak pusta trzcina, i kamień rozplynie się w łzach. Wiem dobrze, że setki płatków lotosu nigdy nie zostaną zamknięte, i kryjów-ka jego miodu się otwo-ry. Z błękitnego nieba na mnie skieruje się spojrzenie i wezwie mnie w milczeniu. Nic mi nie pozostanie, nic — i przyjmę śmierć u twoich stóp.

99

Kiedy odejdę od steru, przejmiesz go po mnie. To nieuniknione, ten czas nadszedł. Próżna walka. Dlatego, serce moje, w milczeniu pogódź się z porażką. I po cichu uznaj swoje szczę-ście, spokojnie stojąc tam, gdzie ci wyznaczono miejsce. Moje lampy gasną przy każdym po-dmuchu wiatru i próbując je zapalić, zapominam o wszystkim innym. Ale tym razem będę mą-dry i będę czekał w ciemności, rozkładając na podłodze swoją matę. A kiedy ci się spodoba, panie, przybądź w milczeniu i usiądź obok.

100

Zanurzam się w otchłań oceanu form w nadziei na znalezienie doskonałego bezforemnego klejnotu. Muszę płynąć od przystani do przystani w mojej łodzi zniszczonej od wiatru. Dawno minęły czasy, kiedy z radością ścigałem się po falach. A teraz pragnę śmierci w nieśmiertel-nym. W bujnych pałacach niezmierzonej otchła-ni, gdzie rodzi się muzyka bezgłośnych strun, wezmę harfę mojego życia. Nastroję ją na wieki i kiedy wydam ostatni łkający dźwięk, położę ją, bez słowa, u stóp milczącego.

101

Przez całe moje życie moje pieśni szukały ciebie. To one prowadziły mnie od drzwi

do drzwi i dzięki nim rozumiałem świat. To one nauczyły mnie wszystkiego, pokazały mi tajne drogi, otworzyły moje oczy na wiele gwiazd na niebie mego serca. Całymi dniami prowadziły mnie przez tajemnicze krainy rozkoszy i udręki. Do jakich bram mnie przywiodły o zachodzie słoń-ca, pod koniec mojej wędrówki?

102

Pochwaliłem się ludziom, że znam ciebie. Oni widzą twój obraz we wszystkich moich pracach. Przychodzą i pytają: — Kim on jest? Nie wiem, co mam im odpowiedzieć. Mówię: — Na-prawdę, nie mogę powiedzieć. Błuznią i odchodzą z pogardą. A ty siedzisz i się uśmiechasz. Wkładam do moich pieśni moją opowieść o tobie. Tajemnica przepętia me serce. Przychodzą i pytają: — Powiedz, jaki jest ich sens? Nie wiem, co mam im odpowiedzieć. Mówię: — Kto wie, co one znaczą! Z drwin i złością idą precz. A ty siedzisz i się uśmiechasz.

103

W jednym pozdrowieniu ciebie, panie mój, niechaj odkryją się wszystkie moje uczucia i do-łtąk tego świata u stóp twoich. Jak deszczowa lipcowa chmura, nisko wisząca nad ziemią pod ciężarem niewylanej wilgoci, niech pokłoni się moja dusza u drzwi twoich, w milczeniu po-zdrawiając ciebie. Niech moje pieśni, zławszy się w jedną, staną się strumieniem i popłyną do morza ciszy w jednym pozdrowieniu ciebie. Jak stado tęskniących za ojczyzną żurawi, które dzień i noc latają do swoich górskich gniazd, niech całe moje życie spieszy do wiecznej sie-dziby w jednym pozdrowieniu ciebie.

RABINDRANATH TAGORE
SPOLSZCZYŁ MARIAN KISIEL



Karola Zielińska

Marta Zelwan

W dniu malowania obrazów na myślach. W dniu, kiedy idzie się wśród zdumiewających rzeczy, które są w ścianach, w plamach, w kałużach wielkości złotówki, wpada się do nich, a tam, w pałacu, poeta pisze na różowych kartkach z kołotonatnika coś, co ma być w swoim czasie utworem literackim, na razie są to pojedyncze słowa, dźwięki spisane według brzmienia, w nich zakodowane sprawy ogromne jak ocean.

Mieszkańcy oceanu śpią jeszcze w pokojach na dnie przedranka, w filmie, który ktoś niesie w rulonie pod pachą; ona go mija, lekko odwracając twarz.

Przechodzi na drugą stronę ulicy, wchodzi we wpółotwarte drzwi budynku z epoki dawnej, gdzie za szklaną ścianą siedzi uboga kobieta w czerni i modeluje kapelusze.

Nawet jeśli to sen, można go widzieć, to normalne.

Widzę sny jak filmy, a filmy jak sny.

Bóg istnieje i podejmuje się niestworzonych rzeczy.

Film zaczyna się przesuwać.

Jackson Pollock z żoną zamieszkują na wsi w starym domu.

<https://www.cda.pl/video/1680481da>

To dom bez gorącej wody, bez węgla, bez łazienki, jest druga wojna światowa, jest jasne niebo z obłokami, sadzą fasolę, wszystkie ściany już zamalowane, obrazy opierają się jeden o drugi, zajmują przybudówkę, wreszcie leżą na podłogach, na trawnikach, idzie się tędy, wyprzedzając drogi.

Właściwe drogi nie zostały jeszcze wyznaczone w trawach, między gałęziami strąconymi przez wiatr.

Wszędzie obrazy. Skąd wiadomo, którędy iść?

Skąd wiesz, że obraz jest skończony?

Skąd wiesz, że skończyłaś się kochać?

Musi być mały i duży ruch w chlapaniu farbą, trzeba iść za ruchem, szybko iść w głąb siebie, właściwie zawsze dzieje się to w głębi, Pollock rozumiał dostrojenie do rytmu świata, nie istnieje nic, co byłoby poza tym rytmem, wymalował linie ziemi, kosmos, używał farby, głosu, chodzenia wzdłuż linii snu.

Pisanie najgorsze jako środek wyrazu, bo ma zakodowany sens lokalny, ograniczony, nieznany w kosmosie.

Ma skapnąć farba, dźwięk, ma spaść gwiazda, ma się to zdarzyć samo, ma to być odpowiedź.

Oldze Tokarczuk przyznano właśnie nagrodę Nobla, dawno temu szepotałyśmy pół dnia w zimnie, w pokoiku, gdzie piec dopiero się nagrzewał, dziś moje szepcienie do Olgi nie dotrze, żyjemy gdzie indziej, w innej strefie, w zmienionej obecności.

Ale „Śnienie”, o którym mówiliśmy szepem, śni siebie dalej, w tym roku ukazało się eksperymentalnie w Nowym Jorku.

W amerykańskim czasopiśmie jest stamtąd fragment o rodzaju ludzkim, podtrzymując, co tam napisałam.

<https://www.asymptotejournal.com/special-feature/marta-zelwan-the-human-species/>

Rodzaj ludzki zrywa się czasem z kosmarnych snów szybkim ruchem, który wyprzedza wydarzenia.

Jestem prowadzona tym ruchem, gdy zrywam się rano i biegam po parku w dziurawym swetrze, a potem siadam i odpowiadam na krótki list: *przyslij mi esemes, bo za jakiś czas mogę mieć wątpliwości.*

NIEMIEJSCE (fragment)

We śnie spotykam niespodziewanie F., o którym pisałam w „Śnieniu”, był przy tym pisaniu, tłumaczył mi wtedy efekt Dopplera na przykładzie zagęszczania się fali głosowej, mówił, że rzeczywistość jest tylko przeświadczeniem, wieształ na ścianie swoje obrazy.

Teraz czarne, ruchome schody jadą w górę i w dół.

Czarna taśma przesuwa produkty w sklepie, rozmawiamy stojąc nad tą taśmą.

W jawie F. nie żyje od dziesięciu lat i po raz pierwszy od tamtej pory gdzieś mnie zaprasza, chce mnie zabrać na przedstawienie teatralne.

Przez tyle lat szukałam go w światach śnionych, biegłam za nim, wołałam, zniknął, zabraniał mi ze sobą iść.

Teraz stoi i zaprasza.

Muszę się zastanowić, pamiętam, że w „Śnieniu” czas rozwijał się na cześć jakiegoś ogromnego ducha, gdyby zechciał zstąpić.

A gdy to się staje, gdy duch już jest, zaczyna się historia przyszłości.

To, co było, nie znika, jest we wszystkich swoich skutkach.

Trzeba odsonić kurtynę wszechświata jak to robi wędrowiec na ilustracji nieznanego autora zamieszczonej w księdze Flammariona *L'Atmosphere: Météorologie Populaire*, odsonić, wyrzeć, widzieć światy.

Najpierw przetwać atak paniki.

Wiem, co trzeba zrobić, próbuję wchłonąć w siebie cały lęk, który sunie prosto na mnie szybki jak chmura z błyskawicami, z piorunami. Muszę stać się tą chmurą choć na chwilę, a lęk zniknie.

Urchamiam w sobie utajone siły bycia chmurą.

O panice mogłabym napisać powieść heroiczną.

Jest blog, z którego zapamiętałam jedno zdanie: Kiedy już spotka nas atak paniki, przede wszystkim warto pamiętać, że to nie będzie trwało wiecznie.

https://notatkiterapeutyczne.pl/atak-paniki-instrukcja-obslugi_6d632688901b

Ale w panice nie ma poczucia wieczności.

Ostatnią swoją walkę obliczam na jakieś pięć godzin.

Pozostałe rady na przetrwanie paniki uważam w tym blogu za dobre dla początkujących, w dalszym trwaniu trzeba czegoś więcej.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat panikuję z różną częstotliwością. Były lata panikowania codziennie, co drugi dzień, co tydzień. Ostatnio panikowałam jakiś miesiąc temu. Spotkałam szczęśliwych szamanów, którzy nie wiedzą, co to lęk. Spędzam z nimi każdą sobotę. *Sobotni ludzie.* Dziś nie pojechałam.

Myślę, że trzeba by pisać pamiętnik przetrwania.

Lęk to zjawisko realne, trzeba pisać pamiętnik przetrwania w jawie, w rzeczywistości.

Gdyby zjawiał się jakiś święty albo bodhisattwa, który by umiał wchłonąć w siebie cały lęk świata, lęk wielkiego drzewa z obcietymi już przy pniu konarami, przypadkowego przechodnia, zwierzęcia wiezionego na rzeź, gdyby wchłonął ten lęk jak oddech i wewnątrz siebie przemienił tak, jak w zaświatach przemieniane są dusze, nie byłoby nic, czego trzeba by się obawiać.

Czekam na mail z załączonym chropowatym obrazem tego dnia, fotografią chropowatą, zrobioną telefonem, który spadł na szyny.

Przelatują pod niebem czarne gawrony, po ziemi chodzą gołębie postrzone w nowe szaty o nieznanym barwach.

Trwają wybory parlamentarne.

Pelnia Księżycą będzie za chwilę, dokładnie o 23:10:50, śnienie świata.

Fotografuję sufit o ósmej rano.

W „Leworęcznej kobiecie” Petera Handke’ po raz nie wiem który czytam wypracowanie dziecka pt. „Jak wyobrażam sobie piękniejsze życie”, czytam jak dziecko, które dawno temu je napisało lub mogło napisać.

Chciałbym, żeby nie było ani zimno, ani gorąco. Żeby wiał ciepły wiatr, a czasem zrywała się wichura, w której trzeba aż przykucnąć. Znikłoby samochody i każdy by mógł wsiąść, kiedy by się zmęczył. Ale już nikt by się nie męczył. Samochody nie należałyby do nikogo. Żeby wieczorem nie szło się spać. Zasyptałoby się tam, gdzie się akurat jest. Żeby nigdy nie padał deszcz. Ze wszystkich przyjaciół w każdej chwili miałoby się przy sobie czterech, a ludzi, których się nie zna, zniknęliby. Zniknęłoby wszystko, czego się nie zna.

Jadę w nieznanym autobusem 154, nieznane jest.

Łśni zielona trawa, a w niej zielone potłuczone butelkowe szkło, błyszczą ciemne okulary funkcjonariuszy straży miejskiej, którzy podjeżdżają jeden przystanek, jaskraworóżowe są włosy kobiety prowadzącej psa, wszystko to zabarwione światłem słońca.

Ciągle lato, w październiku lato, dziś znów krązenie lata wokół słońca, odczuwanie kolorów, drzewa przybrane w drogie materiały ze złota i szlachetnego rubeda, przejawy życia na Ziemi.

Nie ma nic ważniejszego niż przejawy życia.

O przejawach życia czytam w „Praobrazach”.

Pewien człowiek posiada tam niezwykle lunetę, wystarczy przez nią popatrzeć, a zobaczony widok materializuje się w innej rzeczywistości niczym kopia zapasowa.

Można w ten sposób nastawiać rzeczywistości ile się chce. Wszyscy potrzebują nowych rzeczywistości, właściciel lunety ma mnóstwo zamówień, wkrótce staje się bogaty i może zapewnić dobrobyt swojej rodzinie, chociaż jej nie lubi. Stwarza rzeczywistości na zamówienie innych, ale według własnego widzimisię. Doradca ostrzega go, że jeśli odbierze swojej żonie jej dredy i stworzy rzeczywistość, która zmusi ją do uczesania się w kok albo chodzenia w długiej sukni, to ją zniszczy.

Nawiasem mówiąc, noblistka Olga Tokarczuk nosi dredy.

Dreadlocki, w różnych odmianach, występują w wielu czasach, może nawet są to węzły energetyczne, pnąca, splątania, szorstkowatość tapirów, które gryzą.

Myślę o tym wszystkim równocześnie, o przejawach życia.

Po południu idę na wiatr.

Zrywa się wiatr silny, spychający ludzi z krzewników.

Fernando Pessoa pisał, że warto urodzić się dla słyszenia wiatru.

Słyszę wiatr, widzę wiatr, czuję wiatr, wiatr nigdy nie jest obojętny.

Postanawiam pisać coś w rodzaju pamiętnika przetrwania, kronikę wiatru, historię przyszłości, dziennik taki, jaki Sandor Marai pisał od tego miejsca w czasie, gdy umarła L. i pojawiła się hot-line. Pisać opowieść fantastyczną o miejscu na rzeczywistość i pozwolić sobie na to, żeby poprowadzono mnie ku temu miejscu.

Powiedział sen, żebyśmy szła po wodzie, aż zobaczą wyspę.

Morza nie widziałam od niepamiętnych lat, nie miałam dostępu do morza, nie miałam dostępu do gór, nie miałam dostępu do ludzi.

Miałam dostęp do snów, które rozumiały mnie i moje życie.

Sny opisuję w notatkach zaraz po przebudzeniu, potem przepisuję do pliku w komputerze, skąd wychodzą czasem na zewnątrz, materializując się.

Sandor Marai w ostatnich trzech latach swego życia co noc budził się między trzecią a czwartą i widział, jak pojawia się hot-line, powtarzało się to, czytał w wyobrażeniu jawnym *światne zielone literki biegnące jakby po monitorze komputera*.

O wszystkim, o wszystkim, codziennie, szybko. Raz oznajmiło: mówię z wody. Wiadomo, że to idzie z wody, życie jest jedną kroplą.

Czasem mówi wiatr, dziś przycichł, pogoda szara, świat jest gdzieś indziej, klon stracił prawie wszystkie liście, chociaż inne drzewa mają ich jeszcze dużo, mnóstwo liści żółtych, czerwonych, zielonych jest jeszcze na świecie, dawno temu były tu dwa klony, pierwszy zapadł na tę samą rdzawą chorobę co ten, tracił liście, został ścięty.

Niedługo potem umarł F.

Mówił przedtem, że chciałby zniknąć z jednej z ciepłych wysp Pacyfiku.

Wyjechać zawczasu.

Nie do Szambali, nie do Bietowodija, tylko na bezludną wyspę w prawdziwej rzeczywistości. Mówił, że jeszcze jest czas.

Świt nastał gwałtownie i szybko³ powiedział Pascal Quignard, niebo pokryły czerwone pasma, w domu poczerwieniały ściany, zrobiłam kilka zdjęć nieba i kątów, z których powyżaził mrok.

Książki na regale dawno temu zbitym z deszczułek i pociągniętym bejcą ukazały swoje pożółtkie okładki, w rdzawym świetle poranka zobaczyłam, że wiele jest czytanych, ponaddzieranych, rozsypujących się jak stare samochody na parkingu, była szósta z minutami.

Spisałam z tego widoku sen, który chwilę wcześniej widziałam w półciemności.

Wracam do gry, powiedziałam tam nie wiadomo komu z absolutnym brakiem wiary, wiem, że ciągle toczy się gra, ciemne światło zapowiada może jakieś zmiany, nowe, ukryte rozdania i plany, ale może to się nie stanie raptownie, przynajmniej nie dziś.

Zabieram z regału „Błędne cienie”, widział-ność, spowita jeszcze w ciemność, to sen, więc błędne cienie idą za mną.

Potrzebny mi cień złudzenia.

Mrużę oczy, przechylam głowę, patrzę przez szybę i wyznaczam sobie punkty orientacyjne, aby się nie zgubić.

Nie będzie nikogo podobnego do ciebie wśród ludzi, po co ci cień, tak nie skończą się paniki, czytam w krótkim liście, dostaję krótkie listy od Strumyka, Grzegorz Strumyk pisze książkę, a czasem wysyła do mnie list.

W autobusie siada koło mnie człowiek o siwych włosach, patrzę mu w twarz, gdy mówi, że zachoruję na starość, nie rozumiem, dlaczego mi to mówi, pytam, dlaczego mi to mówi, czy na pewno do mnie mówi, małe dzieci w szkołach już to wiedzą, odpowiada, wszyscy wiedzą o chorobach, nie chcę wiedzieć o chorobach, mówię przestraszona, a wtedy on wymienia jednym tchem straszności, które dzieją się na starość z ludźmi, on wie, wszyscy wiedzą, ja też powinienam wiedzieć, mówię coraz szybciej, straszności są coraz bardziej okrutne i zaczyna go słyszeć potowa autobusu, przeciskam się, przepraszam, nie chcę tego słuchać, proszę bardzo, mówi coraz głośniejsze,

mówi o chorobach, grozi mi chorobami, on mi grozi chorobami, ze strachu przestaję rozumieć słowa, mówienie już nie idzie przez słowa, drży w powietrzu, przeciskam się do przodu autobusu w strachu bliskim paniki, że rzuca właśnie kłótwę i jeśli tylko pozwolę jej w siebie wniknąć, stanie się to, co mówi, wysiadam na najbliższym przystanku, stoję i czekam na odjazd autobusu, a potem idę powoli przez park.

Tym razem bezludna wyspa jest na Placu Defilad.

Przed światem wszystko zimnobłękitne, w bocznych uliczkach stoją stare ciężarówki dawno temu pomalowane jasnoniebieską farbą, każda ze złotym paskiem pierwszego słońca, które się wkłada.

Na ulicy Dzielnej, tam, gdzie uczyłam się kiedyś pracy ze śniącym ciałem, leży martwy niedźwiedź.

Czarny niedźwiedź, mój bliski znajomy, martwy.

Może tylko śpiący, śniący czy zaśniony.

Może jestem we śnie śnionego przez siebie niedźwiedzia, który ożyje, kiedy się obudzi.

W filmie o kosmosie też ktoś jest, czyta wiersz, chciałby znaleźć się pomiędzy dwiema gwiazdami, nie chce pomocy doktora.

Po roku łączność z tą sondą kosmiczną zostaje utracona.

Następne zbliżenie się sondy do Ziemi nastąpi za trzy tysiące lat, trwa stan zupełnego braku kontaktu, Peter Handke napisał prawdę w „Krótkim liście na długie pożegnanie”: kiedy oboje z Judith stracili ze sobą kontakt, przestali rozmawiać, dopiero poczuł się szczerzy i otwarty.

Czekam więc, czy przyjdzie krótki list na długie pożegnanie.

Taki list musi przyjść.

Przed południem kwitną jeszcze w słońcu dwie czerwone pelargonie.

Jest początek i koniec, wejście i wyjście.

Nie przeczytałam tego dnia nic w internecie.

Ślubarwe lato było w drzewach.

Słońce miało dotyk najcieńszej pajęczyny.

Na ulicach nie widziałam ani jednej karetki policyjnej ani ambulansu ratunkowego z napisem *snalubma*.

W pięknej białej filiżance piłam zieloną herbatę.

Obok altany śmietnikowej leżała wyrzucona druga część trylogii książkowej Jerzego Żuławskiego „Zwycięzca”, wydanie z 1987 roku, książka nienaruszona, w okładce według pierwszego wydania z 1910 roku, autorstwa Jana Bukowskiego; zabrałam.

Wszystkie słowa, jakie usłyszałam, były dobre.

Zastałam krótki list od Strumyka z prośbą: dla mnie to zrób, największe co możesz, ufaj sobie.

Mgła, smog, nie wiadomo, czy widać budynki, czy to sylwety okrętów.

Sen wiedział dziś tylko tyle, ile sama wcześniej się domyślałam i nie bardzo chciałam w to wierzyć, uciekałam stamtąd, gubiąc czarną torebkę z wszystkim.

Poznałam Monikę cztery lata temu.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ją opiszę, Monika teraz z trudem wystukuje esemesy: *długa kolejka do hospicjum*.

Każde życie dodaje do życia na Ziemi coś, czego jeszcze w nim nie było.

Monika dodawała fotografie, jakich przedtem świat nie widział.

Zobaczyła i pokazała świat nieustalony, rozciągliwy, drżący, topniejący, w ostatniej chwili uratowany do istnienia, świat jako strefę gęstą od życia w szczelinach, cieniach, w dziwnej,

sennej geometrii, pokazała podrzeczywistość, która ciągle niedostrzegana, tworzy się na naszych oczach, nigdy w tym nie ustaje, aż nagle, bez żadnego uprzedzenia, coś ją zatrzymuje w ruchu.

Wszystko, co wolno mi o tym wiedzieć, bez żadnych brakujących elementów było w pięknym, grudniowym śnie wróżebnym, było w tym śnie o Monice i o cudach.

Myliliłam się, sprawdzam, magnesy występują w „Stu latach samotności” dopiero w połowie pierwszej strony, w pierwszym zdaniu jest pluton egzekucyjny.

Z tego pierwszego egzekucyjnego zdania cała ta książka została wywołana.

Zdanie to brzmi: *Wiele lat później, stojąc naprzeciw plutonu egzekucyjnego, pułkownik Aureliano Buendia miał przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy ojciec zabrał go ze sobą do obozu Cyganów, żeby mu pokazać łód.*

Takie cuda przypominają się przed egzekucją.

Borges pisał w opowiadaniu „Tajemny cud”, że Jaromir Hladik dokończył swój dramat pisany heksametrem, gdy stał pod murem i czekał na salwę plutonu egzekucyjnego żołnierzy Trzeciej Rzeszy.

Wszczęświat fizyczny zatrzymał się.

O możliwości tego rodzaju zatrzymania świata wiadomo od meksykańskich czarowników, o których pisałam w „Śnieniu”, teraz odwiedzam miejscowych sobotnich ludzi, którzy to potwierdzają.

Pisanie o tym jest jak czekanie na powolne uchylenie zastony, ciągle długie.

Rozmowy o tym zawsze w najwyższym skrócie.

O zastonach, o stu latach samotności, o czarnym metalu, o tym, że coś schowane jest pod świątynią hydrauliczną, możliwe, że to najlepsze miejsce na rzeczywistość, jakie może być.

Trzeba pisać pamiętnik przetrwania, kronikę wiatru, historię przyszłości, dziennik taki, jaki Sandor Marai pisał od tego miejsca w czasie, gdy umarła L. i pojawiła się hot-line. Pisać opowieść fantastyczną o miejscu na rzeczywistość i pozwolić sobie na to, żeby poprowadzono mnie ku temu miejscu.

Rozmawiamy z Basią o jej pisaniu, jedząc barszcz ukraiński.

Mówimy krótko, rzeczowo, Basia pisze ręcznie, niedawno zaczęła pisać w zeszytach książkę o swoim życiu. Nie zamierza zatrudniać wydawcy dla tej książki. To książka tylko do napisania. Wychylają się i proszą o zapisanie obrazy, wydarzenia sekretne, bardzo ważne albo mało ważne. Niektóre opisy trudne. Co przychodzi do pamięci, pisze krótkimi zdaniem. Czuje spokój, że to wszystko gdzieś było i jest. Zaczęła pisanie po baśniarsku: *Mój dziadek i moja babcia mieszkali po dwu stronach wielkiego lasu*.

Co do mnie, nie piszę już patykiem wielkimi literami na szarym podwózkowym piachu, podając swój adres na kontynencie europejskim innym światom, dawniej wierzyłam, że ktoś stamtąd, z Góry, przez wielką lunetę wypatrzy mikroskopijną sylwetkę w białej sukienneczce.

Piszę najczęściej na myślach, na widokach, na małych skrawkach, trochę na ekranie.

Pod wieczór widzę jaskrawy zachód słońca, świat, aż po wschodnie niebo zalany czerwieniami.

Przyjdą deszcze i śniegi, i wymyją to. Zmienią się sny świata. Długie lato się skończy.

9 - 27 PAŹDZIERNIKA 1919

MARTA ZELWAN

1 Peter Handke, *Godzina prawdziwych odczuć*.

Leworęczna kobieta, tłum. Sławomir Blaut

2 Krystyna Sakowicz, *Prababry*

3 Pascal Quignard, *Błędne cienie*, tłum. Tadeusz

Komendant

Zbigniew Kresowaty



Wrocławski artysta Krzysztof Żelechowski, o którym się jeszcze niedawno dużo mówiło w kraju, odszedł w ubiegłym roku. Piszę o nim i wspominam, bo to niewątpliwie artysta oryginalny i niezwykły; malarz, fotografik i parapsycholog, może nawet Mag(?) – na pewno przyjaciel innych wymiarów sztuki.

Poznałem go przed laty, jako świetnego człowieka i żywego, pracowitego artystę. Jego prace były obecne w Galeriach (nie wiem czy pisanie „Galerie” wielką literą, mimo że to nie nazwa własna jest zamierzone, ale w każdym razie konsekwentne – może to jakaś maniera tego autora) wrocławskich od samego początku. Pokazywałem katalogi z obrazami w Krakowie i w Warszawie, chcąc żeby wystawił obrazy na stołecznym Starym Mieście. Wtedy, w 2000 roku spotykaliśmy się niezmiennie z przychylnością szefów miejsc wystawienniczych, np. pani Arent z Galerii „Na Zapiecku”

- Będzie nam go brakowało, tego niezwykle przyjaznego człowieka. - wspominała szefowa Galerii. - Przychodził na inne wystawy, na wernisaże, etc. Dużo milczał...

Wystawiał dużo poza granicami kraju. Na przykład podczas „Biennial of Visual Experimental Alternative” Poetry, (Meksyk, 1985, 1987, 1989), „International Exhibition of Visual Poetry”, (Sao Paulo, Brazylia, 1987), „Internationale Mail-Art Ausstellung”, (Norym-

berga, Niemcy, 1988), „Unita We Stand Mail Art Expo”, (Eeklo, Belgia, 1989), „Soviet and Eastern European Mail Art Show”, (Seattle, USA, 1990), „Post Office in the Forrest, Expo '90”, (Osaka, Japonia, 1990). Wiele jego prac zakupiono do prestiżowych muzeów, galerii i kolekcji prywatnych w kraju i za granicą. Między innymi do The Nomad Museum, (Lizbona, Portugalia), Galerii Vision, (Skomakarg (Szwecja)), The Museum of Instant Images, (Chaaam) (Holandia).

Jest bardziej znany zagranicą niż w kraju. Prace jego mają swój rodowód, ciąg i pewną medytacyjną chronologię. Te obrazy to czas wędrowania naszej duszy wydobyty na powierzchnię świata. A może to sumienie myśli? Lub biblioteka wyobraźni cierpliwej? Stojąca na powierzchni natury ruchomego świata...?

Cóż, nie ma już artysty bardzo wyjątkowego Krzysztofa Żelechowskiego - pozostały fotografie prace plastyczne, płótna w Muzeach i zbiorach prywatnych, a także w zaprzyjaźnionych ongiś Galeriach. Pozostał też niedosyt i niepokój oraz pytanie: Dlaczego?!

Kiedy odwiedzałem go kilka lat wstecz w jego pracowni na jednym z poddaszy Starego Miasta we Wrocławiu, tuż przy Teatrze Współczesnym, pamiętam po raz pierwszy w roku 2000 ujrzeć prace niezwykle i jedyne w swoim rodzaju. Tak w kolorze jak i w formie. Później jeszcze kilka razy różnie go widywałem, nawet w jego domu, bywając także na jego wystawach, stykając się z nim na wernisażach zaprzyjaźnionych innych artystów we Wrocławiu.

Krzysztof Żelechowski rocznik 1952, po uzyskaniu dyplomu w roku 1980 w Instytucie Wychowania Artystycznego na UMCS w Lublinie, w pracowni prof. Mieczysława Hermana, wzięt sobie do serca świat niestychanie zawity i medytacyjny. To artysta samotnik pozostający zawsze bardzo osobiście z sobą i specyficznie powiązany z naturą. Zaczynał malować obrazy na płótnie techniką olejną w formie senso

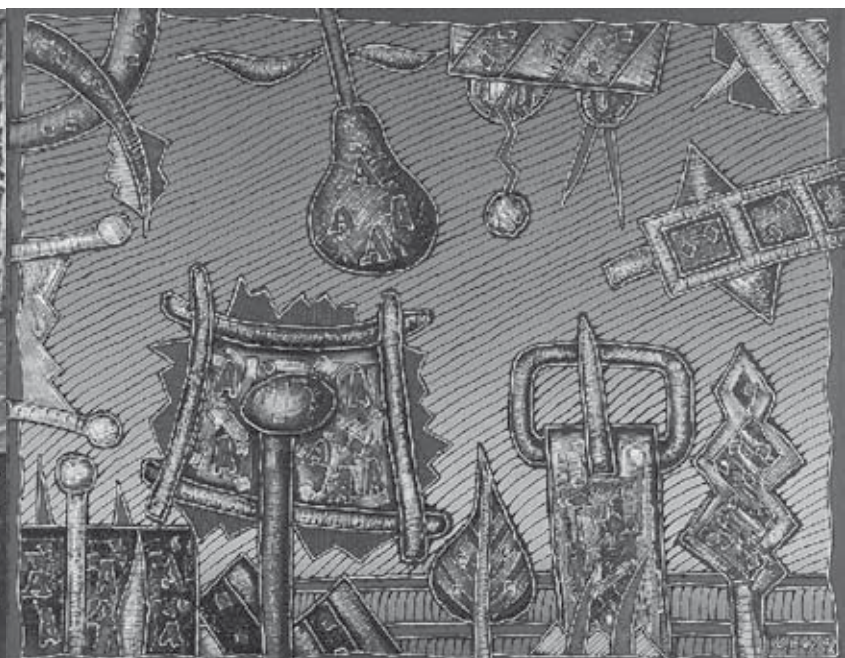
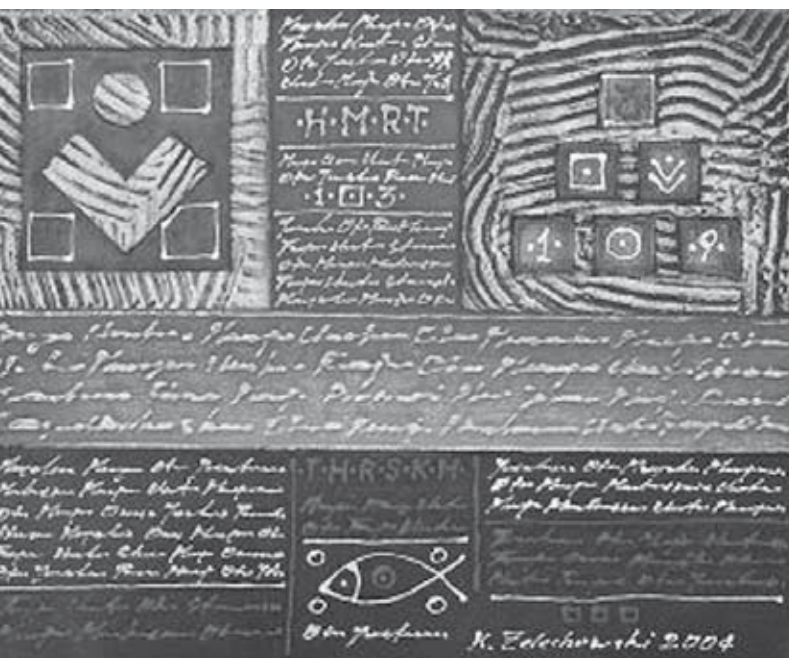
-surrealistycznej prowadząc dodatkowo bardzo osobowy zapis literyczny (nie literowy) na poszczególnych kwadratach obrazów. Wykonywał także cykle oryginalnych i specyficznych collage, a wystawiał dość często...

Zaprzyjaźniony z Galerią „M” oraz z innymi współczesnymi Galeriami Wrocławia (i nie tylko swego miasta rodzinnego). Natomiast w kraju pokazywał obrazy w klimatach medytacji i przeżyć, pokazywał poezję swego życia, rozterki i nadzieje (np. w Galerii „Teatru NN”). Tym nie mniej od początku trudno było zaklasyfikować Krzysztofa - wciąż wymykał się, usilnie poszukiwał, nawiązywał do metafizyki przestrzennych, prowadził zapisy specyficzne bardzo obrazowe, które wołały nie tylko kolorami ale i formą.

W swoich pierwszych obrazach, jak pamiątkom, domalowywał ptakom (a także innym zwierzętom, a nawet rybom) głowy ludzkie. Uczłowieczał swój świat naturalnie powiązany z sobą. Przybliżał i pokazywał, że wszystko co żyje wokół, do czego należy kosmos, jest jakby przypisane znakom cyfr i liter a nawet graficznym skrótom. „...Oto proszę spojrzeć jak wychodzimy rodzimy się z cyfr i liter, dostajemy w darze światło dzienne, kolor i wyrys przestrzeni...”

Widzimy to nieustannie na jego obrazach, pokazywane na różne sposoby. Widzimy w dalszych poszukiwaniach pomieszczone fotografie własne i rodzinne oraz przyjacielskie na płótnach, jakby wpisane w jego senne medytacje. Tak! – to na pewno medytacje, zapisy wartości sumienia. Początkowo jego malarstwo wydaje się wielkim skrótem kubistycznym, później być może manieryzmem, ale niewątpliwie to także sny i marzenia... To tworzenie pewnych korytarzy do wejścia w kosmos... Wpisywanie w naturę np. w jabłko konstrukcyjnych geometrii, także na wyrysach ryb ich tułowia.

Nie do uwierzenia, jak wiele jest ryb w tej twórczości, ryb przywołanych z głębin



akwa (?), kolorów niebiańskich, czasem pastelowych, czystych ale zapisanych sprawami życia. Może to rachunki? Może długi ze sklepu, albo pożyczki za życia? A może godziny odjazdu i powrotu do domu lub policzone schody do pracowni na trzecim piętrze kamienicy?

Jednakże po zastanowieniu się naszej wyobraźni możemy dojść do pewnych konkluzji i dedukcji humanistycznych. Są to takie symbole, których obecność niepokoi i frapuje, są jakby zapisy i zaśpiewy z rejonów sennych na pograniczu magii. Kiedy ja np. pielęgnuję ich tajemniczość, pozwalam, by ich znaczenie było niepokojem do zapamiętania, rysy właściwe ruchowi co chwilę, co dnia zmieniają.

Jak pamiętam Krzysztof czasem mówił: „Teksty występujące w moich pracach na obrazach mają dvojakie znaczenie. Ich istotny sens wyczerpuje się w trakcie pisania na wolnych polach, są one pomocniczym instrumentem medytacji. Ważne miejsce zajmują fotografie: jedno z nich zostały wykonane w czasach dzieciństwa i dopiero po trzydziestu latach ujrzały światło dzienne. To takie wpisy osobne. Drugie to bieżące ilustracje moich działań, moich prac plastycznych, miejsc, w których bywam, mojego najbliższego otoczenia, a także czasem autoportrety”.

Wydaje się że on, wybitny artysta, jakby na dłużej i ambitnie inaczej zatrzymał się w sferze medytacji, co założył od samego początku, kiedy opuścił pracownię mistrza Hermana w Lublinie. To obrazy, obiekty niesłychanie kolorowe, soczyste, zaczęły się konkretyzować odrębnymi oryginalnymi kompozycjami, zamkniętymi w doskonałości geometrii, które zawierały w tle niesłychanie misterne opisy właściwe do odczytania osobom wtajemniczonym i samemu artyście, jakby to był rachunek sumienia. Wydaje się, że jest tu wszystko bardzo dokładnie przemyślane, a przy tym zbudowane intuicyjnie i bardzo zmysłowo, czasem w otoczce erotycznej.

Przecież erotyka rzadzi sprawami świata! Na swoich płótnach, a także dyktach, zachęca nas artysta do wpatrywania się w jego własne stany wyobraźni i metafizyki wewnętrznej. Widziałem przez jakiś czas w tej twórczości zwierzęta, malowane cyklami w bardzo uproszczony sposób, grubą, ciągłą linią, jakby stawały się dominującą figurą na obrazie, pomieszczone z cechami ludzkimi. Na innych z kolei obrazach kwiaty, wykonane tą samą techniką, pomieszczone

są z częściami maszyn. Wszystko wręcz monolitycznie powiązane, zależne od siebie, współpracujące na dokładnie opisanej w tle powierzchni. Wszystko soczyście przenikające się w różnych odbiciach...

Wydaje się, iż Żelechowski prowadzi swoje, medytacje w sposób ciągły, być może chronologiczny. Kolejne cykle obrazów to kolejne stany świadomości, które ukazały się zniemacka doczesnemu otoczeniu jako obraz tej zastanej rzeczywistości przełożony na język plastyczny. Do tych obrazów się podchodzi z ciekawością, chcąc jakby rozczytać płachtę wiadomości. Jednakże jest to niezbyt proste, bo artysta sznuje poszczególne treści wprowadzając dla widza i odbiorcy pewien kłopot myślowy, czyli potrzebny jest tutaj czas.

Artyście, jak się wydaje, przychodzi sięgać do prapoczątków świadomości i odgadywać lub odpowiadać na pytania: „skąd jestem?... dokąd zmierzam?“, o czym wiem?... nie wiem nic” To ciągły stan pytań, czyli ciąg medytacyjny. Toczy się tu niewątpliwie pewnego rodzaju gra.

Gra medytacyjna w całym tego słowa znaczeniu, ale nie tylko. Kiedy za jego życia rozmawiałem z nim o jego działaniach próbując odgadywać jego stany osobowe, potakiwał, pomrukiwał... kiwał głową i widać był zadowolony, że choć trochę wchodzi w materię misternych obrazów.

Świat duchowy artysty styka się tutaj z brutalnością współczesnej techniki i cybernetyki, gdzie siłą rzeczy w jakiś przedziwny sposób następować musi przewartościowanie osobowości człowieka, co jest stałe obecne w pracy umysłu, w jego fizycznych gestach, działaniach, pełnych siły. Żelechowskiemu nie jest obcy otaczający go kosmos, z pewnością chciał, jak każdy artysta, na swój sposób pokazać bardzo jaskrawo problem, poruszając duszę człowieka myślącego wręcz szukając jej. Na obrazach Żelechowskiego w pewnym okresie czasu bardzo wyraźnie widać było: śrubę - koty, klucz - kwiaty, myszo - maszynę, żebro - owady, frezarko - psy. Tak też pisali krytycy śledząc poczynania artysty we Wrocławiu. Tutaj świat zmiksowanych kolorów jest tylko pozornie wymieszany. Wymieszany jedynie soczystością i świeżością, co świadczy o ciągle pierwotnych odczuciach artysty i jego wrażliwej reakcji na otaczający czas, którego stał się sumieniem nieświadomości...

Ten wielowymiarowy świat, zderzony ze sobą i innymi imaginacjami czasem natio-

ny poziomami obraca się w jakimś niezbadanym kręgu wciąż odkrywczej Sztuki, przez medium samego artysty, który podchodzi do swego dzieła jak nagi kaptan. Jednak Żelechowski jest niesłychanie drobiazgowy, a przez to uczciwy. Artysta tworzy w ten sposób świat ruchomych przestrzeni niezwykle skomplikowanych. Malarstwo takie jest jakby wizją do kosmosu i z pewnością można je wystać promem kosmicznym w taką pozaziemską przestrzeń jako świadectwo i wizytówkę naszej egzystencji obecnej na Ziemi.

Tutaj warto zwrócić uwagę na traktowanie tła w tych płótnach. Ich zapisana przestrzeń staje się gęsta, ale i ulotna niczym dusza człowieka, bo Żelechowski niejednokrotnie umieszcza w tej przestrzeni swoje zdjęcia jako dziecka, lub innych wydarzeń czasu ze swojej przeszłości. Ten zapis wspomnień stanowiących bagaż wyobraźni to istotna część tożsamości. Artysta jeszcze raz zderza w ten sposób w przestrzeni obrazu przeszłość z przyszłością, mówiąc zarazem jaki jest nasz aktualny ogląd czasu, czuwając jak anioł świadek naoczny wyobraźni.

Tutaj na pewno Krzysztof staje się medium, ośrodkiem łąącym z przestrzeni pewne znaki, których jest multum wokół. Ale i jednocześnie mówi wyraźnie, że jeszcze wszystko nie jest odkryte, że on jeszcze nie stoi tam, gdzie powinien. Że istnieją gdzieś światy niesłychane i mistyczne, że ta rzeczywistość niekoniecznie jest taką jaką widzimy oczami. Dlatego artysta zamiast kości ludzkich używa kluczy technicznych, zamiast mózgu - łożyska toczne, a koła zębate są czasem stawami międzykostnymi i częściami układów nerwowych. Człowiek zmieszał się z tym, co fizycznie wydobył na powierzchnię, po to aby wymieszać się z przestrzeniami, a także otchłanią wiedzy. Na obrazach widzimy np. wyrzys drzew jakby wycięte z materiałów płaskich, z blach lub dykt i wklejone w postaciowość życia bardzo brutalnie. Widzimy pasy i kłamy, patrzymy na mechaniczną gruszkę i diwne samoloty-latałdy, zawieszone w przestrzeni jakby powiększone bakterie z kosmosu. Widzimy meteoryty ich kształt i zawartość z bakteriami, wiszące wahadła i cyrklowe nóżki konstrukcji, etc.

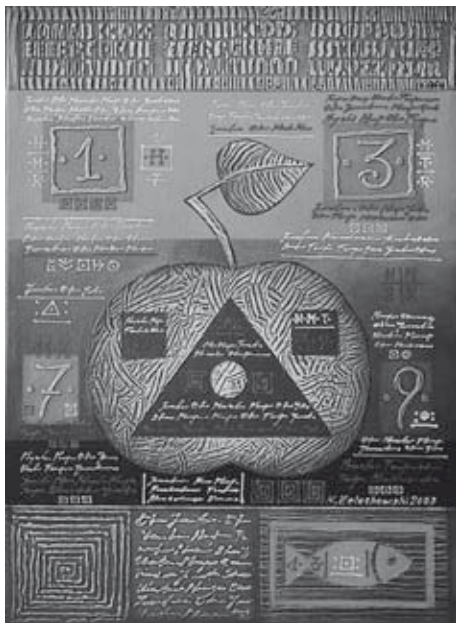
Cel - wystać się w ten sposób gdzieś na koniec świadomości lub wieczności, gdzieś w Herbertowskie „złote runo nicości”, i może tam zaistnieć, kodyfikując ostatecznie swoją naturę, to prawdziwa odwaga!

Taka estetyka pojmowania świata uczłowieczonego jest zaskakująco odkrywczą. Żelechowski bada i prześwieśla świat przez swój doczesny byt ziemski. Artysta w rzeczywistości był małomówny, raczej zamknięty w sobie, oszczędzający słowa, wydobywający je bardzo sporadycznie...

Stykając się z twórczością tego artysty słysząc dźwięki, (ale nie zgrzyty), słysząc echa, odbite uderzenia w instrumenty, bulgoty wieloryba, kapanie kropel wody z kranu.

Artysta funkcjonuje w wieloistnym świecie ruchu i dźwięku, natomiast zapis obrazu jest tylko zapisem ułamku z czasu. Stoi twórca zawsze w środku jako medium, odkrył już bardzo wiele dla swej sztuki. Zapisuje czas jak czuje i nie wątpi w intuicję swego odbiorcy. To niezwykle oryginalny Poszukiwacz, badacz, a nawet wzięty podróżnik przestrzeni... Wystawiał bardzo dużo - więcej poza granicami niż w kraju. Ta oryginalna Sztuka malarska jest istną poezją wielowymiaru...

ZBYSZEK IKONA - KRESOWATY



Karola Zielińska

xxx

dokąd
johnny
odwracam się
(głowy
w pościeli)
ciemność

chcesz czy nie
męczące sny
a w nich jeszcze
bardziej
zależy

xxx

dłaczego
michael
został w hotelu

dusi się
w pokoju

sam
nie wyszedł

xxx

dobro
lub
sztuczki

pomyłone
rytuały

johnny
rozłóż
znaki

niech ktoś
zobaczy

xxx

gone gone gone

listy do

PB

TK

ZJ

MS

MB

KO

DM

DM

wymienione

FG

ŁK

ŁD

MK

MD

KP

KK

PK

MB

KZ

PE

TG

AM

LS

KS

MM

GW

MH

MZ

ML

MS

SŁ

TJ

JF

serce

go

one

love

ma za sobą

kto

johnny i ty

xxx

nie tylko ja
do niego
ręce
ustawiają się
liczą

i ja
w przekonaniu
o wyjątkowości
razy jego
sto razy
sto tysięcy
teraz

jak się dobrać

metody
a
wszystko
wszystko

może być

prawdziwe
lub
nieprawdziwe

1

Ta planeta nazywa się Międzyczas. Człowiek, który znalazł się w niej wbrew sobie, zbiera białe listki w jakimś trzynastym miesiącu nieznanego sobie roku. Próbuje składać listki w brzozę, ale praca nie klei się, praca rozpada się w rękach opadających jak powieki.

Powieki wychodzą na opustoszałe okno. Ktoś, kto zamieszkał w Międzyczasie, widzi z tego okna między czasami (zazwyczaj wtedy, kiedy świt zachodzi) białą brzozę. Sześciolinia na żyłkach jej liści zasypia i budzi się bez końca. Zupełnie jak wiatr.

Kto słyszy to/tamto zasypianie wiatru, ten słyszy w umieraniu ponawianie.

2

Mawia się: bielsza. Mawia się: czulsza. Ukończyliśmy szkołę stopniowania przymiotników, nie wiedząc niczego. Kochając i umierając. Ukochane, bo taneczne i znikliwe... Raz jeszcze: ukochane słowo coraz zaklina przepaść między nami, między czasami. Coraz bardziej zaklina. Tym bardziej, im bliżej.

Stopom do brzegu urwiska.
Płatom śniegu i kwiatu do ziemi.

Róże pod portretem

jeszcze w śmierci piękne
[Widokówka]
Coraz bardziej jaśniejesz

coraz czulsze nic
[*** (a tam)]

3

Co to za zjawy, która na dno przepaści rzuciła jezioro? Nazwaliście mnie pamięcią. Wystarczy, żeby coś wpadło ci do oka i już jesteś tam. Gdzie wszystko było możliwe, choć wcale nie jest takie, jakie było. Bo gdzieś kwitną ogrody, które pamięta każde niemowlę.

zmniejszam się i zmniejszam aż
zmniejszę
się wreszcie do igły sosnowej do
jednego błysku
rzecznej fali w gorzkim
zapachu wikliny do jednego płatka
majowej konwalii na tak samo białym
rozłożystym tle
majowego wiatru do jednej śnieżynki w białym
wirze wiatru styczniowego (>>synku
żebyś tylko
mi się nie przeziębiał<<) (...)
[Białe na białym]

Jezioro jest kolistą rzeką. Każdy pamiętający musi o tym zapomnieć, aby na czas wspomnienia dopłynąć do pierwszego brzegu.

4

W Międzyczasie słysząc opadanie. Dźwięków, płatków, powiek. Szelest białych włosów na poduszce. Białe kwitnienie paproci. Białą szum białej brzozy. Białej róży umieranie.

Otwieram:

słyszę
ciszę
nagły bezgłos ptasi

i biała róża wrasta w kamień
i światło daremne zniczy

Tak chłodno

Potem
brama

[Druga Wielkanoc]

5

Przejsie, Podziemne rzeki. Rozpaczliwa zazdrość. Którzy przeszli przed nami, poznali ciemne światło. Co tam jest? Dlaczego spodziewamy się światła? Ktoś, kto zamieszkał w Międzyczasie, spodziewa się światła.

w tej wilgotnej tej zimnej
w tej pieczarze czasu przedśionku
bez-
czasu

czy było tam na wylot
przejsie dla żywych
niewidoczne oczu?
prócz mroku coś jeszcze? może
głos
kamienia?

[Eleazarze]

Światła się spodziewamy, bo wszyscy-
śmy z wody.

To przy pływa łódź nocy
trąca dzień wiosłem krzywym
Nie wiedziałem że wiosłarz
będzie milczał jak ryby
[Na brzegu rzeki]

Jezioro jest kolistą rzeką. Każdy pamiętający musi o tym zapomnieć, aby na czas wspomnienia dopłynąć do pierwszego brzegu.

ADAM BUSZEK

Jerzy Stasiewicz

PRZYPOMNIENIA DARKA PAWLICKIEGO

Stary kruk na Toborowej topoli rozprawił o przyszłości.

Dzieciaki ciskały kamieniami w zwiastruna prawdy.

Był wytrwały.

Odleciał dopiero wtedy kiedy zakończył balladę

o nadchodzącej nocy.

A była to noc Świętojańska.

Zabudowania za rzeką trawił ogień.

Z TOMU „ZAPACH MOJEJ ZIEMI” 2002, J. STASIEWICZ

„Przypomnienia 10 esejów & szkiców” otrzymałem od Darka Pawlickiego w listopadzie 2019 r. w Polanicy Zdroju. Dziękując z nim dwuosobowy pokój 102 w „Bukowym Parku”, gdzie byliśmy uczestnikami Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Poeci bez granic” im. Andrzeja Bartyńskiego, organizowanego przez Dolnośląski Oddział Związku Literatów Polskich.

W czasie wieczornej rozmowy, racząc się przednią whisky, Darek rzekł:

– Mam dla Ciebie najnowszy mój wybór.

Poprosiłem o dedykację, okazało się, że jest już pomieszczona w książce i brzmi: „Jurkowi z wyrazami sympatii i na pamiątkę. Darek. Polanica Zdrój, 15.11.2019 r.”

Mam taki dziwny odruch, w pierwszej kolejności zaglądam do biogramu autora, mimo, że znam go od lat, często w drodze literacką wyruszałimy wspólnie od publikacji w tym samym numerze czasopisma, almanachu, jednodniówce. Siła wyższa. Darek Pawlicki urodzony w 1961r. absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (Bibliotekarstwo i Informacja Naukowa); eseista (trzy zbiory: „Chwile Miejsca Nastroje”, „Zauważenia”, „Fragmentaria”), poeta (kilkę tomików m.in. „Haiku”, „48 wierszy”), autor książki dla dzieci („Bibikin w drodze do Kamienia Życia”). Teksty publikował/ publikuje: w „Borussii”, „Krytyce Literackiej”, „pisarzach.pl”, „Poezji dzisiaj”, „Twórczości”, „Gazecie Kulturalnej”, „Akancie”. Prowadzi warsztaty literackie, wygłasza prelekcje dotyczące kultury. Niezwykle mobilny i sumienny co do terminów spotkań z czytelnikami i słuchaczami. Gdzie nie dowiezie pociąg, autobus, tramwaj, rusza piechotą, a jego uwadze nie umknie żadna budowla, most, tunel, nasyp, wieża, drzewo, mozaika z bruku, kształt kobiecego ciała – wszak poeta wyczulony jest na piękno. Doświadczyłem tej jego ciekawości w 2017 roku kiedy przybył do Nysy na moją „Bitwę w tle”. Odbierając Darka z dworca widziałem w oczach tą jego zachłanność zobaczenia wszystkiego w nowym miejscu. Wszak w Śląskim Rzymie był nowicjuszem, ale wiele o nim czytał i wiedza ta nie była powierzchowna. Ruszyliśmy ul. Wrocławską. Bardzo zwracał uwagę na detale i napisy „Pięknej Studni”. Znał wiersz Tadeusza Różewicza o katedrze. Szkoda, że nie było mu dane zobaczyć zawartości skarbcza w dzwonnicy, ale kolejki zwiedzających związane z jutrzejszym jarmarkiem Jakubowym wymagały czasu, a ten zawsze jest ograniczony. Słychać było już salwy armatnie. Obsługa dział przygotowywała się do ostrzału nadciągających wojsk

napoleońskich. Zahaczyliśmy o Plac Solny, Darek obfotografował Carolinum, kościół Wniebowzięcia. Zauważył, że główne wejście do świątyni to gotowa scena letnia dla teatru. Nie mógł się nadziwić wysokości wody zalewającej Nysę w czasie straszliwych powodzi. Zaznaczonych z datami na murze dworu biskupiego.

Długo podziwiał pałac biskupi, obecnie muzeum. Zacerpnęliśmy wytchnienia na jego dziedzińcu, gasząc pragnienie złotym napojem bogów. Obmyśliśmy twarze w chłodnej wodzie fontanny Trytona, zastanawiając się dlaczego delfiny mają łuski? Darek nie byłby sobą gdyby na chwilę nie wstąpił do czytelni Domu Wagi Miejskiej, poczuć zapach książek i starych murów. Wieżę Ziębicką obszedł wkoło. Słowiński rytuał wędrówki wzdłuż murów obronnych niezdobytego, średniowiecznego miasta, wyznaczając dłonią święte strony świata. Z mostu Kościuszki długo obserwował pracownię prof. Mariana Malendy, wsłuchując się w szum płynącej rzeki. Z grobem w kształcie otwartej książki spotkał się po raz pierwszy, acz twórczość Josepha von Eichendorffa była mu znana, wymieniał kilka utworów.

Altanę niemieckiego romantyka odłożyliśmy na termin późniejszy bo przyszła sms-em dyrektywa Violi: „obiad na stole”. A żółdek to serce mężczyzny. Gospodyni wręczył ogromny słonecznik jak z obrazu Vincenta van Gogha, kłaniając się w pas. Bitwę w Forcie II obserwował z najwyższej kanonierej co rusz ocierając zafawione oczy, drażnione dymem prochowym. Ostrzał ar-

matni i z muszkietów z obu nacierających stron był tak intensywny, że pole bitewne ginęło w gęstej mgłę. Słychać było jedynie komendy i jęki rannych. Czasem pisk markietanki. Pytał o szczegóły umundurowania, broni ręcznej, armat, wyposażenia taborów i przedmiotów codziennego użytku w obozowisku. Nie umknęły uwadze Darka, buty na nogach żołnierzy z niemalże całej Europy. To obuwie robocze stosowane w zakładach pracy. Wy tłumaczył rzeczowo stary wiarus: „Obstalunek u szewca to poważny wydatek dla szarego piechura, fason ten jest bardzo bliski oryginału”. Widząc co nie dajemy wiary polał po antałku mocnej śliwowicy dobrej dla gardła i odkażania ran. Sam był w lipowych chodakach.

Prelekcję w „Stasiewiczówce” rozpoczął od glos:

XV.

Cytaty z ogłoszeń, anonów, tytułów prasowych: „Literatura kobieca”, „Powieść kobieca”, „Malarstwo kobiet”, „Kobieca twórczość”, „Kobiety film”...

Nigdy nie myślałem, że sztuka, literatura, film, to znaczy, ogólnie, kultura ma płęć. I nadal tak nie myślę.

XXXIII.

Wiersz nie powinien zawierać, moim zdaniem, większej ilości słów, niż zawierałyby ich, ewentualna, odpowiedź udzielona na pytanie: o czym jest (konkretny) wiersz? Utwór poetycki spełniający to kryterium byłby ideałem. Ale ten podobno... nie istnieje.

Karola Zielińska



Głos XXXIII rozgrzała dyskusję do czerwoności. Wiele obecnych poetów na spotkaniu w altanie przy kominku nie podzielała darkowego wzorca idealnego. Argumentując, że wiersz jest z natchnienia Boga (pierwszy wers) reszta rodzi się w umyśle autora. I jak głębokie są przemyślenia piszącego tak długi jest zapis. Nie bierzemy pod uwagę rozgadania (domena grafomanów) tylko samą esencję. A esencja nie oznacza minimum słów.

Pytany o własny sposób tworzenia i zestaw lektur ujął to tak, (słowa dobitnie utkwiły w mojej pamięci): „Stosuję jakby trójpółkę: pierwotny zapis w brudnopisie (tak leży kilkanaście tekstów), następna teczka to cyzelatornia (teksty nad którymi pracuję, sięgając do słowników, materiałów źródłowych, encyklopedii, uzupełniając przypisami). Dopisuję fragmenty, które teraz uruchomiła moja podświadomość - wróciły z zakamarków niepamięci. Dokonuję skreśleń dłużyzn nie wnoszących nic do omawianego tematu. No i trzecia – utwory gotowe przeznaczone do publikacji. Nigdy nie spieszę się z rozsyłaniem po redakcjach. Muszą odleżeć swoje, urosnąć jak ciasto, „doleżakować”. Czasem w ostatniej chwili na „gotowcach” dokonuję jeszcze poprawek. Wydaje mi się, że proces tworzenia jest otwarty, płynny. Ale to moje podejście warsztatowe, nawyk. Jestem natógowym czytelnikiem: dzienników, listów, biografii. Beletrystyki od lat w ogóle nie dotykam. Z wieloma pisarzami koresponduję listownie. Stara tradycja epistolografii zamarta na naszych oczach przeze mnie jest uprawiana z estymą. Nad każdym pisanym listem pochylam się jednakowo głęboko. Staram się na pytania adresata odpowiadać szczerze i zgodnie z posiadaną wiedzą. Nie ukrywam żalów i brudnej prawdy. Bo list jak i prowadzony przeze mnie dziennik jest szczerym, wewnętrznym, zapisem dnia dzisiejszego. Jutro jest już historią. Z której może będą korzystać historycy literatury, biografowie, studenci filologii.

Na tle pochmurnego, burzowego wid-

nokregu, stare, ogromne, rozłożyste drzewo, szarpane silnymi podmuchami wiatru. Możliwe, że to dąb – kiedyś czczone jako święte drzewo boga piorunów – pod najstarszym dziś w Polsce dębem Bartkiem Kazimierz Wielki sprawował sądy. Gdy olbrzymi, prastary dąb w dąbrowie położonej w widłach Dubissy i Ejni jesienią tracił liście, Żmudzini szeptali: „Dewajtis opłakuje stare czasy”. Nie bez powodu autor umieścił go na okładce swojej książki. Drzewa są związane mocno z jego życiem. Najmocniej jednak z dzieciństwem spędzanym w czasie wakacji, ferii zimowych na wsi u dziadków na Suwalszczyźnie. Rzekłbym: „Pawlicki jak Dewajtis opłakuje stare czasy”. Dobitnie opisuje to w eseju: „Drzewa, o których pamiętam” w tomie „Zauważenia” (2014).

Kontynuuje tutaj w szkicach: „O drwach i ogniu” i „Przed wszystkim o starych gruszach”. W pierwszym sięga sacrum: „Popiołu po spalonym drewnie pozostawało niewiele. Wystarczyło wybrać go z popielnika kilka razy w miesiącu (w okresie intensywnego palenia). Zimą posypywało się nim ścieżki wydeptane w śniegu i wszelkie miejsca oblodzone.” Chłopska gospodarność, przezorność i szacunek dla daru Boga, służącego człowiekowi w zamkniętym kole egzystencji. Od narodzin po śmierć.

Patrzę na zdjęcie Darka Pawlickiego umieszczone na skrzydełku okładki, a wykonane przez Ilonę Bryk – Pawlicką żonę pisarza. Zastanawiam się skąd w tym poważnym człowieku (fizjonomia myśliciela) odziany w długi płaszcz i kapelusz, człowieku miasta (mieszkaniec Wrocławia, urodzony w Pisu na Mazurach), przez wiele lat rezydującym na kontynencie amerykańskim, tak głębokie uкорzenie w ziemi przodków. I nasuwa mi się porzekadło „tam dom nasz, gdzie korzenie nasze”. Ale żeby to poczuć trzeba przebyć daleką drogę przez świat z maleńkiej wioski. By na tą wioskę powrócić. I często tak jest, że wędrówkę za nauką, chlebem, miłością,

powołaniem rozpoczynały wcześniejsze pokolenia. Przykładem jest prof. Andrzej Strumiłło mieszkający niedaleko dziadków Darka w Maćkowej Rudzie. Po zabieganym życiu wykładowcy, artysty i dyrektora w różnych częściach globu, osiadł niedaleko ukochanej Litwy. Budując przystań dla artystów i hodowli umiłowanych koni arabskich. Darka często gościł w drewnianej chacie, snując opowieści o przemijaniu. A tak wiele chciałby jeszcze stworzyć!

Kamienny Krąg w podwórzcu nasycił przybysza dobrą energią, pozwalając piórem władać swobodnie bez zgrzytów i zacięć jak lemiusz dziadkowego pługą, odkładającego skibę za skibą, czarnej, tłustej ziemi. Z lejcam zawieszonymi na szyi oracza. Często Darek trzymał te lejce i bał, poganiając deresza do szybszego marszu. Koń jednak człap, człap, kopyto za kopytem swoim rytmem podążał do „uwracia”.

Bruzda spacerowały wrony, wydziobując robaki. W oddali widać było rząd topoli przy drodze asfaltowej z Suwałk przez Pogorzelec i Karolin do Sejna. Rankiem przejeżdżała cysterna z mlekiem, potem autobus „ogórek” i od czasu do czasu osobówki w większości na państwowych rejestracjach. Autobus o 12-tej określał porę dnia. Krowy zganiano do zagród, pojono, dojono na południe. Zaprzęgi zjeżdżały z pół. Koń ten atrybut siły i dobrobytu mógł skosztować obroku i odpocząć w przewiewnej stajni jak i gospodarz w zaciszu domu na murku kuchennego pieca, który Darek opisuje niemalże z metafizycznym uniesieniem.

„Krąg domostwa staje się utraconym Jerozalem widzianym we wspomnieniach coraz wyraźniej z biegiem mijających lat. Czekał na posiłek przygotowywany przez żonę”.

Tu święte ręce babci Pawlickiego krzątającej się przy stolnicy, dzieży, garnkach, piecu śmiejącym się uczciwością płomienia. Sapaniem ogromnego emaliowanego czajnika z wygiętym dziubkiem jak litera „s”. Popołudniem ruszano ponownie do zajęć gospodarskich. Chłopek przy boku dziadka zasiadał na wozie bacznie obserwując: „.... odległy, niski las porastający rozległe Bobrowe Bagno. (...) miejsce tajemnicze z racji swojej niedostępności; niewielu ludzi tam było. I to z tego powodu bagno owo stanowiło i stanowi ostoję licznych łosi i bobrów, jak też kilku wilków i ciętrzewi. A jeszcze trzydzieści lat temu można było tam spotkać, wprawdzie bardzo rzadko ale jednak, żółwie błotne.” Na własny użytek twórczego zamyślenia, sięgnąłbym nawet głębiej, zamyślenia mitycznego wyodrębnił porę dnia

„przedmierzch” i definiuje go tak: „A ów trwa od zachodu słońca, to znaczy od momentu, w którym słońce chowa się za horyzontem, do zapadnięcia ciemności. Przedmierzch poprzedza zmierzch, tak jak np. przedświt zapowiada świt, a przedwiośnie – nadejście wiosny. Z tym, że o ile przedświt, to są minuty, a przedwiośnie może trwać tygodnie, to wspomniana schyłkowa pora dnia – kwadrans”.

Ukazuje przebiegą różnorodność: przyrody – sternika naszego życia, kultu chłopskiej pracy, jego silnego przywiązania do ziemi żywicieli, obyczaju święt z jego ludowością, obrzędowością i tradycją. Głębokiej więzi rodzinnej i sąsiedzkiej – mimo, że konflikty były na porządku dziennym – pomocy w czasie nieszczęść, zagrożenia ze strony obcych. A nawet sił nadprzyrodzonych czy nieczystych. Bo na wsi dawniej w wielu miejscach straszyło. Zwłaszcza tam gdzie urzędowały znachorki, odcinano wisielców, bagna wyzywały gazy (latem języki płomieni).

Z ogromnej tarczy słońca, z jej wyglądu i „płynności” przewidywano pogodę na dzień następny z niebywałą precyzją. To odczytywali ludzie doświadczeni życiowo,



→ w tym dziadek Darka, którego sądy liczyły się bardziej niż pogoda w dzienniku telewizyjnym.

Ważnym elementem rozważań eseisty są drogi. Zwłaszcza te polne gościńce, zarastające wszelakim zielskiem, zapomniane bądź popadające w zapomnienie. A przecież kiedyś nimi ciągnęły karety królewskie, dylżanse pełne podróżnych z trąbką pocztyliona, chłopskie furmanki zaprzężone najpierw w woły, potem w konie. Wyładowane zbożem, sianem, ziemniakami. Drewnem na budowę domostw i zagród, na opał. Kamieniem z okolicznych wyrobisk – było ich wiele przy każdej wsi. Z twardego materiału powstawały zajazdy i karczmy przydrożne. Otoczkami utwardzano podwórza i dziedzińce, place przy kościołach i plebaniach. Szli tymi drogami – przywróconymi do życia w wyobraźni Darka – wędrowcy i pątnicy do miejsc świętych, oczekując cudu i oczyszczenia. Przysiadali na przydrożnych głązach, pniakach, rowach, kontemplując otoczenie, odmawiając modlitwy, śpiewając kościelne pieśni. I tymi drogami ruszali ludzie w świat wypędzeni z wiosek, dworów i przysiółków. Na wojnę i katorgę, skąd wracało niewielu, starych, schorowanych, zapomnianych przez sąsiadów, rodziny w kolejnym pokoleniu. Tylko czasem tzy matek przypominały dawne historie. A katorżnik i stary wiarus opowiadał gdzie leżą kości dziadów, ojców, wujów. Gdzie jest wielka woda, gorący piach, nieprzebyty las i ciągnąca zmarzlina.

W eseju „O drogach prawie zapomnianych” w ogóle nie interesują Pawlickiego znane trakty rzymskie, budowane już na kilka wieków przed Chrystusem (przykład: pochodząca z 313 r. p.n.e. słynna via Appia), choć o nich wspomina. Bo te drogi znają wszyscy: z książek, z filmów, programów historycznych i popularnonaukowych. A nikomu nie chce się wyruszyć na wędrowkę w rozległe tereny poza miastem. Do setek wsi rozrzuconych po kraju. I spojrzeć hen daleko na łany falującego zboża, i dostrzec, że ta zielona linia ciągnąca się zygzakami, aż do ruin to dawna droga prowadząca do zamku. Widać w zbożu kapliczkę – ktoś zapalił w niej świeczkę – przy drzewie krzyż pokutny. W innym miejscu rządy drzew świadkami dawnego traktu. Gdzieś indziej półka porośla gęstym krzewem oddziela pola orne. A ten mały okrągły zagajnik to rozwidlenie. Sięgnijmy po książki Darka Pawlickiego, jest w nich na wyciągnięcie ręki to, czego szukamy daleko, często sownie płacąc.

Głęboko wrył się w moją podświadomość szkic: „O drwach i ogniu”. Autor opisuje swoje uwielbienie dla paleniska w ogniu, ten nasz domowy ogień oswojony, który trawi drwa w kominku, piecu kuchennym. Kiedy jego tyna rozciąga się na sufit, figluje po jego powierzchni. W wielu stronach jest takie określenie „piec się śmieje” dotyczy to „kóz” ustawianych w pokojach gościnnych w celu dogrzania, sypialni najchłodniejszej izbie, ale też wymagającej ciepła zwłaszcza zimą. Nie u wszystkich. Sen potrzebuje chłodu.

Staje przed naszymi oczami piec chlebowy z jego głęboką komorą, opalany dębina, grabina, Babcia na kłęczkach podsypująca szamotowe palenisko mąką (służy to sprawdzeniu odpowiedniej temperatury). Wkładająca na długiej drewnianej topacie, także posypanej mąką w jego gardziel wyrosnięte buty ciasta. Ja lubiłem patrzeć na ogień w palenisku kuźni ojca (takich kuźni było wiele przy zapomnianych drogach), na iskry metalowego żaru z podków, siekier, lemieszki skaczące jak świetliki w noc świętojańską. Dawna tajemnica uplastycznienia metalu, przekazywana przez mistrzów z pokolenia na pokolenie.

Darek przywołuje postać Prometeusza.

Nieśmiertelny wykrada ogień bogom i uczy ludzi postąpić się nim. Dosięga go za to gniew Zeusa, za karę przykuty zostaje do zbocza jednego ze szczytów Kaukazu. Codziennie orzeł wyrwa wątrobę z jego ciała. Ta każdorazowo odrasta. Od męki uwalnia Prometeusza Herakles zabijając orła. Wszystko jednak ma swoją cenę. Za posiadanie ognia ludzie zostają ukarani puszką Pandory – jej zawartością – czyli wszystkimi nieszczęściami.

Ogień to drwa, pokarm płomieni. Przygotowanie zapasów odbywało się przeważnie zimą przy wyrębie lasu. Dorodne modrzewie, sosny, świerki szły na więźby dachowe, podłogi, drzwi, okna. Dęby na krzesła, stoły, szafy, kredensy. Gorsze okazy tzw. „podsusz” przeznaczano na opał. Ale były wyręby typowo opałowe. Chłopi sami ścinałi drzewa odcenowane przez leśniczego i układali w „metrówki” (metry sześciennie).

Robota w lesie to jakby zimowe żniwa. Uczestniczyła w niej cała wieś. W ogromnych ogniskach palono zbędne gałęzie, Zgadzałem się z Darkiem że ten ogień kojarzy się z tymczasowością bo jego zadaniem jest oczyszczanie terenu. Ale na tych ogniskach pieczono mięso, suszono ubrania, ogrzewano zmarznięte dłonie, plecy. Nierzadko ogień był świadkiem okaleczonej ręki, twarzy. Dawał światło pracującym po zmroku, chronił przed dziką zwierzyną. Był ogniskiem domowym poza domem. Ostoją. Drwa na opał to także porządkowanie sadów. Wycinka starych grusz, jabłoni, śliw, zmęczonych latami owocowania. Umierających na oczach gospodarza. Służących do końca jako paliwo pieca, duch ciepła i bezpieczeństwa, a obecny w naszym życiu zawsze choć niezauważalnie. Niezauważalne jest dla wielu z nas otoczenie, zwłaszcza to w którym żyjemy (przebywamy od zawsze). Trudno jest znaleźć wolną chwilę, usiąść na przypadkowym kamieniu, jakich wiele. I załapać się skąd ów głaz tutaj się wziął. Chłopskie zabobony (filozofia) mówią o diable przenoszącym ogromne głazy, chcącym zaznaczyć teren objęty czartowską mocą; miejsca pożarów, w których całe rodziny spłonęły żywem, topielców, samobójców niespełnionej miłości. A jaka jest prawda? Darek mówi: „Bez żadnej przesady mogę stwierdzić, że pod sobą mam Skandynawię. I to pomimo tego, że równocześnie dzielę mnie od niej setki kilometrów.” Głazy przeniosł lodowiec, starannie wygładzając czasem. Zadaje pytanie czy warto podróżować, skoro wytwory przyrody same dotarły do nas. Krzyczą obecnością, a my jesteśmy ślepi. Widoczność nasza ogranicza mgła, którą opisuje w kolejnym eseju. Z tym, że zachwyca się jej niebieskością. Widokiem, chwilowym zauroczeniem. Owa mgła unosi się nad jeziorem, którego brzegi z trzech stron okala las. Podskórnie czuję obecność Świtezianki. I duszę romantyka – bo Darek Pawlicki nim jest w każdym calu życia i twórczości – głęboko ukorzenionego w filozofii, mitach greckich, rzymskich. Ale i tradycje Słowian, Bałtów nie są mu obce. A w tekście o butach sięga Egiptu przeddynastycznego. Mgła w tekstach literackich zawsze zwiastuje Coś tajemniczego, skrywającego Coś, uosabia tajemniczość. Co może sprawić mgła mówi Haiku autorstwa Issy:

Mgła – za mgłą księżyc
a ja wszedłem w kałużę
zwodne są drogi

Pamiętam, będąc małym chłopcem, jechałem z tatą furmanką zaprzężoną w gniadego na pole buraczane. W gęstej

mgłę jak mleko. Koń szedł pewnie co było dziwne. Kiedy gwałtownie mgła opadła, widok wydał się obcy. Nie przypominał żadnego mi terenu. Babcie powiadały: świat nakryty skrzydła łabędzia. To przeświadczenie starych kobiet potwierdza liryk autora esejów.

Z modrzewiowej mgły wypłynął
bezszelestnie

Symbol owej mgły –
Łabędź

Mgła – wrota otchłani – w butach, dla mnie symbolu wolności. Jeszcze niedawno na obszarach wiejskich naszego kraju buty zakładano tylko do urzędów i kościoła, drogą niosąc je pod pachą. Były jak i zegarek wyznacznikiem zamożności. Kto miał buty zawsze na nogach parł do celu. Nie bacząc na płoty, mury, szlabany, sterty kamieni, oddzielające domostwo od domostwa, człowieka od człowieka. Nie umierał pod płotem. A jeśli trafił kulą w płot, ruszał dalej, przez łądy i morza do przystawionej Ameryki, która i dzisiaj jest dla wielu krajem pieniędzy leżących na ulicy (echa emigracji zarobkowej drugiej połowy XIX w.).

Tej wolności zakodowanej w człowieku nic nie jest w stanie wypłenić. Cóż wielkiego: susze, powódzie, huragany, pożary, plaga szarańczy. Nie boimy się nawet braku chrztu. Otchłani i buty to symbol. Tak to przedstawia Darek Pawlicki, wybitny myśliciel, drążący omawiany temat do jądra początku. Tutaj nie ma miejsca na pojedyncze spojrzenie. Metafizyka, sacrum i profanum emanują w wypowiedzi naturalnie, nie wprowadzają czytelnika w chaos myślowy. Dają czas na zastanowienie i na wyciągnięcie własnych wniosków. Prawdą jednak jest że eseje i szkice Darka przemawiają do czytelnika wyrafinowanego intelektualnie. A takich mam nadzieję jest wielu.

Żywi nie mają wpływu na losy zmarłych? Możemy przypomnieć o nich w wspominkach: „(...) człowiek po swej śmierci tak długo jakby istnieje/żyje, jak długo trwa o nim pamięć.” Mnie jednak nasuwa się inne spostrzeżenie. Mianowicie ramy historyczne w jakich żyć przyszło zmarłemu. Dziadek mój Teofil urodzony w 1897 roku przeżył zabór rosyjski, kształtowanie się niepodległości państwa polskiego do wojny o jego granice, Polskę sanacyjną, dwie wojny światowe. I terror komunizmu. Zmarł bowiem w 1954 roku, nie doczekawszy nawet odwilży. Wielokrotnie powoływany był pod broń. Ranny i zaginiony. Żył tylko 57 lat, a wydarzeniami z jego życia można by obdzielić pokolenia. Grób jego jest taki sam jak groby setek zmarłych wcześniej i później. Tylko te wspominki w kościele przywołują pamięć o dziadku. I innych zmarłych uszanowanych przez rodziny, znajomych. A co z tymi o których nikt nie pamięta? Nie wiemy nic o tamtym świecie. Podobno dotarli – będąc żywymi – do krainy zmarłych Orfeusz (bez Eurydyki), Herakles i Eneas. Odyseusz jedynie do wejścia do krainy umarłych. Krwawo zwierząt ofiarowych zwałił dusze druhów poległych pod Troją, matki i wieszczka Terezasza. Ten napił się krwi i wyjawiał co go czeka w drodze do Itaki. Wierzę, że i nam znana będzie przyszłość. Ale co wtedy z sensem życia Darku?

JERZY STASIEWICZ

Dariusz Pawlicki, „Przypomnienia. 10 esejów & szkiców”, EIKON Wrocław 2019 s.118

PIOSENKA O ŚMIERCI BOGA

jakże cieszy
zapach sernika
z dzieciństwa
i moja ciocia
która umie go wyczarować

i ciepły jak herbata
uśmiech mojego taty
który odszedł
gdzie ja odchodzę

to poezja której bóg był nie wart
zabierając mi go
we własne nieistnienie
smutnych kobiet z różańcami
które trzeba pogłaskać
jak małe dziewczynki
by nie rozplynęły się w cieniu

jakże nieistotny jest bóg
w porównaniu do poziomek
i jeżyn
do aromatów sosen
do gromady dzieci
trzymających się za ręce

jakże mały wobec
wspomnień o
moim tacie

SAMOBÓJSTWO

Nie popełnisz samobójstwa
zrobiono to wielokrotnie za ciebie
skacząc z mostu Golden Gate

Niektórzy odkrywali
że lepiej jest żyć aniżeli nie istnieć
i odwracali się w powietrzu
głową do góry
by połamać nogi
i udać się w dalszą wędrówkę
ku uciekającemu horyzontowi
jeść o poranku jogurt
i wachać goździki

lecącą śmierć
trzeba
złapać
z wdziękiem
jak pszczołę

TAJEMNICA DELEUZE'A WYDARTA Z LEKSYKONU

Deleuze zmarł w 1955
a już w 1970
objął katedrę na Uniwersytecie Paryskim

błędy leksykonów i encyklopedii
ocalą nasz świat

Odwróć się z niedalekiego nagrobka
Wszystkich wiosen zobacz i
jakby to było pięknie
tak umrzeć w jakimś roku X
i parę lat lub stuleci po własnym pogrzebie
objąć katedrę na uniwersytecie
paryskim w miłym uścisku

Jak gdyby nigdy nic
zakochać się znowu
W długich korytarzach
Zamkniętych zaułkach wieczoru
w zielonych oczach
I rudych włosach
tej która

zapuka w nocy
tak dawno po śmierci
Na nocny wykład o nicości która nie przynosi bólu
Kiedy idziemy przez park rozkoszy
Zapomniawszy że nie istniejemy
A nasze serca biją jak pierwsza miłość

Jerzy Stasiewicz

Chwalebne jest czynić to co należy,
a nie co wolno.

LUCJUSZ ANNEUSZ SENEKA, *MYŚLI*, s. 657

Lubię patrzeć w dal, w bezkresny horyzont. Rozpoznawać na nowo miejsca mi znane, a inne z perspektywy punktu obserwacyjnego. Takim miejscem szczególnym (choć nie tylko) jest Altana Eichendorffa. Znajdował się tu kiedyś drewniany taras widokowy. W roku 1931 przebudowany i nakryty solidnym dachem. Nazwany też Strażnicą im. Eichendorffa na wzgórzu Charlottenhöhe. W wyniku działań wojennych i rozbudowie umocnień, altanę zniszczono ustawiając w jej miejscu ogromne działo artyleryjskie. Pamiętam solidne betonowe fundamenty w kształcie litery „U” charakterystycznie odznaczające się w leśnej ściółce. Przychodziłem tu wielokrotnie poznając topografię Nysy zaraz po osiedleniu. I to nie ścieżką prowadzącą od ulicy Saperskiej tylko wierzchołkami załamanych murów fortu, gdzie przed wojną była przerzucona drewniana kładka na metalowych dźwigarach. Dzisiaj patrząc na te strome, wysokie mury z czerwonej cegły, oblewają mnie poty. A nogi drętwieją i stoją się jakieś miękkie jak wata. Próbowałem dostrzec chociażby zarysu gór. Wysokie drzewa zaślaniały wszystko. Siedziałem na tym fundamencie, zimnym jak lód, patrząc w ścianę - falujących jak woda spokojnej zatoki - dębów. Drzewa te; symbol długowieczności, żyją przeciętnie 600 - 1000 lat. Starożytni Rzymianie i Grecy wierzyli, że są siedzibą ich najwyższych bóstw Jowisza i Zeusa. Abraham siadywał pod dębami Mamre. W greckiej Dodonie była rocznica wróżąca z szumu liści dębu. Germanie dąb poświęcili bogu burz - Thorowi. Pioruny uderzały w nie najczęściej, nie czyniąc poważnych szkód. Stowiańszczyzna od Dniestru po Łabę, od Pomorza po Śląsk lokowała miejsca kultu w starych dąbrowach - Perunowi - gromowładcy, bogu grzmotów i piorunów, oddając cześć, zawierzając się jego opiece. Celtowie wierzyli, że moc dębu pomaga w zaświatach, wkładali gałązki świętego drzewa do grobów zmarłych. Żmudzini święte gaje poświęcali Perkunowi. Jemioła (paszożyt) rosnąca na dębach, uchodziła za szczególnie talizman, prawdopodobnie ze względu na rzadkie występowanie.

Jeżdżąc po Polsce samochodem mijam na trasie miejscowości: Dąbrowa, Dębno, Dębina, Dąbie, Dąb, Dębowina. Spotkałem wiele „dębów pokoju” (Polska zachodnia) niemieckie nasadzenia powojenne, szczególnie po wojnie francusko - pruskiej 1870-71. „Motyw żółędzi i gałązek dębu występuje w herbach królewskich i rycerskich od średniowiecza. Stosowano go także w emblematyce mundurów. Był symbolem siły, szlachetności i sławy. Wykorzystywany był zwłaszcza w germańskiej symbolice wojskowej, do której chętnie nawiązywały armie niemieckie. Liście dębu były motywem na Krzyżu Żelaznym, (...) wieniec z liści dębowych jest zawieszka fińskiego Orderu Krzyża Wolności. Wieniec też był częścią herbu NSDAP i jest obecny na odznakach na beretach Bundeswehr. Ulistniona gałąź dębu widniała na awersie feniga (...) sprzed wymiany waluty na euro, (...) identycznym symbolem opatrzone wprowadzony na rynek wspólnotowy bilon o nominale 1,2 i 5 eurocentów. Liście dębu są też na aktualnych polskich monetach edycji złotego od 1995r. (...) liście amerykańskiego dębu czerwonego) oraz były

na monetach 10,20,50 gr z emisji z 1923.” - To Wikipedia.

Dęby zawsze mnie uspokajały. Dodawały siły, otuchy, bezpieczeństwa. W deszczu siedziałem na gołej ziemi opierając plecy o pień. Nie wyczekiwałem przejaśnień. Mogłem tak siedzieć godzinami. Sam. Wstuchany w szum kropel spływających po liściach, w melodię trwania nuconą stojem corocznego przyrostu, w huk pękającej gleby rozpychanej korzeniami. Z dala dochodził nieprzyjemny ryk miasta kalecząc zadumę. Pora było wracać. Rozkołysana czupryna dzwoneczkami żółędzi prosiła ... zostań. I zostawałem czasami w ciemnym lesie do północy (jakie to szczęście, że nie było wtedy telefonów komórkowych). W domu Viola odmawiała pacierze. A jak wróciłem...

Altanę odbudowano - zasługa Josefa Paula Rocka (kierującego po wojnie odbudową nyskiej katedry - nazwa potoczna - kościół pw. Św. Jakuba Starszego i św. Agnieszki, Dziewicy i Męczennicy. Bazylika mniejsza od 2009 r.; cichego opiekuna grobu: Luizy i Josepha von Eichendorffów na cmentarzu jerozolimskim; inicjatora budowy pomnika poety przy „ekonomiku” - oryginalne popiersie w bazylice - niezmordowanego utrwalać pamięci wielkiego romantyka z Łubowic). Miałem zaszczyt poznać pana Józefa w 2002 roku w kawiarence literackiej „Studnia”. Była kiedyś taka przy ulicy Zjednoczenia w Nysie. Na obchodach rocznicowych zaraz po odświeżeniu pomnika poety. Pan Rock pokazywał miniaturkę popiersia w brązie. Figurka przez moment gdzieś się zapodziała co omal nie doprowadziło do zawatu serca starszego, niskiego pana z długą siwą czupryną, zaczesaną do tyłu. Zaraz jednak nabrał wigoru, mocno ściskając dłonie gości przy stole. Opowiadał o trudnych warunkach pracy przy odbudowie katedry - wierni przychodzili na modlitwę kiedy nie było dachu, a rusztowania sięgały 25 metrów i szalowano sklepienia - nigdy nie doszło do wypadku. Podkreślał, że to opatrność Boża, która czuwała nad jego działaniami, pozwalała doprowadzić rozpoczęte projekty do końca. Nie czynił po drodze nikomu krzywdy. Dla mnie sprowadzono wtedy surdut z epoki z teatru opolskiego. Podobno przypominałem Eichendorffa, ale to chyba zasługa szczupłej budowie ciała i uczesaniu na piżmaka. Najbardziej fizjonomią wielkiego romantyka przypominał aktor z Berlina, Robert Mika grający jego postać w sztuce Freda Apke pt. „Pan Baron przychodzi boso i płaci guzikami”. Z panem Rockiem oglądaliśmy ją z jednego rzędu w Nyskim Domu Kultury. W rolę Marie, właścicielki gospody wcieliła się Marta Klubowicz. Obserwowałem ukradkiem, słowa i ruchy żyjącego poety wprowadzały starszego człowieka w uniesienie, były misterium, zrywały na nogi. Teraz wracają te obrazy patrząc w marmur. Tablica wmurowana w posadzkę:

W tym miejscu dnia 17.10.2012 r.
o godz. 10:17 zmarł
JOSEF PAUL ROCK
który odbudował altanę w 2007 r.
R.I.P.

O PATRZENIU & WOLNOŚCI

Byłem zaraz po otwarciu - na drugi dzień. Nie lubię tłumów. Spędy rozpraszają zadumę. Nigdy nie zapomnę stromego stoku jaki ukazał się mym oczom gdy patrzyłem w dół, oparty o słup krzyża, wychylony za barierkę altany. Ja wiem, tak nie wolno, ale ciekawość silniejsza. Chyba w każdym człowieku jest głęboko ukryte ryzyko i chęć przekraczania granic. I ciągły hazard. Korony dębów przycięto, runo wygrabiono. Oczywiście same kierowały się ku przepaści. W oddali panorama Gór Opawskich, a po prawej stronie spokojna, zielona tafla jeziora nyskiego. Dzisiaj mimo, że drzewa podrosły nad wierzchołkami po lewej stronie góruje dzwonnica, spadzisty, czerwony dach bazyliki, wieża ziębicka, szpic wieży Wiercimoka, kościół Wniebowzięcia, kościół Piotra i Pawła, wieżowce przy Piłsudskiego, Kopa Biskupia jak olbrzymie kretowisko. Te widoki poza jeziorem i blokami bo ratusz był w bardzo podobnej bryle widział najbardziej znany śląski poeta.

Piewka drogi i wędrowania. Zafascynowany górami, dolinami, krajobrazami jak blask nieba zmieniającymi się z porą roku. Niepokojny duch gnał go w wojaże dalsze do miejsc nieznanych. I tu jak lustrzane odbicie pojawia się w mojej świadomości Edward Stachura, mieszkawiec pociągów, autobusów, ciężarówek, chłopskich furmanek. Piechur jakich literatura zna niewiele. Z workiem przewieszonym przez ramie, notesem, ołówkiem, jedną koszulką na zmianę. Wolny jak wiatr wiejący o każdej porze dnia i nocy w upodobanym sobie kierunku bo tak chce. Ważny jest szlak, zanurzenie w naturze, magia miasteczek powiatowych z ich specyfiką i koligacjami rodzinno - urzędniczymi. Ale przedstawienie tych twórców jako piewów przyrody, wędrowania i wzajemne związki pomiędzy przyrodą, a wędrowaniem mających stanowić zasadniczą treść ich dzieł to dalekie uproszczenie. W obu przypadkach dominuje filozofia egzystencji i nawiązanie do świata kultury europejskiej, w chrześcijańskim wymiarze. Stąd dotyka tej kultury nawet na kontynencie południowo-amerykańskim. I jest tu margines swobody w czytaniu dla czytelnika. Stąd może łatwość w zapamiętywaniu utworów, choć największą zaletą jest śpiewność. Ukryta w każdym słowie melodia. Przytoczę liryk „Pożegnanie” Eichendorffa umieszczony pod dachem altany na dębowej desce. Zapisany czarnym, przejrzystym drukiem by każdy odwiedzający to święte miejsce romantyzmu mógł swobodnie odczytać identyfikując się z otoczeniem i autorem.

Doliny wy i szczyty
Zielony lesie ty,
Tu przeżywałem skryty
Radości me i lzy.

Tam, wiecznie czymś mamiony
Świat pędzi, czegoś chce:
Namiocie więc zielony,
Raz jeszcze przyjmij mnie.

Gdy nowy dzionek wstaje,

W oparach ziemia łśni
I ptaki znów śpiewają,
Aż serce w tobie drży:

Przemija wtedy cały
Pośpny ziemski czas
I rodzisz się wspaniały
I młody jeszcze raz.

Dzisiaj pierwszy dzień lata.
Zimno. Pada już czwartą dobę.
Strach aby nie powtórzył się
1997 rok ze straszliwą powo-
dzą. Siedzę w altanie i patrzę
na ciemną taflę jeziora. Czytam
wiersze gospodarza w tłumac-
zeniu Marty Klubowicz: trans-
latora, poetki i aktorki z książki
„Memento” i ptonie we mnie
ogień, którego nie musimy strzec
całą dobę jak to czyniły we-
stalki w świątyni Westy. Gdyby
zgaś, groziła im chłosta. Wiem,
że tutaj unosi się duch poety.
Żywego pamiętają tylko dęby
– znów wybują w niebo. – Po-
kazują swój majestat. W słojach
doliczyłbym się ich wieku i za-
znaczył lata 1855-57.

Teraz rozumiem, że to wzgó-
rze było dla poety – wzgórzem
wolności. On mieszkawiec –uro-
dzony we wsi Łubowice pod Ra-
ciborzem – Wrocławia, Wiednia,
Berlina, Gdańska, Królewca.

Zaangażowany w dwa gi-
gantyczne przedsięwzięcia ma-
jące wskrzesić/ przypomnieć
zapomnianą wielkość dawnych
dziejów niemieckich: w odbu-
dowę katedry kolońskiej oraz
zamku krzyżackiego w Malbor-
ku. Student szkół we Wrocławiu,
Halle, Heidelbergu – zafascyno-
wanym do śmierci. Przytoczę
tutaj słowa Eichendorffa, kor-
zystając z eseju „Oto poeta”
Wojciecha Kunickiego:

Sam Heidelberg – pisat
poeta – jest przewspaniałym
romantyzmem: tam opłatają
dom i zagrodę i wszystko, co
zwyczajne – winorośl i kwiaty,
a zamki i lasy opowiadają cu-
downą baśń pradziejów, jak
gdyby nie było wszelkiej pospo-
litości na świecie. Tak potężna
sceneria musiała w każdym cza-
sie wywierać ogromne wrażenie
na studentach i uwalniać ich
z więzów pedantycznego kon-
wenansu; oni pili lekkie wino
zamiast ciężkiego piwa, byli
weselsi a zarazem obyczajniejsi
niż w Halle.

Tutaj – zamknięty na starość
w małym garnizonowym mieście
Nysa – odnalazł część rozle-
głej przestrzeni. Wielu ludzi takie
miejsca nazywa drabiną świata.
Myślę, że trafnie. Na zakończe-
nie ostatnie dwa wersy wiersza
„Los poety”:

Lecz nim dojrzeje owoc
kwiatka
Pochowa mnie już ziemia
– matka.

JERZY STASIEWICZ



Stefan Rusin

POETYCKIE MISTERIUM

KSIAŻKA KWARTAŁU

Świat poetycki Urszuli M. Benki budzi poczucie dziwności istnienia. Wypełniają go upiory, demony, zakochane kazirodzco córki, kurtyzany, anioły, dziewice, kaci, mniszki. Świętość skażona jest w nim grzechem. Człowiek, wędrujący po cudzych śladach, myśli o zbrodniach, o odrzuconej tasce, o pokucie. Intuicja i wyobraźnia czytelnika wprowadzone zostają w przestrzenie oniryczne, w których irracjonalne zdarzenia, przeżycia i marzenia bohaterów płaczą się nieustannie. W tym magicznym świecie nie ma jednoznacznych pragnień. Pokusy, lęki, olśnienia, groza, okrucieństwo, błogość przenikają się nawzajem. Światło chyłkiem biegnie nad bagnami, wchodzi w oceany i góry lodowe. Nie wiemy, tak naprawdę, jaką maskę przywdzieje grzech.

Bohaterom wierszy nie brakuje „heretyckiej” wrażliwości. Raz po raz wpadają we własne pułapki, zatracają się w wybujałej samotności. Ich życie wymyka się rżemowi przemijania. Benka korzysta w swoim poezjowaniu z archetypów, drąży meandry psychiki ludzkiej, przywołuje pamięć wielu pokoleń i czerpie z dorobku obcych kultur. Dzięki tym zaletom i umiejętności poetyckiego przetwarzania uczestniczymy w jej frapującym teatrze wyobraźni. Obrazy w wierszach są gęste od znaczeń.

Urszula M. Benka wyrobiła sobie literacką markę od zagadnień mitu, od tworzenia fabuły mitologicznych. W 1993 r. uzyskała tytuł doktora za pracę *Charyzma władania, święty mord. Analiza symboliki i semantyki mitycznej w twórczości Henryka Sienkiewicza*.

Czytając tom jej esejów *Psychomitolityka*, opublikowany w 2004 r., ma się do czynienia z innym spojrzeniem na politykę, na jej przedziwne, skomplikowane aspekty. W tę niebywałą opowieść wprzęgnięci są bohaterowie mitów, baśni i autentyczni uczestnicy historii ludzkości. Przewijają się tutaj takie postacie jak: Herakles, Odyseusz, Ali Baba, Stalin, Mojżesz, Chrystus, Perseusz, Lenin, Herbert. Każdy z nich żył inaczej w swoim kosmosie lęków, moralności, obyczajów, wolności. Ich psychika w dużym stopniu decydowała o tym, kim byli.

Zło ma rozdarłe kontury, ewoluuje, rozdrapuje rany, jest wszędzie. Wypełniając Europie kartę tożsamości należałoby do niej wpisać: bestia, las, brama, labirynt, los, lustro, przedproże skarbcza. W najdłuższym i ostatnim esej *Labirynt Europy* Benka pisze: „W istocie bowiem to, co nosisiśmy w sobie, czego nie nazywaliśmy wolnością, a tylko Europą, było zarodkiem zniewolenia. [...] Jeśli chcemy pojąć psychikę ludzi okaleczonych, musimy pogodzić się z faktem, że w ich (bezugranicznym) świecie nieustannie czai się lęk, a kryteria pozostają sprzeczne. Co się tyczy neurotyka, to gdy mówi o prześladowczych go widmach, mówi zawsze o swoim wnętrzu: o niechęci do wtajemniczenia i do świata. Pustynia Mojżesza, Kościół katolicki u schyłku PRL były labiryntami nadziei, ulgi, przemocy, zniechęcenia, okaleczeń. Dzisiaj Europa jawi się jako droga, nad którą unosi się mgła i kurz. Jej wartości nie są jednoznaczne. Religia staje się towarem, tężeje ksenofobia, akty przemocy nabierają nowych barw. Dla człowieka wolność staje się głębszym stadium zniewolenia niż te rygory, z jakimi dotąd miał żyć, i jakie włączone zostały w swoisty mechanizm obronny. [...] realne korzyści bycia wolnym zawężają się do wymiernych apanaży, któ-

rych strata czyni wolność aż tak dolegliwą, że gotowi będziemy nią kupczyć”.

Pieniądz zastępuje Boga, oczywiście różnie przez ludzi wyobrażanego. Obrzydliwą staje się urzędowa reglamentacja świętości. Język sztuki przewycięża niepamięć, wychodzi poza ograniczone pole widzenia, nie boi się ryzyka i klęski. „Bo labirynt – to nasza własna psychika”. Człowiek kierujący się w swoim życiu prawdą, nie chce być zbiorowym bohaterem, nie chce wyznawać narzuconych mu światopoglądów i hołubić niechcianych przywódców. Chce pielęgnować własne ja.

Psychomitolityka Benki jest książką wyjątkową, niezwykłą, pisaną jakby w natchnieniu. Myśli biegną w niej gęstym strumieniem. Pisarka zręcznie wplotła politykę w żywioł mitów i baśni. Te trzy aspekty po mistrzowsku ze sobą łączyła. Wyeksponowała dominujące w nich napięcia. Skonfrontowała ego z ja. Przypominała o wpływie moralistów i filozofów na naszą psychikę i nasze wybory życiowe. Obudziła czujność czytelnika na cynizm polityków.

Od nas jednak w dużym stopniu zależy, czy w swoim życiu wykluczymy biegunowość, czy przetłumaczymy (przekroczymy) tkwiące w nas przeciwieństwa, czy będziemy pamiętać o „doświadczeniu naszej niedoskonałości jako daru, który otwiera nam oczy na coś spoza systemu wartości, jaki został przykrojony na miarę naszych czasów i konkretnej kultury”.

W 2010 r. we Wrocławiu Urszula M. Benka zapoznała mnie z kilkoma rozdziałami swojej kolejnej powieści *Maria Magdalena*. Na kilkudziesięciu stronach buzują ludzkie napięcia, często w skrajnych, bolesnych odmianach. Żywym tłem są obrazy z czasów Nowego Testamentu. Niebywałe wrażenie wywarły na mnie sceny z życia ówczesnych mieszkańców Galilei, ich przywiązanie do tradycji i zwyczajów. Autorka nadalociaga się z wydaniem tej pracy.

Pascha – to największe święto w chrześcijaństwie i judaizmie. W pierwszym przypadku obchodzone jest na pamiątkę zmartwychwstania Jezusa, w drugim na pamiątkę wyjścia Żydów z Egiptu.

Urszula M. Benka napisała w Paryżu i we Wrocławiu, w latach 1985-2006-2012, dzieło poetyckie *Pasja Jezusa z Nazaretu*, które dopiero w tym roku zostało opublikowane przez Oficynę Wydawniczą AKWEDUKT, działającą przy Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Jest to materiał nadający się na rozpisanie go na chór, orkiestrę, głosy solowe, recytatorów. Stworzony w ten sposób utwór wokalnie-muzyczny można byłoby zaprezentować w formie koncertowej. We wstępie do *Pasji* ... Piotr Lamprecht pisze:

Urszula Benka zaprasza nas do wejścia w mit, a także – być może – w świat baśni. W gąszczu, gdzie czeka na nas dezorientacja. Tworzony mit karmi się chrześcijańskim radix – misterium paschalnym. Ten tom nie jest zapisem mistycznych przeżyć, lecz alchemiczną przemianą dogmatu w językowy mit. Wrocławska poetka przemawia jak szamanka – głos Innego. Do ręki dostajemy liryczny apokryf – rejestr czegoś bardzo nieuchwytnego i trudnego w opisie.

W *Pasji Jezusa z Nazaretu* AKWEDUKT:

Jakub, Judasz, Duch, przedstawiciele „tłuszczy”, Herod, totr, Weronika, Magdalena, dziecko, Józef z Arymatei, Łazarz, dama i sowizdrzał.

W *Stacji I według Jakuba* bohater wyraża pragnienie zaśnięcia w „nicości sprzed narodzenia” po ujrzeniu nocą w oliwniku zarysu kielicha tańczącego.

W *Stacji II według Judasza*, podzielonej na pięć części, wiruje ogień, tworząc cokół na szczycie mroku, w dolinie jego płomienie wydają się być językami węży. W głębokim dole świecą ciała robaków.

[...]

To w nim larwę w rękę pochwyć
Niby harfę.

Dwie struny rozdwojonego języka
Dziś wieszczą!...

Przechodzący anioł pozostawia po sobie ślady, Duch widzi drzwi pomazane krwią. Czyjaś pycha wzniosła nową ziemię z kurhanem. Judasz wygrywa na harfie żarliwą modlitwę. Nazwał ją mniej strachliwą od modlitwy Jezusa w Getsemani. Mówi: „Ja ciebie nie zdradziłem, proroku”.

Na polu judaszowym „swego diabła jak krzyż każdy niesie. / Swego diabła jak umęczonego syna / Jedyne wydane za życia”. W deszczu mokną judaszowe cuda.

W *Stacji III według Ducha* przejście drogą na szczyt góry jest jakby wędrówką przez przezroczystą świątynię do otchłani.

Stacja IV według „tłuszczy”. Handlarka, młokos, baba, grubas, faryzeusz, pracza, przechodzień i kupiec rozmawiają o Jezusie, Barabaszu, Piłacie i sprawiedliwości. Baba składa im relację z procesu, któremu się przyglądała. Pozostali rozmówcy prawdopodobnie też wcześniej stali przed tronem namiestnika. Większość zgromadzonych na placu wołała o uwolnienie Barabasza.

Namiestnik z tronu wstał. Podniósł szablę:

Kogo chcecie? Jeden tobie, mój ludu,
zmartwychwstanie i grzechów
odpuszczenie obiecał,
A drugi jest rodem z piekła.
Kogo będziesz krzyżować,
Jak łotra, niezgulę i wisusa?
- Jezusa!!!

Stacja V według Heroda. W długim monologu Herod chce za wszelką cenę nakłonić Jezusa do uczynienia cuda! Tak swoją cyniczną mowę rozpoczyna:

Milczysz.

Powrozami, widzę, spętanyś, ale
gorzej
Wzgardą.

Stałeś synu Boży tu na moim
dworze

Jasnym

Jak pobielany grób

- twoich dobieram słów –

Serce miga ci w piersi jak miecz

i odbija się w błocie po burzy.
Bóg w błoto zszedł,
Cały, z głową, w błotach się zanurzył. Potem w skale.
Jej żyłami spłynął jak w kielich wina,
Poszła w dół Boża lawina.

Lepiej także powiązać teraz ludzi
Grubym sznurem.
By nikt nie drgnął. Człowiek to nie struna.
Nie wygra wszystkich tonów. Na tym weselisku
Gwałtownym, przepaścistym i bezludnym
Bóg gnije i w gniącym kielichu
Dopełnia swojej nocy poślubnej.
Chce tylko własnej ukochanej,
A łono jego oblubienicy jest jak lira
I ciało pod dotykiem się rozpyływa.

W ciałach książecz odbija się z bólem.
Słysząc krzyki kamieni, szepty piachu.
W piachu ślady. Ludzi, owadów i ptaków, bydła, bestii.
Droga łśni. Tą żyłą wilgotną wszyscy przeszli,
Nim opadli na drugi brzeg
W szczęściu.
Gniący kielich i spleśniały chleb
Na tym weselnym stole
Pod drzewem podniebnym.

Ulewa. I krople uderzają rytmicznie.
Twoje weselisko tragicomiczne.

Piękny chłopiec żyć przestaje.
Piękna panna śmierć zadaje.

Stacja XII według damy i sowizdrzała.
Ekstazy radość podróżowania tych dwojga młodych osób mącą poczynania wiedzy, która przyczyniła się do śmierci dwóch koni, ale jakimś dziwnym sposobem „w wietrzność roziskrzoną odbiegły”. Wędrówka sowizdrzała i damy spowita jest w metafory, nie wiadomo, jakim środkiem się przemieszczają, mijają rozplamione skały, strumienie, góry, Kalwarię.

Jezus w *Ostatniej stacji* (bez numeru) wymienia w długiej litanii, kim i czym był. Tak się kończy to poetyckie misterium.

Benka w *Pasji Jezusa z Nazaretu* pokazała groźny, tragiczny i groteskowy charakter ludzkiego zła, posługując się szeroką gamą niuansów poetyckiego języka. Mroki tamtych czasów nie wszystkich w jednakowym stopniu upodobały. Nadzieja i wiara, może naiwne w swojej prostocie, niecierpliwie podążały niepewnymi tropami ku oczyszczeniu. Narażone były jednak na kolejne i przykre przewartościowania.

STEFAN RUSIN

Urszula M. Benka, *Pasja Jezusa z Nazaretu*, Oficyna Wydawnicza Akwedukt, Wrocław 2020, s.64.

Czesław Sobkowiak

URSZULA M. BENKA

Zgadza się. Jest intrygującą i tajemniczą poetką wrocławską. W połowie lat siedemdziesiątych Janusz Styczeń, z którym dosyć często, a może nawet i regularnie widywałem się w kawiarni Empiku, jeszcze wtedy w najlepsze usytuowanym na Placu Kościuszki we Wrocławiu, w połowie lat siedemdziesiątych powiedział, a raczej oznajmił mi, nie bez pewnej konfesyjnej ekscytacji, jak to on, że poznał młodą, utalentowaną poetkę, której wiersze lubi. „Bardzo dobre wiersze” – coś w tym rodzaju.

Czuć było w jego głosie fascynację posiadaną wiedzą i tym, że jest to jego, bliskie mu ideowo, odkrycie poetyckie. Zaciekawito mnie to, dotarł do mnie sygnał, ale samą poetkę poznałem dopiero wtedy, gdy w roku 1975 wydała debiutancki zbiorek „Chronomea”.

Miał on od początku coś własnego. Nie tyle surrealistyczną estymę, co magiczne zacięcie, obrazowe i retoryczne zaplątanie, skomplikowanie, zapewne też ślady poetyckiej szkoły autora „Trującego piękna”, „Rozkoszy gotyckiej” i innych tomów. Tak czy inaczej te poezje światopoglądowo były Styczniovi dosyć bliskie, choć wątpię czy nadal tak można sądzić, zwłaszcza po lekturze niedawno, w wydawnictwie wrocławskim „Akwedukt”, wydanej przez Benkę „Pasji Jezusa z Nazaretu”, podobno już tłumaczonej na język ukraiński.

Zanim o tym więcej, to jeszcze o życiorysie poetki. Cechuje go wielość wydarzeń, ale i intelektualnych poszukiwań sensu istnienia. Była stypendystką literacką Sorbony, mieszkała we Francji i w USA, potem przez kilka lat w Katowicach (1991-1994), a obecnie już stale we Wrocławiu. Po takich zbiorach wierszy jak: „Dziwna rozkosz”, „Perswazyjne dziewczynki” i innych (np. prozie pt. „O”), przyszła kolej na zgoła odmienną w wymowie, ósmą z kolei, pozycję poetycką pt. „Pasja Jezusa z Nazaretu”.

Nieco zaskakującą w wyborze treści, bo cały swój wysiłek twórczy, nie tylko stricte poetycki, skierowany jest na przedstawienie wizji Drogi Krzyżowej Jezusa, a konkretnie jednego z epizodów drogi Jezusa na Golgotę, czyli na ważną dla tej książki historię zbawienia. Znamy drogi krzyżowe dosyć dokładnie. Od strony ikonograficznej one są różne, umieszczone obowiązkowo w każdym kościele, symbolizujące poprzez znaki, na drewnie, na płótnie lub poprzez namalowane na ścianie freski. Jest tych Stacji Męki zawsze dwanaście. Dla chrześcijanina, a zapewne nie tylko, są przejmujące, zwłaszcza wtedy, gdy wraz z modlącym się kapłanem, w czasie Wielkiego Postu, modląc się uczestniczącym w cierpieniu Chrystusa, co w jakiś sposób boleśnie wtajemnicza. Ale nie tylko wtajemnicza, lecz przypomina, uzmysławia tę ostatnią drogę odkupienia człowieka przez ofiarę Jego życia. Mam w pamięci nastrój i melodię wielkopostnych nabożeństw, bo uczestniczyłem w nich regularnie, corocznie, w parafialnym kościele.

W zbiorze Urszuli Benki też jest dwanaście stacji. Czytelnik od razu orientuje się, że nie chodzi o ścisłą przyległość tematyczną, co raczej o akt twórczy, o rozpisanie na tym tle własnej wizji, własnego światopoglądu poetyckiego, stąd relacja niewiele

ma wspólnego z klasycznym kanonem pasji wielkopostkowej. Jednak nawiązania tematyczne są obecne. Swoją zbiór poetki otwiera głównie (tak to odczytuję) rozległą Stacją II „Według Judasza”. Nie chodzi Urszuli M. Bence o rozpamiętywanie i optakiwanie cierpienia i śmierci Zbawcy, jak to było zwłaszcza w średniowiecznych misteriach pasyjnych i obecnie w różnych miejscach na świecie nadal ma miejsce (Filipiny, Meksyk, Kalwaria), jak jest to niezwykle uwiarygadniające przedstawione w filmach (Gibson, Zeffirelli, Pasolini...). Chodzi Bence raczej o pewną wyrazistość ideową, tutaj także realizowaną poprzez zastosowaną poetykę roli, w której skrywa się dyskurs odautorski, podmiotowo żarliwy, nie wolny od jakichś kontrowersyjnych stwierdzeń, np. „Lepiej także powiązać teraz ludzi / Grubym sznurem” (s. 52). Z dwóch perspektyw głównie poetka przedstawia problem. Relacjonuje tę ewangeliczną historię jak reporter-sprawozdawca, który przytacza głosy. A mianowicie: stacji IV „Według Tłuszczy” są to zdania, komentarze, wypowiedzi różnych osób: Baby, Praczk, Przechodnia, Handlarki, Kupca, którzy głosem pozyskaną wiedzę o osądzeniu Jezusa z Nazaretu, o jego niewinności, wielkości, zasługach, uczynkach, cudach, o tym co zasłyszeli i co się im wydaje. Cechuje te wypowiedzi rubaszność i emocjonalna zmienność, i powierzchowność. Tak jak i dzisiaj. Istota sprawy pozostaje poza zasięgiem, znika z pola widzenia, jakby niemożliwa na tym poziomie spójnym do objęcia. „Tłuszcza” ma swoje rozeznanie i rację. Rytm tej stacji jest swoście nacechowany wigorem, rytmem nawiązań do zasadniczego tematu. Elokwencja językowa oraz ukazanie mieszaniny postaw w ujęciu Benki może być warta docenienia. Poznajemy świadomość zwykłych ludzi, ich trywialne osądy i reakcje. Odzywki chaotyczne. Taka jest poetyka miejskiej ulicy, mentalności.

Natomiast kolejne zbliżenie problemu przynosi Stacja V, „Według Heroda”. To już apokryficzne wejście do jaskini smoka. Pragnienie poufatego dialogu okrutnego władcy, nękanego nudą i pustką, lecz optywającego w bogactwa. Próba rozmowy z bezbronnym Jezusem, ukrytym wielką legendą, wieloma przekazami ustnymi i świadectwami świadków ma przerażający wydźwięk. Władca wie z kim ma do czynienia, toteż stara się wyświadczyć mu odpowiednią dawkę uprzejmości. Wylewa się z Heroda potok słów, rozpaczliwa słabość, upokarzająca nędza wewnętrzna. Milczenie Jezusa sprawia, że mimo wielokrotnych obietnic, żądań, prób i zastraszek, ten potężny człowiek w swojej przebiegłej narracji odstania siebie jako nędzarza duchowego. Nie ma w nim tego czegoś najwężniejszego, niematerialnie cennego, choć władca posiada wszystko – złoto, klejnoty, lecz doznaje, że czegoś mu najbardziej brak. Cudu mu brak, znaku. Nie chce jednak w sobie niczego zmienić, by dostąpić wtajemniczenia. Tak jak często i my nie chcemy. On stara się wyłącznie posiadać, mieć władzę, posłuch, strach ludu, nie chce być nikim innym, dlatego spotyka go coś w jego pojęciu niezrozumiałego – osądza-

jące z wielką mocą milczenie Jezusa. Wydaje więc Jezusa faryzeuszom, odziewając go w szkarłatne szaty. Myślę, że ta część książki Urszuli Benki ma największy dramatyczny ciężar, dotyczy potęgi duchowej, więc wywiera jakieś piętno, bo można sobie wyobrazić niesamowitą konsekwencję postawy Jezusa, niezłomność (potrzebną dzisiaj światu) w miejscu nie pozwalającym zawierać jakiegokolwiek kompromisu, gdy sprawa jest wielkiej wagi, większej aniżeli koniunkturalny układ.

Łście diabelskie kuszenie nie może więc się ziścić. Zwycięstwo dokonuje się gdzie indziej. Inna racja jemu patronuje. W moim odbiorze w tych dwóch stacjach wyczerpuje się ważna treść tego zbioru. Pozostałe dla poetki też ważne, czym są? W moim odczuciu, to ujęte w poetycką materię myśli, rozważania, ekspozycje podmiotowych treści, (cyt. „Człowiek / To tylko sposób istnienia Boga”). Treścią jej wewnętrznych

emocji poetyckich są ewangeliczne nawiązania. Pisze poetka poniekąd Łazarzem, Łotrem, Judaszem, Józefem z Arymatei, Magdaleną, Weroniką, ale po swojemu, według własnej wyobraźni i też widoczne jest, choć mocno zawołowane, odniesienie do współczesności.

Tych wielce metaforycznych wierszy tytułowej Pasji nie da się, (przynajmniej jest pewne ryzyko), jasno interpretować. Odnoszą się bardziej do świata wewnętrznego, do *licentia poetica*. Nie chodzi w nich o mistyczne przeżycia, ani o dosłowne rozumienie historii zbawienia. Mają mieć uniwersalną wymowę (można o to zapytać), i podmiotowe uogólnienie. W końcu każde tworzenie do tego intencjonalnie zmierza. Myślę, że autorka w takim momencie jest poetycko sprawna, ambitna, więc mierzy wysoko, chce zbliżyć do się do wyjaśnienia w szerokiej perspektywie tajemnicy istnienia. Stara się wyrażać swoje ja, uzasadnić

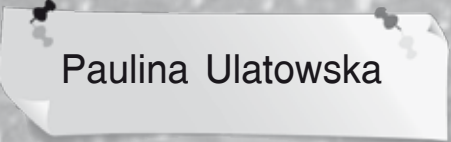
swoją filozofię, swoje widzenia spraw.

Charakterystyczny i wcale nie odrębny od toku prezentowanej filozofii jest wiersz „Stacja ostatnia”, dający wyraz mentalnego wcielenia podmiotu we wszechbytność i przechodzenia „żyłą wilgotną”, którą „wszyscy przeszli”. To jakby litanijne wyliczenie ten fakt akcentuje. Co to wszystko znaczy? Książkę tę należy traktować jako owoc, jako pochodną formuły myślenia ezoterycznego. Jej treści są pochodną umysłowych wizji. Piotr Lamprecht w swoim wstępie do zbioru ma rację, że książka ta może zarazem pobudzać do stawiania pytań, rozsiąany jest w niej „soteriologiczny niepokój” o sens istnienia. Tak. Wypełnia poetka zadanie, które dzisiaj już mało kto sztuce przypisuje. Jest książka (s.64) Urszuli Benki zarazem skomplikowana, pełna zwątpień, mroku i dosyć rozpaczliwego poszukiwania ładu w świecie.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Karola Zielińska





Paulina Ulatowska

Pokolenie

więc powiedzą o nas szaleńcy

szaleńcy
wycinają wielkie drzewa

w miastach z papieru płoną szaleńcy kąpią się w gorącym końcu świata

ziemia ma dziurawe kolana w rzece sączącej się krwi płyną skomlące psy

jest nas za dużo za gęsto
nie mieścimy się w swoich głowach wyobrażeniach
matka nie dzieli się między dzieci wiatr wieje wszystkim w oczy tak samo

Siedzę na plaży i patrzę na wodę

wszystko jest w uderzeniu
rozbiciu się fali z gwałtem rzuconej o mocny brzeg

brzeg jest przyjęciem ciepłym otwarciem cierpliwym łonem i istnieje w nieczasie

na środku morza jest szczelina
taka sama jak w kącie dna mojego oka

gdzie mieszka olbrzym i kwant światła oddziela błękit nazywa siebie kolorem

pomnożone na ptaki na chwilę marzenia
są ważne kiedy idę miastem na niby żywym

zatrzymanym w sobie w krzywej rozmiaru głębokiej zmarszczce czoła starszego pana

z lasu wychodzą zwierzęta na poły głodne
na poły złe a mędrzec siedzi i patrzy uważnie

To wszystko jest fatamorgana

jestem mimożą trochę wstydliwą czółenkami z pierza zależę od światła oniryczna mgła

przykrywa mnie całą i rozchodzi się poranną bryzą po wodzie

mury mojego cielesnego miasta runą pewnego dnia słońce rozpuści się i wystarczy dla wszystkich

jestem
jestem a w nim całe skupienie jądro oddaleń które tęsknią
do litrażu złudzeń punktu w którym trwają wszystkie odejścia

STAĆ SIĘ JAK DZIECKO STAĆ SIĘ JAK DZIECKO

STAĆ SIĘ JAK DZIECKO

Anton Marczyński

Co, w gruncie rzeczy, znaczy stawanie się? Czy jest nim, na przykład, przejście z jednego stanu w jakiś inny? Czy też, być może, chodzi o przejście od jednej istoty do innej, o przemienienie jednej w inną, o transgresję jednej w inną? I czyż nie bywa tak: człowiek odkrywa nagle, że jest już kimś innym, kim nie był przedtem? Że wszystko się zmieniło, że to on właśnie się zmienił, że jego dotychczasowego już nie ma, że zniknął, zmarł? I że jest ktoś inny, z którym on siebie utożsamia, jakkolwiek siebie w nim nie rozpoznaje? Pamięta jednak siebie sprzed tej przemiany i po tej przemianie, która zyskuje zresztą ważne znaczenie w historii jego życia.

To zdumiewający paradoks, na tyle zdumiewający, że działa on na wyobraźnię od wieków: zgodnie z nim życie człowieka do samej jego śmierci może składać się z mnóstwa jego własnych śmierci, które wcale nie zaprzeczają jego kontynuacji. I każda poprzednia istota (jeśli, rzecz jasna, odbywa się taka przemiana) może radykalnie różnić się od następnej, ale zarazem utrzymuje się nieustannie pewna tożsamość, pewna historia (pominąwszy różne patologie), która trwa od znanego jednego do jeszcze nie znanego drugiego. Ale historia istnieje zawsze, zawsze też wiązuje te, ułożone chronologicznie (to znaczy zgodnie z nią, z historią) stany, które zresztą mogą też być tylko modusami jednej substancji – i niczym więcej.

Stawanie się może mieć też modus negatywny – może być zniknięciem. Jest nim sama śmierć, ale w tym sensie jest nim również obiecanie przez wiele religii niewyraźne życie pośmiertne, albo też, na przykład, proponowana przez etyków z XX wieku maksyma rezygnacji z własnej substancji na rzecz Innego, a więc rezygnacja z siebie samego, samounicestwienie w sensie jak najbardziej ontologicznym, które, jednak, nie koniecznie ma być unicestwieniem własnej osobowości. Wręcz przeciwnie, może być naturalną drogą jej – osobowości – kontynuacji, rozwoju, a nawet wyzwolenia (we wszystkich możliwych znaczeniach tego pojęcia), jedyną, zresztą, jej drogą w kierunku wszelkiego rodzaju mistyczności.

Ale podstawową formą stawania się jest właśnie pojawienie się, stworzenie się, zrodzenie się – takie stawanie się, jak stawanie się *kimś*: jako pierwsza hipostaza. Ważne przy tym, że każde ze wspomnianych trzech znaczeń może być przedstawione przez greckie słowo *γίγνομαι*. Tak uczynił św. Mateusz, używając jednej z form tego słowa – *γενεσθε* – w swojej Ewangelii, przedstawiając wezwanie Jezusa, aby stać się jak dzieci: „Zaprawdę powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 18, 3).

A jednak – co istotne – ta forma stawania się jest charakterystyczna właśnie dla dziecka, bo to dziecko samo-/identyfikuje się również poprzez perspektywę stawania się *kimś*, gdy dorosłość, samo-/identyfikuje się poprzez ten swój stan w przyszłość, który będzie nareszcie świadczą o pełnowartościowości jego egzystencji. Bycie dzieckiem jest więc ciągłym stawaniem się, przyjmowaniem formy, przeobrażaniem się w byt – byt dokonany. Nigdy nie można bowiem powiedzieć, kim dziecko jest, póki ono się *kimś* nie stało. Relacje z nim i uczucia wobec niego mają tutaj bardzo ważne znaczenie, znaczenie nadzwyczajne, gdyż mogą oka-

zać się decydujące w jego formowaniu. Lecz pod uwagę zawsze bierze się przede wszystkim to właśnie formowanie.

Tym bardziej, że samo dziecko, spotykając fenomeny [świata], znajduje siebie pośród nich z perspektywy przyszłego „gdy wyrosnę”, „gdy [kimś] się stanę”, a także „gdy będę *kimś*”. W taki sposób dziecko nie tylko znajduje czas ze względu na przyszłość, w którą się projektuje. I odnajduje siebie jak tego, kto już się stał, jako swoją hipostazę, w relacji diachronii do siebie teraźniejszego. Jest ono zatem hipostazą niedokonaną.

W tym sensie dziecko radykalnie różni się od dorosłego. W istocie chodzi tu o różnicę ontologiczną. Stawanie się – podstawa wszelkiego powstawania, kształtowania, a także transgresji bytów. Nie jest to tylko ten, kto się staje wobec tego, kto się stał, kto jest etechni. Dziecko nie jest bytem, chociaż jeszcze nie jest bytem, a więc po prostu jeszcze nie jest, bo jest (czy raczej *ma być*) dopiero ten, kim ono ma się stać – jedyną bowiem jego (dziecka) charakterystyką ontologiczną może być stawanie się. To znaczy, że dziecko – to niebył, który się staje, a więc – nie byt. Staje się *kimś*, staje się tym oto bytem. Dziecko jest przeciwstawione hipostazie – dorosłemu i jego światowi. Można byłoby stwierdzić, że są oni diachroniczni, lecz to tylko jeden z nich jest, drugie zaś ciągle staje się.

Nie oznacza to zaprzeczenia bycia dzieckiem, ale właśnie afirmację takiej formy bycia, której miejsce (choć do czasu) jest poza porządkiem bytu, poza porządkiem czasu, poza porządkiem świata, poza wszelkim porządkiem, bo ono je jedynie odnajduje, jedynie odnajduje w nim miejsce dla siebie, odnajdując zarazem stopniowo samo siebie. Ten, który się staje, nie jest więc „*kimś*”, gdyż nikim jeszcze się nie stał. A zatem nie chodzi tu o transgresję jednego bytu w inny, lecz tylko o hipostazę. I nie o zmianę, tylko o ustanowienie – nowej (czy jedynej) – istoty. Chodzi o powstanie świata.

Pozwala nam to przypuszczać, że czas dziecka różni się od czasu dorosłego. On też z pewnością jest ukierunkowany, ale przede wszystkim to, w jaki sposób i ku czemu jest ukierunkowany, stanowi fundamentalną różnicę. Czas dorosłego prowadzi od wydarzenia do wydarzenia, do tego, co odbywa się, czyli ku śmierci, jak mówił Heidegger, albo ku pełnemu samouświadomieniu się Ducha, jak to było u Hegla, albo też ku szczęśliwemu końcowi eschatologicznemu, opisywanemu przez oponenta jednego i drugiego – Lévinasa, do jakiegokolwiek wreszcie zakończenia eschatologicznego etc. etc.

„Czas” dziecka natomiast jest całkiem inny. I wlece się on powoli – ale czyż nie dostrzegalnie? I czyż nie to jest pierwszym byciem-ku [-czemuś] (*das Sein zu*)? „Czas” ten charakteryzuje się owym „potem”, skierowany jest na hipostazę, jest „czasem” hipostazowania, ale też nie jest zarazem hipostazowanym czasem dorosłego. „Czas” dziecka jak gdyby nie istnieje. Ow „czas” bowiem, podobnie jak dziecko, nie miał również hipostazy. Nie był on bowiem pochwyciony przez jakąś dopełnioną strukturę: o n j e s t d z i e c k i e m.

Czas dorosłego jest to coś-od-czegoś-do-czegoś. „Czas” dziecka nie ma natomiast punktu wyjścia. On nigdzie i „nigdy” się nie zaczyna, bo nigdzie i „nigdy” nie zaczyna się dziecko. On jak gdyby wypływa z ja-

kiejś niejasności, przejawia się z niepamięci, bo czyż pamięta siebie „na początku”, to znaczy – p r z e d t e m ? A jeżeli nawet tak, to pamięć ta jest niejasna, dziecięcą pamięcią, która nie jest pamięcią dorosłego. Bo przecież – mając już pamięć – ten, który się staje, staje się *kimś*, otrzymuje własną historię, czas hipostazowany (a w tym i własny początek). Dziecięcą zaś pamięć jak gdyby wydobywa siebie z tumanu, jaki nie jest jeszcze początkiem świata. Ale tu właśnie dokonuje się początek świata. Ale tu właśnie dokonuje się początek czasu, początek Czasów – nieokreślone, nieuchwytnie *illo tempore*. Stawanie się *kimś* prowadzi jedynie do początku Czasów, zbieżnego z początkiem tego, kto chyba czas ma – odmierzając go, rozporządzając nim, będąc za niego odpowiedzialnym (albo, być może, czasu nie mając, nie mając czegoś, co jest teraz zawsze i wszędzie).

Dziecko więc jak gdyby wynurza się powoli z jakiegoś tumanu, który zapętnił sobą wszelką przestrzeń. Dziecko jawia się w taki sposób samo dla siebie. Ale tak jawia się też i wszystko, co jest dookoła. Czasem ów tuman pozwala zobaczyć różne rzeczy, różnych ludzi, którzy są, być może, fragmentami czegoś większego. Rozwiewa się on wprawdzie, ale potem znów ich pochłania, jak gdyby i tu także nic nie było przedtem. A potem zjawiają się znów i zjawiają się już inaczej – jako inne, jako niezrozumiałe inne. Tak, jak w *Amarcordzie* Felliniego – rozsiany w tumanie świat. Czy też zrodzony w tumanie świat. Jak chaos. Jeszcze chaos.

Toteż, kiedy tu właśnie dokonuje się początek świata, świat ten, wydaje się, dopiero co powstał przed niewinnym spojrzeniem dziecka albo też razem z nim, albo też całkiem jeszcze nie powstał – wciąż tylko rozsypują się i zlewają się w jedno, przepływają jedno obok drugiego i gdzieś gubią się zupełnie nie związane jeszcze ze sobą rzeczy, zdarzenia, uczucia. Niemniej one już powstają. Już daje się ich rozróżnić, ale też i zapomnieć. Mimo to one jeszcze nie są – ale czyż jednak nie powstały tu oto? One jeszcze nie są, bo one się *stają*, stają się dopóty, dopóki staje się dziecko. Dlatego jakiegokolwiek stosunku dziecka do nich – do wszystkiego, co go otacza – nie można nazwać ekspansją, nie ma bowiem wobec czego i dla kogo tej ekspansji prowadzić.

Być dzieckiem – to znaczy: tworzyć świat. Świat czasem śmieszny i niedołężny, czasem przerażający aż do beznadziei, ale zawsze swój (jaką zaś tragedią może być rozzarowanie nim! – ale to jest możliwe wyłącznie *potem*). Być dzieckiem – to znaczy: stwarzać/odkrywać dookoła siebie byty, a zarazem – stwarzać/odkrywać siebie. Być dzieckiem, stawać się „*kimś*” – znaczy też manifestować swoją obecność, przejawiać się. W czymkolwiek – w emocjach, w śmiechu, w płaczu, w dziecięcym zdziwieniu się, zaufaniu i strachu, w samym swoim pragnieniu by stać się „*kimś*”, ale też i w *moim* etc. Lecz to wszystko są hipostazujące manifestacje tego, co jeszcze hipostazą nie jest. Są to płaskie i przemijające odbicia, odzwierciedlenia, nie połączone w jedno. Nawet wtedy, gdy przedstawiają się jako hipostazy – różnoksztatne i różnobarwne w swej wielości. Zresztą, może to częściowo utrzymać się i po wielkim *zamieraniu* oraz *złączeniu* się. Na przykład w mówieniu obcy-
mi językami. I wtedy bowiem człowiek wra- ➔

→ ESEJ ca – w pewnym sensie – na drogę dziecka, po raz drugi, po raz trzeci... I wtedy mnoży się, ma nowe hipostazy, ale prawie zawsze niepełne i uboczne, i nie całkiem swoje.

Być dzieckiem znaczy nie mieć pełnego horyzontu w sensie Husserlaowskim, nie mieć żadnego. Bo przed dzieckiem zjawiają się wyłącznie pewne jego fragmenty, raczej niejednoczesne. Podążając one jeden za drugim, ale zawsze zagarniając uwagę dziecka w całość jej szczeroci. W innym razie zresztą one dla niego po prostu nie istnieją, bo nie są ciekawe. I na tym polega ważna cecha dziecka. Nie jest ono po prostu ciekawe czy nieciekawe czegoś, jak też nie stwarza ono świata, lecz jest samym stwarzaniem, jest bowiem urzeczywistnieniem hipostazy.

Jego intencjonalność zasadniczo się różni od intencjonalności dorosłego. Dziecko jest samą swoją intencją, ale jedyną intencją. Jest ono jak hezychastyka 'ἐνέπεια' – ta jedyna i święta, bo prowadzi do świętości, a nie jest świętością, jeszcze nie rozszana 'ἐνέπεια'. Jest ono całkowicie w swej intencji. Nie zanika w niej, chociaż o jego źródle – o tym, skąd pochodzi – nie można nic powiedzieć na pewno. Któż bowiem zdoła tu wyodrębnić stałe ego, tę zamkniętą [na siebie] monadę? Ani to, na co jest ona skierowana. Nie ma bowiem bytu – tego stałego, właściwego światowi bytu, wypełnionego przez przymioty, cechy, właściwości – wszelkiego rodzaju predykaty; ale bytu takiego, który utracił (od czasów dzieciństwa) ten swój rdzeń, jaki świadczyłby o sobie sam z siebie. Ta zadziwiająca intencja jest taką nawet w perspektywie „stawania się kimś”, sama bowiem nie ma żadnych predykatów, jest wolna od nich, jest prosta. Prosta i umitowana, bo jest to po prostu dziecko. I kocha ono nie dla czegoś, i ciekawi się nie dla czegoś, i jego uwaga jest nie dla czegoś, lecz ono samo równieź jest tym, co Scheler – podążając za PASCALEM – nazywał *la logique du cœur* (albo *ordo amoris*). I jest to jedyny jego porządek, jedyny, zgodnie z którym spotyka się ono i obcuje ze swoimi najbliższymi, z tymi, którym ufa (dlatego też i ufa), a także w ogóle ze wszystkim, co „jest” dookoła. Bo w jego szczeroci i prostocie ciekawi go „co to?” i „dlaczego?” (ale dlaczego naprawdę! w najbardziej metafizycznym sensie! poza ograniczeniami świata kształtowanego w ciągu życia!). Bo dziecko jest ciekawe, lecz nie zaciekawione.

Ale wówczas predykaty, jednak, powstają. Pierwszych z nich już nigdy nie zapomnimy i przypominamy je sobie ciągle, żyjemy nimi jako związanymi z dzieciństwem sentymentami. Są one niewinne na początku, potem zaś skierowane na rezultat, na skuteczność. Dlatego i pierwsze działania – często nieświadome – nie są skierowane na rezultat, lecz zgodnie ze swoją przyrodą powstają ze względu na samą intencję. Stąd też i natura gry – nie ma innego „dla czegoś”, oprócz samego procesu. Tak po prostu.

Chyba tylko z powodu nudy? Nuda dziecka jest czymś niesamowicie trudnym do zniesienia, prawie niemożliwym. Jak i szczególnie – najwęższe, jak i smutne – najstraszniejszy. Dziecko jest w nich całe, bez reszty. Więc nuda, gdy nie ma gdzie się podziać, gdy trzeba wysiedzieć t u do końca albo po prostu z czymś, co raptem obrzydło... Chce się więc porzucić na coś i uciec, i zając się czymś innym, naprawdę ciekawym, t e r a z ciekawym. Chce się czymś zająć. Ale czy ta nuda jest taka jak u dorosłego? Czy zawsze jest taka jak u dorosłego? Ona naprawdę może prowadzić do myśli o tym, jak zabić czas. Ale czy poprowadzi do myśli o wartości czasu i o tym, jakby go można było dobrze, sku-

tecznie wykorzystać? Choć podpowie ona zawsze, jak łatwo można się jej (nudy) pozbyć, zawsze będzie przewidywała wyjście do nowych światłych radości. Nie będzie ograniczała, lecz raczej kierowała.

Nie przywidzie ona myśli o wartości, o korzyści i skuteczności, bo nie ma jeszcze wartości, nie ma korzyści, nie ma jeszcze wiedzy o tym, co lepsze, a co gorsze. Tym bardziej nie ma jeszcze etycznego porządku dobra i zła, nie ma wiedzy o nim (albo też: nie jest on jeszcze zapoczątkowany przez wiedzę), dziecko bowiem przebywa poza tym porządkiem, poza jego różnorodnością. A jeśli niekiedy spotyka jego różnorodność, jawy, nie utrzymuje ich przed sobą – w swej pamięci – jednocześnie. Tylko waha się między jednym a drugim. Dlatego też może się wydawać, że jest ono czasem dobre, czasem złe, czasem święte, a czasem demoniczne, że w świetle etyki ono migocze, oscyluje, jak nikt inny – niewinne i wstrętne, bezbronne i groźne, sprzeczne wręcz nieludsko. Niczym Jezus z Arabskiej ewangelii dzieciństwa, który w święty dzień stwarza z gliny żywe ptaki, dla pustego kaprysu sprawia, że ludziom usychają ręce, zabija, potem zaś miłosiernie uzdrawia i wskrzesza (choć nie wszystkich). Tak, jak gdyby nie znał porządku dobra i zła, i porządku świata, tak, jak gdyby znajdował się – jak dziecko właśnie – poza tym porządkiem. Bo dziecko okazuje się w tym sensie poza wszelkim porządkiem. Lecz też pragnie dotrzeć doń, opowiadać go, żyje jego perspektywą – czyż to nie on bowiem wabi je możliwością odpowiedzi na wszystkie „dlaczego?”?

Kant powiedziałby wprawdzie, że człowiek jest z natury zły. Ale przecież to właśnie człowiek Kanta jest od samego urodzenia niezmienny w swej formie i zdeterminowany przez nią. Od samego swego powstania wpisany już w pewną strukturę, albo też jest pewną strukturą. Wija ją – przeżywa i precyzyjna, wszechogarniająca i wspaniała w swym porządku – to wizja dorosłego, wizja, która zarazem określa własne granice. I niewiele tu jest miejsca dla dziecka, chyba tylko poza sferą człowieka (-rozumu). A człowiek – to jest ktoś, kim należy się stać.

Dopóki więc dziecko nie należy do tego porządku, który jeszcze nie powstał, jest ono czyste, bezgrzeszne. Dziecko nie zna żadnej etyki, jak też nie pamięta historii swych czynków. To znaczy, że dziecko, nie mając historii oraz nie mając pamięci – a więc nie mając samego siebie – jest wolne od grzechu. To dorosły poprzez pamięć, poprzez historię, znajduje siebie – i to znajduje w pewnym porządku. A znajdując tam siebie, uświadamia sobie, że jest nań skazany, że pozbył się tej natury bezgrzesznej, co znaczy, że już ma pewien grzech – grzech hipostazy. On już stał się, tak właśnie, jak ci, którzy stali się „jak bogi” (por. Rdz. 3, 5).

W swej pamięci, we własnej historii, otrzymał on pewien punkt wyjścia, do którego ma zawsze teraz być przywołany, otrzymał siebie. A z sobą – cały świat, wypełniony przez mnóstwo rzeczy, które stanowią zakończenie każdej z jego intencji. Dla pamięci dorosłego pozostawiony jest ślad, który jest przez coś pozostawiony i który świadczy, że nie jest to już początek świata. Nie jest to jeszcze ten ślad, który odkrywa przed nami transcendencję (i nie jest konieczne, żeby taki ślad w ogóle nie zdarzył). Ten ślad dla dorosłego może być nawet jego własnym śladem. On świadczy o czasie, jaki zarazem jest historią, oraz o jego profanum. On świadczy, że owo nie-dziecko do takiego czasu należy – i że należy ono do świata.

Natomiast dla dziecka punktem wyjścia jest ktoś taki jak rodzice: ono pochodzi jedynie „od rodziców”, którzy również są jego

pierwszym „ja”, właśnie jego swoistym substytutem – póki nie ma jeszcze własnego. Ono pokłada w nich ufność oraz od nich zależy. Jeśli istnieje wtedy jakiś porządek, w który dziecko jest wpisane, to jest to ów pierwszy i jedyny porządek, ten, poprzez który ono konstytuuje świat. To znaczy, że porządek ów jest korelatem jego formowania, jego stawania się. Bo on właśnie przyczynił się do powstania dziecka-intencji; jest to strona niejasnego początku, który ma zapewnić nie-rzucenie dziecka w świat – w przeciwieństwie do rzucenia (die Geworfenheit) dorosłego, który – nadto – ma być gwarantem szczęścia dziecięcego. Jeśli to zanika, zanika też i dziecko. Stąd i zaufanie dziecka. Można więc powiedzieć, że dziecko całkowicie zbudowane jest z zaufania. A jest to świadectwem jego szczeroci i prostoty. A zresztą także świadectwem pokory (nawet jeżeli nie zawsze jest pokorne).

Ale staż zarazem bierze się jego strach – nie pojawia się on dlatego, że dziecko było/jest [po]-rzuczone, lecz dlatego, że ono raptem może być [po]-rzuczone i straci jedyny punkt oparcia dla swego istnienia. Jest to lęk przed zniknięciem, lęk przed własną nieobecnością w świecie, który dopiero powstaje. Jest to lęk przed śmiercią, którą można zarazem obserwować aż do pełnego własnego zgaśnięcia się, a także potem. Jak ten dziecięcy jeszcze sen o świecie, w jakim dziecka, czyli „mnie”, nie ma; sen o świecie, jaki całkiem „mnie” nie potrafi – i nie można powiedzieć, że „mnie” temu światu nie wystarcza. Jest to ten świat, który dziecko znało wcześniej, nim znało samo siebie. Być może on powstawał równocześnie z nim, ale to właśnie w nim dziecko znajdowało samo siebie – nie od razu, powoli, póki wyłaniała się z tego tumanu jego własna historia oraz jego pamięć. A więc, dlaczego nie mogłoby ono zgasnąć? Zgasnąć tak, żeby to było widac, jak w tym pierwszym doświadczeniu, kiedy dziecko przejawiało się i stawało się kimś.

A zarazem i sama hipostaza jest śmiercią dziecka: jako szczególne przejście, jako rzeczywista zmiana postaci bycia. Tak gwałtowna, nieoczekiwana, nadchodzi ona raptem i okrutnie oddziela od tego, co było przedtem. Bolesna, ale tym bardziej bolesna, że ma pamięć o dzieciństwie. Tym bardziej, jeśli dorosłość była przedwczesna, dziecko nie było na nią przygotowane: wydarzyło się załamanie dziecięcego „czasu”. Świat okazał się okaleczony, wrogi i niepiękny. Niedokończony, nie stał się czymś własnym. A pamięć podtrzymuje ból i pomnaża go. Nie ma już teraz powrotu. Naprawdę? Czyż nie dlatego istnieją sentymenty? Czyż nie w tym wielu pociesza religia?

W tej dorosłości-hipostazie, która odbywa się nie w porę, ma też swoją przyczynę infantylności. Podobnie do przedwczesnej dorosłości świadczy ona o swoistej *kollapsis* dziecięcego „czasu” – gdy ten „czas” już nie istnieje, ale też jak gdyby rozciąga się na czas hipostazy, trwa z nim równolegle. A, być może, staje się sposobem powrotu do dzieciństwa – często nawet świadomym życiem, jak gdyby zaczerpniętym z dzieciństwa. Różni je tylko jedno – jest już za późno (jest już, [na dzieciństwo] za późno). I można powiedzieć, kogo jest takie życie. Niekoniecznie nawet chodzi tutaj o spóźnione stawanie się kimś. To bowiem też jest próba powrotu. Infantylności zresztą obecna jest zawsze i wszędzie (co znaczy, że jest ciągłą podobizną – karykaturalną – tego czystego stawania się?). Któż bowiem do końca się stał albo stał się tak, jak pragnął, jak to dla siebie wyobrażał? Podobnie jest z przedwczesnym zetknięciem się ze światem. Dziecko raczej nie staje się równomiernie

tym, jakim musiałoby być. Najczęściej staje się „kimś” urywkowo. I czym wyraźniejsza jest ta asynchroniczność (czy świadczy ona o dzieleniu się dziecięcej intencji-energii?), tym bardziej jest to bolesne.

Człowiek zatem zdobywa siebie, ale traci swoją prostotę. Teraz by istnieć nie potrzebuje żadnego oparcia. Świat już się stał i dorosły wystarczająco się w nim orientuje. Ale lęk przed śmiercią – czy nie jest to paradoksalne? – dla tego, kto stał się kimś w świecie, jest lękiem przed samotnością, przed tym, że ma przejść przez to sam. Że cały jego świat jest na tym zbudowany; i że to też będzie końcem jego świata – końcem świata, strasliwym i nieprzewidywalnym, beznadziejnym eschatonem. Beznadzieja, upadek, lęk (całkowicie inny, niż dziecięcy), do których prowadzi ten grzech hipostazy.

Być dzieckiem – to znaczy: umieć dziwić się. Dziwić się wszystkiemu, zadawać o wszystko pytania i, tym samym, widzieć świat tak, jak gdyby on teraz właśnie powstał, jak gdyby zjawił się dopiero co przed niewinnym dziecięcym spojrzeniem albo jednocześnie z nim. Być dzieckiem to nie tylko zauważać jakiegokolwiek drobiazgi, to nie tylko czuć z nich centrum świata, to znaczy – widzieć je jako cały świat, ale także, w każdym razie, widzieć je jako niezatarte na ogólnym płaskim horyzoncie-tle, które, zresztą, może niczemu tłem nie służyć – tło bez swego przedmiotu.

Być dzieckiem – to znaczy umieć dziwić się. Być filozofem – to znaczy umieć dziwić się. Dziwić się jak dziecko? Widzieć świat jako coś nowego? Zauważać w nim detale? Co więcej! – wiedzieć już wszystko o tych detalach tak, jak gdyby powstawały oto przed tym dorosłym spojrzeniem; tak, że cała ich historia jest przed „moimi” oczyma.

Być niewinnym dzieckiem. Być doświadczonym filozofem. Co to ma wspólnego ze sobą?

Ponadto, co może być wspólnego między dzieckiem i tym, komu powiedziano: „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego”; jeśli on naprawdę postanowił „stać się jak dzieci”, stać się jak dziecko?

I co może być ważnego dla niego w dziecku, o ile on ma takim oto się stać, skoro on już jest kimś, a nie staje się kimś? Stawać się zatem po raz drugi? Czy też być kimś innym, na nowo? Czy, niemalże za Rousseau, powrócić do swej pierwotnej – to jest: dziecięcej – natury?

Ale stawanie się takim, jak dziecko, nie jest powrotem do pierwotnej natury. Nie jest powrotem w ogóle. Nie mówi się przecież: „Stańcie się dziećmi”, lecz tylko: „Stańcie się jak dzieci” albo nawet: „Narodzicie się jak dzieci” („Narodzicie się powtórnie” – J. 3, 3; czy też: „Narodzicie się z góry” – γεννηθή ἄνωθεν – jak zapisał inny ewangelista); i nie: „Bądźcie jak dzieci” (jak to się czasem przekłada).

Bo nie chodzi tu o to, żeby kiedyś znów wrócić do swego dorosłego, hipostazowanego bycia. Ten, który ma stać się jak dziecko, nie ma być dzieckiem ze względu na tę właśnie dziecięcą perspektywę stania się hipostazą, ponownego stania się; ze względu na to, że wtedy i jego własne istnienie zapęłiłoby się, zostałoby wpisane w koło – i ten ruch straciłby bez wątpienia wszelki sens. Ale nie o to nawet chodzi (ku czemu bowiem naprawdę skierowany jest ten, kto pragnie „stać się jak dziecko”?). Jest to po prostu niemożliwe: „Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż może powtórnie wejść do łona swej matki i narodzić się?” (J. 3, 4). Wręcz przeciwnie, chodzi o zmianę swej istoty czy, raczej, uwolnienie się od niej – od tego grzechu hipostazy (albo nawet wielu, lecz rzeczywistych, hipostaz).

Ale jakż to jest absurd, jakie niesamowite załamanie wszelkiej logiki, porządku, czasu przynależnego do tego świata! Stać się jak dziecko, stać się jak ktoś, kto się staje, kto sam w swej istocie – jeśli można mówić tu o istocie – jest stawianiem się kimś, stawianiem się jako takim, stawianiem się par excellence, jest samą hipostazą niedokonaną. Nie jest nawet ważne, czy ciągle będzie stał się ten, który się staje, jak również nie jest ważne, czym on się staje – bo po prostu się staje. A więc stać się jako stawianie się, prawie stać się stawianiem się (jaki duży, nieprzewidywalny dystans w tym jako!).

I nie oznacza to nawet zawrócenia czasu, zapęłnienia go, wpisania go w koło, lecz jest to zawikłanie, rozerwanie; prowadzi bo-

wiem do sprzeczności z samym sobą, a wtedy już i z czymkolwiek. Załamanie wszelkiego porządku i wszelkiego sensu. Wyjście poza nie, ale już nie tak, żeby móc potem tam wrócić. Wyjście na tyle nieprzewidywane, gwałtowne i skandaliczne, tak zdecydowane odrzucenie tego świata – całego świata! – że powrót będzie po prostu niemożliwy. Chyba tylko jako upadek w niego? Ale komu tak padać, gdyż zarazem tu chodzi o rezygnację z siebie? Dobrego czy złego – z siebie każdego, w tym także dobrego i złego, bo to skandaliczne łamanie porządku świata jest też łamaniem wszelkiej aksjologii, wszelkiego wartościowania (choć odniesienie się do owego cytatu z Ewangelii sugeruje ponoć wartościowanie właśnie, sugeruje aksjologię).

Ten wyraz łamie jakikolwiek porządek i czyni „dziecko” z dorosłego, ściślej mówiąc: czyni dorosłego na obraz dziecka, ale takiego, które pokonało już świat, uwolniło się od tego świata (co znaczy: i od pana tego świata? – Od siebie?). Stać się jak dziecko – to znaczy nie zdawać się na swój porządek i nie zdawać się na siebie. To znaczy ufać – szczerze i prosto, bo w jednej nierozproszonej intencji-energii; to znaczy ufać – z samozaparciem i pokorą, bo z centrum egzystencjalnym w obrębie tej intencji-energii. Każde doświadczenie przybiera wówczas postać doświadczenia mistycznego, gdy człowiek – podobnie do dziecka – może przyjąć na wiarę wszystko.

Uwierzyć. I upokorzyć się, i unieść się – „kto się unieży jak to dziecko”...

A więc – znów nawiązując do wątku z Ewangelii świętego Jana – „narodzić się z góry”, to znaczy jednak przyjąć jakiś porządek, taki, który przychodziłby jako nie-dorzeczny (pamiętając o Tertullianie) albo mistyczny. Chodzi tu o pewien rodzaj świadomej rezygnacji z siebie, ze swego porządku, z porządku bytu w ogóle na rzecz niezrozumiałego stawania się, stawania się niezdolnego do pojęcia tego, czym ma się stać, ponieważ idzie o stawanie się stawania. Chodzi o rezygnację ze swej entelechii ontologicznej i epistemologicznej, a nawet z entelechii etycznej – ale czy na rzecz mistycznej? I czy nie prowadziłoby nas takie mówienie – o nowej entelechii – ku logicznemu błędowi hipostazy?

ANTON MARCZYŃSKI

Nagroda Magellana dla naszego autora

Najpierw publikowaliśmy fragmenty książki Romana Warszawskiego *Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki*. Potem – jak książka wyszła w wydawnictwie Znak – recenzowaliśmy ją, a także zamieściliśmy pewne części jej tekstu, które w wersji opublikowanej się nie znalazły. Teraz dowiadujemy się, że tom ten został wyróżniony prestiżową i obrastającą już w tradycję Nagrodą Magellana w kategorii Wydarzenie Roku.

To już 12. edycja tej nagrody przyznawanej przez Magazyn Literacki KSIĄŻKI. Jej celem jest propagowanie literatury podróżniczej o szerokich walorach literackich. Przyznawana jest w 13 kategoriach.

W tegorocznym jury zasiadali: Krzysztof Rapała

(podróżnik), Dariusz Fedor (red. nac. magazynu *Kontynenty*), Dawid Zaraziński (znawca mediów elektronicznych), Piotr Dobrołęcki (red. nac. *Magazynu Literackiego KSIĄŻKI*) i Ewa Tenderenda-Ożóg (zastępca red. nac. *Magazynu Literackiego KSIĄŻKI* i red. nac. dwutygodnika *Biblioteka Analiz*).

W poprzednich latach wyróżniano m.in.: Olgierda Budrewicza, Marka Kamińskiego, Piotra Kraśkę, Andrzeja Stasiuka, Martynę Wojciechowską, Beatę Pawlikowską, Monikę Witkowską i Elżbietę Dzikowską – bohaterkę wyróżnionej w tym roku książki Warszawskiego. W ten sposób Nagroda Magellana zatoczyła krąg.

REDAKCJA

Dariusz Tomasz
Lebioda

TROPEM WILLIAMA FAULKNERA

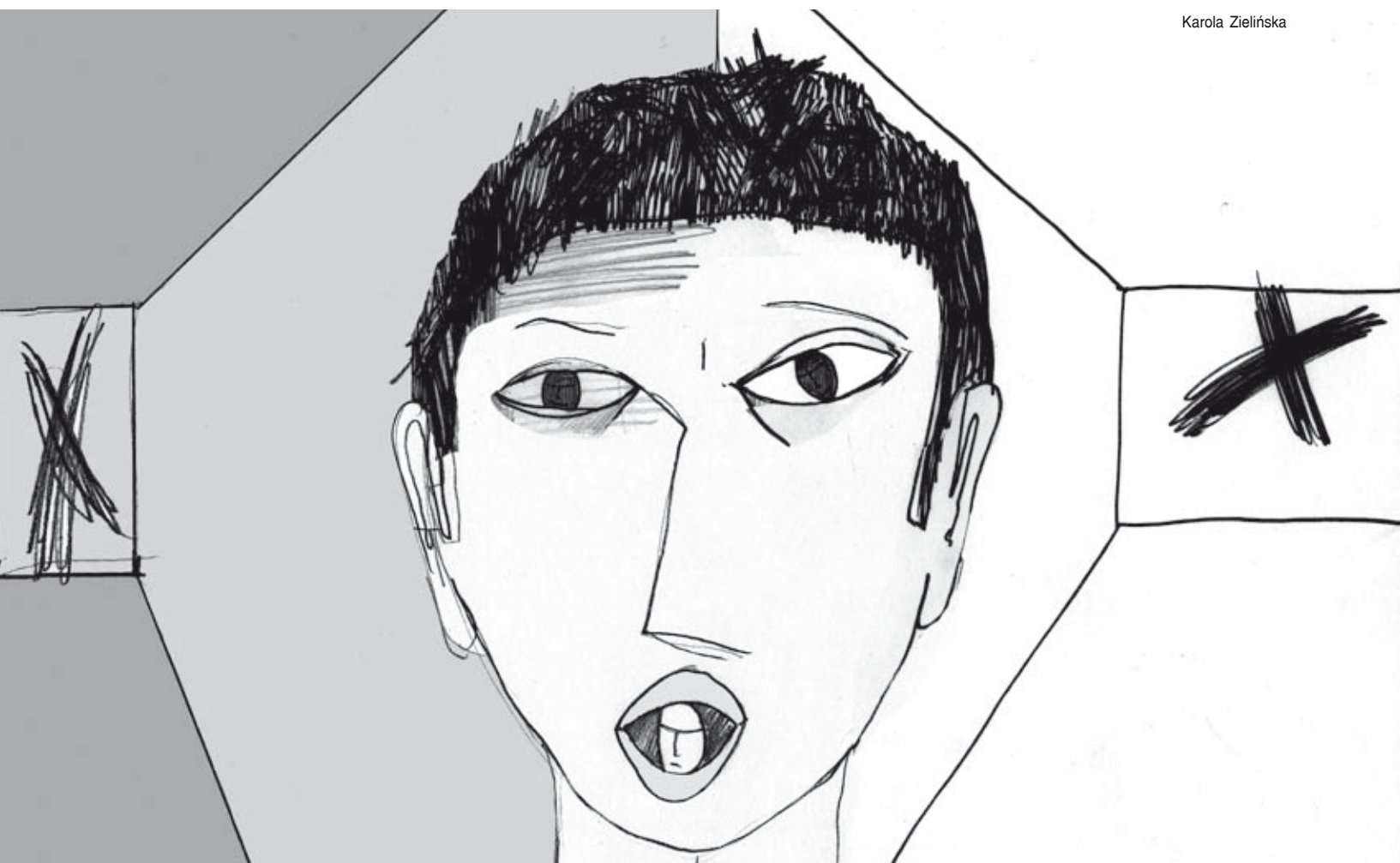
Gdy 18 lutego 1931 roku Chloe Ardelia Wofford przychodziła na świat w afroamerykańskiej rodzinie robotniczej w Lorain, nieopodal Cleveland, daleko jeszcze było do pełnego równouprawnienia czarnej i białej ludności w Ohio i w całych Stanach Zjednoczonych. W roku 1915 wznowiły swoją działalność lokalne odłamy Ku Klux Klanu i dochodziło do licznych aktów przemocy, a we władzach i na kierowniczych stanowiskach, w różnorodnych instytucjach, wciąż zasiadali biali konserwatyści, nienawidzący czarnoskórych. Trudno było wtedy kształcić się i awansować dzieciom z biednych, wielodzietnych rodzin, ale z biegiem lat sytuacja się zmieniła i coraz więcej młodych ludzi, mających swoje korzenie w Afryce, wkraczało odważnie do życia społeczeństwa amerykańskiego. Chloe przeszła na katolicyzm i zmieniła swoje imię na Antonina, a przyjaciele zaczęli nazywać ją Toni, do którego to imienia dołączyło jeszcze nazwisko Morrison, po zawarciu związku małżeńskiego z pochodzącym z Jamajki architektem. Dalej droga życiowa prowadziła Toni do wydawnictwa Random House i do kolejnych uniwersytetów, gdzie wykładała, w tym do tak prestiżowych jak w Albany i w Princeton. Jej debiut w 1970 roku – powieść pt. *Blue Eye* o samotności czarnego dziecka wśród rasistów – został zauważony przez krytykę i czytelników, ale dopiero kolejne dzieła ugruntowały jej pozycję. Saga o ubogiej czarnoskórej rodzinie pt. *Pieśń Salomonowa* (1977) uznana została za książkę roku w Stanach Zjednoczonych, a obszer-

ną powieść pt. *Umiłowana* (1987) uhonorowano nagrodą Pulitzera. Gdy Toni Morrison umierała 5 sierpnia 2019 roku na zapalenie płuc, była już laureatką Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1993), sławną na całym świecie pisarką i feministką, autorką kolejnych powieści, opowiadań, faktografii, libretta do opery, książek dla dzieci i wyjątkowego zbioru esejów pt. *Grając w ciemnościach* (1992), a Uniwersytet w Princeton premianował budynek West College na Morrison Hall. W Polsce autorka jest dobrze znana, a to szczególnie dzięki wydawnictwu Świat Książki, które opublikowało kilka jej najważniejszych powieści, a także za sprawą ekranizacji *Umiłowanej* z 1998 roku, którą wyprodukowała i główną rolę zagrała Oprah Winfrey.

Warto pamiętać o tym że Toni Morrison uważnie studiowała powieści i opowiadania Williama Faulknera i Wirginii Woolf, którym w młodości poświęciła swoją pracę magisterską. Znalazło to swoje odbicie w jej prozie, mającej w sobie wiele z innowacji narracyjnych autora *Wściekłości i wrzasku*, a także z lekkości opowieści i magii, charakterystycznej dla autorki *A Haunted House* and *Other Stories*. Jej największe dzieło – *Umiłowana* – to wielowątkowa powieść, inspirowana autentycznymi losami zbiegłej niewolnicy, która zamordowała swoją córkę, by uchronić ją przed łowcami niewolników. Powieść szybko znalazła się na liście najważniejszych utworów literackich

ostatnich lat, stworzonej przez „New York Times”, a także stała się podstawą skandalu, który wybuchł po tym jak w finale National Book Award, nie przyznano jej głównej premii. Dzieło zadedykowane zostało ponad sześćdziesięciu milionom Afroamerykanów, którzy cierpieli nieopisane męki i stracili życie w wyniku handlu niewolnikami, a jego tytuł ma też związek z *Listem do Rzymian* (9,25), napisanym przez św. Pawła w latach pięćdziesiątych pierwszego wieku naszej ery, najprawdopodobniej w Koryncie. Powieść jest historią boleśnie doświadczonej przez białych Sethe i jej najmłodszej córki Denver, a ważną rolę w konstrukcji utworu odgrywa też ich dom w Cincinnati, nawiedzany przez ducha najstarszej córki czarnej kobiety. Jej synowie, Howard i Buglar, nie wytrzymali metafizycznego napięcia oraz komentarzy społeczności i uciekli z domostwa w wieku trzynastu lat, a jej stara matka odepiała i zmarła obojętna na to, co przydarzyło się w przeszłości. Sytuacja zmienia się, gdy w nawiedzonym domu pojawia się Paul D i nawiązuje gorący romans z Sethe, powoli odkrywając jej straszną tajemnicę – zabicie najstarszej córki piłą do drewna i próbę pozbawienia życia pozostałych dzieci. Był to akt krańcowej rozpacz, ale Paul D nie potrafi zmierzyć się z duchem dziecka i prawdą o kochance i w końcu ją opuszcza. Morrison tak prowadzi narrację, że czytelnik

Karola Zielińska



nie wie co w niej jest snem, a co jawą, co konfabulacją, a co realnym faktem, co zdarzyło się kiedyś, a co dopiero nadejdzie. Zawsze wszakże górę bierze główny temat utworu – pragnienie wskazania wielkiej wrażliwości czarnoskórych mieszkańców Ameryki, ich cierpień, pragnień, żądz i marzeń. Wielką załugę tej pisarki było wskazanie, że ludzie wszelkich ras tak samo myślą i przeżywają, mają swoje wewnętrzne rozterki i tajemnice, a nade wszystko tak samo szukają szczęścia i żarliwie miłości.

Amerykańscy krytycy powieści głównie skupiali się na wątkach fabularnych, znakomicie pozszywanych i rozmieszczonych w kolejnych rozdziałach i częściach. Wskazując jak wiele dzieje się tu w przestrzeniach międzyludzkich, próbowali rozszyfrować tajemnicę postaci tytułowej i dociekali co kierowało Sethe, gdy zabijała swoją córkę. Tymczasem prawdziwa głębia tego utworu odstania się, gdy czytelnik zaakceptuje po-mysłowość narracyjną pisarki i zacznie podążać ruchem konika szachowego w głąb labiryntu kolejnych opowieści, powrotów do przeszłości i projekcji przyszłości. Zrozumie wtedy monumentalny zamiysł pisarski, będący próbą odzwierciedlenia zranionych jaźni dawnych niewolników, starających się na nowo konstruować swoje światy i wnikać w nowe amerykańskie społeczeństwo. W takim rozumieniu Sethe staje się symbolem odwiecznej matki, chcącej ocalić swoje dzieci od cierpienia, nawet jeśli próbuje je zabić i ostatecznie pozbawi życia najstarszą córkę. Wszakże jej akt rozpoczyna ma swoje uwarunkowaniu w doświadczeniach niewolniczej udręki, która jest dla niej większym złem od podjęcia gardła dziecka piłą. W jej patologicznym czynie zbiegają się miliony ścieżek, wydeptanych przez czarnych niewolników, codziennie kamie podążających na pola i pracujących dla białych panów, znoszących poniżenie, kary chłosty, lince, a także umieszczanie w ich ustach żelaznych wędzideł. Taki los spotkał też męża Sethe, który ostatecznie prawdopodobnie zwiariował, a owo określenie „prawdopodobnie” ma tutaj swoją wartość, bo raz jeszcze wskazuje, że wszelkie zdarzenia w powieści zostały ukazane jakby poprzez mgłę lub tży rozpaczonych ludzi. Jak u Faulknera, narracja jest tutaj rozkołytana, pulsująca i nieustannie ogniskująca się na czynach i psychikach najważniejszych postaci, wciąż zaskakujących czytelnika. Rozmycie wyobraźniowe zderza się tu z ogromną dynamiką narracyjną, co powoduje, że powieść, nieomal od pierwszych kart, staje się monumentalnym zapisem tego, co miało na zawsze przepaść, stłamszone i zakłamate przez białych. Tak historia konkretnych ludzi staje się zarazem opowieścią o wrażliwości bytów, bez względu na kolor skóry, pochodzenie społeczne, wiarę i wiedzę o świecie. Morrison wskazuje, że wszyscy jesteśmy równi w obliczu czasu, który został nam przeznaczony i śmierci, nieuchronnie, ostatecznie pointującą każdy los.

Wielu interpretatorów próbowało dociec kim jest tajemnicza Ukochana, pojawiająca się nagle w domu numer 124, przy Bluestone Rd., w Cincinnati, a interpretacje zwykle podążały ku zabitej córce, odradzającej się w młodej dziewczynie, jak Feniks z popiołów. Tymczasem jest to postać wielowymiarowa, transgeniczna, przenikająca swobodnie błony czasu kilku dziesięcioleci drugiej połowy dziewiętnastego wieku, tuż po zniesieniu niewolnictwa. To jakby żywe memento, nieustające przypomnienie, że cierpienia i udręka milionów Afroamerykanów ukształtowały specyficzne jaźni, przepętnione dumą, mądrością życiową i wiarą w nadejście lepszych czasów. Tłumaczka

powieści – Renata Gorczyńska – wskazuje, że *Umłowana* jest personifikacją świadomości (i podświadomości) zbiorowej afroamerykańskich niewolników, a jej kluczowy monolog wewnętrzny można zrozumieć tylko wtedy, gdy odczyta się go jako metaforyczną przypowieść o tragicznej przeprawie milionów Afrykanów przez ocean, przeprawie zakończonej jej masową śmiercią w męczarniach na statkach-więzieniach. Ostatecznie czarna ludność Ameryki Północnej zasymilowała się z białymi, a jej przedstawiciel został nawet Prezydentem USA, wielu braci i mnóstwo siostr sięgnęło też po najwyższe urzędy w Kongresie, Sądzie Najwyższym, armii, Hollywood i wielu organach administracji publicznej. Nagroda Pulitzera dla *Umłowanej* i Nagroda Nobla dla jej autorki, symbolicznie wieńczyły okres upokorzenia i walki i przydawały mocy kolejnym generacjom czarnoskórych mieszkańców planety. Ważne w tym względzie są doświadczenia i decyzje Denver, najmłodszej córki Sethe, urodzonej na łańdź z pomocą białej altruistki, przyczyniającej się do przetrwania matki i dziecka. Jej ostateczne przeniknięcie ku czarnej społeczności i zaakceptowanie swojej wybujałej wrażliwości, da też uspokojenie Sethe i przyczyni się do powrotu Paula D. który zrozumie, że tylko przy swojej kobiecie będzie szczęśliwy i spełniony. Jak wskazuje Gorczyńska – *Powieść jest* zbudowana z okrucichw pamięci, czy też raczej przypomnień. Ta mozaika dopełnia się stopniowo i na ogół jakieś wydarzenie, opisane w części pierwszej, staje się w pełni zrozumiałe dzięki doprowadzeniu, dorzuconemu w części trzeciej. Początek powieści, jak przyznają krytycy, jest prawie niezrozumiały w trakcie pierwszej lektury: czytelnik zostaje wciągnięty w sam środek akcji, a wszelkie zawężenia są rozsypywane powoli, aż do ostatniej strony. Dlatego zapewne powieść Toni Morrison jest wielkim wyzwaniem dla myślących interpretatorów i domaga się przez cały czas żywej interakcji, ciągłego weryfikowania poszczególnych wątków i sprawdzania ich na różnych poziomach procesu czytania.

Przynajmy też, że powieść *Umiłowana* i całe piśmarstwo Morrison ma swoich za-

piekłych krytyków, którzy przede wszystkim zarzucają jej epatowanie okrucieństwem, sentymentalizm opisów i zbyt daleko idące uogólnienia w kwestii natury ludzkiej. Nie można pominąć tych głosów, ale warto też przywołać opinię Margaret Atwood, zamykającą usta malkontentom: Rzeczywiście, wszechstronność pani Morrison oraz jej zakres techniczny i emocjonalny wydają się nie mieć granic. Jeśli pojawiają się jakiegokolwiek wątpliwości co do jej rangi jako wybitnego amerykańskiego pisarza, jej lub innego pokolenia, Umiłowana" natychmiast studiuj te zapaty. A co do okrucieństwa, to pamiętajmy, że powieść ta jest głosem sumienia czarnej Ameryki i nieustającym przypomnianiem straszliwych krzywd: Choć był już rok 1874, biali byli ciągle opętani żądzą krwi. Całe miasta wybijali swoich Murzynów. W jednym tylko roku w Kentucky dokonano osiemdziesiąt siedem linczów, cztery szkoły dla kolorowych spalono do cna, mężczyzn bito jak dzieci, dzieci bito jak dorosłych, czarne kobiety gwałcono, łamano ludziom karki, rodzinom odbierano wszystko, co miały. (s. 240). Nie ulega wątpliwości, że dzieło Morrison jest wielkim triumfem artystycznym, dokumentującym niezwykle talenty Afroamerykanów, spychanych przez dziesięciolecia do roli niewolników, robotników w fabrykach, podludzi przeznaczonych do najbrudniejszych i najgorszych prac. Podążając z nizin społecznych, zdobywając kolejne stopnie kariery naukowej i pełniąc coraz ważniejsze role w wydawnictwie Random House, pisarka znalazła się na samym szczycie społeczeństwa amerykańskiego, uhonorowana najważniejszymi światowymi nagrodami literackimi i tytułem profesora w Uniwersytecie w Princeton. To jest symboliczny szlak, wiodący z dżungli nad Zatoką Gwinejską, poprzez Atlantyk, a potem pola bawefny w Luizjanie, mroczne zakątki wielkiego kraju, gdzie zamęczano niewinnych ludzi, aż do magicznych i tajemniczych przestrzeni z powieści pt. Umiłowana. To zarazem wielkie dźwignięcie świadomości ludzkiej ku wręcz niewyobrażalnym wyżynom, a zarazem pokorne schylenie głowy przed śmiercią, weryfikującą i zamazującą wszystko...

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA



Karola Zielińska

Bogna Wiczyńska

Laurce

Dokąd zanosą cię małe nóżki
do parku do ptaków do drzew do piesków do
huśtawki do ławeczki
do słońca w kałuży do kotka z białą łapka do
pagórków i dolin
do drzewa z wiewiórką do kwiatów do traw i łąk

uważaj, córeczko,
za nimi jest przepaść
Jerzykowi

w swoim brzuchu chowałam kłębuszek
do głaskania
do kochania
do szeptania

głaskałam kochałam szeptałam

a gdy już się narodził
spojrzałam na niego
i załamalam ręce
jak zdołam umyć ubrać nakarmić
ten kłębuszek
nie rozwijając go

Naciągnąłeś skórę na moje kości
by zasłonić to co brzydkie
i ochronić mnie przed wiatrem
Ty sam ja tknąłeś rozgrzanymi dłońmi
i teraz pszczoły siadają
tam gdzie dotykałeś najczęściej
Sprawiłeś że jest miękka ciepła i różowa
pachnie świeżym mlekiem
dlatego zwabiła do siebie mężczyznę

Lecz gdy mnie dotknął
chciałam ja zedrzyć
bo tylko ta skóra
oddzielała nas od siebie



Portret poetki z dzieckiem Bogny Wiczyńskiej wykonał Zbyszek Kresowaty

zasadziłeś we mnie drzewo
podlewaj aż ożyje
i puści gałęzie

a jeśli miałoby obumrzeć
to wyrwij moje serce z korzeniami
i oddaj mu całe
i listki moje i gałązki
jeśli trzeba niech stoję naga

ty tylko ocal to drzewo
o kruchych korzeniach przedlistkach
wątlym życiu
ono kiedyś będzie schronieniem dla twojego plectwa

nie uprzedziłam cię córeczko
że z tego ziarenka którym jesteś
wyrosną dłonie stopy palce dwoje oczu
a ja ci pokażę
jak nimi dotykać co one mogą
zobaczyć poczuć chwycić

lecz gdy już to pojmiesz
i zechcesz wszystkiego próbować
rękoma ustami oczami

to zaczniesz ci brakować – to rąk
by poczuć
to oczu by zobaczyć
to stóp by uciec

Marta Zelwan: *Miejsce na rzeczywistość*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, stron 144.

W czerwcu bieżącego roku, pod szyldem Państwowego Instytutu Wydawniczego, ukazała się dziesiąta – jeżeli nie liczyć utworów, które były drukowane jedynie na łamach „Twórczości” – książka Marty Zelwan (dawniej Krystyny Sakowicz). Elegancki, skromny objętościowo wolumin w sztywnej, białej okładce, zdobionej graficznym wyobrażeniem kosmicznej czarnej dziury, już samym tytułem – *Miejsca na rzeczywistość* – wskazuje, jaki kierunek obrata tym razem niestrudzona eksploratorka m i e j s c n i e m o ż l i w y c h.

Cóż to za miejsca: niemożliwe, czyli niedające się osiągnąć, nieprawdopodobne?

Otóż są to miejsca, które Carl Gustav Jung nazwał *n i e ś w i a d o m o ś c i ą*, kontynuator Junga, Arnold Mindell – *ś n i e n i e m* (w ślad za australijskimi Aborygenami). Marta Zelwan nazywa je różnie, korzystając przy tym z nieograniczonych możliwości języka poezji. Są to więc u niej miejsca, z których pochodzi śnienie, w których pogłębia się ciemność, czarne szuflady pamięci, czarne szuflady snu, czarne plamy... Język poezji, jak wiadomo, to język *c i e m n y*, a więc stosowny dla *c i e m n y c h* miejsc, jeżeli w ogóle nie jedyny.

Wiedzę o miejscach niemożliwych ma Marta Zelwan imponującą, gromadziła ją przez lat bez mała czterdzieści, dobywając z najskrytszych zakamarków własnej psyche (wyobraźni) obrazy utkane ze snów i śnień, z przeczuć, lęków, nagłych ataków paniki. *Zbrodnie kobiet*, *Sceny miłosne*, *sceny miłosne*, *Jaśmiornica*, *Śnienie*, *Sny świata*, *Księga ocalonych snów*, *Praobrazy* – oto etapy jej poszukiwań. Dzięki szczególnym predyspozycjom percepcyjnym (w tym wyjątkowej wrażliwości sensorycznej) badaczka-kreatorka zbliżyła się do punktu, w którym świadomość jawy zrównuje się ze świadomością śnienia. Ale czy go osiągnęła? I czy ów punkt to tytułowe *m i e j s c a n a r z e c z y w i ś ć*?

Bezimienny autor noty rekomendacyjnej,

umieszczonej na tylnej stronie okładki, napisał, że „znalezienie miejsca na rzeczywistość, czymkolwiek jest, graniczy z cudem i wymaga specjalnej sztuki”. To prawda! Marta Zelwan, podejmując swą wyprawę, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek, ale nie miała wyboru. Zresztą czyż jako potomkini Alicji z Krainy Dziwów mogła postąpić inaczej? Bo przecież jest ona współczesną polską repliką uroczej, matej Angielki, która we śnie radziła sobie nie gorzej niż na jawie, ponieważ sen był dla niej jedynie dopełnieniem jawy. Wspomniałam o tym w moim *blurbie*:

Gdyby dziś jakiś polski Lewis Carroll pisał nową wersję „*Alicji w Krainie Dziwów*”, posadziłby swoją bohaterkę przy komputerze i polecił szukać w internecie obrazu czarnej dziury. Tak w każdym razie postąpiła Marta Zelwan, pisarka, która przez cztery bez mała dekady z maksymalnym natężeniem wsłuchiwała się w „język” nieświadomości, aby nie przeoczyć przekazów Ducha Życia. W najnowszym utworze podjęła zadanie jeszcze trudniejsze: próbę znalezienia *m i e j s c a n a r z e c z y w i ś ć* o ś ć przez połączenie dwóch osobnych przekazów, pochodzących z dwu odrębnych poziomów rzeczywistości i od dwojga różnych nadawców, w jeden obraz. Czy to się pisarce udało, nie sposób przesądzić, trzeba jednak przyznać, że sama podróż z nią i jej współnikiem (Romanem Lisem z internetowej *Czurnej Złhidry*) do owego nieosiągalnego przecież celu pełna wrażeń, zaskoczeń i oczarowań, pasjonująca i inspirująca.

Zwłaszcza że patronują tej podróży wielcy wtajemniczeni: Patańdźali, Emanuel Swedenborg, Cyprian Kamil Norwid, Franz Kafka, Virginia Woolf, Thomas Stearns Eliot, Julio Cortázar, Leopold Buczkowski, Bolesław Leśmian, Carl Gustav Jung i Arnold Mindell, Carlos Castaneda i wielu, wielu innych. Cytały z ich dzieł są jak znaki świetlne i jak drogowskazy w ciemności.

Żeby więc mimo wszystko dokonać cudu, Marta Zelwan użyła „specjalnej sztuki”: wprowadziła do swojej opowieści drugiego narratora. Zrzędzeniem Boga Przypadku (jak pięknie rzecz objaśnia pisarka) stał się nim Roman Lis, pisarz i redaktor internetowej „Czarnej Dziury”, postać nie ze snów, lecz z jawy. Odebrałszy sygnał S.O.S. od bratniej duszy, dotkniętej „skrąną biedą emocyjną”, przybył na pomoc i ... po pomoc. Integralność subtelnej, liryczno-refleksyjnej narracji uległa rozprężeniu pod naporem komunikatów przychodzących z Londynu, Paryża, Warszawy, Nowej Kaledonii, powstała nowa narracja, na pozór dysharmoniczna, lecz przecież w jakimś istotnym punkcie zbieżna. Oto dowód:

To jest, jakie jest. Ostaniam fragmenty tych i innych pism Romana Lisa według swego czytania, według swego widzimisię. Tak jak performerka Lauren Hartke, wchodzę do nieznanych przestrzeni i czasów. W jej życiu wszystko przestało być wreszcie tak jakby, a zaczęło być naprawdę, gdy przybył Pan Tuttle. Może przybył z cyberprzestrzeni, może z aktywnej nieskończoności czarowników albo jeszcze skądś. Mówił trochę tak, jakby przekładał coś nieznanego ludziom na ludzką mowę. Lauren poznała dzięki niemu inny czas, inne oblicze i zasadę czasu. Przybywający z innych obszarów bytu Pan Tuttle przekonał ją samym swoim istnieniem, że inne jest.

Może proste, może koliste. W środku, kiedy nadchodzi. Można to czytać. Niekiedy pięknie i przez długi czas. Który – odejście albo nigdy. I – jest, gdzie będzie. We wnętrzu. Wewnątrz. Które jest kolejną fazą rzeczywistości.”

„Inne jest” konkluduje narratora po przeczytaniu pism Romana Lisa, ale czy w nim odnajduje miejsce na rzeczywistość? W konfrontacji „swojego” z „innym”? W punkcie ich zetknięcia? I o jaką rzeczywistość tu chodzi? Pytań jest coraz więcej...

MARIA JENTYS-BORELOWSKA

Mateusz Wabik

Śmierć jako naturalna kolej rzeczy

Nie zwróciłem kiedyś uwagi recenzując wybór wierszy Dłuskiego wydany przez krakowską „Miniaturę”, że jego poezja to coś więcej niż zestawienie współczesnych poetyk klasycyzmu i barbarzyństwa. Oczywiście takie nawiązania, motywy, czy toposy znajdowały się od lat w jego poezji, tak jak w najnowszym tomiku poety pt. „*Oda do próchna*”, ale czytając jego nowy tom pomyślałem, że takie rozpoznanie mogło być niedostateczne. Jaki to klasycyzm jeśli koło Edenu wyrosły pokrzywy, a słowa spływały gnojówką? Jaki to klasycyzm kiedy naszą świadomość mogły opisać „zardzewiałe szmaty do podłogi” („„Sztuczne raje””)?

Czytając „*Odę do próchna*” zauważyłem jakieś ciążenie ku naturalizmowi, zestawienie piękna i brzydoty na zasadzie oksymoronu, majstrowanie w języku by wydobyc ten efekt zaskoczenia zestawieniami. W jego nowych wierszach wszechobecne było żegnanie się ze światem, przeczcucie śmierci, materialistyczna bliskość natury jako kresu wędrówki. Pomyślałem sobie, że poeta tyle samo poświęcał uwagi awangardzie, co motywom klasycystycznym, nie obca mu była poezja zarówno Jarosława Marka Rymkiewicza, jak i poetów barokowych, którzy wcześniej niż surrealiści potrafili zaskoczyć zestawieniem obrazów wywołującymi efekt zaskoczenia jak w świetle błyskawicy. Jeśli porównałoby się poezję Dłuskiego i Rym-

kiewicza, to jednak – pomimo pewnych wspólnych cech – to tak jakbyśmy zestawili filmowy horror z jakąś baśnią. Wszechobecny w poezji Dłuskiego turpizm jakby negował klasycystyczną równowagę. Jego nowe wiersze czytało mi się tak jakbym przechadzał się po jakimś zapomnianym muzeum z obrazami z dawnych epok, które pokrywał kurz, a płótna byłyby zżerane przez mole. W nowych wierszach Dłuskiego uwidaczniało się to na każdym kroku: zestawianie piękna, wzniosłości z czymś niskim i brzydkim.

„*Oda do próchna*” to tomik, który był zwrotem w poetyce Dłuskiego, nagłym i gwałtownym. Może nie poznałem wielu jego książek, ale z tych wierszy, z których znałem poetę te cechy, które teraz się uwidoczniły mocniej, nie były wcześniej takie jaskrawe. W tomiku polemizowało się z Herbertem, romantyzmem i ukazywało daremność kultury, która nie zapobiegała śmierci. Taką krytykę kultury, schlebienie naturalizmowi bardzo rzadko uprawiali jednak poeci klasycystyczni. Do tego śmierć w poezji Dłuskiego nie była zdarzeniem religijnym, a przejściem z jednego stanu natury w drugi. Niemożliwe w takiej wizji śmierci ocalić cokolwiek – pisanie jako wyraz indywidualizmu było jednym z wielu, a martwe ciało po śmierci stawało się tym samym co kamień – przedmiotem nieożywionym: „tak będziesz ocalony/gdy

litery porwie czarny nurt/poptynie gnój ciał i kamieni” („Listek żywego popiołu”). Oczywiście nadal zdarzały się motywy mitologiczne (wszechobecny motyw Eurydyki) i religijne w poezji Dłuskiego, ale one były obdarte z ich majestatu jak w „*Morwach i popiołach*”, w którym czytałem o spalonych modlitwach i płonących kościołach. Śmierć wg nowej wizji Dłuskiego to nie tylko zagłada każdego człowieka, ale i kultury, w której wzrastał. Toposy i motywy były nic nie znaczącymi ornamentami. „*Oda do próchna*” był na pewno jednym z mocniejszych pod względem mrocznych wizji tomów jakie czytałem ostatnio, ale dlatego, że podczas pisania recenzji nie zapomniałem o trwającej epidemii koronawirusa, codziennych raportach o zakażonych i zmarłych, momentami miałem dość i nie czułem się w żaden sposób zaskokowany obrazami poetyckimi Dłuskiego.

Od kilku miesięcy czytałem w prasie i internecie o ludziach umierających w domu, bo nie miał im kto pomóc, umierających we Włoszech w kolejkach pod szpitalem, w Ekwadorze porzucanych w tekturowych trumnach na ulicach, o grobach kopanych na szybko w Brazylii. „*Oda do próchna*” była dobrą książką poetycką, ale nie na ten okres, w którym wyszła.

MATEUSZ WABIK

Stanisław Dłuski, *Oda do próchna*, Sopot 2020

Dariusz Tomasz Lebioda

Felietony z kluczem

Ryszard Milczewski-Bruno realizował w swoim życiu polski model egzystencji hipisowskiej, różniący się znacznie od amerykańskiej czy zachodnioeuropejskiej. I choć także ważną rolę odgrywała tutaj przyjaźń w wąskim kręgu przyjacielskim (Szatkowski, Stachura, Różański), to nie było w niej twardych narkotyków, takich jak heroína, haszysz czy LSD. Jedyną i jakże destrukcyjną używką był tutaj alkohol, pity w formie wódki, piwa i wina, a czasem stający się sposobem na życie. To on zabijał poczucie beznadziejności i koł wewnętrzną ranę, stawał się nieodłącznym elementem twórczości i przyczyniał się do powstawania legendy Bruna. Niestety był też strasliwą siłą destrukcyjną, niszczącą życie i wywierającą piętno na psychice, redukującą szczytne plany literackie. Symbolem takiego losu może być brudna musztardówka, którą wydawać umieszczał na zbiorze felietonów Bruna pt. *Podróż bez klucza*. O ile fotograficzna wizualizacja ma tutaj sens i jest głęboko zakorzeniona w pijackich dziejach tego człowieka, to tytuł zbioru odbiera mu autentyczność i niepotrzebnie przenosi te teksty w obręb tego, co autor prezentował w poezji i prozie. Tymczasem jest to książka dokumentująca wewnętrzną, intelektualną siłę pisarza, znającego swoje możliwości twórcze i śmiało realizującego model pisania z kontrapunktem i dystansem do samego siebie, do miejsc i do szeroko pojmowanej kultury. Prawdą jest, że Bruno realizował się w przestrzeniach ludzycznych i stale szukał ludzi, którzy stali się jego kompanami w podróży, przy stole biesiadnym i podczas imprez literackich, ale też – i to dokumentuje ten zbiór – był wrażliwym obserwatorem, a jego prowincja niewiele różniła się od tej, prezentowanej w książkach Kapuścińskiego, Kąkolewskiego czy Wańkowicza. Poza tym nie zamykał się tylko w Polsce, bo relacjonował też swoje podróże poza nią, ze szczególnym uwzględnieniem pobytu nad Wełtawą. Felietony publikował przede wszystkim w Bydgoskich „Faktach”, gdzie dzięki przychylności Jana Górecy-Rosińskiego otrzymywał skromne honoraria i ryczałt za tzw. statą współpracę. Pozwalało mu to nieco stabilizować rozchybotane życie i przemieszczać się z imprezy na imprezę, z miasta do miasta, od redakcji czasopism do biur państwowych wydawnictw.

Zbiór felietonów Bruna ma ogromną wartość dokumentacyjną, ale też uświadamia czytelnikowi jak wielka tragedia rozgrywała się w życiu człowieka, który był intelektualistą, a z własnego wyboru bytował przede wszystkim pośród bylejakości i zwykłości, bratał się z alkoholikami i życiowymi wykołajkami. Jego teksty wskazują na to, iż

posiadał ogromną kulturę literacką i potrafił tak je komponować, że nawet przy różnorodnych uduśnieniach formalnych, stawały się one jasnym wykładem autora, świadomego słów, gestów i czynów. Przejmując od Edwarda Stachury umiowanie ludzkiej prostoty, a od Jerzego Szatkowskiego umiejętność totalnego modyfikowania języka, wchodził Bruno w polską rzeczywistość lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku i odwzorowywał ją na najwyższym poziomie literackich interioryzacji. To było bystre spojrzenie intelektualisty, który zakładał często maskę cwaniaka, kompana z ferajny, ale w głębi duszy pozostał kimś, kim mógłby się stać, gdyby poszedł inną drogą. Jak wielkie były jego możliwości twórcze, dokumentuje tworzona przez niego poezja, w której modyfikacje językowe każą ustawić go w jednym szeregu z Norwidem, Leśmianem i Białoszewskim i nie ma w tym dumny przywołaniu wielkich nazwisk żadnej przesady – potrzebny jest tylko eseista, który połączy doświadczenia językowe tych twórców w inteligentnym i rozumiejącym studium. Zauważał to wieloletni Naczelny Redaktor „Faktów”, który dla dobra literatury nie wahał się narażać cenzurze i własnym przełożonym i przez dość długi czas lansował Bruna, udostępniając mu łamy ogólnopolskiego tygodnika. Oczywiście nie obywało się bez skreśleń i odrzucania niektórych tekstów, szczególnie tych zbyt drażliwie ukazujących socjalistyczną tandetę, ale – koniec końców – dochodzone do kompromisów i wciąż powstawały kolejne felietony. Widać wyraźnie, że Bruno przejął się rolą, zaakceptował swoje nowe zajęcie i tworzył teksty w swoim stylu, głęboko zakorzenione w proletariackim sposobie myślenia i analizowania przestrzeni, do których bezpardonowo wkraczał. To był rodzaj doświadczenia socjologicznego i próba zrozumienia ludzi w ich oryginalnych środowiskach, a przy tym spora doza humoru, mądrości życiowej i niespotykana labilność intelektualna, cechująca pisarzy najwyższej próby.

Widać w felietonach Milczewskiego-Bruna empatię do drugiego człowieka i choć bywa bardzo krytyczny dla wielu spotkanych osób, często też ujmuje czytelnika za serce. Tak bywa, gdy nawiązuje do konkretnych życiorysów ludzkich (Joanna Salamon, Edward Redliński, zapomniany grudziądzki pisarz Władysław Wągiel), gdy rozpamiętuje swoje zaniedbania rodzinne,

albo gdy ocenia najbliższych przyjaciół. Wszystko tutaj wpisuje się w model życia w drodze, nieustannego przemieszczania się w przestrzeni i rozpamiętywania zdarzeń błahych i centralnych dla historii kraju, Europy, a nawet świata (Cendrars, Dworzak, Neruda). Musztardówka z okładki zbioru pt. *Podróż bez klucza* niebezpiecznie przenosi doświadczenia Bruna ku obszarom znanym tylko alkoholikom i chuliganom, a przecież w poszczególnych felietonach znajdziemy wnikliwe, intelektualne analizy, nawiązania do Leśmiana, Ionesco i Levi-Straussa, a także wielu autorów z pokolenia autora. Oczywiście nie można tutaj zapomnieć o piękniutkiej egzystencjalnym, które było w tym człowieku, ale przecież nie on pierwszy eksperymentował ze sobą i danym mu czasem i nie on jedyny uczynił z używki narzędzie poznania świata i samego siebie. Pamiętajmy też w jakiej rzeczywistości rozgrywały się zdarzenia, w których uczestniczył – to była polska socjalistyczna z papieru *mâché* Gomułki i Gierka, dumnie podążająca do wyższej fazy socjalizmu, czyli nie wiadomo gdzie. W takiej absurdalnej, propagandowej przestrzeni Bruno znajdował nieustannie jakieś luki i wypełniał je treścią swojego hipisowskiego wędrowania, ciągłego zmieniania miejsca pobytu, wielu ucieczek i wielu powrotów. Wnikliwa lektura jego felietonów ukazuje twórcę nadwrażliwego, eksperymentującego w sferze języka i formy, często wykraczającego poza ramy gatunkowe i stale tęskniącego za bliżej nieokreśloną pełnią, przemycaną między słowami prawdą o Polsce i świecie. Gdyby Bruno wciąż żył, miałby teraz ponad osiemdziesiąt lat i może uznawany by był za klasika literatury podróży, modyfikatora języka poetyckiego, tudzież najprawdziwszego reprezentanta utajonych ruchów kontrkulturowych, często zredukowanych do wąskiego grona współbiesiadników i bliskich przyjaciół. Jego konfessacje miały charakter tyleż prywatny, co wpisujący się w szerszy trend socjologiczny, obserwowany od San Francisco do Paryża, od Ustki do Warszawy i od Bydgoszczy do Grudziądza. Wchodząc tak głęboko w polską prowincję, tworzył zarazem Bruno niepowtarzalne dokumenty pisarskie, świadczące o jego talencie i wrażliwości, możliwościach interpretacyjnych i wiedzy o człowieku.

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Ryszard Milczewski-Bruno, *Podróż bez klucza*, Wydawnictwo „Meander”, Węgorb 2016, s. 116.

Jerzy Stasiewicz

Poezja barwy i przedmiotu

Zastanawiałem się nie raz nad sposobem pisania wierszy i myślowym ich obrazowaniem przez Jacka Lubartę - Krzywicę – poetę, ale i filozofa zakotwiczonego głęboko w malarstwie. Jest w tej twórczości – jakże naturalnej – ukryty pod wieloma warstwami znaczeń klucz? Ale i mapa z zawalowanymi jak kręgi na rwącej rzece traktem, który odnaleźć mogą tylko wytrawni miłośnicy liryki, obcy z dziełami: Freuda, Kołakowskiego, Junga, Nietzschego. Choć na pozór wydaje się łatwa.

Sięgnijmy po rozproszone okruciny życiorysu poety urodzonego 1942 roku w Krakowie. Matka Maria z Gosiczkowskich, ojciec Józef (Jontek wraz z Karolem Wojtyłą założyciele Teatru Rapsoedycznego i Konfraterni Artystycznej) aresztowany w 1943 roku przez gestapo, zmarł w 1945 roku w niemieckim obozie Mauthausen - Gusen w Austrii. Jacek Lubart - Krzysica maturę zdaje w szkole

wieczorowej w Bielsku Białej, gdzie po wojnie przeniosła się matka. Studiuje andragogikę w Katowicach. Po wydarzeniach marcowych 1968 roku przerywa naukę. W latach sześćdziesiątych krótko mieszka w Oświęcimiu. Widok obozowych komór skutkuje traumą poety przez lata, co odbija się w tematyce utworów (poemat „Dzieci wojny”). Pracuje w przepompowni w Brzeszczach - Jawiszowicach. W 1964 roku wraca do Bielska - Białej kontynuując swój teatr improwizacji. Od 1968 roku mieszka na stałe w Krakowie.

Mnie znany jest przede wszystkim jako poeta z tomów: „Gorycz nadziei” (1989), „W Krakowie” (1994), „Obok” (1997). „Tramwajem przez Kraków” (2005), „Rymowanki krakowianki” (2014), „Jestem” (2016). Opublikował także powieści: „Nikodem wnuk Nikodema” (2004) i „Nikodem i Miłość”

(2008).

Od lat jestem członkiem Krakowskiej Konfraterni Poetów, którą stworzył Jacek w 1986 roku, na wzór ojcowskiej Konfraterni Artystycznej z lat 1938/39 by połączyć wspólną ideą twórców mowy wiązanej stojących w czasie polskiego marazmu po różnych stronach barykady. Choć wielu nawet tej barykady nie widziało.

Cykl misterii: „Zaduszki Poetów”, „Wigilia Słowa”, „Chleb Nadziei”, „Tramwaj Poezji” – wrósł przez minione dziesięciolecie nie tylko w poetycki obraz Krakowa, ale także kraju stając się wizytówką instytucji POEZJI. Na spotkaniu w Hotelu Europejskim, w Domu Jana Matejki, w klasztorze oo Franciszkanów, kościele Mariackim, podążają pątnicy słowa z odległych zakątków Europy. Prezentację uświetniają głosy najwybitniejszych aktorów polskich zawsze gotowych służyć w spek-

takłach Konfraterni. To bezinteresowna zaśluga Jacka Lubarta – Krzysicy, o którym poeta i krytyk literacki Jerzy Lisowski mówi tak: „ (...) to zapaleńcy, ludzie szaleni szaleństwem Poezji, popularyzatorzy mowy wiązanej, którzy umieją wziąć w nawias własne ambicje, prywatne plany, aby poświęcić się bez reszty swej pasji – dla innych (...). Ileż to wymyślił imprez, inicjatyw, spotkań, biesiad, łamania się słowem, chlebem, pamięcią? To prawda. Aktywność Jacka Lubarta – Krzysicy w propagowaniu poezji, w odkrywaniu nowych talentów poetyckich, umożliwianiu im debiutu jest ogromna.”

To tyle o działalności Krzysicy. Teraz chciałbym się zająć ostatnim tomem jego poezji pt. „Gorycz nadziei” (2019). Jest to wydanie drugie, poszerzone (pierwsze ukazało się w 1989 roku).

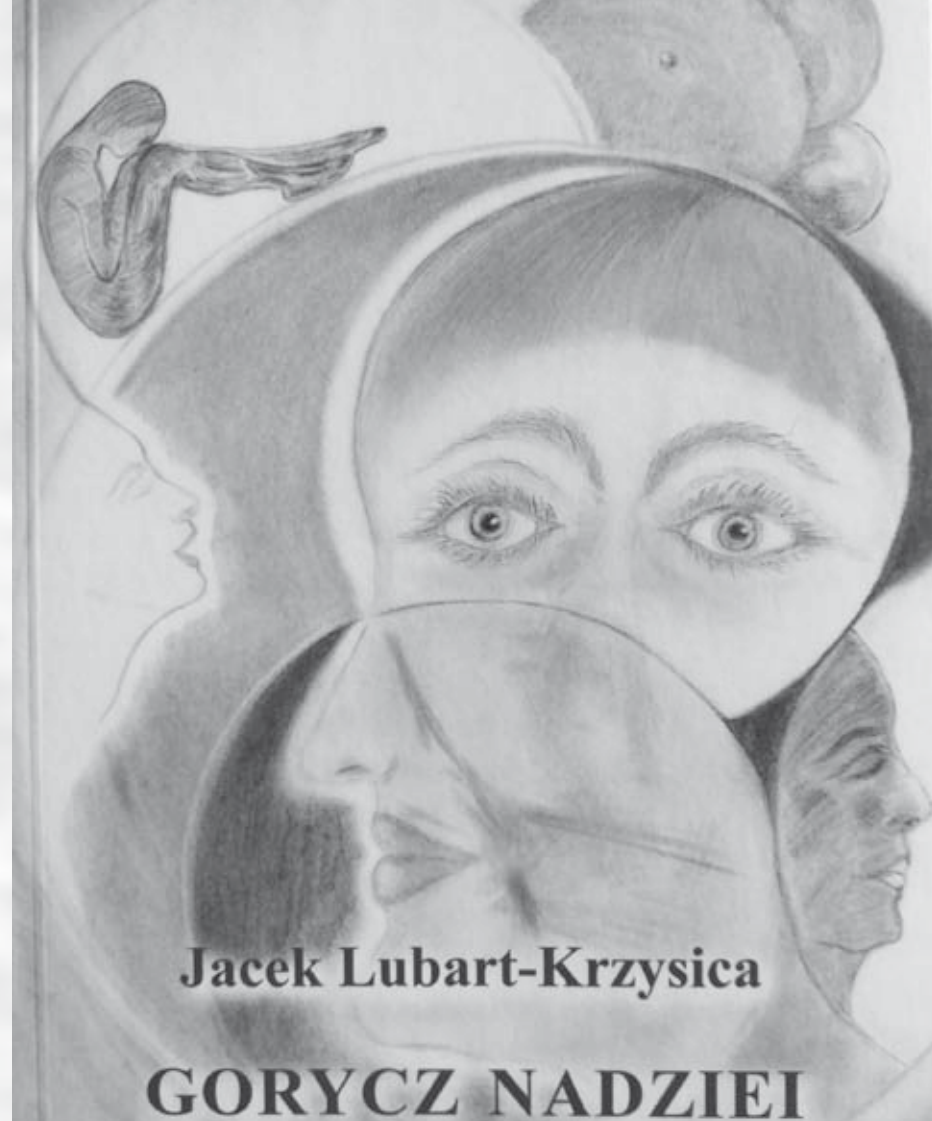
Ja stałem z boku
bierny w swej prawości
kiedy wciąż Obok
jak serce tętniło
gdy wreszcie wszedłem sobą
w owe Obok
spostrzegłem jak mnie dotąd – m a ł
o było !

Jakie to znamienne dla poety, wytrwale przez lata poszukiwać, swojej drogi twórczej. Nie przypadkowo sięgnąłem do życiorysu? Bo wydaje mi się, że twórczość Lubarta- Krzysicy jest całkowicie zespolona z biografią. Nie ma tutaj przepaści, jak u Leśmiana, – człowiek i artysta to jedno. I to brzmiało mi w uszach „Obok”, mówiące dobitnie o wielkości człowieka i jego służbie dla drugiego. Zawsze obok. Nigdy z przodu jak to czyni wielu z nas, pręgnąc pierś do orderów. Nigdy z tyłu, by można się w razie niesprzyjających okoliczności cichaczem wycofać. Tylko obok, skromnie, by inny człowiek mógł zaistnieć i spłynęły na niego zasłużone promienie słońca, brawa widowni, uśmiech dziecka.

To taki drugi krakowski brat Albert (Adam Chmielowski) tylko że bez habitu. A swoje obrazy maluje słowem. W obu przypadkach podążają za nimi ludzie spragnieni: otuchy, słowa, miłości, chleba. Bliskości drugiego człowieka. Obok – to nieprzeciętny dar jakim poetę obdarzył Stwórca i ...słowem; wszak „ Na początku było słowo...” . A u Jacka Lubarta – Krzysicy słowo to także ogień przyniesiony na ziemię przy pomocy błyskawicy. Mający moc oczyszczającą i pielęgnujący kult domowego ogniska, zwyczaj palenia ognia sobótkowych w święto Kupały (obecnie wigilia św. Jana Chrzciciela). To wszystko objawia się u poety w sposobie ubioru: długie marynarki, kolorowe kamizelki, apaszki, wisiory z kamieniami z kosmosu i dna wulkanów. Pierścieni okutych w kryształy tajemnej mocy, dodające sił vitalnych pocie głodnemu nowych wyzwań. Bo tu dodać należy, że zafascynowany malarstwem Piotra Bruegla, przemierzył w poszukiwaniu dzieł mistrza niemalże muzea całej Europy. I dotarł wszędzie tam gdzie zamierzył. Natura poznawcza, tak ją przedstawia w wierszu „ Dom”:

I była nicość w owej nicości
żył kameleon rzadkich barw piękności
czasami huśtał się - na krzywej
ziemnej
czasem wędrował w świat – dwu
równoległych
barwami nęcił struktury abstrakcji
i wciąż się zmieniał

Świadczy to o głębokim zafascynowaniu sztuką. Te grecko - rzymskie koligacje to Europa nie w sensie geograficznym, a kulturo-



wym, której poeta jest częścią i nie pozwoli się z niej wyrugować. Tytuł „Gorycz nadziei” zdradza jednak, że poeta – obserwator biegu zdarzeń i postaw ludzkich – w czasie długoletniego parania się piórem i wyznania „Tym, którzy nie zwątpili (...)” ma pewne obiekcje bojąc się nawrotu totalitaryzmów i politycznego ukierunkowania sztuki. Wierzy jednak w jej naturalność i samooczyszczenie. Czas nie historyczny, a cykliczny, powtarzający w ciągłym obiegu te same wzorce. Zestawienie marzeń z krytyczną realnością wytania przemijanie, w którym jak na kartach księgi wre kłębowisko:

ów czas to kocur trący obłąkanie
gdy miłość w podłość wzajem się
wymienia
gdy chwiejnym krokiem krawędzią
rozu
pijany złością biegniesz ku spełnieniu
i albo przejdziesz lustrem w sedno
głębi
albo cię wreszcie widok krwi
otrzeźwi

Nie tylko własne życie „ istnienie w określonym czasie” ale i przejście do bezczasu „ krawędzią rozu” staje się wyznacznikiem spełnienia. Kategorie freudowskie dwoją się i troją. Jest w tym ujęciu metafizyczne zawieszenie, które poeta stosuje między barwą, a przedmiotem tak widoczne w wielu utworach, a niewyczuwalne. Z całą otoczką niewidzialnego mroku, roztaczającego się nad jego poezją dodając tajemniczości i budując wewnętrzne napięcie odbiorcy, pragnącego sięgnąć po następny liryk. Mnie jednak uwodzi sposób prezentacji własnych wierszy przez Lubarta – Krzysicę. Wydobywa z utworu wieloznaczności słów i ukryte

kody, których zwykły czytelnik nie potrafi rozszyfrować. Próbowałem wielokrotnie nie uzyskując rezultatu jak z nastuchu.

O ileż łatwiej było wiarą
przeszłość stanowić niż współczesność

Słowa odnoszą się do kondycji polskiej kultury i poszukiwaniu miejsca dla poety w świecie współczesnym. Gdzie przez większość społeczeństwa uważany jest bardziej za indywiduum niż kulturotwórcę najwyższego lotu, z którego przestaniami zawartymi w wierszach należy się zgadzać, bądź traktować jako przepowiednię Sybilli. Dzisiaj przeświadczenie wyniesione z romantyzmu traktujemy z przymrużeniem oka co niekiedy w swoich lirykach uwypukla Krzysica. Ale zaraz przywołuje duchy nocnych rozmów, prowadzonych latami z tymi co żyją i co odeszli na niebiańskie wrzosowiska:

Takich rozmów czas nie oswaja
wciąż nieufne – zawsze bolesne
są jak drzazga
ropiejący strach
od pokoleń wbite losem w prze-
strzeń

Wie, że rany zadane drugiemu człowiekowi nigdy się nie zabliznią. Dlatego, osiadł na wzgórzu w Bereście w starej łemkowskiej chacie; pamiętającej czasy; narodzin, chrzcin, wesel, żniw, siewu, sianokosów rdzennych mieszkańców Beskidu Sądeckiego wygnanych w nieznane w czasie akcji „Wisła” za niepopołnione winy. Czerpiąc z gleby ich tęsknotę do ziemi dzieciństwa. Tylko takiemu pocie dane jest czuć oddech przyrody i zagarniać do dzieży wiersza !

JERZY STASIEWICZ

Jacek Lubart-Krzysica, „Gorycz nadziei”, Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2019 ss.64

Elżbieta Musiał

Krystyna Konecka jest reportażystką oraz poetką, i oba te umiłowania łączy z zaskakującym efektem. Owoców jej twórczego temperamentu kosztujemy regularnie. Tym razem dzieli się z nami kolejną swoją fascynacją, a jest nią Maria Stuart. O losie XVI-wiecznej królowej Szkotów i dramatycznych splotach zdarzeń, które targły jej życiem i zaprowadziły na szafot, opowiada cykl sonettów „Zwierciadło Marii Stuart”, w kompozycji sonetti a corona, który stanowi pierwszą część poetyckiej książki o tym samym tytule (2020). Fakty i historyczne wzmianki przybierają tu postać lirycznego przekazu, nieudramatyzowanego. Samo życie Marii Stuart było wystarczająco dramatyczne.

Lektura „Zwierciadła” na tyle mnie wciągnęła, że zaczęłam szperać w dostępnych informacjach, by zbudować sobie horyzont poznania. I zaprowadziło mnie to nawet do osobistego drobiazgu Marii – do podręcznego lusterka, które niedługo przed swoją śmiercią przestała kuzynce i politycznej rywalce Elżbiecie I. Zadałam sobie wtedy pytanie, co widziała Maria Stuart w swoim zwierciadle? A co zobaczyła w nim Elżbieta I, ta potężna monarchini ówczesnej Anglii.

Czy Maria miała usposobienie romantyczne, jak każą o niej myśleć wyobrażenia autorów niektórych książek i filmów? Zapewne i tego nie można było odmówić królowej Szkocji. Przecież pisała nawet swoje sonety, a kilka wybranych – ale autorstwa Petrarci – wystąpiła w jednym z wielu listów do Elżbiety I. Te dwie monarchinie i rywalki o tron Anglii utrzymywały ze sobą korespondencję przez niemal 30 lat, choć w rzeczywistości nigdy się nie spotkały. Ich więź do dziś zastanawia. Z jednej strony prowadziły walkę dyplomatyczną, a z drugiej – ciekawe były siebie nawzajem. Obdarowywały się upominkami. Elżbieta potrafiła zjadać się marcepanami przestawianymi przez Marię i nosić pierścień w kształcie serca z jej podobizną. Długo też wzdrygała się przed podpisaniem wyroku na Marię, gdy angielski sąd skazał ją za zdradę i spisek przeciwko Elżbiecie. Sąd, który nie miał władzy nad wolną królową Szkotów. Ostatecznie wyrok podpisała, lecz nigdy sobie tego nie mogła darować.

Jaka była Maria? Gruntownie wykształcona, wrażliwa, ujmująca w sposobie bycia i błyskotliwie prowadząca konwersację. Obdarzona charyzmą. Ale też niecierpliwa, impulsywna, uparta i władca. Podobno wystarczyło znaleźć się w odległości trzech metrów od niej, by się zadurzyć. Była królową i kobietą. Raz zakładała koronę, to znów ją zdejmowała. Podówczas uważało się jednak, że kobieta, by zostać dobrym władcą, powinna przestać być kobietą, tak jak zrobiła to Elżbieta I (z tego powodu nazywana była Królową Dziewicą).

Złożoność charakteru Marii okazała się niebezpieczna dla niej nie tylko jako królowej. Mówiono, że czyniła ją stabszą psychicznie od Elżbiety. Czy dlatego przegrała z Elżbietą za życia? Lub może dlatego zatriumfowała już w chwili śmierci (i po), pod toporem katedry. Co prawda Elżbieta po zgładzeniu Marii wstąpiła na tron jeszcze przez 16 lat, lecz nie została potęgą. Następcą mianowała Jakuba, jedynego syna Marii. Na łożu śmierci ponoć wyszeptała imię Marii, jak podają niektóre źródła, inne – że imię Jakuba.

Zanim jednak Maria została ścięta, uwikłano ją w liczne skandale i zbrodnie w iście makbetowskim stylu, jakby instynkt władcy raz po raz miał ją zawodzić lub po prostu odwrócić się szczęście; „Otóż mrok jej biografii w gwiazdach zapisano”.

Zwierciadło, w którym przejrzał się los Marii

Za sprawą męża i kochanka (ale o tym za chwilę) nazywano ją krwawą królową. Jakby tych upiórów było mało, to jeszcze jej Szkocja targła spory między protestantami a katolikami oraz walki klanów. Oraz walki z nią, kobietą na tronie. W pojęciu konserwatywnych, protestanckich Szkotów, powabne dziewczę nie mogło być ich królem, zaprzeczało to boskiej woli.

W los Marii wpisały się więc różne dramaty. Ale ten największy, dramat epoki, rozegrał się między dwoma kobietami, potężnymi monarchiniami, a przecież nie był to czas kobiet. O tron Anglii Maria walczyła do ostatniej chwili życia. I... historia pokazała, że zwyciężyła, gdy wiele lat po jej śmierci tron objął syn Jakub Stuart. Czy to nie paradoks? Słaba strona okazała się jej siłą? To, że była i umiała być kobietą, zdecydowało o ciągłości dynastii Stuartów. Obecnie panująca brytyjska władczyni jest w prostej linii potomkinią Marii Stuart.

Życie Marii rozpałało wyobraźnię wielu artystów. Zainspirowało m.in. Fryderyka Schillera, Juliusza Słowackiego, Władysława Szymborską. Było tematem niezliczonych analiz, dyskusji i biografii. Powstało też wiele kostiumowych filmów, spektakle teatralne i zapewne wiele jeszcze przed nami. Nie dziwię się więc Krystynie Koneckiej, że i ona podążyła za Marią. I to dosłownie. Najpierw odbyła podróż tropami swojej bohaterki (jak zwykła to czynić), a potem ubrała myśli i towarzyszące temu emocje w klasyczną formę sonetu. W „Zwierciadle Marii Stuart” mamy do czynienia z sonetem szekspirowskim, a sonet ma zawsze czternaście wersów – jest częścią opisywania i refleksyjna. Krystyna zawarła dramat życia kobiety królowej, naznaczonej przez los w czternastu sonetach, które poprzedza ten „zerowy”, stworzony z pierwszych wersów czternastu następujących po sobie sonetów. Ta kompozycja nazywana jest sonetti a corona. Ale Autorka do tych sztywnych reguł dodała jeszcze swoją. Otóż, w „Zwierciadle...” wers kończący otwiera też następny sonet, wnosząc nowe treści i sensy. Konstrukcja godna mistrza.

„Nie uwierzysz, ale ten temat odebrał mi kawałek życia. Przecierpiałam losy Marii razem z nią” – napisała do mnie w mailu Krystyna. Ależ uwierzę i Czytelnicy „Zwierciadła...” uwierzę. Wystarczy wejść w sonety, wystarczy wejrzeć w życie tej walecznej monarchini, która – zdradzona przez wszystkich – zdana była na samotną walkę i na porażkę.

0

Otóż mrok jej biografii w gwiazdach zapisano.

Krwawe chmury zgęszczone nad rodem Stuartów

– a dla niej dwór francuski wyperfumowany.

Czy los to wypadkowa pozaziemskich żartów?

Skrajności darów niebios w Marii horoskopie.

Religijne roszady targające krajem. Nastoletnia władczyni w tamtej

Europie – nihil novi sub sole. Odwieczne zwyczaje.

Znaczonymi kartami będą grać mężczyźni.

Będzie źle. Coraz ciemniej. Coraz bliżej fatum.

Żaden czas nieprawości bliźnich nie zablizni

I do dziś jest niejasne co objaśniać światu.

Wstrzymajcie się. Ktoś inny załadnie jej losem.

Przyjdzie czas na przyjęcie ostatniego ciosu.

Oto „zerowy” sonet. Czy nie brzmi jak proroctwo, które się wypełniło? A my z każdym następnym sonetem będziemy tego świadkami. Każdy utwór jest jak bursztyn z zatopionymi w nim charakterystycznymi szczegółami. Przyjrzyjmy się im, jakie treści jeszcze skrywają, jakie fakty.

Krwawe chmury zgęszczone nad rodem Stuartów

– a dla niej dwór francuski wyperfumowany.

Miała zaledwie sześć dni, gdy zmarł jej ojciec Jakub V Stuart. Jako niemowlęciu w pieluchach nałożono na głowę koronę. Z powodu religijnej zawieruchy i dla bezpieczeństwa katolickiej i jedynej prawowitej spadkobierczyni korony, matka wywiozła ją do swojej ojczyzny, do Francji. Tam spędziła dzieciństwo, a w wieku szesnastu lat poślubiła króla Francji Franciszka II Walezjusza. Niestety po dwóch latach, „mały król” – jak go nazywano – zmarł. Przywdziała biały welon. Ach ta biel. Wystąpiła w niej też wcześniej na własnym ślubie w katedrze Notre Dame, choć kolor ten był tradycyjną barwą żałobną na francuskim dworze. Czy prowokowała los?

Biała wdowa po królu – dziecku. Biała karta.

Czy los to wypadkowa pozaziemskich żartów?

Maria powróciła do Szkocji; „nie wie, iż jest intruzem (intruzką?) dla lordów / sprawujących w ojczyźnie rządy w jej imieniu”. Musiała zmierzyć się z rebelią, z protestantami, którzy przejęli władzę, z lordami, którzy nie uznawali kobiety na tronie. Ale w Szkocji żyły jeszcze inne kobiety, a te kwestionowały jej seksualność.

Drugi mariaż nie służył i jej, i ojczyźnie:

znaczonymi kartami będą grać mężczyźni.

Tak naprawdę nie służyło jej ani drugie, ani trzecie małżeństwo, wbrew pozorom i to pierwsze z francuskim młokosem też nie przyniosło szczęścia. Drugim mężem został lord Darnley, bezpośredni potomek Henryka VII. Przysłała na ślub z nim, by umocnić swoje

pretensje do tronu. Chyba nawet kochała tego przystojniaka. Nie był on obojętny również Elżbiecie. Ale miłość wkrótce zamieniła się w nienawiść, gdy z polecenia Darnleya zabito Rizzio, zaufanego doradcę Marii i domniemanego jej kochanka. Zasztyletowano go w jej obecności. Podobno ośłaniała go własnym ciałem, a nosiła w łonie dziecko Darnleya.

Krwawiły w dłoniach Marii haftowane kwiaty.

Będzie źle. Coraz ciemniej. Coraz bliżej fatum.

Atmosfera na dworze gęstniała. Rok po krwawym mordzie na Rizzio, w wybuchu zginął Darnley. To też nie był przypadek, pułapkę zastawił hrabia Bothwell. Ale wpadła w nią i Maria, której przypisano autorstwo zdarzenia. Bothwell brutalnością wymusił na niej małżeństwo. To wszystko nie spodobało się poddanym i podjęli kolejny skuteczny bunt. Bothwell, trzeci mąż, wygnany został do Norwegii. Maria miała mniej szczęścia, uwięziono ją i abdykowała na rzecz pierwszego syna Jakuba. Ale udało jej się zbiec do Anglii. Myślała, że schroni się pod skrzydłami Elżbiety. Tymczasem i tam trafiła do więzienia, w odosobnieniu spędziła osiemnaście lat. Na wygnaniu wypowiedziała znamienne słowa: „Śmierć mego życia początkiem”.

Nie domyka się mroczny epizod dramatu.

I do dziś jest niejasne co objaśnić światu.

W „gościnie” u Elżbiety I była najważniejszym i najpilniej strzeżonym więźniem w Anglii. Z dala od rodziny, bez korony i możliwości powrotu do kraju żyła odizolowana od świata zewnętrznego, najpierw na prowincji, potem w zamku Sheffield, gdzie zaostrożono rygor i gdzie rozchorowała się i szybko zestarzała. Przez cały czas pozwolono jej jednak pisać listy do przyjaciół, prowadziła ożywioną korespondencję dyplomatyczną z królami Francji i Hiszpanii oraz z papieżem. Wciąż miała nadzieję, wciąż liczyła na interwencję z zewnątrz. Listy – rzecz jasna – były czytane przez angielski wywiad. Końcówki listów postanowiono się pozbyć Marii i uknuto plan. W beczkach z piwem stano do niej (niby przemykane w ten sposób) listy od katolickich spiskowców chcących zabić Elżbietę. Maria uwierzyła w spisek i odpisała na list, potwierdzając swój udział. Tym samym wydała na siebie wyrok. Miała zostać ścięta. Do egzekucji przygotowała się jak do występu teatralnego.

**ukazać się zebrany w szkarłatnej koszuli
z krzyżem na piersi. Schylić nagi kark... Za chwilę
potoczyła się czaszka. Pies wśród fałd się skulił.**

Na skazaną czekał kat z pomocnikami i trzystu widzów zgromadzonych w dużej sali zamkowej. Na podium katowski pieniek, niski taboret i poduszka. Wszystko wyściełane czarnym sukniem. Spektakl rozpoczął się w chwili, gdy wprowadzono Marię ubraną w czarną aksamitną suknię i pelerynę uszytą zgodnie z nakazami ówczesnej mody. Gdy dwórki zdjęty z niej czerń, oczom wszystkich ukazała się koszula w rdzawym kolorze zarezerwowanym w liturgii katolickiej dla męczenników. Krasomówczy kaznodzieja Elżbiety przy mowie pouczającej jak nigdy wcześniej zaczął się

nerwowo jąkać. Zniecierpliwiona Maria ostentacyjnie przerwała mu i odmówiła modlitwę. Przyszedł czas na kata. Zamiast jednym uderzeniem ciąć szyję toporem trzykrotnie, niczym tasakiem. Potem podniósł głowę za włosy, lecz w ręce została mu tylko peruka, a siwa i olysiała głowa królowej potoczyła się po deskach. Zaś spod czerwonej halki Marii wybiegł mały piesek rasy skye terrier, jej ulubieniec. Schowany w fałdach sukni towarzyszył pani w ostatniej drodze.

Kiedys była królową? Kiedys ją kochano?

Otóż mrok jej biografii w gwiazdach zapisano.

Nie podobna wymyślić bardziej tragicznego scenariusza na życie i obfitujące w tak burzliwe zdarzenia i z tak makabrycznym końcem. Już w chwili śmierci Maria stała się męczennicą. Po dwudziestu latach od egzekucji na tronie Anglii zasiadł syn Marii, Jakub. Kazał przenieść zwłoki matki do Westminster i nakazał zburzyć zamek Fotheringhay, gdzie dokonano egzekucji. Ale

wcześniej nawet on odwrócił się od matki.

„Zwierciadło Marii Stuart”, w którym przejrzał się los Marii, jest potwierdzeniem poetyckiego kunsztu Krystyny Koneckiej. Drugą część książki buduje jedenaście sonetów, mniej chmurnych i napisanych z reporterskim zacięciem. Autorka wpuszcza w strofy trochę słońca, ale czy jest ono jej czy edynburskie? Jedne są poświęcone ludziom, którzy tak jak i ona zawitali niegdyś do Szkocji lub szkockim pisarzom (Robert Burns, Walter Scott, Robert Louis Stevenson). Są też ślady polskie przywołujące pobyt Fryderyka Chopina koncertującego w Edynburgu, ale i pamiątki „misji męskiej” po prawnuku Jana III Sobieskiego. A zatem różnorodność tematyczna, która spięta została tytułem „W szkocką kratę”.

Dodam jeszcze, że dwujęzyczny tomik został pięknie wydany w białostockim wydawnictwie BUK. Autorką wolnego tłumaczenia na angielski jest Ewa Sherman, córka poetki.

ELŻBIETA MUSIAŁ

Krystyna Konecka, „Zwierciadło Marii Stuart”.
Wydawnictwo BUK, Białystok 2020, s. 72.

KRYSTYNA KONECKA

ZWIERCIADŁO MARII STUART



MARY STUART'S MIRROR

Free translation by EWA SHERMAN

Jerzy Stasiewicz

Głęboka wiara w człowieka w poezji Eligiusza Dymowskiego

Dawno nie trzymałem w dłoniach tak znakomicie opracowanej edytorsko książki jak Cicha dłoń (Tichá dlaň) Eligiusza Dymowskiego. Wydanie polsko-czeskie, w przekładzie na język naszych południowych sąsiadów znakomitego tłumacza Libora Martinka. Publikacja zrealizowana w jego wydawnictwie „Literature & Sciences” w Opawie w 2020 roku. Do wyboru zaczerpnął wiersze ze zbiorów poezji Eligiusza opublikowanych w Polsce po 1989 roku.

Moim marzeniem było zorganizowanie wieczoru autorskiego bronowickiego franciszkanina w Nysie, - którego zaszczyt miałem poznać najpierw w wydawnictwach Krakowskiej Konfraterni Poetów, później na żywo już jako uczestnik cyklu misterii: „Zaduszek Poetów”, „Wigilia Słowa”, „Chleb nadziei”, „Tramwaj Poezji”. Na gali wręczenia „Świętokrzyskich Gustawów” w 2016 roku w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach, gdzie był członkiem Kapituły, a ja znalazłem się wśród laureatów. - Co okazało się niezwykle trudne bo bieżące terminy były zajęte, bieda ośrodków kultury. A teraz pandemia zawiesiła czas spotkań poetyckich nie wiadomo na jak długo. Chyba jednak nie na zawsze? I w Śląskim Rzymie zabrzmiał głos poety mówiący nie tylko w poezji, ale także jako duszpasterz i przewodnik ziemskiej wędrówki człowieka zagubionego w labiryncie życia, mrokach nocy, niedoborze wody. Bo dzisiejszy czas zarazy mimo ograniczenia naszej wolności pokazał sprawy ważne dla człowieka: rodzinę, więź duchową, pomoc sąsiadką, współistnienie z przyrodą, w której nie doszukujemy się pogańskiego bóstwa wyglądającego z oparów wystających nad bagnem. Kiedy dla nas ważne było to co nieważne. I Perun słowiański bóg niebios i piorunów gnał nas coraz dalej i wyżej zdobywać szczyty dla zaspokojenia własnego ego.

Eligiusz Dymowski urodzony na Mazowszu w Śannikach w 1965 roku. Franciszkanin, wszechstronnie wyedukowany teologicznie w kraju i za granicą. Poeta, krytyk literacki, członek wielu stowarzyszeń. Gdzie on na to wszystko znajduje czas? Zajmujący się pracą dydaktyczną, naukową i literacką. Pracował jako duszpasterz w Pińczowie i w Somma Vesuviana koło Neapolu. Pińczów to przecież 19 km od Trzonowa, w którym spędziłem 20 lat młodościowego życia. W nim nadal mieszkają moi rodzice. W Pińczowie bywałem wielokrotnie, mijając często młodych zakonników podążających do Kaplicy św. Anny, do kościoła św. Jana Ewangelisty, do budynku dawnego kompleksu paulinów. Może, wśród nich był Ojciec Eligiusz idący spieszynym krokiem do Drukarni Ariańskiej na Mirowie poczuć zapach farby na czcionkach. I ani mnie, ani jemu nie przeszło przez myśl, że spotkamy się za dwie dekady z okładem przygarnięci pod skrzydła Euterpe. I będziemy oddawać jej cześć z należnym szacunkiem. Rozumiejąc, że tworzenie poezji to powołanie jak służba Bogu.

Przewertowałem tom wielokrotnie, nad niektórymi utworami popadając w głębszą zadumę. I twierdzę – choć może znajdą się oponenci - że świat według Eligiusza jest otwarty na człowieka z jego zagubieniem

w strasliwym pędzie współczesnego świata, zapalczywością zdobywania dóbr doczesnych. Chęcią brylowania na świeczniku. Zakodowaniem, że ja jestem najważniejszy. Oni... są mniej zdolni. Nasila się w utworach bunt wewnętrzny - jak fala sztormowa – po chwili tonowany intymnym dialogiem z rzeczywistością.

**Jak bardzo trzeba być człowiekiem
by móc na nawo się narodzić w
ogrodach myśli
sadzić kwiaty
kolory tęczy
w sny zamienić
i cicho dłonią
brodę gładzić
tak by nie zbudzić
śpiącej muchy
która przykuta
szarym cieniem drzew
czeka na swoją nową zdobycz
samotna głupia i bezbronna
a jednak wyszła
z ręki Boga**

Dialogiem z Absolutem. Ten genialny opis, zanurzenie w rzeczywistość, uchwycenie obrazka bliskiego sercu z tą wielowymiarowością świadczy o głębi duchowych przeżyć. Wydaje mi się nawet, że to zapis codzienności. Nie wykluczam, że Eligiusz Dymowski prowadzi dziennik. Co często w utworach potwierdzają wydarzenia dnia, czasem strzęp wspomnień, zastyszany głos, rozmowa z cierpiącym, śpiew ptaka. I zwykłe przyznanie się, że czegoś nie wiem:

**tak mało w nas
umierania codzienności
a tak dużo pytań
na które ciągle brakuje odpowiedzi
ile jeszcze trzeba czasu
aby opuścić granice
szczelnie zamknięte
i powędrować
w krainę Nadziei**

spróbuj otworzyć zaciśnięte dłonie

„Spróbuj otworzyć / zaciśnięte dłonie” to nawoływanie do pojednania, zgody sąsiada z sąsiadem, kiedy nieraz zwykła błahostka doprowadziła do tragedii i gniewu trwającego dziesięciolecia. Trzeba było dopiero następnych pokoleń by zmyły gniew ojców już dawno poza ziemską wędrówką, ale z zasianym polem zła. I nie pozwólmy by nieżyjący przemawiali do żywych. Żywi muszą być głusi i wierni własnym przekonaniom, że dobro jak i słowo jest człowiekiem. W utworach Eligiusza podmiot liryczny jest blisko Boga. I czuje się jego obecność niemalże w każdym wersie. Jest tutaj ciągłość

sacrum i profanum, z głębią refleksji. Choć widzimy czasem, że między człowiekiem, a naturą nie ma zgodności. Odwieczna walka żywiołów, którą poeta traktuje jako metaforę budowania. Dążności człowieka do nieustannego ubogacenia – nie w sensie materialnym czy duchowym – a potrzebnego dla egzystencji. „Człowiek / który nigdy nie odnalazł siebie – nie żyje”. Odnajdujemy siebie poprzez pracę, cele, które wyznaczył nam Stwórca, Ale i dał wolę do podejmowania własnych decyzji, których ciężar przyniósł wielu, a poeta to widzi:

Wczoraj napisał kartkę:

**„wiem, że nic mnie
tutaj nie trzyma”**

i wyszedł przez okno

Z takimi dramatami ludzkimi pewnie nie raz mierzył się jako kapłan i opiekun parafialnej społeczności. Być przewodnikiem dla stada i dodać otuchy tak zwyczajnie po ludzku by człowiekowi dotkniętemu tragedią samobójczą bliskiego chciało się żyć dalej, potrzeba siły wewnętrznej i głębokiej wiary w Stwórcę, który powierzył Eligiuszowi pieczę nad zabłąkanymi, rozpaczonymi, szukającymi oparcia i nadziei. Ja to wszystko czuję w jego poezji. Eligiusz nie poucza, nie gromi, jak to czyni wielu poetów w sutannie. Staje się partnerem dla odbiorcy. Co przypisane tylko wybitnym, tkniętym palcem bożym, a tu nie mam wątpliwości, że tak jest co potwierdza liryk:

**bo jeśli życie
musi być wędrówką
niech umierają chwile
– narodzą się nowe
– Wówczas będziemy pewni
Że miłość się nie starzeje**

Uczyć należy się na takich lirykach. Gdyby ludzie czytali więcej poezji, świat byłby lepszy, jestem pewien, dużo lepszy. Może czas pandemii pozwoli wielu zastanowić się co ważne w życiu. A innym sięgnąć po tomik wierszy. Przeczytać choćby jeden i zdobyć się na refleksję. Czy aż tak dużo wymagam? Naprawdę tak dużo? W Cichej dłoni czytelnik odnajdzie dzieciństwo, młodość, rodziców, o których niejednokrotnie zapominał, nowy sens tego co minęło.

Ogromnym polem upraw poetyckich Eligiusza są utwory z podróży, których odbył wiele jak na prawdziwego pątnika przystało. Wędrowca poszukującego siebie w odbiciu przydrożnych głazów, lustrze kałuż, wilgotnej korze drzew, w oczach ludzi spotkanych w drodze. Sięga po motywy starożytne. Odwołuje się do dawnych cywilizacji. Bo przecież stamtąd przyszedł człowiek. Tam powstała wybitna literatura z Homerem na czele. Autorem Iliady i Odysei. Księgi – ponoć na starość ślepa – były dla starożytnych Greków i Rzymian punktem wyjścia



Cicha dłoń Tichá dlaň

i miarą wartości wszelkiej poezji. Grecy uczyli się z nich historii przodków i etyki. Jego wyobrażenia o bogach zasyliły religię grecką. Na heksametrach Homera młodzież gracka uczyła się czytać. Więc nie ma się czemu dziwić, że poeta i ksiądz katolicki sięga do źródła najczystszej, bijącego przez wieki równomiernie wiedzą niewyczerpalną. Ale skłamałbym gdybym literaturę starożytną postawił na miejscu pierwszym. To miejsce w myślach jak i w sercu zajmuje Biblia. Przywołam słowa poety:

Biblio Święta
– Siostró moich natchnień
Piastunko myśli
Czarodziejko stworzeń

Jakimi słowami
mam dziś nazwać Ciebie

Skoro sam Duch Święty
wyrzeźbił Twe kształty ?

Biblio Święta
– Prorocy dziejopisie Boga
Cieniu wiecznej Jasności
Pocieszycielko smutnych

Towarzyszko samotnych
Przewodniku zabłąkanych

Nie daj wytechnienia moim oczom
pomóż mi otworzyć usta

Niech serce do woli się wypłaczę
abyś mogła spokojnie zasnąć na
powiekowym dywanie.

Czy tutaj można cokolwiek polemizować? Czy tylko pełnymi garściami czerpać ze słów Ducha Świętego, z poezji twórców starożytnych, nowożytnych i z poezji Eligiusza Dymowskiego kontynuatora tych tradycji.

JERZY STASIEWICZ

*Cicha dłoń / Tichá dlaň Eligiusz Dymowski wybór z poezji
przekład na czeski Libor Martinek Opava 2020 s.186*

Jerzy Stasiewicz

Śląska gawędziarka



Śmierć Anny Myszyńskiej zamknęła pewną epokę literacką mikroregionu Śląska Opolskiego, położonego – jak to pięknie ujął Jan Szczurek z Łącznika, poeta i przyjaciel zmarłej – między Kopą Biskupią, a Górą św. Anny. Miałem szczęście blisko znać twórczynię. skrupulatnie, pełnymi garściami czerpiącą ze skarbnicy trzech kultur, przebywać wielokrotnie w jej domu na Wzgórzu Zamkowym w Białej, ale i gościć u siebie w Stasiewiczówce. Ksiądz Wolfgang Glabisch nazwał śp. Annę w pożegnaniu; śląską ewangelizatorką, zaś Witke Hreczaniuk znający poetkę niemalże pół wieku mówił: „Chylę głowę dziś na pożegnanie za te mosty rzucane dla ludzi, za narody co jednataś, to Ty Aniu, jesteś w swoim domu.”

Urodziła się w 1931 roku w Kórnicy koło Głogówka. Z domu Schneider do dziewcząt-

nastego roku życia posługiwała się tylko językiem niemieckim i gwarą śląską. W 1957 r. ukończyła Państwową Szkołę Położnych w Nysie. Rozpoczynając pracę w szpitalu w Bystrzycy Kłodzkiej, następnie w szpitalu w Nysie. Odbierała poród jednego z dzieci państwa Magdaleny i Jerzego Kozarzewskich. (Jerzy – poeta, więzień polityczny, dwukrotnie skazany na śmierć. Dzięki wstawiennictwu Juliana Tuwima u prezydenta Bieruta, karę zamieniono na 10 lat ciężkiego więzienia).

W październiku 1959 roku przeprowadza się do Białej – jak czas pokaże na zawsze – podejmując pracę w Ośrodku Zdrowia. W grudniu tegoż roku wychodzi za mąż za Bogdana Myszyńskiego urodzonego

W Dubnie w woj. Wotyńskim na Kresach Wschodnich. Założyciela w Białej zakładu fotograficznego: „Foto – Bogdan Myszyński”. (Był pierwszym uczniem w nowo otwartym w 1945 r. zakładzie, w zrujnowanej Nysie przy ul. Krzywoustego 25, u swojego brata Leona Myszyńskiego. Leon przed przesiedleniem sfotografował pochówki pomordowanych w rzezi Wotyńskiej. W roku 2008 zakład wraz z mieszkaniem sprzedano).

W 1967 roku rezygnuje z pracy w szpitalu i rozpoczyna naukę zawodu fotografa pod czujnym okiem męża. Ciekawostką w tym nowym tygłu kulturowym była fotografia okazjonalna. U klientów ze wschodu obfotografowywano dzieci w czasie chrztu. Ślązacy zaś na roczek i z tytuł pierwszoklasistów 1 września. Przesiedleńcy tej tradycji nie znali, ale przyjęli z biegiem lat jak własną. Podobnie Ślązacy kresowe upamiętnianie ostatniej drogi zmarłych. Fotograf Anna Myszyńska wspomina to tak:

„ Podchodziłam do każdego zmarłego, jakby to był mój bliski. Chodziłam do kostnicy przyszpitalnej lub najczęściej do domu zmarłego, w przeddzień pogrzebu, żeby spokojnie przygotować zmarłego do zdjęcia. Ułożyć kwiaty, przykryć duże buty, zdarzyło mi się dwa razy młodym osobom po wypadku samochodowym, zrobić makijaż w trumnie, by zmniejszyć ślady zranień na twarzy.(...) Do roku 1970 trzeba było dla klientów robić wszystko. Oprócz tradycyjnych zdjęć roczników, komunii czy wesel, fotografowaliśmy pomniki na cmentarzach, budowy domów, stodoł, nowe meble i paczki, które przychodziły z Rajchu. Ważne dla naszych klientów były zdjęcia używanych maszyn rolniczych sprowadzanych z Niemiec, na kupno których ich dzieci w Rajchu oszczędzały na wszystkim.”¹

Po wizycie w Polsce w 1970 roku kancleza Republiki Federalnej Niemiec Willi Brandta, następuje masowa emigracja ludności śląskiej za łabę w ramach akcji łączenia rodzin. To początek trwającego lata wykonywania zdjęć paszportowych. Dzieci do szesnastego roku życia fotografowano z matką. Setki rodzin na zezwolenie wyjazdu czekało nie raz kilkanaście lat, a co kwartał należało składać powtórne dokumenty. Dzieci przybywały, dorastały. I ciągnęły lęk właścicieli zakładów fotograficznych w epoce Polski Ludowej – czy nie zabraknie: klisz, papieru, odczynników. Ten problem dostaw Pani Ania rozwiązywała poprzez współpracę z robotnikami oddelegowanymi do pracy w NRD. Zwłaszcza w budownictwie. Było ich z powiatu prudnickiego i ościennych naprawdę dużo. Z biegiem lat powstało grono przyjaciół po tamtej stronie Odry, które udzielało wsparcia, noclegu, zakupów, w odstępach czasowych by nie wzbudzić podejrzeń sąsiadów, tak skłonnych do donosicielstwa jak nigdzie indziej w państwach bloku socjalistycznego. By zakład nadążył obsługiwać klientów – jak to dzisiaj zdżwinnie zabrzmi – Pani Ania musiała sama zająć się przemytem materiałów fotograficznych. Nasuwa mi się tutaj skojarzenie z innym pisarzem: Sergiuszem Piaseckim. Tylko tam były realia wojenne, odradzenie się niepodległości Polski; współpraca z wywiadem i bandytyzm. A tu dziwny dobrobyt? „(...) nocny pociąg z Warszawy do Dreżna, zawsze przepelniony budowlancami (...). Panowie mnie jakoś wciągnęli do wagonu, po drodze odnalazł mnie konduktor i skasował do własnej kieszeni i obie strony były zadowolone. Często jadąc na jednej nodze o 6 rano byłam w Dreżnie.(...) ze zwykłej torby, dzięki zamkom naokoło zrobił się wysoki worek. Torba towarzyszyła mi we wszystkich podróżach do wschodniego i zachodniego Rajchu, ale głównie do NRD,

napełniona przeważnie materiałami fotograficznymi. Przez nią mam o 3 cm dłuższe ręce (...). W sklepach fotooptycznych Dreżna i innych miast (...). Prośba o całe opakowanie filmów kolorowych 6 x 6 wzbudza u sprzedawców natychmiastowy sprzeciw. „ Nie będziemy innych krajów zaopatrywać” (...). Sklepy poza centrum objeżdżałam taksówką. Wtedy kierowca kupował mi też dwa filmy, bo tylko tyle można było kupić (...). (W jednym sklepie na głowę, przypis J.S.) Inaczej się sprawy miały w prywatnej drogerii w centrum Karl Marx Stadt (...). Tam wcześniej mój znajomy poprosił właścicielkę o względy dla mnie i w wielkiej konspiracji przed innymi klientami wręczałam jej kartkę z moim zamówieniem. Pod ładą pakowała często materiał i sprzęt fotograficzny do różnych małych opakowań by nie wzbudzić podejrzenia. Nigdy nie pytałam, ile co kosztuje, ona podsuwała mi sumę do zapłaty. Zerknęłam krótko i razem złożone banknoty podałam jej do ręki.(...). Zakupy w NRD to był jeden problem, drugim było bezpieczne ich przewiezienie przez granicę(...). Najcenniejszy materiał to były czarno-białe negatywy cięte 13x18, na ślubne zdjęcia i chemikalia do wywoływania filmów. Śluby było w latach 70/80-tych po 10 tygodniowo. Trzeba było liczyć podwójnie, bo każdy ślub odbywał się wcześniej również w Urzędzie Stanu Cywilnego(...). Zdarzały się w czasie stanu wojennego śluby, które odbywały się na odległość, gdzie zdjęcie było jednym z dowodów na to, że związek małżeński został zawarty. Zdradzę tylko jeden sposób przemytu mojego pomysłu. Zauważyłam raz, czekając w Dreżnie na pociąg do Rzeszowa, że doczepiają do niego dwa wagony z NRF. Większość pasażerów stanowiły wdowy wojenne ze Śląska, które wracały z niemieckich sanatoriów. (...) do Głogówka, Krapkowic, Gogolina. Przed granicą w Zgorzelcu poprosiłam je o pomoc, nigdy nie odmówiły(...). Tak to się przemycalo aż do pamiętnego roku 1989, gdzie byłam jeszcze w kwietniu na zakupach.”² Po tej dacie aparat fotograficzny stał się ogólnodostępny. Zawodowy fotograf przestał podążać śladem człowieka od narodzin do śmierci. W 1988 r. umiera po długiej chorobie mąż Bogdan, a zakład przejmuje syn Paweł. Hurtownie sprzęt i materiały przywożą do domu. Pani Ania w niedługim czasie przechodzi na emeryturę i tu rozpoczyna się całkowicie inny rozdział jej życia. Rozdział, którego szlak wyznaczył starszy syn Piotr, były tancerz Wrocławskiego Teatru Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. Choroba przykuwa Piotra do wózka inwalidzkiego. Nie rezygnuje jednak z pasji artystycznych. Realizuje się jako malarz – wiele wystaw w kraju i za granicą. I poeta. Publikując tomy: *Pantomima wierszy* (1997), *Tańczę* (2001) i wspólnie z mamą: *Pod wieżą* (2005) i *W trybach czasu* (2018). Muszę Piotrowi w przyszłości poświęcić oddzielny esej.

Co ma robić osoba tak kreatywna jak Anna Myszyńska? Zajmuje się Piotrem, ocenia jego obrazy, słucha wierszy. Nawiguje współpracę z lokalną „Panoramą Białą” początkowo jako fotograf, później fotoreporter. I powoli zaczyna pisać „ Po Śląsku, czyli po naszymu”, przypominając sobie język dzieciństwa. Niemalże zapomniany w polskiej szkole. Drukuje opowiadki o świniobiciu, pieczeniu chleba, kołaczy, żniwach, suszeniu siana, zapasach na zimę, początkowo u siebie. Ale to dla niej za mało. Rusza rozklekotanym „maluchem” na podbój świata...do Katowic. Na konkurs gwary śląskiej, organizowany przez tamtejsze radio. Często powtarzała, to spotkanie

„ odrodziło moją śląską tożsamość”. Po przemianach ustrojowych na Opolszczyźnie prężnie działa mniejszość niemiecka. Ukazują się czasopisma, emitowane są audycje radiowe, konkursy poezji niemieckiej w szkołach i pod pomnikiem Josefa von Eichendorffa w Dębowcu pod Prudnikiem. Anna Myszyńska rozpoczyna 18- letnią współpracę z Radiem Opole w polsko-niemieckiej audycji „Nasz Heimat” prowadzonej przez redaktora Andrzeja Russaka. Ta śląska gawędziarka posługująca się trzema językami łączy ludzi; mieszkających tu od pokoleń z przybyłymi nie z własnej woli w jedną społeczności dla dobra tej ziemi, jej kultury i rozwoju wspólnych dzieci. Na te cotygodniowe audycje jak na chleb pieczony w soboty, czeka się głodnym głosu siejącego ziarno zgody i poszanowania tradycji, przywiezionej z miejsca urodzenia i ubogacania nią sąsiadów, wyrosłych z innego korzenia. Dziś pijących wodę życia ze wspólnego źródła.

Te siedemset opowiadań w archiwum radiowym grzechem byłoby nie opublikować w formie książkowej. I tak kolejno wchodzi drukiem trzy opaste tomy: *Śląskie rozprawianie 1* (1999), *Śląskie rozprawianie z okolic Białej, Głogówka i Krapkowic, Opowiadania radiowe z lat 1998-2001* (2006), *Śląskie rozprawianie z powiatów Prudnik, Koźle i Krapkowice* (2007). Rok 2010 przynosi czwarty tom jej opowiadań w wersji śląsko – niemieckiej pt. *Oberschlesische Erzählungen*. W międzyczasie w roku 2003 wydała swoje zapiski prozatorskie i poetyckie w dwujęzycznym tomiku pt. *Nie tylko po śląsku (Nicht nur Oberschlesisch)*. Lata 2011-2012 obfitują nagraniem pięciu płyt z opowiadaniem: dwie po niemiecku, trzy po śląsku. W 2016 roku ukazuje się książka wspomnieniowa pt. *Miałam szczęście do ludzi*. Czytałem ją wielokrotnie. Na kartach gawędziarsko prawili o terenie i ludziach, których i ja miałem szczęście znać. Oczywiście tych młodszych. No i zdjęcia – świadectwa czasu – pomieszczone w *Moim poplątaniu* 2018 (wspólnie z Piotrem).

Strona tytułowa; mama i syn uśmiechnięci siedzą przy stole w kuchni. Jest kawa i kołacz. Za plecami choinka, bombki w kształcie dzwonków. Jest olejny obraz Piotra przedstawiający fragment domu Myszyńskich na tle zamku i ulica –obecna nazwa Góra Wolności – i „ maluch”, którym Pani Ania docierała wszędzie. Bywałem w tym artystycznym domu- kwadraciaku z płaskim dachem, wybudowanym w latach sześćdziesiątych. Pierwszy po wojnie w Białej. Mąż Bogdana do śmierci kuta w serce taka architektura. Na podwórzu jest jedna z baszt zamkowych, urządzono w niej skład drewna. Najczęściej przy tej baszcie siadaliśmy czytając wiersze, słuchając bajd gospodyni po tutejszemu. Dla mnie niezrozumiałych i odległych (przybyłem do Nysy z Małopolski początkiem lat dziewięćdziesiątych). Ale była w tej mowie jakaś siła wywołująca w słuchaczach najgłębsze pokłady wyobraźni, z których potem czerpaliliśmy karmę dla własnej poezji. Nawet po latach. Przechodziliśmy do pracowni Piotra pełnej nieładu – jak moja fryzura – gdzie kąt tam szkic, obraz, za-gruntowany blejtram, bądź płyta piśniowa. Na niej Mim malował najchętniej. Obrazy na ścianach szarpały ruchem. Przyzywały płomieniem barw. Czuto się taniec, a Piotr siedział na wózku inwalidzkim. O tapczan oparte stały kule. A Pani Ania dopowiadała: „ to namalował w nocy, a te bazgroły to mój ostatni wiersz”.

JERZY STASIEWICZ

Anna Myszyńska *Miałam szczęście do ludzi* s.23-24.

²Tamże s.26-27-28.

Socjologiczne dzieło **Zygmunta Baumana** (1925-2017) – wybitnego profesora i szefa wydziału socjologii i myśli politycznej na uniwersytecie w Leeds, na przestrzeni lat 90-tych w zasadniczym zrębie dotarło do Polski. Główna w tym zasługa Wydawnictwa Literackiego z Krakowa, które spośród 60 książek Mistrza z Leeds, opublikowało co najmniej jedną trzecią. Jest to dorobek ważki i uznawany na całym świecie, czego namacalnym dowodem było przyznanie Zygmuntowi Baumanowi wielu prestiżowych nagród – w tym w 2010 roku Nagrody Księcia Asturii w dziedzinie komunikacji, wyróżnienia uznawanego za „drugie po noblu”.

Profesor to bez wątpienia najwybitniejszy interpretator świata ponowoczesnego – tego, który nas otacza i dzień w dzień przyprawia o ból głowy. Czy jednak jego myśl została zasymilowana? Zrozumiana? Raczej nie do końca. Bauman pisze socjologicznym żargonem, na dodatek po angielsku; do złożoności i specyfiki tekstu dochodzi więc kwestia mniej lub bardziej udanego tłumaczenia. Jest więc Bauman w swych wywodach – choć modny – dość hermetyczny. Biorąc pod uwagę wagę i unikatowość tematów, które bierze na warsztat – szkoda.

Ale oto jest wybawienie. Pomocna dłoń. Nakładem *Wielkiej Litery* pojawił się tom rozmów z Profesorem, które krótko przed jego śmiercią przeprowadził z nim niemiecki dziennikarz **Peter Haffner**. Z tego wywiadu rzeki myśli Zygmunta Baumana wyłania się w sposób zaskakująco klarowny i zrozumiały. To walor żywego słowa. Dzięki niemu książka Haffnera może stanowić znakomite wprowadzenie do całości dorobku Profesora.

Obok socjologii i postmoderny w książce nie mogło zabraknąć szczegółów autobiograficznych, bo – jak gdzie indziej⁽¹⁾ stwierdza przyjaciel Baumanna, socjolog **Simon Dawes**, płynność jego (Baumana) życiowych doświadczeń mogła być może ukształtować jego interpretację płynnej nowoczesności (co jest synonimem ponowoczesności). Ale uwaga Haffnera akurat w tym aspekcie nie dotyczy kwestii nauko-

wych, lecz... komunizmu. Pyta Profesora, jak do tego doszło, że w powojennej Polsce związał się z komunizmem. Bauman na to: idący ze wschodu komunizm zmiotł hitleryzm, który utożsamiany był ze skrajnym złem. Przez identyfikację z ideologią, która nadszła ze wschodu dla wielu była dość oczywista, a przynajmniej utatwiona. (Argumentacja dość bałamutna, a przynajmniej uproszczona. Bo jak można tracić z pola widzenia drugi front, w absolutnie nie związanych z komunizmem, który w równej mierze zmiotł Hitlera?)

Ale przejdźmy do propedeutyki socjologicznej myśli Baumana w wykonaniu Haffnera.

Dlaczego w postmodernie związki międzyludzkie (w tym związki miłosne) uległy tak wielkiemu spłyceniu?

– Bo trwałe więzi są przeszkodą w poszukiwaniu szczęścia – mówi Bauman.

Bo współczesny człowiek w pogoni za przyszłością, która oferuje mu tyle możliwości, chce sprawnie przesiadać się z pociągu do pociągu. A prawdziwa miłość jest kotwicą. Super ciężką walizką. Ani jedna, ani druga w tych przesiadkach nie pomagają.

Czy holocaust był cofnięciem się do czasów barbarzyńskich?

Bauman: Nic z tych rzeczy. Holocaust był praktycznym zastosowaniem tego, co do zaoferowania miała nowoczesność. Był odpowiednikiem fabryki Forda zastosowanym do produkcji śmierci.

Dlaczego współcześni politycy w przytłaczającej większości przeciętniacy? Dlaczego nie ma wśród nich kogoś na miarę Churchilla?

Bauman: Przeciętności wymaga szybkość zmian z jakimi jesteśmy dziś skonfrontowani. Politycy nie mogą posiadać wyrazistych osobowości, bo muszą być tablicami, na których co chwila można napisać coś

nowego (wynikającego z natłoku zdarzeń, procesów, nowości).

Ale jednocześnie pojawiają się osoby takie jak Donald Trump, czy Putin. Dlaczego?

Bauman: Bo życie, przez jego zmienność i szybkość przemian, jest bardzo trudne. Ludzie w ogromnej większości sobie z nim nie radzą. Aż tu nagle pojawia się ktoś, kto mówi: „Zaufaj mi, daj mi władzę, a ja zrobię wszystko co trzeba [w domyśle – za ciebie, przyp. RW]. Tacy politycy przypisują sobie wszechwładzę i wszechmoc. Tak jak teraz (...) Trump w Ameryce”.

A na koniec niespodzianka. (Miejmy w pamięci, że rozmowy Haffnera z Baumanem toczyły się 3-4 lata temu.)

Skąd może nadejść nadzieja w polityce i odnowa klasy politycznej. – Kto nas uratuje? – Haffner pyta Mistrza.

– Burmistrzowie wielkich miast (...) – mówi Bauman. – Po raz pierwszy w historii ponad połowa mieszkańców Ziemi żyje w miastach; w krajach rozwijających się jest to nawet siedemdziesiąt procent. Duże miasta stoją między [niewydolnym – wynikało to z wcześniejszego wywodu. RW] państwem a jednostką, mają właśnie tę wielkość, liczbę ludności i zróżnicowanie etniczne, które umożliwiają pośredniczenie między wspólnotą a społeczeństwem. Społeczeństwo symbolizuje relacje anonimowe, biurokratyczne; wspólnota – kontakt wzrokowy i kooperację. Chociaż problemy miasta są skomplikowane, można podejść do nich empirycznie. Mieszkańcy miasta mogą wypracować porozumienie.”

Zaskakująca aktualność.

ROMAN WARSZAWSKI

(1) Zygmunt Bauman, *To nie jest dziennik*, tłum. Maria Zawadzka, s.136 WL, Kraków 2012

Peter Haffner, *Bauman. Czynieć swoje obywatelstwo*, tłum. Katarzyna Leszczyńska, Wielka Literatura ss. 239, Warszawa 2019

Z okazji 50-lecia istnienia Poznańskiego Klubu Literackiego całkiem niedawno ukazała się nieco ponad 200-stronicowa antologia pt. „Daję słowo” prezentująca 47 autorów współcześnie związanych z poznańskim klubem. Antologia została zredagowana przez Łucję Dudzińską oraz poetę i zasłużonego animatora kultury w Poznaniu Jerzego Grupińskiego, który od lat prowadzi spotkania związane z Poznańskim Klubem Literackim. W aneksie do antologii znalazły się archiwalne zdjęcia ze spotkań poetyckich w Zamku oraz portrety ludzi pióra poety i malarza Zbigniewa Kresowatego.

Wszystko zaczęło się w 1970 kiedy grupa młodych pisarzy założyła w poznańskim Zamku Klub Literacki. Na spotkaniach pojawiali się tacy twórcy jak Andrzej Babiński, Stanisław Barańczak, Krzysztof Kuczkowski, Edward Stachura, Jerzy Szatkowski. Pierwsza prezentacja klubu miała miejsce w czerwcu 1970 roku. W 2005 klub zmienił opiekuna,

którym stało się Piątkowskie Centrum Kultury „Dąbrówka” przy Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Klub literacki zajmował się konkursami literackimi, warsztatami literackimi, wydawaniem istniejącej do dzisiaj gazety literackiej „Protokół Kulturalny” i redagowaniem almanachów. Jedyną osobą, która scalała oba okresy działalności Klubu Literackiego w Zamku i w spółdzielni był jeden z redaktorów książki Jerzy Grupiński.

Cała ta otoczka dotycząca wydania antologii, wspinała się jubileusz, mnóstwo anegdotów w krótkich tekstach Jerzego Grupińskiego to jedna sprawa, a dzisiaj poeta klubowa to jednak druga. Po przeczytaniu poezji, miniatur poetyckich, wspomnień i jednego eseju z wstępem prozatorskim miałem wrażenie, że proces literacki w Poznaniu cofnął się o wiele lat do tyłu. Trzy czwarte tekstów było pisanych w duchu humanizmu, z zaznacze-

niem obycia i wrażliwości, w których rola się od rzek Heraklita, czy aniołów, o czym czytałem na łamach różnych czasopism w latach 90-tych i wtedy to była poezja bardzo anachroniczna mająca swoich antenatów – jeśli chodziło o zapis w poezji Tadeusza Różewicza, jeśli chodziło o wrażliwość w poezji Edwarda Stachury, a pewne rysy indywidualizmu zostały odziedziczone po poezji tzw. Nowej Prywatności. Jeżeli początki klubu kojarzyć się mogły z odważną literacką, otoczką skandalu, nowatorstwem, to co ostatnio przeczytałem to w większości powielanie klisz i pisanie wg paradygmatów z dawnych lat. Co oczywiście w małej dawce nie było szkodliwe, nawet czasem ożywcze, ale w takim natłoku tekstów – ta anachroniczność była jednak uciążliwa, gdyż poezja wg mnie to raczej sztuka słowa, a nie sprawozdanie z własnej wrażliwości. Na szczęście w antologii moż-

na było znaleźć trochę udanych utworów. Także bardzo ciekawą rzeczą wydało mi się to, że pomimo tego, że publikacja ukazała się pod patronatem SPP, wzięło w niej udział także sporo twórców nie związanych z SPP, a np. z ZLP, co w moim rodzinnym mieście byłoby nie do pomyślenia, chociaż sam publikowałem i w czasopiśmie związanych z jednym i drugim związkiem. Mimo, że byłem częstym gościem Kół Młodych ZLP, także wpadałem przez jakiś czas do SPP i na Sylabę związaną z SPP.

Jeśli chodzi o poezję największym odkryciem w antologii były dla mnie wiersze polsko-serbskiej poetki Olgi Lalić-Krowickiej, która opublikowała i przetłumaczyła już kilkanaście tomików poetyckich, a także była drukowana w bałkańskiej prasie i w polskiej. W jej poezji pisanej w rytmie mowy potocznej nie brak było zaskakujących środków poetyckich, energii językowej czy to w buntowniczym nieco „Pan Bóg nie jest w modzie”, czy rozgadany „Hej człowieku”. Poetka czuła słowo, nie była niewolnicą jakiegoś schematu, jej wiersze biegły, a nie rozmywały się tuż przed nią jakąś pointą. Dość udane według mnie były wiersze Stanisława Chutkowskiego, w których spokojną

frazą autor opisywał współczesną biedę, samotność, zagubienie, snucie się pustymi plażami jak w „Czekaniu”. Nietuzinkowe wiersze, nieco spowinowacone z dawną awangardą napisała wszechstronnie uzdolniona artystycznie poetka i wokalistka Jolanta Ciecharowska. W nich dała upust swoim emocjom, uczuciom smutku, pisała także o kobiecej wrażliwości, oczekiwaniu i próbach radzenia sobie z nim jak w „domie na skraju kartki”. Ujęty mnie także wiersze Danuty Ewy Dachtery o przemijaniu, ważności pamięci, a nie słowa, czy o zwiędnięciu Londynu. Jej wiersze były pisane chłodną intelektualną frazą. W pozostałych przypadkach można znaleźć było czasem w zestawie prezentującym danego poetę lub poetkę jeden czy dwa poruszające wiersze jak w przypadku „Poczekać na cud” Zygmunta Dekiertha, wiersza o incipicie „*** moja rodzina” Marii Kogut, „Bywa i tak” Aldony Latosik, „Matki czytanie” i „Lekcji języka” Katarzyny Michalewskiej, która jako jedna z nielicznych w antologii zajmowała się problemem istoty języka. Ciekawe także wydały mi się wiersze takie jak „Rodzina” Janusza Urbaniaka, czy „Na starość. oczekiwanie” Łucji Dudzińskiej

jako jeden z nielicznych jej tekstów, który do mnie trafił.

Wśród tekstów prozatorskich, które także znalazły się w antologii najciekawszymi wydały mi się – skupione, opisowe, nie pozbawione zabiegów poetyckich, miniatury prozatorskie Artura Dudzińskiego, czy świetny nie pozbawiony walorów literackich, pełen ironii do czasów współczesnych esej Barbary Kęcińskiej-Lempki „Od cmentarnego feminizmu do kastracji”. Całkiem udane było także wspomnienie „Literatury Wielce Zwirowany” Sebastiana Walczaka o odwiedzinach u Jerzego Szatkowskiego, który odszedł w 2019 roku, a także miniatury prozatorskie Zdzisława Czwartosa.

Na pewno, gdybym mieszkał w Poznaniu i wpadał na spotkania Klubu Literackiego inaczej bym ocenił antologię. Bo antologia to nic innego jak prezentacja jakiegoś środowiska – nie licząc antologii tworzonej z myślą o historii literatury – zrobiona dla radości samych twórców, uczestników spotkań, czy ludzi chcących poznać lokalne środowiska twórcze, a nie tylko książki, które są w empiiku.

MATEUSZ WABIK

Daje słowo. Antologia 50-lecia Poznańskiego Klubu Literackiego, FONT, Poznań 2020

Roman Warszawski

Na marginesie książki dra Janusza Szelugę Hermeneutyka miłości

Jedna litera. Kładki i mosty.

Janusz. Szeluga. Doktor. Psychiatra. Lekarz okrętowy. Obserwator świata.

Nieco historii

Poznałem go kilkanaście lat temu, chyba w roku 2007, akurat wtedy, kiedy wybierałem się do Peru, do długowiecznego plemienia Q'ero. Zadzwoniłem do redakcji miesięcznika „Żyć Długo”. Powiedział, że chciałby się spotkać i porozmawiać, bo...

I tu nastąpiła długa wyliczanka. Bo był w Peru, o którym tak często pisaliśmy w „Żyć Długo”. Bo interesują go tamtejsze rośliny lecznicze – słynne plantas medicinales – o których tyle można dowiedzieć się z naszych łamów. Bo sam, przed laty, jak zaszła taka potrzeba, z powodzeniem je stosował. Bo jako lekarz okrętowy był praktycznie wszędzie i jest bardzo ciekaw świata. Ponadto bardzo interesuje się Indiami...

Nie można było się nie spotkać

Od pierwszej rozmowy (było to w Sopotach) wyczułem (wtedy jeszcze nie w Januszowi, lecz w doktorze Szeludze) duży intelektualny głód i niepokój. Oprócz psychiatrii i ogólnie rozumianej medycyny, interesowały go bardzo różne dziedziny wiedzy. Starał się przerzucać między nimi raz kładki, raz mosty.

Zaczął pisać do „Żyć Długo”. Okazało się, że również bardzo pochłania go zagadnienie długowieczności. (Pamiętam, jak z wypiekami na twarzy słuchał tego, co na ten temat dowiedziałem się wśród Indian Q'ero.) Przez kilkanaście lat naszej współpracy zebrało się sporo jego publikacji i wywiadów, które udzielił. Zwykle dotyczyły psychologii, zdrowia psychicznego, ekologii, stylu życia i problemów, które niesie ze sobą cywilizacja. Kto wie, czy kiedyś nie warto by złożyć ich w osobny tomik...

W tle naszych rozmów prawie zawsze obecna była Ameryka Łacińska, no i oczy-

wście Peru (on nazwę tę zwykł wypowiadać z wyraźnym akcentem na ostatnią sylabę), które (już wtedy Janusz) zwykł uznawać za krainę prawie doskonałą, bo pełną zabytków kultury, bogatą w przepiękną przyrodę obejmującą pustynie, góry i puszcze oraz ekosystemy, które obfitowały w niezliczone rośliny o silnych właściwościach leczniczych.

Te ostatnie szczególnie interesowały go jako lekarza wyczuwającego w nich duży potencjał terapeutyczny, ale także jako byłego pacjenta. Borykając się z różnymi dolegliwościami, sięgnął po nie w czasie swojego pierwszego pobytu w Peru i – ku własnemu zaskoczeniu – bardzo szybko w tej autoterapii odniósł sukces.

Synchroniczność?

W tym czasie, kilkanaście kilometrów od portu w Callao, gdzie zacumowany stał jego statek, w salejańskim klasztorze w Limańskiej dzielnicy Brenia, mieszkał ojciec Edmund Szeliga – niestrudzony propagator fitoterapii andyjskiej i amazońskiej. W raporcie, który kiedyś napisałem o Januszu, on sam tak mówił o tym:

– To następna niesamowita okoliczność: Szeliga i Szeluga: czyż to nie zadziwiające? Obaj interesowali się światem leczniczych roślin Andów i Amazonii, a nasze nazwiska w oczywisty sposób są pokrewne! Różni je tylko jedna litera! W kategoriach Carla Gustava Junga – jednego z najważniejszych pionierów współczesnej psychologii i psychiatrii, coś takiego nosi nazwę synchroniczności. Dodałbym – synchroniczności doskonałej.

To doskonały przykład, jak zwykł myśleć i kojarzyć.

Siedem razy Indie

Poza Ameryką Łacińską, innym jego

duchowym domem są Indie. Jeździł tam siedem razy. Nie jako marynarz i lekarz, lecz jako wiecznie głodny nowości obserwator świata. Nauczył się tam jogi, medytacji i interesował się życiem różnych indyjskich guru. Podczas gdy w Ameryce Południowej odnajdował pewną strukturalną prostotę i nakładanie się na siebie ledwie kilku kulturowych warstw, w Indiach oddychał różnorodnością, przemieszaniem wszystkiego ze wszystkim i pulsującym kulturowym splątaniem. Ta konfrontacja prostoty ze złożonością stała się dla niego intelektualną pożywką, która doprowadziła go do stworzenia wielu nowatorskich konstruktywów myślowych.

Śladem Uniłowskiego

Co najmniej kilka z nich odnajduję w książce Hermeneutyka miłości, którą niedawno wydał. Jest ona interesująca przede wszystkim dlatego, że jej autor w wielu miejscach przekracza utarte ścieżki i czyni to bez trwogi. Na rzeczywistość, którą opisuje – mieszcząc się, ku mojemu zaskoczeniu, w nacie wyznaczonym przed II wojną światową przez Zbigniewa Uniłowskiego tomem „Zazdrość i medycyna” – nakłada własne widzenie i rozumienie świata, mające swój początek w konfrontacji prostoty ze złożonością i skomplikowaniem.

Nie byłoby tego, jakby Janusz nie zachłystnął się Ameryką Łacińską. Jakby przez długie lata z otwartymi ze zdumienia ustami nie chłonił Indii. Jakby nie był doktorem Januszem Szelugą – psychiatrą i specjalistą medycyny tropikalnej. Jakby zawsze nie pozostawał sobą.

ROMAN WARSZEWSKI

Janusz Szeluga, Hermeneutyka miłości, Wyd. Światło Literatury, Gdańsk 2020

O czym pisać, kiedy się spada z lkarem od tysięcy lat?

Czytając w ostatnich latach tomiki poetyckie zapomniałem już o tym, że można było pisać także wiersze o chęci bycia poetą, czy stawianiu się poetą, o procesie twórczym, zastanawianiu się nad tematem poezji. Roczniki 80-te pominęły tę fazę twórczości, w której „tematyzowało” się sam wybór drogi twórczej, zastanawiało się nad istotą bycia poetą. Wszyscy byli już gotowi na starcie. Takie wiersze, w których podmiot liryczny zastanawiał się nad istotą bycia poetą, albo w którym poeta zaznaczał moment pisania to tematyka wcale nienowa. Tadeusz Różewicz napisał sporo wierszy autotematycznych. Twórcy z pokolenia „brulionu” zastanawiali się nad istotą poezji w jakichś nowych czasach następujących po starej poezji, wówczas cezura roku 1989 została zestawiona z ponowoczesnością, zwiększoną świadomością historii. Poeci związani z „brulionem” odstawili na półkę wszelkie znane z historii powinności poety, próbowali autentyzmu, gry z czytelnikiem, nie chcieli poezji zaangażowanej, przypatrywali się kulturze pop, zdeprecjonowali usankcjonowane kulturowo bycie poetą.

Wieczorki poetyckie roczników 60-tych stawiały się promocjami książek, na których występowało się niechętnie, albo starano się powiedzieć coś dowcipnego by rozładować powagę sytuacji. Należący do pokolenia „brulionu” Marcin Świetlicki także był poetą, który pisał wiersze o procesie pisania, czy szukania tematu. Także w przypadku bardzo wczesnego etapu poezji roczników 70-tych można było zauważyć owo zastanawianie się nad istotą bycia twórcą (Jadwiga Wątor, Andrzej Goźdźkowski).

Takie wstępne spostrzeżenia nasunęły mi się po dwu lekturach debiutanckiej książki poetyckiej „Witajcie w moim Betlejem!” Michała Fałtynowicza, znanego wcześniej ze zbioru kilku sztuk scenicznych pt. „Ciemność”. W swoim tomiku poetyckim Fałtynowicz zaznaczał swoją debiutanckość, sygnalizował zarówno swoją niegotowość do bycia poetą, ale także ogromną chęć bycia twórcą. Z tego impasu poszukiwał dróg wyjścia w kierunku szukania tematów na wiersz, zaznaczał także swoją niemoc twórczą. W wierszu „przedśen” pisał „miałem napisać wiersz, /lecz już zgasłem, położyłem, /przykryłem. zeszyt na biurku”. Wiersz stał się zapisem zaniechanej czynności pisania, z czego paradoksalnie powstał wiersz o niemocy twórczej. Ciekawe, że w wierszu pojawiła się sama zaniechana, powtarzana czynność pisania, a nie wspomnienie np. jakiejś sytuacji, którą chciałoby się opisać, jakiegoś tematu, który interesował poetę, albo urywku frazy, która powstał w myślach.

Nie tylko poeta pisał o pisaniu i niemocy, ale także swoje wiersze poświęcał czemuś innemu np. tematyce dorastania jak to się miało w „kieliskach”, czy „dlaczego przyszedłem”. W pierwszym z nich wspominał wspólne z kolegami pierwsze picie alkoholu, palenie papierosów, czy dawne granie w piłkę na podwórku, czy boisku. Próbował jakby ocalić tamten czas, twierdzeniem, że opisane zdarzenia nadal gdzieś trwały. W „dlaczego przyszedłem” poeta wspominał wspólne wyjścia do bukmachera z kolegą, a także to, że nie spróbował przeżyć swojego pierwszego razu z dziewczyną kolegi, z którą spał jego brat.

O ile poeta nawet poradził sobie z tematyką pisania w niektórych wierszach autotematycznych jak np. w „pisaniu” (choć nie we wspomnianym „przedśnie”), czy z tematyką dorastania, to próba mitologizacji miasta, w którym się mieszkało spaliła na panewce, gdyż przynajmniej mi Suwałki z niczym poza bliskością lasów i jezior się nie kojarzyły, a na pewno nie z Jerozolimą jak w wierszu „Suwałki”.

Na mapie, którą poznałem w młodości Suwałki były dumnym miastem wojewódzkim. Wiersz Fałtynowicza chciałby przydać rodzinnemu miastu jakieś cechy, które niosłyby go ponad inne, ale Suwałki Fałtynowicza były bardzo nieciekawe, bo przypominały inne miasta. W każdym mieście słyszał było śpiew ptaków, konstelacje ulic wiązały się z różnymi wspomnieniami. Poeta zaczął z „grubej rury”, ale skończył wiersz na powrocie do domu.

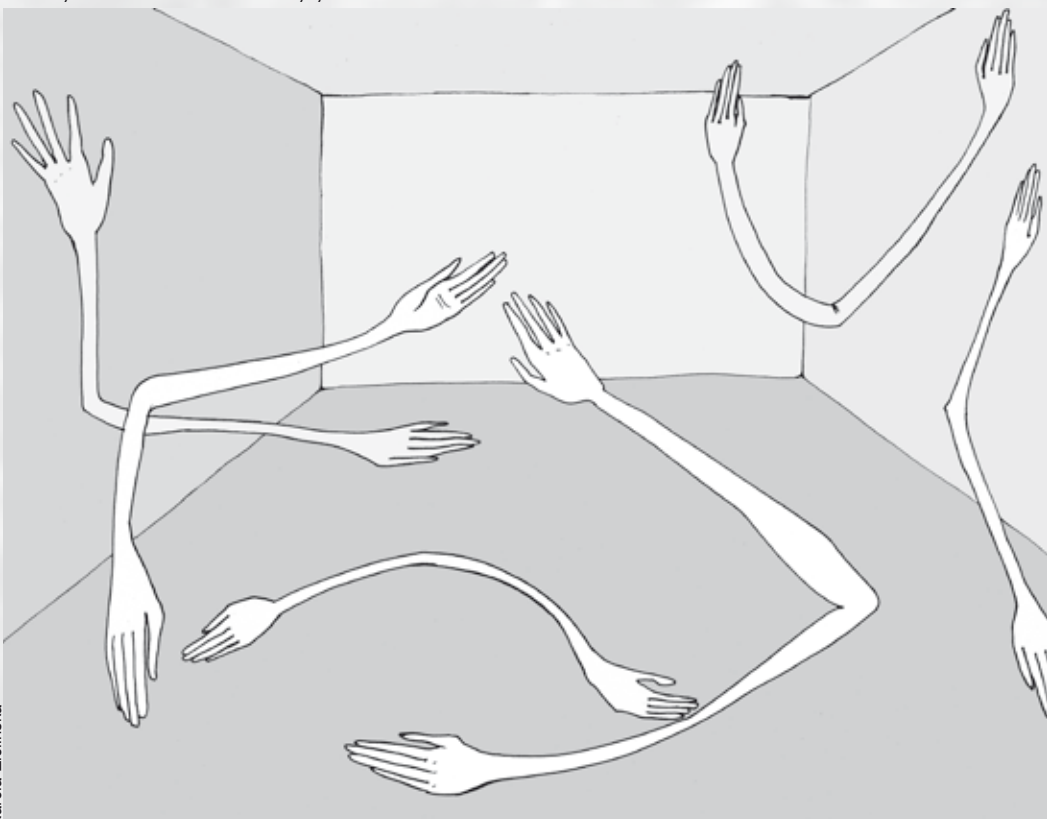
Poeta nie najlepiej się spisał także w takim, młodoliterackim, poetyckim przekomarzeniu się, ponieważ to mu wyszło nie do końca ciekawie. W wierszu „rób” stał się przeciwnikiem Andrzeja Bursy, którego wielu początkujących poetów zawsze ceniło za odwagę. „Rób” nawiązywał do wiersza „Miłość” i współczesny poeta odczytał tamten stary wiersz jako manifest perwersyjnego seksu bez chęci płodzenia, sprzeciwił się aluzjom do aborcji. W wierszu Bursy można było przeczytać: „Tylko rób tak by nie było dziecka”, w wierszu Fałtynowicza czytaliśmy „tylko rób tak, żeby było dziecko”. Poeta zapomniał o odkrywczoci w polskich warunkach, mocy tematu i środkach artystycznych Bursy i tym, że seksualne zachowania młodych ludzi od wieków były takie same,

wystarczyłoby przeczytać „Dekameron” Boccaccia, czy „Wstęp do psychoanalizy” Freuda. Może poeta chciałby zaistnieć na jakimś kółku różańcowym, ale tam nigdy nie liczyła się poważna poezja. Innym wierszem, w którym twórca przekomarzał się z jakimiś zastanymi zasadami był wiersz „pięć posiłków dziennie”. Utwór był trochę zabawny przez to, że w przeciwieństwie do znanych diet, które obniżały ilość posiłków dziennie, on ją powiększał.

Mimo wszystko, nie uważałem lektury „Witajcie w moim Betlejem!” za niepotrzebną, gdyż literackie debiuty od lat zdarzały się w ogólnopolskim obiegu tylko raz na jakiś czas i tak się zastanawiałem czy tomik Fałtynowicza przypominał dawniejsze debiuty, choćby z lat 90-tych? Na pewno pod względem warsztatu wydawał się w miarę precyzyjny, choć z dala od poetyckich środków artystycznych, poeta pisał niekiedy prawie wiersze-dzienniki. Poezja Fałtynowicza jest twórczością powierzchni, bez mroku, natłoku uczuć. Nie wydawaje się buntownikiem, tylko poetą, który za nic w świecie nie potrafił znaleźć jakiegoś cholernie mocnego tematu, by się od niego odbić. Pomyślałem, że „Witajcie w moim Betlejem!” na pewno nie jest książką przełomową na miarę „Zimnych krajów” Świetlickiego, „alicii” Romana Honety, czy „Dzikich dzieci” Krzysztofa Siwczyka z dawnych lat. W jego przypadku tworzenie poezji zależęć będzie od przyszłych wyborów twórczych, niż od odbioru jego debiutanckiej książki.

MATEUSZ WABIK

Michał Fałtynowicz, *Witajcie w moim Betlejem!*, Sopot 2020



Karola Zielińska

Andrzej Walter

To tylko kino, może nawet porno

Czasem, w naszych makulaturowych czasach, w tonach nieuszanowanego papieru, który cierpliwie znosi naszą poetycką twórczość, czasem przytrafi się tam peretka prawdziwych poszukiwań metaforyki oddającej pięknie to, co nam się przytrafia. – „A cóż to takiego? – zapytacie – nam się przytrafia?” Otóż przytrafia nam się życie, w tym ponoć najlepszym ze światów, skonfrontowane z dawno już przebrzmiałymi ideami i dążeniami, nasączone goryczą deformacji. Ta deformacja ma posmak karykatury wszelkich rzeczy i spraw, które niegdyś były dla wszystkich święte, wzniosłe i ważne, a dziś stały się już: powszechne, zubożające, upokorzone i jakieś takie zdenominowane.

Debiutancki tom Aleksandra Trojanowskiego „Parkingi podziemne jako miasta spotkań” jest właśnie taką peretką wyłowioną z tego morza poetyckiej makulatury, którą nie bez potrzeby tworzymy usiłując zgłębić ducha czasów, usiłując dotknąć nieuchwytnych stanów nowych światów i gry słów ze słowami. Z tego tomu bije świeżość, nowatorski język, zaskakująca, ale adekwatna do tej pokręconej współczesności, jakże ożywcza metafora i echo poszukiwań przyniesione ..., no właśnie: - kim? czym? dlaczego?

Trojanowski rozpoczyna bezkompromisowo i bardzo ostro, a ponieważ to wiersz o nas wszystkich (mam na myśli wierszokletoń i poetów) może warto poznać tę wizję (wierzę, że z przymrużeniem oka):

Polski film emigracyjny średniej długości

Czoło polskiej poezji przekracza granice
i zdobywa Berlin Zdobywa również
Paryż Londyn Madryt
Czoło polskiej poezji pluje:
wylewają rzeki (polonijne koła
rozchodzą się po stawach
i po kościach) Czoło poezji polskiej
wciska nas w fotele
To wybijają
godziny i studzienki

O Bogowie! Jak powiedzieć, żeby nie powiedzieć zbyt wiele? Jak ułożyć, skleić, zespolić, jakich słów użyć, niby pchnąć szablą, słów sensu i jak nas można, tak naprawdę: zabić? zatrwożyć? unicestwić? Czy Aleksander Trojanowski wiedział co pisze i co właśnie napisać? Czy panował nad piórem, czy też ono może wyslizgnęło mu się z ręki i o! jakoś tak samo się napisało... godziny i studzienki wybiły, a czoło polskiej poezji do dziś liże rany i podnosi się ciężko ze swojego upadku?

Tego nie wiem. Pytam i błędę. Tak jest dobrze. Pytać, błędzić, rozważać. Obserwować. I myśleć: o polskiej poezji, o studzienkach, o czoło, a nawet o tym pluciu. Jaka potężna ta potęga i jak wiele słów można jeszcze wylać nadaremno. W czoło polskiej poezji, której nikt nie chce, której nikt nie czyta, która nikogo nie obchodzi. Już słyszę chór oburzonych!!! No jakże to tak. Toż to cała gałąź przemysłu. Kilka milionów piszących. Tony „tomików”, zastępy świętych

(krów) i rzesze towarzystw wzajemnej adoracji. Wydawcy, krytycy, zrzeszenia i kluby, Polska poezja stoi i basta. Prawda? Jakże to miłe dla ucha, dla serc, dla ducha, dla wyobraźni. Szkoda tylko tego drugiego dna, odwrotnej strony medalu, tej innej rzeczywistości – wszechświata społecznego postrzegania donośności tego zaśpiewu, tych metafor, tego niezrozumiałego dla przeciętnego Kowalskiego wyrafinowanego języka mającego przecież zmienić świat, mającego kogoś i coś ocalić, doniosłego i wzniosłego, ponoć pięknego. Szkoda tej emancypacji i tej energii. Tej sztuki szkoda, ech. I zaraz ktoś wstanie i powie: - poezja nie jest dla mas, poezja jest dla wyrafinowanego odbiorcy. Tylko zapytam: - gdzie on jest, koleżanko, kolego, gdzie on się podział? gdzie uciekł?

Motto tomu Trojanowskiego jest pewną odpowiedzią. To tylko kino. Obraz. Żłudzenie. Utuda, z elementami pornografii

- Chodzi pan do kina?
- Tak.
- Kiedy?
- W latach 20. Może i w latach 30.

„WISCONSIN STATE JOURNAL”, WIOSNA 1929

Co się stało z naszą poezją? Jakich użyć słów, jakich metafor, o czym pisać, dla kogo pisać? Sobie a muzom? Ale przecież pisać trzeba... Nikt w to nie wątpi. Artysta pisać musi, malować musi, rzeźbić musi – nic i nikt go nie powstrzyma, chyba tylko sama Śmierć. Dlatego jest się artystą. Jest się straceńcem i pilotem samobójcą, swoistym kamikaze życia i śmierci. I kolejny wiersz Trojanowskiego niejako idzie dalej, za ciosem.

Pierwsze wejście w arterie

w rytmie wykwitów grzyba
za meblościanką Zawinięta
w kołdrę Wchodzi
wychodzi
zagotować wodę
Światło
wybija rytm wtłaczania
podzespołów
ludzi w arterie
specjalnej strefy
ekonomicznej bielania
fabrycznej marino
A wszystko chodzi
jak w zegarku rozkład
na przystanku
dojazd

i synkopka

tkwi w synapsie jak kiep: kpi z synapsy jak kiep

zgaszony na ścieżce dźwiękowej
na ścieżce
w której kwitła grzybnia kwitłaś
zawinięta w kołdrę bez poszewki
weszłaś
i wyszłaś zagotować wodę

Przed oczami staje scena z jednego z wcześniejszych filmów Chaplina, w który pracuje on w fabryce dokręcając jakieś śruby. Rytm powtarzalnej czynności ociera się o zawrót głowy. Przeróżająca to scena i zarazem wizjonerska. Nasze życie dziś stało się właśnie taką fabryką, takim obłędem codzienności, powtarzalności, monotonii i bezcelowości, które w połączeniu z pełną kontrolą, sieciową inwigilacją i policzalnością wszystkich i wszystkiego zaczyna tworzyć orwellowski świat jutra. Tyle, że jutro zaczęło się już dziś i szczęśliwego zakończenia nie widać. Poezja? A na co komu w takim świecie poezja.

Ciche linoleum

Na wszystkich kondygnacjach cichy
szmer kanałów
telewizji cyfrowej lub radia Jednostka mieszkalna
jest przemoczona do nitów a nit
się dociera
jak nikt pod stopami wspólnoty
mieszkańców

Czego tu chcesz wierszyku: prze-
ciągnąć mnie na nitce
do ich kłębka dymu? (uderz w bla-
szany bębenek) Badać
ślady stóp na cichym linoleum żeby
powiedzieć: spójrz
jaki porządny polski heksametr
(Obozowali tu zeszłej nocy)
I taki porządny ale nie posprząta?

Wiersze Trojanowskiego podrażniają zmysły. Budują napięcie. Rozkładają życie na cząstki elementarne i jakby pod mikroskopem badają tę naszą nicość. Nicość, którą sami stworzyliśmy, którą pielęgnujemy ulegając jakże żłudnemu poczuciu stabilności i bezpieczeństwa, które pomimo tych straceńczych wysiłków i tak zostały zakłócone, żeby nie powiedzieć, że na zawsze już dziś utracone. To przecież wiersze jeszcze sprzed pandemii. Jak jednak doskonale się wkomponowują w ten czas, czas próby, czas rozkładu, zakłócenia i chaosu, z którego tak naprawdę nie wiadomo co się wyłoni i co nas czeka. „Parkingi podziemne jako miasta spotkań”. To też wręcz idealna metafora naszych czasów. Trojanowski, być



może zupełnie przypadkiem, jakże genialnie wpisał się we współczesność. W teraźniejszość, w świat za oknem.

Postępuje się prostym językiem przekazu, zakłóconym chaosem, naszymi fobiami, lękami, wynaturzeniami czy zatrutymi owocami naszych zaburzeń i dewiacji podniesionych do rangi normatywnej i społecznie akceptowalnej. Konwencja zabawy słowem, kpiny z odwrócenia pojęć, ze zbieżności słowotwórczej idealnie użytej jakby po sąsiedzku celem prowokacji, zaczepki i sygnału. Mistrzostwo świata...

Każdy wiersz to jednoczesna zabawa językiem, przy czym z właściwą dozą szacunku wobec poezji wyrażoną odpowiednią wagą problemu czy stanu ducha ludzkości we współczesności. Wyjątkowe zespolenie kpiny i cynizmu z troską i uczuciem. Wiersze są dopracowane, oszczędne, a zarazem kreują wręcz nieograniczone możliwości dyskusyjno-interpretacyjne, przy jednoczesnym jasno wypowiedzianym sprzeciwie wobec takiego świata, takiego człowieka oraz takich reguł społecznych. Tutaj warto jednak pooperować przykładami. Przed nami dwa wiersze – wiersz „patriotyczny” (choć nawet cudzość tu ... ale cóż) oraz ... erotyk (dosadny i zaczepny)

Nino Rota

Pachniało mi wi-fi „szukałem połączeń” święci
mężowie byli we wszystkich instach naraz
Wchodzili mężczyzną wychodzili ojczyzną
i twardniały skutki kiedy doszło do hymnu

Kiedy doszło do hymnu udało ci się zwinąć
język (i grałaś nina rotę na kradzionej trąbce)
Były to miękkie metody w bawełnianych koszulkach

a sutek nęcił jak draża (próbowałem lizać)
skutek nęcił jak ustnik Próbowałem dąć

i kradziony język stał nam wzgórzem andersa i dochodził
do wniosku na białym przesłaniu

Erotyk

Pani pachnie jak sklep wielobranżowy
To jest komplement Wybuchu pani
jak problem rasowy Prześcieradło
jest mokre jak bon rabatowy
ściskany w sinoczerwonej pięści
Albowiem
wielkopowierzchniowy sklep
jest dziś zamknięty
Zielone Świątki nade mną
Pode mną
płoną przedmieścia
Sinieje osiedle
Drżą szyby
wiertnicze

To tylko kino. Ułuda, z elementami pornografii. A gdzie ta pornografia? Otóż ona jest dziś w nas. Nie na zewnątrz, przecież wszystko już było, historia się skończyła, czy musimy widzieć, doświadczać namacalnie, zmysłami – od czegoś wyobraźnia. Żyjemy w świecie doszczętnie spornografizowanym, w świecie sprzedajnym i sprzedanym, w świecie, w którym poezja zaczyna być szyderstwem, albo zarzewiem uśmiechu politowania, a co najmniej niezrozumienia. I w takim świecie na przekór biadoleniu, na przekór losom, na przekór szacunkowi dla sztuki, na przekór samej sztuce, jako próbie ocalenia rodzi się nadal właśnie poezja, rodzą się działa małe i wielkie, kompulsywne, impulsywne, żywe i namiętne. Trudno

o większy paradoks. Paradoks ten wyraził znakomicie debiutujący Aleksander Trojanowski, któremu gratuluję pomysłów, talentu i prawdy, którą chciał nam opowiedzieć.

Parkingi podziemne jako miasta spotkań

Stając w autobusie komunikacji miejskiej, mówiłem ci z ręką na uchwycie, że teraźniejszość jest jak Cieszyn. Stając w autobusie (itd.), machałem ręką na taką teraźniejszość, która stoi w Krościenku. Ona nam odmachuje. Czy chodzi mi tylko o kolejki? Zdecydowanie nie chodzi mi tylko o kolejki. Np. weźmy twój przypadek: masz pobyt stały i masz kartę biedronkę, a kręcą cię ronda, ale jako ronda, place budowy jako place budowy, parkingi podziemne jako miasta spotkań

Czegóż chcieć więcej? Może tylko spotkania. Spotkania z nadzieją. Z wiarą w poezję, w szczerą pisaną, w niezgodę na ten świat, Spotkania z samym sobą i z wami – jeszcze wciąż ocalałymi przed plastikowością, przed deformacją, przed materią. Bo wy poeci, jesteście solą ziemi, solą tej ziemi... Wy poeci? My poeci? A ktoś to dziś jest?

Czoło polskiej poezji wciska nas w fotele. Wybita godzina

ANDRZEJ WALTER

Aleksander Trojanowski „Parkingi podziemne jako miasta spotkań”. Biuro Literackie. Stronie Śląskie 2020, 40 stron. ISBN 978-83-66487-05-5

Narzekamy w Polsce, i słusznie, na pełną 'furię i wrzawy' historię, która, poczynawszy od 'szwedzkiego potopu' w połowie XVII wieku, przeorywała kraj, dziesiątkując jego populację i niszcząc substancję materialną. Pewnie jednak gorszy los spotykał sąsiednią Białoruś, która najpierw stanowiła część Wielkiego Księstwa Litewskiego, a po Unii Lubelskiej – Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Wspomniana wojna ze Szwecją przerodziła się w ciężki konflikt z Moskwą, nazywany przez historyków drugą wojną trzynastoletnią (1654-1667). Toczyła się ona w przeważającej mierze na ziemiach białoruskich (i ukraińskich), pochłaniając mnóstwo istnień ludzkich (i to głównie wśród ludności cywilnej). Historycy białoruscy podliczyli, że zginęła wówczas połowa ludności tej części Rzeczypospolitej. W drugiej wojnie światowej nastąpiło powtórzenie tych straszliwych strat, zwłaszcza jeśli się do ofiar wojny i okupacji niemieckiej doda ofiary represji stalinowskich. A przecież sama Białoruś nie wszczynając tych wojen, jako państwo nie brała w nich udziału i nigdy nie napadała na sąsiadów. Pamiętając i o tych okolicznościach Tadeusz Konwicki w Kalendarzu i klepsydze, swoim „tędzienniku” z 1976 roku, przedstawił następujący jej portret: „Białoruś, Białoruś. Dlaczego nazywasz

się Białoruś, jeśli nie masz w sobie bieli, jeśli bielą twoją są rude rzyska jesienne, jeśli bielą twoją są postawy szarego płótna wyłożone na słońcu, jeśli twoją bielą jest gorący pot umęczonych ludzi. Powinnaś się nazywać Dobroruś, powinnaś się nazywać Dobrą Ziemią Dobrych Ludzi”.

Zły los nie odmienił się dla Białorusi i po wojnie, nawet w czasie tzw. Chruszczowskiej 'odwilży' i później. Już, co prawda, nie rozstrzeliwano i nie deportowano ludzi z całymi rodzinami do azjatyckich części Związku Sowieckiego, ale destrukcja pa-

mięci historycznej, przechowywanej również w zabytkach kultury materialnej postępowała nadal. Odnosiło się to zwłaszcza do obiektów sakralnych, których już po wojnie świadomie zniszczono chyba więcej niż w najczarniejszych latach stalinowskich. Wynikało to w sporej mierze z idiosynkrazji samego Nikity Chruszczowa wobec religii chrześcijańskiej, jak i charakterystycznego dla całego tego systemu politycznego 'samodurństwa'.

Dlatego muszą cieszyć wszelkie próby odbudowywania zerwanych więzi i odtwarzania tkanki historycznej, podejmowane przez ludzi dobrej woli, wiedzionych szlachetnymi pobudkami ocalenia wszelkich śladów przeszłości dla przyszłych pokoleń. Do takich ludzi należy niewątpliwie Franciszek Żyto, białoruski przedsiębiorca, produkujący obuwie do jazdy konnej i inne akcesoria jeździeckie, a w czasie wolnym zajmujący się krajoznawstwem i ratowaniem zabytków historycznych. Między innymi to dzięki jego staraniom został odbudowany siedemnastowieczny młyn wodny w Żodziszkach nad Wilią, w którym urządzono niewielkie muzeum młynarstwa. Ostatnią jego inicjatywą w tej dziedzinie jest ustawienie pomnika, składającego się z okazałego kamienia, na którym umieszczono metalową tablicę z płaskorzeźbą Jana Bułhaka. Pomnik uzupełnia trójjęzyczna informacja o Bułhaku, wypisana na sąsiadującej z pomnikiem planszy. Wykuty w kamieniu napis w języku polskim brzmi: „Jan Bułhak. Pereseke”. Pereseke to wieś pod Mińskiem, z którą twórca koncepcji 'fotografii ojczystej' był z przerwami związany w latach 1899 – 1921 (po pokoju ryskim miejscowość ta znalazła się w granicach sowieckiej Białorusi).

Franciszek Żyto mieszka w niej przy ulicy Jana Bułhaka. Jest on zarówno pomysłodawcą projektu, jak i fundatorem całej instalacji. Tablica pamiątkowa z płaskorzeźbą Bułhaka jest autorstwa rzeźbiarza Walerego Kolesińskiego. Z domu Bułhaka, niegdyś dworku, pozostały jedynie fundamenty, otoczone resztkami starych bżów. Przetrwiała też stara aleja, obsadzona drzewami, prowadząca w kierunku Mińska. Uroczystość odsłonięcia tablicy, z której pochodzą załączone tu zdjęcia, odbyła się 6 października 2019 roku i zgromadziła liczne grono artystów – fotografików, etnografów, historyków, literatów. To duże zainteresowanie tym wydarzeniem świadczy o tym, jak ważna jest dla lokalnej (i nie tylko) społeczności pamięć o tych działaczach kultury z różnych dziedzin, którzy byli biograficznie, a więc i emocjonalnie mocno związani z Mińszczyzną (a jest to imponująca lista nazwisk), zaś ich twórczość pięknie zapisała się w dziejach kultury kilku, sąsiadujących ze sobą, krajów – Polski, Białorusi, Litwy.

BŻ



JAN BUŁHAK W PERESECE



Roman Warszawski

SZARE PŁOMIENIE.

Gdzie jest ta książka?

Szare, bo każdy z trzech bohaterów (wzorcując się na pierwszym z nich) w pewnym momencie mówił o sobie jako o szarym człowieku.

W książce Thordona Wildera *Most San Juan Rey*, której punktem wyjścia jest zarwanie się w roku 1897 mostu na trasie z Cuzco do Limy, autor idzie śladami ofiar tej katastrofy i próbuje dociec, co spowodowało, że osoby z całkiem różnych środowisk i – z pozoru – o całkiem różnym i nieporównywalnym losie, ponoszą śmierć w identyczny sposób: spadając w przepaść i w nurl porywistej rzeki. Tu trzeba pójść podobnym tropem, z taką różnicą, że u Wildera zadziało ślepy los, tu mamy do czynienia z **intencjonalnym** aktem trzech całkiem różnych osób.

Co sprawiło, że porwali się na tak dramatyczny krok? Co doprowadziło ich do tak dramatycznej decyzji? Dlaczego celu, jaki mieli przed sobą, nie próbowali zrealizować w inny sposób? Byli desperatami? Skrajnymi idealistami? Co musi się z człowiekiem stać, żeby zebrać się na taką odwagę?

Pierwszy bohater jest filozofem z wykształcenia, po Uniwersytecie Lwowskim. W czasie wojny wstępuje do AK. Po wojnie wielu próbuje go namówić, żeby został nauczycielem; ma przecież tak obszerną wiedzę, szczególnie historyczną. Ale on konsekwentnie odmawia. Mówi, że nie mógłby uczyć młodzieży, nie mówiąc całej prawdy o tym co było i o tym, co dzieje się w PRL-u. A gdyby mówił, długo by to nie trwało. Wsadziłby go. Dali by wilczy bilet. Woli więc być księgowym. Nie żadnym głównym księgowym, ale takim z liczydłem w rękę i w zaręawkach. To lepsze niż głoszenie półprawd, lepsze niż autocenzura.

Drugi bohater jest starszy od pierwszego bohatera o 5 lat. Nie jest osobą wykształconą. To rzemieślnik. Piekarz. Prosty, nieskomplikowany, ale jego wypieki w ołocicy, w której mieszka, wszyscy chwali. Nie zachowało się żadne jego zdjęcie. Ma życie naznaczone wieloma tragediami. Żeni się z Niemką ze Śląska. Ta, w czasie wojny podpisuje *Volksliste*. On czuje się Polakiem z krwi i kości, nie potrafi z tym się pogodzić. Na domiar złego żona ich syna zapisuje do *Hitlerjugend*. Tego już za wiele. Rozwódzi się. Ale to nie koniec. Po wojnie bezpieczeństwa szantażuje jego syna wojenną przeszłością. Werbuje go do Informacji Wojskowej i chłopak – wtedy już młodzieniec – wyszukuje byłych żołnierzy AK, w tym wojennych współtowarzyszy drugiego bohatera. Ten jest zrozpaczony, pali się ze wstydu. Szuka jakiejś oazy dla siebie. Żeni się po raz drugi. Jego drugą żoną jest wdową po oficerze zamordowanym w Katyniu. Szczegóły dotyczące zbrodni katyńskiej i katyńskiego kłamstwa poznaje z pierwszej ręki.

Trzeci bohater jest najmłodszy. Urodził się w roku 1963 w Białymstoku; tak, w porównaniu z dwoma poprzednimi bohaterami to mała. Jako gimnazjalista zakłada uczniowskie stowarzyszenie antykomunistyczne. Na studiach działa w NFZ, a studiuje oczywiście chemię (bo chemia interesowała go od dziecka), oczywiście na Uniwersytecie Jagiellońskim (bo, wiadomo, jagiellonka najlepsza). Jest super inteligentny, należy do MENSJ (międzynarodowego stowarzyszenia skupiającego osoby o najwyższym ilorazie inteligencji). Po studiach zostaje na uczelni, jest asystentem,

zaczyna pisać doktorat. Z chemią łączy się też prywatnie – jego żoną zostaje wnuczka prof. Romana Negruna – nestora polskiej chemii. Ale po roku 1989 bardziej niż chemia, pochłaniają go kwestie społeczne. Przemiana w Polsce całkiem go połyka. Chce w niej uczestniczyć w każdym wymiarze, a nie tylko siedzieć w laboratorium. Odchodzi z uczelni, nie kończy doktoratu. Zakłada firmę, która wzorczy czerpie z Zachodu i zajmuje się szkoleniami oraz szeroko pojętym coachingiem, którego – jak mawiał – w *tamtym czasie* Polska potrzebowała, *tak jak sucha ziemia potrzebuje wody*.

8 września 1968 roku **pierwszy bohater** z Przemysła, gdzie wtedy mieszkał, jedzie do Warszawy. Ma z sobą średnich rozmiarów torbę podróżną.

19 marca 1980 roku **drugi bohater**, też wcześniej rano, wychodzi ze swego domu w Krakowie i zmierza w kierunku Rynku Głównego. W ręce ma reklamówkę.

Trzeci bohater 19 października 2017 jest w Warszawie. Na ramieniu ma sporą torbę. Idzie na Plac Defilad.

Pierwszy bohater dociera na Stadion Dziesięciolecia. Właśnie trwają dożynki. Jeśli na uroczystości chciał być obecny od początku, to się spóźnił. Długo szuka odpowiedniego miejsca – widocznego, a jednocześnie takiego, gdzie wokół nie ma za dużo ludzi. Na trybunie honorowej Gierk i inni dygnitarze PZPR. Jest piękna, słoneczna pogoda. Rozbrzmiewa ludowa muzyka, na płycie stadionu pływają tancerze. Przed miastem *bratnie* armie Układu Warszawskiego udzieliły sojusznicy pomocy *zbitkanej* Praskiej Wiśni, a pomoc tę nad Wełtawę zawiozły na czołgach...

Drugi bohater, gdy jest na rynku, bez wahania rusza w wiadomym dla siebie kierunku. Do pompy na wysokości Sukiennic. Jest zimno. Mimo że to już marzec, mróz nieźle trzyma. Jest 7.45. Przechodniów wokół niewielu. Z reklamówki wyciąga gruby żelazny łańcuch. Taki, żeby – jakby ktoś próbował – trudno było go rozciąć...

Trzeci bohater zatrzymuje się na wysokości zachodniego narożnika Pałacu Kultury i Nauki. Z torby wyciąga przenośny magnetofon na baterie. Za chwilę przechodnie usłyszą odtwarzaną z niego piosenkę *Kocham wolność* wykonywaną przez Chłopców z *Placu Broni*...

Ryszard Siwiec – bo to on jest pierwszym bohaterem – rozrzuca wokół siebie ulotki, które przywiózł ze sobą, a z których wynika, że protestuje przeciwko interwencji zbrojnej w Czechosłowacji. Że najwyższy czas, by ludzie się w końcu przebudzili i przejrzyli na oczy... Następnie z podróżnej torby wyciąga kanister z benzyną i się nią oblewa. Podpala się. Płomień bucha wysoko. Ktoś próbuje przyżyć mu z pomocą. Siwiec odskakuje, szeroko rozkłada ręce, przez moment wygląda jak płonący ptak z rozpostartymi skrzydłami. Dopóki może woła: *Protestuję! Protestuję!* W pożegnaniach liście do żony, który skreślił w pociągu napisał: *Nie płacz Marysiu, (...) jest mi dobrze, czuję wewnętrzny spokój jak nigdy w życiu!*

Walenty Badylak – bo to on jest drugim bohaterem – wyciągniętym łańcuchem przykuwa się do pompy-studzienki. Na szyję zawiesza sobie metalową tabliczkę, na której wcześniej wyrł napis: *Dość katyńskiego kłamstwa! Prawda musi wreszcie wyjść na jaw! To zrobili sowiet!*

Oblewa się łatwopalną cieczą. Bucha płomień. Ludzie wokół krzyczą: *Trzeba mu pomóc!* Łańcuch gruby. Trzyma. Walenty Badylak najpierw płonie na stojąco, potem pada na kolana, w chwilę później płomień czołga się po ziemi.

Piotr Szczesny – trzeci bohater – najpierw rozrzuca ulotki, a następnie, gdy wokół niego zgromadzi się zainteresowany muzyką i ulotkami tłumek, oblewa się benzyną i się podpala. Poprzez płomień, dopóki może, woła, że protestuje przeciwko łamaniu prawa i konstytucji w Polsce, że najwyższy czas, by ludzie się przebudzili i zaprotestowali, bo jak nie, Polska coraz bardziej będzie się osuwać i pogrążyć w bezprawiu i w braku wolności...

Każdy z nich, nie odzyskawszy przytomności, po trzech, czterech lub dziesięciu dniach umiera w szpitalu. O każdym z nich władza twierdzi, że byli psychicznie zaburzeni i chorzy. O pierwszych dwóch samospaleniach, dowiaduje się bardzo niewiele osób – prawda na ich temat jaw wychodzi dopiero po latach. O proteście Piotra Szczesnego pisze się i mówi od razu. Ale sprawa – jak prześledzić publikacje prasowe i ludzkie rozmowy – po około miesiącu interesuje już bardzo niewielu. Temat znika.

Dlaczego w Polsce tego rodzaju protesty mają tak nikły rezonans? Dlaczego tylko w niewielkim stopniu przemawiają do sumień i do wyobraźni tych, którzy pozostają? Czy winna jest zakorzeniona w Polsce niechęć wobec samobójstwa? Dlaczego o tym, co drastyczne i radykalne wolimy nie wiedzieć, a jeśli się tym interesujemy – to tylko krótko, jakby *pro forma*? Dlaczego przyjaciele i znajomi zwykle odsuwają się od rodzin osób, które postanowiły w tak drastyczny i ostateczny sposób zaprotestować?

Książka o tych trzech polskich żywych Płomieniach już dawno powinna powstać. (1) Oprócz odtworzenia losów, które doprowadziły do tak dramatycznych protestów winna odpowiedzieć także na pytania jak te powyżej. Winna stać się swoistą próbą wglądu w polską duszę. W dusze tych, którzy czują bardzo dużo i w imię sumienia nie wahają się złożyć siebie w ofierze; tych którzy czują dużo mniej oraz tych, którzy są pomiędzy.

Powinna powstać, a jej nie ma. **Coś na ten temat wiem.** Proponowałem ten temat kilku wydawcom, ale chętnych jakoś nie ma.

Odsunięcie, przemilczenie, zignorowanie? Kolejne? Jeszcze coś innego?

ROMAN WARSZAWSKI

W roku 2016, w Krakowie, w wydawnictwie Libron wyszła naukowa książka Roberta Kulmińskiego pt. *Tu pali się ktoś*. Ma ona jednak czeski, a raczej czechosłowacki kontekst, bo poświęcona jest Janowi Palachowi, Zdenkowi Adamecowi i Ryszardowi Siwcowi.

Małgorzata Wątor

Wystrzałowy czytelnik na planecie słowa

Twoje oczy są dla mnie
Samonaprowadzającą się rakietą
Którą wystrzeliłam w kosmos

Siłą programowania
Rozkazałam im bezpiecznie wrócić
Do domu do mojej poezji

Wiem że przy kontakcie z atmosferą
Spojówki się spalą
A to co przetrwa po kontakcie z ziemią słowa

Będzie naszą nierozzerwalną nicią porozumienia
Moją jako autora i twoją jako czytelnika
Naszą planetą wierszy

Galaktyczna ślepotą

Życiowa ślepotą wynika z powodu
Wycieku płynu łzowego z chłodnicy
Ciała
Ten przypadkowy incydent
Da się usunąć szczęściem
W stanie skupienia
Miłego słowa lub uścisku
Jesteśmy tylko niewidomymi
We wszechpotężnym układzie planet
Kążymy niewidoczni na obwodnicach
Planów i celów
Gdzieś po
Po galaktyce ulic i chodników
Uparcie doszukując się przy tym
Sensu istnienia

Falcon towarzystwa

Napawam się konstelacją
Towarzystwa

Wyruszyłam w podróż
Do klubu poetów

Pociągają mnie w nim kształty uprzejmości
Wschody i zachody spojrzeń

Wzajemne połowy myśli
Samotne odłowy inspiracji

Przygryzione wargi słów
Oraz gwiazdozbiory wypowiedzi – podtrzymujące głowę

Krzyżujące się drogi mleczne ciał
Krystalizują się w kroplach obecności

Przechowani w ogrodzie botanicznym

Franka z rodziną przechowywaliśmy
W oczku wodnym
W usta mieli włożone łydgi tataraku

Wiesia z mężem leżeli
Pod tą palmą na środku ogrodu
Oddychali przez maseczki z łupiny kokosa

Dziadków Elizy umieściliśmy
Za obrazem kwiatów begonii
Mogli spokojnie poczekać na transport

Gdy opuszczali nasz ogród
Na pace samochodu dostawczego
Mieli na szyi woreczki z pieniędzmi
I dokumenty z polskimi nazwiskami

Małgorzata Wątor – ur. w 1988 r. w Słupsku, jest z pochodzenia Kaszubką o góralskim nazwisku. Od kilku lat mieszka w Gdańsku. Jest poetką i animatorką kultury. Publikuje zarówno w Języku Polskim i jak i w Języku Kaszubskim.

Poetka swoje wiersze publikowała m.in. w „2miesięczniku – Piśmie Ludzi Przełomowych”, „Akancie”, „Autografie”, „Migotania – Gazeta Literacka”, „Odrze”, „Papier w dole”, „Pegaz Lubuski”, „Pisarze.pl”. Należy do „Literackiego Klubu Wers” w Bytowie, do grupy „Wtorkowych Spotkań Literackich” w Słupsku i do „Gdańskiego Klubu Poetów” w Gdańsku. Autorka tomu poezji Przeznaczona / Namienionô.

W numerze prezentujemy prace Karoli Zielińskiej

Karola Zielińska ur. 1988, absolwentka grafiki w ASP w Łodzi i sztuki operatorskiej w PWSFTviT. Zajmuje się fotografią i multimediami. Brała udział w licznych wystawach fotografii m.in. Fotofestiwalu w Łodzi (2007-2010). Autorka zdjęć w produkcjach krótkometrażowych dokumentalnych i fabularnych. Rezydencja artystyczna w Watemill Center, NY (2015). Wiersze publikowała w Helikopterze, na stronie Wydawnictwa J, oraz w Plaży. Ciemni. Mieszka w Łodzi.



gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 3 (68) 2020

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Dział PR: **Adam Buszek**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

Agata Fołtyn

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borełowska**
(Warszawa).

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia).

Stale współpracują:

Anna Frajlch (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Leszek Szaruga (Warszawa),

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Aleksandra Naróg,

Urszula M. Benka,

Leszek Żuliński (Warszawa)

Andrzej Wołosewicz

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltox Jolanta Rakowska

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl,

Fundacja



ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWA
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866



WYPRASOWANIE (32)

Niemal się poptakałem. Ze śmiechu. Przeczytałem najpierw zdanie: „Napisalem wszystko, co miałem napisać”. A potem dopełnienie tego wyznania: „Kiedy słyszę, że jakiś starszy się poeta „nie powiedział jeszcze ostatniego słowa”, myślę, że źle zaplanował budowę. [Śmiech] Żeby orientować się w życiu, człowiek religijny zawsze buduje uniwersum, w którym jest duchowe centrum: świątynia, dom, ojczyzna, jakaś podstawowa prawda. Im dalej od tego centrum, tym mniej rzeczywistości. Poezja to zapis tej budowy”. Game over! Okazuje się, że poeta Wojciech Wencel jest fanem gier komputerowych. W życiu bym na to nie wpadł. Ale może przesadzam, może poeta Wojciech Wencel, jak niegdyś Adam Mickiewicz, zamilkł jako poeta, bo pragnie pojechać do Konstantynopola, by tam jakiś nowy legion sformować, a przedtem, na pożegnanie, machnie nam jeszcze jakieś Lirki lozańskie... Byłoby fajnie.

Póki co, czytam jego wynurzenia opublikowane na łamach „Toposu” (nr 2/2020) pod wyżej przytoczonym tytułem. Znajduję tam perły intelektu. Oł taką choćby, dotyczącą kampanii wrześniowej z roku 1939: „Broniąc Warszawy, polski żołnierz bił się jednocześnie o Akropol i Kapitol, o dziedzictwo duchowe Grecji i Rzymu”. Naprawdę? O tym ów polski – a jaki by miał być inny? – żołnierz wtedy myślał? W czasie nalotów? W czasie kopania rowów przeciwczołgowych? Takie to myśli zaprzętały podówczas jego zwoje mózgowe? Równie to wstrząsające jak pointa wiersza Wencela poświęconego samospaleniu Ryszarda Siwca: „Ojczyzna /wsparta na słupach ognia/ trwa nieugaszona// mnoży się”. Strofy zaiste godne, by się nad nimi pochylały głowy najwybitniejszych interpretatorów, w szczególności tych, którzy zdolni są dawać wykładnię „poezji niezrozumiałej”, na skroś awangardowej, odważnie przekraczającej dotychczasowe reguły. Przypomnę, że od kiedy te wersy przeczytałem, obraz mnożącej się ognistej ojczyzny nieustannie mnie prześladowa i być może dobrze się stało, że duch przestał tchnąć – czy wionąć, jak powiada Wencel – tędy, kędy autor tych słów chadza. W każdym razie bycza to poezja, panie i panowie!

Do tego dochodzi bycze samopoczucie, które pozwala Wencelowi ignorować „wrogów w środowiskach akademickich”: „Gdybym występował z pozycji pisarza, który próbuje uzgodnić swoje wartości z postmodernistyczną ideologią i estetyką, albo gdybym pisał hermetyczne lirki religijne, pewnie miałbym spokój. Ale ja się czuję w polskiej kulturze jak we własnym dworze! Fakt, że ten dwór został splądrowany przez barbarzyńców niewiele zmienia. To ja jestem panem, dziedzicem tysiącletniej cywilizacji, a oni – komisarze „nowego wspianatego świata” – są chamami. Chodzę po pokojach, oglądam obrazy, czytam książki, których nie zdążyli spalić w kominku, rozmawiam z duchami dawnych mieszkańców dworu i gardzę całym, pożałuj Boże, „dorobkiem” barbarzyńców: pseudonauką na uczelniach, filozofią bez Boga i sztuką-nie-sztuką. Nienawidzą mnie dlatego, że moja poezja jest świadectwem ciągłości kultury, którą oni starają się wypalić do gołej ziemi”. Uff!

Nienawidź? Zaprawdę, powiadam wam, wysokie mniemanie ma o sobie Wencel, Woj-

ciech Wencel. Nie on jeden zresztą, ale on szczególnie. Szczegółowość owa bowiem na tym się zasadza, że przekracza granice śmieszności. Może warto więc przypomnieć Wencelowi, Wojciechowi Wencelowi, iż dwór ów, po którym się przechadza, został – także dla niego, niestety – oczyszczony z „komisarzy” przez innych, żadna w tym jego zasługa, wprowadził się tam jako dziki lokator. I oto przechadza się, i oto gardzi, a w dodatku tą pogardą epatuje. Ale to, co go czasem spotyka, to nie żadna nienawiść – co najwyżej politowanie, z jakim patrzy się na przybłędę, z odrobiną wyrozumiałości dla snutych przezeń „snów o potędze”. Nienawidź? Daj pan spokój... Idź z Bogiem. Bądź wierny. Idź!

A na koniec miodzio! O nagrodzie „Zasłużony dla Polsczyzny” (kto ma pamięć, wie, że to na początku pełnej kadencji władzy PiS): „Jestem dumny z tej nagrody, bo poświadcza ona mój wkład w ratowanie literackiej polsczyzny. (...) Dla ignorantów, którzy wcześniej nie kojarzyli mojego nazwiska, nawet włączenie moich wierszy do kanonu szkolnego jest jakąś pisowską intrygą. Między innymi dlatego liczyłem na wsparcie literaturoznawców – na książkę, która przypomni moją drogę poetycką. Od momentu debiutu recepcja tej poezji była wyjątkowa. Właściwie już po 2000 r., po Nagrodzie Kościelskich, miałem świadomość, że prędzej czy później trafię do kanonu”. Cóż – nagroda jak nagroda, jest ich wiele i żaden to jeszcze powód do chwały, choć z pewnością należy do tych najbardziej znacznych. Ale się chłopczyk nastadza i obliżuje jakby co najmniej pułkami żołnierzy wykłębnych dowodził, a wciąż jeszcze do ołowianych żołnierzaków nie dorósł. Obciach i żenada to całe „ratowanie polsczyzny”. Szczególnie literackiej. Ale żarliwość przekonań, potoczona z praśnością argumentacji godna porównania z socrealistyczną propagitką. Tak, to jest coś! Biedna konstrukcja człowieczego lęku...

Ale Wencel to małe piwo. Rozhulał się naczelny redaktor tygodnika „Do Rzeczy” (nr 33/2020) Paweł Lisicki. Kombinował, kombinował i wykombinował, że nie ma w Polsce dwóch plemion. Podział jest jeszcze prostszy – na Polaków i obcych, o czym powiadamia w wypracowaniu „Polacy i ci drudzy”: „Ostatnie wydarzenia pokazały bowiem, że nie jest to podział w obrębie jednego narodu. Dla jednych naród polski z jego historią, tożsamością i kulturą jest zasadniczą wartością, dla drugich jest n czymś obojętnym, albo wręcz stanowi przeszkodę. To podział na tych, dla których pamięć, suwerenność, interes polskiej wspólnoty są podstawową miarą i sensem uprawiania polityki, i tych, którzy najchętniej by się tych podstawowych zasad pozbyli. To podział na tych, dla których liczy się hasło „Bóg, honor, ojczyzna”, i tych, którzy wołają „bezbżność, bezwstyd i bezdomność”. I dalej: „Czy można być Polakiem w sensie kulturowym i nie reagować na profanację pomnika Chrystusa na Krakowskim Przedmieściu? Czy można pozostać Polakiem i wzruszać ramionami, gdy się widzi tęczę wokół aureole wokół oblicza Matki Boskiej Częstochowskiej? Czy można być Polakiem i drwić z tego, co dla Polaków było zawsze, właśnie niezależnie od prywatnie wyznawanej wiary, najważniejsze: z biało-czerwonej flagi, z krzyża itd.?”

Odpowiedź na te dramatyczne pytania

jest prosta: można. Można być Polakiem ze względu na własne poczucie więzi z Polską taką, jaką chce się mieć. Ale oczywiście znajdują się zawsze stróżowie poprawności polskiej i wypędzą z kraju Braci Polskich bądź innych, których prawem kaduka naznaczą piętnem odszczepieńców. Ta gorliwość w pilnowaniu „normy” polskości jest szczególnie zabawna – bo w istocie zabawna jest ta erupcja zgorznienia Lisickiego, zabawna i infantylna, intelektualnie pusta, a przede wszystkim świadcząca o słabej tożsamości. Ta bowiem „polskość” w której obrońcy się naczelny „Do Rzeczy” jest stabiutka i krucha, skoro zagraża jej tęcza, która, jak wiadomo, jest znakiem pojednania człowieka, niekoniecznie Polaka, z Bogiem i skoro zagraża jej jakiś dżender czy „ideologia” LGBT, a wreszcie wszystko to, co dotyczy relacji moczościowych w kraju, w którym kapłani jedynie słusznej wiary ochoczo oddają się praktykom pedofilskim. Freud zapewne miałby tu coś do dopowiedzenia, ale jak wiadomo, nie był „Polakiem w sensie kulturowym”. Trzeba być człowiekiem naprawdę małej wiary, by się obawiać o to, że jej symbole są zagrożone przez kawałek kolorowego materiału.

Pogardliwe „ci drudzy”, jakim Lisicki obdarza ludzi, którzy nie pasują do jego prokrustowego łoża polskości, zaświadcza natomiast skłonność do wykluczenia. Najpierw tylko tych, którzy niosą tęczęową flagę, później każdego, kto nie oddaje czci wyłowionym z tradycji i skomponowanym w ołtarzyk „narodowej poprawności” symboli, w dodatku zawłaszczonych. Może warto zatem uświadomić Lisickiemu, że jednak nie, Chrystus nie był Polakiem i nie była Polką Matka Boska Częstochowska, tak jak nie była członkiem plemienia Azteków Matka Boska z Gwadelupy. Krzyż nie jest symbolem Polski nawet wtedy, gdy powtarza się słowa Karola Balińskiego „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską a Polak Polakiem” z wiersza ogłoszonego rok po śmierci Adama Mickiewicza, któremu błędnie się te słowa przypisuje. Balińskiego, z matki Hiszpanki, pewnie by zresztą Lisicki policzył do lewaków, mimo że wydawał w Poznaniu tygodnik „Krzyż i Miecz”. Ale to już inna bajka.

Jedno warto na koniec powiedzieć. Otóż coraz raźniej poczynają sobie poczynają środowiska i osobnicy ptci obojga, którzy uważają, że mają patent na polskość i przyznają sobie prawa do wykluczania z polskości tych wszystkich, którzy do tego wzorca nie pasują. I powiadam tak oto: to są ludzie słabi, niepewni swej tożsamości, muszący się zatem bez ustanku w niej utwierdzać, zakompleksieni i agresywni, dumający o uczynieniu z Polski wyspy, na której wokół krzyża w centrum płonąć będą stosy dla heretyków. To nie jest XIX wieczny nacjonalizm, to średniowieczna inkwizycja.

LESZEK SZARUGA

Urszula M. Benka

SZTUKA I POLITYKA, POLE DZIKIE

ESSEJ

Pewnego poranka król Sobieski uratował z jasny szlachcica Hornostaja. Ten przykleknął: – Królu jegomości! Wszystko dla ciebie uczynię, wszystko! Jechali potem stępą obok siebie, o różnych kolejach szczęścia wojennego rozmawiali, ot, o Kondeszu, mało brakło polskiemu królowi a Sobieski chciał jego elekcji, wystanym z marną armijką pod Lieidę celowo, by go zgubić; Hornostaj wtępnął, że Juliusz Cezar w *De bellum* odmalował poniesioną tam inną klęskę, mianowicie sił swojego wroga Pompejusza, pod butawą Afraniusza. – I bili Cezarowi czołem, pokonani! Wtedy Sobieski, jako że kawaler zdał mu się bystry, pyta: – Znasz waść hiszpański język? – Królowi mości panie, rozumiem łacinę, ruski, tatarski, turecki, węgierski, wołoski, niemiecką komendę! Sobieski przygryzł wąsa: – Oj, szkoda, miałbym propozycję-konfiturę... Mija miesiąc, Hornostaj zjawił się na dworze, podniecony: – Królu, po hiszpańsku ja już jak po polsku! I wtedy król wąsa podkręcił: – Przeczytaj waść *Don Quixote de La Mancha*, rarytas!

Doświadczenie niewoli u imć Hornostaja inaczej wiąże się z Cervantesem niż u Sobieskiego. Już Stanisław Brzozowski notował, jak bardzo uderzało go to, że „Ludzie, żyjąc, żyją zawsze tylko w pewnych formach, mają tylko pewne myśli, tylko pewną wolę, pewną wiedzę. Każdy snuje z samego siebie to swoje wewnętrzne fatum, każdy w swoim ja ma zarazem i granice, w których obrebie jedynie rozumie innych, czyni każdego wpadają w życie wewnętrzne innych nie takimi, jakimi je chciał mieć sprawca, lecz takimi, jakimi czyni je życie wewnętrzne tego, na kogo czyni działa. Rozumiemy właściwie ciągle tylko siebie, zamykamy innych w granicach naszego ja i to ja nasze ciężkie jak los nie tylko na nas, lecz i na całym świecie z nami współzyczącym.”¹ Przytoczona konwersacja z pogranicza literatury i polityki oddaje natomiast sens powołania na świat owych syjamskich bliźniaczek, mianowicie porozumienie, pozwala przeczuć wspólną ich anatomię, wspólny ich układ nerwowy, krwionośny, kostny. W wypadku sztuk jednostka-twórca otwiera rozgałęziony ciąg dialogów, z każdym odbiorcą osobno, a wtedy dotyka obolałości oraz potencjałów konkretnego człowieka w konkretnej jakiejś chwili. Pośród sztuk tylko literatura przyjęta za jedno z narzędzi myślową dostojność – tyle, że każde słowo od samego swego początku jest, po pierwsze, metaforą. A metafory to wyrutnie. Z umysłu do umysłu. Znaczenia wywołują ptakiem, dolatują kamieniem. Literatura rozgrywa napięcia metaforyczności oraz dostojności, gier międzyjęzykowych (każdy wszak desygnał otrzymał tyle mian, ile wykształciło się języków, gwar, odmian akcentowania sylab), realizmu i imaginacji. Zarazem, ma na wykresie możliwości odbiorczych oś czasu podobną do ściany albo raczej do drzwi. Ta ściana uczestniczy w dialogu, w jego konkretnym kształcie znaczeniowym. Istna ścianka do odbijania piłki, do uchyłania w jakąś kolejną przestrzeń, zresztą też zmienia się, napręża i wiotczeje, kłęśnie, puchnie, a wtedy tory odbić robią się nieodgadnione.

W sztuce i na wszystkich klawiszach i pikselach kultury odbywa się swoisty metabolizm, wchłanianie i trawienie docierających tu sygnałów. Niemniej, ta wymiana materii sensu jest bez względu na odzew dialogiem; literatura wydobywa z nich energie skorelowane ze światopoglądem.

W polityce chodzi o dialogi grup i o dialogi desygnałów a nie jedynie nazw; to teatr otwarty, gdzie kwestie wybrzmiewają czynami, wydarzeniami, o ileż intensywniejsze, bogatsze w środki wyrazu, najeżone sacrum, płcią i śmiercią, a wreszcie reinterpretacjami nazw, dokładnie jak pokazał je Orwell. Rolę słów przejmują przeżycia, procesy wewnątrz człowieka, ruchy tektoniczne naszych podświadomości.

Teatr, spyta ktoś. A jak inaczej nazwać mszę misjonarsko-rekolekcyjną św. Olafa Haraldssona – klucz do bramy otwierającej drogę Prawdy? Liturgia udziela głosu piórom literatury! Św. Olaf, władca współczesny Chrobremu, zakazał praktyk pogańskich a mieszkańcy Inntrondheimu pomimo to zgromadzili się towarzysko w dniach Pożegnania Zimy w zwyczajowym miejscu pod menhirami i jedli poświęconą bożkom koninę, napadł ich więc, kazał odrębać ręce i nogi, po czym – sagi pamiętają, zwłaszcza w bezpiecznej dali, na Islandii powstała Edda prozaiczna Snorriego Sturlusona, że za radą swojego biskupa Grimkjella – usadzić kazał nieszczęsne kikuty w kościelnych ławkach; reszta miała na to patrzeć, bo oczy tym upasione łatwiej czytują się w Ewangelię, jakoweś bielmo z nich schodzi; rekolekcje to odnowa duszy. Tak samo ich pojmanym kobietom ułatwiało nawrócenie, jeśli, czekając na swą kolejkę, oglądały akty gwałtu. Nasz Kazimierz Odnowiciel postąpił wedle tegoż wzoru, kiedy tłumili resztki pogańskiego buntu; w jego oddziałach służyli synowie osób z widowni powyższej, o odnowionej duszy; role były však precyzyjnie rozpisane: kto wydaje krzyk, kto skrzek, a kto brukiem utwardza drogi religii (każde ziarno będzie tu rozdeptane) i kołyszce kadzielnicy z rozmachem takim, że sakralny paradygmat widowni trwale się przegina. Wojny kulturowe, domowe, toczą się aż do całkowitego unicestwienia przeciwnika. Św. Olaf zniósł niewolnictwo, wyzwoleńcom przyznał zarząd, nawet duszpasterski, nad dumnymi wikingami (nierzadko ich panami do wczoraj), toteż zdobył palmę męczeńską, kiedy kmiecie rozeżleni wreszcie go zaciukali – chwalebna rola w boskiej komedii w *theatrum Christi*, uwieczniona na witrażach.

Był to zarazem jakiś trwający w przestrzeni brutalnej, pełnej asonansów dialog wiary w Odyń, Freja itd. z wiarą – tą, **jakiej desygnał ustanowiła forma owego spektaklu** – w Chrystusa. Wiare tę mianowicie podsztyli już strach. Owszem, Odyń, Frej itd. wzbudzali strach pogan, bliźni wzbudzali strach, przychodzenie na świat, wichura, susza, pożoga, zaraza, tyle, że coś się radykalnie zmieniło u adresatów wspomnianego spektaklu, zmieniło smak ich adrenaliny: odtąd ona sama przez się przerażała, utraciła radość tajemniczej świętej pieśni ludzkiego drapieżnika, już nieodwołalnie skłócona z pokorą. Zgłoski dialogu: odgłosy kaźni, błaganie, milczenie oraz odmowa rozgrzeszenia dla ochrzczonych pobłażliwie przywiązanych do końskiej pieczeni przy świętochnym stole – dopisały nowe zdania w akcie pierwszym; w akcie drugim pouczenia duszpasterskie od własnego zhardtowanego sługi, przekuwania młoteczka Thora w krzyż, szepcanina ni to spowiedzi, ni to donosów; w akcie trze-

cim przyciszone rozkazy z palcem na ustach i przysięgą na Odyń, w czwartym akcie śpiew miecza do akompaniamentu pożaru nowiutkiej dzwonnicy, i ryk bydłecy, smród. Wspominałam o reinterpretacji słów, czyni-cej z nich przenośnie. Prawo choćby! Zwyczajowa wiecowa demokracja bezpośrednia? Św. Olaf korzystał już z szybkiej ścieżki, utworzonej przez św. Grzegorza Wielkiego: prawo nie obejmuje pogan, ponieważ nie kierowali się prawem Justyniana; kierują się oni tedy bezprawiem i nieprawością oraz są niewolnikami, bowiem wolność to obywatelstwo Rzymu. A skoro są spod prawa wyjęci, to są nikczemni i każdy ma moralny obowiązek ścigać ich, dopadać, wlec przed trybunał sprawiedliwości a w braku świeckiego rządcy przed oblicze biskupa, który w tych warunkach pełni całość lub część funkcji municypalnych; w braku duchownych samemu wymierzyć karę, za nic nie użyć ognia ani wody. Tutaj wstuchajmy się choćby w tupot ścigających i ściganych, dokładnie taki jak setek ludzi w panice, jaką obserwujemy dzisiaj. Panika pozostaje elementem nieprześcignionego słuchowiska w wykonaniu Orsona Wellesa oraz Mercury Theatre on the Air na falach CBS z okazji Halloween 1938, i wziętego przez radiostuchaczy za relację na żywo z rzeczywistej inwazji Marsjan; miejsce ich „lądowania” w parku Van Nest w West Windsor Township w stanie New Jersey upamiętnia tablica z brązu, wysoka na osiem stóp z reliefami: latający spodek u góry, niżej spiker i jeszcze niżej rodzina tuż przed zerwaniem się z foteli – w zacisznym parku z jeziorem, gdzie w kafejce oferują kawę o nazwie Nie Z Tej Ziemi. Szczególny tedy dialog przedsiębiorczej cywilizacji techniki z wiarą w broadcast oraz biznes. Gdyby nie ten słynny wypadek i ściśle odseparowanie informacji od rozrywki, nadałby się z pewnością na podobny spektakl atak 11 września na WTC, kiedy cała cywilizowana ludzkość oglądała transmisję we wszystkich światowych telewizjach.

Na dzieje można patrzeć jako na łańcuch jednego za drugim *reality show*. Dostępną nam końcówkę tego łańcuszka przyczyn-skutków tworzy Różewicz spostrzeżeniem, że w sztuce „miłośnicy do człowieka jest sama forma sztuki, technika artystyczna, jej poziom. Czyli (...) widzenie go w horyzoncie problemów”.² To by powinno uczulić, że zalewy szpetoty i niechlujstwa zdradzają wrogość zleceniodawców oraz wykonawców. Owszem, przestaliśmy się czuć i pojmować, usiłujemy zamiast tego rozwiązywać się **jako problemy**, wyłącznie własne zresztą. Tak więc znowu i do znudzenia: „...mnie samemu nigdy nie jest dane być sobą. Istnieje bowiem dzięki fatalnemu odchyleniu przez to, co przychodzi z zewnątrz. (...) Istnienie bowiem oboka się w formę jedynie na sprawę owego odchylenia, odmiany sensu i nonsensu, dzięki ugięciu przez to, co inne. Jesteśmy bowiem pozbawieni własnej woli, inny zaś nie jest nigdy czymś, czemu dobrowolnie chcielibyśmy stawiać czoło. Inność oznacza wdarcie się tego, co pochodzi skądinąd, prześcignięcie przez to, co obce, i przypadnięcie obcości w udział”.³ Bezwolność oraz przemoc to polityka. Polityka to konfrontacja z innością. Lecz sta-

ESK nowimy z nią całość. Wnętrznoscią, całą skórą jej formami jak choćby oko, każdy z osobna, widząc czy ślepnąc, formujemy się w ciele polityki.

Ostatnimi czasy wyraz „polityka” nabrał wprawdzie przeciwnego znaczenia: partyjniactwa, przepychanek, haków w oderwaniu od racji stanu, ale w Srebrnym Wieku wszedł do polszczyzny jako synonim sztuki życia. Polityczną panną była Oleńka z *Po-topu*: sztuka wytyczenia granic mężczyźnie, budowania więzi sąsiadzkich a sobie szacunku i obcowania ze swoim sumieniem, rozumienia wydarzeń publicznych, nawet finezji ubioru. Zresztą i dwór, i skromniejszy dworek nie dałyby się wówczas pomyśleć bez arcydzieł, choć nazywano je zaledwie rzemiosłem; do rzemiosła należało piarstwo tudzież umiejętność czytania. Otóż tutaj właśnie tkwi gwóźdź, gwóźdź do trumny, w jakiej gnije chwała naszej historii. W rzeczy samej, pierwsza ingerencja Moskwy w nasze wielokomórkowe ciało literackie nastąpiła, gdy carski wystannik nazwiskiem Puszkina przed Sejmem domagał się ścięcia wszystkich winnych tożsamości popętnionego „jak gdyby nigdy wam znieważani bobu nie zadali”, ścięcia więc między innymi (lista nazwisk na 7 stron) spowiednika królewskiego za nazywanie w kazaniu hosudara Moskwicinem, oraz drukarza poematu Samuela ze Skrzypny Twardowskiego *Szczęśliwa moskiewska ekspedycja Najjaśniejszego Władysława IV króla*, bo w tym utworze Romanowowie, Godunowowie i Rurkowicze są wymienieni bez należnych wyrazów czci, niczym zwykły księżęta.

Zwłaszcza niedokładności dotyczące cara, choćby bez dodatku błazennej *pamięci* wobec jego zmarłego ojca, Michała. Już wcześniej „panowie polscy w listach do Moskwy pisanych, tytuły carskie wbrew paktom zawartym umniejszają, a król Władysław znając w tym względzie drażliwość Moskwy, obiecał postom, że winnych będzie sądził i karał, tem więcej, że tytuły carskie po wszystkich grodach granicznych rozdano i omyłki takie, obrażające sąsiadnie i zaprzysiężone państwo, były dowodem karygodnej lekkomyślności i nie dały się wytłumaczyć, zwłaszcza jeśli je wyżsi urzędnicy koronni popełniali”, objaśnia te deptrymujące dzisiejszego czytelnika pretensje Ludwik Kubala i przybliża moskiewski punkt widzenia: król rzekł się tytułu cara w zamian za ziemie smoleńską, czernichowską i siewierską; Moskwa nieogłędnie przypominała mu, że po prostu kupiła rangę cesarstwa za wymienione terytoria; Moskwa przeszła upokorzenie najśroźsze w swoich dziejach, Wielką Smutę i polską okupację – więcej: pokalenie tronu osadzeniem tam w prawowite miejsce św. Dymitra, syna Iwana Groźnego, szubrawca, szalbierza, szumowiny kłędymitra, według źródeł ówczesnych „grubych i szpetnych obyczajów”, choć o samej pięknookiej fili-granowego wzrostu carycy, pierwszej zresztą z caryc koronowanej w Soborze Uspienskim, Marynie z domu Mniszchównie jako Marguericie napisał poemat Carpio Lope de Vega – *El Gran Douque y Emperador de Moscovia perseguido*; poświęcili jej utwory także Fryderyk Schiller, Aleksander Puszkina, Zygmunt Krasiński, Karol Szańoch, Modest Mussorgski. Maryna, przez króla mitygowana do powrotu i kuszona Samborem oraz Grodnem, odpyskowała, że chce, ba, Krakowa, a wtedy rzeknie się Warszawy. To też był zapadający w pamięć teatr otwarty, i wniknął w ludowe wyobrażenie diabła w Rosji: nosił kontusz, miał podgolony czub, słucki pas, wędz sumiaste, butawa, władał łaciną jak kłędymitr (Brückner miał go za apostoła kultury zachodnioeuropejskiej). Puszkina

domagał się konfiskaty nakładu i spalenia książki Twardowskiego na stosie, a jego samego, żeby knutować. Sejm odpowiedział, że jeśli książka kiepska, szkoda czasu.⁵

Poemat Twardowskiego ze Skrzypny nie był kiepski. Autor ma już gotową *Nadobną Paskwalinę*, opartą na zaginionym dzisiaj eposie hiszpańskim, w stylu Jorge de Montemayora *Diany* oraz *Canto de Orfeo*, dziełko oniryczne i surrealistyczne, z akcją na Półwyspie Pirenejskim, które znawcy – ja dodam – uważają za inspirację Słowackiego i *Pamiętnika* *znalezione* w *Saragossie*, za utwór wręcz prekursorsko romantyczny. W *Szczęśliwej ekspedycji* „sięgnął po pierwsze do wyszukanych form poetyckich, by uzyskać jak najlepszy efekt artystyczny, po drugie operował znaczącymi skrótami myślowymi. Utwór bowiem poza walorami literackimi ma charakter tekstu użytkowego, pisanego ‘na gorąco’, adresowanego do uczestników i świadków wydarzeń”, nawet gwarą, podkreśla Michał Kuran, jej najnowszy edytor. Stąd właśnie wychwycone reportażowo potoczności w wyrażaniu się o wielkich politykach, dosadności grube – że zamiast cytatu sięgnę po przestawny rubaszny obraz Repina, jak to w tym samym czasie Zaporozcy układają list do sułtana, skryba zerka pogryzając pióro z przecherym uśmiechem, a reszta się rechocze pod boki i trzepie po udach z uciechy.

Pomimo to pod naciskiem Puszkina kilkanaście kart dzieła, tych najbardziej obrażających Moskwę, spalono. Jej drukarz, typograf królewski z oficyny na Szerokim Dunaju, Rossowski, nie pierwszy już raz ściągnął na siebie gniew cenzorów; poselstwo miało za złe, że nawet w hramocie króla do cara i w „konstytucjach państwa” tytuły wypisano z bezcelnymi błędami, za co jeszcze ukarać miano księcia Jeremiego Wiśniowieckiego („niech go na pal wbiją”). Ano, książę i drukarz żywo ocalili.

Rozmowa z Puszkinem dała przykład dwóch kolizyjnych języków oraz wyrażanych za ich pośrednictwem systemów wartości; Puszkina podporządkował artyzm interesom państwa w jego później przez Karola Marksa wyeksponowanym aspekcie **aparatu przemocy**. Porozumienie sztuki z państwem tak pojętym jest niemożliwe: sztukę wiąże z kulturą wspólnoty język psychiki⁶, a tę rozbiło na dwa łańcuchy **niekompletne** odłamki: uprawnionych do przemocy oraz skazanych na uległość. Każdy z dygnitarzy koronnych mówiąc o chwalebnych swobodach, w tym publikacji lub krytyki władz, tączył własną wolność ze stosowaniem przemocy wobec pozostałych grup; postrzegał je, eksploatował i subordynował tak jak Puszkina swoich rozmówców, rozprawa z Kozaczną była właśnie tego ilustracją.

Otóż spójrzmy z perspektywy psychiki. Przy postępującej martwicy wielokomórkowej społeczności jedni duszą w sobie miłosierdzie i szacunek wobec autonomii podległych, a drudzy godność i wolę walki. Przemoc jako wrogość kulturę i literaturę zamienia w twarz wykrzywioną pyszałką, w system komunikacji kłamstw: pierwsi maskują nieczułość (a z nią strach przed otrzymaniem impulsów informujących) ostentacyjną wspaniałomyślnością, a drudzy chęć odwetu marazmem, skrytością i zawiścią⁷. Pierwsi maskują, że nie są samowystarczalni (także umysłowo, rozbudowując struktury, w jakich myśl jest regulowana ogólnie, że jest towarem do zakupu w szkołach i na uczelniach – obejmie to z czasem także nauczanie uprawiania oraz odbioru sztuk, wydlubie sztukę z tkanki codzienności i ulokuje ją w „placówkach”, dostosuje do mediów, przestrzenie placówek będą biegunowym

przeciwieństwem życia realnego: cisza, czyść, odzywianie się na dany znak, ściśle przestrzegany czas przebywania, kontrola obecności, ustrukturywane ocenianie ich jakości, nawet ubiór). W roli elewów stają się całkowicie poddani machinie edukacyjnej. Jeśli chcą zgłaszać zastrzeżenia, wolno im korzystać tylko z procedur stosownych; jeśli przedmiotem jest religia, natrafia na szczególnie zniechęcające komplikacje. Pozbawieni prawa do przemocy natomiast tłumią to, że, nieufni wobec żadnej instancji, zwłaszcza racjonalistycznej (mają ją za podstęp, za krowanie), myślą po swojemu, poza świadomością lub jej „cywilizowanymi ramami”, co w konsekwencji oznacza – że destabilizacyjnie. Jest jednak dodatkowy czynnik. Jedni i drudzy wyrażają swoje sytuacje w terminach zaczerpniętych z leksykonu, na jaki są bez wpływu, toteż go nie rozumieją. Ba, w dobie Oświecenia podjęto trud odnowy języka, wymiany słownictwa na etymologicznie bliższe i zaprowadzenia myślowej dyscypliny. Nastąpił w rezultacie koniec Baroku. I zapewne koniec szans na tożsamość, na integralność, przemoc bowiem przybrała inne postacie, z folwarków przerzucona na sztukę czyli mowę nieświadomości.

Także artysta na gruncie swojej domeny zaczyna osuwać się w uległość albo uskutecznia jakowąś przemoc. Przemoc zawsze narasta: wobec języka w literaturze, wobec form w malarstwie, wobec ciała w medycynie i psychiki w resocjalizacji. Wszelka inna sztuka będzie opresjonowana z obu stron, przywoływana do potulności a popędzana do ataków, lub, w najlepszym razie, ignorowana. Pozwólmy sobie zwrócić uwagę na niuans temu towarzyszący – co się tyczy ubrań w ich aspekcie znaku, stygmatu, to w resortach słowowych zakłada się uniform; stosowne sztuki wizualne i werbalne wdrażają wiarę, że ujednolicenie – mundur – zdobi. Uniformizuje się i barykaduje przed niepowołanymi słowno komunikaty, w carskim wojsku choćby z Piotra Wielkiego komendy padają po angielsku (rekruta oczywiście nikt nie uczy angielskiego, odpowiada *jes* [yes] jak my *amen*). Och, bariera za barierą. Wyklucza się zwykłą odmowę. Aresztant przestaje już być Józefem Kowalskim. Dla gazet zowie się Józefem K. Zniesienie granic tożsamości sprawia, że każdy z nas może być Józefem K. W świecie biurokracji nikt nie może nim nie być. Oto ilustrująca opowiadanka Władysława Reymonta *Komediantka*: zawiadowca stacji w Bukowcu pisze służbowy list do W. Sz. Ekspedytora tej placówki. Pieczętuje, po czym wzywa gońca Antosia. Ten odbiera list uniżenie i przenosi na sąsiednie biurko. Zawiadowca przesiada się do tego biurka. Zmienia czapkę zawiadowcy na czapkę Ekspedytora, otwiera list, czyta, robi na nim uwagi i zalecenia. Przykłada pieczęć i woła Antosia. Ten przenosi list na biurko Zawiadowcy stacji. Po czym Ekspedytor przesiada się, zmienia czapkę, otwiera list i pokornie zapoznaje się z uwagami i zaleceniami swojego szefa⁸. Świat sztuki głównych mediów jest analogiczny. Imiona są zmieniane, korygowane są ciała, biografie, słownictwo.

Warto zdać sobie sprawę, że antagonizm dotyczy także sztuki przydatnej państwu, i to nawet, gdy państwo szczeni się liberalizmem, czego przykładem twórczość najlepiej zarabiającego pisarza na świecie, ulubieńca Ronalda Reagana, Toma Clancy, a w Polsce znakomicie operujące sztuką słowa pisma w rodzaju „Tygodnika Powszechnego” lub „Polityki”. W ich intelektualnym widnokręgu nie podważono nigdy prawa państwa do stosowania przemocy – i braku

tegoż prawa w wypadku jednostki: subtelna modyfikacja tego, co wykoncyrował św. Grzegorz Wielki: że termin „prawo do” odnosimy do konkretnego kodeksu nawet, jeśli suweren go nie zna⁹, oraz struktur państwa, wciąż pozwalając mniemać, iż chodzi o jakieś prawo przyrodzone. Po prostu Marksowski rozumienie jest wykasowane w imię państwa – wspólnego dobra, ale nie jest wykasowany jego desygnat. Służby siłowe są tedy określone mianem dobra wspólnego, po czym wyłączenie ten ich aspekt utrwała się w świadomości powszechnej – chyba, że już dochodzi do masowych zbrodni, tym jednak długo nikt nie daje wiary i to nawet, jeśli alarmowani walczą z nimi – czego doświadczył Jan Karski informując aliantów o poczynaniach aparatów siłowych III Rzeszy. Kiedy więc „w imieniu Rzeczypospolitej” zamykany jest niebezpieczny zwyrodnialec, dokonuje się akt sprawiedliwości. Kiedy zamknąby go sąsiedzi, nieporównanie mniejszym kosztem, bez sądowno-więzienniczo-biurokratyczno-medialnej¹⁰ infrastruktury, nastąpiłby karalny łamiący więzienia samosąd. Branie spraw we własne ręce uznano za anarchię; bohater Clancy'ego wnika w nie, nabiera tym samym specuprawnień. Zwróćmy uwagę jak dalece cofnęliśmy od postulatów Konstytucji 3 Maja w artykule XI: „Naród winien jest sobie samemu obronę od napaści (...), wszyscy przeto obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych”. Jeszcze nie cedują tego na partie tworzące rząd i odpowiedzialne za obronę kraju, na urzędy i na Kafkowskie archetypy (dzięki nim każdy **musi** znaleźć się w roli Józefa K.), mistrzowsko wykorzystane przez Putina na Krymie. Gdzie nikt nie mógł osadzić agresorów, ponieważ nie mieli munduru, identyfikatorów, oznakowań na broni i pojazdach, innymi słowy – powkładali niewłaściwe czapki i nie została dopełniona procedura wypowiedzenia wojny a stwierdzenie faktu nazwano wymysłem.

Tym samym kunszt słowa w czasopiśmie opinii tyczy ukłon wobec wolności jednostki i jej sumienia (klauzulę sumienia ma lekarz, silniej ustrukturyowany, ale nie pacjentka; ustrukturyowanie wiąże się z samą funkcją, bynajmniej nie autorytetem zawodu, wszak pacjentka też może być lekarką, wyższą stopniem naukowym – w roli pacjentki zdejmując czapkę W. Sz. Naczelnika stacji bukowickiej i przesiada się za biurko Zawiałowcy, w czapce Zawiałowcy. Wolność godności osobistej oraz sumienia przechwyciły struktury aparatu państwa. Ten absurd Clancy świetnie pojmuje, wytykał, ale złął w jedno USA ze swoim bohaterem i oswojał miliony czytelników z myślą, że państwu amerykańskiemu wolno więcej niż innym, pełniącym rolę statystów niejako na politycznej scenie, np. Kenii albo Bułgarii. Oba polskie tygodniki zaś nie dopuściły pod debatę ewentualności śmiertelnego zagrożenia ze strony Kościoła dla kultury, jakim są sakralna nijakość i kierowanie się cudzym sumieniem, zorganizowanym i zbiurokratyzowanym; wmontowały otóż czytelnikowi złudną osłonę „obustronną”: katolicyzm liberalny oraz liberalną świeckość. Powodem pozostawiania przy takich antydepresantach wcale nie jest oportunizm wobec kleru, tylko ubezwłasnowolnienie w kwestii sumienia **wszystkich**, włącznie z każdym duchownym od biskupa po zakrystiana, o ile nie założy medialnej korporacji, lecz wtedy, jak dowiódł Chesterton w rozprawie o szkodliwym wpływie grubego portfela na intelekt, nie rozumie nic, w ząb, i ma sumienie za jednego ze swoich podwładnych albo udziałowców. Wyręczani w samoobronie (to jedna z funkcji sumienia),

pomimo upragnionego bezpieczeństwa popadaliśmy w bezbrzeżne, bezprzyczynowe zmęczenie. Ponieważ nie czujemy kryteriów. Agonia kultury polega na braku kryteriów odróżniania rozkwitu od agonii. To dramat kultury mainstreamowej w ogóle, zawsze spóźnionej, niewystarczającej a więc nie-miarodajnej, pomijającej kluczowe „wyjątki od reguły” – w istocie jednak reguły odrębne, współtworzące rzeczywistość – reguły równie twarde i obiektywne.

Uznając kryterium w postaci pożytku aparatu przemocy państwowej, sprowadzało do admiraacji atrybutów władzy, nasz dwór Srebrnego Wieku stałby się nieoczytany, nieorientowany w faktyczności kulturowej, a jego polityka kulturalna musiałaby, zaniechawszy swoich kryteriów, dostosowywać pozostałe systemy, zwłaszcza edukacyjny i medialny, następnie naukowy, następnie prawny i cywilizacyjny tak, aby włączyły się do budowy nieadekwatnego obrazu kultury istniejącej. Z Kremlem zawarłszy kompromis, lecz kościelny kult władzy, zaprowadzony za Odnowiciela, wyklucza rozpatrywanie negatywności istnienia Kościoła z wszelkiej innej perspektywy niż dzieje bardzo już omszałe lub aktualne postępy pojedynczych duchownych: jakkolwiek naciągana byłaby analogia z fotografią, uzyskany obraz „bez negatywu” był albo niewykonalny, albo dysfunkcyjny. Reguła polega na tym, że najlepsi uczniowie najsprawniej odstępować będą od adekwatności; wtedy Kopernik okazał się aberracją. I ponieważ ta neo-elita posiada aparaty opinio- i tworzące, to z każdym następnym pokoleniem, z każdą aktywnością tych elit mnożyć się będą nieporadności w obcowaniu z jednostkową i społeczną rzeczywistością. Tak narasta świat wirtualny, masowy przesłona. Chcę zwrócić uwagę, że owa nieporadność dotyczy wcale nie tylko obszarów objętych cenzurą. Dotyczyć będzie w jednakowym stopniu obszarów nakazywanych, promowanych w poczuju uwalniania się z pułapki, bo wtedy rozglądamy się za drogą już gotową, już dostępną poza pułapką, na zewnątrz – i biegnącą w pobliżu. Właśnie na niej do ran zadanych cenzorską wycinanką, momentalnie zbierają się infekcje. Jakis mikrokosmos wie o nich, rusza tłumnie na żer. Zaczyna toczyć zdrowsze tkanki.

Coś takiego stało się w Polsce pod rozbiarami oraz w stanie wojennym, bowiem włączano wtedy cenzorskie i wizerunkowe maszyny po stronie opozycji, która Polskę rozumieć zaczynała jako problem etniczny oraz państwo, właśnie w Marksa rozumieniu. Swobodny metabolizm zamienił się w dietę, wielokomórkowiec kultury zaś, jeśli wolno mi pozostać przy tej metaforze, redukowat się i nie inaczej redukowat prawo do własnych wydzielin, bo w 1981 nie było uchwytne konsensu co do wspólnych treści psychicznych, odrębne ekspresje zlepiat katolickie lepiszcze, a ono jest bez wyrazu, wciąż promieniuje jakimś strachem, jak rda po dawno rozebranym reaktorze, który przeleżał kilka dekad w wodzie.

Przekazy wcześniej, u początków PRL, mogły mieć drażniące niedostatki właściwe ludziom po przejściach, po traumach: ich relacje o łapankach, katowniach, łagrach, zsyłkach, represjach, sieroctwie, niedojadaniu, po wszelkiej doznanej krzywdzie cechowała jednostronność, oszołomienie. Gdy jednak głos zniewalanego kierowano do mediów zachodnich jako towar polityczny, zaczął być on regulowany a bohaterowie dramatu zamienili się w aktorów. Jerzy Surdykowski dla przykładu wydał w 1980 w Nowym Jorku świetnie napisany zbiór esejów *Duch Rzeczypospolitej*, gdzie dowodził istnienia instynktu demokracji

w Polsce „przez cały czas”. Gdyby pisał o poselstwie Puszkina, kładłby akcent na prymitywne kary, jakich domagał się ten poseł, na naszą odmowę wyzbywania wskazanych winnych. Bez wnikania w to, jak panowie koronni w tym samym czasie widzą autonomię ludności w swoich dobrach. Miało to nastrócić przychylnie Zachód do poparcia polskich starań o uwolnienie się spod ZSRR. Flagowy Frycz Modrzewski! Oczywiście, wspaniała postać, tak samo Piotr Boratyński, Jan Łaski. Mnogość kalwionów! A jak w dobrach Janusza Radziwiła traktowano szaraczków? Demokrację warto jednak odróżnić od ograniczania resortów siłowych państwa, bo rozstrzyga drugi człon wyrazu, mianowicie *krátos*, aktywne rozwiązywanie problemów wspólnoty, co zupełnie nie miało miejsca. Demokracja jest władzą, a nie bezwładnym pasożytowaniem na 90 % ludności. Skoro poruszam tu problem przemocy, powtórzę: wypacza ona i ofiarę, i kata. Okalecza w jednakowym stopniu wyzyskiwacza jak wyzyskiwanego. Zaburza ostrość percepcji. Wielkich grup to również dotyczy. Tracą ostrość percepcji. Wolałszy o kopernikańskich odkryciach, strzegąc się zaburzyć europejski paradygmat i w kreatywności zadowalaliśmy się podróbką. Skądinąd, w konkursie na najlepszego imitatora Charlie Chaplina on sam zajął dopiero dwunaste miejsce. Kiedy grał jakąś rolę, odnajdywał ją w sobie, jego ciało dostosowywało się bezwiednie do stanu psychicznego; na konkursie tylko powtórzył techniki mimiczne, oddawał natomiast swój aktualny stan – rywalizacji.

Ludzie sztuki nie tworzą norm: oni je uzmysławiają. Duchowieństwo je odkrywa i przeżywa, ale nie egzekwuje. My tworzyliśmy w sztuce normy zamiast arcydzieł, a w mistyce instrumenty przymusu zamiast przeżywać objawienia.

Niby wiemy, że tragedia powstań ograniczała się do zaboru rosyjskiego, także w latach II wojny światowej (w 1944 powstania wybuchły w Wilnie i w Warszawie, ale nie w Poznaniu, Gdańsku, Krakowie ani Katowicach – jeśli pominąć desperackie powstanie w getcie białeńsko-sosnowieckim w sierpniu 1943), poza którym konflikty etniczne były rozwiązywane bez uciekania się do narodowej tragedii. Walka bywała też albo częściowo skuteczną, bardzo oszczędną w przemocy, jak na Śląsku, którego zresztą żadne rozbiory nie dotknęły i w przeszłości składała się z udzielnych księstw, albo zwycięska – w Wielkopolsce. Tymczasem powstania na terenach zaboru rosyjskiego, nigdy zresztą ani powszechne, ani radykalne politycznie lub ustrojowo¹¹, jedynie degradowały status polskości (królestwa w unii personalnej, z własnym sejmem i armią pełną weteranów napoleońskich, po zakaz używania języka w szkolnictwie). Poza zaborom rosyjskim nie istniał *etos* tragedii. A jednak „obowiązuje” mił Polski Walczącej jako niewycienionej, ogólnopolskiej normy, w jakiej niemożliwe byłoby zmieścić rodzinę, gdzie katolicki ksiądz popierający Korfańskiego chroni w swojej plebanii niemieckojęzycznego pastora i pomaga w zbiórce pieniędzy na odszkodowania za zniszczenie mu zboru w 1920, gdzie jeden z trzech braci byłby w Wermachcie, drugi w AK, a trzeci w SS, lub informację samą w sobie, że w najliczniejszym, Kościuszkowskim powstaniu wzięto udział 50 tysięcy, o 1/3 mniej niż w warszawskim marszu KOD w marcu 2016. Nieprzyswajalna też okazuje się informacja, iż w Wermachcie służyło więcej Polaków niż we wszystkich partyzantkach razem wziętych: Batalionach Chłopskich, Armii Krajowej, Armii Ludowej, Narodowych Siłach

→ **ESEJ** Zbrojnych i organizacjach pomocy Żydom. Znikła tym samym refleksja, iż na ziemiach spoza samodzielnego **ten sam problem etnicznego upokorzenia rozwiązywaliśmy bardzo różnie, niekoniecznie militarnie**. Są natomiast badania, jak dzisiejsze habilitowanego socjologa pedagoga młodzieży, nad lokalną porażką jednego z kandydatów w wyborach prezydenckich, tym razem Lubuszanina: „Wstyd, smutek i konieczność mobilizacja! (...) czyżby w tym ma przejawiać się specyfika Lubuska, że jest obok głównego nurtu emocji Polaków, że nie uwspólniają tętna Narodu? A może to tamta część Polski nie nadająca za Lubuszanami? Wobec tego dokąd zmierzasz Ziemo Lubuska?”

Rozwiązania przeliczonych problemów współistnienia są dialogiem kultur: uczestniczy w nich intelekt, pasja artystyczna, kolekcjonerska, homiletyczna, monastyczna, reporterska, mecenat, zdolności organizacyjne i samopomocowe, eros, biznes. Także jednak i w wojnie uczestniczymy zawsze jako kultura. Oraz w wynarodowieniu: artykułuje je cała kultura: intelektualna, sakralna, artystyczna, codzienna, taka jak traktowanie grobów, ubogich i podwładnych, zabaw z dziećmi, jak przyjęte formy zalotów (mogą być tylko umizgami i służyć tylko do rozpędu), przestrzegania kurtuazji, obcowania z samym sobą, w tym z własnym sumieniem. Oraz kultura porozumień.

Odtwarzaliśmy po rozbiorach nie tyle polską kulturę, co jej europejskie nabytki Odrodzenia i Oświecenia – tyle, że w spolszczonej wersji. Tutaj warto sobie uświadomić, że nawroty do kultury antycznej były czymś biegunowo odmiennym dla ludzi na dawnych terytoriach Cesarstwa Rzymskiego, z własną więc antyczną tradycją, niż dla ludności ziem nigdy nie objętych Antykiem; w pierwszym wypadku następowało zbliżanie się do korzeni, a w drugim tylko jakaś kolejna warstwa odsuwająca od macierzystych paradygmatów. Renesans podejmował dyskurs z Kościołem wyłącznie narracjami Antyku. Nie uprawniał żadnej z kultur „barbarzyńskich” do głosu równoprawnie. Narracje pogańskie pojawiły się dopiero w schyłkowej fazie stanu zwanego małżeństwem tronu i ołtarza, właśnie aparatu siłowego państw-mieczu Kościoła., pojawiły się jednak w innym już kontekście, poświęcam temu esej *Marianna Wiedźma*. W epoce Romantyzmu jednak nie ma już Rzeczypospolitej; cała jej wschodnia połać staje się antypodami nowożytnej Europy.

Tak więc nabytki Renesansów (jednym z nich było Oświecenie) dla polskiej kultury oznaczały z jednej strony perswadowanie dysfunkcyjnej tożsamości, z drugiej – zjawilo się kryterium, za pomocą którego wzmógł adaptacyjność użyciamy z rozkwitem. Patrząc pod tym kątem lepiej dostrzega się, że owym fuzjom towarzyszy na dalszą metę również zjawisko nieufności wobec rodzimych dzieł znajdujących uznanie u obcych; o ile nabytki zagraniczne nabierają szacownej patyny nim dojdzie do przekładów i wreszcie szkolnych programów, to rodzime dzieło nowatorskie nie ma jej, tak jak nie ma jeszcze klucza do jego odczytywań, sami musimy go sporządzić, autor zaś pozostaje nikim. Przypisywany mu bywa cynizm komeryjny, kosmopolityczny, obrazoburczy – pod jakimkolwiek pretekstem wykopuje się rowy między nim a swojskością. Tak się stało z całą właściwie spuścizną Potockiego, Conrada, Balhazara, Kosińskiego, Polańskiego nawet i Holland. Jeśli chodzi o Brunona Schulza, to w kręgach koneserskich polskich ceniony jako pisarz, pozostawał niemiłośniernie lekceważony jako autor rysunków, ponieważ z tej przyczyny, iż

pracował jako nauczyciel rysunku w szkole w Drohobyczu, a nie na ho-ho akademii. Same rysunki ponadto przedstawiały coś, co można nazwać psychicznym jądrem mizoginii: małomiasteczkowi otyli personaci albo zasuszeni kanceliści poddają się erotycznej dyktaturze wulgarne babska. Czotgają się u stóp, wyczekują po kolei na zaszczyt polizania pantofla na obcasie. Aby nie było wątpliwości: wśród tych postaci przewija się stale autoportret Schulza, sceny więc można interpretować jako ujawnianie własnych wstydlivych pragnień, a szerzej: pragnień męzczyzny. Gdyby więc tę interpretację zestawic z „kwiatem prowincjonalnej inteligencji polskiej”, to odbiorca stałby dzisiaj przed niewygodnym zadaniem odpowiedzi na pytanie, dlaczego **te akurat Schulza prace** tak zachwyciły Nowy Jork? Ta bowiem okrętną drogą wiedza o plastycznym geniuszu Schulza zawitała do kraju. Analogicznie z malarstwem Witkacego. Albo z malarstwem Beksińskiego, inżyniera skądinąd. Rodzime kryteria „awangardowe”, kryteria sztywne oryginalności środków oraz idei artystycznych, wiodły do dezawuowania dorobku – poza fotografią¹² – obydwu genialnych outsiderów, jako pretensjonalnych, nachalnych, odtwórczych.

To ledwie przykłady. O wpływie polityki na kulturę pisano sporo, zwłaszcza o stosowaniu wymuszeń i zakazów. Mniej o fakcie, iż polityczne niepowodzenia są zawsze owocem kultury rozczwistej, w polskim przypadku wyraźnie rozpękniętej na *chamstwo* i *elity* ścigające króliczka zmian wygenerowanych na Zachodzie. Ledwie dopada się króliczka, ten już wskoczył na inne miejsce i kpi, i zostajemy znowu odcięci od pogardzanego „pop'u”, ten jest bowiem lęgowiskiem idei rewolucjonizujących myślenie, zarazem ich najprzystępniejszą realizacją. Co się tyczy pogardzanego chamstwa, bywa ilustrowane sceną z *Rozdziobią nas kruki, wrony*, w jakiej chłop obdziera trupa powstańca styczniowego z butów. Mamy się tu dopatrzyć niezrozumienia idei wolnościowych. Niemniej, chłop obdzierał z butów, a szlachcic z rynsztunku, brał konie, czeladź, tabory, skarbiec wawelski pełen jest chorągwi, mieczy, tarcz zdobycznych.

... Czemu mnie zbójcą nazywacie?
Dlatego, że na jednej łodzi?

Gdybym miał statków choć ze
dwieście,

Nie byłbym jako jestem, złodziej,
lecz cysorz, jako wy jesteście.

Przemiany powodujące niedościgniętość adaptowanych idei, już idealizowanych, a w następstwie tego bezsens prostych adaptacji, odda zapewne przykład dziecka, które rośnie i zmienia się z każdym dniem, i nie sposób w jakiś wiążący sposób ustanowic mu granic tożsamościowych. Nie sposób nawet odseparować dziecięctwa od młodzieńczości albo dojrzałości. Wszystkie te cezurzy są umowne, jeśli jednak uznalibyśmy sam wzrost za wyróżnik (dziecko rośnie), to przy próbach adaptacji kulturowych kultur żywych, dziecięcych, zakładać trzeba by, po pierwsze, że nastąpią przemiany nie do poznaki. Trauma w przypadku dzieci wstrzymują wzrost, przynajmniej w jakichś zakresach. Trudność w tym, że spowolnienia a nawet atrofie, nie powstrzymują zmian i nie dają szans na dokładne określenie granicy. Przemoc chce precyzji. Chce, aby jej obiekt stał się przewidywalny. I aby stał się wymierny w kategorii spodziewanego zysku, jaki jest celem adaptacji. Kultura oparta na przemocy sakralnej staje się autoagreg-

sywna, nie jest w stanie obcować z granicami jako sferą metamorfozy, ponieważ ją wbudowała w samą siebie – lecz granicę z martwą tkanką, granicę nieczułą. Podejrzewam, że mianem *sacrum* chcemy odnieść się do granic jako sfer metamorfozy, i stąd przypisanie dziecięctwu waloru świętości. Świętość jednak jest przeciwieństwem idealizacji. Idealizując, świętość zabijamy. Kolejne podejrzenie: że kultury martwe wegetują jeszcze właśnie pośród dzieci i dlatego tak ponagla się w nich „dorastanie”; ich dokonania dziecięce, przededukacyjne, dążą do nieobliczalności, krąbnowości.

Teraz skupię się więc na utracie wspólne-go języka, od którego zaczynam ten wywód. Sobieski i Hornostaj żyją z Cervantesem za pan brat, przechodząc do porządku nad tym, że dzieło powstało w więzieniu, gdzie pisarz odsiadywał niespłacone długi. Sobieski bez trudności identyfikuje się z bohaterem walczącym z wiatrakami, żarliwy kochanek zamożnej z Zamoyskim Marysieńki (zdaniem Boya Żeleńskiego pisał lepszą od niej francuszczyznę) wczuwa się w uwielbienie rycerza dla chłopki z Tobosso. I ech, śpiewa przy ognisku pod Chocimem kozackie czastuszki, popija z weneckiego szkła zrabowanego na Turczyźnie. Posłuchajmy poezji śpiewanej harcerskiej wolnościowej:

Gdy Sobieski był sułtanem,
Stary Bismarck z konia spadł!

Muza polska pozwala sobie na wiele: historię uwielbia i nie da obcyć tknąć. Sułtana Mehmeda IV Sobieski nie pokonał, a tylko nędzny proch u jego stóp – Kara Mustafę, który za klęskę wiedeńską otrzymał wyrok śmierci od janczarów. Ponieważ bawił się z katem w ciuciubabkę, sułtan posłał mu zielony sznur, równoznacznik „sam się powies”. Sobieski uosobił jednak marzenie o zajęciu i Bachczysaraju, i Carogrodu, w imię czego zginął Warneńczyk a Zawisza Czarny poszedł w niewolę turecką, i które to zmagania w *Odprawie posłów greckich* wpisane zostały w obraz *Iliady*. Carogród-Stambuł jednocy Rzym, na jakim wzorować się pragnęła Rzeczpospolita, chociaż tęskniąc raczej do imperium niż republiki, x blaskiem złota bajecznego Wschodu, i czego zdobyła Moskwa nie mogła zastąpić, tym bardziej mało znany Belgrad, miejsce śmierci Kara Mustafy, a zarazem miejsce, gdzie na ikonach prawosławnych św. Michał Archanioł miewał twarz Władysława IV. Lecz nie Sobieskiego.

To coś ujmę słowami Cesare'a Pavese: „...mit nie jest bowiem wyrazem, jaki się mu nadaje, ale ten wyraz poprzedza (...) jest on jakimś wzorcem, schematem jakiegoś faktu, zaistniałego raz na zawsze i czerpiącego swoją wartość z tej absolutnej jedności, która wynosi go poza czas i uświęca jako objawienie.”¹³ Które to słowa wszakże roztropnie byłoby odczytywać przez filtr myśli Stanisława Brzozowskiego. Uczula on: „ta bezsilna, **kochająca samą siebie** psychika (...) która nie przywiązuje żadnej wartości do tego, co może uczynić w świecie, która żyje na tle nowoczesnego skomplikowanego społeczeństwa, jego nieustannym wysiłkiem stwarzanej kultury – życiem przeważnie wzruszeniowym. Obraz świata, cała intelektualna treść świadomości – wszystko to ma znaczenie tylko o tyle, o ile wchodzi w związek z jakimś głębokim wzruszeniem. Wykuty potężnym wysiłkiem świat staje się tylko narzędziem dźwięczącej duszy: jako dą elfów, gnomów przyjmując

Hej, podkówki, dajcie ognia
Bo dziewczyna tego godna!

W piekle
Jesteś jak w lustrzanej kuli Orfe-
uszu
Ścieżka twojej ucieczki
Ślizga się po powierzchni
Jak mucha po zamkniętym oknie
Uciekasz, wleciesz się zmęczony
I tylko śluz zostawiasz
I twój obraz coraz bardziej za-
ćmiony

W piekle
Jesteś Psyche posłuszna
To co ci przykazano, wykonujesz
A zadanie polega na okradaniu
Bogini zmartwychwstania z nie-
śmiertelności
Tylko mały flakonik – myślisz
sobie
I czyż w piekle można jeszcze
zgrzeszyć?
Czy w sytuacji ostatecznej można
zgrzeszyć?
Czy ubędzie coś tym pławiącym
się w beżmarze życia
Kiedy my żywe trupy
Tak rozpaczliwie chcemy ko-
chać?

W piekle
Nadal zabijasz Odyseusza
Nadal przywabisz filozofów
Szukasz porad i prognoz
Jakby cała twoja odyseja nie po-
trafiła cię zachwycić
Jakby wszystkie symbole po drodze
były dla ciebie nieme
Niewidzialne
Jakby liczył się tylko koniec
Tylko kres

W piekle
Wciąż wybaczasz Zbawicielowi
Chcesz do nieba brać
Idiotów nikczemników nieszczęśni-
ków z przetrąconym kręgosłupem
Zimne kurwy i Syzyfów z ich sy-
zyfową zażyłością ze świętością
Z ich syzyfowym przejrzeniem na
wskroś
Marności świętości

Moja siostra Psyche pijana
Chłepcze eliksir nieśmiertelności
Na swoim dnie bez Erosa
URSZULA M. BENKA

1 S. Brzozowski, „Meleager”, „Protesilas i Laodamia”, „Kłątwa”. W: S. Brzozowski, Współczesna powieść i krytyka, Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1984, s. 301-302.
2 T. Różewicz, Kartki wyrwane z dziennika. Omawia ten utwór Jan Kurowicki w Zerowości estetycznej, ELIPSA, Warszawa 2008, s. 20.
3 J. Baudrillard, Przejrzystość zła, przeł. S. Królak, Sic!, Warszawa 2009, s. 180-181.
4 Właściwie dwaj tego nazwiska: bojar Jerzy Gawryłowicz i okoliczny Stefan, a nadto dziesięcioletni bratanek jednego z nich, prześlizgnął, uczestniczył w „wielkim poselstwie”. Zauważmy: był rok 1650, drugi po wstąpieniu na tron Jana Kazimierza i już po kompromitacji pod Zborowem, gdzie zaskoczono przez chana i Kozaków wojska królewskie podpisały ugodę: Tatarzy odstępowali od oblężenia Zborowa i Zbaraża za cenę 200 tysięcy złotych polskich haraczu oraz prawa brania jasyru w drodze powrotnej na Krym – ten punkt, zaznaczył Kubala, utajono przed ludnością Litwy i Korony. Uгода z Kozakami przewidywała czterdziestotysięczny rejestr kozacki oraz usunięcie Żydów i jezuitów z miast ukraińskich. Urzędy na Ukrainie mieli otrzymywać jedynie przedstawiciele szlachty ruskiej prawosławnej. Metropolita kijowski mógł zasiąść w Senacie, a Chmielnickiemu przywrócono godność hetmańską. Szlachta polska mogła jednak powrócić do swych dóbr. Ta uгода nie rozwiązywała jednak faktycznie niczego, zamykała jedynie pewien etap w konflikcie z Kozakami.
5 Opisał to wspaniale, a także bezmyślne spuszczenie z tonu i ustępstwa po stronie polskiej Kubala, a za nim Paweł Jasienica w Rzeczpospolitej Obojga Narodów cz. I.
6 Mitycznie oddaje to domena Hermesa. Opis i Hermesa, i porozumień, włącznie z plastycznym „unaocznieniem” oraz formą rytuałów towarzyszących wtajemniczaniu (przekazywaniu wiedzy) oraz przymierzy i zawieraniaa pokoju, operuje terminami sakralnymi: jasność, czystość, klarowność, zrozumienie, święte porozumienie, więź między niebem a ziemią i nawet Hadesem, bliskość z Afrodytą, hermafrodytyczność, transgresja – ale także i tytaniczność oznajmiona już choćby samą teogonią Hermesa. Pod rozmaitymi imionami Hermes dopełnia każdy system mitologiczny. Z tej perspektywy nawet jednocześnie się myśli opatrzone sakramentem małżeństwa z mnóstwem towarzyszących mu rytów, przesądów, tabu, zaklęć, a wreszcie paralelności już hierogamicznych.
7 Zwróć uwagę, że psychiczna deformacja Afroamerykanów, spowodowana niewolnictwem i badana obecnie, trwała bez porównania krócej niż pańszczyźniane zniwolenie chłopów środkowo-wschodniej Europy. Ta pierwsza sytuacja wydaje się prostsza, ponieważ macierzyste kultury czarnych nie były obciążone niewolnictwem rasistowskim, ci ludzie dostali się w ręce

kultury, jaka je stworzyła. W Europie i szlachcic, i chłop ją tworzyli, dziś trzeba poszukiwać mechanizmów tego zjawiska w obrębie wspólnej kultury, gdzie zresztą lud czasowo, przynajmniej nominalnie, narzucił bandycki dyktat dawnym elitom. Temu problemowi poświęciłam esej Mit polski.
8 Dzięki uprzejmości Janusza Jaroszewskiego, z jego listu do mnie.
9 W VI i VII w. chrześcijańska Europa poza Bizancjum mogła zgola nie wiedzieć o kodeksie cesarza Justyniana, tym bardziej nie znać rzymskiego prawa ani obyczajów prawnych. Suweren nawet pojęty jako „zbiór ekspertów prawa” może się nie porozumieć co do elementarnych kwestii prawnych: czy Sąd Najwyższy jest legalny, czy odbyły się wybory prezydenckie, czy ideologia może być podatnikiem, skoro lesbijki, geje i transseksualni podatnicy „nie są ludźmi, są ideologią”.
10 Do jakiej dołączają kontrolne organizacje pozarządowe, w istocie również będące gigantycznymi strukturami w rodzaju Watch-Dog, Amnesty International itd.
11 Nie mogły więc przynieść korzyści nikomu poza wąskim grupom już urządzonym, o czym pisano szeroko; ja opieram się na „Dwóch drogach” Pawła Jasienicy, „Szansach Powstania Listopadowego” Jerzego Łojka i uwagach o Powstaniu Styczniowym Józefa Piłsudskiego.
12 Por. A. Sobota, Fotografia i antyfotografia Zdzisława Beksińskiego, kwartalnik „Fotografia” 11/2003.
13 Cezare Pavese, Dialogi z Leukoteą. Mit, szkice literackie. Przełożył i przedmową opatrzył S. Kasprzysiak, Warszawa 1975, s. 148.
14 S. Brzozowski, Humor i prawo. Polska krytyka literacka, Warszawa 1988 s.124-125.
15 Tamże, s. 126.
16 Miało to decydujące znaczenie w wypadku Chopina jako pianisty, ponieważ nie istniały jeszcze nagrania. Podobnie ze sztuką tańca, śpiewem, a nawet malarstwem i rysunkiem – np. Norwida.
17 K. Modzelewski, Czas pogardy, rozmowa z Jackiem Żakowskim w: Polityka nr 9 (3048): „Tamtej Solidarności nie było już w 1989 r. Została zniszczona w pierwszych dniach stanu wojennego. Przez całe lata 80' udawaliśmy, że jeszcze istnieje, powtarzaliśmy, że Solidarność żyje, żeby dodawać sobie ducha... (...) To była nasza mistyfikacja przed władzą i światem. Przetrwiał tylko mit. Pamięć o tym, że przez kilkanaście miesięcy byliśmy naprawdę wolni. Sami się uwolniliśmy (...) to były pierwsze samodzielne decyzje podjęte przez rzesze konformistów, którzy w komunistycznej dyktaturze wykonywali na co dzień wszystkie wymagane gesty uległości.”
18 H. Arendt, O przemocy. Nieposłuszeństwo obywatelskie. Przełożył: A. Lagocka, W. Madej, Warszawa 1008, s. 10.



Karola Zielińska



Maria Jentys-Borelowska

Felieton - Życie i książki

KILKA MYŚLI O NIEWOLNICTWIE

O publikowany w „Newsweeku” z 3-9 sierpnia b.r. (nr 32/2020) artykuł Katarzyny Burdy Prawda o niewolnikach. Segregacja rasowa w USA sprawiła, że sięgnęłam po lekturę z lat dzieciennych – po niezapomnianą *Chatę wuja Toma* pani Harriet Beecher-Stowe. Los murzyńskich niewolników w Ameryce, ukazany z rzetelną znajomością rzeczy przez żarliwą wyznawczynię chrześcijańskiej idei miłości bliźniego i abolicjonistkę, poruszył mnie wtedy do żywego. Niewolnictwo, a więc urzeczowienie człowieka i poddanie go władzy innego człowieka, uczynienie jego własnością, objawiło mi się – zgodnie z zamysłem autorki – jako Zło Absolutne, któremu trzeba się sprzeciwiać. Pani Harriet Beecher-Stowe, córka, siostra, żona i matka pastorów, biegła w kazondziejskiej retoryce, uczyniła to w momencie, kiedy spór między zwolennikami i przeciwnikami niewolnictwa w USA przybrał dramatycznie na sile, a Kongres w roku 1850 ogłosił ustawę o zakazie ukrywania zbiegłych niewolników. Powieść *Uncle Tom's Cabin or Life Among the Lowly* ukazała się w roku 1851, w czterdziestu odcinkach, na łamach czasopisma „National Era”, w postaci książkowej zaś rok później w Bostonie. Sukces czytelniczy był niebywały: 300 000 egzemplarzy sprzedanych w ciągu jednego tylko roku 1852, liczne wznowienia, przekłady na 25 języków (polski przekład ukazał się w Warszawie w roku 1865), niezliczone inscenizacje, a po latach ekranizacje. Poza tym adresy dziękczynne od setek tysięcy kobiet z Anglii, datki na fundusz walki z niewolnictwem ze Szkocji i tak dalej. Gdy po wojnie secesyjnej niewolnictwo zostało zniesione, a *Chata wuja Toma* z narzędzia walki stała się jedynie świadectwem minionej epoki, niektórzy historycy literatury próbowali zdegradować ją do rzędu tendencyjnych i sentymentalnych romanów bez wartości artystycznej. Powieść jednak oparła się degradującym zabiegom i przetrwała, atrakcyjna i ... aktualna po dziś dzień. Bo niewolnictwo, niczym miłyczna Hydra, podnosi tu i tam, odcięta niegdyś i zakopana w ziemi, swoją straszną, nieśmiertelną głowę...

„Praca do utraty sił, dzieci z gwałtów, ciężkie choroby zakaźne – taka była codzienność niewolników w Ameryce. Dziś naukowcy odczytują to z genów ich potomków” – głosi ład poprzedzający artykuł w „Newsweeku”, a zaraz potem tekst właściwy informuje (odnosząc się do badań ogłoszonych w „American Journal of Human Genetics”), że statki niewolnicze kursowały między Afryką a kontynentami amerykańskimi od 1515 roku, przewiozły 12,5 miliona Afrykanów, z których aż 2 miliony zmarły w drodze. Ostatni taki statek, o nazwie „Klotylda”, przybił do Mobile w Alabamie w roku 1860. Ostatnia niewolnica, urodzona w Afryce, a przywieziona pod pokładem „Klotyldy” wraz z czterema córkami, wyzwolona w roku 1865, zmarła w 1940. Dzienniki pokładowe prowadzone z pedantyczną skrupulatnością przez handlarzy niewolników pozwoliły naukowcom z firmy biotechnologicznej 23andMe nakreślić genetyczną historię współczesnych Amerykanów. Ustalili oni m.in., że na „geny współczesnych Amerykanów afrykańskiego pochodzenia wpływ miało to, jak źle traktowano ich przodków”. Nadreprezentacja afrykańskich genów kołobieskich nad męskimi w obu Amerykach pozwoliła im na potwierdzenie znanej skądinąd prawdy o seksualnym wykorzystywaniu afrykańskich kobiet przez ich właścicieli.

Praktyka trzymania nałożnic-niewolnic była powszechna nawet wśród światłych obywateli – pisze Katarzyna Burda. I dla przykładu pokazuje, jak przez wiele lat wykorzystywał swoją niewolnicę Thomas Jefferson, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, który na ogromnej plantacji w Monticello w Wirginii miał ponad setkę niewolników. Po śmierci żony nie ożenił się powtórnie, lecz rozpoczął życie erotyczne z młodszą czarnoskórą Sally Hemings. Wyznaczył jej małe pomieszczenie bez okien we własnym domu i trzymał ją przy sobie przez wiele lat, a ona rodziła mu dziecko za dzieckiem, uważając się zapewne za wybrankę losu. Jefferson nigdy nie wyzwolił ani Sally, ani żadnego z ich sześciorga dzieci, choć publicznie potępiał niewolnictwo. Zdawał sobie sprawę, że gdyby to uczynił, skazałby ich na los wyzultków społeczeństwa. W ówczesnych warunkach szansa na godne życie by nie mieli.

A jak wyglądało bytowanie bohaterów *Chaty wuja Toma*?

Akcja powieści rozgrywa się w początkach XIX wieku, najpierw w stanie Kentucky, na plantacji „dobrego”, lecz lekkomyślnego pana Shelby i jego wrażliwej na ludzką krzywdę żony. Tytułowy bohater, Murzyn Tom, ze względu na prawość charakteru, wierność i uległość obdarzony funkcją zarządzcy, mieszka wraz z rodziną w chacie położonej nieopodal siedziby państwa. Panicz Alvin Shelby bywa częstym gościem w chacie „wuja Toma”, uczy swego czarnoskórego przyjaciela czytać. Ulubioną służką pani jest niewolnica Eliza, urodziwa i dzielna Mula, żona George'a, równie dzielnego i inteligentnego Mula, niewolnika okrutnego pana z sąsiedztwa. Idylliczne nieomal współżycie „wolnych” i „niewolnych”, „białych” i „czarnych” trwa do pojawienia się nikczemnego handlarza z Północy, Haleya. Wykupiwszy podstępnie weksle bankrutującego pana Shelby, żąda w zamian Toma i kilkuletniego synka Elzy. Właściciel bez najmniejszych skrupułów, które jego pańskiej „dobroci” nie są znane, sprzedaje nikczemnikowi wiernego sługę i jedyne dziecko służki swej żony (bez jej wiedzy).

Tom, zgodnie ze swą ewangeliczną pokorą, biernie poddaje się losowi, pozwala rozdzielić z żoną i dziećmi, zakuć w kajdany i powieźć do miasta na licytację niewolników. Początkowo trafia do szlachetnego pana, St. Claire'a, staje się przyjacielem jego córki Elziny, a po jej przedwczesnej śmierci – powiernikiem nieszczęśliwego ojca. Nagły zgon St. Claire'a, który zgodnie z ostatnią wolą córki zamierzał wyzwolić Toma, wydaje znów Murzyna na pastwę handlarzy. Sprzedany na licytacji, dostaje się na farmę bestialskiego pana Legree w Red River. Prześladowany za niewykonywanie okrutnych rozkazów, staje się mężem opatrunkowym dla współbraci, których leczy i nawraca. Skatowany za pomoc w ucieczce niewolnicy Kassy, umiera, lecz przed śmiercią doświadcza wierności swego dawnego panicza, Alwina, który, zgodnie z obietnicą, przybywa, by go wykupić.

Los niepokornej, zdecydowanej walczyć o swoje dziecko Elizy jest odmienny. Ryzykując życie ucieka z synkiem, a dzięki swej desperackiej odwadze oraz pomocy

dobrych ludzi (pani Shelby, abolicjonistów, kwakrów) uchodzi pogoni, a nawet łączy się w drodze ze zbiegłym mężem. Razem docierają do Kanady, gdzie jako wolni ludzie zaczynają nowe życie.

Prześlanie, jakie Harriet Beecher-Stowe zawarła w swojej powieści, można streścić następująco: Zło Absolutne, jakim jest niewolnictwo, dotyczy wszystkich, którzy z niego korzystają, niezależnie od ich intencji oraz charakterów, i wszystkich pociąga do odpowiedzialności. Murzyn taki jak Tom, idealne ucieleśnienie doktryn moralnych autorki, wcielenie bierności lojalności i pokory (choć nie bez poczucia realizmu), nie przeciwstawił się temu złu. Uczynił to Mula, czyli „czarny” z domieszką „białej” krwi, zdolny do działania, sprzeciwu, walki.

Bieg historii pokazał, że autorka *Chaty wuja Toma* nie pomyliła się w swoich przewidywaniach. Sto pięćdziesiąt siedem lat później zwycięstwo w wyborach prezydenckich w USA odniósł Afroamerykanin Barak Hussein Obama II, syn ojca – żeby posłużyć się słowami samego prezydenta Obamy – „czarnego jak smoła” i matki „białej jak mleko”. I władat mocarstwem od stycznia 2009 do stycznia 2017 roku – całe osiem lat. Nie znaczy to jednak, że wraz z jego władztwem rasizm z tego kraju zniknął, przeciwnie, raz po raz słyszmy o coraz to nowych aktach przemocy wobec Afroamerykanów, ale i o ich zdecydowanych wystąpieniach obronnych. Niewolnictwo także nie przeszło do przeszłości. Choć formalnie zniesione, prawnie zabronione, odradza się, i to w różnych częściach świata, w najrozmaitszych postaciach, między innymi jako niewolnictwo kobiet i dziewcząt, sprzedawanych do domów publicznych, czy niewolnictwo dzieci w wieku 5-14 lat zmuszanych do ciężkiej pracy fizycznej, głównie w państwach Afryki Subsaharyjskiej oraz Azji, ale i Europy (według danych UNICEF jest tych małych niewolników ponad 150 mln na świecie). Kto wreszcie odetnie i zakopie nieśmiertelną głowę tej Hydry tak głęboko, by nigdy więcej nie wychynęła na powierzchnię naszego znekowanego Absolutnym Złem globu?!

Bo przecież nie tylko Ameryka jest naznaczona piętnem tego zła! Także Europa! Ba, także Polska, i to zarówno piastowska, jak szlachecka! Mieszkol i i jego następcy czerpali niemałe zyski ze sprzedaży własnych poddanych kupcom arabskim, zaś nasi wielcy posiadacze ziemscy byli nie mniej bezwzględni wobec chłopów pańszczyźnianych niż amerykańscy plantatorzy bawelny wobec niewolników. Kto wie jednak, czy nie najgorzej mieli się niewolnicy murzyńscy w Afryce. Bo – jak zaświadcza Henryk Sienkiewicz w prawie nieznanych, choć arcyinteresujących *Listach z Afryki* – to nie biały człowiek ponosi odpowiedzialność za niewolnictwo na tym kontynencie. To sami Murzyni je sobie zafundowali! „Murzyni także posiadają swoich Murzynów, a niewolnicy swoich niewolników” – dowodził pisarz, rozpoznając tło i mechanizm tego z dawien dawna znanego na Czarnym Lądzie procederu.

Jakkolwiek było, nasuwa się pytanie: jeżeli niewolnictwo, wzorem Harriet Beecher-Stowe, uznamy za Zło Absolutne, to czy możemy choćby i marzyć o jego pokonaniu?

MARIA JENTYS-BORELOWSKA



PLAKAT ARTYSTYCZNY

Karola Zielińska

1. SIERPIEŃ W MIEŚCIE

Wiem już, że to nic.
Ranek przysypuje mogiły,
a oczy jakoś łzawią tylko łzami.
Mam na oknie puch, jaśmin i perski dywan,
bezboleśnie rozlewa się ten widok
i nawet nikogo mi już tu nie brak.

Marsz pajęczy, marsz ochrypły,
takie przebijanie się, jak w przebiśniegach,
ale w sierpniu i w starych słowach.
Niby latać, ale może bliżej słupów.
Potem tylko czekać i czekać,
aż prąd opadnie do menueta.

Dobrze, że jest chociaż różana zorza, złotawe cienie,
letnie ławki i zmierzwione pod stopą maki,
które w ogóle nie mają przeszłości.
Dobrze, że są wierzby, jak dłonie babci,
milczący staw pod zielonym kozuchem
i młoda gałąź na wietrze.
Dobrze.

2. WIEŚ

Malownicze są obrazy w zadośćuczynieniu,
gdy rumianek tnie kapustę,
doły grzeją wstęgi w zbożu,
chabry karca się za pychę.
Tylko szkoda, głośniejszy od słowika śpiewa mysia sroka,
i nie mogę dojrzeć wiatru pod ściśniętą ziemią.

Baba w wyzwolenczej chuście dymi się pod gankiem,
skomli na łunę z brunatnej pajęczyny
i na deski potargane chrabąszczami.
Wiem, że patrzy w to pierwotne niebo,
a oczy ma, jak odbicie chwastu w róży.

Mówi, że gra w doby za podwórkiem
i prowadzi się za włosy w ciche pola snopów.
Ciągle pyta.
A ja nie wiem.

Tak już mówi -
malownicze są obrazy, znane pany.
Zrywa chustę i tak mówi -
kwiecie, śmiechu, mój kochanku,
tak ci mówię, tak mi przebacz.